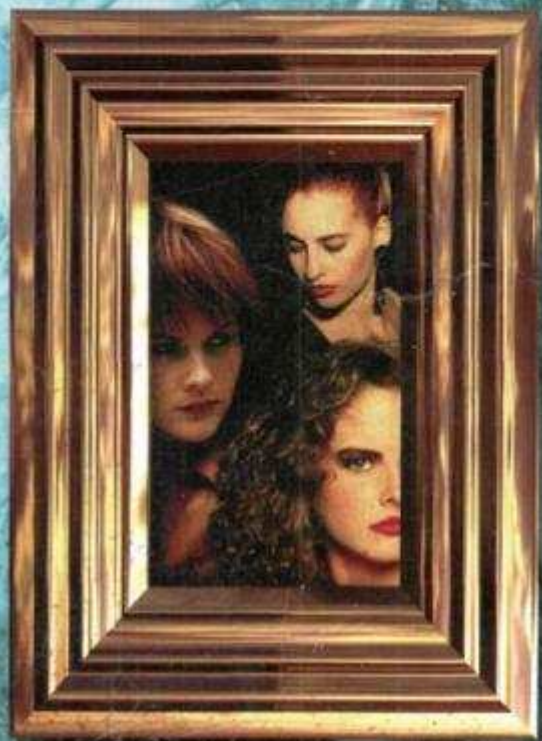


SWIATOWY BESTSELLER

Judith Gould
PIEKNE
I BOGATE



ALFA

Judith Gould
**PIĘKNE
I BOGATE**

Kenzie, Dina i Zandra, trzy niezwykle, piękne i ambitne młode kobiety, żyją w świecie bogactwa, luksusu, władzy i wielkich namietności. Wkrótce jednak dostrzegają, że ów beztroski na pozór świat pełen jest czyhających zewsząd niebezpieczeństw. Burghley, handlujący cennymi dziełami sztuki szacowny dom aukcyjny o światowej renomie, z którym związane są wszystkie trzy bohaterki, staje się celem złowrogiej intrygi tajemniczego geniusza zbrodni, precyzyjnie, krok po kroku realizującego swój podstępny plan.

*Judith Gould raz na zawsze rozstrzyga kwestię,
czy można być zbyt bogatym!*
NEW YORK DAILY NEWS

Seks, miłość i zbrodnia...
PUBLISHERS WEEKLY

Fascynująca lektura... książka, którą musisz przeczytać...
RENDEZVOUS

Trzymająca w napięciu, pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji i dowcipna powieść znanej autorki bestsellerów. (*Urodzone w Teksasie, Namietności, Miłość raz jeszcze*), słowem — wymarzona lektura na lato i nie tylko!

Cena zł 45,—

ISBN 83-7370-175-9



9 786371 791754 0

Tej samej autorki *w wydawnictwie ALFA ukazały się*

URODZONE W TEKSASIE

NAMIĘTNOŚCI

MIŁOŚĆ RAZ JESZCZE

Judith Gould

PIĘKNE
I BOGATE

*Przełożyły:
Bogumiła Nawrot
i Anna Woitaszczuk*



*Wydawnictwo
ALFA
Warszawa 1999*

Tytuł oryginału *Too Damn Rich*

Copyright © 1995 by Judith Gould

Opracowanie graficzne

i projekt okładki

Jacek Tofil

Redaktor

Ewa Witan

Redaktor techniczny

Teresa Jędra

For the Polish edition Copyright © 1999 by Wydawnictwo ALFA-WERO Sp, z o.o.

For the Polish translation Copyright © 1999 by Bogumiła Nawrot, Anna Wojtaszczyk

ISBN 83-7179-173-9

WYDAWNICTWO ALFA-WERO Sp, z o.o. - WARSZAWA 1999

Wydanie pierwsze

Drukarnia WN ALFA-WERO Sp, z o.o.

Zam. 3419/99

Cena zł 45,-

Lepiej bogatym żyć,
aniżeli bogatym umrzeć.

Boswell, *Życie Johnsona*

Nikt nie powinien przyjeżdżać do Nowego Jorku,
chyba że chce mieć szczęście.

E.B. White (1899-1985)

*Tę książkę dedykuję
Philowi i Louise („Mamie Mac”) Hendersonom,
zawsze asertywnej Nancy Austin
oraz pamięci
Kathryn Wheeler Gallaher
i Gladys Allison*

Spis treści

<i>Pewnego razu w mieście Londynie</i>	9
Prolog	11
Część pierwsza	
Klub „MET”	15
Część druga	
Podchody	201
Część trzecia	
Ubijmy interes!	317
Część czwarta	
Wielkie bum	455
Część piąta	
Aukcja wszech czasów	583
Epilog	663

Pewnego razu, w mieście Londynie...

Pewien człowiek nazwiskiem Charles Burghley otworzył dom aukcyjny. Był rok 1719, na tronie zasiadał Jego Wysokość król Jerzy I. Burghley handlował srebrami i porcelaną.

Firma kwitła.

W 1744 roku księgarz Samuel Baker postanowił rozszerzyć swą działalność i zainteresował się sprzedażą przetargową. Jego przedsiębiorstwo również dobrze prosperowało, chociaż to jego siostrzeńcowi i spadkobiercy, Johnowi Sotheby'emu, zawdzięcza nazwę, która przeszła do legendy.

W roku 1766 James Christie otworzył jeszcze jeden dom aukcyjny. Ponieważ skoncentrował się na sprzedaży obrazów i mebli, nie wkraczał w dziedzinę sreber i porcelany Burghleya czy książek Sotheby'ego, jego interesy też świetnie szły.

Przez blisko dwa wieki trzy przedsiębiorstwa koegzystowały bez przeszkód. Kiedy wyprzedawano majątek ruchomy wielkich posiadłości wiejskich, firma Christie'ego wysyłała książki do Sotheby'ego, a srebra i ceramikę kierowała do Burghleya. I chociaż ostatecznie nic z tego nie wyszło, domy aukcyjne Christie's i Sotheby's rozważały możliwość połączenia się, po raz pierwszy w 1934 roku, potem w 1940 - i ponownie w 1947.

Ale w 1964 roku taka harmonia należała do przeszłości. Zaczęło się od zakupu przez Sotheby'ego Galerii Parke-Bernet w Nowym Jorku, dzięki czemu za jednym zamachem stał się pierwszym naprawdę międzynarodowym domem aukcyjnym. W bardzo krótkim czasie Christie's i Burghley zdobyli własne przyczółki na Manhattanie i - jak Sotheby's - zaczęli obejmować swoją działalnością dziesiątki innych miast w różnych zakątkach globu.

Teraz, kiedy skarby całego świata stały się ewentualnym przedmiotem handlu, konkurencja między trzema firmami bardzo się zaostrzyła. Każda znacznie się rozbudowała, zatrudniła ekspertów w nowych działach, zajmujących się obrotem meblami, dziełami sztuki, dywanami, książkami i rękopisami, winem, zdjęciami, instrumentami muzycznymi, monetami, bronią i militariami oraz biżuterią.

Wiekowa tradycja dzielenia się łupami stała się reliktem przeszłości.

W szczytowym okresie lat osiemdziesiątych, kiedy ceny dzieł sztuki osiągnęły zawrotny poziom, firmy Burghley's, Christie's i Sotheby's rocznie sprzedawały towar za dwa-trzy miliardy dolarów każda - i uzyskiwały dwudziestoprocentowy zysk na prowizjach, pobieranych zarówno od kupujących, jak sprzedających. Nawet po krachu na rynku dzieł sztuki, w trudnych latach dziewięćdziesiątych, kiedy roczna sprzedaż spadła do miliarda dolarów, zyski trzech domów aukcyjnych nadal były olbrzymie.

Naturalnie, kiedy w grę wchodzi tak pokaźne kwoty, staroświeckie, eleganckie metody pracy domów aukcyjnych idą w ką.

Prowadzenie licytacji wkroczyło w erę wielkiego biznesu. I właśnie wtedy rozpoczyna się nasza opowieść...

Macao, 13 września

Spotkanie odbyło się w położonej na uboczu willi nad brzegiem morza, daleko za miastem rojącym się od hazardzistów, prostytutek, złodziei i awanturników.

Jedna osoba przyjechała skradzionym samochodem i skorzystała z drzwi frontowych.

Druga przyłączyła skradzioną motorówkę, którą zacumowała przy molo na tyłach posesji.

Obie ubrane były na czarno, miały na sobie obszerne kombinezony, rękawiczki i bezkształtne kaptury. Chodziło o to, by się nie rozpoznały, gdyby miały przypadkiem gdzieś się spotkać.

Pomyślano o wszystkim. Dla dodatkowego bezpieczeństwa zastosowano elektroniczne urządzenia zniekształcające głos, tak że wypowiedzi zakapturzonych postaci przypominały głębokie, jednostajne skandowanie robotów.

Jak było zaplanowane, ich drogi zbiegły się w pozbawionym okien marmurowym przedsionku, w którym reostat nastawiono tak, by kryształowy żyrandol ledwo-ledwo świecił. W mrocznym pomieszczeniu wypełnionym cieniami nie widać było oczu. Aby zapewnić sobie pełną anonimowość, uczestnicy spotkania nosili czarne okulary przeciwsłoneczne.

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem z szacunkiem. Każdy wiedział, że ma przed sobą jednego z dwóch najniebezpieczniejszych ludzi, jacy chodzili po tej ziemi.

Pierwszy przemówił ten wyższy.

- Chcę mieć dziesięciu najlepszych specjalistów w swoich dziedzinach. - Elektronicznie zniekształcony głos skrzeczał monotonna. - Oto lista. Sześciu się przyczaiło, należy więc ich odszukać. Czterech

odsiaduje dożywotnie wyroki i trzeba ich będzie wyciągnąć z pudła. Możesz się tego podjąć?

- Jaki jest harmonogram? - rozległ się równie zniekształcony głos drugiego.

- Jeszcze nie ma harmonogramu.

- Dobra. - Rozmówca skinął zakapturzoną głową, wyciągnął dłoń w rękawiczce, wziął wykaz, poświecił nam latarką i zapamiętał nazwiska. Po chwili błysnęła zapalniczka, kartka spłonęła, a zwęglony popiół został roztarty gumowym obcasem. - Potrzebuję czterech miesięcy.

- Zgoda. Robota może być niedługo potem, a może i rok lub nawet więcej później. Potrzebne będą bezpieczne kryjówki dla naszych ludzi i cierpliwość.

- A bodźce dla nich?

- Dla każdego po dziesięć milionów dolarów. Po wykonaniu zadania. Nastąpiła chwila ciszy.

- A dla mnie?

- Połowa udziału w reszcie.

- To znaczy?

- Tyle samo, ile dostanę ja. Około pół miliarda dolarów. Rozumiem, że cię to satysfakcjonuje?

Druga zakapturzoną postać skinęła głową.

- Świetnie. Spotkamy się ponownie dokładnie za dwa miesiące.

Skontaktuję się tak, jak zawsze.

* * *

Nim nastał świt, na przeciwległych krańcach wyspy miały miejsce dwa „wypadki”.

Kierowca samochodu stracił panowanie nad kierownicą, uderzył w kamienny mur, w wyniku czego auto stanęło w płomieniach. Nim przybyła straż pożarna, nie było czego gasić.

Druga kraksa wydarzyła się niemal w tym samym czasie: motorówka uderzyła w jeden z zacumowanych hydroplanów, kursujących między Macao i Hongkongiem. Doszło do potężnej eksplozji, a nocne ciemności rozdarła łuna pożaru.

Po dokonaniu inspekcji miejsc obu wypadków Zhang Gu, szef straży pożarnej, był zbity z tropu. Strażacy wraz z nurkami przeczesali każdy centymetr kwadratowy terenu, ale znaleźli tylko wraki.

- To niemożliwe - powiedział Zhang Gu do Lin Zhu, swego zastępcy.

- Dlaczego?
- Doszło do dwóch poważnych wypadków, a brak choćby odłamka ludzkiej kości czy fragmentu tkanek.
- Może to akty wandalizmu.
- Tak przypuszczam. - Gu westchnął. - Ale to mi się nie podoba. Coś mi tu śmierdzi jak stara ryba.
- Czy mamy kontynuować poszukiwania?
Zhang Gu pomyślał dłuższą chwilę, a potem pokręcił głową.
- Nie - powiedział znużonym głosem. - Odwołaj ludzi. Niczego nie znajdziemy. Byłaby to tylko strata czasu.

* * *

Zhang Gu się nie mylił. Sprawcy obu wypadków już dawno się ulotnili.

Jeden z nich był tysiąc mil od Macao, na pokładzie samolotu Qantas, lecącego do Australii, do Sydney.

Drugi odbywał pierwszy etap podróży samolotem Northwest, z międzylądowaniem w Tokio. Zmierzał do Honolulu i ciepłych wód Waikiki.

CZĘŚĆ PIERWSZA

KLUB „MET”

PREZES GOLDMART WYGRAŁ PRZETARG NA DOM AUKCYJNY

SPECJALNIE DLA NOWOJORSKIEGO *TIMESA*

NOWY JORK, 12 PAŹDZIERNIKA. JAK POINFORMOWAŁY WCZORAJ ŹRÓDŁA ZWIĄZANE Z WALL STREET, ROBERT A. GOLDSMITH, PREZES GOLDMART, INC., ZAPŁACIŁ PRAWIE MILIARD DOLARÓW ZA AKCJE BURGHLEY'S, INC, I ZOSTAŁ GŁÓWNYM UDZIAŁOWCEM FIRMY.

W WYNIKU TRANSAKCJI PAN GOLDSMITH NABYŁ PONAD PIĘĆDZIESIĄT PROCENT AKCJI PRZEDSIĘBIORSTWA, CZYLI OKOŁO TRZYDZIESTU DWÓCH I PÓŁ MILIONA UDZIAŁÓW, ZAŁOŻONEGO W 1719 ROKU, NAJSTARSZEGO NA ŚWIECIE DOMU AUKCYJNEGO. TO MISTRZOWSKIE FINANSOWE POSUNIĘCIE PANA GOLDSMITHA, KTÓRY ZDANIEM ANALITYKÓW KUPIŁ AKCJE PO WYJĄTKOWO NISKICH CENACH W ZWIĄZKU Z PANUJĄCĄ OBECNIE RECESJĄ...

1.

Nowy Jork, 12 października

MacKenzie Turner obudziła się, mając ochotę skosztować kawałek Wielkiego Jabłka.

Był jeden z tych jasnych, rześkich poranków na Manhattanie. Niebo było czyste i nawet najmniejszy obłoczek nie mącił idealnego obrazu, a co najwyżej lekkie muśnięcie smogu. Ale pogoda nie miała nic wspólnego z jej cudownym samopoczuciem.

Wynikało ono z tego, jak została obudzona ze słodkich snów, bo stwierdziła, że jawa jest jeszcze słodsza. Niezrównany kochanek delikatnie całował jej sutek, a rękę wsunął między miękkie uda.

- Mmmmm... - mruknęła rozmarzona, uśmiechając się i nie otwierając oczu, zmieniła pozycję. Jej ciało, niczym słońce obracający się za słońcem, instynktownie szukało ciepła, bijącego od mężczyzny.

Delikatnie wsunął dwa palce między jej nogi.

- Mmmmm! - Otworzyła błyszczące, bursztynowe oczy.

- Pomyślałem, że to cię obudzi. - Uśmiechnął się łobuzersko.

- Nigdy nie zaczynaj roboty, jeśli nie możesz jej skończyć! - oświadczyła, prowokująco mrużąc powieki. - No i co zamierzasz teraz zrobić, koleś?

- Co powiesz na to? - Nawet kiedy ponownie dotknął ustami jej piersi, aż nabrzmiała i zrobiła się twarda, nie odrywał wzroku od dziewczyny. Wprost pożerał ją oczami.

Chociaż ich niezobowiązująca znajomość trwała już ponad rok, nadal był oszołomiony, kiedy znalazł się obok tryskającej energią Kenzie Turner, która wywierała na niego hipnotyzujący wpływ. Zdawało się, że swoją obecnością elektryzuje powietrze.

Nie miało to nic wspólnego z urodą. Zdjęcie Kenzie nigdy nie trafiłoby do kalendarza z kociakami czy do numeru *Sports Illustrated* z

kostiumami kąpielowymi - nie z tymi kruczoczarnymi włosami, ostrzyżonymi na Louise Brooks, okalającymi figlarną twarz elfa o wydatnych kościach policzkowych, wygiętych łukowato brwiach i małym, spiczastym podbródkiem. Wszystko to nadawało jej wygląd bezbronnej łani, niewinnego dziecka, a nie namiętnego wampa.

Ale było coś zdecydowanie niepokojącego i sprzecznego między drobną twarzyczką a dojrzałym, kobiecym ciałem. Od szyi w dół wszystko nabierało właściwych proporcji.

Właśnie połączenie tych zasadniczo odmiennych, nieprzystających do siebie elementów sprawiało, że mężczyźni pragnęli ją posiadać, a zarazem chronić.

Jej usta ułożyły się w błogi uśmiech, kiedy leniwie się przyglądała, jak mężczyzna zostawia językiem mokry, wywołujący łaskotki ślad na jej okrągłych, niebiesko żyłkowanych piersiach. Potem przebiegł ją dreszcz, gdy kochanek zanurzył twarz między jej nogami. Absolutnie nikt nie potrafił tak podniecić kobiety jak Charley Ferrara!

- Nie teraz, Charley - zaprotestowała słabo, bez przekonania, próbując go odepchnąć. - Wiesz, że muszę iść do pracy...

Uniósł głowę; jego czarne oczy błyszczały.

- Pewnie, że musisz. - Potem, podparłszy się na rękach, wysoko uniósł biodra i wolno się obniżył, wchodząc w nią tak, jak lubiła.

Wydała z siebie ciche westchnienie satysfakcji i zdumienia. Potem, kiedy zaczął poruszać się wolno, rytmicznie, oddychając coraz szybciej, poddała się temu tempu, czując narastającą rozkosz.

- Szybciej! - szepnęła namiętnie, unosząc i opuszczając biodra. Oczy jej błyszczały, wbiła palce w jego pośladki. - Szybciej! - domagała się.

- Ejże, uspokój się, dziecino - odrzekł cicho. - To nie wyścigi. Nie ma się co spieszyć... - powtórzył. - Leż i rozkoszuj się przejażdżką.

Poruszali się coraz szybciej w idealnej harmonii, jakby każde z nich stanowiło nieodzowną, nierozłączną część drugiego.

- O, Boże! - jęknęła. - O, jak dobrze! Tak dobrze, Charley, tak...

Jej twarz skurczyła się, z ust wydobył się zduszony okrzyk, kiedy zalała ją pierwsza fala orgazmu. Napięła mięśnie i wygięła się w łuk.

Wtedy Charley też nie był w stanie już dłużej się powstrzymać. Objął ją mocniej ramionami i wszedł w nią tak głęboko, jak tylko mógł.

Poczuła w środku szarpnięcie, a po chwili jego wytrysk; jednocześnie przeżywali niewyobrażalną, skręcającą ciała rozkosz cudownego spełnienia.

Jej cichnący krzyk przeszedł w westchnienie pełne niedowierzania.

- Och, Charley! - szepnęła bez tchu. - Charley...

Drgnął jeszcze raz, a potem razem opadli na łóżko. Między jednym a drugim urywanym oddechem uśmiechnął się szelmowsko i powiedział zachrypniętym głosem:

- Dzień dobry.

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Jeszcze jak!

Pocałowała go i przesunęła dłonią po zmierzwionych, gęstych, kruczoczarnych włosach, które sprawiały, że wyglądał nieśmiało, niemal chłopięco, mimo obwisłych wąsów jak u Sama Eliota.

Przez chwilę leżeli nieruchomo. Nagle wzrok Kenzie padł na tarczę budzika i jej oczy zrobiły się wielkie z przerażenia.

- Cholera! - zakłęła i odepchnęła mężczyznę.

- Co się stało? - zapytał.

- Cholerny budzik nie zadzwonił! - krzyknęła, z bezsilnej złości szarpiąc włosy.

- Wiem. - Charley wciągnął się, podłożył ręce pod głowę i uśmiechnął się zadowolony z siebie. - Wyłączyłem go.

- Co... co zrobiłeś? - Gapiała się na niego z niedowierzaniem.

- Powiedziałem ci. Wyłączyłem go, żeby nam nie przeszkadzał.

- Ty gnojku! Ty świniu! Ty... ty... - Złapała poduszkę i zaczęła go okładać po głowie.

Podniósł rękę, by się osłonić.

- Ejże! - krzyknęła. - Ejże, uspokój się! Mam dziś wolne.

- Ale ja nie! Boże, teraz się spóźnię!

Kiedy minęła pierwsza złość, Kenzie odrzuciła poduszkę na bok, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki.

- Dlaczego tak się przejmujesz? - krzyknął za nią. - Nie możesz zadzwonić i powiedzieć, że jesteś chora?

Wysunęła głowę przez uchylone drzwi łazienki.

- Zapomniałeś czy też cały twój rozum mieści się między nogami? Dziś jest pierwszy oficjalny dzień pod nowym zarządem!

Patrzył na nią z głupią miną.

- Boże! - Ze zniecierpliwieniem wzniosła oczy do góry. - Nie pamiętasz, co ci mówiłam o wykupieniu przedsiębiorstwa? O nowym głównym udziałowcu? No więc dziś jest pierwszy dzień po zaakceptowaniu przez Komisję Papierów Wartościowych i Giełd przejęcia firmy, ty zakuty łbie!

Patrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem.

- Nie leż tak, jak dar Boga dla kobiet! Rusz się, człowieku! Zaparz kawę! Pospiesz się! - Klasnęła w dłonie.

Skrzyżował ręce pod głową, wyciągnął się leniwie i zaczął we wszystkie strony poruszać palcami u nóg.

- Och, daj spokój, Kenz. Wiesz, że nie ma ze mnie pożytku w kuchni.

- Słucham? - Znów wzniosła oczy do nieba i z niesmakiem wycedziła przez zęby: - Gliniarze! - Zdaje się, że będę musiała się napić gdzieś po drodze. Dlaczego, no dlaczego - zwróciła się błagalnie do świata jako takiego - musiałam się związać z włoskim gliniarzem, który jest zbyt męski, by chociażby zaparzyć filiżankę kawy? Czy ktoś mógłby mi odpowiedzieć na to pytanie?

- Może dlatego, że jestem taki dobry w łóżku? - odpowiedział, uśmiechając się lubieżnie.

- Wielka szkoda, że nie ma z ciebie pociechy w domu. - Przyjrzała mu się podejrzliwie. - Słuchaj no, nie musisz dzisiaj nigdzie iść? Nie masz nic do roboty?

- Nie. Mam wolne aż do jutra, skarbie; kiedy spotkam się ze swym partnerem z Interpolu. Mówiłem ci, że będę z nim współpracował w wydziale kradzieży dzieł sztuki...

Ale Kenzie nie usłyszała tego, gdyż zatrzasnęła już drzwi łazienki i weszła pod prysznic. Woda leciała z głośnym szumem.

2.

W apartamencie położonym wysoko nad Piątą Aleją Dina Goldsmith obudziła się z uczuciem, że przez noc zaszła jakaś zmiana, i z miejsca zaczęła się zastanawiać, cóż mogłoby to być. Leżąc w weneckim łóżku, zmarszczyła czoło, wpatrując się w baldachim, i próbowała pozbyć się resztek snu. Co się zmieniło? - zachodziła w głowę.

Nagle sobie przypomniała.

Usiadła prosto i przeciągnęła się leniwie. Co za cudowny dzień! Jak mogła zapomnieć? Z dnia na dzień została królową Manhattanu! Oto, co się stało!

Czy to możliwe? Może powinna się uszczypnąć...

Uszczypnęłyby się w ramię, gdyby nie grube, niewygodne mitynki, które wkładała na noc, by nie zabrudzić koronkowej pościeli i mieć pewność, że balsam nawilżający, którym smarowała dłonie, rzeczywiście zostanie na skórze.

Zdumiewające, wczoraj wieczorem poszła do łóżka jako ta sama Dina Goldsmith, co zwykle - piękna, urodzona w Holandii żona Roberta A. Goldsmitha, miliardera, właściciela GoldMart, Inc., drugiej co do wielkości sieci tanich (ku jej niezadowoleniu) domów towarowych.

A teraz, po zaledwie ośmiu godzinach, obudziła się zupełnie inna Dina Goldsmith - wspaniała żona nowego właściciela (a przynajmniej największego udziałowca i prezesa) Burghley's, Inc., najstarszego na świecie, największego i niewątpliwie najważniejszego dostawcy najwyższej klasy dzieł sztuki, mebli, biżuterii, znaczków pocztowych, porcelany, dywanów - nie wspominając o Bóg wie jakich jeszcze skarbach, wywołujących zawrót głowy.

Burghley! Już sama nazwa elektryzowała, dodając każdej rzeczy, która przekroczyła jego nobliwe progi, wartości, szacunku i prestiżu.

Burghley! Gdzie podczas każdej aukcji w niezwykłych latach osiemdziesiątych padał jeden rekord za drugim - czy chodziło o najdroższego kiedykolwiek sprzedanego Picassa czy van Gogha, czy najwyżej wyceniony serwis obiadowy z miśnieńskiej porcelany, czy zdjęcie Anselada Adamsa.

Burghley! Ze swą trzechsetletnią główną siedzibą przy Bond Street w Londynie, swym własnym pałacem, zajmującym cały kwartał tutaj, na Madison Avenue, plus dwudziestoma trzema mniejszymi galeriami rozrzuconymi na całym świecie.

Burghley! Dom aukcyjny stojący w jednym rzędzie obok Christie's i Sotheby's, którego zarząd i organ doradczy przypominał istne *Kto jest kim*, tyle tam było bezwstydnie bogatych i utytułowanych osobistości, a wiele z nich dotychczas spoglądało z góry na Dinę Goldsmith, traktując ją jak parwenuśkę, ponieważ była żoną właściciela tanich domów towarowych!

No cóż...

Na jej ustach pojawił się uśmiech. Wszystko się zmieniło - i to z dnia na dzień! Pora, by zacząć grać swoją rolę.

- Darlene! - zawołała.

Do sypialni natychmiast wbiegła zaaferowana pokojówka, czekająca pod drzwiami. Jedno spojrzenie na przejętą kobietę wystarczyło, by Dina się zorientowała, że nawet służba już o wszystkim wie.

- Przygotuj mi kąpiel! - poleciła władcym tonem. - I przypilnuj, żeby woda miała dokładnie dwadzieścia sześć stopni Celsjusza.

- Tak jest, proszę pani! - Darlene kiwnęła głową i pobiegła do marmurowej łazienki sąsiadującej z sypialnią.

- Ale najpierw przynieś miskę gorącej wody, rozwiąż mitynki i zmyj mi z rąk to przekłete mazidło!

- Tak jest, proszę pani! - Darlene wróciła migiem z mydłem, miską parującej wody, pudełkiem chusteczek higienicznych i stertą myjek.

Dina wyciągnęła przed siebie obie ręce, niczym chirurg. Czekwała niecierpliwie, aż Darlene rozwiąże grube, flanelowe mitynki i umyje jej dłonie wodą z mydłem.

- A teraz przygotuj mi kąpiel - poleciła, gdy w końcu miała czyste ręce.

- Tak jest, proszę pani! - Służąca zniknęła, zabierając brudne chusteczki higieniczne, wodę i myjki.

Dina włączyła swój domofon przy łóżku - nie ten z ośmioma liniami zewnętrznymi, ale model do użytku wewnątrzdomowego. Nacisnęła guzik jednego z dwudziestu czterech zaprogramowanych numerów.

Majordomus odezwał się po pierwszym dzwonku.

- Słucham? - rozległ się w pokoju jego dudniący głos.
- Powiedz kucharzowi, żeby przygotował śniadanie dokładnie za godzinę - poleciła. - Chcę gorącą, świeżo parzoną kawę bezkofeinową. Pół filiżanki odtłuszczonego jogurtu naturalnego. I jedną grzankę z chleba niskokalorycznego. Lekko przyrumienioną, bez masła.

- Przekażę pani pole...

- Czy mój mąż jest jeszcze w domu? - przerwała mu.

- Niestety już...

Rozłączyła się i natychmiast zadzwoniła do swej osobistej sekretarki, urzędującej na końcu korytarza. Jeden dzwonek... drugi... trzeci...

- Słucham? - rozległ się kobiecy głos.

- Gaby, każ, żeby kierowca czekał w samochodzie dokładnie za półtorej godziny. I zadzwoń do domu aukcyjnego Burghleya. Chcę, żeby trzech najważniejszych dyrektorów czekało u wejścia, by nas oprowadzić.

- To znaczy, że jadę z panią - zauważyła kwaśno sekretarka.

- Prawidłowo się domyślasz.

- Zajmę się tym - powiedziała Gabriella Morton zrezygnowanym tonem. - À propos, przypominam, że na drugą jest pani umówiona u Kennetha.

- Już nie - odparła zarozumiale. - Zadzwoń do niego i powiedz, że od tej pory, jeśli chce mnie czesać, ma przychodzić tutaj. - Rozłączyła się, odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka.

Przeciągając się leniwie, przez kilka chwil rozkoszowała się swą nową pozycją. Potem, nucąc radośnie pod nosem, wsunęła ręce w łososioworóżowy, jedwabny szlafrok, obsyty strusimi piórami, a stopy w puszyste, łososioworóżowe pantofelki na obcasie. Tak ubrana, ruszyła majestatycznie w kierunku łazienki.

Tym razem nie traciła czasu na podziwianie portretu van Gogha nad marmurowym kominkiem, *Wyścigów konnych* Degasa nad połączaną konsolą czy swego wielce cenionego trio - słodkich obrazków Renoira. Dziś rano Dina Goldsmith nie potrzebowała widoku bezcennych dzieł sztuki i antyków, by potwierdzić własną pozycję. Dziś dokładnie wiedziała, kim jest - i jakie zajmuje miejsce w tym mieście.

Trzeba przyznać, że Dina Van Vliet z Goudy, holenderskiej stolicy serów, nie najgorzej poradziła sobie w życiu. W ciągu dwudziestu dziewięciu lat przebyła długą drogę - bardzo długą.

Zaszła dalej, niż ktokolwiek by przypuścił...

* * *

Najwcześniejsze wspomnienia Diny Goldsmith wiązały się z serem - dlatego teraz nie brała go do ust i biada temu, kto włożyłby do lodówki choćby jego gram! Sam zapach sera, sama myśl o nim wystarczała, by wracały wspomnienia czasów dawno minionych. I nie było to dziwne, zważywszy, że ojciec Diny pracował w jednej ze sławnych fabryk sera w Goudzie.

To zapamiętała najlepiej: zapach sera, spowijający go jak miazmaty. Przesiąknięte było nim ubranie, włosy, skóra ojca. Żeby nie wiem ile się moczył w wannie, nigdy nie udawało mu się pozbyć tej woni. Nawet teraz, po tylu latach, Dina nie potrafiła jej zapomnieć.

Ale przewrotny los sprawił, że właśnie dzięki serom wyruszyła z Goudy w świat.

Dina Van Vliet była dziewczyną o typowej nordyckiej urodzie. Metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, włosy jak pszenica, wydatne kości policzkowe, szeroko rozstawione, błękitne oczy. Poza ładną buzią i zgrabną figurą miała nogi, które wywoływały zachwyt - wystarczający, by zapewnić jej tytuł Miss Goudy.

Stamtąd był tylko krok do Amsterdamu, gdzie zdobyła koronę Miss Holandii, a potem nastąpił wyjazd do Caracas w Wenezueli na konkurs Miss Universum.

Niestety, Miss Holandii nie weszła nawet do półfinałów. Ale nieważne, Dina Van Vliet była realistką. Nikt nie musiał jej mówić, co ma w sobie najcenniejszego, wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Wiedziała również, że nie wróci do kraju wiatraków, drewnianych chodaków i sera. Więc spakowała nagrody pocieszenia, wzięła dziewięć tysięcy dolarów, które jej zostawiła babka ze strony matki, i przeniosła się do Nowego Jorku, gdzie wynajęła mieszkanie o kontrolowanej wysokości czynszu w modnym rejonie Upper East Side.

A co ważniejsze, zainwestowała w bardzo dobrą, bardzo drogą i bardzo wydekoltowaną uniwersalną suknię wieczorową oraz przyzwoity sznurek hodowlanych pereł.

Tak wyekwipowana, bezwstydnie wykorzystując swój tytuł Miss, by uzyskać wstęp na właściwe tereny, wkroczyła do kręgów towarzyskich Manhattanu niczym rekin polujący na ofiarę. Przyjęcia cocktailowe, obiady, premiery i imprezy dobroczynne - Dina zaliczała je wszystkie, odrzucając przy okazji niezliczone propozycje wspólnego spędzenia nocy i równie wiele oświadczeń, składanych przez najprzystojniejszych kawalerów z Manhattanu.

Diny nie interesowali chłoptysie, którym rodzice założyli fundusze powiernicze. Wiedziała, czego chce, i była zdecydowana dopiąć celu.

I - patrzcie państwo! - zanim ktokolwiek zdążył policzyć do trzech, znalazła swe szczęście w osobie Roberta A. Goldsmitha, niedawno owdowiałego założyciela i prezesa GoldMart, Inc.

Prawdę mówiąc, nie była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Robert - gruby i nieatrakcyjny - łysiał i miał pięćdziesiąt kilka lat.

Był trochę ordynarny i nieokrzesany. Nosił te same ohydne garnitury z poliestru, które sprzedawał w sieci tanich domów towarowych obejmującej cały kraj. W jego mieszkaniu znajdowały się przecenione meble, na podłodze leżała pomarańczowa wykładzina, stały sztuczne rośliny, a na ścianach wisiały oprawione w ramki obrazki klaunów, kotków i dzieci o wielkich oczach - wszystko z GoldMart.

No to co?

Był do wzięcia, a tylko to się liczyło. To oraz fakt, że miał forsy jak lodu.

Równie ważne, że Robert A. Goldsmith nie miał byłych żon ani dzieci mogących rościć pretensje do jego majątku, kiedy przyjdzie czas - Dina sprawdziła to dyskretnie, ale dokładnie.

Jeśli chodzi o mankamenty Roberta, Dina uważała, że na wszystko znajdzie się rada. Ostatecznie można się nauczyć manier, zacząć stosować surową dietę i zmienić ohydny garderobę, a wstrętne mieszkanie przy Central Park West urządzić od nowa.

Wkrótce więc odbył się ślub i przestała istnieć Dina Van Vliet. Narodziła się Dina Goldsmith - i to nie były żarty!

Teraz, kiedy została oficjalnie członkinią owego najbardziej elitarnego ze wszystkich klubów - żon stu najbogatszych ludzi na świecie - wkroczyła na arenę towarzyską z takim samym wyrachowaniem i zimną krwią, z jakimi przystąpiła wcześniej do zdobycia męża o nieoszacowanym majątku.

Nagle zrobiła się niezwykle zajęta.

Były codzienne obiady z osobami z towarzystwa w La Grenouille i Le Cirque, gdzie bulion z homarem bladł w starciu z prawdziwymi przystawkami - pikantnymi plotkami i szeptanymi na ucho doniesieniami o skandalach.

Wieczorne przyjęcia cocktailowe, po których następowały oficjalne obiady, premiery na Broadwayu plus tradycyjne poniedziałkowe wieczory galowe w operze Metropolitan, nieodzowne bale dobroczynne oraz sobotnio-niedzielne wyjazdy do Hamptons latem i do Palm Beach lub na Karaiby zimą.

Każdy by pomyślał, że Dinie Goldsmith się udało.

Ale wkrótce odkryła prawdę. Chociaż utrzymywanie znajomości z pewnymi ludźmi wydawało się sprawą oczywistą, państwo Goldsmith nie byli przyjmowani przez wszystkich. A przynajmniej nie w tych domach, które się naprawdę liczyły. Stara gwardia Nowego Jorku, Newport, Hamptons i Palm Beach nie akceptowała ich, a wszystko dlatego, że Robert sam się dorobił, a w związku z tym jego pieniądze były nowe i nie pokryła ich jeszcze dająca szacunek patyna, którą mogły uzyskać dopiero po upływie kilku pokoleń.

Z wyjątkiem okazji, kiedy chodziło o zbiórkę funduszy na cele dobroczynne, gdzie każdy darczyńca był serdecznie witany, stare pieniądze zamknęły przed nimi drzwi.

Ponownie, tak jak kiedyś w Caracas, Dina przemyślała sytuację i stwierdziła, że potrzebne są poważne zmiany. Po pierwsze, musieli się przeprowadzić na sam East End, koniecznie na Piątą Aleję. Doszła do wniosku, że musi to być ni mniej, ni więcej, tylko wspaniała twierdza białych angielskich protestantów obok Central Park.

Ponieważ pieniądze nie stanowiły przeszkody, wkrótce znalazła idealny trzydziestoczeropokojowy, dwupoziomowy apartament, łącznie z marmurową klatką schodową, ogrodem zimowym i dwoma tarasami. Natychmiast zatrudniła odpowiedniego dekoratora wewnątrz, siedemdziesięciodwuletniego smoka o nieskazitelnym anglosaskim pochodzeniu.

Ale jeśli myślała, że przeprowadzka na Piątą Aleję oraz wynajęcie właściwego projektanta wewnątrz w cudowny sposób otworzą wszystkie drzwi, które do tej pory były przed nimi zamknięte, grubo się myliła. Utrzymujący się ostracyzm doprowadzał ją do szaleństwa.

Teraz, po ośmiu długich latach przyszło wreszcie upragnione zwycięstwo! Jej modlitwy zostały wysłuchane! Udane przejęcie przez Roberta domu aukcyjnego Burghleya odniesie skutek tam, gdzie zawiodły wszystkie inne metody - bo nikt nie musiał mówić Dinie, że większościowe udziały w tej firmie nagle uczynią z niej pierwszą osobę w mieście. I to z dnia na dzień!

Po tylu latach znalazła się na samym szczycie! Na samym wierzchołku societety Manhattanu!

A teraz...

Ach! Teraz przyszła pora spłaty długów... teraz ona będzie z góry spoglądała na snobów... a wszyscy pokonani będą czekali, by móc pocałować podeszwy jej pantofelków od Maud Frizons!

O, tak! Będzie się rozkoszowała każdą minutą! Bo czy jest na ziemi coś równie rozkosznego, jak odpłacanie pięknym za nadobne?

* * *

Pachnąca woda bulgotała i falowała, kiedy Dina zanurzyła się w olbrzymiej, owalnej wannie z różowego marmuru. Zamknęła oczy, położyła głowę na różowej poduszce w kształcie muszli i oddała się marzeniom.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia. Otworzyła oczy i zobaczyła Gaby wkraczającą do łazienki. Dina rzuciła wchodzącej gniewne spojrzenie, ale sekretarka tym się nie przejęła. Była apodyktyczną, zrozumiała kobietą o szarych, stalowych drutach zamiast włosów i głosie Jamesa Earla Jonesa; na szyi miała zawieszony na łańcuszku okulary. Podeszła do wanny, nacisnęła guzik i wyłączyła głośny mechanizm jacuzzi.

- Telefon do pani - oświadczyła burkliwie. - Odbierze pani?

Dina nacisnęła guzik, ponownie włączając urządzenie do wydmuchiwania wody.

- Zależy, kto dzwoni - prychnęła pogardliwie.

- Jakaś Berg. Sandra Berg! - Gaby wzruszyła ramionami.

Dina zmarszczyła czoło, sięgając po olbrzymią gąbkę. Sandra Berg? Czy powinna wiedzieć, któż to mógłby...? Nagle doznała olśnienia. Ależ naturalnie! Z pewnością chodzi o Zandrę! Zandrę, z którą nie miała kontaktu od lat!

- Daj mi telefon - poleciła wyniośle.

- Niech pani sama sobie weźmie - burknęła Gaby i wymaszerowała z łazienki, zatrzaskując za sobą drzwi.

Suka! - miała ochotę krzyknąć jej pracodawczyni, ale ograniczyła się do rzucenia gąbką w zamykające się drzwi. Potem sięgnęła po aparat telefoniczny, stojący na szafce obok wanny.

- Zandra? - zaszczębiotała radośnie, zanurzając się ponownie w bulgoczącej wodzie.

- Dina? - Głos o angielskim akcencie dobiegł niewyraźnie pośród kafeonii trzasków na linii.

Ledwo słyszała, więc jednak wyłączyła jacuzzi.

- Zandra? Gdzie jesteś, na Boga?

- Dzięki Bogu, Dina! Kochanie, gdybym cię nie zastała, nie wiem, do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić!

W głosie Zandry, na którym w równym stopniu odcisnęło piętno wykształcenie w prywatnych szkołach z internatem dla dzieci wyższych sfer, mieszkanie w Belgravii i pobyty w wiejskim domu w Oxfordshire, wyczuwało się panikę - coś niezwykłego!

Zaniepokojona Dina usiadła prosto; po jej sterzcących obojczykach spływała woda.

- Zandra! Co się stało?

- Och, Dino, nie ma teraz czasu, by zagłębiać się we wszystkie okropne szczegóły. Przeżyłam coś strasznego. Czy mogłabym... - mówiąca zawahała się. - Czy mogłabym przyjechać i zatrzymać się u ciebie na kilka dni?

- Przecież wiesz, że jesteś zawsze mile widzianym gościem. Stęskniłam się za tobą. - Dina urwała, na jej gładkim czole pojawiła się zmarszczka. - Zandra, czy masz jakieś... kłopoty?

- Dino, za długo trwałoby opowiedzenie wszystkiego... Dzwonię z automatu i... no cóż, obawiam się, że musi to trochę poczekać. Słuchaj, właśnie wylądowałam na lotnisku Kennedy'ego. Jeśli ruch będzie duży, dotarcie do centrum zajmie mi trochę czasu... Tak czy inaczej, jesteś pewna, że mogę przyjechać? Chodzi mi o to, że cię nie uprzedziłam odpowiednio wcześniej i złamałam wszelkie zasady dobrego wychowania, wpraszając się tak bezceremonialnie... Poza tym naprawdę nie chciałabym się narzucać...

- Ależ, złotko, wcale się nie narzucasz! - zapewniła ją pani Goldsmith. - Jestem zachwycona! Naprawdę! Słuchaj no, przyjeżdżaj prosto do mnie. Prawdopodobnie mnie nie zastaniesz, ale postaram się wrócić jak najwcześniej. Poinformuję służbę o twojej wizycie. Możesz się czuć jak u siebie w domu.

- Och, jesteś kochana... naprawdę uratowałaś mi życie! Już się nie mogę doczekać, kiedy się zobaczymy!

Dina zmarszczyła brwi, spojrzała na słuchawkę, którą trzymała w ręku, a potem odłożyła ją na stolik. Kiedy znów zanurzyła się teraz już w letniej wodzie, ogarnął ją niepokój. Z całą pewnością dosłyszała lęk w głosie Zandry, niemal... tak... histerię.

W zamyśleniu zmarszczyła czoło. Nieposkromiona, żywiołowa, ale zawsze opanowana Zandra ogarnięta paniką? To było zupełnie niepodobne do spokojnej dziewczyny, którą znała. Jednak nie miała cienia wątpliwości, że sobie tego nie wymyśliła.

O co, u diabła, zastanawiała się, mogło chodzić?

3.

Zandra von Hohenburg-Willemlöhe, hrabianka Grafburg, przenigdy nie chciałaby ponownie przeżywać ostatnich dwudziestu czterech godzin - przynajmniej jeśli miałyby coś do powiedzenia w tej sprawie. Nie sądziła, by jej nerwy jeszcze raz to wytrzymały. Teraz, kiedy przestało jej grozić bezpośrednie niebezpieczeństwo, poczuła się trochę pewniej. Ostatecznie była w Ameryce i pięć tysięcy kilometrów oceanu dzieliło ją od Anglii i wielkiego kłopotu.

- Mam na ciebie ochotę - powiedział idący obok niej młody biznesmen na tyle głośno, by usłyszała.

Kiedy okazane przez Zandrę lekceważenie nie ostudziło jego zapałów, obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Mam zasadę, żeby nigdy nie zadawać się z chłoptysiami - oświadczyła wystarczająco dobitnie, aby mężczyzna uśmiechnął się głupio, po czym przyspieszyła kroku. Duża torba na ramię objęła jej się o plecy.

Zandra von Hohenburg-Willemlöhe już dawno stała się specjalistką w dawaniu odprawy zaczepkom nieznajomych. Musiała. Przyciągała mężczyzn tak, jak nektar przyciąga pszczoły.

Dwudziestoosmioletnia Zandra miała twarz królowej piękności, którą kiedyś była, a figurę dziwki, którą z całą pewnością nie była. Miała przesłiczne, szeroko rozstawione oczy, jasnozielone jak u syreny, a usta duże, pełne i zmysłowo wypukłe.

Mierzyła metr osiemdziesiąt wzrostu, a jej cera - owa sławna porcelanowa karnacja, z której tak słyną Angielki - była jeszcze bardziej urocza dzięki rozkosznym piegom na czubku nosa. Ważyła pięćdziesiąt trzy kilogramy, a włosy, dokładnie barwy marmolady pomarańczowej Wilkin and Sons' z Tiptree, okalały jej głowę miękkim obłokiem niczym aureola.

Na kimś innym rozciągnięty, ręcznie dziergany sweter, zniszczona kurtka skórzana i obcisłe, spłowiałe džinsy, wsunięte w szkarłatne, stębnowane, używane buty kowbojskie Tony'ego Lamy prezentowałyby się zdecydowanie tandetnie, Zandra jednak wyglądała w tym stroju absolutnie oszałamiająco, ponieważ należała do owej niewielkiej garstki kobiet, które mogą włożyć cokolwiek, nawet worek, a i tak wyglądają niezwykle elegancko.

Co dziwniejsze, chociaż przyciągała wzrok mężczyzn, kobiety nigdy jej nie zazdrościły, ponieważ Zandra była zbyt prostolinijna i pełna życia i za bardzo kochała zabawę, by ktokolwiek poczuł się przytłoczony jej urodą. Jej beztroska *i joie de vivre* oraz szczery śmiech udzielały się innym i sprawiały, że wszystko, co robiła - bez względu na to, jak bardzo było szalone - wydawało się całkiem niewinne i absolutnie pozbawione złośliwości czy złej woli.

Jednak dwadzieścia cztery godziny wcześniej cała radość życia opuściła Zandrę i biedaczka jeszcze jej nie odzyskała.

Teraz, zdążając z tłumem pasażerów, kierujących się strzałkami z napisem DO PRZYSTANKU AUTOBUSOWEGO I POSTOJU TAKSÓWEK, błogosławiła w duchu Dinę Goldsmith. Gdyby nie dawna przyjaciółka, nie miałaby się gdzie ukryć - i co wtedy?

Wtedy znalazłabym się na łasce tych bandziorów, pomyślała ponuro.

Na owo wspomnienie wzdrygnęła się i znów poczuła ukłucie i pulsowanie krwi w zabandażowanej ranie na ramieniu.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, na niższym poziomie międzynarodowego terminalu przylotowego, zawahała się, przez chwilę rozważając, czy czekać na autobus czy też wykosztować się na taksówkę. Wiedziała, że ma niespełna sto dolarów, ale w tej chwili było to najmniejsze z jej zmartwień. Najważniejsze, że była bezpieczna, cała i zdrowa, nie licząc pokrytej bąblami rany na ramieniu.

Jak mało brakowało, by sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Bardzo mato...

* * *

Narodziny Anny Zandry Elisabeth Theresii Charlotte von Hohenburg-Willemlöhe, hrabianki Grafburg, w Londynie - dwa lata przed przyjściem na świat jej brata Rudolpha - nie były radosnym wydarzeniem.

Dla delikatnej matki Zandry urodzenie córki okazało się poważnym wyzwaniem, natomiast trudy związane z wydaniem na świat Rudolpha

okazały się ponad jej siły. Lavinia von Hohenburg-Willemlöhe zmarła podczas porodu i tylko dzięki ogromnym wysiłkom wielce doświadczonej ekipy chirurgów udało się uratować dziecko.

Ojciec Zandry, Stefan, zupełnie nie wiedział, co robić. Śmierć ukochanej małżonki oszołomiła go i załamała. Kiedy brali ślub, jego posiadłości w Czechosłowacji należały do największych w Europie, ale Rosjanie wszystko skonfiskowali. Śmierć żony i niespodziewane ubóstwo okazało się czymś, z czym nie potrafił sobie poradzić. W tej sytuacji dwuletnia córeczka i nowo narodzony syn, właściciele licznych i całkowicie nieprzydatnych tytułów, stanowili poważny problem.

Nic dziwnego, że zaczął szukać pocieszenia w butelce.

Na szczęście żyło wielu bogatych i utytułowanych krewnych, których majątki, znajdujące się na Zachodzie, nie tylko nie ucierpiały, ale jeszcze się powiększyły - jako że europejska arystokracja była zamkniętą kastą, zawierającą małżeństwa wyłącznie między sobą, Zandra mogła zaliczać do swych krewnych większość angielskich książąt i księżnych, jak również *comtes* i *comtesses* Francji. A dzięki swemu dziadkowi ze strony ojca była skoligacona z książęcym domem von und zu Engelwiesen, co oznaczało, że mała hrabianka stała się również potomkinią, nieistotne, jak odległą, władców Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

W rezultacie krewni zatroszczyli się o wszystko. Matka chrzestna Zandry, angielska księżna, zadbała o nianię dla dzieci; mąż ciotki Josephine, właściciel prywatnego banku w Londynie, zatrudnił coraz bardziej uzależnionego od alkoholu Stefana, a kuzyn Colin postarał się dlań o małe, ale darmowe mieszkanie w modnej dzielnicy Mayfair. Ale to ciotka Josephine wszystkim dyrygowała.

Kiedy dziewczynka miała sześć lat, lady Josephine powiedziała Stefanowi jasno i wyraźnie, do której straszliwie drogiej szkoły należy posłać córkę - koszty pokrywała oczywiście rodzina. I tak Zandra rozpoczęła edukację w najbardziej ekskluzywnej szkole tego typu w Anglii. To samo dotyczyło Rudolpha; dwa lata później posłano go do męskiego odpowiednika ekskluzywnej pensji dla dziewcząt, w której uczyła się siostra.

W miarę, jak Zandra dorastała, zaczynała rozumieć, że jest inna i nie pasuje ani do zwyczajnego świata ludzi prostych, ani do ustalonego na sposób bizantyjski świata bogatych i utytułowanych. Razem z Rudolphem tkwili gdzieś pośrodku, znajdowali się w swego rodzaju przechodni, a decyzja dotycząca ich przyszłości miała zostać podjęta, kiedy osiągną odpowiedni wiek. „Zupełnie jak dusze w czyśćcu” - często powtarzała sobie z westchnieniem Zandra, jako że wraz ze swym tytułem i błękitną krwią odziedziczyła wyznanie rzymskokatolickie.

Kiedy miała osiemnaście lat, zabrano ją do pałacu Buckingham i przedstawiono na dworze. Potem nastąpiło równie ważne wprowadzenie w świat. Ostatecznie była to wiekowa tradycja, wypróbowana i sprawdzona, właśnie w taki sposób ciotka Josephine poznała swego małżonka.

Ale jeśli ciotka myślała, że znalezienie odpowiedniego męża dla bratanicy będzie łatwe, czekało ją gorzkie rozczarowanie. Kiedy skończył się sezon balów, Zandra poznała całą gromadę odpowiednich kawalerów do wzięcia, jednak u każdego dostrzegła taką czy inną wadę. Zdesperowana lady Josephine załamywała ręce.

- Żebracy nie mogą grymasić! - żaliła się swym siostram, lady Cressidzie i lady Alexandrze - a nasza Zandra jest zdecydowanie zbyt wybredna. Szczególnie - dodawała ponuro - biorąc pod uwagę jej sytuację.

Siostry współczuły Josephine, a Cressida poklepała ją po dłoni.

- Najdroższa Josie, starałaś się jak mogłaś - powiedziała. - Nikt nie może ci zarzucić, że nie próbowałaś.

- Ale w tej sytuacji - ciągnęła Josephine - Zandra musi albo kontynuować naukę, albo pójść do pracy, chociaż jeden Pan Bóg wie, do czego się nadaje. - Westchnęła głęboko. - Przypuszczam, że sama będzie musiała zadecydować.

Zandra wybrała uniwersytet, podobnie jak dwa lata później Rudolph, który wyjechał do Oksfordu.

Od tamtej pory rzadko widywała się z młodszym bratem. W przeciwieństwie do lat spędzonych w szkole z internatem, kiedy z niecierpliwością czekała na miesiące letnie, które spędzali razem, teraz Rudolph sam planował sobie wakacje, najczęściej nie uwzględniając siostry.

Przyczyną owej zmiany w stosunkach między rodzeństwem było to, że Rudolph von Hohenburg-Willemlöhe odkrył największą ze wszystkich heteroseksualnych przyjemności - kobiety. Nie minęło dużo czasu, a jego nazwisko zaczęto łączyć z licznymi pięknosciami; odznaczał się takim urokiem i charyzmą, że przedstawicielki płci przeciwnej dosłownie jadły mu z ręki. Tymczasem Zandra zdecydowała się studiować historię sztuki, chociaż wcale nie była pewna, na co jej się to przyda.

A potem nastąpił konkurs piękności - wybory Miss Wielkiej Brytanii. Nawet nie myślała, aby się zgłosić, ale namówiła ją jedna z przyjaciółek.

- Posłuchaj, Zandro! - błagała ją - co masz do stracenia? Zresztą jeśli ja nie boję się wziąć udziału, dlaczego ty miałabyś się bać? Naprawdę, to świetna zabawa! No, bądź dobrą kumpelką!

I tak oto Zandra została uczestniczką konkursu piękności. Oczywiście traktowała to wyłącznie jako żart i nawet jej przez myśl nie przeszło, że mogłaby wygrać.

Kiedy otrzymała koronę Miss, nie mogła w to uwierzyć.

Podobnie, jak ciotka Josephine, z którą nie skonsultowano pomysłu udziału bratanicy w konkursie piękności, a która uważała za wielce nie stosowne, by potomkini księżąt Świętego Cesarstwa Rzymskiego robiła z siebie takie widowisko.

Tak czy inaczej, nastąpił krótki okres sławy, a potem Caracas i konkurs Miss Universum. Niestety, Zandra nawet nie przeszła przez wstępne eliminacje; zawarła jednak nowe przyjaźnie - szczególnie z Miss Holandii, Diną Van Vliet - po czym wróciła do Anglii, by dalej wieść takie życie, jak poprzednio.

Lecz ciotka Josephine nie myślała dalej finansować jej edukacji. „Umywam ręce, oświadczyła krótko starsza dama. Próbowalam znaleźć ci męża, ale nikogo nie chciałaś. Zajęłam się twoim wykształceniem, ale samowolnie z niego zrezygnowałaś. Od tej pory radź sobie sama.”

Nie mając innego wyjścia, Zandra zaczęła się rozglądać za jakimś zajęciem. Przemierzyła wzdłuż i wszerz ulice Londynu, odwiedzając agencje pośrednictwa pracy. Próbowala też szczęścia jako modelka, ale stwierdziła, że wszyscy chcieli, by się rozbierała i pozowała nago. Studia na historii sztuki i tytuł Miss Wielkiej Brytanii też nie okazały się pomocne. Jeśli chodzi o jej arystokratyczne pochodzenie, mogła za nie dostać jedynie filiżankę herbaty. Sprawy osiągnęły taki punkt, że nie wiedziała, co dalej robić.

I wtedy pojawił się młody biznesmen, niejaki Mark Brandon, wiceprezes firmy specjalizującej się w obsłudze specjalnych grup turystycznych zza oceanu.

- Przygotowaliśmy nową ofertę, „Królewskie wakacje” - powiedział Zandrze, kiedy ją poznał. - To grupy maksymalnie dwudziestoczerosobowe, które zatrzymują się w rozmaitych zamkach-hotelach, zwiedzają wiejskie posiadłości i ogrody; trzeba tych ludzi zabrać do Ascot i w ogóle sprawić, by czuli się, jakby wiedli życie bogatych i utytułowanych, o jakim w kraju mogą tylko marzyć.

Wyjaśnił jej, że aby zapewnić odpowiednią oprawę dla „Królewskich wakacji”, potrzebna mu, utytułowana dama, która witałaby turystów w ślicznie umeblowanym, miejskim domu przy Wilton Crescent, niedaleko Knightsbridge.

- Zajmie to około godziny dwa razy w tygodniu, podczas której trzeba byłoby popijać szampana, zabawiać naszych klientów rozmową i

pozować do pamiątkowych zdjęć - podsumował. - Potem będą mogli wrócić do domu i pokazywać znajomym swe fotografie z prawdziwą arystokratką.

W czasie obowiązywania kontraktu będzie mogła mieszkać w luksusowo umeblowanym domu; dostanie również stroje i biżuterię, wynajmą jej także lokaja.

- Będziemy ci płacić dwieście funtów tygodniowo. - Brandon uśmiechnął się szeroko. - Co ty na to?

Zandra zmarszczyła brwi, słysząc ton jego głosu.

- Muszę się z tym przespać - powiedziała.

Nazajutrz Rudolph nieświadomie podjął decyzję za nią. Przyszedł, by pożyczyć pieniądze.

- Jestem w trudnej sytuacji - oświadczył, starając się zachowywać nonszalancko, kiedy drżącymi rękami nalewał sobie coś do picia.

- Dobra - westchnęła. - Ile potrzebujesz tym razem?

Wlepił wzrok w podłogę, odchrząknął, kostki lodu w szklaneczce zagrzechotały.

- A ile... ile masz?

- Rudolph! - Gapiała się na niego zaskoczona.

- Widzisz, to... to dług karciany. - Brat unikał jej wzroku. - Muszę oddać, w przeciwnym razie ci faceci mogą się stać dość nieprzyjemni, sama rozumiesz. Nie chcielibyśmy tego, prawda? - Spojrzał na nią i zmusił się do uśmiechu, ale niezbyt mu to wyszło.

Więc Zandra zadzwoniła do Marka Brandona i przyjęła jego ofertę. Przeprowadziła się do wystawnie umeblowanego domu przy Wilton Crescent i dwa razy w tygodniu podejmowała grupy turystów.

Zachowywała się po królewsku, była w każdym calu arystokratką.

Turyści czuli się zachwyceni, ale ciotka Josephine nie. Kiedy starsza pani o wszystkim się dowiedziała, była przerażona. I to do tego stopnia, że kompletnie zmieniła front i zaczęła błagać bratanicę, by wróciła na uniwersytet.

Jednak Zandra nawet nie chciała o tym słyszeć!

- Lubię to, co robię - oświadczyła swej ciotce.

I nie kłamała. Cieszyła się swoją nowo odkrytą niezależnością i nie miała ochoty znów znaleźć się pod kuratelą lady Josephine ani korzystać z jałmużny rodziny. Nigdy więcej!

A potem zmarł ojciec. Jak było do przewidzenia, na marskość wątroby.

Niebawem zaczęły się prawdziwe kłopoty.

Ledwo zdążono pochować Stefana von Hohenburg-Willemlöhe, a Rudolph odwiedził wszystkie kluby gry, napomykając lekko, ile to odziedziczy milionów po uprawomocnieniu się testamentu. Właściciele klubów gry nastawili uszu; udzielono mu nieograniczonego kredytu i kłaniano się w pas.

Już pierwszego wieczoru młody człowiek przegrał kilkaset funtów; zwiększono mu kredyt. Po kilku tygodniach przegrane sumy urosły do tysięcy, po kilku miesiącach tysiące zwiększyły się do dziesiątek tysięcy. Zanim Rudolph się zorientował, jego długi łącznie z lichwiarskimi odsetkami osiągnęły kwotę kilkuset tysięcy funtów.

Właściciele klubów dyskretnie brali go na stronę.

- Adwokaci mówią, że lada dzień wszystko się wyjaśni - kłamał bez zająknięcia. - Testament nadal nie jest zatwierdzony, ale to tylko formalność. Czy do tego czasu nie mógłbym pożyczyć kilka tysięcy funtów...

Prolongowano mu kredyty.

A potem, nieuchronnie, wszystko się skończyło. Młodemu hrabiemu dano siedem dni na oddanie długów.

Oczywiście nie zapłacił - bo z czego? A kiedy minął tydzień, wracając do domu bladym świtem ujrzał w ogrodzie przed drzwiami trzech krzepkich mężczyzn wyłaniających się z mroku.

W blasku latarni Rudolph dostrzegł błysk mosiężnych kastetów. Bez zastanowienia padł na ziemię, przeturlał po rosnącym wokół bluszczu i zerwał na nogi. Raczej poczuł, niż zobaczył czwartego mężczyznę z лыżką do opon w ręku, blokującą otwartą furtkę na ulicę.

Z niemal nadludzką siłą skoczył na wysoki mur otaczający ogród od frontu, wdrapał się i zeskoczył po drugiej stronie. Uratował go tylko szybki refleks - i łut szczęścia. Ale zrobiło się gorąco. Za gorąco.

Zandra dowiedziała się o całej sprawie, kiedy o wpół do piątej nad ranem obudził ją ostry dzwonek telefonu.

- Słuchaj i na miłość boską nie przerywaj mi! - rozległ się w słuchawce głos brata. Dzwonił z jakiejś budki.

Opowiedział jej wszystko.

- Rudolphie, musisz się zgłosić na policję - oświadczyła mu, sama się dziwiąc, skąd się w niej wzięło tyle rozsądku.

- Policja mi nie pomoże. - Roześmiał się krótko, drwiąco. - Tylko by pogorszyli sprawę!

- Rudolphie, gdzie jesteś? - Kiedy nie odpowiedział, powtórzyła pytanie. - Skąd dzwonisz?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała, Zands... - Słyszała, jak przełknął ślinę. - Muszę się ukryć, więc się nie martw, jeśli przez jakiś czas nie będziesz

miała ode mnie wiadomości. - Zrobił przerwę. - Muszę kończyć - dodał szybko i odłożył słuchawkę.

Trzydzieści godzin później przyjechał autobus pełen turystów. Zandra nie wiedziała, jak udało jej się normalnie funkcjonować. Poruszała się jak automat, witała gości, gawędziła, zdobyła się nawet na promienny uśmiech, kiedy robiono jej zdjęcia z gospodyniami domowymi z Brentwood, emerytami z Jacksonville, kupcami i ich żonami z Topeka.

Ale czuła się tak, jakby ich tam wcale nie było. Rudolph. Mogła myśleć tylko o swym bracie. Gdzie teraz jest? - niepokoila się, wykonując automatyczne ruchy. Czy jest bezpieczny? A jeśli tak, jak kiedykolwiek wypłacie się z tego wszystkiego?

Zanim turyści odjechali, rozległ się dzwonek u drzwi i lokaj - bezrobotny aktor charakterystyczny - poszedł otworzyć. Stał bezradnie, kiedy trzech nieokrzesanych mężczyzn w krzykliwych garniturach wtargnęło do środka i skierowało się do salonu.

Jeden wyrwał z ręki jakiegoś turysty kieliszek z szampanem, opróżnił go i cisnął do kominka. Kryształ Waterforda rozbił się w drobny mak.

Drugi rzucił się na kanapę i bezczelnie położył obute nogi na kolanach wypchnionej matrony.

Trzeci zapalił cygaro i założywszy ręce z tyłu obszedł wolno pokój, jakby dokonywał inwentaryzacji. W końcu wyjął cygaro z ust i z rozmysłem strząsnął popiół na dywan Wiltona, po czym roztarł go obcasem.

- Ty jesteś hrabianka? - spytał Zandrę z afektowanym uśmiechem na ospowatej twarzy.

- Tak, jestem Zandra von Hohenburg-Willemlöhe, hrabianka Grafburg. - Głos miała spokojny, ale oczy błyszczały jej gniewnie. - Proszę poczekać w holu, zaraz do pana wyjdę, kimkolwiek pan jest.

Nawet się nie poruszył.

- Bardzo dobrze wiesz, kim jesteśmy. Przyszliśmy, żeby odszukać twojego cholernego brata. - Zbliżył się do niej, wziął cygaro do ust, zaciągnął się dymem i spojrzał na dziewczynę zimnymi, stalowymi oczami. - Przypuszczamy, że możesz wiedzieć, gdzie jest. - Wypuścił chmurę dymu prosto w twarz Zandry.

Na jej policzkach pojawiły się purpurowe rumieńce, ale nie dała się zastraszyć. Zwracając się do turystów z wrodzoną godnością, powiedziała:

- Przepraszam za to zajście. Naprawdę bardzo mi było miło poznać państwa.

Unikając jej wzroku, cicho odstawili kieliszki, zabrali swoje płaszcze i torebki i wyszli *en masse*.

- Przytulne gniazdko - powiedział zbir z cygarem, gdy tylko wyszli turyści i lokaj. Uśmiechnął się szeroko. - Sam z chęcią bym tu trochę pomieszkał. Czemu sobie utrudniasz życie? Powiedz nam, gdzie się ukrywa facet, który nazywa siebie twoim bratem.

Zandra spojrzała na niego.

- Jak mogę powiedzieć, kiedy nie wiem?

- Szkoda.

Nagle całą uwagę skupił na cygarze; obracał nim w jedną i drugą stronę między kciukiem i palcem wskazującym i delikatnie dmuchał na żarzący się koniec. W końcu spojrzeł na nią.

- Ale dzwonił do ciebie, prawda? - W jego tonie słychać było groźbę.

- Owszem, telefonował dziś rano - przyznała Zandra. Nie mogła odebrać wzroku od cygara. Dławiący strach ogarniał ją ze wszystkich stron. - Ale nie chciał mi nic powiedzieć. Naprawdę nie wiem, gdzie jest!

- Czyżby? Chyba się nie spodziewasz, że w to uwierzemy.

- Wiercie, w co chcecie. - Spojrzała mu prosto w twarz. - Jeśli chcecie znać prawdę - dodała z pogardą - nie pomogłabym wam nawet, gdybym coś wiedziała.

Szybki jak kobra, chwycił ją stalową ręką za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

- To się jeszcze okaże - rzucił Zandrze prosto w twarz.

Wolno, z rozmysłem, zbliżył płonący koniec cygara do jej gołego ramienia. Biło od niego ciepło i mimo woli napięła mięśnie.

- No, czemu sobie tak utrudniasz życie? - spytał, patrząc na nią oczami zimnymi jak stal. - Musisz nam jedynie powiedzieć, gdzie jest.

- Już powiedziałam!

Cmoknął z dezaprobatą i bliżej przysunął cygaro do ręki Zandry. Źrenice jej się powiększyły, kiedy jak zafascynowana wpatrywała się w żarzący się punkcik.

- Cholera! - szepnęła. - Co was przekona, że mówię prawdę?

- Może to? - Uśmiechając się zgasił cygaro na jej ramieniu.

Poczuła przeraźliwy ból, do oczu napłynęły jej łzy i całym wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie krzyknąć.

Powtórzył to jeszcze dwa razy, za każdym razem od nowa zapalając cygaro i gasząc je w tym samym miejscu, tak że wielka, pokryta bąblami rana natychmiast spuchła. Jednak Zandra jakoś znalazła dość sił, by nie dać łotrowi tej satysfakcji i nie krzyknąć z bólu.

Kiedy stało się oczywiste, że naprawdę nie ma nic do powiedzenia, jeden z mężczyzn obszedł całe mieszkanie, metodycznie wrywając

wszystkie przewody telefoniczne i oszczędzając tylko ten, który był w salonie. Potem oprawca Zandry zaprowadził ją na górę do sypialni.

- Gdyby twój brat miał choćby w połowie tyle ikry, co ty - powiedział - nie musielibyśmy ci robić krzywdy.

Zmiażdżyła go spojrzeniem.

- Gdybyś ty miał choćby w połowie tyle ikry, co ja - odparła - nie zajmowałbyś się torturowaniem kobiet! - Powiedziawszy to weszła do sypialni i zatrzasnęła mu drzwi przed samym nosem.

Słyszała, jak mężczyzna przekręca klucz w zamku. Potem przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała, jak cichną odgłosy jego kroków.

Nie tracąc ani chwili, zaczęła działać. Najpierw zdjęła swoją „hrabiowską” toaletę, opatrzyła poparzone ramię, wciągnęła dżinsy, sweter i znoszoną, skórzaną kurtkę.

Potem pogrzebała w szufladzie toaletki, gdzie pod stosem bielizny trzymała paszport i prawie trzysta funtów w gotówce. Następnie wrzuciła do wielkiej torby na ramię najniezbędniejsze rzeczy. W końcu cicho otworzyła okno. W zasięgu ręki miała grubą gałąź starego wiązu rosnącego w ogródku.

Wyrzuciła przez okno buty i torbę, a potem odczekała parę minut, by się przekonać, czy napastnicy niczego nie usłyszeli. Kiedy nabrała przekonania, że nie, wzięła głęboki oddech i uchwyciła się gałęzi.

Szybko zsunęła się na ziemię i zniknęła niezauważona.

Nim odkryli jej ucieczkę, była już na lotnisku Heathrow z kartą pokładową w ręce.

Ale dopiero kiedy odrzutowiec British Airways znalazł się nad Atlantykiem, Zandra w końcu odetchnęła z ulgą.

* * *

Zajmując teraz miejsce w autobusie jadącym na Manhattan, w duchu przeklęła przyczynę swych kłopotów.

Rudolph von Hohenburg-Willemlöhe, jej brat-hrabia.

Dobry sobie hrabia.

Już prędzej skończony palant!

4.

MacKenzie Turner, mając na nogach różowo-biało-niebieskie skórzane reeboki (w dolnej szufladzie biurka trzymała parę czarnych czółenek na niskim obcasie), starała się nadrobić stracony czas, idąc szybkim krokiem do pracy. Pedantka na punkcie punktualności, chętnie podwoiłaby tempo, ale gdyby zaczęła biec, wpadłaby do pokoju spocona jak ruda mysz - a absolutnie nie mogła pojawić się w szacownych murach Burghleya zziązana i zlana potem.

- Niech cię wszyscy diabli, cholerny Charleyu Ferraro! - mamrotała wściekła pod nosem, a skórzana torba na ramię obijała się jej o biodro przy każdym szybkim kroku. Nigdy się nie spóźniała - nigdy!

Na rogu Madison i Siedemdziesiątej Piątej złapało ją czerwone światło. Kenzie widziała już miejsce swojej pracy, odległe o jedną przecznicę. Burghley - niemalże muzeum, gdzie handlowano sztuką. Kiedy spoglądała na majestatyczny gmach, nagle ogarnął ją lęk, jakby była schwytanym w sieci ptakiem, rozpaczliwie próbującym się uwolnić. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, co przyniesie ten dzień.

Zmiana właściciela.

Co to oznacza? Czy będą redukcje? Czy szykują wymówienia? Czy zostanie zaostrzona dyscyplina?

Wyprostowała ramiona i stwierdziła, że na nic się zdadzą domysły. Wkrótce wszystkiego się dowie.

* * *

Burghley zajmował cały kwartał, mieścił się w samym sercu jednej z najbardziej luksusowych dzielnic handlowych na świecie, po wschodniej stronie Madison Avenue, między Siedemdziesiątą Trzecią i Siedemdziesiątą

Czwartą Ulicą. Zajmował pięciopiętrowy budynek, neorenesansowy pałac z białego marmuru, godny samego komandora Vanderbilta.

Była tylko jedna zasadnicza różnica.

U Burghleya nawet prawo własności do przestrzeni powietrznej nad budynkiem przynosiło wielką forszę. Nad stromymi, miedzianymi dachami wznosiły się dwie bliźniacze wieże - dwa trzydziestoczeropiętrowe wieżowce mieszkalne, nazwane, całkiem trafnie, Auction Towers - zbudowane i administrowane przez Międzynarodowy Oddział Luksusowych Nieruchomości Burghleya, w reklamach zamiast adresu wykorzystujący slogan: „Gdzie życie naśladuje sztukę.”

Do Auction Towers prowadziło osobne wejście z Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Wieżowce miały własnych pracowników ochrony, podziemny strzeżony garaż i całodobową obsługę.

Wejście do właściwego domu aukcyjnego znajdowało się jednak, jak przystało, od strony Madison Avenue. Dwoje okazałych drzwi z rytego szkła sięgało niemal do wysokości pierwszego piętra, gdzie biegł wypukły fryz - kopia z weneckiego Pałacu Dożów.

BURGHLEY ROK ZAŁOŻENIA 1719

Tablica była mosiężna, dyskretna, wypolerowana; niepotrzebne wielkie litery, by rozślawiać na wszystkie strony tę znaną w świecie sztuki instytucję. Ale wzdłuż chodnika, w cofniętych witrynach znajdujących się na wysokości oczu, umieszczano oświetlone od tyłu, powiększone slajdy przedmiotów wystawianych na najbliższych aukcjach - spryskiwacz do wody różanej Beykoz, jakiś Renoir, połączany samowar, lampa Tiffany'ego.

Dziś, ponieważ nie było czasu, Kenzie tylko przelotnie rzuciła okiem na zdjęcia. Nawet umundurowany odźwierny, cały wypucowany, z którym zazwyczaj zamieniała kilka uprzejmych uwag, popatrzył zaskoczony, gdy błyskawicznie go minęła, sama otwierając ciężkie, szklane drzwi, zanim zdołał to zrobić

W środku skinęła ręką uzbrojonym strażnikom, stojącym w przestronnym holu, i szybko skierowała się do szerokich schodów, właściwie wbiegając po nich do galerii na pierwszym piętrze. Skróciła sobie drogę, przechodząc przez starannie oświetloną ekspozycję mebli, zegarów i ozdobnych bibelotów francuskich i kontynentalnych, które miały trafić na aukcję następnego dnia.

Był to zbiór prawdziwych skarbów, na widok których oczy wychodziły

na wierzch, a myśli mąciły się w głowie; znajdowały się tu marmurowe kadzielniczki, chenety z połączanego brązu, mahoniowe gerydony, połączone konsole, królewskie sekretarzyki, biurka i komody oraz więcej krzeseł, niż można by zliczyć - co wydawało się tym bardziej zdumiewające, że aukcje tego czy innego rodzaju odbywały się co dwa tygodnie, tak więc posiadając dość pieniędzy, klient mógłby za jednym zamachem urządzić cały pałac.

Kenzie pchnęła metalowe drzwi z tabliczką TYLKO DLA PERSONE-LU i znalazła się na „zapleczu” - takiego określenia używali pracownicy dla tej części Burghleya, gdzie nie wpuszczano osób postronnych. Wbiegła po betonowych schodach pożarowych, przeskakując po dwa stopnie na raz, i pośpieszyła wąskim, wyłożonym dywanem korytarzem do ma-lutkiego pomieszczenia, znajdującego się na tyłach budynku.

Biegnąc spojrzała na zegarek i zakłęła w duchu: O, cholera! Spóźniła się! Dokładnie czterdzieści dwie minuty - i to akurat dziś, kiedy mógł się pojawić nowy główny udziałowiec firmy!

Wpadła zziązana do pozbawionej okien kłitki cztery na cztery metry, którą dzieliła z dwoma innymi pracownikami działu obrazów i rysunków starych mistrzów. Było tu akurat tyle miejsca, by zmieściły się trzy szare, metalowe biurka, wszystkie uginające się pod stosami katalogów i książek. Przed każdym znajdowała się podświetlana tablica, podobna do tych, jakich używali lekarze do oglądania zdjęć rentgenowskich - w tym wypadku służyły do badania powiększonych przezroczy przedmiotów, których pochodzenie czy wartość należało ustalić.

Kenzie przede wszystkim zauważyła, że jej przyjaciel Arnold Li siedzi za swym biurkiem, natomiast jej gębicielka, Bambi Parker, była nie-obecna.

- Więc jednak! - powitał ją Arnold z wyraźnym chińskim akcentem. Uśmiechając się do Kenzie, odwrócił się na krzesło obrotowym. - Pojawiła się córka marnotrawna!

- Ale się spóźniła, cholera! - zawołała, schylając się do dolnej szuflady biurka, by wyciągnąć skórzane czółenka. - Spóźniła się!

- Spóźniła się? - Arnold, szczupły, przystojny eurazjata, miał ojca Chińczyka i białą matkę. Był wesoły i bardzo bystry. Uśmiechnął się szelmowsko, unosząc jedną brew. - Za długo się kochałaś?

- Och, daj spokój! - warknęła rozzłoszczona. - O, cholera! - jęknęła, opadła na krzesło i z przerażeniem spoglądała na jeden pantofel. Powtarzała przekleństwo, za każdym razem podkreślając je walnięciem buta w biurko. - Cholera! - Bum. - Cholera! - Bum.

- Ejże! - zdziwił się przyjaciel, wracając do nieskazitelnej angielszczyzny. - Co się stało?

- To. - Niechętnie podniosła pantofel. - Zapomniałam, że wczoraj złamał mi się obcas! I co teraz zrobić? - jęknęła.

- Złam drugi - poradził spokojnie mężczyzna. - Wtedy będą do pary. Buty na płaskim obcasie to ostatni krzyk mody, nie słyszałaś?

- Czy masz pojęcie, ile... ile one kosztowały? - wymamrotała ze złością.

Spojrzał na jej stopy.

- W takim razie musisz zostać w adidasach.

- Wiesz, że nie mogę. „Panno Turner, czy zapomniała pani?” - Doskonale naśladowała głos panny Botkin, sekretarki Sheldona D. Faireya.

- „Tenisówki mogą być odpowiednim obuwiem na boisku, ale tutaj, u Burghleya, są wysoce niestosowne - a nawet ubliżają temu miejscu!”

Arnold zaczął się śmiać, ale Kenzie tylko spoglądała ponuro na pantofle z obcasem. Po chwili wahania i specjalnie odwracając głowę, wyciągnęła rękę z butem.

- Masz! - powiedziała nie patrząc. - Ty go złam, mnie nie starczy odwagi.

Przyjaciel wziął pantofel, a ona zajęła się rozwiązywaniem sznurowadeł. Drgnęła słysząc ostry trzask.

- Gotowe. - Arnold wstał i skłoniwszy się położył pantofel na jej biurku. - Jeśli pasuje, proszę nosić.

- Bardzo śmieszne! - Patrząc spode łba, wsunęła nogi w coś, co do tej pory było jej najlepszą parą butów, na którą beztrósco wydała całą tygodniową wypłatę. - Co ci tak wesoło? - burknęła.

- A dlaczego mam być smutny? - spytał.

- No cóż... czy nie powinniśmy ustawić się w szeregu i powitać nowego właściciela lub coś w tym rodzaju?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Znów usiadł i spokojnie odwinął śniadanie. - Uspokój się. - Odgryzł kawałek bułki. - Wiem, że jedyną osobą, która zamierza nam złożyć wizytę, jest Jej Królewska Wysokość.

- Jej Królewska Wysokość! - Kenzie gwałtownie odwróciła głowę. - To znaczy kto? Królowa Elżbieta? Królowa Sirikit? Królowa Beatrycze? Królowa Noor?

Rzucił jej przeciągłe spojrzenie.

- Dla odmiany księżna Goldsmith.

- Ho-ho! - Kenzie nagle zmarszczyła brwi i wskazała palcem trzecie biurko w zagraconym pokoju. - A gdzie jest, jeśli można spytać, nasza droga koleżanka?

- Skąd mam wiedzieć? - Arnold wzruszył ramionami. - A zresztą, co cię to obchodzi? Myślałem, że się ucieszysz, że Bambi nie ma.

- Nie o to chodzi. - Umilkła i zamyśliła się na chwilę, a potem spojrziała na Arnolda i powiedziała wolno: - Uważam tylko, że to wielce niezwykłe, iż jej nie ma... akurat dzisiaj. Przecież wiesz, jak lubi się podlizywać.

- Nie! - Mężczyzna z udawanym niedowierzaniem usiadł prosto w fotelu, aż zapiszczało pokrycie ze sztucznej skóry. - Chyba nie mówisz poważnie! Nasza Bambi Parker?

Kenzie znów spojrziała na puste biurko.

- Nie, żeby mi specjalnie zależało na tej wiedzy - stwierdziła - ale ciekawe, gdzie też może być nasza wzorowa panna Parker?

* * *

- Rety! - szepnęła ze zdumieniem Bambi Parker. - Rety! Już zrobił się twardy!

Zgrabnie rozpięła rozporek spodni Roberta A. Goldsmitha, poszukała rozcięcia w jego workowatych, jedwabnych bokserkach, a potem wsunęła rękę między dwa kliny materiału.

Żeby miała łatwiejszy dostęp, spasiony jak wieprz mężczyzna zsunął się niżej na welurowym fotelu mysiego koloru. Znajdowali się na tylnym siedzeniu jego czarnego cadillaca z lustrzanymi szybami o przezornie zasuniętych zasłonkach i z hermetyczną przegrodą dźwiękoszczelną, odgradzającą ich od świata zewnętrznego.

- Po prostu jedź - polecił Goldsmith swemu szoferowi i ochroniarzowi w jednej osobie, kiedy Bambi wsiadła do limuzyny. - Możesz okrążyć ten cholerny kwartał.

I właśnie to robili - jeździli wokół Burghleya, zatrzymując się na każdym rogu na czerwonych światłach.

Bambi wsunęła się między rosunięte nogi Goldsmitha i uklękła na welurowej wykładzinie, ledwo zdając sobie sprawę z tego, że auto jedzie.

Zgrabnie wyciągnęła mu członek z bokserek. Był bardzo nabrzmiały, bardzo czerwony i, niestety, bardzo krótki. Wyglądał jak muchomor z pierścieniem, przypominał jej jeden z tych holenderskich portretów dam z szyjami w koronkowych kryzach. Ten, kto dawno temu wykonał zabieg obrzezania, z pewnością spartaczył swoją robotę.

- Mniam-mniam! - mruknęła, oblizując usta i udając podniecenie.

- Tylko nie pobrudź mi spodni szminką! - burknął mężczyzna.

- Nie martw się. - Już ścierała z ust szminkę Estée Lauder.

Wsunęła zwiniętą chusteczkę pod siedzenie i wzięła się do roboty.

Nowy właściciel Burghleya zamknął oczy i siedział bez ruchu, zadowolony, że rozparty wygodnie, może się rozkoszować przejażdżką.

Bambi Parker dokładnie wiedziała, który guzik nacisnąć. Po trzech tygodniach niemal codziennych spotkań stała się ekspertką od upodobań seksualnych Roberta A. Goldsmitha.

Poznali się, kiedy negocjował zakup nobliwego domu aukcyjnego, i Sheldon D. Fairey, prezes, dyrektor i główny aukcjoner Burghleya, przyjmował z honorami potencjalnego nowego właściciela. Podczas obchodu firmy obaj mężczyźni zatrzymali się w głównej galerii wystawowej, by przyjrzeć się przygotowaniom do wystawy malarstwa dawnych mistrzów, nadzorowanej przez Bambi Parker.

Nadzwyczaj spostrzegawcza, a także przewidująca, Bambi natychmiast kątem oka dostrzegła miliardera i wiedząc, kiedy trafia się jedyna okazja w życiu, skwapliwie z niej skorzystała. Udając, że sprawdza, czy portret Romneya nie wisi krzywo (choć wisi idealnie prosto), zrobiła jeden krok do tyłu, potem jeszcze jeden, i jeszcze, aż tu - bum! - "przypadkiem" wpadła na swą ofiarę.

- Och! - wydała piskliwy okrzyk, a oczy zrobiły jej się wielkie z udawanego przerażenia. Jedną dłonią zasłoniła usta i odwracając się szepnęła głosikiem małej dziewczynki: - Rety, najmocniej przepraszam!

Robert A. Goldsmith nie był ślepy - zobaczył, iż w jego życiu pojawia się dwudziestocześcioletnia, najprawdziwsza lalka Barbie: wysoka, prześliczna, wypielegnowana. Bambi Parker miała wszystko tak idealne, jakby było sztuczne - cerę, twarz, figurę, nawet zęby, które zawdzięczały swą śnieżną biel laminowaniu - i w tak niezwykły sposób trzepotała długimi złotymi rzęsami, zanim skromnie spuściła oczy.

Była urzeczywistnieniem marzeń Roberta A. Goldsmitha: jasnowłosą, niebieskooką, zgrabną *sziksą*.

Nie odrywali od siebie wzroku przez pełne piętnaście sekund.

Podczas gdy Robert A. Goldsmith zobaczył żywą lalkę Barbie, Bambi Parker ujrzała grubasa powłóczącego nogami, noszącego buty rozmiar 12; mężczyznę, którego wyglądu lepiej nie opisywać. Ale nieważne. Miał coś, z czym nie mogli konkurować wszyscy najpiękniejsi modele świata - władzę.

Porozumieli się bez słów i Robert A. Goldsmith, który nie odróżniał Leroya Niemana od Nattiera - i było mu to całkowicie obojętne - nagle ogromnie zainteresował się starymi mistrzami. Dyplomatycznie pozbył

się Sheldona D. Faireya proponując, by Bambi (wtedy jeszcze panna Parker) „jako ekspert w tej dziedzinie” wystąpiła w roli jego osobistej przewodniczki po tej konkretnej ekspozycji.

Sheldon D. Fairey nie miał zamiaru sprzeciwić się człowiekowi, który - jak słusznie się domyślał - wkrótce zostanie jego szefem - i przezornie się ulotnił. Gdy tylko zniknął, Robert A. Goldsmith uśmiechnął się oblesnie do Bambi i powiedział:

- Coś mi się zdaje, że dużo mnie pani nauczy, panienko.

A Bambi, chichocząc, krygując się i trzepocząc rzęsami zaszczebiotała:

- A mnie się zdaje, że pan będzie wspaniałym uczniem!

Nie minęło dużo czasu, a znaleźli się na tylnym siedzeniu jego cadilla-ca, gdzie po raz pierwszy zaprezentowała swe umiejętności.

Teraz, trzymając penis Goldsmitha w ręku, Bambi figlarnie przesuwała językiem po bulwiastym zakończeniu, a potem objęła ustami cały członek i jej głowa zaczęła się poruszać w górę i w dół, w górę i w dół. Mężczyzna wyprężył się, wydał zduszony jęk, jego penis drgnął, a po chwili nastąpił pełny wytrysk.

Nie można powiedzieć, że wstrząsnęło nią to do głębi. Bambi odwróciła głowę, by ukryć grymas, wyciągnęła spod siedzenia chusteczkę higieniczną i dyskretnie wypluła w nią spernę.

Goldsmith przez chwilę siedział, oddychając ciężko, wciąż z zamkniętymi oczami. Bambi wykorzystała ten czas, by poprawić makijaż i wkrótce jej twarz znów się mieniła całą paletą barw - od spalonych oranżów, przez ostrą paprykę do jaskrawej czerwieni. Potem podciągnęła mu bokserki i spodnie, zapięła rozporek i pasek.

- Pamiętaj. Robercie - powiedziała. - Jestem zawsze na twoje skinienie. Zawsze - powtórzyła, rzucając mu znaczące spojrzenie.

Kiedy wysiadła z samochodu, nachyliła się, uśmiechnęła i pomachała ręką, jak małe dziecko.

- Pa, pa! - szepnęła swym słodkim głosikiem.

Goldsmith obojętnie kiwnął głową, już naciskając guziki, które rozsuwały zasłonki i opuszczały przegrodę z matowego szkła za oparcie fotela kierowcy.

- Do biura! - rzucił krótko szoferowi-ochroniarzowi, byłemu bokserowi, o czym świadczył jego spłaszczony nos.

Podczas jazdy Wall Street Robert A. Goldsmith otworzył teczkę, wyciągnął sprawozdanie dotyczące finansów domów towarowych GoldMart w trzecim kwartale, lecz zanim zaczął je analizować, przez chwilę pomyślał o Bambi Parker.

Może nie należał do osób okazujących uczucia, ale prawdę mówiąc seks był mu niezbędny, jak wszystkim mężczyznom. A nie znał niczego, absolutnie niczego lepszego pod słońcem, niż obciążanie pały, by właściwie rozpocząć dzień - szczególnie, jeśli robiła to jasnowłosa była debutantka Locust Valley/Piping Rock Country Club, specjalistka od minety.

Ale co z oczu, to i z serca.

Zajął się sprawozdaniem.

* * *

- Pani Turner!

Głos był cienki, ale jego właściciel - zasuszony dżentelmen, który wsunął głowę przez uchylone drzwi, wydawał się jeszcze cieńszy.

- Jeśli można, chciałbym dziś po południu skorzystać z pani ekspertyzy!

- Pan Spotts! - wykrzyknęli chórem Kenzie i Arnold, odsuwając jednocześnie fotele od biurka i zrywając się na równe nogi.

- Wrócił pan! - zawołała dziewczyna i serce zabiło jej mocniej, a tymczasem Arnold otworzył drzwi na całą szerokość. Wszyscy troje objęli się serdecznie.

Pan Spotts pocałował Kenzie w czoło, a Arnoldowi zmierzwił włosy ojcowskim gestem. Potem, spoglądając na nich znad okularów umieszczonych na samym czubku nosa, powiedział:

- Tak, wróciłem. Przynajmniej na razie, moi drodzy, na razie... - Zasłonił usta dłonią i odchrząknął. - Ale o tym możemy porozmawiać później.

Kenzie musiała podnieść głowę, by na niego spojrzeć, tak wysoki był A. Dietrich Spotts. Poza tym wyglądał również na bardzo kruchego, a z powodu osteoporozy mocno się garbił. Oczy miał barwy topazu, był łysy, nie licząc kilku cienkich, długich kosmyków siwych włosów, które zaczesywał do tyłu, a jego skóra wydawała się przezroczysta, jak to się często spotyka u osób w podeszłym wieku. Jak zawsze nieskazitelnie ubrany, dziś nosił szyty na miarę garnitur z ciemnoszarej wełny, białą, bawełnianą koszulę w jasnoszare prążki, pięknie zawiązany, jedwabny krawat w małe wieże szachowe i identyczną chusteczkę w butonierce.

Przez chwilę stali, zadowoleni ze spotkania. Pomimo dużej różnicy wieku świetnie im się razem pracowało.

- Przynajmniej teraz, kiedy pan tu jest, wszystko wróci do normy! -

powiedziała uradowana Kenzie, jeszcze raz czule obejmując starszego pana.

- No więc? - spytał Arnold. - Co mówią lekarze?

Pan Spotts cmoknął.

- Mam dwie wiadomości: dobrą i złą. Dobra, to że według lapiduchów jeszcze trochę pożyję.

- To czemu ta ponura mina? - zdziwiła się Kenzie. - A jaka jest ta zła?

- Zła... - zaczął pan Spotts i westchnął cicho. - A nawet bardzo zła!

- To znaczy? - Zaniepokojona, wymieniła spojrzenia z Arnoldem.

Pan Spotts westchnął, strzepnął z rękawa nitkę i ścisnął dwoma palcami nos, jakby chciał powstrzymać falę bólu.

- Nie mogę dłużej pracować - oznajmił cicho.

Obydwoje młodzi patrzyli na niego, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Jak to, nie może pan pracować? - spytał Arnold, kiedy w końcu odzyskał mowę.

- Te cholerne konowały nalegają, bym dał sobie spokój. Mówią, że muszę odejść na emeryturę i cieszyć się życiem. Dobre sobie! - Kiwnął głową, trzęsąc się z oburzenia. - Jak mogę czymś się cieszyć na emeryturze, kiedy jedyne, co mnie trzyma przy życiu, to sztuka? Możecie mi wytłumaczyć?

- Och, panie Spotts! - jęknęła Kenzie, wyraźnie strapiona.

Kierownik uniósł powykręcaną, bladą dłoń.

- Dość o tym. Ostatnią rzeczą, o której mam ochotę teraz dyskutować, to moje problemy kardiologiczne. Panno Turner, księżę Karl-Heinz von und zu Engelwiesen, jeden z naszych najbardziej cenionych klientów, zaprosił mnie dziś wieczorem na przyjęcie. W przeszłości zawsze osobiście się nim zajmowałem, więc nie przypuszczam, by miała pani okazję go poznać.

Kenzie potrząsnęła głową.

- Widziałam jego zdjęcia w gazetach, ale to wszystko.

- W takim razie tym bardziej powinienem mu panią przedstawić. Jeśli ma pani dziś wolny wieczór, będę niezwykle rad, gdyby mogła mi pani towarzyszyć.

- Zaprasza mnie pan na randkę? Och, panie Spotts! Jak cudownie!

- To nie randka - poprawił ją, patrząc poważnie znad okularów. - To jedna z tych okropnych imprez towarzyskich, których staram się za wszelką cenę unikać. Jednakże w tym wypadku... - Wzruszył wymownie ramionami.

- Pójdę z największą radością - zapewniła go Kenzie.
- Dobrze. Aha, i proszę włożyć coś ekstra, wymagane są wieczorowe stroje. Pomówimy o tym jeszcze. Jeśli jesteście obydwójecie wolni, może zjemy we trójkę lunch? - Spojrzał pytająco na Kenzie i Arnolda.

- Oczywiście! - wykrzyknęła entuzjastycznie.

- Świetnie! - dodał Arnold.

- Wspaniale. Ja funduję.

Szef uniósł drżącą dłoń, skinął im na pożegnanie i wyszedł. Sądząc po tym, jak powłócząc nogami szedł do swego gabinetu, nie uległo wątpliwości, że zamierza opróżnić biurko.

- Biedny pan Spotts - odezwała się współczująco Kenzie, wolno siadając w fotelu. Odwróciła się w stronę Arnolda. - Emerytura go zabije - powiedziała cicho. - Wiesz o tym.

- Aż nadto dobrze - odrzekł. - Dla niego Burghley zawsze był domem. Gdyby mu pozwolili, jadłby tu i spał.

- To dziwne, ale naprawdę nie potrafię sobie wyobrazić tego miejsca bez niego.

- Nie ty jedna.

Była to prawda. A. Dietrich Spotts był instytucją - jedyną osobą w oddziale w Nowym Jorku, która pracowała tu od chwili otwarcia filii, to znaczy prawie czterdzieści dwa lata. Od ponad trzech dziesięcioleci kierował działem obrazów i rysunków starych mistrzów i ani Kenzie, ani Arnoldowi nie trzeba było tłumaczyć, że bez niego nic nie będzie tak, jak dawniej.

- Cześć wam! - rozległ się beztroski, cieniutki szczebiot, od którego aż cierpły zęby. Do pokoju wbiegła Bambi Parker i rzuciła na biurko swoją torbę od Bottegi Venety.

Mrucząc pod nosem „cześć” oboje pośpiesznie wsadzili nosy w papiery.

- Spóźniłam się? - spytała Bambi tonem niewiniątka. - Chyba mi stanął zegarek. - Potrząsnęła ręką i zmarszczyła brwi, spoglądając na małą złoty cyferblat, postukała weń paznokciem, a potem przytknęła do ucha.

Arnold wznosił oczy do nieba, Kenzie nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na eleganckie pantofle swej przeciwniczki. Czółenka od Roberto Vianniego były bez skazy, jak się tego spodziewała. Ale Bambi nigdy nie odpadł obcas, tak jak nigdy nie puszczały jej oczka w rajstopach, nie wiedziała, co to rozdwojone końcówki włosów, a jej paznokcie nigdy się nie łamały ani nie wyszczerbiały.

5.

Dina Goldsmith była w drodze do Burghleya, gdzie jako żona nowego właściciela miała zostać przyjęta z wszystkimi honorami.

Przed wejściem, pod półokrągłą, gołębioszarą markizą z firmowym, ciemnoczerwonym napisem, czekał sam Sheldon D. Fairey, mający trzy zaszczytne tytuły: głównego aukcjonera, przewodniczącego rady nadzorczej Burghley's North America oraz prezesa i dyrektora wykonawczego Burghley's Holdings, Inc.

Po jego prawej ręce stała Allison Steele, prezes Burghley's North America, na pozór niesłychanie kobieca i czarująca, choć nigdy się nie zawahała, gdy trzeba było chwycić przeciwnika za gardło; a po lewej - David W. Bunker junior, najstarszy z dziewięciu wiceprezesów oddziału nowojorskiego.

Ich cierpliwość była bliska wyczerpania, bo sterczeli tu już od pół godziny, ale się pilnowali, by nie okazać irytacji. Ukrywająca się w cieniu tronu szara eminencja, wszechwładna Dina Goldsmith była spóźniona - jakżeby inaczej? - tak jak ostatnio należało to do dobrego tonu. Zebrani, chociaż nie dawali po sobie niczego poznać, w środku aż kipieli gniewem.

Szczególnie Sheldon D. Fairey człowiek niezwykle zajęty, miał wiele pilniejszych spraw, którym powinien poświęcić czas. Co rusz podciągał rękaw sztygo na miarę garnituru, by spojrzeć na złoty zegarek, niezwykle cacko, które wyszło spod ręki samego Louisa Elisée Pigueta, a należało kiedyś nie do kogo innego, jak do świętej pamięci Johna D. Rockefellera.

Ale Sheldon D. Fairey panował nad swym wzburzeniem. Jeśli nie liczyć spoglądania na zegarek, udawało mu się zachować całkiem spokojną twarz.

Wyglądał też, jakby się urodził do spodni w prążki.

Wysoki, postawny, starannie ubrany, był nie tylko imponujący - jego głowa mogła służyć jako model dla najlepszych rzymskich popiersi wydziału starożytności - ale jego wygląd świadczył, że niektórzy mężczyźni z wiekiem prezentują się coraz lepiej, tak jak doskonalił smak win Grand Cru zyskuje w miarę leżakowania. Miał gęste, siwe włosy, które zaczesywał do tyłu, nad szlachetnym czołem, orli nos, silnie zarysowane szczęki i dwa jadeity zamiast oczu. Zbliżał się do sześćdziesiątki; odznaczał się władcą postawą, ogładą i arystokratycznym sposobem bycia.

Ale sam wygląd jeszcze nie świadczy o człowieku. Sheldon D. Fairey był potęgą w świecie sztuki i w ciągu tych dziesięciu lat kierowania operacjami Burghley's North America zdziałał cuda. On to właśnie sprawił, że firma osiągnęła pierwsze miejsce w Nowym Jorku.

Również za jego namową Burghley przeniósł się ze swej kosztownej, lecz niewielkiej, wynajmowanej siedziby przy Park Avenue do obecnego obszernego gmachu, będącego własnością przedsiębiorstwa - w tym samym miejscu wzniesiono nie tylko przestronny pałac, mieszczący właściwy dom aukcyjny, ale zbudowano również Auction Towers, luksusowy kompleks mieszkalny, który jeśli chodzi o prestiż, prześcignął wieżowiec Trumpa.

W końcu to Fairey i tylko on zainicjował wysoce kontrowersyjną, ale finansowo niezwykle dochodową praktykę pomagania potencjalnym nabywcom przy zakupach wielomilionowej wartości dzieł sztuki.

Teraz, kiedy po raz kolejny podciągnął rękaw, by spojrzeć na zegarek, przy krawężniku zatrzymała się długaśna, biała limuzyna z tablicami rejestracyjnymi DINA G.

Trzydzieści trzy minuty spóźnienia, zauważył kwaśno w duchu Sheldon, poprawiając mankiety i żółty, jedwabny krawat od Hermesa i jednocześnie zastanawiając się, dlaczego ktoś o takich dochodach, jak Dina Goldsmith, wybrał sobie tak wulgarny, dziwaczny środek transportu zamiast czegoś gustownego, na przykład ciemnego rolls-royce'a, albo - jeszcze lepiej - dyskretnego samochodu miejskiego?

Nowe pieniądze! - pomyślał z niesmakiem. Nowe pieniądze zawsze muszą pokazywać swą dorobkiewiczowską niepewność!

Ale twarz naczelnego dyrektora nie zdradziła ani cienia emocji. Nie czekał też, aż szofer Diny okrąży samochód, by otworzyć drzwiczki. Sheldon D. Fairey, słyszący z szarmanckości, wziął sprawy w swe wypięłgnowane ręce i pomógł nowej królowej Manhattanu wysiąść, zachowując się z taką samą galanterią, jaką rezerwował dla Królowej Matki.

Dina Goldsmith wyłoniła się z cadillaca umalowana zgodnie z najnowszymi tendencjami w modzie. Mając na uwadze bardziej subtelne, jesienne słońce, zdecydowała się na dyskretny makijaż - ametystowe cienie do powiek i brązowy błyszczak na ustach, pomalowanych rdzawoczerwoną szminką. Miała na sobie superkrótką suknię-tunikę z czarnej wełny z wielkimi, połączanymi guzami, pod nią bluzkę z czarnej koronki, zachodzącą wysoko na szyję i czarne legginsy. Włosy ściągnęła do tyłu i spięła złotą klamrą, która spełniała podwójną rolę, przytrzymując jednocześnie jedwabistą, długą do ramion treskę, idealnie dobraną odcieniem do jej jasnoblonde fryzury.

Ale nie była już taka oszczędna, jeśli chodzi o biżuterię na dzień, bo bez względu na to, co twierdzili znawcy dobrego tonu, pani Robertowa A. Goldsmith w pełni podzielała pogląd, że brylanty są odpowiednimi kamieniami o każdej porze, co powszechnie głosili wszyscy eksperci od drogich kamieni, szlifierze diamentów i *cognoscente* - jako że tylko w pełnym świetle - szczególnie tym oślepiająco jasnym, północnym - ukazywały one pełni swego blasku, odbijając i załamując promienie tak, jak należy.

Jako niezłomna zwolenniczka twierdzenia, że większe jest zawsze lepsze, Dina miała w każdym uchu kolczyk z dwudziestopięciokaratowym brylantem.

- Ach... moja droga pani Goldsmith! - powitał ją Sheldon D. Fairey swym najbardziej uprzejmym tonem.

- Witaj, Sheldonie - odrzekła tonem królowej.

Pochylił się z uszanowaniem i musnął ustami palce Diny.

- Prześlicznie pani wygląda!

Dina zarumieniała się wyraźnie, rozkoszując się tymi przejawami hołdu - i miała swoje powody. Odznaczała się wyjątkową pamięcią, a dzisiaj miała zamiar odplacić mu pięknym za nadobne za wszystkie wcześniejsze afronty.

Powitawszy przybyłą, Fairey najpierw przedstawił jej Allison Steele, a potem przyszła kolej Diny, by zwrócić uwagę triumwiratu na swą towarzyszkę Gabrielle Morton.

- Moja sekretarka. - Wskazała kobietę w tweedach. - Panna Morton.

- Bardzo mi miło, pani Morton - odezwał się Fairey swym słodkim głosem.

- Panna Morton, jeśli łaska - prychnęła Gaby, energicznie potrząsając jego ręką. - Pamiętam czasy, kiedy było całkiem na miejscu być „panną” - i w moim przekonaniu nadal tak jest.

Dyrektor wyglądał na trochę zaskoczonego.

- Naturalnie, pani... panno Morton...

Dina miała ochotę uściskać Gaby; ale powstrzymała się, zapisując jedynie w pamięci, by dać jej zasłużoną premię.

Zasłużoną, ponieważ kilka lat temu tenże sam Sheldon D. Fairey na jednym z przyjęć u Goldsmithów lekceważąco wyraził się o tak cenionych przez Dinę trzech obrazkach Renoira; napomknął, że jej *Wyścigi konne* Degasa od Christie'ego są przypuszczalnie pośledniejszego gatunku, a nawet śmiał - tak, tak! - zakwestionować autentyczność Toulouse-Lautreca, tego samego Toulouse-Lautreca, którego z powodzeniem wylicytowała u Burghleya, a sprzedaż przypieczętował swoim młotkiem nie kto inny, tylko on, Sheldon D. Fairey! Potem, jakby tego wszystkiego było jeszcze za mało, przypadkiem podsłuchała, iż miał czelność za jej plecami określić ozdobne, francuskie meble Diny jako „pseudoludwiki”!

Więc czyż to nie wspaniałe, że nagle sytuacja tak diametralnie się zmieniła? I że teraz on - nikt inny, jak Sheldon D. Fairey - jest zmuszony połknąć dumę i płaszczyć się przed Diną?

„Pseudoludwiki”, dobre sobie!

Fairey uśmiechał się do niej przymilnie.

- Wprost nie mogę wyrazić, jak się cieszę, że mam okazję pani wszystko pokazać - powiedział i ujął panią Goldsmith pod ramię, by zaprowadzić ją do środka.

Ale ona, naładowana adrenaliną, nie była jeszcze gotowa.

- Sheldon, skarbie... - Zmarszczyła brwi, patrząc na umundurowanego odźwiernego, który przytrzymał dla nich ciężkie, szklane drzwi.

- Słucham? - odezwał się Sheldon. Wskazała ręką.

- Ten mundur!

Sheldon D. Fairey przyjrzał się odźwiernemu, który był gładko ogolony i wypucowany jak zawsze.

- O co chodzi, pani Goldsmith? - spytał ostrożnie.

Dina odwróciła się do niego i obrzuciła go świdrującym spojrzeniem.

- Te bryczesy... - zauważyła chłodno, wskazując na spodnie portiera i wzdrygając się lekko. - I te... te oficerki! Są zbyt neo... no wiesz... Gestapo!

Sheldon D. Fairey odkasznął, zakrywając usta dłonią.

- To wierna kopia uniformu angielskiego szofera - wyjaśnił.

- Nieważne. - Dina uśmiechnęła się słodziutko, rozkoszując się jego zmieszaniem. - Trzeba zmienić te uniformy. Blezery i krawaty to strój w

sam raz... i będą o wiele mniej onieśmielały klientów Burghleya. Nie uważasz?

- Hmm - mruknął wymijająco.

- Pewnie, że tak - oświadczyła Dina, po czym odwróciła się do sekretarki, która stała tuż za nią, trzymając w pogotowiu notes i pióro. - Zapisz to, Gaby, dobrze?

Ta uśmiechnęła się afektownie.

- Tak jest, pani Goldsmith.

- A teraz, Sheldonie - powiedziała Dina, ujmując Faireya pod ramię - czy możemy zacząć? Chcę zobaczyć wszystko! Dosłownie wszystko!

I, tak pani Goldsmith wyruszyła na obchód, wybornie się bawiąc. Odgrywanie się na Sheldonie D. Faireyu było niezwykle przyjemnym zajęciem.

Kiedy znalazła się w przestronnym holu, przystanąła, jakby chciała poczuć atmosferę tego miejsca i przesuwając bystre spojrzenie z jednego umundurowanego strażnika na drugiego.

- Naprawdę, Sheldonie - odezwała się marszcząc czoło. - Wydaje mi się, że ci strażnicy drzemają. Spójrz na tego tam!

Wyciągnęła palec oskarżycielskim gestem.

- Wyraźnie lekceważysz swe obowiązki! Wyraźnie, Sheldonie!

Dyrektor z niepokojem spojrzał w kierunku wskazywanym przez Dinę. Jakiś strażnik miał pecha i został przyłapany, jak pił poranną kawę i jadł kanapkę na jednej z ławek dla klientów. Zgrzytając zębami Sheldon D. Fairey zastanawiał się, jak to możliwe, by wiadomość o przyjeździe żony nowego właściciela nie dotarła do wszystkich, do cholery!

- Hmmm - mruknął z przejętą miną.

- A więc? Czy nie sprawiają wrażenia, jakby nie zachowywali pełnej czujności?

- W samej rzeczy - zmuszony był przyznać Fairey, ale szybko zapewnił Dinę: - Dopilnuję, by poinformowano o tym ich szefa. To powinno przynieść efekt.

- Obawiam się, że nie wystarczy o tym porozmawiać. Liczą się czyny, Sheldonie. Czyny! Proponuję, żebyś wszystkich zwolnił i zatrudnił nowych ludzi.

- Zwolnił i... - zająknął się zaskoczony.

- Wszystkich. - Dina była nieugięta.

- Dobrze - powiedział z westchnieniem.

Pani Goldsmith odwróciła się do Gaby, stojącej tuż za nią.

- Gaby, zanotowałaś to?

- Naturalnie! - zapewniła ją sekretarka, nie mogąc powstrzymać się od kolejnego afektowanego uśmiechu.

Sheldon D. Fairey mógł tylko zacisnąć zęby i próbować jakoś to znieść. Jego mina świadczyła, że wolałby znaleźć się jak najdalej stąd, w Timbuktu albo jeszcze lepiej na górze lodowej gdzieś na środku oceanu; wszędzie, byleby tysiące kilometrów od Diny Goldsmith.

W nisko sklepionym pomieszczeniu na samym dole, gdzie co sobotę wystawiano na aukcji najrozmaitsze przedmioty - od sreber poprzez obrazy do mebli - z myślą o klientach potrzebujących szybko gotówki, Dina wolno rozejrzała się na wszystkie strony.

- Sheldon, mój drogi, nie sądzisz, że oświetlenie tutaj jest... nieco za ostre? Jak możemy się spodziewać, że ludzie będą chcieli licytować te wszystkie przedmioty, jeśli widać na nich każdą szczerbę i rysę? Spójrz tylko na tę porcelanę!

Patrzyła roziskrzonym wzrokiem na okaz, który wzbudził jej zastrzeżenia.

- W tym świetle wygląda jak szmelc! Czy chciałbyś to kupić? - Nim zdolał wykrztusić choćby słowo, zwróciła się do swojej sekretarki: - Zapisujesz to, Gaby?

- Słowo w słowo! - rozległa się radosna odpowiedź.

Pani Goldsmith była niezmordowana podczas całego obchodu. Chciała sobie powetować każdy afront, jakiego doznała w przeszłości od Sheldona D. Faireya.

Na górze, gdzie sprzedawano książki i katalogi dotyczące najrozmaitszych przedmiotów, którymi handlował Burghley, zapytała:

- Sheldonie, czy naprawdę potrzebne są aż trzy ekspedientki za tym niewielkim kontuarem? Uważam, że dwie to i tak będzie nadto! Największą pozycją w kosztach są wynagrodzenia personelu, a oszczędność kosztów oznacza dodatkowe zyski, o czym dobrze wiesz. A skoro już o tym mowa, bądź łaskaw przypilnować, żeby pracownicy uśmiechali się do potencjalnych klientów. Moim zdaniem te młode damy są zbyt wyniosłe i aroganckie. Burghley musi się stać mniej imponujący i onieśmiałający - a trzeba zacząć od zachowania personelu!

- Zapisuję to - rozległ się z tyłu głos Gaby.

W przestronnej sali będącej miejscem głównych aukcji Dina wskazała rzędy krzesel, stojących po obu stronach szerokiego przejścia.

- Metalowe, składane krzesła? - zapytała, unosząc brwi z niesmakiem. - Doprawdy, Sheldonie, od razu widać, że nigdy nie musiałyś siedzieć na jednym z nich przez dwie czy trzy godziny. Tymczasem ja tak. Klienci, którzy tu przychodzą, by zaoferować tysiące, a nawet miliony

dolarów za meble i dzieła sztuki, zasługują na krzesła bardziej odpowiednie dla ich pozycji. - Uśmiechnęła się do niego słodziutko. - Zgadzasz się, prawda?

- Jak dotąd nie mieliśmy żadnych skarg - sztywno zauważył Fairey.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz - oświadczyła impertynencko - ale im wygodniejsze krzesło, tym dłużej klient jest skłonny tu zostać. A im dłużej zostanie, tym większe prawdopodobieństwo, że zechce licytować przedmiot, o którym wcześniej nawet nie myślał!

Odwróciła się do Gaby, która, tłumiąc śmiech, zapisywała wszystko w notesie.

Następnie Sheldon D. Fairey zaprowadził Dinę do sali konferencyjnej wyłożonej siedemnastowieczną boazerią w stylu Ludwika XIV. Z pewnością, pomyślał, tutaj nie będzie się mogła do niczego przyczepić.

Grubo się mylił!

Królowa, obrzuciwszy wzrokiem całe pomieszczenie, podeszła do najbliższego z dwudziestu czterech identycznych, połączanych foteli, stojących wokół sześciometrowej długości stołu konferencyjnego, i zaczęła mu się uważnie przyglądać. Był cudownie symetryczny, szeroki i głęboki, z łagodnie wygiętym oparciem, siedzeniem o opływowych liniach i welurowej tapicerce w kolorze rdzy.

- Mój Boże! - wykrzyknęła. - O ile mnie oczy nie mylą, a nie sadzę, by tak było, mogę przysiąc, że to wszystko autentyczne chippendale'e!

- Prawdę mówiąc nie - oświadczył Sheldon D. Fairey tonem wyższości, ogromnie rad, że może się popisać wiedzą. - To Jerzy III, rok 1770 lub coś koło tego.

- Hmm. Jerzy III... - Dina przesunęła dłonią po jednym z błyszczących, bogato rzeźbionych oparć. - Z pewnością są niezwykle cenne.

- Szacuję ich wartość rynkową na dwadzieścia pięć lub trzydzieści pięć tysięcy dolarów za parę - rzucił bez chwili wahania. - Musi pani przyznać, że są wyjątkowe. Kwalifikują się do muzeum.

Pani Goldsmith szybko przeliczyła w pamięci i aż jej odjęło mowę.

- To znaczy, że cały komplet jest wart między sześćset a osiemset czterdziestoma tysiącami dolarów!

Fairey skinął głową.

- Mniej więcej - potwierdził.

Dina ściągnęła brwi, przechyliła głowę i zmarszczyła czoło.

- Czy zostały oddane w komis?

- W komis! - Pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Wielkie nieba, nie! Poczytujemy sobie za punkt honoru, by przedmiotów oddanych w komis nigdy nie pożyczać, nie dzierżawić ani w żaden inny sposób nie używać

ich, kiedy znajdują się pod naszą tymczasową opieką. Nie, tak się składa, że właścicielem tych foteli jest Burghley. O ile się nie mylę, od ponad stu lat.

Po idealnym obliczu pięknej damy przebiegła chmura.

- Popraw mnie, Sheldonie, jeśli się mylę. Z tego, co powiedziałaś, wynika, że stanowią aktywa firmy. Tak?

- W rzeczy samej!

Rysy jej się wyostrzyły.

- Już nie, przynajmniej, jeśli mam coś do powiedzenia w tej sprawie. Proponuję, by je natychmiast sprzedano i zastąpiono kopiami! Ładne rzeczy! Pracownicy nie mają absolutnie żadnego prawa siedzieć na tak bezcennych skarbach!

- Ależ są w posiadaniu firmy od tysięcy osiemset...

- I co z tego? - Dina spojrzała na niego swymi niebieskimi oczami. - Tak się składa, że należą do aktywów Burghleya, a według twoich własnych słów są niezwykle cenne. Uważam, że zbyt cenne, by tu stać i się kurzyć. Natychmiast omówię tę kwestię z panem Goldsmithem.

Fairey zaczerwienił się i wyglądał, jakby za chwilę miał pęknąć.

- Gaby!

- Zapisane - oznajmiła radośnie sekretarka i zachichotała.

Fairey spojrzał ponuro na dwadzieścia cztery cenne fotele; potem, ponieważ Dina trzymała go w szachu, głośno wypuścił powietrze nosem i oświadczył:

- Znajdą się na najbliższej aukcji mebli angielskich.

Pani Goldsmith uśmiechnęła się promiennie i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Wiedziałam, że przyznasz mi rację, Sheldonie, mój drogi! - zaszczebotała. - A nie mówiłam, że świetnie będzie nam się współpracowało? To takie proste. Mówię ci, co należy zrobić, ty mi przyznajesz rację i nie ma problemu. Tak czy nie?

Odwróciła się i mrugnęła do Gaby, która nadal uśmiechała się złośliwie.

W końcu, kiedy znów znaleźli się na ulicy, obok czekającej na właścicielkę limuzyny, Dina odwróciła się do swego towarzysza i powiedziała:

- Och, Sheldonie, mój drogi, jeszcze jedno. - Nie zamierzała odjechać, zostawiając za sobą tylko chmurę spalin, nie dopiekszy Faireyowi na pożegnanie do żywego. - Pamiętasz mojego Toulouse-Lautreca? Tego samego, którego mi sprzedałeś tutaj, u Burghleya, a którego autentyczność zakwestionowałeś później w moim domu?

Dyrektor zrobił się czerwony jak burak. Przełknął ślinę i przeklął w duchu siebie samego za to, że cokolwiek wtedy powiedział.

- A więc, by zagwarantować, że nic takiego nigdy nie będzie miało miejsca w przyszłości, przynajmniej nie u Burghleya, chcę, żebyś rozważył sprawę ekspertyzy każdego przedmiotu, sprzedawanego przez firmę. Porozmawiasz o tym z kierownictwem, prawda?

Wymamrotał, że to zrobi.

- Koniecznie - poleciała Dina. Obrzuciła go przeciągłym, zimnym spojrzeniem i zaczęła wsiadać do limuzyny, ale nagle się rozmyśliła i jeszcze raz odwróciła się do Faireya.

- Och, jeszcze jedno - powiedziała cukierkowym tonem, jakby własnie sobie o czymś przypomniwała.

Uniósł pytająco brwi.

- Słucham, pani Goldsmith?

- Czy książkę Karl-Heinz von und zu Engelwiesen nie zasiada w organie doradczym Burghleya?

- Prawdę mówiąc jest członkiem zarządu.

- Której firmy? Burghley's North America? Czy Burghley's Holdings?

- Burghley's Holdings - wyjaśnił, mając na myśli światowe operacje domu aukcyjnego.

Dina w zamyśleniu dotknęła palcem ust i powiedziała:

- Rozumiem. Chciałabym się z nim kiedyś spotkać.

- Poinformuję go o tym - obiecał jej Fairey. - Prawdę mówiąc, zrobię to jeszcze dziś wieczorem na jego przyjęciu urodzinowym.

Pani Goldsmith poczuła, jak ścisła jej się żołądek. Sheldon D. Fairey wraz z żoną został zaproszony na przyjęcie urodzinowe księcia! A ona i Robert nie! Postanowiła natychmiast naprawić to niedopatrzenie. Ostatecznie jest nową królową Manhattanu. Pora, by skorzystać ze zdobytej władzy i zaznaczyć swą obecność.

- Sheldon, mój drogi - powiedziała głosem gładkim jak aksamit - rozumiem, że jak tylko wrócisz do siebie, zadzwonisz do księcia Karla-Heinza, porozmawiasz z nim i poprosisz o zaproszenie dla mnie i Roberta. Czyż nie mam racji?

Zrobił bardzo przepraszącą minę.

- Zobaczę, co uda się zdziałać - wykrztusił, poprawiając kołnierzyk, który nagle wydał mu się okropnie ciasny.

Dina uśmiechnęła się słodko.

- Och, wiem, Sheldonie, wiem! Wiem, że ci się uda! Oczekuję, że zaproszenia dla mnie i Roberta zostaną dostarczone do naszego apartamentu w ciągu... Zaraz... niech się zastanowią... - Znów dotknęła wymalowanym paznokciem uszminkowanych ust. - Mamy gościa, więc lepiej, żeby przyszło zaproszenie dla trzech osób... Nie, czterech, ponieważ naszym gościem jest dama, wymagająca towarzysza.

- Natychmiast się tym zajmę - wymamrotał.

- Naturalnie, że się zajmiesz, mój drogi! - Posłała mu całusa i zniknęła w limuzynie, pewna, że Fairey poruszy niebo i ziemię, by zadośćuczynić jej życzeniu.

Gaby, naśladując swą chlebobawczynię, obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem, nim wsiadła do samochodu.

- Do domu - wesoło poleciała Dina szoferowi i w chwilę później limuzyna bezszelestnie ruszyła i włączyła się do ruchu.

6.

Lunch fundował pan Spotts. Nalegał, by poszli do La Caravelle.

- Wzrośnie mi poziom cholesterolu - westchnął smutno, kiedy kierownik sali przeprowadził ich obok malowideł ściennych i posadził na czerwonej aksamitnej kanapce pod lustrzaną taflą. - Ale dzisiaj powiedziałem sobie: do diabła z lekarzami! Zamierzam zamówić *terriner de foie gras*, następnie *puolarde rode a l'ail doux*, a na koniec mrożony mus z czarnej porzeczki w wianuszku z płatków jabłka, nie wspominając o butelce markowego wina Chateau Margaux. Jeśli moje serce nie zniesie tych rozkoszy podniebienia, to trudno. Przynajmniej będę miał taką pociechę, że umrę szczęśliwy.

Kiedy przyniesiono przystawki, Kenzie zaczęła grzebać w talerzu z *chair de crabe Caravelle*. To, że ta góra świeżego mięsa krabów w sosie koniakowym, kawioru i homarów stanowiła symfonię dla kubków smakowych, absolutnie nie robiło na niej wrażenia. Zwyczajnie straciła apetyt na wiadomość o przymusowym odejściu pana Spotts'a na emeryturę - tym bardziej, iż w drodze do restauracji poinformował oboje, że dziś jest jego ostatni dzień pracy u Burghleya.

Kenzie nadal nie mogła w to uwierzyć.

Pan Spotts, zmarszczywszy brwi, spojrzął na Arnolda Li, który również bez entuzjazmu grzebał w swojej *foie gras*, nadziewanej truflami.

- Młody człowieku, jesz to w sposób absolutnie niewybaczalny - powiedział, wymachując swoim widelcem. - Chyba, że jest to niejadalne, w takim razie będę musiał wezwać kelnera i złożyć reklamację.

Arnold pokręcił głową.

- Wie pan, że nie w tym rzecz - wykrztusił przez zaciśnięte usta i odłożył widelec na brzeg talerza. Pochylił się nad stołem. - Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, jak nasz dział będzie funkcjonował bez pana!

- No cóż, lepiej będzie, jeśli we dwójkę poradzicie sobie beze mnie, panie Li. - Pan Spotts urwał, uśmiechając się kwaśno, i uniósł srogo swój wykrzywiony, różowy palec. - W przeciwnym razie ta blondwłosa idiotka o imieniu z filmu rysunkowego Disneya już się postara, by przepadł najcenniejszy kapitał naszego działu - jego renoma, czyli jednym słowem wszystko.

Kenzie napiła się łyk Margaux.

- Chciałabym wiedzieć - spytała apatycznie, odstawiając kieliszek z winem i przesuwając wilgotnym palcem po jego krawędzi, ale zbyt delikatnie, by chociaż słabo zadzwonił - co zamierza pan robić teraz, kiedy nie może pan pracować?

- Robić? - Pan Spotts sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego. - No cóż, mam nic nie robić! - Westchnął głęboko. - O ile nie uzna się, że emerytura w słonecznym stanie to jakieś zajęcie! - Spojrzał na swych podopiecznych, ale nie dostrzegł w ich oczach najmniejszej reakcji. Uśmiechnął się smutno. - Moja owdowiała siostra Cosima ma w Fort Lauderdale coś, co nosi szumną nazwę... „nadmorskiej posiadłości w stylu francuskiego renesansu”... jeśli potraficie sobie wyobrazić taką sprzeczność. - Uniósł z niesmakiem jedną powiekę dokładnie koloru srebra i cmoknął językiem. - Obrzydliwość, skrzyżowanie Tary z plantacją trzciny cukrowej z Beaux Arts na Środkowym Wybrzeżu, czyli coś, co mógł zaprojektować tylko rodowity mieszkaniec Florydy. Ale takie jest życie. Wiecie, że mogło być gorzej. Mam wysoką emeryturę i okazałą kolekcję dzieł starych mistrzów, która, chociaż nie pierwszej klasy, niemniej jest niczego sobie. Więc jak widzicie, przynajmniej nie zostanę bez środków do życia. - Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. - No, ale wystarczy tego przygnębiającego tematu! Nie po to zaprosiłem was oboje na lunch, żeby sobie ponarzekać, tylko żeby porozmawiać o waszej przyszłości.

- O naszej przyszłości? - zapytali chórem Kenzie i Arnold.

Pan Spotts opuścił głowę i spojrział na nich groźnie znad okularów.

- Ponieważ od jutra jedno z was będzie musiało przejąć kierownictwo nad działem.

Znów urwał i zmierzył ich wzrokiem.

- No więc? Które z was zostanie kierownikiem?

- Arnold - oświadczyła bez wahania Kenzie.

- Kenzie - jednocześnie powiedział Arnold.

Wszyscy troje siedzieli chwilę w milczeniu, nim wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Mówiąc poważnie - odezwała się Kenzie z namaszczeniem, kiedy już udało im się opanować - Arnold wie o wiele więcej ode mnie o malarstwie siedemnastowiecznym.

- Tak, ale ty jesteś specjalistką od sztuki osiemnastego wieku - zauważył Arnold. - Poza tym masz o wiele lepsze umiejętności przywódcze i jesteś bez porównania lepszym dyplomatą ode mnie.

- Mój Boże! - Pan Spotts pokiwał tylko głową ze zdumienia. - Inni wydrapaliby sobie nawzajem oczy, mając możliwość takiego awansu! A wy? Siedzicie spokojnie i upieracie się, że to drugie ma lepsze kwalifikacje! Muszę przyznać, że nigdy w życiu nie spotkałem się z czymś takim. Nigdy! - Zamyślił się na chwilę. - Ale zostało nam mało czasu na podjęcie decyzji. Dziś po południu jestem umówiony z panem Faire-yem. Będzie chciał, żebym mu kogoś polecił. No więc? - Patrzył to na Kenzie, to na Arnolda. - Które z was chce objąć kierownictwo?

Jego młodzi pracownicy siedzieli w bezruchu, w milczeniu przetrzymując to, co właśnie usłyszeli. Prawdę mówiąc, chociaż żadne z nich nie miało nic przeciwko awansowi, oboje czuli się przede wszystkim profesjonalistami i sprawą pierwszoplanową była dla nich praca - oboje pragnęli tylko tego, co najlepsze, dla tej dziedziny sztuki, której poświęcili życie.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Kenz - powiedział wolno Arnold - wolałbym nie zajmować się tą całą polityką. Poza tym naprawdę jesteś najlepsza, jeśli chodzi o kwestie dyplomatyczne.

- Cóż, jeśli jesteś absolutnie tego pewien - zgodziła się bez przekonania.

- Ależ naturalnie. Wiesz, że jestem najszcześliwszy, kiedy mogę albo ślęczyć nad dziełem sztuki, albo wertować tomy zakurzonych katalogów. Gdybym chciał się zajmować zarządzaniem, zatrudniłbym się w IBM lub AT & T.

- W takim razie... - Pan Spotts się wyprostował. - Skoro już uporaliśmy się z... z tą drobną sprawą, zostało jeszcze jedno.

Kenzie spojrzała nań pytająco, ale zamiast odpowiedzieć, sięgnął po zniszczoną, starą, skórzaną teczkę, z którą się nigdy nie rozstawał, a która teraz leżała na kanapce obok niego. Otworzył ją i wyjął dwie małe, płaskie paczuski w gładkim, brązowym papierze, zalepionym przezroczystą taśmą. Z nieco zakłopotaną miną jedną wręczył Kenzie, a drugą Arnoldowi.

- Co to? - spytała dziewczyna.

- To... takie małe... no wiecie... - Starszy pan lekceważąco machnął ręką. - Coś, żebyście o mnie nie zapomnieli!

- Och, panie Spotts! - zaprotestowała Kenzie. - Nie powinien pan tego robić!

- Ale zrobiłem i mam do tego prawo, czyż nie? - Niecierpliwie machnął ręką. - Więc nie siedźcie tak z głupimi minami, tylko zobaczcie, co to!

Kenzie i Arnold pospiesznie rozerwali papier i wlepili oczy w małe, oprawione w ramki obrazki, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

- Przecież to... to...

Kenzie zamilkła, wpatrując się w niezwykle studium dziecka, wykonane piórkami, brązowym atramentem i purpurową farbą na niebieskim papierze. Efekt zwiększały widoczne gdzieś tam muśnięcia czarnej i białej kredy.

- Zuccaro! - wyszeptała w końcu. - Retuszowany przez samego Rubensa!

Wolno uniosła wzrok i spojrzała przez stół.

- Mój Boże, panie Spotts! Wie pan, że za nic nie mogę...

- No, no. Nie tylko możesz, moja droga, ale musisz. Naprawdę uważam, że to niezwykle żenujące... - Pan Spotts rozejrzał się, wyraźnie zakłopotany. - Tak, tak, naprawdę bardzo żenujące...

- A to! - powiedział drżącym głosem Arnold.

Kenzie wsparła się o oparcie krzesła Arnolda, kiedy uniósłszy się nieco, spojrzała mu przez ramię na obraz, który trzymał w dłoniach.

- Tiepolo! - szepnęła, gdyż wystarczyło jej jedno spojrzenie na płowóżółty papier, czerwoną kredę oraz akcenty bieli i czerni. - Aby być dokładnym - dodała - *Święty biskup uzdrawiający młodą kobietę* Giovanniego Battisty Tiepolo.

- Proszę jedynie, byście się nimi cieszyli - powiedział pan Spotts. - Powieście je na ścianie i czerpcie z nich przyjemność. Myślcie o nich jak o zaczątku własnych kolekcji.

- Och, panie Spotts! - westchnęła Kenzie, do oczu napłynęły jej łzy. - Wie pan, że nie możemy...

- W takim razie - oświadczył tajemniczo starszy pan - może poczujecie się lepiej, kiedy się dowiedziecie, że to... niezupełnie zwykłe prezenty.

- Nie? W takim razie co?

- Wiąże się z nimi pewien warunek. No wiecie... są do nich przyczępione sznurki. - Były szef zrobił taki gest, jakby poruszał kukielkami.

- Sznurki? - spytał Arnold, wyraźnie zaintrygowany. - Jakie sznurki?

Pan Spotts z namaszczeniem przyjrzał się obojgu znad okularów.

- Każde z was musi mi coś obiecać - powiedział, wzdychając cicho.

- I bez tego byśmy obiecali - zapewniła go Kenzie. - Nie ma potrzeby, by pan zobowiązywał nas prezentami!

- Wiem. - Pan Spotts skinął głową. - Ale chodzi o szczególną przysługę... i jest ona dość poważna. - Przyglądał im się w napięciu przez chwilę

- Proszę powiedzieć, co to takiego - odezwała się w końcu Kenzie. Starszy pan milczał.

- Tak, bardzo prosimy - naciskał go Arnold.

- Uratujcie nasz dział! - Głos pana Spotts'a był cichy, ale ostry jak przejmujący, arktyczny wiatr. - To jedyne, o co was proszę!

* * *

W każdy wtorek i czwartek Bambi Parker spędzała przerwę obiadową w Vertical Club przy Wschodniej Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Rozumowała następująco: ma dwadzieścia cztery lata, a niedługo będzie miała dwadzieścia pięć, i nie staje się coraz młodsza. Poza tym, pracując u Burghleya, nigdy nie wiadomo, kogo się spotka. To dopingowało młode, samotne kobiety, by zawsze były zadbane i wyglądały jak najlepiej.

Po trzydziestu minutach ćwiczeń ściągnęła swój żółto-zielono-wściekle różowy kostium gimnastyczny firmy Spandex, wzięła prysznic, ubrała się, poprawiła makijaż i ruszyła w stronę gmachu Burghleya, jedząc pojemniczek odtłuszczonego jogurtu o smaku cytrynowym i oglądając po drodze wystawy sklepów z odzieżą. Kiedy w końcu dotarła do domu aukcyjnego, skierowała się do jednej z łazienek dla pracowników, mieszczącej się na pierwszym piętrze.

Ta, do której się udała, znana była jako „Klub”, ponieważ nieoficjalnie pełniła również rolę żeńskiego miejsca zgromadzeń dla najliczniejszej grupy spośród zatrudnionej u Burghleya armii absolwentek historii sztuki - córek zamożnych rodziców, skracających sobie czas przy odpowiednio eleganckiej pracy, póki nie pojawi się książę z bajki.

Wtedy zaś, gdy tylko zostaną porwane do okazałych miejskich domów i apartamentów w północnej części East Side na Manhattanie oraz „domków” weekendowych nad brzegiem oceanu w Hamptons czy sielankowych wiejskich posiadłości pośród wzgórz północno-zachodniego Connecticut, role, które teraz grają, ulegną zmianie. I kółko się zamknie: były pracownice Burghleya wykorzystają wiedzę zdobytą podczas pracy w domu aukcyjnym, stając się jego najbardziej wyrobionymi klientkami.

Jeszcze zanim Bambi otworzyła drzwi „Klubu”, usłyszała hałas dobiegający ze środka. Przywodził na myśl ptaszarnię - ale, sądząc po szczebiocie i gruchotaniu, trelach i piskach, była to ptaszarnia elitarna, w której znajdowały się tylko starannie dobrane i szczególnie troskliwie pielęgnowane okazy.

Bambi poczuła się jak w domu, kiedy wcisnęła się między dwie dziewczyny, by móc skorzystać z długiego lustra nad umywalkami; jakiś czas temu bardziej przedsiębiorcze spośród użytkowniczek tego miejsca przeprowadziły kwestę i teraz wzdłuż całej ściany ciągnął się rząd mlecznych żarówek. Dawały bardzo niekorzystne światło, ale idealne dla celu, jakiemu służyło.

- Cześć, Bambs! - wykrzyknęła odstawiona blondynka stojąca przed lustrem z prawej strony. - Co słyhać?

Panna Barbara Parker uśmiechnęła się do odbicia Elissy Huffington w lustrze. Z powodzeniem mogłaby być modelką, gdyby Huffingtonowie, których nazwisko znajdowało się w wykazie bogatych i ustosunkowanych, z miejsca nie odrzucili tego tak szczególnego zajęcia. Ale Elissa nie mogła zbyt liczyć na odpowiedź Bambi - była jedną z jej głównych konkurentek w wielkim polowaniu na właściwego kawalera.

- No więc? - spytała Elissa, niemal nie poruszając ustami, na które nakładała szminkę. - Nie podzielisz się nowiną?

- Nowiną? Jaką nowiną? - Bambi pochyliła się nad lustrem i zaczęła pogrubiać rzęsy lekkimi ruchami szczoteczki do rzęs.

- Jaką nowiną! O twoim szefie, a o kim!

- Tak? A co się stało?

- Chyba nie... O Jezzu! A więc ty dowiesz się o tym ostatnia!

- O czym?

- Że „Przezroczyści” w końcu odchodzi na emeryturę, ot, co!

Szczoteczka do rzęs znieruchomiała w ręce Bambi.

- Powtórz to! - Gapiła się w odbicie Elissy.

- Boże! - Panna Huffington wzniosła oczy do nieba. - Chyba już najwyższy czas, co? Jeśli ktoś jest antykiem, to z całą pewnością on... - Specjalnie zachowała lekki, besztający ton, ale nic nie uszło jej bystrym oczom, których nie odrywała od odbicia Bambi: wiadomość wywołała oczekiwaną reakcję.

Ale po chwili panna Parker wzruszyła ramionami, znów nachyliła się nad lustrem i powróciła do szczotkowania rzęs.

- Od pierwszego dnia mojej pracy tutaj chodzą plotki o przejściu panna Spotts na emeryturę - zauważyła obojętnie.

- Tak, ale tym razem to nie plotka. Tym razem to wiadomość z pewnego źródła.

- Czyżby? - Bambi spojrzała podejrzliwie na Elisę. - To znaczy od kogo?

- Od sekretarki Sheldona D. Faireya. Podśluchała całą rozmowę. No, Bambs, stało się, dziś twój szef po raz ostatni jest w pracy. Jak myślisz, kto zostanie awansowany? Ty? Kenzie? Arnold? Czy myślisz, że wezmą kogoś z zewnątrz?

Bambi nagle poczuła wprost fizyczny ból. Dlaczego mi o tym nie powiedziano? - zachodziła w głowę. Miała ochotę złapać się kurczowo umywalki i zwymiotować. Czy to dlatego cała trójka wybrała się gdzieś razem? Celowo mnie zostawili, ponieważ chcieli omówić sprawę sukcesji?

Niemal ich widziała, rozumieli się jak złodziejska szajka. Pochylali się nad słabo oświetlonym stolikiem jak intryganci szepcząc, zmawiając się, knując spisek...

Nagle Bambi poczuła się tak, jakby boa dusiciel oplótł się wokół jej piersi i z wolna zwiększał uścisk.

Wtem serce zabiło jej mocniej, w oczach pojawił się twardy, stalowy błysk, kąciaki ust zaś wykrzywił uśmiech. No cóż! Jeśli sprawa awansu była omawiana podczas lunchu bez niej, to jeszcze się przekonamy, czyje będzie na wierzchu! Miała jednego albo dwa asy w swym pięknie skrojonym rękawie - i to takie, o jakich mały triumwirat nawet nie mógł kiedykolwiek zamarzyć!

- Tak czy inaczej, na twoim miejscu bym to sprawdziła - mówiła dalej Elissa, rzucając koleżance znaczące spojrzenie. - Wiesz, co mam na myśli?

- Tak. Dzięki, Liss. - Bambi pośpiesznie zebrała kosmetyki z powrotem do torebki. - Do zobaczenia później.

- Jeśli dowiesz się czegoś nowego, powiesz mi? Musimy się trzymać razem, no nie?

- Oczywiście tak - zapewniła ją Bambi. - No, na mnie czas. Pa!

Wycofała się z szeregu rozszczebiotanych dziewcząt, które natychmiast się przesunęły, bardziej czując, niż widząc, że zwolniło się kilka dodatkowych centymetrów cennego miejsca.

W holu przed łazienką Bambi wcisnęła się do jednej z budek telefonicznych, zamknęła drzwi i wsunęła ćwierćdolarówkę. Nie chciała korzystać z aparatu biurowego - wolała mieć pewność, że nie zostanie podsłuchana, jeśli zacne trio wróciłoby z lunchu wcześniej. Ta rozmowa wymagała największej dyskrecji - i była bardzo pilna.

Wybrała absolutnie zastrzeżony numer telefonu Roberta A. Goldsmitha na Wall Street - ten, który nie podlegał plutonowi jego sekretarek - i czekała. Rozległ się jeden sygnał, polem drugi, trzeci...

- Robert? - spytała Bambi swym najbardziej szczebiotliwym głosem. - To ja, Bambs. Słuchaj, dzwonię z budki telefonicznej, więc muszę się streszczać.

Zasłoniła słuchawkę dłońmi i rzuciła pospieszne spojrzenie przez ramię, by się upewnić, że w zasięgu głosu nie ma nikogo.

- Właśnie się dowiedziałam, że szef mojego działu odchodzi na emeryturę - szepnęła do telefonu. - Chcę dostać tę pracę, Robercie. I to bardzo. - Zaczerpnęła głęboko powietrza. - Zrobię wszystko, żeby ją dostać. A przez wszystko rozumiem naprawdę wszystko.

* * *

Bambi siedziała sama w pokoju i zastanawiała się, czy nie urwać się wcześniej, kiedy zadzwonił telefon. Gapiała się z wyrzutem na aparat, rozważając, czy się odezwać czy nie. Wiedziała, że powinna, ale to nie miało znaczenia.

Czemu nie wyjść wcześniej? Po co odbierać ten uparcie brzęczący telefon?

Nagle przyszło jej do głowy, że może to Robert, i sięgnęła po słuchawkę.

- Dawni mistrzowie! - rzuciła pewnym siebie głosem. - Parker przy aparacie!

W słuchawce rozległ się głos, który z całą pewnością nie należał do Roberta A. Goldsmitha.

- Halo? Mówi Zachary Bavosa z firmy prawniczej Calvert, Barkhorn, Waldburger i Slocum. Dzwonię w imieniu naszego klienta.

Panna Parker zdusiła westchnienie.

- Słucham pana!

- Nasz klient, który... woli zachować anonimowość... odziedziczył obraz, Holbeina, żeby być dokładnym.

- Rozumiem.

- Zarówno Christie's, jak i Sotheby's, jak też kilku prywatnych handlarzy potwierdziło, że obraz jest autentyczny, i oceniło jego wartość na dwadzieścia, trzydzieści milionów dolarów.

Nagle Bambi cała przemieniła się w słuch.

- Rozumiem, że chodzi panu o trzecią opinię?

Mężczyzna tylko się zaśmiał.

- Och, nie, pani Parker, mamy pewność, że obraz jest autentyczny. Nasz klient chciałby go sprzedać.

Gdzie tu haczyk? - zastanawiała się Bambi. Jeśli to autentyk, zarówno Christie's, jak i Sotheby's chętnie pośredniczyliby w sprzedaży. Po co ów prawnik postanowił dzwonić do nas, jeśli nic się za tym nie kryje?

- Z przyjemnością mu się przyjrzymy - powiedziała z rezerwą, ale po chwili zrezygnowała z ostrożności i rzuciła: - Z największą ochotą tym się zajmiemy!

Przez moment w słuchawce panowała cisza.

- Mogę go przynieść jutro, wraz z odpowiednimi zaświadczeniami, dotyczącymi pochodzenia. Czy odpowiada pani godzina jedenasta?

Serce zabiło jej mocniej.

- Jak najbardziej - zapewniła swego rozmówcę. - Proszę zapytać o Bambi Parker.

No, no, pomyślała, odkładając słuchawkę. Ale posunięcie! Wszystko wskazuje na to, że Holbein będzie gwiazdą następnej aukcji dzieł starych mistrzów! Już to widziała. Umieścimy go na okładce katalogu, roześlemy informacje do prasy i będziemy obserwowali, jak rozpoczyna się zażarta licytacja. Może nawet zostanie ustanowiony nowy, światowy rekord ceny obrazu tego malarza! Panna Parker nie mogła opanować podniecenia. Nie mogę się doczekać, by zobaczyć miny Kenzie i Arnolda. Z zazdrości chętnie utopiliby mnie w łyżce wody!

7.

Piąta Aleja numer 832.

Eleganckie, białe litery z czarną obwódką stanowiły ozdobę kremowej, płóciennej markizy, która rozciągała się nad ulicą niczym wypukła pastylka.

Grawerowane tabliczki, lśniące jak nowe pieniądze, powtarzały trzy-cyfrowy numer po obu stronach mosiężnych drzwi z rytego szkła w stylu art deco.

Państwo Goldsmith zajmowali dwa ostatnie piętra w tym jednym z najdroższych budynków mieszkalnych na świecie. Z zewnątrz nieskazitelna przedwojenna kamienica wyglądała jak oczyszczona piaskiem zbroja, w środku zaś mała armia pracowników krzątała się przez okrągłą dobę. Oprócz umundurowanego portiera, w marmurowym holu stało dwóch uzbrojonych strażników, a trzeci - najnowocześniejszy system alarmowy wraz z wewnętrzną telewizją - pilnował wejścia dla dostawców od Wschodniej Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy.

Środki bezpieczeństwa były całkowicie uzasadnione, jeśli uwzględnić fakt, że lokatorzy dysponowali łącznie majątkiem wartości osiemnastu do dwudziestu miliardów dolarów.

Zandra von Hohenburg-Willemlöhe, która już wcześniej była gościem Goldsmithów, doceniła ów gmach, i to bynajmniej nie z uwagi na służbę w białych rękawiczkach. Dla niej była to idealna kryjówka. Jeśli nawet londyńskim zbirom jakoś udałoby się tu dotrzeć, nigdy nie zdołają się przedrzeć przez hol, ponieważ nawet znani goście byli tak dokładnie sprawdzani, jak turyści przed wejściem do Białego Domu.

- Może pani wjechać na górę - oświadczył z namaszczeniem portier po rozmowie przez domofon z kimś od Goldsmithów. - Czternaste piętro, na samej górze.

Kiedy Zandra wysiadła z windy, drzwi frontowe do apartamentu Goldsmithów były szeroko otwarte, a nieskazitelnie ubrany mężczyzna czekał w luksusowo umeblowanym westybulu.

- Jestem Julio - oświadczył wyniośle. - Majordomus. Pani Goldsmith powiadomiła nas, że należy panią przyjąć z wszelkimi honorami.

Nie odwracając głowy uniósł jedną rękę i pstryknął palcami. Natychmiast nie wiadomo skąd wyłoniła się pokojówka w białym fartuszk. Przystanęła ze spuszczoneymi oczami.

Julio obrzucił pełnym dezaprobaty spojrzeniem nędznie wyglądającą torbę Zandry, a pokojówka natychmiast podbiegła i zabrała ów niewykwintny bagaż.

- Proszę za mną - wycedził Julio. - Zaprowadzę panią do jej pokoiów.

Minęli marmurową klatkę schodową z ozdobną balustradą z kutego żelaza i połączanego brązu, która wdzięcznie pięła się na wyższe piętro dwupoziomowego apartamentu; zaokrąglona, wyłożona żółtym marmurem ściana wzdłuż schodów była zawieszona dziełami starych mistrzów, na których widok oczy wychodziły z orbit.

Gdzie tylko Zandra spojrzała, widziała, że wystrój apartamentu zmienił się diametralnie - był teraz znacznie bardziej luksusowy, niż kiedy gościła tu ostatnim razem, prawie dwa lata temu.

Przez jedne otwarte drzwi dostrzegła ściany wybite zabytkowym kurdybanem i eleganckie portrety autorstwa Tissota, Boldiniego i Sargenta, nie wspominając o sześciometrowej wysokości srebrnych palmach w stylu regencji, przypominających te z pałacu w Brighton; ich powyginane liście niemal dotykały sufitu.

Wszędzie widać było ogromny luksus: bogate, zachodzące jeden na drugi dywany o tajemniczych, zawitych wzorach, kominki z rozpalonym ogniem, abażury z zielonego i szkarłatnego jedwabiu, kanapki wybite brokatem, miękkie poduszki, błyszczące, rzadkie gatunki drewna, wyszukane lustra.

Całkiem nowe wnętrza, zauważyła w duchu Zandra. Dinę znów ogarnęło szaleństwo. „Kiedy masz wątpliwości, zmień wystrój - oto moje motto!” - zwierzyła jej się kiedyś ze śmiechem przyjaciółka.

Zandra uśmiechnęła się na to wspomnienie. Jedno z całą pewnością można było powiedzieć o Dinie - robiła to, co mówiła. Ale, niestety, razem z wystrojem najwyraźniej wymieniła również całą służbę. Zandra nie dostrzegła ani jednej znajomej twarzy.

- Pani kazała poinformować, że wróci jak najwcześniej - prychnął chłodno majordomus, otwierając mahoniowe drzwi i cofnął się, by mogła przejść.

Hrabianka skierowała się do apartamentu gościnnego, a Julio wszedł za nią, zapalił wszystkie lampy w saloniku i rozsunął ciężkie kotary z siedemnastowiecznego jedwabiu, podczas gdy pokojówka robiła to samo w sypialni.

- Jeśli zechce pani wezwać mnie lub kogoś ze służby - powiedział - proszę skorzystać z jednego z kremowych telefonów. Zauważy pani, że po obu stronach guzików są wypisane numery do wszystkich, od kuchara aż do mnie.

- Jak w hotelu! - zauważyła wesoło Zandra.

- Tak. - Nie widział w tym nic zabawnego. - Do rozmów zewnętrznych w apartamencie są dwie osobne linie prywatne, ale należy korzystać z jednego z mosiężnych telefonów. Ich numery są wypisane na aparatach. Jeśli nie ma pani żadnych życzeń...

- W tej chwili nie, dziękuję.

Po jego wyjściu dziewczyna przysięgłaby, że temperatura w pokoju podskoczyła o dwadzieścia stopni.

W drzwiach sypialni pojawiła się pokojówka i nieśmiało spytała:

- Czy życzy sobie pani, żebym wypakowała rzeczy?

Zandra pokręciła głową.

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Dziękuję.

- Czy mam coś przynieść?

- Jeśli nie sprawi to zbytniego kłopotu, chętnie napiłabym się herbaty.

- Och, to żaden kłopot, proszę pani! - zapewniła ją służąca. - Jaką pani lubi?

- Nie macie przypadkiem Lapsang Souchong?

- Naturalnie, że mamy!

- W takim razie poproszę właśnie tę.

- Zaraz przyniosę, proszę pani! Przy okazji, mam na imię Lisa. - Pokojówka dygnęła i zniknęła bezszelestnie.

Zandra skorzystała z okazji, by obejrzeć apartament.

Luksusowy salonik był wyłożony zieloną boazerią, zwieńczoną złoconym fryzem, na którym zawieszono kilka małych olejnych obrazków Fantin-Latoura. Cztery podwójne balkonowe okna wychodziły na taras, pełen roślin, a połączane *bergères a la reine* w stylu Ludwika XVI i kanapka były wybite łososiowym aksamitem. *Na tables en chiffonnière* stały ceramiczne bibeloty i wazony ze świeżymi kwiatami.

Przylegająca sypialnia okazała się bardzo kobieca, jej ściany wybito blad różowym jedwabnym adamaszkiem, gzymsy były zielone, a zasłony i baldachim z malinowego jedwabnego brokatu. Telewizor został

pomysłowo ukryty w półokrągłej komodzie Boullea. Pod każdym względem był to książęcy apartament.

Zandra pchnęła lewe z pary idealnie wyważonych, artystycznie symetrycznych drzwi. Za nimi znajdowała się przestronna łazienka wielkości średniej kawalerki: cała wyłożona marmurem, z lustrami, w których wszystko odbijało się w nieskończoność.

Opuściwszy łazienkę, dziewczyna otworzyła drzwi z prawej strony. Natychmiast automatycznie włączyło się światło, ukazując garderobę wielkości sklepu z konfekcją. Puste przegrody czekały na kufry z ubraniami.

Były tam szuflady, pochyle półki na obuwiu, stojaki na kapelusze, ruchome lustro i niezliczone, przezroczyste torby na ubrania. Do każdego wieszaka, obciążonego różowym jedwabiem, przywiązana była saszetka z wiórkami cedrowymi.

Zandra uśmiechnęła się ironicznie i pomyślała: Wszystko, co przywozłam, zmieściłoby się w jednej szufladzie.

Słyszac dyskretne pukanie do drzwi, wróciła do saloniku. Przyszła Lisa z drewnianą tacą przykrytą adamaszką. Zandra uśmiechnęła się i powiedziała:

- Wygląda prześlicznie. To wszystko, Liso. Dziękuję.

Teraz, kiedy w końcu została sama, nalała sobie herbaty, dodała kroplę śmietanki i jedną kostkę cukru. Potem przeszła do sypialni, postawiła filiżankę i rozpakowała skromną zawartość torby. Powiesiła skórzaną kurtkę na jedwabnym wieszaku, złożyła kilka pogniecionych fatałaszków, które zabrała z sobą, i wsunęła je do jednej z szuflad.

Skończywszy się rozpakowywać, ponuro rozejrzała się po wielkiej garderobie. W jej szafie brakowało nawet najbardziej podstawowych rzeczy!

Rozsądnie szybko zamknęła drzwi i popijając herbatę, przypomniała samej sobie, że brak ubrań jest teraz jej najmniejszym zmartwieniem. Dzięki Dinie miała dach nad głową, a do tego całkiem przyzwoity. Prawdę mówiąc, należało być wdzięczną losowi. Uwzględniając okoliczności i pośpiech, z jakim szczęśliwie umknęła swym prześladowcom i uciekła z Londynu, powinna odczuwać zadowolenie, a nie użalać się nad sobą. Naprawdę trzeba już skończyć z tymi czarnymi myślami, upomniała samą siebie, i zacząć pogodniej spoglądać na świat. Mogło być gorzej.

Myśli o bracie wypełniły jej głowę.

Rudolph... Rudolph...

Westchnęła głośno, jakby wydychała trujące wyziewy. Nie uległo wątpliwości, że niepewny los tego chłopaka rzucał ciemny cień na jej świat.

Poczuła szczypanie pod powiekami i padła, jak podcięta, na krzesło. Oczywiście jej własne problemy przestały teraz mieć znaczenie! Była bezpieczna, przynajmniej na razie. Ale Rudolph... Łzy napłynęły do jej zielonych oczu. O, Boże! Co te potwory zrobią Rudolphowi, kiedy... Nie! - poprawiła się i zacisnęła zęby. Nie kiedy, tylko jeśli... jeśli go dopadną?

Ręce Zandry drżały, aż filiżanka zadzwoniła o spodeczek. Odstawiła ją, wstała i zaczęła niespokojnie przemierzać sypialnię, zanurzwszy dłonie w falujących włosach.

Rzuciła się na łóżko, chwyciła oprawny w skórę notes i zaczęła nim uderzać w dłoń, zmarszczywszy brwi.

Muszę coś zrobić, powtarzała sobie w myślach. Coś... cokolwiek... Nigdy sobie nie daruję, jeśli nic nie zrobię.

Oczy miała rozbiegane, ale minę zawziętą, a zaciśnięte usta tworzyły cienką linię.

Po kolei. Najpierw musi zlokalizować miejsce pobytu Rudolpha.

Zadzwoń do wszystkich przyjaciół i znajomych brata na Wyspach Brytyjskich, co obejmowało Irlandię, Szkocję i Walię.

Świetnie, pomyślała w przyпіływie energii. Zostawi wszędzie wiadomości! Dzięki temu, jeśli ukrył się gdzieś u przyjaciół albo przypadkiem spotka kogoś znajomego, na pewno mu przekażą, by skontaktował się z siostrą w mieszkaniu Diny.

Zandra mogła się jedynie modlić, by jej uparty brat tak zrobił. Ponieważ tylko razem, wspólnie, mogli usiąść i jakoś to wszystko rozwiązać. Z pewnością dwie głowy znajdą lepsze rozwiązanie niż jedna.

Wyraźnie uspokojona, mając określony plan działania, Zandra wzięła pustą filiżankę, przeszła do saloniku i naląa sobie jeszcze herbaty. Upiła łyk, usiadła na delikatnie rzeźbionym krześle z owalnym oparciem, postawiła filiżankę na stoliku znajdującym się obok i sięgnęła po mosiężny aparat telefoniczny.

A teraz do dzieła!

Postawiła sobie telefon na kolanach i otworzyła notes na pierwszej stronie. Zacznie od litery a i jeśli będzie trzeba, przejdzie przez cały alfabet, aż do zet.

* * *

- Cholera! - zakłęła z wściekłością, rzucając słuchawkę.

Cisnęła notes z adresami i rzuciła się na łóżko. Leżąc na brzuchu, przez jakiś czas waliła w malinową, jedwabną narzutę, a potem podparła głowę na łokciach.

Zdmuchnęła kosmyk włosów z oczu. Była wściekła i zde gustowana - nie dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że ostatnie dwie godziny spędziła przy telefonie, metodycznie wykręcając wszystkie numery zapisane w notesie pod literami A, B i C, a jej wysiłki nie przyniosły żadnych rezultatów. Rudolph przepadł jak kamień w wodę.

I jakby tego było jeszcze mało, siedmiu różnych znajomych jej brata - siedmiu! - powiedziało jej, że też go szukają, więc gdyby była tak dobra i przekazała im informację, kiedy go znajdzie... Wyglądało na to, że znacznie się zadłużył i... nie chcieliby być zbyt nachalni, ale naprawdę byliby wdzięczni, gdyby im oddał pieniądze...

Rumieńce wstydu paliły jej policzki.

- Żeby tego Rudolpha piekło pochłonęło! - westchnęła i znużona przewróciła się na wznak.

Tępo wpatrywała się w przymarszczony, brokatowy baldachim, lewa powieka drgała jej nerwowo. Zandra wiedziała, że powinna wziąć aparat i dalej wydzwaniać, zaczynając od litery D i próbując ponownie te numery spod liter A, B i C, które wcześniej nie odpowiadały, ale czuła się załamana. Myśl, że następne telefony ujawnią jedynie kolejną falę wierzycieli, była zbyt przygnębiająca, by Zandra mogła jej teraz stawić czoło.

- Bum! - rozległo się nagle tuż za nią, aż podskoczyła.

- Dina! - wykrztusiła Zandra, przyciskając rękę do serca, które waliło jak oszalałe. - Boże! - Patrzyła na swą przyjaciółkę wielkimi oczami. - Ale mnie przestraszyłaś! Nie słyszałam, kiedy weszłaś...

- Wiem, że powinnam zapukać! - zapiszczała Dina, z podniecenia rezygnując ze zwykłego jedwabistego tonu głosu. - Ale tak rzadko się widujemy i... A zresztą! - Rozłożyła szeroko ramiona. - Och, jak się cieszę, że cię znów widzę!

Rzuciła się na przyjaciółkę i objęła ją mocno, chociaż nie na tyle, by dotknąć jej twarzy policzkiem, narażając na szwank staranny makijaż. Potem zmusiła dziewczynę, by siadła na łóżku, usadowiła się obok i przyjrzała jej się uważnie.

- Wyglądasz absolutnie oszalamiająco. Tak, po prostu oszalamiająco. - Oczy Diny błyszczały. - Nie wiem, jak ty to robisz; może to zasługa tego wilgotnego, angielskiego klimatu? Z całą pewnością. Och, jak wspaniale cię widzieć!

- Ciebie też, Dino. - Zandra spróbowała się uśmiechnąć. - Co u Roberta?

- U Roberta? Och, zapomnijmy o Robercie. - Dina lekceważąco machnęła ręką i zachichotała. - Jeszcze zdążymy o nim pomówić. Teraz

chcę się dowiedzieć, co u ciebie. - Była tak promienna i rozszczebiotana, że aż jaśniała.

- Och... - Zandra wzruszyła ramionami. - *Comme-çi, comme-ça.* - Westchnęła. - Przynajmniej żyję.

Dina z miejsca się zaniepokoiła. Takie przygnębienie było niepodobne do Zandry - ale jej przyjaciółka nie należała też do osób, które z miejsca mówią o własnych zmartwieniach - Dina od dawna przypisywała to genom Zandry, odziedziczonym po Hohenburgach-Willemlöhe. Ujęła jej obie dłonie i powiedziała łagodnie:

- Kochanie, coś się stało, masz to wypisane na twarzy. Pamiętaj, że jestem uważną i współczującą słuchaczką i myślę, że nie ma nic słodsze-
go niż zachowywanie mrocznych, wielkich tajemnic.

- No cóż... mogłoby być lepiej - odrzekła wymijająco Zandra. - Ale naprawdę nie ma potrzeby, by teraz o tym mówić. To tak straszliwie długa i okropna historia, że nie skończyłabym jej przed wschodem słońca.

- Cóż, jeśli jesteś pewna, że to może poczekać - odezwała się Dina bez przekonania.

- Absolutnie.

- Skoro tak twierdzisz... - Po jej twarzy przebiegł cień, ale szybko się rozchmurzyła. - Wiem! Jutro wieczorem urządzimy sobie jedną z naszych słynnych, całonocnych dziewczynskich pogaduszek - taką, że Robert oszaleje! - Przycisnęła rękę do piersi. - Ale po kolei. Jak długo możesz zostać?

- Och... - Zandra nagle zaczęła z uwagą studiować swoje paznokcie. - Może... może się okazać, że to dość długa wizyta.

- Cudownie! Możesz być naszym gościem tak długo, jak tylko zechcesz, dni, tygodnie, nawet miesiące! Wiesz o tym.

Zandra spojrzała na Dinę, wyciągnęła rękę i mocno ucisnęła dłoń przyjaciółki.

- Wiem - powiedziała zachrypniętym głosem. - I dziękuję. Ale każdy ptaszek potrzebuje własnego gniazdka. Zamierzam zacząć rozglądać się za mieszkaniami. - Zmarszczyła czoło. - Jednak najpierw muszę znaleźć pracę, co oznacza konieczność uzyskania zielonej karty...

- Zamierzasz pozostać aż tak długo? - Przyjaciółka była wyraźnie zachwycona.

Zandra ponuro skinęła głową.

- Obawiam się, że tak! - Westchnęła.

- Cóż, to najlepsza nowina od... od chwili, kiedy wynaleziono treski! - wykrzyknęła Dina. - Będzie tak, jak za dawnych czasów!

Objęła Zandrę i uściśnięła ją jak siostrę, a potem zaczęła w zamyśleniu stukać palcem w usta.

- Praca... praca... pra... - Oczy Diny stały się wielkie. - Ależ oczywiście!

- O co chodzi?

- Abrakadabra! - Pstryknęła palcami. - Możesz się uważać za zatrudnioną.

- Dino, ja naprawdę...

- Nic nie mów, najdroższa, i posłuchaj mnie przez chwilę. Robert właśnie kupił Burghleya, choć raczej powinnam powiedzieć, że kupił pakiet kontrolny Burghleya, co praktycznie wychodzi na jedno. Jasne?

- Burghleya? Masz na myśli... ten dom aukcyjny?

- Wielki Boże, tak - potwierdziła uradowana Dina. - Może teraz w końcu będę znana jako ktoś inny, niż pani GoldMart. Wiesz, jak olbrzymi jest Burghley? Dziś rano właśnie tam byłam, sam oddział nowojorski zatrudnia kilkaset osób!

- Dino... - zaczęła sceptycznie Zandra, ale przyjaciółka nie pozwoliła jej dokończyć.

- Nie chcę słyszeć, co masz mi do powiedzenia. Zatrudniając tyle osób muszą mieć wolny etat, na który byś się nadawała. Pomyślmy, na czym się najlepiej znasz?

- Masz na myśli... dziedziny, którymi zajmuje się Burghley?

- Skarbie, a co innego mogłabym mieć na myśli? Rozumie się, że tylko to!

- No cóż... studiowałam sztukę - powiedziała Zandra wyraźnie skrepowana. - A po wszystkich tych wakacjach, spędzonych w zamkach i wiejskich posiadłościach najróżniejszych krewnych, przypuszczam, że najlepiej się znam na dawnych mistrzach.

- W takim razie załatwione! Nie szukaj nigdzie dalej, skarbie: jesteś zatrudniona. Prawnicy Roberta mogą przyspieszyć wydanie ci zielonej karty, tak że będziesz mogła zacząć pracę natychmiast, a jeśli będą ci potrzebne pieniądze, możesz trochę pożyczyć ode mnie albo wziąć zaliczkę od Burghleya, jak wolisz. - Nowa królowa Manhattanu uśmiechnęła się wielkodusznie. - Uważaj to za *fait accompli*.

Zandra mogła tylko patrzeć z niedowierzaniem. Wszystko działo się tak szybko, że aż kręciło jej się w głowie.

- A teraz druga sprawa. - Dina wstała, wzięła przyjaciółkę za rękę i przyciągnęła do siebie. - Teraz musimy zrobić remanent. Pokaż mi ubrania, które ze sobą przywiozłaś - zażądała.

Zandra zamrugnęła powiekami.

- Ubrania...? - powtórzyła słabo.

Rzuciła niespokojne spojrzenie na drzwi do garderoby; z tonu, jakim mówiła tamta, wynikało, że Zandra spakowała wieczorowe toalety i suknie cocktailowe. Wyobraziła to sobie, a ów obraz był tak absurdalny i zabawny, że nie wiedziała, czy wybuchnąć śmiechem czy też się rozpląkać.

- Skarbie? - Na twarzy Diny pojawił się niepokój. - O co chodzi? Czy powiedziałam coś niewłaściwego?

- Nie, skądże znowu. Tyle, że tak niespodziewanie wyjechałam, iż nie miałam czasu niczego spakować. Innymi słowy... - Zandra wskazała na siebie. - ...mam to, co widzisz.

- O rety! - Dina nie wyglądała nawet w najmniejszym stopniu na zmieszaną. - Cóż, jestem pewna, że znajdziemy coś dla ciebie. - Cofnęła się i obrzuciła przyjaciółkę taksującym spojrzeniem, mierząc ją wzrokiem tak dokładnie, jak najbardziej doświadczona, bystra krawcowa. - Uwierzysz, że wciąż nosimy taki sam rozmiar?

- Ale czemu tak się martwisz ubraniami? Słuchaj, co tu się szykuje?

- Co się szykuje? Powiem ci, co się szykuje. - Zamruczała jak kotka i nie wiadomo skąd wyciągnęła dwa grube, welinowe zaproszenia. Zaczęła machać nimi z takim uniesieniem, że równie dobrze mogłyby obwieszczać Powtórne Przyjście. - Właśnie dostarczono mi zaproszenia na przyjęcie sezonu. Tak, sezonu! A uwierzysz, że wydaje je nie kto inny jak... zgadnij! - Z dworskim wymachem ręki podsunęła zaproszenia pod sam nos Zandry. - Tak, skarbie, twój własny kuzyn, księżę Karl-Heinz von und zu. Jak widzisz, mam dwa zaproszenia, jedno dla Roberta i dla mnie, a drugie dla ciebie i twojego towarzysza. - Niemal piała z zachwytem. - No i jak? Ładna niespodzianka?

- Och, Dino, nie dzisiaj - próbowała się wymówić Zandra. - Jestem okropnie zmęczona. Prawie nie spałam przez ostatnie dwa dni i...

- I nic. Nie przyjmuję, powtarzam, nie przyjmuję odpowiedzi odmownej. Ponieważ bankiet rozpoczyna się o wpół do ósmej, zdążysz się zdrzemnąć, a kiedy się obudzisz, będziesz się czuła jak nowo narodzona.

Ujęła Zandrę pod ramię i delikatnie, ale zdecydowanie wyprowadziła z apartamentu gościnnego, powiodła w dół po paradnej klatce schodowej, a potem, po kręconych schodach, do własnego apartamentu, przez cały czas trąkając jak najęta.

- Dzięki Bogu, że moje szafy pękają w szwach od ubrań, których nawet nie mam kiedy włożyć... a więc najpierw wybierzemy coś odpowiedniego dla ciebie, następnie znajdziemy w mojej biżuterii jedną czy dwie rzeczy - nie, nie pozwolę ci nawet na słowo protestu - a potem dam ci jedną ze swoich magicznych pigułek nasennych i utulę cię do snu. Możesz mi nie wierzyć, skarbie, ale to pewne: kiedy nadejdzie pora przyjęcia, będziesz wyglądała i czuła się świeżo jak skowronek!

8.

Minął zaledwie jeden dzień, a wszystko tak bardzo się zmieniło.

Mężczyzna, który wczoraj zasiadł do obiadu w swoim okazałym, pełnym książek gabinecie w apartamencie w Auction Towers, był najbardziej rozchwytywanym na świecie trzydziestodziewięcioletnim kawalerem. Mężczyźnie, któremu serwowano obiad w tej samej bibliotece dzisiaj, stuknęła czterdziestka.

Był to dzień urodzin księcia Karla-Heinza von und zu Engelwiesen i fakt, że zaczął czwarty krzyżyk, uświadomił mu nie tylko własną śmiertelność. Nie dawała mu spokoju odpowiedzialność, jaka wiązała się z jego bajecznym majątkiem i tytułem, jak również owe bardzo osobliwe prawa dziedziczenia, obowiązujące w jego rodzie od blisko trzech czwartych tysiąclecia.

Już sam fakt, że niepokoił się tym właśnie teraz, był nieprzyjemny - szczególnie, jeśli uwzględnić ostatnie dwa dziesięciolecia aktywnego, beztróskiego życia.

Bo książę Karl-Heinz, bezdyskusyjnie jeden z najzdolniejszych biznesmenów na świecie, był również uważany za jednego z największych playboyów wszech czasów. Życie tego interesującego, żarliwego i obdarzonego wszelkimi talentami mężczyzny przypominało kronikę romanсів i przygód sercowych. Występowały w niej gwiazdy filmowe, statystki, supermodelki oraz inne królowe piękności - ale nie ograniczał do nich swych miłosnych podbojów. Natchniony kochanek kobiet - wszystkich kobiet - miał na swym koncie szczęśliwe mężatki, a nawet córki przyjaciół, współpracowników, znanych osobistości i polityków.

Teraz słysząc ciche pukanie do drzwi gabinetu w swym mieszkaniu położonym wysoko nad Burghleyem, odezwał się po niemiecku:

- *Herrein!*

Otworzyły się drzwi i wszedł Josef, chudy, pedantyczny sekretarz i lokaj w jednej osobie, który pracował dla księcia od czasów jego młodości i znał wszystkie kaprysy i grzeszki swego pana.

- *Guten Tag*, wasza wysokość - powitał go Josef oficjalnie po niemiecku. - Czy mogę pozwolić sobie życzyć waszej wysokości wszystkiego najlepszego z okazji urodzin?

- *Guten Tag*, Josefie, i dziękuję - odpowiedział jaśnie oświecony książę Karl-Heinz von und zu Engelwiesen.

Josef się zawahał.

- Czy wasza wysokość życzy sobie obiad teraz czy trochę później?

- Później, Josefie.

- Tak jest, wasza wysokość.

Po wyjściu Josefa Karl-Heinz znów pogrążył się w rozmyślaniach. W dniu swych czterdziestych urodzin poczuł skurcz w żołądku, niechętnie próbując stawić czoło twardej rzeczywistości dotyczącej jego życia osobistego. Pora się ustatkować, skończyć z amatorami i zabezpieczyć sobie przyszłość - niełatwe zadanie dla mężczyzny w jego położeniu...

Jaśnie oświecony książę Karl-Heinz Fernando de Carlos Jean Joachim Alejandor Ignacio Hieronymous Eustace von und zu Engelwiesen został pod każdym względem obdarzony aż nadto hojnie. Poza majątkiem, większym niż innych; tytułem, starszym i bardziej szacownym niż innych oraz arystokratyczną urodą, miał również libido, które - jakżeby inaczej? - było bardziej wymagające, niż u innych. Wyglądał młodziej niż na swe poświadczone czterdzieści lat - poświadczone, ponieważ przez ostatnich siedem stuleci narodzinom każdego von und zu Engelwiesena z prawego łóża towarzyszyło trzech prawników, do których obowiązków należało być świadkami wydarzenia, a następnie zapisać w starej księdze rodu, że nowo narodzone dziecko rzeczywiście pochodziło z łona prawowitej małżonki von und zu Engelwiesena. Owo podwójne zabezpieczenie w tej prastarej tradycji wprowadzono oczywiście dlatego, że jest wielu prawników pozbawionych skrupułów i nawet trzech dałoby się przekupić. A zresztą - czy można przedstawić niepodważalny dowód, że doszło do zapłodnienia książęcą spermą, skoro prawnicy nie byli obecni podczas poczęcia dziecka?

Ale jak było, tak było, nie ulegało wątpliwości, że książę Karl-Heinz jest z całą pewnością efektem troskliwie dobieranych, szlachetnych genów. Nie tylko nosił się jak książę, ale również wyrażał się i wyglądał jak

prawdziwy pan. Miał rzymski nos: wąski, długi i trochę nieregularny, z takim samym garbem, jaki wraz ze szramami pozostałymi z pojedynków prezentowali z taką dumą wszyscy przodkowie na portretach w Schloss Engelwiesen. Uszy, małe i płaskie, niemal pozbawione płatków, były wyraźną cechą charakterystyczną innego z wielu królewskich domów Europy, z którymi von und zu Engelwiesenowie łączyli się na przestrzeni wieków. Jednak jego oczy, lekko owalne, jasnoniebieskie, ze zmarszczkami w kącikach, miały kapryśny i zdecydowanie nieksiążęcy, figlarny błysk.

Książę Karl-Heinz, odkąd skończył piętnaście lat, sypiał z najpiękniejszymi kobietami pięciu kontynentów, ale się nie ożenił. Jednak szeroko opisywane wyczyny jaśnie oświeconego playboya stanowiły tylko drobną część jego charakteru. Za ową fasadą rozpustnika krył się rdzeń twardy jak diament, powodujący bezwzględność i bystrość w interesach oraz ów rodzaj pewności siebie, którą daje jedynie władza absolutna i książęce pochodzenie.

Jak na ironię, to samo książęce pochodzenie było teraz przyczyną największego zmartwienia Karla - a korzenie problemu sięgały roku 1290, kiedy pewien znakomity przodek, Eustace, został wynagrodzony przez Karola Wielkiego za swe zasługi tytułem księcia Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Otrzymał rozległe obszary ziemi w dzisiejszych Niemczech, a także największą synekurę - wyłączne prawo do papieskich szlaków pocztowych w całej zachodniej części basenu Morza Śródziemnego.

I ten sam Eustace, pierwszy z długiej, nieprzerwanej linii książąt Świętego Cesarstwa Rzymskiego, ustalił zasady dziedziczenia w rodzinie von und zu Engelwiesen dla przyszłych pokoleń; surowe, wiążące prawa, do dziś pozostające w mocy, których książę Karl-Heinz musiał przestrzegać i które obecnie były powodem jego wielce kłopotliwego położenia.

Naczelną obowiązującą zasadę stanowiło pierworództwo, samo w sobie niebędące niczym nadzwyczajnym, albowiem wiele arystokratycznych domów europejskich nadal praktykuje ową pradawną tradycję przekazywania tytułu i majątku najstarszemu synowi. A ponieważ Karl-Heinz był jedynym męskim potomkiem swego niedomagającego ojca, pierworództwo powinno gwarantować mu dziedziczenie, wykluczając z wyścigu jego siostrę, księżniczkę Sofię.

Jednak tutaj zaczynały się komplikacje, specyficzne dla von und zu Engehviesenów, na które Karl-Heinz do tej pory nie zwracał uwagi. Książę Eustace zastrzegł bowiem wyraźnie, że muszą zostać spełnione

przynajmniej dwa warunki, nim najstarszy syn może otrzymać prawowite dziedzictwo.

Po pierwsze - co miało zapewnić całkowitą czystość krwi - Karl-Heinz musiał poślubić kobietę, która również pochodziła z rodu władców Świętego Cesarstwa Rzymskiego - co ograniczało pole manewru do garstki pańien na wydaniu.

Po drugie - owa żona musiała urodzić męskiego potomka przed śmiercią ojca Karla-Heinza, starego księcia.

Jeśli obydwie te warunki nie zostaną spełnione, dziedzictwo automatycznie przejdzie na najstarszego syna najbliższego krewnego. A tak się akurat składało, że siostrze Karla-Heinza, Sofii, i jej mężowi, hrabiemu Erweinowi, udało się wyprodukować prawdziwą armię krzepkich i niezwykle przystojnych, nawet jeśli niezbyt rozbudowanych książątek.

Tymczasem Karl-Heinz miał coraz mniej czasu. Jego ojciec, stary książę, był tak słabego zdrowia, że wątpliwe, by dożył swych następnych urodzin...

* * *

Teraz, kiedy promienie południowego słońca wpadały przez okna, Karl-Heinz zastanawiał się nad innymi możliwościami, a raczej ich brakiem. Stwierdził, że jeśli chce zabezpieczyć swe dziedzictwo, to po czterdziestu latach beztrudnego życia musi natychmiast zrezygnować ze statusu kawalerskiego, szybko znaleźć odpowiednią kandydatkę na żonę - w której żyłach płynęłaby błękitna krew - i modlić się do Boga, by arystokratyczna małżonka w rekordowym czasie powiła syna.

W myślach majaczyła mu złowrogo wizja Leopolda, żalośnie nadętego najstarszego syna księżniczki Sofii, przejmującego dziedzictwo, które według wszelkiego prawa należało się Karlowi-Heinzowi. Nie trzeba było bujnej wyobraźni, by przewidzieć, że ów siostrzeniec, beznadziejnie prowincjonalny, rozrzutny nieudacznik z niedorzecznymi pomysłami i bez odrobiny zmysłu do interesów, w ciągu jednego pokolenia roztrwoni cały majątek i zniszczy dzieło siedmiu stuleci. Karl-Heinz był świadkiem, jak taki los spotykał inne wielkie i potężne rody, i nie miał ochoty stać i patrzeć, gdy to samo przydarzy się jego rodzinie.

Dziś każdy rok z przeżytych czterdziestu ciążył Karl-Heinzowi niepomiernie. Westchnął ponuro. Rozmyślenia o Sofii i Leopoldzie zepsuły mu humor, sprawiając, że wysiłki jego całego życia wydały się bezcelowe.

Tak, zadumał się, jeśli wiem, co dla mnie dobre - a wiem! - moje dni playboya się skończyły. Zdecydowanie...

Przygnębiony tą myślą mógł się tylko zastanawiać nad własną głupotą, że tak długo zwlekał... może zbyt długo... by zabezpieczyć swe prawa.

Nadal rozmyślał o całej sprawie przy obiedzie, nie zwracając uwagi na Cesara, swego hiszpańskiego majordomusa, który, krążąc dyskretnie, czuwał nad całym posiłkiem - od sałatki z homara po świeżo zmieloną, parzącą usta kawę.

Ale sałatka z homara pozostała nietknięta, kawa zaś - wypita do połowy.

Jaśnie oświecony książę Karl-Heinz von und zu Engelwiesen stracił apetyt. Jak, jak, na Boga, pytał sam siebie, mógł być tak beznadziejnie głupi, tak niewybaczalnie lekkomyślny, by czekać aż do dziś, do dnia czterdziestych urodzin, by dojrzeć owo światełko? Doprawdy, taki kretyzizm mi nie przystoi! - pomyślał z gorzkim wyrzutem kogoś, kto wygrał los na loterii, ale zapomniał zgłosić się po odbiór wygranej.

Musi nadrobić stracony czas - i to niezwłocznie!

Tak, pomyślał Karl-Heinz, niepokój zaprzęta głowę, nawet jeśli nie ciąży jej korona...

CEL:

OPERACJA BURGHLEY

Wstępne odliczanie

Mężczyzna wspiął się po szerokich, marmurowych stopniach i wszedł do reprezentacyjnego holu. Z lewej strony było wejście do właściwej sali aukcyjnej; z prawej znajdowały się wyłożone dywanami galerie wystawowe Burghleya, amfilada przestronnych wnętrz, które mogły być dzielone lub łączone, w zależności od potrzeb, dzięki ruchomym ścianom działowym.

- Słucham pana? - spytała znudzona panienka, stojąca za kontu-
arem.

Była jedną z trzech niezwykle chudych, wyjątkowo eleganckich i szczególnie szybko zmieniających się niedawnych debiutantek, które przy wejściu sprzedawały książki, katalogi, czasopisma i drogie publikacje, drukowane na specjalne zamówienie Burghleya.

- Chciałbym kupić egzemplarz *Attractions* - powiedział.

- Numer listopadowo-grudniowy? - Uniosła idealnie wyskubane brwi. - Czy bieżący, wrześnieowo-październikowy?

- Listopadowo-grudniowy. I, jeśli jest, styczniowo-lutowy.

- Strasznie mi przykro, ale ukaże się dopiero za półtora miesiąca.

- W takim razie zadowolę się listopadowo-grudniowym.

Dziewczyna odwróciła się do regału z czasopismami i sięgnęła po egzemplarz *Attractions*, okazałych rozmiarów magazyn na błyszczącym papierze, zawierający przegląd przyszłych imprez Burghleya na całym świecie.

- Czy życzy sobie pan jakiś katalog? - spytała. - Właśnie przysłano nam nowe, obejmują okres do końca roku.

- Nie, dziękuję - powiedział.

- W takim razie należy się dwadzieścia dolarów.

Mężczyzna wyjął portfel, wyciągnął z niego szeleszczącą dwudziestkę i wręczył ją eleganckiej sprzedawczyni. Wbiła kwotę do kasy, wsunęła dwa arkusze purpurowej bibułki do małej, srebrnoszarej torby z napisem BURGHLEY ROK ZAŁOŻENIA 1719, wydrukowanym czerwonymi literami, a potem włożyła do środka czasopismo.

- Proszę. - Podając klientowi torbę przez ladę, uśmiechnęła się automatycznie.

Gdy tylko mężczyzna znalazł się znów na Madison Avenue, wyjął magazyn z torby, zwinął go w ścisły rulon i wsunął do kieszeni płaszcza, torbę zaś zgniótł wraz z bibułką w kulkę i wrzucił do pojemnika na śmieci, stojącego na rogu. Nie chciał, żeby ktoś widział, jak niesie torbę od Burghleya - zbyt rzuciła się w oczy, a w jego profesji zwracanie na siebie uwagi nie tylko było niewskazane, lecz wiązało się również z ryzykiem, na które nie mógł sobie pozwolić.

Był kryminalistą, który odniósł największy sukces na świecie, tylko nikt o tym nie wiedział.

I człowiek ów chciał, żeby tak pozostało.

Wybitny strateg, nie osiągnął tego, co miał, wyróżniając się w tłumie, czy zawierając cokolwiek szczęściu. Wprost przeciwnie. Jego naczelną zasadę postępowania stanowiła ostrożność, a trzymanie się w cieniu było wypróbowaną metodą. Zbyt sprytny, aby otwarcie zadawać się z podobnymi sobie, nie miał oporów, jeśli chodzi o korzystanie z usług wysoce doświadczonych kryminalistów, kiedy tego potrzebował.

W takich przypadkach postępował tak, jak w Macao - zlecał szczegóły współpracownikowi, który wszystkiego pilnował, podczas gdy on sam rozsądnie zachowywał dystans i pozostawał bezpieczny, niewidzialny, głęboko w cieniu. Melodramatyczny czarny ubiór, do którego uciekał się podczas rzadkich okazji, kiedy rozmawiał ze swym posłańcem, nie był przesadą, tylko koniecznością.

Tajemnicę jego sukcesów stanowiło zawsze to, że nikt - nawet jego własny zastępca - nie mógł go zidentyfikować jako człowieka, kierującego z ukrycia całym przedsięwzięciem, gdyby cokolwiek poszło nie tak, jak należy.

Do tej pory takie połączenie anonimowości z ostrożnością nigdy go nie zawiodło. Nie figurował w kartotekach ani Interpolu, ani FBI, ani Sarete, ani Scotland Yardu bądź żadnego wydziału policji na świecie nawet za tak drobne przewinienie, jak złe parkowanie.

Obdarzony fotograficzną pamięcią, nigdy nie zostawiał śladów, był mistrzem w praniu pieniędzy i właścicielem setek milionów dolarów, przezornie ulokowanych w złocie, brylantach i aktywach należących do

wielu fikcyjnych firm, powiązanych ze sobą, lecz niemożliwych do wyśledzenia, które genialnie inwestowały walory, oraz umieszczonych na licznych kontach bankowych w Lichtensteinie, na Wielkich Kajmanach i wyspie Jersey.

Nie trzeba dodawać, że już dawno mógł przejść na emeryturę i żyć w niewyobrażalnym luksusie. Jedyнным powodem dla którego nadal pracował, było to, że naprawdę lubił mijać się z prawem.

Teraz, w środku planowanego występu na bis - swego największego i najśmielszego skoku - największą wagę przywiązywał do tego, by w kronikach dziejów nie zapisał się on jedynie jako przestępstwo roku czy dziesięciolecia.

Nie, to musi być przynajmniej skok stulecia, ukoronowanie całej działalności kryminalnej; jego chwalebny łabędzi śpiew, nim odejdzie w stan spoczynku i dołączy do świata praworządnych obywateli.

Ale najlepsze to, że będzie mógł żyć spokojnie, jako ktoś poza wszelkimi podejrzeniami, i przyglądać się, jak policja szuka wokoło, nadaremnie próbując złapać nieuchwytnego organizatora. Nigdy nie trafią na jego ślad - z tej prostej przyczyny, że nie istniał, przynajmniej jako kryminalista.

A to, pomyślał z satysfakcją kogoś, kto poświęcił całe życie na mierzenie się z facetami w białych kapeluszach, to szczyt dobrego smaku.

9.

Kenzie mieszkała w budynku bez windy przy Wschodniej Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy, gdzie zajmowała lokal od podwórka na drugiej kondygnacji czteropiętrowej, ongiś jednorodzinnej kamienicy z piaskowca, w której już dawno temu wydzielono dziesięć mieszkań do wynajęcia.

Kuchnia, mniej więcej z lat dwudziestych, była malutka, wyposażona w mikroskopijną kuchenkę gazową, piekarnik, gdzie ledwo mieściły się dwa kurczaki, plus staruteńką lodówkę z zamrażarką, mniej więcej w tym samym wieku, co tydzień wymagającą odmrażania. Ale Kenzie to nie przeszkadzało.

W pokoju miała czynny kominek, który starannie oczyściła ze stuletniej warstwy farby, dwa okna wychodzące na podwórko i stosunkowo wysoki sufit. Na dodatek ściany były grube, sąsiedzi spokojni, a w mieszkaniu znajdowały się jeszcze dwie malutkie sypialnie - rzadkość na Manhattanie - wszystko to przy miesięcznym stałym czynszu wynoszącym osiemset dwadzieścia trzy dolary i dwadzieścia osiem centów.

Idealne lokum dla dwóch osób - było to jednym z powodów, że mieszkanie od razu wydało, jej się atrakcyjne. Jednak trzy miesiące temu jej współlokatorka zrezygnowała z licznych przyjaciół na rzecz dentysty o rozległej praktyce i przeniósła się na bardziej zielone niwy małżeństwa i hrabstwa Westchester. Nie mając nikogo zaufanego, z kim mogłaby dzielić komorne, opłaty za gaz, prąd i telewizję kablową, Kenzie musiała ograniczyć swoją największą pasję - zakupy na aukcjach.

Miała niesamowity dar wyławiania „okazji” - tych przedmiotów na licytacjach, które zostały albo błędnie ocenione przez innych nabywców,

albo też całkowicie przez nich przeoczone. W ten sposób udawało jej się kupować skarby za przysłowiowe grosze, zanim owe przedmioty właściwie oszacowano, i albo odsprzedawała je z godziwym zyskiem, albo zatrzymywała dla siebie, by móc się nimi cieszyć.

Dzięki temu Kenzie jakoś wiązała koniec z końcem, zapelniając mieszkanie kolekcją zdumiewająco wspaniałych, nawet jeśli eklektycznych dzieł sztuki i antyków - co stanowiło luksus, dostępny jedynie bogatym, a nieosiągalny dla młodej mieszkanki Manhattanu, utrzymującej się ze skromnej pensji, wypłacanej przez Burghleya - jako że w opinii dyrekcji praca w owej firmie była zaszczytem, który więcej niż z nawiązką miał wynagradzać skromne uposażenie personelu.

Tak, jakby za splendor można było kupić coś do jedzenia! - myślała ironicznie Kenzie, ściskając starannie owiniętego Zuccaro między nogami, kiedy mocowała się z pięcioma solidnymi zamkami Ficheta w drzwiach wejściowych - najmądrzejszą inwestycją każdej samotnej mieszkanki miasta.

Kiedy znalazła się w środku, zatrzasnęła drzwi dobrze wyćwiczonym pchnięciem bioder i ledwo skończyła zamykać piątą, ostatni zamek, kiedy poczuła mrowienie na skórze karku.

Nie jesteś sama! - zaalarmował ją wyostrzony szósty zmysł.

Poczuła, jak żołądek podchodzi jej do góry; w gardle urosła jej twarda gula. Wolno i ostrożnie odwróciła się, słysząc w uszach głośny szum.

- Witaj, ślicznotko!

Charley Ferraro posłał jej całusa, błyskając swymi oślepiająco białymi zębami.

- Charley! - odezwała się z naganą w głosie. - Boże! Wiesz, jak napędzić dziewczynie stracha!

Teraz, kiedy się okazało że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, nie wiedziała, czy powinna odczuwać ulgę czy złość.

Zwyciężyła złość, szczególnie że mężczyzna zachowywał się, jakby był u siebie.

Niedbale skrzyżowawszy pod głową muskularne ręce, wygodnie rozwalił się na pokrytej aksamitem kanapie w stylu Napoleona III, z niezliczonymi frędzlami i chwastami - mebel bardziej odpowiedni dla odaliski niż dla mężczyzny, którego silne, wyćwiczone w nowojorskiej policji ciało nie było przykryte żadnym ubiorem, poza kusymi, śnieżnobiałymi slapkami.

- A co ty, do diabła, tutaj robisz? - spytała rozzłoszczona. - Pomijając to, że próbujesz mnie śmiertelnie wystraszyć?

- Prawdę mówiąc - odrzekł beztrąsko, poruszając palcami u nóg - nie ruszyłem się stąd ani na krok. Powiedziałem ci, że mam wolne, zapomniałaś?

Widząc wściekłą minę dziewczyny, usiadł prosto; na jego twarzy pojawiła się szczerza troska.

- Ejże, co się stało, mała? Nie wyglądasz na zbyt zachwyconą moim widokiem. Miałaś ciężki dzień?

Zmęczona i zrezygnowana Kenzie osunęła się na kolana, pozwalając, by jej torba opadła na podłogę. Wzięła głęboki oddech, zatrzymała powietrze w płucach przez całe dziesięć sekund, a potem wypuściła je tak gwałtownie, że mocny wydech poruszył jej czarne kosmyki na czole.

Cholera! Dziś wieczorem ani nie chciała, ani nie potrzebowała towarzystwa Charleya. Zamierzała przez godzinę napawać się widokiem Zucaro - nie zaś bezsprzecznie wspaniałego i jak wyrzeźbionego ciała Charleya Ferraro - nim zacznie się szykować do swego pierwszego w życiu przyjęcia pośród wyższych sfer w Met.

Położyła obrazek na półokrągłym stoliku obok drzwi, umieściła klucze w zielonej, glazurowanej misie z dynastii Han, a potem zwróciła się w stronę mężczyzny, z rękami na biodrach, szeroko rozstawiwszy nogi.

- Wynos się, Charley! - odezwała się cicho.

- Słucham? - Udał, że palcem wskazującym usuwa z ucha nieistniejącą woskowinę. - Mała, czyżbym usłyszał...

- Charley - przerwała mu niewzruszona - ogłuchłeś? Powiedziałam: wynos się! I to już! - Dwa razy głośno klasnęła w ręce. - *Vamanos!*

Zrobił odpowiednio zaskoczoną minę, próbując z tonu Kenzie ocenić, na ile poważnie mówi.

- Och, daj spokój, mała! - rzucił przymilnie.

Podparł się na łokciu i patrzył na nią nieco zaskoczony, nie traktując serio tego, co się stało i jak zwykle licząc na swą powierzchowność i urok osobisty.

- Chyba nie mówisz tego poważnie - dodał, lekko dotknięty.

- Tak? - odparła. - Przekonaj się!

Wzięła swój prezent, rozerwała papier, w który był zawinięty, podeszła do kominka i umieściła obraz na gzymsie, poprawiając, póki nie stał zupełnie prosto. Kiedy się odwróciła, przyłapała Charleya, jak z nieukrywanym znanstwem przygląda się jej pupie.

- Domyślasz się, o czym superwacuś myślał cały dzień? - zapytał, poruszając brwiami jak Groucho Marx.

- Superwacuś! - Kenzie przewróciła oczami. - Chyba sobie kpisz!

Usiadła na krześle z epoki Ludwika Filipa i zaczęła rozwiązywać sznurówadła; kiedy kopnęła w kąt swoje reeboki i wstała, Charley objął ją silnymi, muskularnymi ramionami.

Odepchnęła go.

- Łapy przy sobie, skarbie! - powiedziała znużona. - A skoro przy tym jesteśmy, czemu nie poszukasz swojej garderoby, nie ubierzesz się i nie pójdziesz do domu? Co?

Charley Ferraro zmarszczył swą przystojną twarz; nie był przyzwyczajony do takiego traktowania przez przedstawicielki płci odmiernej.

- No więc? - Kenzie patrzyła na niego bez litości. Mocniej zmarszczył czoło.

- Tak mi dziękujesz za uratowanie przed KP? - spytał.

- KP? - Szybko zamrugała powiekami. - Cóż to? Czyżbyśmy się nagle znaleźli w siłach zbrojnych?

- Cóż, jesteś wojskowym dzieciakiem, czyż nie? I nie chcesz gotować, prawda? - Kiedy nie odpowiedziała, dodał z zadowoloną miną: - Tak pomyślałem i dlatego zadzwoniłem po żarcie. Powinni przynieść lada chwila. Twoje ulubione, birmańskie. - Skorzystał z okazji, by posłać jej zniewalający uśmiech. - Nadal uważasz, że można mi się oprzeć?

- Szczerze mówiąc, tak. - Kenzie pozostała nieugięta. - I to bez większego wysiłku.

Z twarzy Charleya zniknął uśmiech.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć - odezwał się wolno - żebym się zmywał... co?

- Właśnie dokładnie to robię - oznajmiła słodziutkim tonem.

Do diabła! To się zdarzyło pierwszy raz! Nigdy wcześniej go tak nie potraktowała!

- Nie wydaje ci się, że winna mi jesteś wyjaśnienie? - spytał zirytowany.

Położyła obie ręce na biodrach.

- Charley - zapytała z westchnieniem - czy nie przyszło ci do głowy, że mogę mieć inne plany?

Zamrugał oczami, wyraźnie zaskoczony.

- W takim razie, czy mogę spytać, co to za plany? Czy też za wiele żądam?

- Skądże znowu! - odpowiedziała wielkodusznie. - Zostałam zaproszona na przyjęcie towarzyskie do Met. Do muzeum, nie do opery.

- Patrzcie, patrzcie! A wydawało mi się, że masz w nosie wszystkie te pretensjonalne imprezy.

Kenzie wzruszyła ramionami.

- Może zmieniłam zdanie.

Spojrzał na nią z wojowniczą miną.

- A z kim idziesz, jeśli wolno spytać?

W tym momencie niemal prześwidrowała go spojrzeniem na wylot.

- Nie twój interes - wycedziła zimno.

Powiedziawszy to, zaczęła zbierać poszczególne części garderoby Charleya i po kolei rzucać nimi prosto w niego.

Zaskoczony i zmieszany, przycisnął ubrania do piersi jedną ręką.

- Chryste! - mruknął. - Co w ciebie wstąpiło?

- We mnie? - spytała. - Nic.

- Nic? - Wyciągnął rękę, złapał Kenzie za ramię i przyciągnął do siebie. Przycisnął biodra do jej ud, spojrzał prosto w oczy i spytał: - Jak to: nic? - W kącikach jego ust pojawił się figlarny uśmiech.

Musiałyby być nieprzytomna, żeby nie poczuć nabrzmiałego, pulsującego członka, który ledwo się mieścił w slipach. Charleyowi Ferraro można było zarzucić różne rzeczy, ale z pewnością nie impotencję.

- Widzisz, co ze mną robisz? - szepnęła ochryple, przyciskając się do niej jeszcze mocniej.

Twarz Kenzie pozostała obojętna, ale jej bursztynowe oczy zabłysły jak u kotki. Nawet jeśli on był gotów, tym razem ona z całą pewnością nie.

- Charley, Charley, Charley... - Westchnęła i delikatnie, zgrabnie wsunęła palce w slipki i lekceważąc jego twarde przyrodzenie, objęła dłonią najwrażliwsze miejsce wszystkich mężczyzn: mosznę. - Czego trzeba, żebyś się w końcu nauczył?

- Czego nauczył?

- Tego - oświadczyła.

I uśmiechając się słodko z całej siły ścisnęła mu jądra. Reakcja mężczyzny była łatwa do przewidzenia.

- Jezu! - krzyknął, upuścił ubranie i niemal się uniósł w powietrze.

Kenzie zwolniła ucisk, cofnęła rękę i zrobiła krok do tyłu. Skrzyżowała ręce na piersiach i przyglądała się, jak Charley, zasłoniwszy obydwoma dłońmi krocze, wykonuje skoczny taniec.

Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

- Dlaczego mi to zrobiłaś? Zupełnie ci odbiło?

Nadal uśmiechając się słodko, Kenzie odpowiedziała:

- Uznajmy, że to tylko gra wstępna, dobrze? - Przechyliła głowę na jedną stronę. - Myślę, że superwacuś pragnął doznać całej gamy nowych wrażeń.

Gniewnie pozbierał swoje rzeczy z podłogi i zaczął się pospiesznie ubierać.

- Dosyć tego! - zawołał oburzony. - Zmywam się!

Nawet nie skończywszy zapinać spodni, wsunął buty pod pachę, podbiegł do drzwi, otworzył pięć zasuvek i w rekordowym czasie zbiegł na bosaka ze schodów.

- I chwała Bogu! - wykrzyknęła za nim Kenzie.

Z całej siły zatrzaskała drzwi, zamknęła zamki i klasnęła w dłonie, jakby otrzepywała brud lub gratulowała sobie dobrej roboty. Oto dowód, że cel można osiągnąć na wiele sposobów! - pomyślała.

- Mężczyźni! - prychnęła. - Nigdy się niczego nie nauczą!

Drgnęła, kiedy rozległ się dzwonek domofonu. Odwróciła się wściekła i nacisnęła guzik interkomu.

- Niech cię diabli, Charley! - wrzasnęła do mikrofonu. - Czego trzeba, by to do ciebie dotarło?

Nastąpiła chwila ciszy, potem zaś rozległ się spokojny głos Azjaty, mówiącego zupełnie jak Arnold Li, kiedy się zgrywał.

- Dostawa!

Kenzie uderzyła się dłonią w czoło.

- Cholera! - zakłęła pod nosem. Zupełnie zapomniała, że Charley zamówił jedzenie w birmańskiej restauracji. Teraz to ona będzie musiała zapłacić rachunek!

Nacisnęła guzik otwierający drzwi do budynku i pomyślała: Wielkie dzięki, superwacusiu! Cholerne dzięki za wszystko!, a potem zaczęła szukać w torbie portfela. Pomiędzy dniami wyplat był przygnębiająco cienki. Miała przy sobie trzy dziesiątki, trzy piątki i trzy banknoty jednodolarowe.

Rozległo się ciche, ostrożne pukanie. Starając się opanować, Kenzie jeszcze raz odsunęła wszystkie zasuwki i otworzyła drzwi.

Na schodach stał grzeczny młody Azjata, trzymając przed sobą wielką torbę z brązowego papieru.

- Dzień dobry - powiedział, kłaniając się uniznienie.

- Ile? - spytała z westchnieniem.

- Czterdzieści cztery dziewięćdziesiąt trzy. - Z miłym uśmiechem wskazał rachunek przypięty do torby, a potem niezwykle grzecznie go jej wręczył. W zamian dała mu całą zawartość portfela.

- Reszty nie trzeba - powiedziała. - I dziękuję. Ukłonił się grzecznie.

- Dziękuję.

Kenzie zamknęła drzwi i po raz trzeci zasunęła zasuwki, marszcząc

nos, kiedy poczuła zapach birmańskich potraw. Po raz pierwszy do ust nie napłynęła jej ślinka, tylko żołądek wywrócił się na drugą stronę. Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że wydała wszystkie pieniądze na życie do końca tygodnia. Przez kilka dni będzie zmuszona jeść birmańskie dania, wyrzuciwszy wołowinę *satay* i wieprzowinę *chayóte*. Za nic nie tknęłaby czerwonego mięsa.

Pokuśtykała do kuchni, włożyła torbę do lodówki i zatrzasnęła drzwiczki.

- Wielkie dzięki, superwacusi! - mruknęła, a potem dodała: - Superwacuś, dobre sobie!

10.

Jego sypialnia, jej sypialnia.

Państwo Goldsmith mieli oddzielne apartamenty, co odpowiadało im obojgu.

Robert zasmradzał pokój dymem cygar, kiedy do późna w noc czytał sprawozdania finansowe, a potem chrapał jak byk z przerośniętym trzecim migdałkiem. Dina nie znosiła dymu cygar, nie mogła też żyć bez dziewięciu godzin niczym niezakłóconego snu.

On nieodmiennie budził się po czterech godzinach, napalony jak wszyscy diabli. Nie lubiła być niepokojona w samym środku słodkich snów, a już z pewnością nie przez owłosionego, studwudziestokilogramowego maniaka seksualnego, który miał wszystko obwisłe z wyjątkiem kutasa.

W rezultacie już dawno osiągnęli porozumienie odpowiadające obu stronom: sypiali w osobnych sypialniach i ustalili pory małżeńskich zbliżeń. Poza tym każde w inny sposób zaspokajało owe najbardziej pilne potrzeby.

Robert miał swoje ciążutki (jak określał Bambi Parker i jej liczne poprzedniczki), jak również niezawodną prawicę oraz stos filmów pornograficznych, Dina miała swój wibrator i własny, głęboko schowany zbiór kaset wideo, na których pojawiali się - jakżeby inaczej? - młodzi, zgrabni, muskularni młodzieńcy owłosieni tylko w dwóch miejscach.

Oczywiście jeśli pani Goldsmith bardzo czegoś chciała, chętnie łamała ustalone reguły, a dokładnie wiedziała, który guzik nacisnąć, by uzyskać od męża to, na czym jej zależało.

Tamtego wieczoru kwadrans po szóstej Robert wyłączył liczne dysze w swej białej, kabine prysznicowej i owinał się białym bawełnianym prześcieradłem kąpielowym, zawiązując je wokół brzucha niczym olbrzymi

sarong. Wyglądał zupełnie jak jeden z dawnych aga chanów lub - żeby nie sięgać zbyt daleko w przeszłość - przeciętny bywalec nadmorskiego państwowego sanatorium gdzieś w byłym Związku Radzieckim.

Nie, żeby mu przeszkadzał własny wygląd - gdyby tak było, coś by z nim zrobił. Prawdę mówiąc, już dawno temu pogodził się ze swą tuszą. Jeśli inni uważali, że wygląda odrażająco - ich sprawa. Otyłość nigdy mu nie przeszkadzała w życiu erotycznym, szczególnie jeśli się pamięta, że mając wystarczająco dużo forsy, można przypominać słonia, a i tak otrzymuje się swój przydział.

Pan Goldsmith wybrał cygaro ze szczelnego pojemnika stojącego w łazience, powąchał je, potrząsnął nim przy uchu, potem odciął koniec, srebrną obcinarką. Zapalił je i zaczął wydmuchiwać dym, mocując się z kurkami ze złota i górskiego kryształu, które Dina uparła się zainstalować przy umywalce, a których nie znosił.

Przekłete wymysły! Za każdym razem, kiedy je odkręcał, tęsknił za zwykłymi, staromodnymi chromowanymi kranami - uczciwą armaturą, którą handlowano w dziale artykułów instalacyjnych w każdym sklepie GoldMart w całym kraju. Za takimi, jakie znał od dni swojej młodości. Można je było naprawić przy użyciu zwykłego klucza francuskiego, a nie całego zestawu specjalnych, wymyślnych narzędzi.

I właśnie takie chcę mieć znów! - pomyślał kapryśnie, wyciskając na dłoń niezwykle dużą porcję kremu do golenia. O irytacji Roberta na myśl, że oto musi się golić drugi raz w ciągu dnia, świadczyła gwałtowność, z jaką rozprowadził krem na twarzy. A wszystko przez to przekłete zaproszenie w ostatniej chwili do Met!

Gniewnie prychając zaciągnął się cygarem, a niebieski dym zmieszał się z parą, tworząc gęstą, gryzącą chmurę, z którą dawało sobie radę jedyne pożyteczne urządzenie w łazience - wielkie, regulowane, nie zaparowujące lustro.

Przyjęcia! Jakże ich nienawidził. Dina natomiast, mój Boże, po prostu je uwielbiała! Ale nie mógł zrozumieć, czemu nie robiła tak, jak inne żony bogaczy i nie przygadała sobie jednego z owych bawidamków, by jej towarzyszył - podobnie jak nie potrafił zrozumieć, jak mogła poświęcać cały czas na życie towarzyskie i obracać się pośród zgrai zakłamanych snobów, którzy mieli ją w nosie.

No cóż, zrobi to, co zawsze podczas takich imprez. Poczeką do końca obiadu, a potem znajdzie sobie jakiś cichy kącik, gdzie dołączy doń pięciu czy sześciu podobnych jemu pokrewnych dusz - samych dorobkiewiczów-miliarderów, których młode żony ciągały na przyjęcia jak Dina jego. Zapalą cygara i będą sobie opowiadali pieprzne dowcipy. I

nieuchronnie zaczną wspominać „dawne, dobre czasy”, kiedy byli głodnymi, młodymi macherami z kilkoma centami i wielkimi marzeniami. Czasy były wtedy ciężkie, ale życie - ta niewiarygodna podróż pełna niespodzianek - nieskończenie bardziej interesujące, bardziej podniecające, a przede wszystkim bardziej satysfakcjonujące niż kiedykolwiek!

Pograżony w myślach, Robert nie zauważył, że drzwi do jego łazienki lekko się uchyliły. I że przez szparkę spoglądają na niego przymrużone błękitne oczy.

* * *

Dina szybko cofnęła się do garderoby pełnej luster. Jej usta tworzyły wąską linię. Widziała dosyć. A właściwie więcej niż chciała.

W ubraniu, jej mąż nie prezentował się apetycznie. Ale rozebrany...

Natychmiast odrzuciła jakiegokolwiek tego typu myśli, gdyż było to absolutnie błędne podejście do sprawy. Wiedziała z doświadczenia, że obrażenia zawsze są przykrzejsze niż rzeczywistość. Niespodziewanie jednak opadły jej kąciki ust. Nie, to nie do końca prawda. Rzeczywistość bywa gorsza. Znacznie gorsza...

Odkładając nieuchronne, spojrzała na swe odbicie w lustrze na drzwiach garderoby.

To, co zobaczyła, sprawiło, że się skuliła.

Miała na sobie różową trykotową górę z cienkimi ramiączkami, obszytą białą koronką, oraz białe, koronkowe majteczki z dziurą w kroku, a we włosach wielki, biały pompon. Wokół palca wskazującego owinęła czerwoną wstążkę, na końcu której wisiało wielkie, wypchane serce z czerwonej satyny z wyhaftowanym słowem: „Tatusiek”.

Dina mogła tylko z niedowierzaniem pokiwać głową. Naprawdę było to wprost absurdalne. Kobieta w jej wieku, przebierająca się za laleczkę! Zupełnie nie mieściło jej się w głowie, jak coś takiego mogło podniecać dorosłego mężczyznę.

Jednak jeśli tak trzeba, to trudno.

Z determinacją zacisnęła usta i obciągnęła głęboko wycięty trykot, tak, że jej wydatne piersi z truskawkowymi brodawkami znalazły się na wierzchu. Przesunęła językiem po ustach, by je zwilżyć. Potem, odrzucając resztki dumy, chwyciła za połączoną galkę u drzwi i wsunęła się do łazienki męża, w której panowała wilgoć jak w dżungli.

Stał, zaciskając cygaro w zębach, z głową w obłoku dymu i pary, tak pochłonięty goleniem, że nawet nie zauważył Diny - przynajmniej, póki nie otworzyła ust.

- Tatuśku! - odezwała się cichutko swym najbardziej dziecinnym głosem.

Przygotowała się w najdrobniejszych szczegółach: wydęte usta, sztuczne rzęsy, nawet piegi na nosie, narysowane kredką.

- Dzidzia chce!

Robert odwrócił głowę, a potem znów spojrzął w lustro, nim powtórnie rzucił okiem na żonę. Niemal udławił się cygarem.

Stała na progu, szeroko rozstawiwszy nogi, z palcem w ustach, obracając się to w jedną stronę, to w drugą jak sześciolatka dziewczynka.

Robert wiedział, co w życiu jest najważniejsze. Rzucił cygaro i brzytwę do jaspisowej umywalki, nieświadomy, że zaciął się w brodę, i wprost pożerał Dinę oczami, machinalnie oblizując usta.

Jeśli nawet nie zdradziłby go wyraz twarzy, to salutujący wacuś, unoszący przód prześcieradła kąpielowego, z pewnością rozwiał wszelkie wątpliwości.

- Ej, dziecinko! - powiedział ochryplym głosem, pozwalając, by biała płachta opadła na podłogę i wyciągnął ręce. - Chodź do tatuśka, dziecinko.

Dina wyjęła palec z ust i pomachała czerwonym satynowym sercem w przód i w tył, udając niezdecydowaną sześciolatkę, w końcu spojrzała spod skromnie opuszczonych rzęs.

- Mała córeczka tatusia czegoś by chciała!

- W takim razie to szczęśliwy dzień małej córeczki! - Robert spojrzął poniżej swego brzucha. - Widzisz? Spójrz, jaką niespodziankę ma tatuś dla swojej dziecinki.

Spojrziała, udając ciekawość, na gruby, obrzezany członek z dziwacznie asymetrycznym fałdem skóry i jak zwykle pomyślała, że ktoś spartaczył robotę.

Udając wielką ochotę, oblizwała usta i podeszła do męża.

- Mogę, tatuśku? - Spojrzała na niego błagalnie wielkimi oczami. - Proszę!

Robert A. Goldsmith nie bawił się w grę przedwstępną, o, nie! W jednej chwili Dina stała, a w następnej klęczała już u jego stóp.

Sapiąc ciężko, rozsunął szeroko nogi, oparł się o brzeg umywalki, wypiął biodra do przodu i rzucił tylko jedno słowo:

- Zaczynaj!

Pokonując obrzydzenie, tak jak wcześniej przemogła dumę, otworzyła usta i objęła nimi jego penis. Ale pilnowała się, by nie dotknąć żadnej innej części ciała męża, ani nawet nań nie spojrzeć. Jak wszystkie kobiety

(i niektórzy mężczyźni) wiedziała, że kiedy facet jest podniecony, ma rozum nie w głowie, tylko między nogami.

Ale najpierw musiała go doprowadzić niemal do orgazmu. Zaciśnęła usta na członku Roberta i przystąpiła do dzieła.

Była zimna i opanowana. Po prostu nie potrafiło jej to podniecić; kochanie się z mężem było albo obowiązkiem, albo orężem bądź też sposobem uzyskania czegoś, czego pragnęła.

Boże! Łzy zaczęły jej napływać do oczu, a usta tak zdrętwiały, że ledwie je czuła. Jak długo jeszcze będzie to trwało? Robert sapał coraz głośniej; doprowadziła go niemal do takiego stanu, o jaki jej chodziło.

Już wkrótce, pocieszała się. Jeśli teraz nie przerwę, nastąpi to lada moment...

Na ułamek sekundy przed tym, nim osiągnął orgazm, przestała ssać jego członek i wypuściła go z ust.

- Dlaczego przestałaś, do cholery! - wycedził Robert ze złością.

Dina uniosła głowę i spojrzała na swego męża, udając najlepiej jak umiała ukochaną córeczkę tatusia. Właśnie na tę chwilę czekała.

- Dziecinka ma prośbę do tatuśka.

Zatrzepotała sztucznymi rzęsami i wysunęła koniuszek języka na tyle, by utrzymać wzwód członka, niczym pies ciągnący smycz.

- Tak? - zachrypiął, straciwszy resztkę rozsądku, pragnąc jedynie zaspokoić fizyczną potrzebę. - Co to za prośba?

Spuściła głowę i jak dziecko wykręciła ręce.

- Najmilszy gość dziecinki potrzebuje pomocy!

- Najmilszy gość dziecinki to kutasek tatuśka! - Robert zaśmiał się tubalnie.

- Dziecinka ma na myśli kogo innego: Zandrę. Proszę, tatuśku! Bardzo proszę! Potrzebna jej praca.

- Praca? - spytał nieprzytomnie. - Jaka praca?

- W nowej firmie tatuśka - powiedziała Dina, z wprawą używając koniuszka języka dla uwiarygodnienia swych słów. - Zandra wie wszystko o dawnych mistrzach!

Dawni mistrzowie! Rozległy się ostrzegawcze dzwonki i nagle Roberta oblał zimny pot. O, cholera, pomyślał. Wszystko, tylko nie to! Nie to!

Pan Goldsmith mógł mieć rozum między nogami, ale to nie oznaczało, że całkowicie stracił głowę. Cholera! Będzie musiał obiecać pracę najlepszej przyjaciółce żony w tym samym miejscu, w którym Bambi Parker, jego aktualna ciążutka, miała zostać szefową! Wystarczy, by te dwie się skumały, a on sam znajdzie się w tarapatach!

Odkładając na bok całą tę komedię z dziecinką, wiedział, iż jeśli Dina zaczęłaby mieć najmniejsze podejrzenia, że mąż ją oszukuje, podałaby mu jego własne jaja na talerzu - pokrojone, posiekane, zmielone i usmażone.

- Tatusiek się nad tym zastanowi - burknął, próbując odwlec nieuniknione. - A teraz zamknij się i bądź dobrą dziewczynką. Skończ to, co zaczęłaś!

Dina znów objęła ustami sterczący członek, doprowadzając go jeszcze bliżej orgazmu. Znów przerwała.

- Proszę, tatuśku! - powiedziała błagalnie. - Bardzo proszę!

Leciutko musnęła jego penis językiem.

I wtedy Robert się złamał - poznała to po jego bolesnym sapnięciu.

- No, dobrze - burknął, podejmując decyzję bynajmniej nie głową i mając przecucie, że może kiedyś tego pożałować, ale teraz było mu to obojętne.

- Och, dziękuję, tatuśku! - zapiszczała Dina i wpiła się ustami w jego rozpalony członek.

Nie minęło dziesięć sekund, a całym ciałem Roberta wstrząsnęło konwulsyjne drżenie i zalała go obezwładniająca fala cudownego spełnienia.

Dina zerwała się na równe nogi. Robert chwiał się, chwytając łapczywie powietrze, i zataczał od ściany do ściany, nim opadł ciężko na sedes. Był oklapnięty niczym balon, z którego uszło powietrze.

No cóż, jedno można powiedzieć o moim mężu, pomyślała zadowolona z siebie, kiedy biegła do swej łazienki, gdzie szybko wyplukowała usta. Kiedy raz da słowo, już się nie wycofa! Robert nigdy, przenigdy nie złamał obietnicy, bez względu na to, w jakich okolicznościach ją złożył. Nie pozwoliłoby mu na to szczególne poczucie honoru.

Bardzo chciała podzielić się dobrą wiadomością z Zandrą, ale spojrzawszy na emaliowany zegar łazienkowy stwierdziła, że po tym mało romantycznym, lecz koniecznym miłosnym interludium zostało jej niespełna czterdzieści pięć minut, by się wyszykować.

Dla większości kobiet to wcale nie tak dużo czasu, by zmyć rozmazany makijaż, wziąć prysznic, wysuszyć i ułożyć włosy, umalować się wyjściowo i ubrać. Jednak Dina Goldsmith nie była jedną z wielu; była kobietą jedyną w swoim rodzaju, a przy tym niezwykle przewidującą.

Po pierwsze, wcześniej przygotowała na łóżku wszystko, co chciała włożyć dziś wieczorem, łącznie z pantoflami, rajstopami, treską z jedwabistych włosów, brylantową klamrą i całą biżuterią.

Po drugie, jeśli chodzi o makijaż, też podchodziła do sprawy naukowo.

Po trzecie, w kwestii strojów pani Goldsmith była wyjątkowo pragmatyczna: żadna kobieta nie powinna nigdy nosić tego, czego nie można włożyć w ciągu pięciu minut; to samo dotyczyło makijażu.

Czterdzieści pięć minut później była gotowa. Włożyła opatentowany przez Darnin Industries biustonosz bez ramiączek i zapięcia na plecach oraz gładką, prostą suknię z białego jedwabiu z kolekcji Louisa Ferauda - by na jej tle ostrzej się odcinał żakiet z długimi rękawami od Yvesa St. Laurenta, ozdobiony złotymi liśćmi laurowymi pod szyją i w talii.

Wyglądała jak milion dolarów, ale miała ich na sobie przynajmniej dziesięć. Kto powiedział, że brylanty nie są najlepszymi przyjaciółmi kobiety?

Włożyła więc pierścionek z wielkim brylantem, ważącym sześćdziesiąt sześć i pół karata; a także osiem sznurków wielkich, okrągłych pereł (prawdziwych, nie hodowlanych), z tego rodzaju, jakie nosiła królowa Aleksandra w epoce króla Edwarda, z zapięciem - prawidłowo się domyślcie - wysadzonym brylantami. I na koniec kolczyki, okazałe perły, przymocowane do czterokaratowych diamentów w kształcie gruszki, podobnie jak perły.

Albo mój mąż, pomyślała z ironią Dina.

* * *

Zandra ubrała się na czerwono, biało i czarno.

Czerwona była jedwabna minispódniczka, naturalnie Diny. Białe zaś gorset i narzucona nań, góra od Lacroixa, inspirowane bielizną - również rzeczy Diny. Czarne miała koronkowe rajstopy, szpilki i rękawiczki do łokci, pożyczone - od kogo? - oczywiście od Diny. Ale wytarta, skórzana kurtka, którą Zandra włożyła na wierzch, należała do niej, podobnie jak wspaniała figura i kaskada włosów.

Wyglądała olśniewająco i wiedziała o tym. Do pasa Frederick's of Hollywood, a dalej bywalczyni śródmiejskiego klubu, która została modelką, kobieta jedyna w swoim rodzaju, którą potrafiła stworzyć tylko angielska arystokracja - w każdym calu dama, ale modna, wesoła i absolutnie na bieżąco.

Zadzwoił telefon i Zandra drgnęła. Wiedziała, iż nie ma się co ludzi nadzieją, że to jej brat, ale jednak...

Złapała słuchawkę.

- Halo?

- Przyszedł do pani jakiś dżentelmen - oświadczył Julio wyniosłym tonem.

- Zaraz przyjdę - odpowiedziała, ciekawa, któż taki będzie jej towarzyszył dzisiaj wieczoru.

Wcześniej Dina stwierdziła: „Kochanie, wiesz, że nie możesz pójść sama. Kobieta bez towarzysza - to nie do pomyslenia! Musisz mieć partnera i znam kogoś odpowiedniego. Zostaw wszystko mnie!”

Zandra rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro i wyszła z pokoju. Julio zaprowadził ją sztywno do biblioteki. Otworzył drzwi i odsunął się, by mogła wejść do środka.

W pokoju pełnym książek czekał elegancki mężczyzna.

- Cześć! - rzucił, uśmiechając się promiennie i z wyciągniętą ręką ruszył przez wielkie pomieszczenie. - Nazywam się Lex Bugg.

Choć Zandra była zaledwie dzieckiem, kiedy w latach sześćdziesiątych stał u szczytu sławy, niemniej jego nazwisko obilo jej się o uszy; znała jego psychodeliczną sztukę w stylu żółtej łodzi podwodnej.

Choć nie należał do młodzików, odznaczał się niezaprzeczalnie męską urodą i był ubrany bardzo wizytowo, w byronowski surdut. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, mocną opaleniznę i garnitur oślepiająco białych zębów. Jasne, siwiejące włosy ściągnął do tyłu w kucyk. Spoglądał na nią zza przyciemnionych okularów, miał sylwetkę klasycznego pływaka i czterdzieści dziewięć lat.

Wyglądało na to, że Lex Bugg nieźle sobie radzi.

Potem, dostrzegłszy podłużny wisiołek z kryształu górskiego, dyndający mu na rzemyku na szyi, Zandra cichutko jęknęła. Mając nadzieję, że w najbliższym czasie nie czekają jej dyskusje o piramidach, kryształach i wędrówce dusz, uśmiechnęła się jednak pogodnie.

- Cześć, jestem Zandra - przedstawiła się.

Mocno uściśnięła jej dłoń, ale nie tak, żeby poczuła ból. Będąc niezwykle spostrzegawcza, nie mogła nie zwrócić uwagi na jego palce.

Nieprawdopodobne, zaledwie mała plamka farby widoczna była pod jednym wypielęgnowanym paznokciem. Zandra absolutnie nie miała pojęcia, jak mu się udawało malować, osiągając taki efekt.

Dwadzieścia minut później, po wypiciu drinków w bibliotece, Dina, Robert, Zandra i Lex Bugg wsiedli do białej, długiej limuzyny pani Goldsmith, którą wygodnie dojechali do znajdującego się kilka przecznic dalej Met.

11.

Kenzie włożyła lekko używaną kreację, wynalezioną w sklepie Armii Zbawienia.

Nie wiedziała, co ją napadło, by właśnie tamtego dnia wstąpić do tego właśnie sklepu, ale dziękowała swej szczęśliwej gwiazdzie, nie wspominając już o bystrych oczach, którymi zawsze wypatrzyła coś wyjątkowego. I właśnie wtedy trafiła jej się obcisła suknia bez rękawów, z żółtego jedwabiu, ze stanikiem wyszywanym kryształami górskimi, i taką samą chustą-płaszczem krzyżowca.

Trudno uwierzyć, że miała nietkniętą metkę domu mody Givenchy, a jeśli nie liczyć malutkiej plamki na staniku (dosłownie mikroskopijnej, którą można było ukryć artystycznie upinając chustę-pelerynę), była w idealnym stanie.

Givenchy! I to w sklepie Armii Zbawienia! Kto by uwierzył?

Kenzie początkowo sama nie wierzyła, a kiedy jeszcze spojrzała na cenę, jej zdumienie znacznie wzrosło. Nie wierząc własnym oczom, z wahaniem podeszła do kasy i spytała, ile kosztuje suknia. Ekspedientka obejrzała dzieło słynnego kreatora bez należnego mu szacunku, jakby to był jakiś bezwartościowy fatalaszek, i rzuciwszy obojętnie okiem na metkę, powiedziała: „Trzydzieści pięć.”

I córka pani Turner, która nie była idiotką, skorzystała z tej wyjątkowej okazji. Kupiła nie fabrycznie szyty wyrób konfekcyjny, ale najprawdziwszą toaletę z domu mody, która z pewnością trafiła tu przez pomyłkę i która musiała kosztować wielbicielek kreacji *Monsieur de Givenchy* ile? Trzydzieści pięć tysięcy? Czterdzieści?

Teraz, oglądając się ze wszystkich stron w dużym lustrze umieszczonym na drzwiach garderoby, Kenzie dziękowała dobrym bogom, którzy obdarzyli ją tak niesłychanym skarbem, nie zapominając o swej

krawcowej, która dopasowała suknie do jej figury.

O, tak. Dziś wieczorem na przyjęciu będzie mogła spokojnie zmierzyć się z najlepiej ubranymi, najbogatszymi kobietami z Manhattanu. Ani Nancy Kissinger, ani Lee Radziwiłł Ross, ani Nan Kempner, ani ta cała reszta niedożywionych anorektyczek z wyższych sfer nie będzie lepiej ubrana od niej. Nie miała wprawdzie biżuterii, ale cóż to szkodzi? A zresztą komu potrzebne drogie klejnoty przy tak szalowej kreacji, tak zapierającej dech, tak rozkosznej, że każda błyskotka byłaby jedynie dysonansem?

* * *

Kenzie, córka żołnierza, urodziła się i wychowała w bazach wojskowych. Dzieciństwo, a przynajmniej jego pierwsze piętnaście lat, spędziła w najróżniejszych fortach: Ord, Dix, Bragg, Bliss, Jackson i Leonard Wood - nie wspominając o dwóch bazach w Niemczech i jednej na Filipinach.

Pomimo zamieszania, jakie powstawało za każdym razem, kiedy pułkownika Turnera wysyłano na nowe miejsce, Kenzie nie przeszkadzały te wszystkie przeprowadzki. Jej matka, Rosemary, była jedną z tych utalentowanych żon wojskowych, które potrafiły przydzieloną im kwaterę, nawet najbardziej obskurną, przemienić w przytulny dom. W rezultacie Kenzie rosła w szczęśliwej rodzinie, w atmosferze pełnej miłości. Najmłodsza z czwórki rodzeństwa, miała trzech szalejących za nią starszych braci, noszących imiona po wybitnych wodzach wojskowych - Dwight D., George S, i Ulysses S.

Pomimo żołnierskiej krwi płynącej w żyłach Turnerów, Kenzie dość ostro zoczyła z kursu. Zainteresowała się sztuką - nigdy nie stwierdzono dlaczego, bo przecież bazy wojskowe nie są ostojami kultury. Ale dziewczynce nie można było odmówić uzdolnień, które ujawniły się już w dzieciństwie.

Początkowo chciała zostać artystką. Jeśli nie rysowała ani nie malowała, czemu poświęcała większość wolnego czasu, buszowała po bibliotekach i ślęczała nad wszystkimi książkami o sztuce, jakie wpadły jej w ręce.

A kiedy skończyła szesnaście lat, jej los został przesądzony - oczywiście przez Armię Stanów Zjednoczonych. Właśnie wtedy jej ojca przeniesiono do Presidio w San Francisco, o czym marzyli wszyscy wojskowi.

Jeśli chodzi o Kenzie, czuła się, jakby umarła i trafiła do nieba. Bo Presidio, duży, zalesiony kompleks w sąsiedztwie Golden Gate, niespodziewanie umożliwił jej dostęp aż do dwóch pobliskich muzeów - de Young i Pałacu Legii Honorowej. Teraz, nie musząc się ograniczać do studiowania reprodukcji obrazów w albumach i czasopismach, mogła w końcu napawać wzrok oryginałami.

Była oczarowana. Nie spodziewała się takiego mistrzostwa, bijącego ze wspaniałych płócien. Dostrzegła tam wszystko: siłę i kolor, ogień i lód, mieniące się wszystkimi barwami pociągnięcia pędzla, od śmiałych i pełnych rozmachu, po najdelikatniejsze i najsubtelniejsze muśnięcia.

Właśnie wtedy do szaleństwa zakochała się w dawnych mistrzach. I również wtedy stwierdziła, jak wielkie są jej braki, jak ograniczony i mierny talent. Po wielu rozterkach postanowiła, że skoro nie może być malarką, zostanie historykiem sztuki.

Będąc w ostatniej klasie liceum poinformowała swych rodziców, że chce się ubiegać o przyjęcie na uniwersytet Columbia. „Mają tam jeden z najlepszych wydziałów historii sztuki w kraju”.

Jej ojciec, widząc żarliwy ogień w oczach córki, powiedział: „Skarbie, wiesz, że bez względu na to, co postanowisz, twoja matka i ja zawsze cię poprzemy”.

Więc Kenzie wysłała swoje papiery do uniwersytetu Columbia i została przyjęta.

Dzień, kiedy przybyła do Nowego Jorku, był najbardziej podniecający w całym jej życiu. Nawet nie rozpakowała swoich rzeczy w akademiku, tylko od razu wybrała się na piesze zwiedzanie Manhattanu.

Przeszła centrum, przedmieścia, całe miasto; w Nowym Jorku wszystkiego było więcej. To największe, najbardziej niesamowite miejsce na całej ziemi dosłownie huczało i dudniło od nadmiaru energii.

Tutaj jest moje miejsce. Tutaj zdobędę sławę. Właśnie tutaj, w samym środku wszechświata... pomyślała podniecona.

Tutaj zdobędę sławę...

Te trzy słowa stały się mottem MacKenzie Turner; były jej credem, jej kotwicą, jej busolą przez najbliższych kilka lat.

Mając dyplom w ręku, wyprowadziła się z akademika do mieszkania w Chelsea, które wynajęła do spółki z koleżanką. Jednak znalezienie pracy w wybranej dziedzinie okazało się nie takie łatwe. Dosłownie armia innych absolwentów - wszyscy po wydziałach sztuki, wielu pochodziło z najświetniejszych rodzin i dzięki temu posiadało dodatkowe fory - bez pardonu walczyła o nieliczne, ale pierwszorzędne posady w różnych galeriach, muzeach i domach aukcyjnych.

Kenzie nie traciła jednak nadziei. Doszła do wniosku, że do Bożego Narodzenia, najdalej do Wielkanocy, szeregi świeżo zatrudnionych byłych debiutantek znacznie się przerzedzą: jedne wyjdą za mąż, inne nie będą się nadawały do tej pracy, wreszcie część zatęskni za swobodą. A na razie utrzymywała się, wykonując różne dziwne zajęcia, z których żadne nie było warte wzmianki.

Któregoś dnia przeczytała w niedzielnym *Timesie* w dziale „Potrzebna pomoc” ogłoszenie, które idealnie jej odpowiadało. Właściciel galerii specjalizującej się w malarstwie starych mistrzów szukał wykwalifikowanej asystentki.

Kenzie natychmiast napisała list, do którego dołączyła swój życiorys, i wysłała pod wskazany adres.

Dwa tygodnie później na sekretarce automatycznej zostawiono jej wiadomość. Dzwoniący przedstawił się jako pan Pickel Wugsby, „Pickel, z „el” na końcu”, i poprosił, by była tak uprzejma i przyszła do jego galerii na rozmowę następnego dnia o jedenastej.

Przybyła na miejsce dziesięć minut przed czasem. Wąski budynek przy Lexington Avenue nie wyglądał obiecująco; miał metalowe drzwi z żelaznymi sztabami, miejscami pokrytymi rdzą, zaciemnione, brudne szyby, i nie widać było nawet najmniejszego szyldu, informującego, że mieści się tu galeria sztuki czy w ogóle cokolwiek. Na szczęście Kenzie zobaczyła dzwonek u drzwi.

Nacisnęła guzik i czekała.

W końcu zgrzytnęły zapadki zamków, drzwi uchyliły się na tyle, na ile pozwalał krótki łańcuch, a przez szparę spojrzwały na nią podejrzliwe oczy.

- Słucham? - spytał dźwięczny męski głos.

- Nazywam się MacKenzie Turner - przedstawiła się. - Jestem umówiona z panem Wugsbym.

Mężczyzna zamknął drzwi, zdjął łańcuch, a potem otworzył je ledwie na taką szerokość, by Kenzie mogła precyzyjnie się do środka, po czym szybko znów je zatrzasnął.

- Ja jestem Wugsby - powiedział.

Krótko, ale mocno uściśniła podaną suchą dłoń, przy okazji obrzucając właściciela galerii szybkim, lecz badawczym spojrzeniem.

Wyglądał zupełnie jak pan Pickwick - korpulentny, staroświecki jegomość w nieokreślonym wieku. Miał różowitką skórę, błyszczące, niebieskie oczy za grubymi, małymi okularkami i siwiuteńkie bokobrody, jakby z najprawdziwszych gronostajów. Brakowało jedynie rajtuzów, kamaszy i czarnego, jedwabnego surduta. Zamiast białej krawatki miał pod brodą lekko przekrzywioną muszkę. Ale chociaż nosił workowate,

stare spodnie i mysi, zjedzony przez mole sweter, a na nogach zamiast butów miał szare, stare ranne pantofle, był właścicielem prawdziwego, dickensowskiego złotego zegarka z dewizką.

Przyjrzawszy się gospodarzowi, Kenzie nagle zdała sobie sprawę z otaczających ją obrazów.

Były dosłownie wszędzie. Stały bokiem na głębokich, wysokich na długość ramienia półkach. Piętrzyły się w stosach w pomieszczeniu o podwójnej wysokości. Wisiały na ścianach, od sufitu do podłogi, rama przy ramie, bez ładu i składu, ale tworzyły pełną uroku mozaikę.

Nawet jaskrawe światło, rzucane przez gołe żarówki, nie było w stanie zaszkodzić wprost hipnotyzującej sile, jaka biła od arcydzieł, którymi zawieszono te zniszczone ściany.

- Mój Boże! - szepnęła głosem pełnym szacunku. - Prawdziwy Rubens! i Pompeo Baioni... Hans Memling... Ghirlandaio... Dürer... Matthias Grünewald!

Napawała wzrok skarbami od niemieckiego gotyku po włoski renesans, od siedemnastowiecznych obrazów holenderskich po osiemnastowieczne francuskie. A nie było wśród nich ani jednego, za który kustosze Luwru, Met czy Getty'ego nie zdecydowałiby się popełnić morderstwa.

Oszołomiona, wolno odwróciła się do pana Wugsby'ego.

- Cóż, z zewnątrz nikt by nie podejrzewał...

- I właśnie o to chodzi! - odparł mężczyzna, uśmiechając się łagodnie i mrugając oczami. - Ale proszę dalej.

Dając jej znak, by poszła za nim, ruszył po szerokich, kręconych, mahoniowych schodach na antresolę. Na górze przystanął i wskazał olbrzymie, oprawione w złożoną ramę płótno, wiszące na przeciwległej ścianie.

- Ponieważ niewątpliwie zna się pani na swych artystach, proszę mi powiedzieć... komu przypisałyby pani ten obraz? - spytał. - Proszę pamiętać, że nie ma potrzeby się spieszyć. Może się pani zastanawiać tak długo, jak pani zechce.

- Mmm. - Kenzie wiedziała, że jest poddawana egzaminowi. Skrzyżowała ręce na piersiach i najpierw przyjrzała się malowidłu z daleka.

Była to dziwna mieszanka włoskiej szkoły. Obraz przedstawiał arka-dyjską polanę, na której swawolne nimfy i kobiety w neoklasycy-znych szatach tańczyły wokół nagiego Apolla o niemal dziewczęcej urodzie. Na pierwszy rzut oka łatwo można by przypisać dzieło albo Rafaelowi, albo Poussinowi, ale Kenzie wiedziała, że to byłoby za proste.

Po minucie przeszła całą antresolę i z bliska przyjrzała się technice artysty. Lekko przesunęła palcami po zakurzonej powierzchni, by poczuć pociągnięcia pędzla.

Szukała odpowiedzi.

W końcu, po pięciu minutach, wróciła tam, gdzie czekał pan Wugsby i jeszcze jakiś czas przyglądała się malowidłu.

W końcu odchrząknęła.

- Anton Raphael Mengs - oświadczyła autorytatywnie.

- Mój Boże! - wykrzyknął rozpromieniony. - Jest pani zatrudniona.

Od kiedy może pani zacząć?

* * *

Taki był początek ich trzyletniej znajomości, która okazała się lepszą szkołą od wszystkich uczelni razem wziętych. Niski, korpulentny starszy pan i zapalona młoda entuzjastka z błyskiem w oku, która była jego pilną uczennicą, stali się sobie niemal tak bliscy, jak członkowie rodziny.

Pierwszego dnia pracy pan Wugsby wyjaśnił Kenzie, dlaczego ją zatrudnił. „Musisz być moimi oczami”, jak się wyraził, i bez śladu rozgoryczenia czy uzalania się nad sobą powiedział jej o zwyrodnieniowej chorobie siatkówki, na którą cierpiał i na którą nie znano lekarstwa.

Dziewczyna poczuła się tak przygnębiona, że skończyło się na tym, iż to on ją pocieszał.

- Chciałbym, żeby przestała się pani zachowywać tak, jakby właśnie miał nastąpić koniec świata - tłumaczył - bo to wcale nie koniec świata. Zresztą nawet gdyby tak było, rozpacz nic tu nie pomoże. Proszę tylko pomyśleć: gdyby znalazła się pani na moim miejscu, nie irytowałoby pani, gdyby obok snuł się ktoś pogrążony w melancholii?

Skinęła głową.

- Tak czy inaczej, kiedy nie można zmienić istniejącej sytuacji - dodał - trzeba spróbować się dostosować i robić dobrą minę do złej gry. Innymi słowy, oczekuję, że przynajmniej spróbuje pani udawać dobry humor.

Od tej chwili Kenzie go ubóstwiała.

Okazał się nadzwyczajnym człowiekiem. Miał encyklopedyczną wiedzę i zawsze czymś zadziwił swą uczennicę. Dobrym przykładem tego był ich pierwszy wspólny udział w aukcji dzieł starych mistrzów.

- Jakimi idiotami są niektórzy ci „znawcy”! - zauważył z przekąsem pan Wugsby. - Ta martwa natura to żaden Chardin! Za dużo tu brawury, styl Chardina jest znacznie bardziej analityczny i poetycki. Ten obraz nie

jest też wystarczająco skromny: proszę zwrócić uwagę, jak okazałe są te wszystkie przedmioty... Albo:

- ...to ma być Stubbs? Dobrze sobie! Tamten koń jest zanadto sentymentalny, nie ma w nim nic niepokojącego. Brak mu też szczegółów anatomicznych, przypominających prace Leonarda. Stubbs na wylot znał muskulaturę koni, bo spędził lata dokonując sekcji zwierząt...

Albo:

- ...ten Delacroix jest wysublimowany i niewątpliwie autentyczny, ale zapamiętaj moje słowa: cena osiągnie zawrotny poziom...

Kenzie patrzyła, słuchała i uczyła się pilnie.

Nie minęło dużo czasu, kiedy się przekonała, jak wybrana i zamożna jest klientela pana Wugsby'ego. Agnelli i Rothschildowie, Niarchosowie i von Thurn und Taxis, Thyssen-Bornemiszmowie i von und zu Engelwiesenowie - jak wierni pielgrzymi pojawiali się, oglądali obrazy i dokonywali zakupów.

Nie był też skąpy. Po pierwszych sześciu miesiącach dał Kenzie znaczną podwyżkę, którą wykorzystała, by przeprowadzić się do swego obecnego mieszkania. Ale nade wszystko ceniła ogromną wiedzę, jaką zdobyła dzięki panu Wugsby'emu, który objawił jej wszystkie drobne sztuczki, poznane podczas blisko pół wieku handlowania dziełami sztuki. Nauczyła się, jak odróżniać falsyfikaty na podstawie wiedzy o tym, kiedy odkryto jakie pigmenty. Jak odróżnić prawdziwą patynę, powstającą latami, od tej, jaką uzyskiwano dzięki fenofomaldehydowi, rozcieńczonemu w benzynie lub terpentynie. A do tego najrozmaitsze współczesne metody, jak oglądanie obrazów przy świetle ultrafioletowym, prześwietlanie ich promieniami rentgenowskimi, pobieranie z płótna mikroskopijnej próbki barwnika i poddawanie jej testom laboratoryjnym z wykorzystaniem spektrografii.

Ale może najcenniejszym darem, jaki zawdzięczała panu Wugsby'emu, była jego pasja. Miał tę rzadką umiejętność przywracania dziełu sztuki życia, tak że dostrzegało się w nim nie tylko obiekt dekoracyjny czy historyczny, ale żywą, oddychającą istotę, z rodowodem tak prawdziwym, tak interesującym, jak ludzie.

Ostatecznie pana Wugsby'ego zabiła nie ślepotą, tylko nowotwór. Lekarze dali mu sześć miesięcy życia.

Kenzie pomogła swemu szefowi zlikwidować sklep i wyprzedać zbiory. Nie wiedziała, że poprosił o przysługę starego kolegę z Burghleya, pana A. Dietricha Spotts'a, by ten dał jej pracę w dziale starych mistrzów w domu aukcyjnym.

Kenzie była z panem Wugsbym do samego końca.

Umierając powiedział, że przed nią przeprowadził rozmowy z dwudziestoma ośmioma innymi kandydatami, ubiegającymi się o pracę u niego.

- Wiesz - oznajmił cieniutkim i słabiutkim głosem - że z nich wszystkich tylko ty jedna prawidłowo przypisałaś ów obraz Mengsowi?

Objęła jego kruche, wycieńczone ciało.

- Ale zatrudniłbym cię, nawet gdybyś się pomyliła - przyznał z szelmowskim błyskiem w oku. - Jak tylko weszłaś, zorientowałem się ze sposobu, w jaki się rozejrzałaś po galerii, że masz sztukę we krwi... że to twoje życie!

Oboje się uśmiechnęli na wspomnienie tamtego dnia; w chwilę potem pan Wugsby zatrzepotał powiekami i umarł. Pocałowała go w czoło, delikatnie ułożyła jego głowę na poduszce i zamknęła mu powieki.

I tak zakończył się jeden rozdział jej życia, a rozpoczął następny.

* * *

Podziwiając swoje odbicie, Kenzie przybrała wymyślną pozę, przypominającą figurę tanga, kiedy rozległ się dzwonek domofonu. Natychmiast zapomniała o tangu, szybko wygładziła suknię, owinęła szyję długim szalem i przeszła pospiesznie przez pokój do małego holu.

- Kto tam? - rzuciła przezornie do słuchawki domofonu.

- Spotts - zaskrzeczało w mikrofonie.

- Proszę wejść na górę. - Kenzie nacisnęła guzik, który otwierał drzwi wejściowe na dole; kilka minut później, kiedy wpuściła swego szefa do mieszkania, pan Spotts obrzucił ją jednym, badawczym spojrzeniem od stóp do głów.

- Wielkie nieba, panno Turner! - wykrzyknął.

- O co chodzi? - spytała.

- Proszę spojrzeć na siebie! Nigdy nie widziałem pani tak pięknej.

Była wzruszona.

- Ani ja pana równie przystojnego i szarmanckiego, panie Spotts. Do twarzy panu w wieczorowym garniturze. Czy mogę przygotować panu drinka?

- Och, nie, moja droga, na przyjęciu będzie aż za dużo alkoholu. Poza tym na dole czeka taksówka.

Złapała płaszcz, który pan Spotts pomógł jej włożyć, i ujęła go pod ramię.

- Kopuszek gotów! - powiedziała radośnie. - Chodźmy na bal!

12.

Przyjęcie cocktailowe na Blumenthal Patio w Met trwało w najlepsze, w morzu podniesionych głosów ginęły utwory Mozarta, wykonywane z werwą przez zespół muzyków. Setki gości tworzyło ciągle zmieniającą się mozaikę, jako że swój zawsze ciągnie do swego.

Książę Karl-Heinz von und zu Engelwiesen stał przy wejściu, witając wciąż przybywających kolejnych gości, których pojawienie się ogłaszał mistrz ceremonii.

- ...Jego Królewska Wysokość infantka Doña Pilar, księżna Badajoz, i Jego Królewska Wysokość książę Badajoz... pan Carter Burden z małżonką... pan William F. Buckley junior z małżonką... lady Dudley i hrabia Warwick... gubernator i pani...

Książę Karl-Heinz całował panie w rękę, a panom ścisnął dłoń i lekko się kłaniał.

- Pan Sheldon D. Fairey wraz z małżonką - obwieścił mistrz ceremonii stentorowym głosem.

Sheldon D. Fairey zbliżył się wraz z Niną, swoją żoną, której wieku nie sposób było odgadnąć; miała artystycznie umalowaną twarz, odziana była w toaletę od Oscara de la Renty z jedwabiu koloru szmaragdów.

- Heinzie, mój drogi! - wykrzyknęła, kiedy książę całował jej dłoń; jej uśmiech był równie olśniewający, co nieszczerzy. - Nie mogę uwierzyć, że już świętujesz kolejne urodziny! Pomyśleć, że minął rok od... no cóż, zaczynam się przy tobie czuć strasznie staro!

Karl-Heinz roześmiał się uprzejmie.

- W takim razie bądź spokojna, moja droga Nino, jestem twoim osobistym portretem Doriany Graya. Kiedy ja się starzeję i staję coraz bardziej rozpustny, ty z każdym mijającym rokiem jesteś coraz młodsza i piękniejsza.

Z wprawą uwolnił się od pani Fairey, by zwrócić się ku nowym gościom.

- Kłamca! - Nina zaśmiała się srebrzyście, szeleszcząc jedwabiem, lewą ręką uczepona mężowskiego ramienia, prawą kiwała już tym, tamtym i wszystkim.

* * *

- Mam nadzieję, że nie przyniosę panu wstydu - zaniepokoiła się Kenzie.

Wysiedli z taksówki przy Piątej Alei, chcąc w ten sposób uniknąć korka, jaki utworzyły limuzyny, czekające, by wysadzić swych pasażerów przed schodami wyłożonymi czerwonym dywanem.

- Ależ dłaczego, na Boga, miałyby mi pani przynieść wstyd? - spytał miłym głosem pan Spotts, ujmując ją pod łokieć.

- No cóż, jeśli pan nie zauważył - powiedziała nerwowo - nie mam odpowiednich kwalifikacji na damę z wyższych sfer.

- Czy możesz mi, proszę, wytłumaczyć - zwrócił się do niej bardziej poufale - co to znaczy: „odpowiednie kwalifikacje na osobę z wyższych sfer”?

- No, wie pan... prywatne szkoły, lekcje tańca i dobrych manier, końcowe szlify w szwajcarskich szkołach, mieć zawsze gotową zgrabną odpowiedź, wiedzieć, kiedy należy wciągnąć główny żagiel, a nie spinaker, jaki napiwek zostawić krupierowi...

- Aha. - Z powagą skinął głową. - Innymi słowy, panno Turner, zakłada pani, że wychowanie takie, jakie na przykład odebrała panna Parker, dałoby pani wszystkie wymagane umiejętności i ogładę towarzyską na taki wieczór jak dzisiejszy? Czy tak?

- Mniej więcej - przyznała skrzępowana.

- W takim razie proszę, by natychmiast wybiła sobie pani z głowy te bzdury! Osobiście za nic w świecie nie pokazałbym się z kimś takim, jak panna Parker, uwieszonym u ramienia! - Jego głos stał się łagodniejszy.

- Spójrz na to z mojej strony, moja droga. Jeśli jesteś wystarczająco dobra dla mnie, to śmiem twierdzić, że jesteś wystarczająco dobra dla każdego, kto tam może być. Teraz zarządzam, byśmy się dobrze bawili, i będziemy się dobrze bawili!

- Tak... ale... ale panie Spotts! Jego książęca wysokość... Co mam zrobić? Ucałować jego pierścień?

- To, panno Turner, jest zarezerwowane dla papieża, kardynała czy arcybiskupa, i to tylko wtedy, kiedy się jest wyznania rzymskokatolickiego.

Pewnie przeprowadził ją między rzędem limuzyn i pokazał zaproszenie strażnikowi, który zdjął aksamitny sznur z przenośnego słupka.

Wchodząc po stopniach, wyłożonych czerwonym dywanem, Kenzie spoglądała w górę z narastającym drżeniem serca. Nowojorskie Muzeum Sztuki nie darmo zyskało sobie przydomki „Klub Met”, „Pałac Przyjęć” czy „Pałac do wynajęcia”. Wiedziała, że było to najbardziej prestiżowe i przypuszczalnie najdroższe miejsce, w którym wydawano przyjęcia - i to w mieście pełnym prestiżowych i drogich lokali do wyboru, do koloru.

Ale choć czuła łaskotanie w żołądku, nie mogła nie podziwiać wywołującej respekt fasady, skąpanej w srebrnozielonym świetle, flag powiewających na wietrze, szemrzących fontann, wyrzucających pióropusze zimnej, białej mgiełki, prawie, ale niezupełnie zagłuszających wszechobecne odgłosy samochodów przemykających Piątą Aleją.

Pomyślała, że niemożliwością byłoby nie odbierać tej zalanej światłem świątyni sztuki jako widowiska typu „światło i dźwięk” w trójwymiarowej scenerii potężnych, korynckich kolumn, które jakiś olbrzym porwał z jednej z europejskich stolic i postawił, nietknięte, akurat tutaj, na skraju Central Parku, w samym środku największego, najbardziej hałaśliwego i najbardziej niezwykłego miasta na ziemi.

W końcu dotarli na sam szczyt schodów, gdzie jeden z dwóch portierów w osiemnastowiecznych liberiach, upudrowanych perukach i jedwabnych bryczesach, powtórnie sprawdził zaproszenie pana Spotts'a, nim się uklonił i łaskawie zrobił przejście.

Kenzie nie wierzyła własnym oczom. Jasny hol ze wspaniałą, główną klatką schodową na ten jeden wieczór przemienił się we współczesny Wersal, nie brakowało nawet rzędów autentycznych drzewek cytrynowych i potężnych kandelabrow, w których płonęły setki woskowych świec.

Lokaj w liberii wskazał im drogę do szatni; Kenzie usłyszała srebrzysty śmiech i szelest jedwabiu, dostrzegła zimny błysk brylantów i bogaty, krwistoczerwony blask rubinów.

Boże, pomóż mi, westchnęła w duchu, kiedy w pełni dotarło do niej, gdzie się znalazła. Jestem normalną, pracującą dziewczyną, zwykłą urzędniczką. Co, na Boga, mnie podkusiło, że zgodziłam się tu przyjść?

Oto idzie owieczka na rzeź, pomyślała, kiedy pan Spotts podał ich nazwiska mistrzowi ceremonii. Dłonie miała wilgotne i śliskie, była przerażona, że popełni jakąś niewybaczalną gafę. Wyprostowała się i spojrzała na salę pełną gości, starając się odzyskać opuszczając ją pewność siebie.

To był wielki błąd.

Widok pięknie ubranych i obwieszonych biżuterią dam z towarzystwa tylko wzmocnił poczucie Kenzie, że ona tu nie pasuje. Cóż za głupota sądzić, iż wystarczy toaleta, wygrzebana zresztą w sklepie z okazjami, by konkurować z istotami z wyższych sfer!

- Pan A. Dietrich Spotts i panna MacKenzie Turner - obwieścił mistrz ceremonii.

Tłumiąc okrzyk, Kenzie spojrzała nerwowo na swego towarzysza.

„Świetnie sobie poradzisz”, mówił jego uśmiech, i zanim dziewczyna zorientowała się, co się dzieje, znalazła się twarzą w twarz z utytułowanym jubilatem.

Ku swemu zdumieniu, zanim zdołała okazać skrępowanie, księżę Karl-Heinz ujął jej dłoń i uniósł do ust, muskając ustami palce.

- Panno Turner... - powiedział, spoglądając na nią swymi niebieskimi oczami i uśmiechnął się czarująco. - Bardzo mi przyjemnie...

Potem puścił jej dłoń i przywitał się z panem Spottsem. Mężczyźni wymienili uprzejmości i pan Spotts przeszedł wraz z Kenzie dalej.

- Nie wierzę... i to już wszystko? - spytała, nie kryjąc zdumienia.

Jej towarzysz się uśmiechnął.

- Obawiam się, że tak. Słyszałaś, moja droga, co ci mówiłem? Naprawdę nie było czego tak się obawiać, prawda?

Zatrzymał się, ze znanstwem lustrując tłum gości, a Kenzie zrobiła to samo. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby znali się nawzajem, i towarzyski kontredans zdawał się trwać w najlepsze. Markowe wino po dziewięćset czterdzieści dwa dolary za skrzynkę rozwiązywało języki, padały głośne cięte uwagi i ukradkowe komentarze szeptem. Nieszczere uśmiechy, warte nominacji do Oskara, rozświetlały idealnie umalowane twarze.

Teraz, kiedy najgorsze obawy okazały się nieuzasadnione, Kenzie poczuła się jak zahipnotyzowana. Samo bogactwo toalet *haute couture* w jednej sali mąciło myśli. To narkotyczny sen, pomyślała, nieustannie zmieniający się kalejdoskop wdzięku, hipnotycznych barw i mieszających się tkanin, które musiały pojawić się z jakiegoś innego, lepszego świata. Chciwie pożerała wzrokiem nieskazitelne krawiectwo; a przede wszystkim chłonęła nieskończone i oszalamiające bogactwo oryginalnych pomysłów, znamionujących sztukę kreatorów mody.

Bo tym właśnie były prezentowane tu stroje - sztuką, sztuką do noszenia, do popisywania się, do beztroskiego spędzenia wieczoru.

Znalazły się tu drobno plisowane suknie-futerały; sukienki na szerokich halkach, ozdobione opalizującymi, jedwabnymi różami; wcięte w talii suknie, wyszywane kryształami górskimi; szyte z kawałków

cygańskie komplety, których nie wymyśliłby żaden Cygan oraz wiele, wiele innych.

- Może poszukamy czegoś do picia - zaproponował pan Spotts tonem nieznoszącym sprzeciwu. Uśmiechał się, z wyraźną satysfakcją spoglądając na tłum gości. - Potem możemy stanąć z boku i zabawiać się widowiskiem... może zobaczymy, jak niektórzy wspinają się w górę, używając haków i lin?

Kenzie uniosła brwi.

- Czyżbym słyszała nutkę cynizmu?
- Cynizmu! U mnie? - Szef udawał oburzonego, ale w jego oczach wi-
dać było wesołe ogniki. - Ależ panno Turner...!

* * *

- Pan Robert A. Goldsmith z małżonką - obwieścił stentorowym to-
nem mistrz ceremonii.

Usłyszawszy to, pani Goldsmith majestatycznie zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę, na przegubie której połyskiwała nowa brylantowa bransoletka.

Karl-Heinz ujął palce Diny i unióś je do ust.

- Prześliczne - mruknął.

Nie była pewna, czy miał na myśli jej pierścionek z sześćdziesięciosześcioletnim brylantem, czy dwudziestoośmio-
karatową bransoletkę czy też ją samą. Niemniej jednak wyraźnie się roz-
promieniła.

Puściwszy jej dłoń, Karl-Heinz zwrócił się do Roberta.

- Moje najszczerze gratulacje - powiedział, ściskając mu rękę.

Robert A. Goldsmith zamrugnął powiekami jak leniwa jaszczurka.

- Gratulacje? - powtórzył bezmyślnie.

Książę się uśmiechnął.

- Mówię o zakupie Burghleya, oczywiście! Muszę przyznać, że czuję
ukłucie zazdrości. Firma tego kalibru... jak to się mówi? - Karl-Heinz
odwrócił się do Diny, lekkim uniesieniem lewej brwi strofując ją za wy-
łudzenie w ostatniej chwili zaproszeń. - Przynosi zaszczyt?

Ale teraz, kiedy została królową Manhattanu, przyjęła łagodne napo-
mnienie z istic monarszą łaskawością.

- Aby okazać, jak sobie cenimy to uprzejme zaproszenie - powiedzia-
ła jedwabistym głosem - postanowiliśmy sprawić jego książęcej wyso-
kości małą niespodziankę.

- Naprawdę? - Gospodarz przyjęcia wyglądał na rozbawionego. - A
cóż to takiego?

Dina uśmiechnęła się tajemniczo i pokiwała strofując palcem.

- Za chwilę księżę sam się przekona - obiecała i wiedząc, kiedy odejść, oddaliła się, a za nią ruszył jej mąż.

Mistrz ceremonii ogłosił:

- Jaśnie wielmożna Zandra von Hohenburg-Willemlöhe, hrabianka Grafburg, i pan Lex Bugg.

Dina spojrzała przez ramię, by zobaczyć reakcję jaśnie oświeconego jubilata - co okazało się nadzwyczaj przyjemne.

- Zandra...? Zandra! To ty? - Księżę szybko odzyskał mowę. - Ależ to niewiarygodne! - zawołał, obejmując przybyłą serdecznie na powitanie, pocałował ją i jeszcze raz uściska!

W końcu, odsuwając się od dziewczyny na długość ramienia, przyjrzał jej się uważnie.

- Czy to możliwe? Czy mogłaś stać się jeszcze piękniejsza?

- Jak widzę, nadal taki sam pochlebca. - Roześmiała się, nie potrafiąc ukryć zadowolenia, że tak się ucieszył na jej widok.

- Cóż, dzięki pochlebstwom można osiągnąć wszystko. - Uśmiechnął się i z niedowierzaniem pokręcił głową. - Mój Boże! Ileż to już lat minęło?

- Zbyt wiele, kuzynie. Przynajmniej dwa. Nie, więcej. Ostatni raz wdziliśmy się... niech sobie przypomnę... tak, na tym okropnym przyjęciu u ciotki Annabel.

Heinz skrzywił się lekko.

- Ach, tak. Nieprzyjemna impreza, o której lepiej zapomnieć. - Nadal nie wypuszczając jej dłoni, powiedział: - Nie miałem pojęcia, że jesteś w mieście!

- Przyleciałam... pod wpływem chwilowego impulsu - zaimprovizowała zgrabnie. - Przypuszczam, że poza Diną jeszcze nikt nie wie, że tu jestem.

- No cóż, teraz dowiedzą się wszyscy. - Jeszcze raz ją objął. - Nie znoszę witania przybywających gości, ale niestety, nie ma na to rady. Porozmawiamy później?

Skinęła radośnie głową.

- Będę cię wypatrywała.

- A ja będę wypatrywał ciebie. Szczerze mówiąc, każę zmienić rozmieszczenie gości przy stole, żebyśmy podczas obiadu znaleźli się obok siebie. W ten sposób możemy nadrobić zaległości.

- Podoba mi się to - powiedziała i aż pokraśniała z zadowolenia.

- Mnie też. - Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek. - Wiesz, że twoje niespodziewane pojawienie się sprawiło, że to okropnie nudne przyjęcie nagle stało się fascynującym wydarzeniem?

13.

- Spójrz, Robercie! - zapiszczała Dina, wspiąwszy się na palce, i z podnieceniem pomachała ręką. - To Sheldon D. Fairey!

- No i co z tego? - burknął Robert, który od dzisiejszego ranka traktował prezesa Burghleya jak jednego ze swoich licznych podwładnych.

Dina odwróciła się do Zandry i Lexa.

- Wmieszajcie się w tłum gości! - poleciła teatralnym szeptem, przeganiając oboje. - Spotkamy się później. - Kiedy już została sama z mężem powiedziała: - Uważam, że wypadaloby podejść do pana Faireya i przywitać się z nim.

Roztropnie nie wspomniała, że kieruje nią ukryty motyw. Powinna przynajmniej przywitać się z Sheldonem i cicho mu podziękować - ostatecznie to on załatwił im zaproszenia na przyjęcie.

Ku jej zdumieniu, Robert się nie opierał.

- Dobrze. - Wzruszył ramionami. - Jeśli tego chcesz, czemu nie?

Roztropnie nie wspomniał, że nim też kieruje ukryty motyw. Cekał właśnie na taką okazję - ale kto by pomyślał, że akurat jego żona całkiem przypadkiem rzuci mu ją do stóp? Bo zamierzał wziąć Sheldona D. Faireya na bok i sfinalizować awans Bambi Parker.

Dina, na szczęście nieświadoma tego, uczepiła się ramienia małżonka i pewnie kierowała go tam, gdzie Sheldon D. Fairey gawędził z jakimiś znajomymi z wyższych sfer.

- Pamiętaj, Robercie - przypomniała mu surowo - obiecałeś znaleźć Zandrze pracę w dziale starych mistrzów. To idealna okazja, by załatwić tę sprawę.

- Wiem, wiem, wiem - burknął, jeszcze raz przeklinając własną głupotę. Zgodził się grać w coś, co przypominało rosyjską ruletkę. Boże, jak

mógł być aż tak głupi? Bambi i Zandra w jednym dziale - to zupełnie tak, jakby zapalić łaskę dynamitu i czekać na wybuch. Wcześniej czy później musi nastąpić.

- Kochani! - Dina, rzuciwszy się na swą zdobycz, puściła ramię Roberta.

Nastąpiły uściski rąk i pocałunki w policzki, co się powtórzyło, kiedy pani Fairey - obdarzona wyjątkową intuicją - pojawiła się nie wiadomo skąd.

- Cudowny żakiet! - zachwyciła się Nina. - Yves St. Laurent?

- Jeden i niepowtarzalny. - Dina, czując, że po raz pierwszy znalazła się w samym centrum zainteresowania, cała aż się rozpromieniła.

- Mój Boże, jaki piękny pierścionek! - wykrzyknęła jedna z pań. - Nigdy nie widziałam tak wielkiego kamienia!

- Jak ten? - spytała Dina, wzdychając uszczęśliwiona. - Nowy. Mój mąż jest taki hojny.

Prawda? - pomyślał ponuro Robert, odwijając oryginalne, hawańskie cygaro - Flor de F. Farach Exta. Potrząsnął nim przy uchu, a potem powąchał i zadowolony odciął koniec. Wsunął je do ust. Miał nadzieję, że cały ten rytuał pomoże mu znieść babski trajkot.

Płonne marzenia!

- Moja droga - zwróciła się do jego żony wylewnie Nina - musisz nam powiedzieć, jakie to uczucie być właścicielką Burghleya?

Robert usłyszał perlisty śmiech małżonki.

- Zapytaj, kiedy to do mnie dotrze - skłamała Dina, łapczywie przyjmując każde pochlebstwo, komplement i hold. - Na razie wydaje się to wszystko jeszcze takie nierealne.

- Akurat! - burknął pan Goldsmith, nie wypuszczając cygara z ust.

Patrząc gniewnie na grupkę nowych dam dwóm swej małżonki, miał ochotę oświadczyć im, dokąd powinny się wynieść - i zupełnie nie rozumiał, dlaczego Dina tego nie powiedziała. Chryste, te lizuski jeszcze do wczoraj jej nie zauważały; dlaczego dziś tak jej zależy na ich pochlebstwach?

Kiedy te i inne myśli przebiegały mu przez głowę, wyczuł, że żona patrzy na niego znacząco - najwyraźniej daje mu do zrozumienia, iż powinien odbyć rozmowę z Sheldonem.

Wzruszył ramionami. Dlaczego nie? Pora równie dobra, jak każda inna, a przynajmniej ucieknie od tych kokot.

Klepnął Sheldona w ramię i skinieniem głowy dał znak, by poszedł z nim na stronę, na co Fairey chętnie przystał. Robert po przyjacielsku objął go za ramię i odciągnął na bok.

- Musimy omówić parę spraw - powiedział tonem, jakim rozmawiają kolesie w szatni. - Może się przejdziemy. Mam ochotę zapalić cygaro...

Sheldon D. Fairey się skrzywił. Jeśli istniała jedna rzecz na świecie, której nie znosił, był to dym cygara.

Nie, żeby śmiał o tym wspomnieć. Ostatecznie kim był, by sprzeciwiać się swemu nowemu szefowi?

* * *

Pan Spotts wziął dwa kieliszki z szampanem z tacy niesionej przez kelnera i wręczył jeden Kenzie.

- Proszę - powiedział, stuknąwszy swoim kieliszkiem o jej. - Wznieśmy toast. Za pani wspaniałą przyszłość!

- Dziękuję, panie Spotts. I żebym nie zawiodła pana nadziei.

- No, no, moja droga, myślę, że teraz, kiedy oficjalnie odszedłem na zieloną trawkę, możemy sobie darować oficjalny ton, prawda? Więc dajmy spokój temu „panie Spotts” i „panno Turner”. Przyjaciele powinni mówić sobie po imieniu. - Uniósł brwi. - Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu... Kenzie? - Użył jej imienia tytułem próby.

Uśmiechnęła się do byłego szefa.

- Wprost przeciwnie... Dietrich - odrzekła cicho. - Czuję się zaszczycona.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Cieszę się. Teraz, jeśli będziesz tak dobra i mi wybaczysz, chciałbym odszukać pana Faireya. Chcę się upewnić, że wszystkie szczegóły, dotyczące twego awansu, są dopracowane. W tym czasie... - Pan Spotts konspiracyjnie ściszył głos. - Nie patrz tam teraz, ale na prawo od ciebie stoi pewien młodzieniec...

Ciekawość Kenzie osiągnęła szczyt, jednak dziewczyna starając się nie zdradzić, odczekała chwilę, potem obojętnie rozejrzała się wkoło, nim w końcu spojrzała w kierunku, który wskazał pan Spotts.

Aż jej zaparło dech z wrażenia.

Mężczyzna ów - jeśli to jego miał na myśli pan Spotts, a z pewnością tak - niewątpliwie był najprzystojniejszym przedstawicielem swej płci po tej stronie Atlantyku!

- Nie... nie mówisz chyba o tym nordyckim bogu po trzydziestce? - spytała drżącym głosem. - O tym wikingu z jasnymi włosami?

Pan Spotts się uśmiechnął.

- Właśnie o nim.

- Dlaczego?

- Och, odkąd tu weszliśmy, nie odrywa od ciebie oczu.

- Co? Patrzy na mnie? - spytała z niedowierzaniem. - Och, naprawdę, Dietrich? Skąd ta pewność, że nie czeka na kogoś innego?

- Ponieważ, moja droga Kenzie - odpowiedział pan Spotts ze swą zwykłą precyzją i cierpliwością - wiele mogło się zmienić od czasów mojej odległej młodości, ale na szczęście nie wszystko. I z radością stwierdzam, że odnosi się to do tego przystojnego młodzieńca, próbującego zwrócić na siebie uwagę młodej damy. Proponuję, że podczas gdy ja udam się na poszukiwanie pana Faireya, ty upuścisz chusteczkę lub użyjesz jakiegoś innego kobiecego fortelu, na który, jak podejrzewam, czeka ów młody człowiek.

- Upuszczę chusteczkę? - powtórzyła z niedowierzaniem.

Ale pan Spotts nie odpowiedział, bo już zniknął.

Kenzie na próżno wypatrywała wysokiej postaci szefa w tłumie i przstraszyła się, kiedy jakiś nieznamy głos tuż nad jej uchem powiedział:

- Dobry wieczór!

Rozejrzała się i o mało nie zemdląła. Dobry Boże, to on! Wspaniały, urodziwy wiking z lnianymi włosami!

Stała, wpatrując się weń jak zahipnotyzowana. Nogi się pod nią ugęły, kiedy poczuła na sobie spojrzenie jego wielkich, błyszczących, zielononiebieskich oczu. Tak, wielkich, cudownych oczu, przypominających ciepły, skąpany w słońcu basen w sierpniu - taki, w którym ma się ochotę zatonać na zawsze.

Z bliska uświadomiła sobie jeszcze coś. Ten wiking miał coś więcej niż tylko zwykłą męską urodę; był bez wątpienia najbardziej interesującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała.

Straciła poczucie czasu i nie miała pojęcia, jak długo stali, gapiąc się na siebie. Nagle znów poczuła się jak podłotek o zbyt długich rękach i nogach, nieumiejący sensownie skleić zdania.

- Nieznajomy przejął inicjatywę i lekko skinął głową.

- Ponieważ nie zostaliśmy sobie przedstawieni, proszę mi pozwolić... Nazywam się Hannes Hockert, ale przyjaciele wołają na mnie Hans... No, wiesz... - Jego uśmiech był zniewalający. - ... jak Hans Christian Andersen.

Kenzie uściśnęła jego dłoń, która była silna i twarda, ale zdumiewająco delikatna. Podobnie, jak jego głos - cichy i łagodny, a jednak posiadający dźwięczny, wyraźny męski ton.

- MacKenzie Turner - udało jej się wykrztusić; gardło miała tak ściśnięte, że musiała odchrząknąć. - Przyjaciele wołają na mnie Kenzie albo Kenz.

- Kenzie... Kenzie... - powtórzył sam do siebie, jakby smakował jej imię. - Mmm. Dość niezwykle, ale pasuje do ciebie. Tak. Och! - Wskazał na jej kieliszek. - Widzę, że wypilaś już swój szampan.

Szampan...? Patrzyła na niego bezmyślnie.

Zgrabnie wyjął pusty kieliszek z jej zdrętwiałych palców, odrzucił głowę do tyłu, dopił zawartość swojego, a potem uniósł go i uśmiechnął się rozbajająco.

- Jak zauważyłaś - powiedział, puszczać oko równie uwodzicielsko, jak się uśmiechał - tak się akurat złożyło, że ja też. Zaraz wracam. - Zrobił krótką pauzę. - Mam nadzieję, że nie zabawisz się w Kopciuszka i mi nie uciekniesz?

Ja miałabym uciec? - pomyślała Kenzie. Dobry Boże, czemu miałabym chcieć zrobić coś takiego?

- Nie - szepnęła i w rozmarzeniu śledziła go wzrokiem, kiedy oddalił się z wdziękiem tancerza lub jakiegoś zmysłowo gibkiego dzikiego kota, póki nie pochłonął go tłum.

Dopiero wtedy, kiedy zginął jej z oczu, zaczęła się zastanawiać, jak mogła zwrócić na siebie uwagę takiego niesamowicie cudownego faceta - i to nawet nie zabiegając o to!

O, rety, pomyślała. Hannes Hockert alias Hans był dokładnie w jej typie. Zabójczo przystojny, nieodparcie męski i niesłychanie szarmancki.

Musiała się uśmiechnąć. Nie trzeba było zbyt wiele wyobraźni, by ujrzeć go jako Leifa Erikssona - dumnego, przemierzającego morza wojownika, stojącego za sterem długiej łodzi wikingów, z jasnymi, jedwabistymi włosami rozwiewanymi przez wiatr...

O, tak, pomyślała z zachwytem skąpcza podziwiającego w ukryciu swój skarb. Hannes naprawdę był dla niej ideałem męskiej urody - i wszyscy inni mężczyźni nie dorastali mu nawet do pięt. Wszyscy, jak świat długi i szeroki.

* * *

Lex Bugg skakał, kręcił się i biegał jak fryga.

Początkowo Zandrę bawiła jego niespożyta energia, gdy tak krążył od jednej grupki znajomych do następnej. Ledwo mogąc dotrzymać mu kroku, ścisnęła niezliczone dłonie, uśmiechała się i starała się połączyć twarze z nazwiskami.

Daremny wysiłek.

Lex przedstawił Zandrę zbyt wielu osobom w zbyt krótkim czasie, by ktokolwiek wrył jej się w pamięć. Wszyscy złączyli się w jedną, bezkształtną masę.

- Czy jest ktoś, kogo nie znasz? - spytała dobrodusznie.

- Tylko ci, którzy się nie liczą - odparł niezwykle poważnie, wolno obracając głowę, kiedy obserwował morze twarzy, wyławiając nowo przybyłych gości.

I właśnie wtedy dziewczyna uświadomiła sobie, że Lex po prostu koszmarnie ją wykorzystuje. Nic dziwnego, że jej początkowe rozbawienie zmieniło się w oburzenie. Być przedstawianą nieznanym ludziom to jedna sprawa, ale zupełnie co innego, gdy pokazują cię wkoło, jak jakieś cenne trofeum; Bugg wymieniał jej nazwisko i tytuł jedynie dlatego, by wyrzucić wrażenie na sławnych gościach.

No cóż, nie pozwoli mu na to.

Dostrzegłszy znanego fotografa, Lex wziął ją pod ramię.

- Chodź! - powiedział podniecony. - To Francesco Scavullo!

Zaczął przeciskać się w tamtym kierunku, ale Zandra się zbuntowała. Miała tego dosyć i była wściekła.

- No, chodź! - ponaglał ją. - Co cię zatrzymuje?

Zwróciła się w jego stronę z rozognioną twarzą i wycodziła przez zęby:

- Do cholery, Lex! Prawdziwy z ciebie gnojek! Wiesz o tym?

Wyglądał na zaskoczonego.

- Co się stało? - zapytał zmieszany.

- Co się stało? - powtórzyła z pogardą. - Powiem ci, co się stało! Dla twojej informacji nie zgadzam się dłużej na to, żebyś wykorzystywał mnie w charakterze marchewki! Nie jestem przynętą, którą możesz wymachiwać przed nosem każdego, kogo ci się spodoba! Wykorzystujesz mnie.

Udawał całkowite niewiniątko.

- *Moi?*

- Tak, *vous*. - Zandra obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

Zmarszczył brwi widząc, że nagle całkowicie się zmieniła. Jakby potrzebował takiej sceny! Kto by pomyślał, że to taka wariątka?

- Czy naprawdę tak się czujesz? - spytał, starając się zachować panowanie nad sobą.

- Tak, naprawdę tak się czuję! - Jej głos był ochryply, cichy, ale silny, a coś w jej twarzy przypominało mu hartowaną stal.

Zaczerpnął głęboko powietrza, wydał policzki, a potem wolno wypuścił powietrze z płuc, postanawiając ją ułagodzić, by uniknąć publicznego przedstawienia.

- Dobrze już, dobrze - powiedział. - Masz prawo być na mnie zła.

Zmrużyła oczy, krzyżując ręce na piersiach. Nie należała do naiwniaczek i prawidłowo oceniła jego słów. Znał właściwe odpowiedzi i okazywał odpowiednią skruchę. Dlaczego więc nie mogła pozbyć się wrażenia, że Lex chce tylko ją udobruchać, a szczerłość tego człowieka nie sięga głębiej niż laminat na jego porcelanowych zębach?

Właściwie odczytując sceptycyzm Zandry, Bugg uznał, że musi się odwołać do całego swojego czaru osobistego.

- Masz rację - powiedział szczerze, wytrzymując jej spojrzenie. - Byłem samolubny i winien ci jestem przeprosiny. Co powiesz na całusa na zgodę?

Zandra, wciąż pełna wątpliwości, pozwoliła, by jej milczenie mówiło samo za siebie.

„Uparta suka”, miał ochotę powiedzieć Lex, ale się powstrzymał. Zamiast tego zrobił minkę małego, zagubionego chłopczyka.

- Słuchaj - powtórzył. - Powiedziałem, że mi przykro. I naprawdę mi przykro.

Zandra westchnęła w duchu. Co z tego, że jego przeprosiny nie wyglądają na szczerze? To nie ma znaczenia, prawda? Bo przeprosiny, szczerze czy też nie, są przeprosinami - i jako takie wymagają uprzejmego potraktowania.

Przede wszystkim liczy się etykieta. Prawdziwe uczucia zaś są na ostatnim miejscu.

- Dobrze już, dobrze. Przyjmuję twoje przeprosiny.

Uniosła ręce i machnęła nimi, jakby uczestniczyła w jakichś tajemnych obrzędach, których celem było oczyszczenie powietrza, podczas gdy wszędzie wkoło połyskiwał i błyszczał cały Nowy Jork. Przesłonił jej pole widzenia, tworząc nieustannie zmieniającą się mozaikę cekinów, tęcz i klejnotów.

* * *

Poszli do pustego skrzydła ze sztuką egipską. Pod obydwoma ścianami stały oświetlone szklane gabloty, w których wyłożono przedmioty zrabowane ze starożytnych grobowców: fragmenty tkanin i całunów, stele z brązu i piaskowca, królewskie rzeźby z kwarcytu, malowane maski

mumii, święte boginie o głowach kotów i wieczka pojemniczków w kształcie bóstw.

Wszystkie te niegdyś święte symbole dawno zaginionej kultury teraz sprowadzono do rangi ciekawostek dla mas.

Robert A. Goldsmith oparł się łokciem o wielki sarkofag, jakby uzurpował sobie prawo własności do niego. Z cygara, które trzymał w zębach, unosiły się kłęby dymu i płynęły w górę, stopniowo tworząc nad ich głowami niebieskawą mgiełkę.

Sheldon D. Fairey, pragnąc w miarę możliwości uniknąć wdychania dymu, stał kilka kroków dalej. Stwierdził, że dziwaczna, grobowa cisza tej właśnie galerii wywołuje w nim uczucie klaustrofobii i niepokoju. Przede wszystkim przeszkadzały mu dziesiątki par tajemniczych, obojętnych oczu; czuł, że go obserwują przez ściany swych kruchych, szklanych więzień.

- Przyprowadziłem cię tutaj, Fairey, żebyśmy mieli trochę spokoju - burknął Robert. - Niech to, o czym będziemy rozmawiali, pozostanie wyłącznie między nami. Innymi słowy... - Wysunął głowę do przodu niczym wojowniczy, dziki pitbull - ... ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Jasne?

Jasne jak słońce, pomyślał Sheldon, ukrywając swój niepokój pod maską całkowitego opanowania. Takie zwroty, jak „wyłącznie między nami” i „ta rozmowa nigdy się nie odbyła” nieodmiennie sprawiały, że w jego głowie rozlegały się dzwonki ostrzegawcze - i nie bez powodu. Ciesząc się nieposzlakowaną opinią, zręcznie unikał wszelkich potajemnych układów. Przynajmniej, pomyślał gorzko, aż do tej pory. Ale czy teraz miał jakiś wybór?

- Jak pan sobie życzy - wymamrotał uprzejmie. - Sprawa pozostanie wyłącznie między nami.

- Dobrze. Ponieważ jeśli ktoś się o tym dowie, dobioreę ci się do tyłka.

- Może pan liczyć na moją dyskrecję - oświadczył z godnością Sheldon, dżentelmen w każdym calu.

Robert, rozkoszując się swą nową władzą, jeszcze mocniej oparł się o starożytny sarkofag i zaczął wypuszczać jeszcze większe i bardziej cuchnące kłęby dymu. Potem wyjął cygaro z ust i przypatrywał się ręcznie zwijanym liściom tytoniu z czymś w rodzaju podziwu.

- Tak się składa, że najlepsza przyjaciółka mojej żony przyjechała do Nowego Jorku nie wiadomo, na jak długo - powiedział od niechcenia. - Szuka pracy.

Uniósł wzrok, znacząco spojrzął na Faireya i wytrzymał jego spojrzenie.

- Potrzebna jej też zielona karta.

Sheldona ogarnęły złe przeczucia.

- Tak? - odezwał się ostrożnie.

Cała postać Goldsmitha wyrażała najwyższą pogardę.

- Człowieku, na rany Chrystusa, kieruje pan Burghleyem! Z całą pewnością załatwienie tak prostej sprawy nie wykracza poza pańskie możliwości, nieprawdaż?

Fairey, próbując nie zwracać uwagi na pogardliwy ton Roberta, dyskretnie zakasłał, osłaniając usta dłonią.

- No, cóż... z pewnością zainteresuję się tym i postaram się zrobić, co w mojej mocy - powiedział afektownie niczym panienka.

- Zainteresuję się tym? - powtórzył pan Goldsmith, przedrzeźniając Sheldona, aż ten zacisnął zęby. - Postaram się zrobić, co w mojej mocy?

Główny dyrektor Burghleya czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach; gniew, który go ogarnął, palił niczym zgaga. Postanowiwszy zachować spokój i godność na tyle, na ile pozwalały okoliczności, opanował się i powiedział:

- Zapewniam pana, że...

- Aha. - Oczy Roberta przypominały maszynkę do golenia o wielu ostrzach. - Myślę, że masz nie po kolei w głowie, Fairey. Posłuchaj no, nie proszę, żebyś to zrobił. Mówię ci, żebyś to zrobił!

Uśmiechając się w duchu stwierdził, że trafił prosto w cel. Jego podwładny zacisnął dłonie w pięści i zadrżał od niewypowiedzianego wzburzenia od stóp do głów.

- Innymi słowy, Fairey, oto, co masz zrobić - ciągnął Robert. - Masz mi powiedzieć to, co chcę usłyszeć. A chcę usłyszeć, że już się wszystkim zajęłeś, że ta cholerna baba już ma u nas robotę - w dziale starych mistrzów - i zieloną kartę. - Pan Goldsmith przyłożył do ucha dłoń, zwinęła w trąbkę. - No więc? Ogłuchłeś? Mów głośniej, człowieku!

Dolna szczeka Sheldona D. Faireya opadła dobrych pięć centymetrów, zanim zamknęła się z trzaskiem. Policzki mu płonęły; upokorzenie, jakiego doznał, biło od niego tak, że zimne, szklane gabloty i milczące, kamienne głowy o obojętnym spojrzeniu zafalowały, jakby były fatamorganą na pustyni. Nigdy dotychczas w całym jego życiu zawodowym nie potraktowano go tak bezceremonialnie - nigdy! Próbując odzyskać panowanie nad sobą, głośno przelknął ślinę. Miał ochotę powiedzieć: „Skladam swoją rezygnację. Może sobie pan znaleźć innego pachołka!” i wycofać się z godnością. Ale rozsądek radził mu, by postąpił inaczej.

Odchrząknął więc i powiedział:

- Cóż, jeśli mam być szczery... tak się akurat złożyło, że... że... zwolniło się miejsce w tym dziale...

- Świetnie! - rozległ się dudniący głos Roberta, odbijając się od twardej powierzchni w sali: marmuru, metalu, szkła, kamienia. - Właśnie to chciałem usłyszeć! - Pełen był aroganckiego, bezlitosnego triumfu - a więc, skoro jedno mamy z głowy, jest jeszcze druga sprawa.

Sheldon stał się czujny i zebrał się w sobie. Czego więcej może od niego chcieć ten nieokrzesany prostak? Nie, nie tyle chcieć, szybko się poprawił, tylko żądać.

Pan Goldsmith, udając całkowitą obojętność wypuścił chmurę dymu, wydymając świeżo ogolone policzki, i rzucił od niechcenia:

- Słyszałem, że kierownik działu starych mistrzów odszedł na emeryturę.

- Owszem, pan Spotts. - Sheldon westchnął, ponury jak przedsiębiorca pogrzebowy. - Obawiam się, że to bardzo źle, straciliśmy głównego światowego...

- Nie zaprzętałem sobie głowy takimi drobiazgami. - Robert aroganckim gestem machnął ręką, w której trzymał cygaro. - Przypuszczam, że właśnie za to płacą tobie, Fairey?

Chociaż Sheldon miał zaciśnięte zęby, sarkazm zawarty w tej uwadze z łatwością przeniknął przez linię jego obrony. Znowu stwierdził, że zdradza go własne ciało. Twarz płonęła mu ze wstydu, czuł tłumioną wściekłość dziecka, osaczonego przez podwórkowego terrorystę.

- Starzy mistrzowie... Czy to nie w tym dziale... zaraz, zaraz, jak ona się nazywa? - Robert, odwrócony plecami, przycisnął do czoła kciuk i palec wskazujący, udając, że chce coś sobie przypomnieć. - Ach, naturalnie! - Rozpromienił się i odwrócił twarzą do swego rozmówcy. - Przypomniałem sobie: panna Parker. Niejaka panna Parker jest zatrudniona w tym dziale, mam rację?

Przez chwilę, zanim to nazwisko w pełni do niego dotarło, Sheldon czuł się oszołomiony. Na rany! Chyba nie ma na myśli Bambi Parker! Czego, u diabła, może od niej chcieć?

- Tak? - odezwał się pytającym tonem.

- Chcę, żeby ją awansowano - oświadczył Robert, jeszcze raz wydychując wielką chmurę dymu. - Na szefa działu starych mistrzów - dodał.

- Co! - wykrzyknął szef Burghleya. To i następne słowa wyrwały mu się z ust, zanim zdołał je powstrzymać. - Wielki Boże! Chyba nie mówi pan poważnie!

- A czemuż to nie?

- P-ponieważ... - Fairey zająknął się, a dotąd purpurowe policzki zmieniły barwę na sinoczerwoną. - ...p-ponieważ... cóż, zastąpienie pana Spotts'a p-panną Parker jest... - Z trudem przełknął ślinę. - ...zwyczajnie nie wchodzi w grę!

- Kto tak powiedział? - Oczywiście pana Goldsmitha stały się zimne jak u gada. - Pan?

Sheldon drgnął wewnątrz. Musiał zebrać wszystkie siły, by przezwyciężyć strach i nie przyznać się do porażki, a następnie skapitulować; jeszcze więcej wysiłku zaś wymagało zduszenie w sobie innego pragnienia - poniżenia się i zostania służalczo posłusznym. Zamiast tego zebrał resztki godności i zdobył się na ostatni krok odwagi.

- Jest mi... jest mi bardzo niezręcznie, panie Goldsmith - powiedział, sam zaskoczony mocą własnego głosu - ale nie wolno mi zapominać... nie wolno nam zapominać... o doświadczeniu i wiedzy... doświadczeniu, wymaganym na takim stanowisku.

Gadzie oczy zamrugały leniwie.

- Nie, żebym miał coś osobiście przeciwko pannie Parker - dodał pośpiesznie. - Po prostu nie ma odpowiednich kwalifikacji. Mówiąc szczerze przykro mi o tym wspominać, ale... cóż, kilka razy prawie... prawie musieliśmy ją...

- Skończyłeś, Fairey? - przerwał mu rozdrażniony Robert. - Myślałem, że wyraziłem się wystarczająco jasno. Interesuje mnie tylko obraz ogólny. Mówiąc bez ogródek, Fairey, mam w nosie wewnętrzną politykę czy codzienne problemy funkcjonowania firmy.

- Nie... nie może pan tego zrobić! - szepnął Sheldon, przesuając wypięgniętą dłońią po siwych włosach i zdradzając tym gestem całą swą frustrację i obawy. - Nie zdaje pan sobie sprawy z tego, że panna Parker może zniszczyć cały oddział... narazić na szwank reputację Burgh...

Robert pochylił się i wskazał zaślinionym końcem cygara na swoje usta.

- Proszę... czytać... z moich ust. Panna Parker natychmiast zostanie kierownikiem działu dawnych mistrzów, przyjaciółka mojej żony otrzyma zwolnione przez nią stanowisko, koniec, kropka. Wykonasz moje polecenie, Fairey, czy też nie? - Ściągnął krzaczaste brwi. - Wystarczy krótkie „tak” lub „nie”.

Sheldon westchnął. Było jasne, że na nic zda się wszelki opór. Jeśli jego pracodawca postanowił awansować Bambi Parker, to, na Boga, awansuje ją, nie bacząc na nic!

- Skoro pan nalega - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Pan Goldsmith przyjął jego słowa wspaniałomyślnym skinieniem głowy.

- A więc skoro wszystko ustalone, co powiesz na to, Fairey, byśmy wrócili do gości? Może opijemy to, co ustaliliśmy, co?

Sheldon skinął głową; pogarda dla samego siebie sprawiła, że nie był w stanie wykrztusić ani słowa, ledwo mógł się poruszać. Pozwolił się wyprowadzić; w głowie kłębiły mu się oskarżenia pod własnym adresem.

Po raz pierwszy w swej karierze zawodowej świadomie zrobił coś nie do pomyślenia - coś niewyobrażalnego! - po tylu latach nieskazitelnej pracy świadomie poszedł na ustępstwo i zdradził instytucję, którą kierowanie mu powierzono.

Czy takie będzie jego epitafium po latach kierowania Burghleyem z niespotykaną uczciwością, po pomyślnym przeprowadzaniu firmy przez prawdziwy gąszcz ekonomicznych pułapek, szalonych fluktuacji, które on jeden tajemniczo, niemal cudownie przewidział? Nie do pomyślenia, że dziesiątki odniesionych triumfów zostały nagle przekreślone czym?

Zdradą? Wiarołomstwem? Prostyucją?

Czuł się, jak Judasz.

Nie, powiedział sobie, to nie całkiem ściśle. Czuł się jak... wykastrowany Judasz.

A człowiek, który pozbawił go jaj, miał czelność trzymać go za ramię jak starego kumpla!

Nie w akcie przyjaźni. O, nie. Robert A. Goldsmith, o czym Fairey aż nadto dobrze wiedział, kierował się zupełnie innymi pobudkami: chciał mu przekazać ostatnią urągliwą i całkiem świadomą informację:

Chciał dać do zrozumienia jasno, który z nich jest kukłą.

I kto pociąga za sznurki.

14.

Karl-Heinz mógł wreszcie opuścić swoje stanowisko przy wejściu do Blumenthal Patio. Krążył to tu, to tam, rozmawiając grzecznie ze swymi gośćmi, kiedy nagle przez tłum przebiegł pomruk, niczym fala przyływu nabierająca rozpędu. Potem, jakby został przekreślony wyłącznik, wszystkie rozmowy gwałtownie ustały i w sali zapanowała cisza. Gdyby nie dźwięki eleganckiego kwartetu G-dur Mozarta, można by usłyszeć odgłos spadającej szpilki.

Uwagę wszystkich skupiło pojawienie się dwójki spóźnionych gości.

Potęźnie zbudowany mężczyzna o wylupiastych oczach był bankierem, działającym na obu kontynentach - ale jego staroświecki majestat został natychmiast przyćmiony przez towarzyszącą mu damę.

Po księżnej Di i królowej Elżbiecie była to niewątpliwie najslawniejsza kobieta na świecie; jej rzadko zdarzające się zstąpienie z wyżyn Olimpu powitano z lękiem i szacunkiem, należnym żywej legendzie.

Bo Rebecca Cornille Wakefield Lantzouni de la Vila właśnie była żywą legendą.

Obie siostry - Rebecca i Suzy, rywalizująca z nią bliźniaczka, aktualnie wicehrabina Suzy de Saint-Mallet - przyszły na świat w zubożałej, arystokratycznej rodzinie, jak to należało do dobrego tonu, w prześlicznej krainie polowań w New Jersey. Na szczęście bliźniaczki Cornille, jak je zwano w towarzystwie, były największymi pięknosciami świata. Co ważniejsze, obie natura obdarzyła najbardziej praktycznym ze wszystkich talentów - wyjątkową umiejętnością wybierania wspaniałych mężów, co samo w sobie było szczególną zaletą.

Suzy, starsza o sześć minut, poślubiła i pochowała niezwykle bogatego francuskiego wicehrabiego, nim związała się z najbogatszym ze wszystkich hollywoodzkich producentów, z którym małżeństwo zakończyło się

rozwozem i olbrzymim odszkodowaniem pieniężnym, po czym powróciła do tytułu pierwszego męża.

Rebecca, bardziej urodziwa, posłubiła i pochowała trzech mężów i, jak jej siostra, pozostała bezdzietna, co się często zdarza u bliźniąt. Ale jeśli małżeństwa Suzy były wspaniałe, związki Rebecce ograniczyły wprost z genialnością.

Mąż numer jeden, William Winterton Wakefield III, ten najbardziej niewzruszony republikanin pośród wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych, zostawił wdowie po sobie wyjątkową pozycję społeczną, członkostwo w prestiżowej organizacji Cór Amerykańskiej Rewolucji i majątek oceniany na dwadzieścia pięć - trzydzieści milionów dolarów.

Mąż numer dwa, Leonidas Danaus Lantzouni, bogaty Grek lubiący dawać prezenty, uczynił ją jedyną spadkobierczynią samonakręcającego się imperium tak rozległego, że przy nim miliony Wakefielda przestały się liczyć.

A mąż numer trzy, diuk Joaquin de la Vila, sześćdziesięcioletni hiszpański arystokrata mający niebezpieczną słabość do szybkich aut, ofiarował Becky więcej tytułów, niż mogła spamiętać, i bogactwa graniczące z nieprzyzwoitością.

W następstwie tego Rebecca Cornille Wakefield Lantzouni de la Vila, czy też Becky V, jak ją przezwala prasa - a imię to się przyjęło i była znana pod nim na całym świecie - nagle znalazła się ponad najwyższymi sferami towarzyskimi i zajmowała najbardziej wyeksponowane ze wszystkich miejsc - słońca, wokół którego krążą wszystkie mniejsze planety. Będąc najjaśniejszą i najbardziej fotogeniczną spośród wszystkich gwiazd na towarzyskim firmamencie, a zarazem osobą wręcz patologicznie skrytą, właśnie owej aurze tajemniczości, oddalenia i niedostępności zawdzięczała to, że ostatecznie stała się kimś na kształt niemal bogini.

Była czarującą, niezwykle modną damą o nienagannej figurze. Czarne włosy miała ostrzyżone tak samo jak Gloria Vanderbilt i odgarnięte za uszy; skóra, gładka i napięta, została chirurgicznie podciągnięta; dumny profil przywodził na myśl Nefretete - a oczy wydawały się wprost niewiarygodne w swym najbardziej intensywnym odcieniu fioleto.

Ale jeszcze bardziej fascynująca niż uroda Becky, była sama jej obecność, ponieważ zdawało się, że diuszesa de la Vila płynie wprost majestatycznie przez życie, otoczona niezmierną aurą.

Dziś wieczorem, jak zawsze, towarzyszyło jej dwóch mężczyzn, najwyraźniej agentów Secret Service, który to przywilej przysługiwał wszystkim

byłym prezydentom USA i ich żonom ze względów bezpieczeństwa. I podobnie jak zawsze, Becky była rewelacyjnie ubrana, cała w niebiańskim szafirze; spływająca miękko suknią z jedwabnej tafty, projektu Caroliny Hérrery, miała obcisły stanik skrojony ukośnie, tak że jedno ramię pozostawało gołe, podczas gdy drugie ozdabiała ekstrawagancka jedwabna kokarda. Zrobione na zamówienie pantofelki z tego samego materiału co suknia, wiązane w kostkach jak u baletnicy, istne cudowna, stworzył florencki mistrz, którego nazwiska Becky V strzegła równie zazdrośnie, jak swej prywatności.

Do tego miała niezrównane szafiry. Sławne kamienie z Kaszmiru, znane między prawdziwymi koneserami jako „Komplet szacha Jahana” stanowiły zaledwie jeden z wielu prezentów od drugiego męża, Greka.

Karl-Heinz przeszedł przez olbrzymią salę, a goście rozstępowali się przed nim bezgłośnie niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

- Becky! - Powitał zachwycony wielką damę, ujmując jej obie dłonie i całując „w powietrzu” w oba policzki. - Twoja obecność tutaj przynosi mi zaszczyt.

Obdarzyła go tajemniczym uśmiechem, który Leonardo uczynił słynnym, a który sobie przywłaszczyła. „Jej sławny uśmiech Mony Lizy” pisała o nim prasa.

- Jak mogłabym nie przyjść na twoje urodziny, Heinzie, *cheri*? - zapytała. Jej matowy głos stanowił zaskoczenie dla wszystkich, którzy słyszeli go po raz pierwszy. - Ale czterdzieste? - ciągnęła. - Powiedziałam sobie: *Pas possible!*

Jak na ironię to ona, która poślubiła Hiszpana, a nie jej siostra Suzy, żona francuskiego wicehrabiego, była wielką frankofilką i nieustannie okraszała swój angielski tyloma wtrętami, że można go było uznać za anglofrancuski.

- Według mnie nie wyglądasz na więcej, niż dwadzieścia dziewięć lat - oświadczyła. - *Non, non, non* i ani dnia więcej!

- Jak zawsze dyplomatka - zauważył Karl-Heinz ze śmiechem - i jak zawsze piękniejsza niż kiedykolwiek. Wcale się nie starzejesz. Jak to robisz, Becky? Musisz mi zdradzić swój sekret!

Nadal uśmiechała się tym swoim tajemniczym, niezgłębnym uśmiechem.

- Jeśli kiedykolwiek go zdradzę, *je tu le promets, mon cheri*, powiem go tobie i tylko tobie!

Karl-Heinz, który wiedział, że Becky tego nie zrobi, z rozbawieniem uniósł jedną brew, a potem uprzejmie zainteresował się towarzyszem pięknej damy.

- Lordzie Rosenkrantz - powiedział, kłaniając się lekko i uściśnął rękę mężczyźnie o szczeniastych brwiach. - Miło mi znów pana widzieć.

- Wprost przeciwnie! - zagrzmiał urodzony w Wielkiej Brytanii finansista. - Cała przyjemność po mojej stronie. Życzę panu wszystkiego najlepszego.

Kiedy panowie rozmawiali, Becky V wolno, majestatycznie zmierzyła wzrokiem salę, celowo patrząc wysoko nad głowami gości, by w ten sposób uniknąć spojrzeń ludzi - metodą opanowaną do perfekcji podczas kampanii prezydenckiej Billa Wakefielda.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknęła cicho, nieco rozbawiona. - Czy mnie wzrok myli, czy też stawił się tu cały Nowy Jork?

- Nie musisz się obawiać - pospiesznie zapewnił wielką damę Karl-Heinz, dobrze znając niechęć Becky V do tłumu, nawet jeśli składał się z wybranych osób. - Przyszłaś w samą porę. Za chwilę siadamy do stołów, a ponieważ tylko połowa gości jest zaproszona na obiad, ta ciżba wyraźnie się przerzedzi. Ale najpierw, jak tego grzeczność wymaga, naprawdę powinniśmy przez chwilę побыć wśród nich. To znaczy - dodał pytająco, mając na względzie jej uprzywilejowaną pozycję - jeśli nie masz nic przeciwko temu?

Becky V dzielnie wsunęła rękę pod jego ramię.

- *Il le faut* - oświadczyła władczo. - Dziś są twoje urodziny, więc muszę zrobić to, co rozkażesz. *Tu marcher en tete!*

* * *

- A niech mnie! - wykrztusiła Kenzie tonem pełnym uszanowania. - Masz pojęcie, kto właśnie się zjawił?

Świeżo poznany adorator wrócił właśnie z szampanem i zastał ją oniemiałą z zachwytu. Uśmiechnął się wyrozumiale i wcisnął dziewczynie do ręki kieliszek.

- Bądź spokojna - powiedział. - Oczy cię nie mylą.

- Więc też ją widziałeś?

Hannes ponownie się uśmiechnął.

- Jak mógłbym ją przeoczyć? Przecież na jej widok wszyscy umilkli.

- Tak - przyznała z powagą Kenzie. - Ona to sprawiła. A ja zawsze myślałam, że ludzie z tych kręgów są odporni na takie emocje.

- Owszem, ale Becky V słynie z tego, że nigdy nie pokazuje się publicznie - wyjaśnił jej towarzyszył.

- Podobnie, jak Michael Jackson - zauważyła dziewczyna.

- A co? Brakuje ci go? - zapytał z uśmiechem Hannes.
- Szczerze mówiąc, nie. Ale dosyć o tym. - Uniosła kieliszek i zaproponowała toast. - Za...

- ...nas? - dokończył cicho, spoglądając jej głęboko w oczy.

Kompletnie zaskoczona Kenzie nie usłyszała brzęku kieliszków, którymi się trącili, ani otaczającego ją gwaru i śmiechu, tak była pochłonięta widokiem przed sobą. A wyrażając się precyzyjniej - niesłuchanie wyjątkowym przedstawicielem rodu męskiego, którego uwagę zwróciła.

Za nas! - pomyślała uradowana, bojąc się, że za chwilę pęknie z dumy. Powiedział: „za nas!”

Pociągnęła łyk szampana, ale nie przełknęła go, rozkoszując się cierpkim smakiem na języku. Całą sobą czuła bliskość stojącego obok mężczyzny, wyobrażała sobie, że on jest pszczołą, a ona kwiatem, pełnym obiecującego, wonnego pyłku. Zastanawiała się, czy takie spotkania to przypadek czy też zrządzenie losu, i czy Hannes słyszy, jak jej serce wali głośno w piersiach.

- Stałaś się nagle dziwnie milcząca - zauważył. - Czy to dlatego, że milczenie jest złotem?

Kenzie nie odezwała się, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Aha. To może cię zatkało?

- Może - przyznała, udając, że powstrzymuje ziewnięcie i rozmyślnie próbując zachować obojętność. - Przyszedłeś tu z kimś?

- Masz na myśli kobietę?

Jej milczenie mówiło samo za siebie.

- Owszem, przyszedłem tu z kobietą - odparł, wyraźnie rozbawiony - ale nie bój się, zdaje się, że mnie zostawiła.

- Rzuciła cię! - wykrzyknęła Kenzie ze szczerym zdumieniem. - Ciebie! Dla innego?

Uśmiechnął się i skinął głową. - I dzięki Bogu! Była dość nudna.

- Ale śliczna?

- Jeśli masz na myśli sztuczne piękno, to owszem. - Hannes napił się szampana, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku. - A ty? Przypuszczam, że też nie przyszedłeś tu sama?

- Nie - powiedziała wolno. - Czy sprawia ci to różnicę?

- To zależy. Pomyślmy... czy jest wysoki, ciemny i przystojny?

Kenzie wydeła usta udając, że się zastanawia.

- No cóż, rzeczywiście jest wysoki - przyznała kokieteryjnie, świetnie się bawiąc tym przekomarzaniem o lekkim podtekście erotycznym.

- I przystojny?

Przestała się uśmiechać. Pan Spotts świetnie się trzymał - szczególnie, jeśli uwzględnić jego wiek - ale trudno było powiedzieć, że jest przystojny.

- No cóż... przypuszczam, że... że wygląda... hmm... dystygowanie - dokończyła z wahaniem.

- Ale nie jest twoim mężem? - Hannes spojrział dyskretnie na jej palec serdeczny.

Kenzie sprawiło to przyjemność. Od dawna nikt poza Charleyem jej nie podrywał. Prawdę mówiąc, już zapomniała, jak to jest, gdy wzbudza się zainteresowanie u mężczyzny i jak bardzo coś takiego podbudowuje kobiecą dumę.

- Skąd ci przyszło do głowy, że jestem mężatką? - spytała zaciękawiona.

- Tylko chciałbym wiedzieć.

Uśmiechnęła się lekko.

- Cóż, skoro chcesz wiedzieć, nadal jestem wolna. - Nie czekając na jego reakcję, napiła się odrobinę szampana. - A ta kobieta, która ci towarzyszyła? Czy jest twoją żoną?

- Niech Bóg broni! - zawołał.

- W takim razie kochanką?

- Lepiej nie, bo jeszcze jej mąż mógłby mnie zabić!

- Ach! - Zrobiła zdziwioną minę. - Rozumiem, że jest zazdrosny?

- O, tak - przyznał. - I to bardzo. A poza tym jest dobrym strzelcem.

- Jakie to romantyczne! - zachwyciła się Kenzie.

- Przypuszczam, że można i tak na to spojrzeć.

- Ale nie boi się zostawiać żony pod twoją... opieką?

- A powinien się bać?

Kenzie stwierdziła, że się rumieni. Spuściła wzrok i zaczęła wpatrywać się w kieliszek, wolno obracając jego nóżkę w palcach.

- Cóż... chodzi mi o to, że... że... no cóż, nie jesteś zbyt...

- Zbyt?

- No więc nie jesteś słoniem, to pewne.

Hannes odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Był to spontaniczny, głośny śmiech, który z miejsca każdego rozbierał. Jednocześnie naruszył jego aż nazbyt regularne rysy i zburzył ich perfekcyjność pokazując, że ten mężczyzna był koniec końców tylko pełnym życia człowiekiem z krwi i kości, a nie dumnym zapatrzonym w siebie marmurowym bóstwem.

Udając obojętność, oderwała od niego oczy i niespodziewanie zmieniła temat.

- Co to... co to za imię Hannes? - spytała ni stąd, ni zowąd.
- Skandynawskie, Kenzie - wyznał uwodzicielskim szeptem. - Urodziłem się w Porkkala. To miasto na fińskiej riwierze, trochę na zachód od Helsinek.

- Nie mogę uwierzyć, że pochodzisz z Finlandii! - wykrzyknęła.
- Dlaczego, Kenzie?
- Ponieważ... Przecież twoja angielszczyzna jest bezbłędna. Nie masz ani śladu cudzoziemskiego akcentu.

- To dlatego - wyjaśnił - że mój ojciec był dyplomatą. Z uwagi na jego pracę jeździliśmy do najróżniejszych zakątków świata, posyłano mnie do angielskich szkół z internatem, jak również do szkół przy ambasadach amerykańskich w... och, w dziesiątkach najróżniejszych krajów.

Gapiała się na niego, na poły sparaliżowana, serce biło jej jeszcze mocniej, miała wrażenie, że w całej sali zapanowała cisza, że znajdują się tutaj tylko oni.

- Jesteś pierwszym Hannesem, jakiego spotkałam - szepnęła ochryple. - A prawdę mówiąc, nawet pierwszym Hansem...

Znów ich spojrzenia się spotkały. Jego wzrok miał tak hipnotyzującą moc, że Kenzie zupełnie straciła mowę - wiedziała, z absolutną pewnością, że wpadła po uszy. Nie było sensu z tym walczyć; opór tylko mocniej podsyciłby płomień pożądania, o czym świadczyło to, jak się poczuła, kiedy Hannes chwycił ją za rękę i nagle przyciągnął do siebie, jakby zamierzając pocałować. Po chwili jednak uświadomiła sobie, że zrobił to tylko dlatego, by mógł ich minąć kelner z tacą pełną kieliszków szampa na i poczuła ukłucie rozczarowania.

Mężczyzna odgadł to i zamiast puścić Kenzie, jeszcze mocniej ją przytulił, a na jego ustach pojawił się figlarny uśmiezek.

Nagle zaschło jej w gardle i poczuła w środku falę gorąca, jakby oboje ich nagle ogarnął ogień.

Och, jak było jej z nim dobrze!

Czemu, na Boga, zadała sobie pytanie, miałabym chcieć mu się opierać?

A jednak nie straciła resztek zdrowego rozsądku - bo coś w głębi serca mówiło jej, by nieco zwolniła tempo i ostrzegało, że sprawy toczą się zbyt prędko.

Nieznamomy tak przystojny, jak Hannes, musi oznaczać kłopoty, uprzedzał ją jakiś wewnętrzny głos. Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre - a wiesz - lepiej szybko się oddal. Daj sobie przynajmniej czas na ochłonięcie. Może idź na chwilę do damskiej toalety? Kto wie? Może dzięki temu unikniesz wielu potencjalnych kłopotów...

Uwolnwszy się z objęć Hannesa, mruknęła coś niewyraźnie o konieczności udania się do łazienki i cofnęła się na niepewnych nogach. Potem odwróciła się szybko i uciekła, lawirując w gęstym tłumie. Powtarzała na prawo i lewo: „Przepraszam... przepraszam... przepraszam...”, uśmiechając się czarująco do nieznanym, na których wpadła, aby dać im w ten sposób do zrozumienia, że nie chciała nikogo obrazić.

Zbyt późno jednak dostrzegła wysoką postać, zmierzającą prosto w jej stronę. Jasnoruda kobieta, ubrana w czerwono-biało-czarny strój, podobnie jak Kenzie, szła zbyt szybko, by się nagle zatrzymać.

Na chwilę czas jakby stanął w miejscu, a potem przyspieszył, kiedy nagle się stało: dwie młode kobiety zderzyły się, potem cofnęły o krok, a pełne kieliszki wypadły im z dłoni.

Popłynął szampan, zalewając ich kreacje, a potem dwa ostre brzęknięcia, jedno po drugim, oznajmiły gościom, że szkło roztrzaskało się na posadzce.

Kenzie i Zandra jednocześnie jęknęły z przerażenia. Obie jednocześnie spojrzały na przód swoich sukienek i próbowały ocenić rozmiar szkód. Potem wolno uniosły głowy i spojrzały jedna na drugą oskarżycielko.

Tłum, który zaledwie chwilę temu roztropnie odskoczył do tyłu, teraz zaczął napierać, miażdżąc odłamki szkła.

- O, Boże! - szepnęła przerażona Kenzie. Zamknęła oczy, pragnąc, by ziemia się rozstała i ją pochłonęła. - Chyba padnę trupem!

- Chyba padniesz trupem? - jęknęła Zandra. - To ubranie nie jest moje! Pożyczyłam je!

Przez chwilę, która trwała całą wieczność, mierzyły się wzrokiem pełnym wyrzutu - a potem nagle jednocześnie wskazały jedna drugą i wybuchnęły bezradnie śmiechem.

- Boże! - chichotała Kenzie. - Ale ty wyglądasz!

- Ja? - krztusiła się Zandra. - Lepiej spójrz na siebie!

- O, Jezu! - Kenzie spojrzała na nią, szukając ratunku. - Co teraz zrobimy?

- Co zrobimy? - powtórzyła tamta, natychmiast obejmując przywództwo. - A jak myślisz? Chodź ze mną!

Ujęła Kenzie pod ramię i pewnym krokiem ruszyła w kierunku toalety.

- Niech się gapią - oświadczyła, machnięciem ręki zbywając świadków kolizji. - Pokażemy im, co jedna niezrównana jankeska i jedna genialna wyspiarka potrafią razem wymyślić, no nie?

- Tak? - W głosie Kenzie słychać było powątpiewanie.

- Oczywiście! - Zandra się rozpromieniła. - Właśnie wyszłam z kibelka i wiesz, co?

- Jest obrzydliwie brudno?

Jej towarzyszka znów wybuchnęła śmiechem.

- W takim miejscu? Na miłość boską, nie! Ale ktoś pomyślał o tym, by przy każdej umywalce zamontować suszarkę, niech Bóg mu pobłogosławi, więc ani się obejrzysz, a będziemy suche. No, głowa do góry! Przy najmniej jedno możemy zrobić: opuścić scenę naszego nieszczęśliwego wypadku z godnością!

I właśnie tak zrobiły.

Sheldon D. Fairey przeszedł dużą zmianę. Starał się ze wszystkich sił, ale po prostu już nie potrafił roztoczyć wokół siebie, jak zawsze, aury wyższości i władzy. Gniew i rozgoryczenie skręcały mu trzewia, paliły żywym ogniem, a wszystko to przez Roberta A. Goldsmitha - oby łobuz zginął w piekle! W dodatku teraz do uczucia goryczy doszło poniżenie, kiedy dopadł go Spotts. Czy ten wieczór nigdy się nie skończy?

- Tak, Dietrich - mruknął. - W pełni sobie zdaję sprawę z tradycji obowiązującej u Burghleya.

W jego głosie dźwięczała jednak jakaś przesadna nutka; mówił, jak drugorzędny aktor grający prezesa, ale nie mógł się pozbyć tego fałszu.

- Naturalnie odchodzący szef działu ma prawo polecić kogoś na swoje miejsce i już to zrobiłeś. Wiemy również obaj, że z wyjątkiem kilku odosobnionych przypadków, rekomendowane osoby były mianowane kierownikami.

- Czy to znaczy - spytał Spotts, świdrując szefa oczami - że mogę poinformować pannę Turner, że jej awans został oficjalnie potwierdzony?

- Hmm... - Fairey, unikając jego wzroku, zaczął unosić kieliszek do ust i ze zdumieniem stwierdził, że nic w nim nie ma, zmarszczył więc czoło i wolno go opuścił. - Cóż, w normalnych okolicznościach... nie ważyłbym się powiedzieć tak...

Czuł się tak, jakby ostre światło nagle oświetliło jego wnętrze, ukazując jakąś skazę w charakterze. Ale Dietrich Spotts, zaprawiony w cierpliwości i ukrywaniu uczuć, dobrze utaił niepokój pod maską pozornego opanowania.

Fairey odchrząknął nerwowo i dodał:

- Naturalnie twoje rekomendacje zostały rozpatrzone. - Uśmiechnął się kwaśno. - Jednakże w tym specyficznym wypadku... zachodzą... szczególne okoliczności.

Co, u diabła? Spotts nie wierzył własnym uszom. Nie zamierzając rezygnować, kontynuował:

- Sheldonie, co to za bzdury? Jakie szczególne okoliczności? Chyba powinieneś mi to jaśniej wytłumaczyć.

Odwlekając nieuniknione, Fairey rozejrzył się, wypatrzył kelnera i dał mu znak. Odstawił pusty kieliszek na tacę, wziął pełny i pociągnął łyk.

- Sheldonie? - odezwał się cicho Spotts.

- Posłuchaj, Dietrich! - wysapał Fairey. Jego opryskliwość odbiła się na nim samym rykoszetem. Starając się zapanować nad irytacją, powiedział: - Jak z całą pewnością jesteś tego świadom, czasy... czasy się zmieniają. - Spróbował się uśmiechnąć. - Racja, że nam, tradycjonalistom, trudno się dostosować do nowego, ale takie jest życie, nieprawdaż?

Mając nadzieję, że w ten sposób wykpi się od odpowiedzi, Fairey szybko wsadził nos z powrotem w kieliszek, pragnąc, by Spotts zniknął.

Ale ten nie miał najmniejszego zamiaru zostawić Sheldona D. Faireya w spokoju - z pewnością nie tak szybko - póki nie zrozumie, co się kryje za owymi wykrętnymi uwagami i chrząknięciami.

- Na Boga, Sheldonie - powiedział - tylko sam siebie posłuchaj. Jesteś rozdrażniony jak gniazdo szerszeni. Przestań mnie zwodzić i powiedz prosto z mostu, o co chodzi!

Fairey westchnął ciężko.

- Wierz mi, to... to nie mój wybór.

- Aha. - Pan Spotts skinął głową. - Rozumiem, że to wybór pana Goldsmitha albo jego żony?

- Brawo! - powiedział zręczliwie Fairey. - Przesuń się na kolejne pole i odbierz dwieście dolarów nagrody.

- A więc? Któż to taki?

- To... to... nieszczęście, klęska, plaga egipska, fatum Izraelitów, wszystko razem. To... upadek Imperium, Dietrichu, jeśli chodzi o Burghleya! - Fairey uniósł kieliszek jakby chciał nim w coś cisnąć i widzieć, jak rozpryskuje się w drobny mak.

- Sheldonie, czy mam na siłę wydusić z ciebie nazwisko owej osoby?

Fairey przyjrzał się kieliszкови trzymanemu pod światło, a potem wolno go opuścił. Wydawało się, że uszło z niego całe powietrze.

- To panna Barbara Parker, jeśli jej nazwisko coś ci mówi. - Znów wznosił kieliszek, jakby ponownie zamierzał go rozbić. Jego głos przemienił się w syk. - Teraz rozumiesz?

Pan Spotts mimo woli się cofnął, jakby go ktoś zdzielił obuchem w głowę, a potem nachylił się w stronę Faireya i spojrzał na niego, zmrzywszy oczy.

- Panna Parker? - spytał z niedowierzaniem. - Proszę, Sheldonie, proszę, powiedz mi, że nie chodzi o Bambi Parker!

Fairey unikał jego wzroku; ze wszystkich sił pragnął, żeby Dietrich Spotts wreszcie sobie poszedł, skoro już się dowiedział, kto zostanie jego następcą.

Ale pan Spotts nie miał zamiaru się wycofać. Wysoki, sękaty i uparty jak przysłowiowa sosna z Monterey, stał gapiąc się na niego.

- Sheldonie... - Głos miał ostry jak brzytwa. - Prosiłem, żebyś mi powiedział, czy masz na myśli Bambi Parker!

- Tak, do cholery! - krzyknął niemal Fairey, mało się nie dławiąc. Po chwili przesunął drżącą ręką po włosach i zmusił się, by ściszyć głos. - Przykro mi, że się tego dowiedziałeś ode mnie, Dietrichu, ale ona, a nie panna Turner, jest twoją następczynią.

Pan Spotts na tyle stracił opanowanie i obojętność, z których słynął, że Fairey widział, jak mięśnie jego twarzy się napinają. Sam czuł się jak czarny charakter, trzymający widzów w szachu. Co, pomyślał ponuro, właśnie robił, nawet jeśli grał przed jedną osobą, a sztuka... no cóż, sztuka z całą pewnością nie była tą, w której pragnąłby występować.

- A więc w końcu wyszło szydło z worka, Dietrichu. - W głosie Faireya pojawiło się coś odpychającego. - I jak? Czy jesteś szczęśliwy, że zmusiłeś mnie do powiedzenia tego? Jesteś teraz zadowolony?

Pan Spotts, zdęgotowany akcją sztuki, jej przesłaniem i grą aktora, wzruszył z niesmakiem ramionami.

- Cóż, mój przyjacielu - zauważ}'!, uśmiechając się niewesoło. - Mogę powiedzieć tylko jedno.

- Co?

- Jeśli pan Goldsmith okazał się na tyle głupi, by tak sobie posłać... - A z oczywistych względów, pomyślał, to musi być jego robota, a nie jego małżonki; pani Goldsmith za nic by nie wpuściła takiego szczwanego lisa jak Bambi Parker do swego kurnika. - ... w takim razie tak się wyśpi, jak sam tego chciał. Nie zazdroszczę mu na krótką metę. - W tonie pana Spotts'a dało się wyczuć ironię. - A jeszcze mniej na dłuższą.

- Przykro mi, Dietrichu - powiedział zachrypniętym głosem Sheldon Fairey. - Próbowałem. Wierz mi, że próbowałem, ale ten diabeł wcielił...

- Wiem. - Pan Spotts ze zrozumieniem poklepał go po ramieniu i skinął głową, po chwili zaś schował ją w ramionach niczym żółw. Miał już odejść, lecz zatrzymał się w pół kroku, wolno się odwrócił i wyciągnął szyję, aż napięła mu się skóra. - Zdaje się, że zdrowie odmówiło mi posłuszeństwa w samą porę, prawda, Sheldonie? - W jego słowach słyhać było gorzką ironię. - Cóż, wszystkiego najlepszego w walce z Filistynami, mój przyjacielu. Przynajmniej los się wtrącił i moje ręce pozostały czyste.

- Dietrich! Z pewnością nie wierzysz, że chciałem skalać swoje!
Pan Spotts potrząsnął głową.

- Nie, nie - zapewnił go cicho. - Naturalnie, że nie.

Potem, będąc zwolennikiem szybkiego przekazywania złych wiadomości, machnął ręką i wyruszył na poszukiwanie Kenzie - która, jak się okazało, najwyraźniej się rozplynęła.

* * *

W damskiej toalecie Zandra i Kenzie, niczym wojowniczkki z kosmicznej ery, każda uzbrojona w dwie suszarki, kierowały strumienie gorącego powietrza jedna na drugą.

- No i jak? - spytała wesoło Zandra znad suszarek. - Co ci powiedziałam? W przygotowaniu tego przyjęcia brał udział ktoś, kto zna się na kobietach. W przeciwnym razie co by tutaj robiły te pożyteczne urzędnia?

- Cieszę się, że ktoś je tu umieścił - zawołała Kenzie - i że o nich wiedziałś. Bo inaczej byłybyśmy... tkwiłybyśmy w szambie po przysłowiowe uszy.

- Och, na miłość boską! - wesoło skarciła ją Zandra. - Możesz swobodnie używać wszelkich wyrazów na cztery litery, jakich tylko chcesz. Wątpię, bym któregoś nie znała.

- Wiem - wyznała Kenzie. - Cholernie mi ulżyło, że to na ciebie wpadłam, a nie na jakąś starą upierdliwą babę.

- Powiedz to jeszcze raz! - zachwyciła się Zandra. - Ale czy to nasze zderzenie nie było *dee-voon*? Tak czy inaczej, wiem, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami! - Wycelowwała teraz obie suszarki w talię Kenzie i robiła nimi wolne, okrężne ruchy. Unosząc wzrok dodała: - Zawsze wierzyłam, że najlepsze są przyjaźnie zawarte w niepomysłnych okolicznościach. Zgadzasz się ze mną?

- Mm. Nigdy wcześniej się nad tym nie... - Nagle Kenzie coś sobie przypomniała. - O, Boże!

- Co się stało?
- Czy nie... czy nie powiedziałaś, że pożyczyłaś swoje ciuchy?
- Tak, ale spokojna głowa. O ile znam moją przyjaciółkę, skoro raz były noszone, nigdy więcej nie ujrzą światła dziennego. - Zandra wyłączyła jedną suszarkę i odłożyła ją na półkę nad umywalką, w lewej ręce nadal trzymając drugą. - Ale nie zostałyśmy sobie jeszcze przedstawione.
- Wyciągnęła prawą rękę.

Kenzie też odłożyła jedną suszarkę i mocno uściśnięła dłoń towarzyszki niedoli.

- Nazywam się MacKenzie Turner, dla przyjaciół jestem po prostu Kenzie. Poza tym muszę cię uprzedzić, żebyś się nie dała zwieść pozorom.

Zandra uniosła brwi.

- To znaczy?

- No więc jestem rybą, wyciągniętą z wody. Chodzi mi o to, że nie zostałam zaproszona, towarzyszę tylko swemu odchodzącemu na emeryturę szefowi. Innymi słowy, Kopciuszek, którego widzisz, to zwyczajna dziewczyna, pracująca od dziewiątej do piątej.

- I co z tego? Czy to coś zmienia?

- Nie wiem. Nie chcę tylko, żebyś odniosła fałszywe wrażenie. Nie pochodzę z wyższych sfer, a ta suknia od Givenchy'ego, w którą celujesz gorącym powietrzem... - Teraz, kiedy po wyłączeniu dwóch suszarek zrobiło się znacznie ciszej, Kenzie usłyszała szum spuszczonej wody w jednej z kabin i rozejrzała się, czy ktoś nie podsłuchuje. - Jest kupiona w sklepie z używanymi ciuchami - zwierzyła się niemal szeptem. - Uwierzyłybyś, że za głupie trzydzieści pięć dolarów?

- Naprawdę? - Zandra spojrzała na nią zdumiona. - Niesłychane! Musisz wziąć mnie ze sobą na zakupy!

Kenzie spojrzała na nią zaskoczona.

- Nie mów mi, że ty też dysponujesz skromnym budżetem?

- Skromnym? - Zandra zaśmiała się ironicznie. - Raczej żadnym! - A potem dodała: - Jestem bez grosza przy duszy. Widzisz? Mamy ze sobą więcej wspólnego, niż myślałaś. Poza tym jedynym powodem mojej tutaj obecności jest to, że przyjaciela, u których się zatrzymałam, dostali zaproszenia.

- Jak długo zamierzasz zostać w Nowym Jorku?

- Kto wie? - Zandra przypomniała sobie swą pospieszną rejteradę z Londynu, ale wiedziała, że jeszcze nie pora dzielić się tego rodzaju przykrymi szczegółami - jeśli w ogóle taka chwila kiedyś nastąpi. - Wiem

jedynie - mruknęła - że zabawię tu wystarczająco długo, by zostać dziewczyną pracującą, jak ty.

- Naprawdę? Czy już zaczęłaś się za czymś rozglądać?

- Nie, ale dzięki Bogu, nie muszę się o to martwić, chociaż dopiero dziś przyleciałam z Londynu. Myślę, że już znalazłam pracę... a raczej posada została znaleziona, jeśli nie stworzona... - Skrzywiła się z niesmakiem wypowiadając to słowo. - ... specjalnie dla mnie.

- Ale nadal mi nie powiedziałaś, jak ci na imię - przypomniała jej Kenzie.

- To dlatego - powiedziała ponuro Zandra - że to krzyż, który jestem zmuszona dźwigać przez swoich przodków.

Otworzyły się drzwi kabiny i koścista kobieta w amarylkowato czerwonej kreacji od Scassiego podeszła do najdalszej umywalki, skąd i tak niczego by nie usłyszała.

- Na pewno nie może być aż tak źle - powiedziała zachęcająco Kenzie.

- Nie? - Zandra westchnęła. Kobieta w czerwieni przy ostatniej umywalce nachylała się przed lustrem, poprawiając szminkę na ustach. - No to posłuchaj: Anna Zandra Elisabeth Theresia Charlotte von Hohenburg-Willemlöhe.

Kenzie gapiła się na nią zaskoczona.

- Żartujesz sobie!

- Zapewniam cię, że nie. - W łonie głosu Zandry słychać było dziwne rozdrażnienie, zadumę i irytację, które w uszach Kenzie zabrzmiały wzruszająco. Zupełnie, jakby nagle została wtajemniczona w rzeczywistość, jaka kryje się za powszechnymi wyobrażeniami o życiu w romantycznych bajkach; coś, nad czym wcześniej nigdy się nie zastanawiała. - Masz pojęcie - ciągnęła Zandra - ile razy pragnęłam nazywać się jakoś zwyczajnie? Na przykład... na przykład Jane Smith?

- Tak czy inaczej - Kenzie machnęła suszarką. - Usłyszawszy te wszystkie twoje z habsburska brzmiące imiona nadal nie wiem, jak mam się do ciebie zwracać.

- Och, wcale nie jestem Habsburżanką, nawet jeśli można by odnieść takie wrażenie, sądząc po moim nazwisku - wyjaśniła Zandra, starając się maksymalnie uprościć swą skomplikowaną genealogię, by uniknąć zamieszania. - Z pewnością płynie w moich żyłach odrobina habsburskiej krwi, ale tylko dlatego, że wszystkie stare rody europejskie to jeden wspólny kocioł. Ale jeśli chodzi o moje imię, na co dzień używam drugiego, Zandra. Widzisz, jest oryginalne i zdaje się, że najlepiej do mnie pasuje.

- Zandra - powtórzyła wolno Kenzie, naśladowując wymowę nowej znajomej. - Mm. Tak, chyba do Ciebie pasuje.

Tamta uśmiechnęła się tajemniczo.

- Obiecuję, że nie będiesz się śmiała, ale prawdziwym powodem, dla którego Cię lubię, jest to, że od dzieciństwa zawsze miałam słabość do wszystkich słów zaczynających się na Z. Dziwactwo, nie uważasz? Ale czym jest życie, jak nie ciągiem dziwacznych zbiegów okoliczności? Weźmy chociażby to, jak się poznałyśmy. Czy pracę, którą mi zaproponowano...

- Do tej pory nie zdradziłaś, co to za posada - przypomniała jej Kenzie.

- Przepraszam! Nie zamierzałam być taka tajemnicza. - Poczekaj, aż kobieta w czerwieni, poprawiwszy makijaż, minęła je majestatycznie i wyszła. - Rzecz w tym, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin całe moje życie wywróciło się do góry nogami. Wszystko stało się tak szybko! Ale na ile się orientuję, będę pracowała u Burghleya...

- U Burghleya! - pisnęła z niedowierzaniem Kenzie. - Chyba nie masz na myśli domu aukcyjnego?

- Owszem, dokładnie. - Zandra się zaniepokoiła. - Dlaczego? Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Czy jest coś... - Kenzie uśmiechnęła się szeroko. - Ależ nie mogłoby być lepiej! Zandro, ja też pracuję u Burghleya!

- Niemożliwe! - Dziewczyna aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Naprawdę! - wykrzyknęła Kenzie. - Czyż to nie wspaniałe?

- Jeszcze jak!

- Nie mogło być lepiej!

- No widzisz? Jeszcze jeden dowód. Nasze spotkanie to zrządnienie losu. - Zandra wyłączyła drugą suszarkę. - Dobra - powiedziała, kładąc ją na półce obok pierwszej. - Myślę, że wystarczy.

Kenzie jedną ręką pogładziła przód swojej sukienki.

- Sucha jak pieprz - oświadczyła. - A tobie został wilgotny tylko ten mały kawałek. - Skierowała suszarkę na spódnicę Zandry. - A więc, jaka jest twoja dziedzina? - spytała, unosząc wzrok.

- Moje co?

- No wiesz, specjalizacja. Chińska ceramika? Sztuka islamu? Malarstwo prymitywne?

- O, nic aż tak egzotycznego. Jedyne, na czym się znam, to ponure, stare obrazy. No wiesz, portrety przodków... pejzaże z ruinami... wszelkiego rodzaju popękane, pokryte werniksem, oprawione w pozłacane ramy potworności o nieposzlakowanym rodowodzie...

- Masz na myśli dawnych mistrzów? - spytała słabo Kenzie, nie śmiać wierzyć własnym uszom.
- Tak, zdaje się, że tak to się oficjalnie nazywa. Bo co?
- Bo - wyrzuciła z siebie Kenzie jednym tchem - ja też pracuję w tym dziale! Och, to zbyt wiele! Teraz wiem, że miałaś rację. To, że na siebie wpadłyśmy...
- i to dosłownie - wtrąciła tamta chichocząc.
- ...Musiało być boskim zrządzeniem! - dokończyła Kenzie. - No, teraz już wszystko suche. - Wprostowała się i wyłączyła suszarkę. Nagła cisza, która zapanowała w łazience, wydawała się niemal nierealna. Ujęła w palce dół swojej sukienki i uniosła, by mu się przyjrzeć. - No jak? - spytała. - Jak myślisz? Mogę się pokazać ludziom?
- Przy tym oświeceniu - stwierdziła Zandra - widać słabe zacieki. Ale kiedy znajdziemy się tam, na sali, nikt niczego nie zauważy.
- Może mogłybyśmy usiąść obok siebie na obiedzie? - Kenzie trąciła ją ramieniem.
- Bardzo bym chciała, ale zostało już tak mało czasu... - odpowiedziała delikatnie Zandra, pamiętając o zaproszeniu Karla-Heinza do jego stolika - zmianie, dokonywanej w ostatniej chwili, która niewątpliwie wprowadziła zamieszanie do planu rozsadzenia gości - ...że prawdopodobnie wywołałoby to poważne dylematy towarzyskie.
- Kenzie ze stoickim spokojem wzruszyła ramionami.
- No, cóż - powiedziała, otwierając drzwi od damskiej toalety. - To żadna tragedia. Możemy się spotkać później.
- Naturalnie!
- I ruszyły przed siebie, ramię w ramię, obie rozpromienione i uszczęśliwione nowo zawartą przyjaźnią.
- Ale gdy tylko wróciły do Blumenthal Patio, miny im zrzedły.
- Co, do... - zaczęła Kenzie, rozglądając się z niedowierzaniem.
- Wielka sala, w której dosłownie wrzało jak w ulu, kiedy udawały się do toalety, teraz była pusta i cicha. O tym, że odbywało się tu przyjęcie, świadczyły jedynie zespół kameralny, pospiesznie pakujący instrumenty i nuty, kilku kelnerów, zamiatających podłogi, oraz trzech mężczyzn, czekających pośrodku sali. Najwidoczniej wszyscy już się przenieśli na dziedziniec Engelharda na obiad, to znaczy wszyscy, z wyjątkiem księcia Karla-Heinza, pana Spotts'a i Hannesa Hockerta.
- Chyba padnę trupem! - mruknęła zakłopotana Kenzie. - Zdaje się, że strasznie się spóźniłyśmy!
- Lepiej późno niż wcale - pogodnie odparła Zandra i ująwszy ją pod ramię, delikatnie pociągnęła za sobą.

Karl-Heinz pierwszy je zauważył.

- Jesteś wreszcie! - zawołał do Zandry i wyprzedził pana Spotts'a i Hannesa, którzy podążyli tuż za nim.

- Mam nadzieję, że przeze mnie nie spóźniliśmy się okropnie na obiad. Heinzie... nasze szampany miały małą kolizję! - Zandra się rozejrzała. - Gdzie jest Lex? - spytała, krzywiąc usta.

- Lex? - powtórzył bezmyślnie Karl-Heinz, nim sobie skojarzył, o kogo chodzi. - Ach, masz na myśli dżentelmena, z którym przyszłaś?

- Tak, Lexa Bugga - potwierdziła.

- Kiedy go widziałem ostatni raz - powiedział Karl-Heinz - towarzyszył jakiejś starszej damie.

Zandra zmrużyła oczy. Łachudra! - pomyślała. Zostawiłby mnie! Jakby czytając w myślach swej kuzynki, Karl-Heinz uśmiechem rozproszył jej chwilową irytację.

- Myślę, że bardzo dobrze się złożyło - powiedział. - Teraz nie będę musiał się z nikim dzielić i mogę cię mieć wyłącznie dla siebie.

Powiedziawszy to, jedną ręką ujął Zandrę pod ramię, drugą położył jej na ramieniu i porwał ją, zostawiając z tyłu Kenzie, Hannesa i pana Spotts'a.

Dziewczyna odwróciła głowę i rzuciła Kenzie przez ramię pospieszne, bezradne spojrzenie. „Porozmawiamy później!” - powiedziała bezgłośnie.

„Dobra!” - odpowiedziała jej w ten sam sposób Kenzie i wsunęła jedną rękę pod ramię pana Spotts'a, a drugą - Hannesa.

- Przepraszam, że tak zniknęłam - powiedziała, kiedy we trójkę szli za utytułowaną parą. - Doszło do drobnego... wypadku.

- Mam nadzieję, że nic poważnego? - spytał jej szef, nie dając po sobie poznać wewnętrznego wzburzenia.

- Ależ skądże - zapewniła go lekko Kenzie. - Mam tylko nadzieję, że nie sprawiłam panom kłopotu.

- Nie, nie - pospiesznie rzucił pan Spotts, ale w duchu jęknął. Miał nadzieję, że natychmiast będzie miał okazję przekazać jej bez świadków niepomysłną wiadomość o tym, że nie została uwzględniona podczas awansów. Lepiej, żeby usłyszała to ode mnie, niż od kogoś innego, pomyślał. Teraz, niestety, będzie musiał zaczekać, aż zasiądą do obiadu.

To nie najlepszy moment, myślał ponuro, kiedy weszli na dziedziniec Engelharda. Nie, pod żadnym względem...

Ale Kenzie, wciąż nieświadoma dramatu, w którym grała tak istotną rolę, była zbyt zaaferowana tym, jakie wrażenie, wywoła ich pojawienie

się na dziedzińcu, by zauważyć, że czegokolwiek jej brakuje do szczęścia.

Ostatecznie, spytała siebie z euforią, świadoma, że jej wejście zostało dodatkowo uhonorowane obecnością dwóch eleganckich mężczyzn po obu bokach, czy jest jakkolwiek inny sposób, by gdziekolwiek się pojawić? Ponieważ bez względu na to, jakby oceniać ów fakt, dwóch towarzyszy nie tylko podwajało przyjemność, ale ją zwielokrotniało - i było nieskończenie, bezsprzecznie lepsze, niż mieć tylko jednego!

16.

Na razie rzeczywistość przestała się liczyć.

Na dziedzińcu Engelharda chybotliwe płomyki, kapiące od złota kompozycje kwiatowe, naszyjniki mrugających światełek, rozwieszane między łukowatymi kratkami, blask i migotanie złota i klejnotów - wszystko to jakby się zmówiło, by opromieniać zarówno gości, jak i potrawy.

Wydawało się, że całość wyczarował jakiś dżin, dysponujący magiczną siłą. Eleganckie parasole z wyszukаныmi zakończeniami i pęki strusich piór chwiały się lekko w powietrzu nad okrągłymi stolami. Armia kelnerów w białych rękawiczkach poruszała się bezszelestnie, niczym duchy. Sprawność, z jaką wszystko funkcjonowało zadziwiała i zaskakiwała gości. Nawet gwar rozmów, akcentowany kaskadami perlistego śmiechu, wydawał się jakby specjalnie zaaranżowany na ten wieczór przez łaskawe wyższe istoty.

Wszyscy się zgadzali, że przyjęcie jest wspaniałe.

Sz szczególnie zaś zachwycała się nim Dina Goldsmith, która cały czas znajdowała się w centrum zainteresowania i bardzo jej to odpowiadało.

Teraz, kiedy mogła taksować wzrokiem krąg wyróżnionych osób, posadzonych przy stole Karla-Heinza na samym środku dziedzińca Engelharda, wśród których - dzięki Zandrze - znalazła się też ona z Robertem, Dinie tak ogromną przyjemność sprawiał widok gości honorowych, że niemal graniczyło to z fizycznym bólem. Po jej lewej ręce siedział lord Rosenkrantz, obok niego Nina Fairey, dalej Robert; naprzeciwko niej znalazła się Becky V i jego książęca wysokość, gospodarz przyjęcia, oraz Zandra; z prawej strony Diny zajmował miejsce dziwnie małomówny Sheldon D. Fairey.

Jak można było przewidzieć, rozmowa przy stoliku księcia obracała się wokół osoby tego, którego urodziny świętowano.

- Nie mówi pan poważnie! - wykrzyknęła Nina Fairey. Jak wszystkie kobiety przy tym stole, z wyjątkiem Zandry, tylko udawała, że je przystawkę - ostrygi z endywią w wonnym sosie cytrynowo-śmietanowym - mając na - względnie zachowanie figury. - Uważam, że to potworne!

- Być może - zgodził się jubilat i wzruszył ramionami. - Ale taka tradycja obowiązuje w mojej rodzinie. Zresztą podobne reguły wcale nie są czymś wyjątkowym. Wiele starych, utytułowanych rodów europejskich nadal przestrzega zasady pierworództwa. Na przykład Thurn und Taxis, a mógłbym wymienić jeszcze wiele, wiele innych.

Powiedziawszy to odwrócił się do Zandry, ale Dina szybko podjęła wątek rozmowy.

- Nigdy nie słyszałam o czymś równie niesprawiedliwym - oświadczyła.

Karl-Heinz spojrzał na nią i się uśmiechnął.

- Moja droga Dino, jak pani przypuszczalnie dobrze wie, życie rzadko kiedy jest sprawiedliwe.

- Być może, ale to praktycznie zmusza pana do małżeństwa!

- Owszem - spokojnie przyznał jej rację. - Lecz proszę nie zapominać, że pierwotnie właśnie taki przyświecał tej zasadzie cel: zapewnić trwałość rodu i czystość krwi.

- A jednak się pan nie ożenił - zauważyła.

- Nie.

- I czy to teraz pana nie martwi, kiedy skończył pan... mniejsza o to ile lat? - Brylanty błysnęły, kiedy gestem ręki skwitowała jego wiek.

- Ależ naturalnie - zgodził się książę. - Nikt posiadający choćby odrobinę oleju w głowie nie narażałby na niebezpieczeństwo takiego majątku.

- Ale pan to zrobił - zauważyła cicho.

- Tak. - Westchnął.

- A jeśli pana ojciec umrze, a pan do tego czasu nie spłodzi dziedzica? Co się wtedy stanie?

- Wtedy - wyjaśnił spokojnie - stracę wszystko.

- Wielkie nieba!

- Oczywiście to nie znaczy, że zostanę bez środków do życia. Mam swój własny majątek, a nawet gdybym nie miał, te same prawa, które uniemożliwiają mi dziedziczenie, jednocześnie gwarantują mi odpowiednie zabezpieczenie finansowe.

- Ale większość majątku? - spytała Dina. - I wpływy? Komu przypadną?

- Niestety, księciu Leopoldowi, najstarszemu synowi mojej siostry. - Który jest narkomanem i przestępcą, dodał w myślach ponuro, sięgając po kieliszek z winem. - Tak czy inaczej, miejmy nadzieję, że mój ojciec jeszcze trochę pożyje.

- A jak się miewa *le viel Prince?* - spytała Becky V. - Jest w dobrej formie, *j'espère bien?*

- Obawiam się, że nie - odrzekł Karl-Heinz. - Stan jego zdrowia dość gwałtownie się pogarsza.

Rozległ się szelest jedwabiu, kiedy Becky V poruszyła się gwałtownie.

- *A Dieu plaise!* - wykrzyknęła. - *Cher ami!* Z pewnością musi cię to niepokoić!

Książę uniósł kieliszek, by ocenić bukiet i kolor wina.

- Naturalnie, że martwię się jego zdrowiem - przyznał. - Tak, jak Damokles nigdy nie zapominał o mieczu, wiszącym nad jego głową, tak i ja nie zapominam o tym, co mi grozi. Ale cóż można poradzić? - Wzruszył ramionami. - Życie toczy się dalej.

- Ile lat ma pański ojciec? - spytała Dina.

Pociągnął łyk wina, które wydawało mu się mocne i wystające.

- Prawie osiemdziesiąt.

Becky klepnęła księcia w rękę i powiedziała szybko:

- Naturellement, rozumie się samo przez się, że Heinzie był dzieckiem, które całkowicie odmieniło jego życie!

Wszyscy się roześmieli oprócz Diny. Poznawszy na własnej skórze gorczy ubóstwa, traktowała co najmniej z odpowiednim szacunkiem wszystko, co dotyczyło finansów. Teraz pochyliła się nad stołem w stronę Karla-Heinza.

- Skarbie! Proszę pomyśleć o tych wszystkich miliardach dolarów, które może pan stracić! Dlaczego się pan nie ożeni? Dlaczego nie postara się o potomka, nie zapewni sobie dziedzictwa, by mieć tę kwestię raz z głowy? Przecież to chyba nie jest aż takie trudne, prawda?

Książę uśmiechnął się lekko.

- Pod pewnymi względami, moja droga, jest to trudne.

- Ależ... dlaczego?

- Ponieważ mam romantyczną naturę i muszę najpierw znaleźć odpowiednią kobietę. A przynajmniej taką, z którą chciałbym spędzić resztę życia.

- *Voyez-vous* - wyjaśniła Becky Dinie - w przypadku Heinzie'ego szukanie żony nie jest takie proste, jak dla większości mężczyzn. Poza koniecznością urodzenia męskiego potomka przed śmiercią swego teścia,

le vieil Prince, żona Heinzie'ego, musi, podobnie jak on sam, pochodzić w prostej linii od władców Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

- A trzeba zobaczyć, jak większość z nich wygląda! - Karl-Heinz aż się wzdrygnął. - Z wyjątkiem obecnej tutaj Zandry wszystkie mają liczne defekty urody, niezwykle szpecące, choć wysoko cenione w kręgach królewskich i książęcych. No wiecie... nosy jak kartofle albo krótkie szyje, albo krzywe zęby...

Kiedy padło imię przyjaciółki, w oczach Diny pojawił się błysk.

- Czy mam rozumieć... - powiedziała wolno, marszcząc brwi - ...że Zandra byłaby dla pana odpowiednią kandydatką?

- Wprawdzie jest daleką kuzynką, ale byłaby wielce pożądaną kandydatką - przyznał. - Szczerze mówiąc, jeśli chcę odziedziczyć schedę, muszę poślubić krewną. Habsburgowie... Hohenzollern-Sigmaringenowie... Burbonowie... wprawdzie daleko, ale wszyscy są ze sobą spokrewnieni...

Pani Goldsmith całkowicie się wyłączyła, myślami błądząc miliony lat świetlnych stąd.

Dokładnie wiedziała, co należy zrobić i jak się do tego zabrać. A najważniejsze, że dzięki temu upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu: zapewni Zandrze wyjątkowego męża o nieoszacowanym majątku, a jeśli zdrowie starego księcia i łono Zandry pozwolą - uratuje zagrożoną sukcesję Karla-Heinza.

Czy może być lepsze albo bardziej oczywiste rozwiązanie?

Dziwne, że Karl-Heinz i Zandra jeszcze na to nie wpadli. Najwyraźniej są dla siebie stworzeni! Będą idealną parą, wystarczy na nich spojrzeć. Poza tym, od czego są najlepsze przyjaciółki, jeśli nie od tego, by sprawić, aby dwie nieśmiałe dusze stanęły na ślubnym kobiercu? Małżeństwa są zawierane w niebie - nie wspominając o ziemi.

Dina uśmiechnęła się do siebie. No właśnie...

* * *

Kenzie nie pamiętała, czy kiedykolwiek w życiu lepiej się bawiła. Nie chodziło tylko o obecność Hannesa i zmysłowy ogień, jaki bił od tego mężczyzny oraz zupełnie niesamowity początek znajomości z Zandra, która - jak teraz widziała - została posadzona obok samego gospodarza bankietu przy jego stole.

Nie. Była oczarowana nie konkretnymi osobami czy wydarzeniami, ale całym tym przyjęciem jak ze snu czy z baśni.

Kiedy uprzątnięto talerze po przystawkach, pan Spotts odchrząknął.

- Kenzie?

Spojrzała na niego błyszczącymi oczami; w ustach wciąż czuła boski smak wędzonych ostryg w sosie cytrynowo-śmietanowym.

- Słucham, panie Spotts... chciałam powiedzieć: Dietrich? - Zażenowana machnęła ręką. - Przepraszam, jeszcze się nie przyzwyczaiłam, że przeszliśmy na ty.

- To zrozumiałe, moja droga, nie przejmuj się - uspokoił ją i wziął głęboki oddech, by dodać sobie odwagi. - Jest coś... coś dość nieprzyjemnego... co muszę zrzucić z serca.

Kenzie zmarszczyła brwi.

- Stało się coś złego?

- Niestety. - Westchnął. - Wszystko jest nie tak. - Pokręcił głową i wpatrując się w obrus, zaczął wodzić palcem po okrągłym śladzie, pozostawionym przez talerz do przystawek. - Chciałbym ci tego oszczędzić, moja droga. - Spojrzał na nią smutno. - Szczególnie dziś wieczorem.

- Nie przejmuj się. Jeśli to zła wiadomość, powiedz mi i będziemy to mieli za sobą.

Skinął głową.

- Ale chciałbym, żebyś wiedziała, że nie miałem pojęcia, że za moimi plecami odbywają się takie machinacje. Prawdę mówiąc, dowiedziałem się o tym wszystkim, kiedy byłaś w toalecie.

- Tak? - Zmarszczki na czole Kenzie się pogłębiły.

- To dotyczy twojego awansu. Jest mi okropnie przykro, Kenzie. Obawiam się, że... cóż, zgodnie z tym, co mówi pan Fairey, to... to nie wchodzi w rachubę. - Szybko zamrugał białymi powiekami o różowych obwódkach. - Dasz wiarę? Moje rekomendacje zostały zignorowane. Po prostu! - Ze złości aż uniósł głos.

- Nic nie szkodzi - powiedziała cicho Kenzie.

- Właśnie, że nie! - szepnął z mocą pan Spotts. Trzęsąc się z ledwo ukrywanego oburzenia, usiadł prosto. - Ty jesteś osobą o najlepszych kwalifikacjach, by kierować tym działem! I ciebie wybrałem na swoją następczynię. A teraz... wszystko, nad czym pracowałem... wszystko, co starałem się stworzyć... - Nagle głos mu się załamał. Pan Spotts chwycił się palcami brzegu stołu, jakby nie chciał dać się porwać w najdalsze rejony kosmosu.

Kenzie położyła rękę na jego dłoni.

- Niepotrzebnie się martwisz - powiedziała łagodnie. - Arnold i ja nadal tam będziemy. I postaramy się, żeby praca szła, jak należy.

Pokręcił głową.

- Nie rozumiesz. Najgorsze nie jest to, że zostałaś pominięta. To też, ale... cóż, jeszcze gorsze jest to, kto został nowym kierownikiem działu.

- Kto to będzie? Wiesz?

- Tak - powiedział przez zaciśnięte zęby i westchnął ciężko. - I możemy za ów wybór podziękować panu Robertowi A. Goldsmithowi!

Na dźwięk tego nazwiska Kenzie zwróciła wzrok tam, gdzie nowy właściciel Burghleya siedział przy książęcym stoliku. Dostrzegła, jak Zandra i Dina trącają się kieliszkami, wznosząc toast. Wolno odwróciła wzrok.

- No więc? - ponowiła pytanie. - Któż to taki?

- Bambi Parker - szepnął ochryplym głosem. Mało się nie udławił, wymawiając to nazwisko.

Kenzie poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej sztylet prosto w serce. Bambi kierownikiem działu?

Siedziała oszołomiona, nie wierząc własnym uszom. Czowała, jak w jej żołądku gwałtownie mieszają się ostrygi z szampanem.

Została oszukana. Świadomość tego uderzyła ją jak obuchem.

Bambi okradła mnie z awansu!

Pan Spotts uważnie przyglądał się własnym paznokciom.

- Tak czy inaczej, zwalniam cię z wcześniejszej obietnicy. Od nikogo nie można wymagać, by uratował dział przed panną Parker. To zbyt wygórowane żądanie. - Uśmiechnął się błado. - Mam na myśli to, co powiedziałem o prezentach, obwarowanych warunkami...

- Nie chodzi mi o Zuccara...

- Wiem - powiedział ze współczuciem. - Wiem.

Dwaj kelnerzy podeszli do ich stołu i zgrabnie postawili talerze z pieczoną kaczką z owocami w brandy.

Mocna woń drobiu w połączeniu z alkoholem to było zbyt wiele dla Kenzie. Nagle poczuła falę gorąca i mdłości.

Gwałtownie odsunęła krzesło i wstała.

- Przepraszam - bąknęła. - Zaraz wracam. Muszę...

Przycisnąwszy rękę do ust, ruszyła między labiryntem stolików i w ostatniej chwili dotarła do damskiej toalety. Dobiegła do najbliższej umywalki, pochyliła się nad nią i zwymiotowała ostrygi, sos cytrynowy i szampan.

Kiedy minęły najgorsze torsje, Kenzie spojrzała w lustro. Twarz miała ściągniętą, cerę szarą. Puściła blat, którego kurczowo się trzymała, odkręciła kran z zimną wodą i długo płukała usta, przykładając do czoła mokre papierowe ręczniki.

Oczy szczypały ją od łez; od czasu do czasu jej ciałem wstrząsały dreszcze.

Została pominięta, a na jej miejsce wybrano Bambi Parker! Taka niesprawiedliwość głęboko ją zabolala. Jak, na Boga, będę mogła pracować pod kierunkiem tej dziwki? Ile razy będę musiała naprawiać jej idiotyczne błędy?

Pomyślała sobie z goryczą: A więc to tak smakuje porażka!

* * *

Zaczęło się, kiedy Bambi Parker i Garth Wheeler Stewart II wbiegali po wyłożonych dywanem stopniach do Met. Garth, przystojny, młody dziedzic wielomilionowej fortuny, która wyrosła na papierze toaletowym, trzymał wielki parasol, osłaniając ich oboje.

- Byłoby dobrze, gdybyś załatwił zaproszenie na obiad - zbesztala go Bambi swym głosikiem małej dziewczynki - a nie tylko na tańce. Jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że to zniewaga.

- Jeżeli ci nie odpowiada, możemy nie iść - powiedział Garth. - Wiem o co najmniej czterech innych przyjęciach wydawanych dziś wieczorem. Zresztą założę się, że tutaj będzie pełno osobliwości geriatrycznych.

- Nie - szybko odrzekła Bambi. - Skoro już tu jesteśmy, możemy równie dobrze zostać na jednego głębszego. Podobno miała to być nadzwyczajna impreza i chcę się przekonać, o co tyle krzyku.

Przezornie nie wspomniała o prawdziwej przyczynie, dla której tu przyszła - mianowicie, by sprawdzić, czy jest tu Robert A. Goldsmith, a jeśli tak, „przypadkiem” wpaść na niego i upewnić się, że pociągnął za odpowiednie sznurki, by została awansowana.

Kiedy znaleźli się w środku, Garth wręczył swoje zaproszenia i poszedł do szatni, by oddać płaszcz i parasol. Bambi wygładziła wydekoltowaną niebieską minisukienkę, obszytą niebieskimi strusimi piórami, i wyjęła puderniczkę. Jedno spojrzenie w lusterko upewniło ją, że twarz jest bez zarzutu. Wyglądała młodo, promiennie i *au courant*.

Tak, jak lubił Robert.

* * *

W świątyni Dendur orkiestra Petera Duchina przeszła gładko od „Oczarowania” do „Rzeki księżycowej”.

Pary na parkiecie odpowiednio zwolniły krok. Nad ich głowami jarzyła się światłami niewielka egipska świątynia, dar dla Stanów Zjednoczonych za udział w międzynarodowej akcji ratowania świątyni Abu Simbel w związku z budową Wielkiej Tamy Asuańskiej. Wydawało się, jakby

piaskowiec był skąpany w tajemniczym, księżycowym blasku. Na zewnątrz Central Park pogrążył się w mroku; w pochylej ścianie ze szklanych płytek, teraz mokrych od deszczu, odbijały się, niczym w lustrze, chybottliwe płomyki świec pływających w basenie wokół świątyni i rosnące w nim kwiaty lotosu.

- Czyż to nie romantyczne? - westchnęła Dina, kiedy się okazało, że lord Rosenkrantz, mimo swej potężnej postury, jest wyjątkowo dobrym tancerzem. - Nie miałam pojęcia, że pan tak świetnie tańczy!

Duma aż rozsadzała mu pierś.

- To dlatego, że moją partnerką jest taka piękna, młoda dama - powiedział szarmancko, uniósł dłoń Diny i pocałował koniuszki jej palców.

Była zachwycona. Czowała się jak w siódmym niebie i pragnęła, by to przyjęcie nigdy się nie skończyło.

- Czyż ta muzyka nie jest boska? - spytała. - Naprawdę wydaje mi się, że mogłabym tańczyć całą noc. Proszę mi powiedzieć, lordzie Rosenkrantz, czy każda kobieta, z którą pan tańczy, czuje się tak, jakby miała skrzydła u ramion?

- Jednak żadna nie była tak piękna, jak pani. Och, czy to nie pani mąż?

- Gdzie?

- O, lam! - Odwrócił wolno Dinę o sto osiemdziesiąt stopni.

Nad ramieniem lorda Rosenkrantza dostrzegła Roberta, spoglądającego na nią z gniewną miną; w zębach gryził niezapalone cygaro. Dobrze mu tak, pomyślała uszczęśliwiona, udając, że go nie widzi.

- Proszę, lordzie Rosenkrantz - szepnęła - musi mnie pan mocniej przytulić! Nie wiem dlaczego, ale nagle ogarnęła mnie ogromna ochota, by wywołać u mojego męża zazdrość! Widzi pan, on nie docenia mnie tak, jak na to zasługuję. Myślę, że czas mu dać nauczkę.

Lord Rosenkrantz posłusznie przytulił ją mocniej.

- Tak lepiej?

- O, tak! - uśmiechnęła się pani Goldsmith. - Wspaniale!

I pomyślała: Może to skłoni Roberta, by ze mną tańczył!

* * *

Robert A. Goldsmith, stojący na skraju parkietu, o mało nie przegryzł cygara na pół.

- Co, psiakrew, wstąpiło w tę głupią babę? - mamrotał pod nosem. - Czy musi robić z siebie takie publiczne przedstawienie?

Rozdrażniony jak pitbull, rozejrzał się wkoło, by się przekonać, czy jeszcze ktoś zauważył, jak jego żona poczyną sobie z tym lordem jak mu tam.

Naturalnie nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

Cholerna zgraja hipokrytów!

Nagle ktoś klepnął go z tyłu w ramię.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z ostatnią osobą, którą spodziewał się tu spotkać - Bambi Parker. W pierwszym odruchu rzucił szybkie, pełne skruchy spojrzenie w kierunku żony.

Chryste, pomyślał. Co, u diabła, robi tu Bambi?

- No, Garth, zostaw mnie na minutkę samą, dobrze? - powiedziała dziewczyna do swego towarzysza. - To potrwa tylko chwilkę.

Przegoniła chłopaka, apodyktycznie wymachując ręką, a potem ujęła obie dłonie kochanka i zatrzepotała rzesami.

- Robercie - odezwała się swym dziecinnym głosem - może byśmy zatańczyli? Wtedy będziemy mogli porozmawiać nie wzbudzając podejrzeń.

Akurat! - pomyślał, ukradkowo rozglądając się za Diną. Na szczęście zniknęła z pola widzenia wraz z lordem Rosenkrantzem, zasłonięta przez morze tańczących par. Bambi pociągnęła go za rękaw.

- Robercie! - powiedziała tonem pełnym irytacji.

Niemal się spodziewał, że za chwilę tupnie nogą.

- Dobrze już, dobrze - mruknął gniewnie. - Jeden taniec.

Rzucił cygaro do mieniającej się wody, a Bambi puściła jego rękaw i ruszyła na parkiet. Kiedy się na nim znalazła, przystanęła i obejrzała się za siebie.

Robert wahał się przez całe trzy sekundy. A, do diabła, pomyślał, rezygnując z ostrożności. Szybko podążył za nią. Jeden taniec nie zaszkodzi!

* * *

Ten przystojniak z całą pewnością zna się na rzeczy, myślała z zadowoleniem Kenzie, kiedy Hannes tańczył z nią płynnie w pobliżu basenu, przesuwał wolno dłoń po jej plecach. Po spędzeniu pół godziny w toalecie postanowiła wrócić na salę i miło spędzić czas. Do diabła z Bambi Parker!

- Mmmm - mruknęła rozmarzona. Miała zamknięte oczy, policzek przytuliła do cieplej, szerokiej piersi partnera, ręce zarzuciła mu luźno wokół szyi. - Ubóstwiam te wolne tańce...

- Ja też - powiedział cicho i przesunął dłonie na pośladki Kenzie, przyciskając ją mocno do siebie.

Gwałtownie otworzyła oczy i aż ją zatkało. Niemożliwością było nie poczuć jego twardego członka pod materiałem spodni!

Odrzuciła głowę do tyłu i spojrzała na swego partnera oczami przypominającymi jasne, błyszczące jeziora.

- Tylko się upewniam, czy nie zasnęłaś. - Uśmiechnął się, a jego białe zęby błysnęły w świetle pływających świec.

Znów wtuliła policzek w pierś Hannesa i słuchała silnego, dającego ukojenie bicia jego serca.

- Pachniesz, jak świeże jabłka - szepnęła.

Tańczył z nosem w jej włosach.

- A ty jak dzikie kwiaty.

Kenzie uniosła głowę.

- Nie próbujesz mnie przypadkiem uwieść? - spytała lekko drżącym głosem.

- A jeśli tak? - Wytrzymał jej spojrzenie.

- Wtedy powiedziałabym, że w połowie już ci się udało - szepnęła.

- Dopiero w połowie? - zdziwił się z uśmiechem.

Powietrze aż się skrzyło od erotycznych podtekstów, zawartych w słowach obojga.

- No cóż... chyba trochę więcej niż w połowie - przyznała.

- Może najpierw chciałabyś się jeszcze napić... poszukamy jakiegoś przyjemnego, zacisznego miejsca i popatrzymy na kwarcytowe głowy z czasów dwunastej dynastii?

Objęła go mocniej ramionami.

- A jeśli mam w nosie dwunastą dynastię? Jeśli wolę klasycznych Greków, a Priaposa w szczególności?

Znów się uśmiechnął.

- W takim razie mogę mieć tylko nadzieję, że wystarczę jako jego namiastka.

Znów wyobraziła sobie silne, męskie ciało Hannesa.

- Tak! - odparła gardłowym głosem, czując w środku falę gorąca. - To... to mi w zupełności wystarczy.

- Dobrze. Ponieważ chcę cię obejmować i kochać się z tobą.

Spoglądała na niego w oszołomieniu. Dojrzał w jej oczach uniesienie, którego wcześniej nie zauważył.

- No więc? - spytał cicho. - Jesteś gotowa?

Kolana miała dziwnie miękkie i czuła się, jakby tonęła w niezmiernie głębokości jego wielkich, zielononiebieskich oczu.

- Tak! - odpowiedziała żarliwie. - Chodźmy stąd! I to zaraz!

17.

Bycie gospodarzem przyjęcia ma swe ujemne strony.

A jeśli do tego jest się jeszcze Jego Książęcą Wysokością - szczególnie tak idealną partią, jak książę Karl-Heinz - staje się to tym bardziej kłopotliwe. Za szczególnie uciążliwe uważał tak żywe zainteresowanie jego osobą, na co naturalnie musiał reagować uprzejmie.

Uniemożliwiało mu to poświęcenie całkowitej uwagi jedynej osobie, której obecność sprawiała mu prawdziwą przyjemność - Zandrze. Jednak teraz, kiedy zatańczył z kilkoma starannie dobranymi partnerkami, zamierzał naprawić ten błąd. Gdy tylko skończył tańczyć z Niną Fairey, grzecznie jej podziękował i skierował się w stronę dziewczyny.

- Szybko! - powiedział nagłym tonem. - Chodź za mną.

Zanim zdołała zapytać, dlaczego, już torował sobie drogę przez tłum. Jego szybki krok i uprzejmie skinienia głową znajomym i przyjaciółom świadczyły, że miło mu ich widzieć, ale w tej chwili jest zbyt zajęty, by zatrzymać się i zamienić z nimi kilka słów. Kiedy zostawili świątynię Dendur za sobą, poprowadził Zandrę przez przeszklone sale wystawowe do głównego wyjścia.

- Weź płaszcz - polecił jej, wyciągając z kieszeni na piersiach składany, cienki jak opłatek telefon komórkowy.

Patrzyła na niego zaskoczona.

- Chcesz się urwać z własnego przyjęcia urodzinowego?

- Tak, dzwonię do szofera, by podjechał tu autem. Nie mogę dłużej znieść tych towarzyskich wampirów. - Wybrał numer zapisany w pamięci. - Teraz szybko - ponaglił ją. - Zanim nas zatrzyma jakiś żądny uwagi sęp!

- Cóż, jeśli jesteś pewny, że dobrze robisz - powiedziała Zandra, spoglądając na Karla-Heinza spod oka.

- Absolutnie. - Trzymając telefon przy uchu, odwrócił się tyłem, by nie zwracać na siebie uwagi nowo przybywających i wcześniej wychodzących gości.

Odbierając z szatni swoją podniszczoną kurtkę, Zandra zastanawiała się, czy Dina nie będzie niezadowolona z jej zniknięcia. Była dziwnie spokojna, że nie. Zbyt dobrze się bawi, by zauważyć moją nieobecność. A jeśli chodzi o Kenzie, zobaczymy się jutro w pracy...

Wkładając kurtkę, podeszła do Karla-Heinza, który już stał w drzwiach i chował telefon do kieszeni.

- Samochód powinien podjechać lada chwila - powiedział.

Pociągnął ją za sobą na zewnątrz; zbiegli po wielkich, kamiennych schodach. Mżawka przemieniła się w ulewę, więc oboje osłonili głowy kurtkami.

W chwilę później, śmiejąc się jak wagarowicze, usadowili się z tyłu bentleya turbo.

- Dowiedziałeś się, jaki jest teraz najlepszy klub? - spytał Karl-Heinz swego szofera.

Kierowca spojrział w lusterko wsteczne.

- Tak, wasza wysokość. Po pańskim telefonie rozmawiałem z innymi kierowcami. Mówią, że wszyscy teraz chodzą do Piekła Dantego, w East Village.

- Dobrze. W takim razie jedziemy tam.

Teraz, mając już Zandrę tylko dla siebie, Karl-Heinz oparł się wygodnie na skórzanym siedzeniu, którego dotyk zawsze sprawiał mu przyjemność.

- Nareszcie! - powiedział, kiedy auto płynnie włączyło się do ruchu na Piątej Alei miarowe ruchy wycieraczek i odbicia tylnych świateł innych pojazdów na mokrym asfalcie stwarzały wrażenie, że płyną szeroką, rubinową rzeką. - Przez chwilę bałem się, że nigdy nie będziemy mieli okazji znaleźć się tylko we dwoje. Masz ochotę czegoś się napić? Jest tu minibarek...

- W tej chwili nie, dziękuję. - Zandra uśmiechnęła się promiennie. - Och, Heinzie! To nieprawdopodobne! - Sięgnęła po jego rękę i uściśnęła ją. - Przysięgam, wydaje mi się, że upłynęły wieki od naszego ostatniego spotkania!

- Bo rzeczywiście tak jest - potwierdził z uśmiechem. - Nie wyobrażasz sobie mojego zachwytu, kiedy pojawiłaś się dziś wieczorem. Naprawdę byłaś ostatnią osobą pod słońcem, którą spodziewałem się ujrzeć na moim przyjęciu.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony. - Potem nagle spoważniała i umilkła.

- Zandro? - Był wyraźnie zaniepokojony. - O co chodzi?

- O zdrowie twojego ojca. To prawda, co powiedziałeś nam podczas obiadu?

- Tak. - Ponuro skinął głową i westchnął. - Obawiam się, że tak. Lekarze nie dają mu dużo czasu.

- Cholera!

Karl-Heinz wzruszył ramionami ze stoickim spokojem.

- Widzisz, trudno powiedzieć, że nikt się tego nie spodziewał. Ostatecznie ojciec jest w dość podeszłym wieku.

- Tak, ale mimo wszystko... - urwała. Miękka skóra zaskrzypiała, kiedy Zandra zmieniła pozycję. Czuła, że chociaż Karl-Heinz sprawia wrażenie pogodzonego z losem, ta sytuacja bardziej mu ciąży, niż daje po sobie poznać.

Jakie to podobne do niego: ani się nie skarżyć, ani nie uzalać nad sobą, pomyślała. Przynajmniej na zewnątrz jest zawsze Jego Książęcą Wysockością, który pogodnie przyjmuje to, co nieuniknione...

...śmierć.

Wzdrygnęła się i popatrzyła przez czyste półkola przedniej szyby. Widziała ciemny Central Park, ustępujący jaskrawo oświetlonemu hotelowi Plaza, a potem kuszącemu imperium luksusu poniżej Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy - Bergdorf Goodmann... Van Cleef and Arpel... Tiffany... Bendel's. Łagodny szum opon na mokrej jezdni bardziej sobie wyobrażała, niż słyszała, tak wyciszona była kabina tego wspaniałego auta.

- Zandro? - odezwał się cicho Karl-Heinz.

Odwróciła się do niego; na twarzach obojga odbijały się światła wystaw szybko mijanych sklepów po obu stronach ulicy, jak wtedy, kiedy pociągi pasażerskie mijają się z dużą szybkością.

- Zapomnijmy dziś wieczorem o moim ojcu. Na nic się tu zda niepokój całego świata.

Nabrała głęboko powietrza, zatrzymała je w płucach, a potem wolno wypuściła.

- Masz rację. - Spojrzała na Heinza z napięciem. - Ale Dina trafiła w samo sedno, prawda?

Nie odpowiedział.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ramienia.

- Heinzie, naprawdę musisz zacząć myśleć o zabezpieczeniu swojego dziedzictwa. Zanim będzie za późno!

Uśmiechnął się, widząc jej przejęcie.

- Doceniam twoją troskę, ale to też musi poczekać do rana. A teraz - energicznie klasnął w dłonie - dosyć o mnie! Chcę posłuchać, co u ciebie. Nadal łamiesz serca, rozrabiasz i doprowadzasz ciotkę Josephine do rozpacz?

- Och, wydaje mi się, że ciotka Josie już dawno się poddała, „umyła ręce”, jak to sama krótko określa. - Zandra się roześmiała. - I nie mam do niej pretensji. Patrząc na przeszłość z perspektywy, przypuszczam, że sprawiałam masę kłopotów. Ale zastanówmy się... musiało wydarzyć się coś nowego poza tym, że w taki czy inny sposób wprowadziłam rodzinę w zakłopotanie i niespodziewanie przyleciałam tutaj dziś ra...

- Niespodziewanie? - spytał. - Dlaczego? Czy stało się coś złego?

Cholera! - zaklęła w duchu Zandra, odruchowo kładąc dłoń na rękawie w miejscu, gdzie od nowa zaczęła ją piec rana od oparzenia. Jak zwykle trafił w samo sedno. Będę musiała uważać na każde słowo.

- Kto powiedział, że stało się coś złego? - Starła się, by zabrzmiało to niefrasobliwie.

Czy stało się coś złego? To tylko kłopoty z Rudolphem i jego długami honorowymi... i ci gangsterzy, którzy napędzili mi takiego stracha, że uciekłam z kraju...

Ale wiedziała, że te szczegóły są tylko wierzchołkiem góry lodowej, sygnałami znacznie większego i bardziej złowieszczonego problemu - a mianowicie jak zebrać kwotę, którą Rudolph był winien, i - co ważniejsze - jak oddać dług, zanim odsetki dwukrotnie, trzykrotnie czy nawet czterokrotnie przewyższą pierwotną sumę.

Spłata tego długu to jedyny sposób, żebyśmy oboje, Rudolph i ja, mogli się czuć bezpiecznie.

Pieniądze. Musi szybko zdobyć dużo forsy!

A kto, zrodziła się w jej głowie oportunistyczna myśl, ma więcej pieniędzy niż ten mężczyzna siedzący obok?

Z miejsca odrzuciła tego typu rozważania. Nigdy, przenigdy nie mogłaby się zwrócić do Karla-Heinza o pomoc. Nie pozwalała jej na to dumna von Hohenburg-Willemlöhe'ów.

Już wystarczy, że jestem ubogą krewną, pomyślała. Nie mogę pogarszać mojego położenia żebranią. Nawet prośba o pożyczkę jest dyskusyjna, ponieważ nie mam najmniejszych szans, by kiedykolwiek oddać taką astronomiczną kwotę...

- Coś cię gryzie - zauważył jej towarzysz z niezwykłą przenikliwością.

- Dlaczego mi nie powiesz, co to takiego? Może mógłbym ci jakoś pomóc.

Chociaż jego propozycja była bardzo kusząca, Zandra szybko pokręciła głową.

- To nic takiego - skłamała. - Niemniej jednak dziękuję.

Pod wpływem impulsu pochyliła się i cmoknęła Karla-Heinza lekko w policzek.

Sprawiał wrażenie zarówno zaskoczonego, jak i zadowolonego.

- A to za co?

Jej głos był cichy i gardłowy.

- Za troskę. Za to, że jesteś, jaki jesteś. Z okazji urodzin. Za ten cudowny wieczór.

- Nie - odpowiedział cicho. - Mylisz się. To dzięki tobie dzisiejszy wieczór jest taki wspaniały.

Nawet mimo panującego w aucie półmroku, Zandra czuła na sobie spojrzenie Heinza.

Naprawdę jest księciem, i to pod każdym względem. Mam tylko nadzieję, że ożeni się w porę... i kimkolwiek będzie jego wybranka, doceni, jakim niezwykłym człowiekiem jest jej mąż, pomyślała.

* * *

Taniec.

Robert A. Goldsmith nie czuł się w tym zbyt dobry, był jednak nadzwyczaj dobry w obściskiwaniu. Teraz, kiedy orkiestra zagrała „Someone to Watch Over Me”, jego ręce znalazły się na jędrnych pośladkach Bambi Parker; gładził je, ugniatał, szczypał, uciskał.

- Mówisz, że wszystko załatwiłeś? - Panna Parker uwodzicielsko za-trzepotała rzesami. - Tak szybko?

- Tak - mruknął, bardziej pochłonięty jej zgrabnym tyłeczkiem, niż tańcem. - Ale ten twój awans nie przysporzył nam obojgu sympatii.

- No to co? - Bambi odrzuciła głowę, spojrzenie jej niebieskich oczu stało się twarde i wyzywające. - Dlaczego mielibyśmy się przejmować tym, co myślą ludzie?

- Dlaczego? - powtórzył z niedowierzaniem Robert, uświadomiwszy sobie, jaka się zrobiła nagle zarozumiała. - Chcesz wiedzieć, dlaczego? Ponieważ owi ludzie uważają, że nie nadajesz się na to stanowisko.

Znieruchomiła w pół kroku.

- Czy mógłbyś to powtórzyć? - powiedziała lodowatym głosem.

Nadał pieścił jej pośladki.

- Słyszałem, że kilka razy o mało cię nie wylali.

Odsunęła się na tyle, że znalazła się poza zasięgiem jego rąk.

- Rozmawiałeś z tym starym ramolem Spottsem, tak? - spytała oskarżycielskim tonem. - To podobne do niego!

- Mówiąc szczerze, zastrzeżenia zgłosił Sheldon D. Fairey.

- A to łobuz! Uważam, że powinienes go zwolnić. - Położyła ręce na biodrach; jej piersi podniosły się i opadły pod obcisłą, wydekoltowaną sukienką. Wydeła usta i dodała:

- Zrobiłbyś to, gdyby ci naprawdę na mnie zależało.

Robert P. Goldsmith rozzłościł się: złapał Bambi za ramię i brutalnie przyciągnął do siebie.

- A cóż to za gierki? - rzucił jej prosto w twarz. - Myślisz, że jestem głupi? Może ty zabiłabyś kurę, która znosi złote jajka, ale ja z całą pewnością nie. Jak ci się wydaje, kto zrobił z Burghleya największy dom aukcyjny w tym kraju? Co?

Skrzywiła się, czując na twarzy kropelki jego śliny.

- Powiem ci, kto - ciągnął ponuro. - Sheldon D. Fairey. A ponieważ zainwestowałem w tę firmę kupę szmalu, na pierwszym miejscu stawiam nie czyjąś dupcię, tylko wyłożone pieniądze.

- Chcesz mi powiedzieć, że mnie można wyrzucić, a Faireya nie?

- A jak myślisz?

- Myślę, że prawdziwy z ciebie łobuz!

Przyciągnął dziewczynę jeszcze bliżej; czuł, jak szybko wali jej serce.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz. Daję ci tylko przyjacielską radę.

- Ach! - wykrzyknęła Bambi z sarkazmem. - Cała się już trzęsę ze strachu!

Uśmiechnęła się złośliwie, przywarła do niego biodrami, wsunęła wolną rękę między nich oboje i położyła mu ją na członku. Erekcja nastąpiła natychmiast.

- Zawsze gotów, prawda, Robercie? - spytała szyderczo.

- Cholera! - szepnął. - Zupełnie ci odbiło! Bóg wie, ilu ludzi na nas patrzy!

- Uspokój się! W tym tłumie nikt niczego nie zauważy. Przynajmniej - zaśmiała się - póki będziemy tańczyli i nie wyciągniesz kutasa ze spodni! - Mocniej ścisnęła dłonią jego członek.

Robert nabrał głęboko powietrza. Było coś takiego w tym igraniu z ogniem, że nagle poczuł nieprzeparłe pragnienie. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach, tętno miał przyspieszone, serce waliło jak młotem. Jego penis, uwięziony w bokserkach i spodniach, skręcał się i napręzał, pragnąc wyrzucić z siebie życiowe soki. Gdyby tylko Bambi doprowadziła go do orgazmu tu, pośród tych wszystkich ludzi!

Po minucie spojrzała na niego złośliwie.

- No i co, Robercie? - Jej głos był lekko ironiczny. - Nadal chcesz mnie rzucić wilkom na pożarcie?

Przeklął w duchu swój temperament. Odkąd sięgał pamięcią, musiał się pilnować, żeby kutas nie doprowadził go do zguby - a wiedział, że jeśli nie będzie ostrożny, któregoś dnia do tego dojdzie.

Oddychał ciężko.

- Powiedziałem tylko... - wykrztusił z siebie, zde gustowany reakcją własnego ciała - żebyś... żebyś lepiej nie spieprzyła wszystkiego. Mogę tylko... cię bronić... tak często...

Bambi wyglądała jakby ją uderzył. Jej ciało nagle się naprężyło, obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Jeśli zamierzasz zostawić mnie na lodzie, bądź na tyle odważny i powiedz to teraz. - Jej głosik małej dziewczynki stał się zimny i gorzki. - Ale pamiętaj, Robercie, jeśli ty nie pomożesz mnie, nie spodziewaj się, że ja pomogę tobie.

Dla nadania większej mocy swoim słowom puściła jego członek i znów się odsunęła.

Robert ścisnął mocniej jej ramię.

- Słuchaj, ty mała podpuszczalska! - Mówił cicho, ale w jego tonie było coś nieprzyjemnego. - Chcesz wstąpić do pierwszej ligi i grać poważnie? Tak czy nie?

Nie odpowiedziała.

- A co powiesz, gdy zaczniemy traktować ten twój cholerny awans tymczasowo?

Nagle Bambi poczuła się niepewnie, jakby lód, po którym stąpała, okazał się bardzo cienki.

- Co to ma znaczyć? - spytała niemal drżącym głosem.

- Dokładnie to, co powiedziałem. Raz mnie rozczarujesz i znajdziesz się na bruku. - Bezlitośnie wpił palce w jej ramię. - Nadal chcesz grać w pierwszej lidze? - spytał złośliwie.

- Robercie! To boli!

Prześwidrował ją spojrzeniem niemal na wylot.

- Ciekaw jestem, czy wiesz, co to prawdziwy ból.

Bambi milczała.

- Ale skoro nadajemy na tej samej fali, dam ci jeszcze jedną radę. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Nigdy nie zapominaj, że można cię wyrzucić. W tym mieście ciągutek jest na pęczki!

Rozzłoszczona, próbowała się wyswobodzić, ale Robert był zbyt silny. Rzuciła mu gniewne spojrzenia, oddychając szybko.

- No więc jak? Wciąż zamierzasz grozić, że nie będziesz mi obciążała pały?

Miała ochotę wysyczyć mu odpowiedź, ale się rozmyśliła. Jej usta utworzyły cienką linię.

- Nie, Robercie - odrzekła niemal potulnie. - Ale chcę zostać kimś więcej niż jeszcze jedną twoją ciągutką.

- Mądra dziewczyna. - Pan Goldsmith zwolnił uścisk i uśmiechnął się z triumfem. - Może teraz, kiedy się nawzajem rozumiemy, przestaniesz rozrabiać. Dostałaś to, czego chciałaś, tak?

Nie była już niczego pewna.

- Skoro tak mówisz - powiedziała ostrożnie.

- Tylko mnie nie zawieźdź - ostrzegł ją. Orkiestra zaczęła grać „Smoke Gets in Your Eyes”. Robert spojrział na Balubi pytająco. - No więc? Na co czekasz?

Kochanka miała zaskoczoną minę.

- Co masz na myśli?

Przyciągnął ją bliżej i położył jej rękę na swoim przyrodzeniu.

- Nie okażesz mi wdzięczności?

- Myślałam, że pora, żebym się zmyła.

- Dlaczego? Pali się?

- Powiedziałeś: jeden taniec - przypomniała mu.

- Zmieniłem zdanie. - Mrugnął do niej oblesnie. - Stwierdziłem, że taniec jest bardziej interesujący, niż mi się wcześniej wydawało.

* * *

Dina wspaniale się bawiła. Lord Rosenkrantz okazał się tak nieprawdopodobnie zręcznym tancerzem, że z łatwością chwyciła nawet najbardziej skomplikowane, niemodne kroki. Chociaż z wyglądu przypominał beczkę, był tak lekki i zwinny, że bez trudu mogła sobie wyobrazić, iż jest Ginger Rogers, a on (wprawdzie grubym, ale zawsze) Fredem Astaire'em, tak zgrabnie i bez wysiłku ją prowadził i...

...i jeśli jej oczy nie mylą, czy to nie jej mąż Robert - ten sam Robert, który zawsze odmawiał postawienia nogi na parkiecie i twierdził, że wprost nie znosi tańczyć! Teraz jednak właśnie to robił z jakąś blondynką o brzoskwiniowej cerze, która wprost się do niego przykleiła!

Widok ten stał się ciemną, złowrogą chmurą na horyzoncie towarzyskim Diny. Co dziwniejsze, to nie słabość Roberta do ślicznotek najbardziej ją zmartwiła. Nie przejmowała się też zbyt ewentualnym

romansem męża, przynajmniej na razie. Nie, ta sprawa mogła zaczekać. Gniew Diany spowodowało to, jaką sobie wybrał porę.

Dlaczego teraz? Dlaczego Robert musi przekraczać granice przyzwoitości właśnie tego wieczoru, w momencie jej największego triumfu towarzyskiego, kiedy wszyscy wprost się płaszczą i biją przed nią pokłony?

Wkrótce bardzo tego pożałuje! - przysięgła sobie Dina i natychmiast odsunęła się od swego partnera.

Lord Rosenkrantz miał zaniepokojoną minę.

- Coś się stało?

Przywołała na usta najpiękniejszy sztuczny uśmiech.

- To tylko moje nogi, lordzie Rosenkrantz - skłamała. - Obawiam się, że to przez te nowe pantofle. Nie powinnam ich zakładać na dzisiejszy wieczór.

Lord Rosenkrantz miał taką żalosalną minę, jakby Dina właśnie obwieściła mu śmierć kogoś z jego najbliższej rodziny.

- Wielka szkoda! - wymamrotał, ale potem jego głos odzyskał zwykłą werwę. - Jednak pani wygoda i dobre samopoczucie są dla mnie najważniejsze!

Podał swej partnerce ramię i szarmancko sprowadził ją z parkietu.

- Jednakże - powiedział, kiedy znaleźli się poza kręgiem tańczących - jestem niepokieszony. Po tym, jak tańczyłem z kimś o nogach lżejszych niż powietrze, nie wyobrażam sobie tańca z nikim innym.

- Lordzie Rosenkrantz, jest pan najbardziej niepoprawnym pochlebcą! - roześmiała się Dina.

- A pani schlebia mi samą swą obecnością. - Ujął jej dłoń i unióś ją do ust.

Poczuła na palcach leciutecznie tchnienie jego oddechu.

- Czy mogę przynieść pani coś do picia?

- Bardzo proszę. - Doszła do wniosku, że przyda jej się coś na wzmocnienie. - Napiję się podwójnej wódki - postanowiła. - Czystej. - Przypomniała sobie jednak o pustych kaloriach i szybko zmieniła zdanie. - Po zastanowieniu lepiej niech to będzie woda sodowa. Bez lodu.

- Zaraz wracam - powiedział europejski dżentelmen w każdym calu, kłaniając się dwornie.

Poczekwała, aż zniknął, a potem stanęła na palcach, wyciągnęła szyję, zmrużyła oczy i zaczęła dokładnie przeszukiwać wzrokiem ten fragment parkietu, gdzie ostatnio widziała swego męża.

Gdzież on zniknął? Wiedziała, że go zobaczyła, musi być...

...Tam! Między tańczącymi utworzyła się luka, przez którą widziała przez chwilę Roberta, nim znów zniknął jej w tłumie.

Dina poczuła, jak płoną jej policzki, żołądek jej się ścisnął. Oglądała ich tylko przez moment, ale to wystarczyło, by poczuła - by wiedziała! - że dzieje się coś niestosownego. Robert i owa blondynka nie tyle tańczyli czy flirtowali, ile byli wprost do siebie przyklejeni, spleceni jakby w erotycznym uścisku!

Dina poczuła ukłucie bólu. Nagle miała wrażenie, że jest uwięziona w tej przestronnej, zatłoczonej sali. Twarze pokryte makijażem wydawały się surrealistyczne, jak na obrazach Dalego; zwykły śmiech brzmiał niczym obłąkańczy rechot.

Jak on mógł! - myślała. Jak mógł! Jest przecież moim mężem!

Całym wysiłkiem woli odpedziła od siebie owe wywołujące panikę halucynacje; ze wszystkich sił starała się wrócić do rzeczywistości.

Stopniowo Dina odzyskała zimną krew, a wcześniejsze oburzenie zastąpiła wściekłość.

Zaczęła rozważać, jak powinna postąpić w tej sytuacji. Zawsze mogę udać, że niczego nie widziałam, i porozmawiać z Robertem później, kiedy wrócimy do domu. Kłopot w tym, że do tego czasu wymyśli sobie najróżniejsze wytłumaczenia i nawet będzie próbował mnie przekonać, iż coś sobie ubzdurałam. Nie, najlepiej zgnieść sprawę w zarodku - złapać ich na gorącym uczynku, zanim mi się wymkną z ręki...

Podjąwszy raz decyzję, Dina była gotowa zmierzyć się z samym smokiem. Ruszyła na parkiet i z wprawą przeciskała się przez tłum wolno tańczących par.

Kiedy namierzyła cel, nic nie umknęło jej przenikliwym oczom.

Ani zgrabna figura Bambi i jej zmysłowe ruchy, ani to, jak Robert ją obmacywał, ani to, że dziewczyna - wielkie nieba! - ręką najwyraźniej gmerała przy jego kroczu!

Robercie, Robercie, Robercie - besztala męża w duchu Dina, potrząsając głową i cmokając. Co ja mam z tobą zrobić?

Ale już wiedziała, co.

Zakradła się do nich od tyłu, mocno uszczypnęła małżonka w pośladki i wykrzyknęła:

- Skarbie! Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz tu przyjaciółkę?

Robert A. Goldsmith całkowicie dał się zaskoczyć. Odskoczył od Bambi jak oparzony.

- D-d-dina! - wykrzyknął. - Co za miła nies...

Żona uciszyła go bezlitosnym spojrzeniem, potem zaś odwróciła się do Bambi i oświadczyła krótko:

- *Adios*, Kopciuszkule!

Panna Parker roztronie czmychnęła.

Dina obserwowala ją spod przymrużonych powiek. Wiedząc, kiedy zanosi się na kłopoty, zapamiętała sobie jej twarz; niewykluczone, że w przyszłości ta dziewczyna znów się pojawi. Oczywiście dla Roberta lepiej by było, żeby tak się stało.

Tak czy inaczej mam przestrożę. Nie zaszkodzi od tej pory mieć na niego oko.

Kiedy Bambi zniknęła, Dina skupiła całą uwagę na swym mężu.

- ...Cholernie tu gorąco - wymamrotał, ocierając białą chusteczką pot z czoła.

- Wiesz, Robercie, co mówią ludzie. Kto się boi wilka, niech nie chodzi do lasu.

- A cóż to niby ma znaczyć?

- Najdroższy, dokładnie wiesz, co to znaczy. - Uśmiechnęła się słodutko. - Przekroczenie granicy z twoją przyjaciółką, cóż by innego?

- Przekroczenie granicy? - udawał oburzenie. - Jakiej granicy? Tylko tańczyliśmy. Zresztą, gdybyś nie była tak zajęta lordem jak mu tam, poprosiłbym ciebie.

- Naprawdę? - Głos Diny aż ociekał sarkazmem. - Cóż, nieważne. Chciałeś ze mną zatańczyć, więc bardzo proszę. - Wyciągnęła ręce obwieszane bransoletkami, czekając, aż mąż ją obejmie. - Zatańczymy?

Robert nie miał innego wyjścia, jak się zgodzić. Trzymał ją niezgrabnie, tańczył sztywno i niezdarne. Wybuchnęła śmiechem.

- Mój Boże, Robercie, poruszasz się jakbyś cierpiał na zaparcie! Z całą pewnością nie byłeś taki sztywny ze swoją małą przyjaciółką. Odpręż się... - Ogromnie ją bawiło jego zakłopotanie. - ...musisz tylko pozwolić się prowadzić. Ale najpierw mógłbyś mnie trochę mocniej objąć... no wiesz... tak jak obejmowałeś ją.

Jej małżonek rozluźnił się nieco i rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku, w którym pobiegła Bambi.

Wielki błąd.

Dina nadepnęła mu na palce pantoflem na cienkim obcasie - z całej siły!

Robert wydał okrzyk bólu i zaczął śmiesznie podskakiwać na jednej nodze.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał z oburzoną miną.

- Jak to, dlaczego? By zwrócić twoją uwagę - powiedziała słodko. - A skoro już przy tym jesteśmy, radzę ci, żebyś o niej zapomniał.

Jak każdy przyłapany mąż, pan Goldsmith udawał głupiego.

- Kogo zapomniał?

- Swojego małego Kopciuszka. Naprawdę, Robercie, czy muszę ci przypominać, że jesteśmy małżeństwem? Czy wymienić ci nazwiska mężczyzn, którzy zniknęli z Listy Czterystu, publikowanej w *Forbes*, tylko przez alimenty? - Z przyjemnością zobaczyła, że pobałdł nagle. - Nie sądzę - zaszczebiotała, świadoma, że zdobyła punkt i uderzyła go tam, gdzie najbardziej boli.

 Nie poniżej pasa, ale w najbardziej wrażliwe miejsce: w portfel.

18.

Gdy tylko znaleźli się na ulicy, Hannes skrzywił się z niesmakiem. Wszystko było mokre i lśniące od wody. To, co się zaczęło jako kapuśniaczek, przemieniło się w prawdziwe oberwanie chmury. Srebrzyste strugi deszczu, twarde jak pięści boksera wagi ciężkiej, zawzięcie chłostały miasto.

Ku zdumieniu Hannesa Kenzie wydała okrzyk radości i zwróciła w jego stronę rozpromienioną twarz.

- Czyż nie jest cudownie? - spytała.

I zanim zdołał odpowiedzieć: „nie, ta wstrętna pogoda z pewnością nie jest cudowna”, podziękowała portierowi, który biegł w ich stronę z wielkim parasolem, zostawiła Hannesa między dwiema potężnymi kolumnami i wybiegła na deszcz.

Skierowała twarz ku niebu, rozpostarła ramiona i kręciła się, rozkoszując się oczyszczającym prysznicem.

- Zwariowałaś! - zawołał Hannes, stojący pod wystającym gzymsem.

- Wiesz o tym? Zupełnie, całkowicie zwariowałaś!

- Cudownie zwariowałam! - odrzyknęła; włosy już przylepiły jej się do głowy niczym lśniący, ciemny hełm.

Podbiegła, złapała go za obie ręce i wyciągnęła, chociaż się opierał, na deszcz. Potem, trzymając się mocno ramienia Hannesa, zeskakiwała radośnie po nasiąkniętym wodą, czerwonym dywanie leżącym na schodach.

- Teraz sam przyznaj - zwróciła się do niego. - Czyż to nie wspaniałe uczucie?

- Być z tobą to wspaniałe uczucie - odrzekł z naciskiem.

- Czyżby? - Przystanąła i przechyliła głowę na bok, by rzucić mu zadowolone spojrzenie.

- Tak. - Objął ją mocno.

Zwinna jak jaszczurka, wysunęła się z jego objęć i roześmiała się, wesoło skacząc z pozostałych stopni. Nie pozostało mu nic innego jak ruszyć za nią.

Kiedy znalazła się na dole, zobaczyła sznur wytwornych pojazdów. Po jednej i drugiej stronie, jak okiem sięgnąć, znajdowała się prawdziwa armada ciemnych limuzyn i lincolnów - plus jeden biały, długaśny cadillac z przyciemnionymi szybami i tablicą rejestracyjną DINA G, którego szofer opierał się o drzwi od strony kierowcy, osłaniając się parasolem. Z zainteresowaniem przyglądał się Kenzie zbiegającej ze schodów. Teraz, kiedy była dziesięć kroków od niego, przesunął czapkę z daszkiem na tył głowy i obrzucił dziewczynę taksującym spojrzeniem.

Kenzie, czując na sobie jego wzrok, zobaczyła chudego jak tyczka faceta palącego papierosa, żującego gumę i jednocześnie gryzącego wykałaczkę. Rzucił jej porozumiewawczy uśmiech i mrugnął do niej. Udała, że tego nie widzi.

Odwróciła się do Hannesa, kiedy ją dogonił. Ze śmiechem uniósł ją jak piórko w górę i delikatnie okręcił nią w powietrzu.

- Dlaczego czuję się, jakbym znów miał piętnaście lat? - spytał, kiedy postawił Kenzie z powrotem na ziemi.

- Bo tyle masz. - Jej głos był szeptem pośród łomotu deszczu. Wyciągnęła rękę i czule dotknęła palcami jego policzka. - Ponieważ dziś wieczorem oboje mamy po piętnaście lat.

Spojrzał na dziewczynę. Latarnia rzucała ostre światło, ale Kenzie stała tyłem i jej twarz spowijał mrok. Tylko oczy błyszczały dziwnym, własnym światłem. Pomimo zimnych strug deszczu, czuł bijący od niej ogień.

Potem opuściła rękę, odwróciła się i nagle czar prysł. Wskazała dłonią na sznur samochodów.

- Czy słusznie zakładam, że żaden z tych pojazdów nie należy do ciebie? - W jej głosie dosłyszał nutkę wesołości.

- Zgadłaś. Dobrze, że lubisz deszcz. Chodź, złapiemy taksówkę.

Wziął ją za rękę i przeszli gęsiego między białą limuzyną i granatowym lincolnem.

Szofer Diny jeszcze bardziej wciągnął brzuch, żeby mogli się przecisnąć. Szybko zwąchał okazję; wyciągnął papierosa z ust i rzucił go do rynsztoka.

- Hej! - zawołał. - Rozumiem, że szukacie taksówki?

Hannes skinął głową.

- Tak.

Mężczyzna poruszył wykałaczką trzymaną w ustach. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, kiedy wolno odwrócił się w kierunku Piątej Alei, by ocenić ruch samochodów. Potem spojrzął na Hannesa.

- Na Piątej Alei zazwyczaj aż roi się od taksówek i wystarczy wyciągnąć rękę, a podjeżdża cała ich flota niczym stado wygłodniałych rekinów. Jednak tylko wtedy, kiedy jest ładnie. Teraz wygląda na to, że jadą tędy tylko zajęte i zjeżdżające do bazy, ale czego się można spodziewać w taką pogodę? Obawiam się, że teraz trudno będzie wam coś złapać.

- On ma rację - mruknęła ponuro Kenzie, nauczona długim doświadczeniem.

Szofer mocniej poruszył wykałaczką.

- Dokąd zamierzacie jechać?

- Róg Pierwszej Alei i Trzydziestej Siódmej - powiedział Hannes.

Mężczyzna skinął głową.

- Coś wam powiem. Moja szefowa jeszcze nieprędko się pojawi. Piętnaście dolców, a zawiozę was na miejsce z fasonem.

Hannes nie wahał się ani chwili, sięgnął po portfel i wyciągnął z niego dwudziestkę.

- Reszty nie trzeba - powiedział.

- To mi się podoba! Dzięki!

Kierowca zgrabnie wziął banknot - jak doświadczony kelner. Otworzył tylne drzwiczki i przytrzymał je swym pasażerom.

- Wskakujcie - zaprosił ich do środka. - I życzę przyjemnej jazdy.

Kenzie wsiadła pierwsza i zapadła się w głęboką, skórzaną kanapę w kształcie litery L. Chwilę później Hannes zajął miejsce obok.

- Niczego sobie, prawda? - zauważyła, rozglądając się po wnętrzu samochodu.

Był wykończony jak jacht. Wszędzie skóra i drewno, złote okucia, nastrojowe oświetlenie i wszystko podwójne - dwa telewizory, magnetowidy, telefony komórkowe, faksy.

Kenzie wyciągnęła nogi przed siebie.

- Dasz wiarę? Jest tu dosyć miejsca, by robić skłony! - Z błogim westchnieniem skrzyżowała ręce za głową. - Ach, życie bogatych i sławnych! - westchnęła. - Można się do tego szybko przyzwyczaić. Tak...

Przegroda, oddzielająca pasażerów od kierowcy, bezszelestnie się opuściła.

- Między telewizorami jest barek! - zawołał do nich szofer. Wolno wycofywał wielkie auto i z wprawą wykręcał tyłem. - Jest tam gorzała, lód, wszystko. Częstujcie się, firma stawia!

Przegroda się zasunęła. Hannes spojrział na Kenzie.

- Masz na coś ochotę?

Zawahała się, a potem pokręciła głową.

- Lepiej nie. Już i tak wypilałam więcej, niż powinienam.

Hannes postanowił sprawdzić zawartość barku. Naturalnie w szafce były specjalne wycięcia, wysłane materiałem, na kieliszki z rżniętego kryształu i karafki ze srebrnymi zatyczkami. W znajdującej się niżej przegródce zobaczył minilodówkę i zamrażarkę z kostkami lodu.

Kenzie przyglądała się, jak przygotowywał sobie szkocką z lodem.

- A, do diabła! - oświadczyła, uznając, że nic jej nie przyjdzie z abstenencji. - Poproszę wódkę z tonikiem, ale proponuję, byś lał gorzałkę bardzo oszczędnie. Jeden kieliszek za dużo i cały świat zaczyna wirować.

- Uśmiechnęła się figlarnie. - Nie chciałabym spędzić tego wieczoru, obejmując obydwoma rękami sedes.

- Tak, zdecydowanie wolę, żebyś obejmowała mnie, dlatego przygotuj się na najsłabszego drinka pod słońcem.

Obserwowała, jak wkłada do szklaneczki kostki lodu, wlewa odrobinę wódki, wrzuca cząstkę limetki, a potem dodaje sporą porcję schweppesa. Na koniec zamieszał drinka szklanym mieszadłem.

- Proszę.

Upiła trochę na próbę, cały czas spoglądając na niego znad szklaneczki swymi bursztynowymi oczami.

- Mniam-mniam - mruknęła z zadowoleniem. - W sam raz. - Wolno przesunęła wilgotnym, różowym koniuszkiem języka po górnej wardze, robiąc figlarną minę. - Powiedz mi, Hannes, czy jesteś równie dobry we wszystkim, jak w przygotowywaniu drinków?

- A jak myślisz? - Przyglądał jej się z napięciem.

Kenzie udała, że się zastanawia, znów pociągnęła łyk, cały czas wytrzymując wzrok mężczyzny.

- Myślę, że muszę się wstrzymać z oceną, póki się nie przekonam osobiście.

- Jestem do usług - mruknął i przytulił ją do siebie, pieszcząc delikatnie.

Limuzyna skręciła w Piątą Aleję i zaczęła jakby płynąć za ławicą ryb o cynobrowych ogonach. Kenzie i Hannes pozwolili, by mówiły za nich dłonie i wargi. Z ukrytych głośników stereofonicznych płynęła stara

piosenka w wykonaniu Barbary Streisand - dokładnie to, co zaleca terapeuta seksuolog, by zwiększyć napięcie erotyczne.

* * *

Ich wyjście nie pozostało niezauważone.

W nieoznakowanym samochodzie policyjnym z artretycznymi, niesprawnymi wycieraczkami siedział sztywno wyprostowany Charley Ferrara i spoconymi, trzęsącymi się dłońmi ścisnął kierownicę z taką siłą, że aż mu pobiełały kostki. Czuł się zraniony, oszukany, zdradzony. Jak dziecko, które - chociaż je ostrzegano, by nigdy nie słuchało rzeczy mówionych za jego plecami - i tak podsłuchiwało.

Przypuszczał, że to samo dotyczy szpiegowania.

Tylko jego zamiarem wcale nie było śledzenie Kenzie. Jedynym powodem, dla którego tu przyjechał i ponad godzinę znosił niewygodę w dusznym, ciasnym wozie, była chęć odwiezienia jej do domu i okazania, iż nie ma pretensji o to, że dzisiaj po południu wyrzuciła go ze swego mieszkania.

Roześmiał się gorzko, a śmiech ów przypominał odgłos, jaki wydaje papier ścierny przesuwany po metalu.

Jak został nagrodzony Charley - dobry Samarytanin? Musiał być świadkiem jej wyjścia - jak zbiegała po schodach bez parasola, ścigana przez tego przystojniaka - kimkolwiek był ów facet! I patrzeć, gdy wirował z nią na deszczu — oboje zachowywali się jak kochankowie w jakimś cholernym, broadwayowskim musicalu! - nim wsiedli do tej krzykliwej białej limuzyny.

Serce mu się ścisnęło i mało nie pękło.

- Cholera! - Zacisnął prawą rękę w pięść i uderzył nią w kierownicę. Żałował teraz, że nie został w domu. Z pewnością oszczędziłby sobie wszystkich tych przykrości.

Ale faktem pozostawało, że nie został, tylko jak idiota musiał tu przyjechać, by próbować wszystko naprawić.

Na przekór samemu sobie, Charley przysunął się do zaparowanej szyby i wytarł ją rękawem. Gapił się, niczym zahipnotyzowany, poprzez smugi i strużki wody pozostawione przez wycieraczki, gdy limuzyna, wydając serię ostrzegawczych sygnałów i błyskając czerwonymi światłami z tyłu, wycofywała się z miejsca przy krawężniku. Charley zaczął, aż oddaliła się od niego, potem ruszył w ślad za białym autem.

Między ulicami Trzydziestą Siódmą i Trzydziestą Ósmą wytworny pojazd zatrzymał się przed monstrialnym wieżowcem.

Charley wyłączył silnik, zgasił światła i pozwolił, żeby poobijany, stary plymouth się zatrzymał. Przygotowując się na nieuchronne, znów mocno zacisnął ręce na kierownicy.

Wszystko przesuwano się przed jego oczami w zwolnionym tempie: drzwiczki od strony kierowcy otworzyły się; portier opuścił jasno oświetlony, suchy hol i z parasolem w ręku ruszył ospale, jakby walczył z niewidzialnymi duchami, do końca markizy ociekającej deszczem; szofer wolno sięgnął do klamki tylnych drzwiczek...

Charley jęknął głośno, zbyt późno uświadomiwszy sobie, że wcale nie przygotował się na nieuniknione. Czy nie dosyć przykry był widok, gdy Kenzie z nieznanym odjeżdżali przed budynkiem Metropolitan Museum?

Kiedy tamci dwoje znaleźli się w holu, Charley wstrzymał oddech patrząc, jak trzymając się za ręce pospiesznie szli po lśniącej marmurze w kierunku wind...

...jak kochankowie, niemogący się doczekać, kiedy znajdą się na górze!

Potem litościwie zniknęli z pola widzenia.

Udręczony Charley westchnął i skulił się w fotelu. Przynajmniej teraz, kiedy nie musiał dłużej patrzeć na tę parę zakochanych gołąbeczków, minęły ostre ukłucia, przemieniając się w stały, tępy, ale znośny ból.

Wiedział, że nic nie zyska czekając tutaj. Już i tak wystarczająco dużo zobaczył. Wziął się w garść, przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu - wystartował z piskiem opon niczym rakietą.

Wiedział, co teraz zrobi. Pojedzie do śródmieścia i zaczeka przed jej domem. Tam spotka się z Kenzie.

* * *

Wyjście Becky V wywołało równie dużo zamieszania, jak jej wielkie *entrée*. Było to spowodowane chorobliwą obsesją wielkiej damy na punkcie zachowania swej prywatności. Rzadko pokazywała się publicznie, a tym samym sprawiała, że żadne sensacje tłumy spragnione były jej widoku.

Przykładem było chociażby to przyjęcie.

Nie licząc kilku minut podczas cocktailu, kiedy to razem z Karlem-Heimem krążyła wśród gości, z uśmiechem przyklepionym do ust, oraz obiadu, gdy to wzniosła niewidzialny mur wokół stołu jubilata - zaszczyciła

swego gospodarza pierwszym tańcem, a potem natychmiast zniknęła w łoży mecenasów na ostatnim piętrze skrzydła Wallace.

Tam spędziła wieczór z garstką wybranych, najbliższych przyjaciół w jednym z saloników.

Teraz, o jedenastej, gotowa była do powrotu na olimpijskie wyżyny swego apartamentu przy Piątej Alei. Lord Rosenkrantz udał się windą na górę i pięć minut później, otoczeni przez zawsze czujnych pracowników Secret Service, przeszli oboje przez salę za świątynią Dendur, gdzie Becky wprawdzie nie przestała majestatycznie kroczyć, ale nieco zwolniła, by się pożegnać z niektórymi przyjaciółmi i znajomymi.

Dina była zachwycona, że została zaliczona do tego grona.

- Miło mi było panią poznać - powiedziała jej Becky.

- Ależ cała przyjemność po mojej stronie! - wylewnie zapewniła ją pani Goldsmith.

Becky uśmiechnęła się swym tajemniczym uśmiechem, lecz idąc dalej nagle przypomniała sobie, że Robert A. Goldsmith kupił właśnie pakiet kontrolny Burghleya, a ponieważ sama zasiadała w organie doradczym firmy macierzystej, Burghley's Holdings, Inc., przyszłe kontakty z Goldsmithami będą nieuniknione.

Co więcej, Rebecca Cornille Wakefield Lantzouni de la Vila należała do osób niezwykle praktycznych. Będąc jedyną właścicielką imperium wartego ponad sześć i pół miliarda dolarów - co skądinąd wiązało się z ogromną odpowiedzialnością, ale dzięki lordowi Rosenkrantzowi, który w świecie finansów był tym, kim Picasso w sztuce, owo imperium praktycznie nie wymagało uwagi - mogła poświęcić całą swą energię na zjednywanie sobie najbogatszych i najsławniejszych ludzi tego świata w jednym celu: by opróżnić ich kieszenie z korzyścią dla licznych akcji charytatywnych, którym patronowała.

I właśnie dlatego teraz się zatrzymała, odwróciła do Diny i zaproponowała laskawie:

- Może któregoś dnia spotkamy się na lunchu?

Pani Goldsmith była tak zachwycona, że po raz pierwszy w życiu odjęło jej mowę.

- Chciałabym również - ciągnęła Becky - zaprosić panią i pani męża do mojego domu na wsi na weekend. Oczywiście, jeśli są państwo zainteresowani.

Jeśli są zainteresowani? Dina miała niewyraźną minę kobiety trzymającej w ręku los, na który padła główna wygrana, ale nadal trudno jej uwierzyć własnym oczom - czy w tym szczególnym przypadku własnym uszom.

- Ależ ja... my... z przyjemnością przyjedziemy! - wyrzuciła z siebie, gdy tylko odzyskała głos.

- Dobrze! Skontaktuję się z państwem - powiedziawszy to Becky ruszyła dalej ze swą świtą.

Dina ponownie zaniemówiła z zachwytu. Potem trąciła swego męża mocno w bok i powiedziała:

- Słyszałeś, Robercie? Wyobraź sobie! Zostaliśmy zaproszeni do domu Becky V!

Odetchnął z ulgą. Jego żona była tak rozemocjonowana i olśniona, że - da Bóg - zapomni o tym drobnym incydencie na parkiecie.

Mógł być spokojny. Bambi Parker była ostatnią osobą, o której pomyślałaby teraz Dina - bo cóż mogło się równać z doniosłym faktem, że oto otworzyły się przed nią najbardziej ekskluzywne drzwi na świecie?

Nic pod słońcem!

O, tak. Mała Dina Van Vliet z Goudy wysoko zaszła - i była podniecona bardziej niż ćpun po prochach.

19.

W Piekle Dantego panował nieopisany ścisk. Dudnienie orgiastycznego techno-rocka atakowało bębniarki uszne; żółte i czerwone serpentyny, poruszane wiatrakami umieszczonymi na kratownicy nad parkietem, powiewały, połyskiwały i lizały powietrze jak płomienie.

Karl-Heinz rozejrzył się wkoło, patrząc na tancerzy, którzy w błyskach stroboskopów tworzyli obrazy jak na stop-klatce. Były tu dziewczyny, wyglądające jak chłopcy i chłopcy, wyglądający jak dziewczyny dziwne dwupłciowe istoty, które nie przypominały nikogo, a także kilka osób wyglądających normalnie.

Na przykład Zandra. W miejscu, gdzie każdy ubrany był według innej mody, zachowała własny styl i przyciągała wzrok, zachwycająca jak najrzadsza i najdelikatniejsza orchidea, która zakwita tylko na jedną krótką noc.

Karl-Heinz spostrzegł nagle, że jego młoda kuzynka, której podniecającej kobiecości nigdy wcześniej nie zauważył, jest fascynującą dziewczyną. Prawdę mówiąc w żaden sposób nie potrafił otrząsnąć się z wrażenia, jakie na nim wywarła, ani przestać napawać oczu jej widokiem.

Nie szalała, nie podrygiwała ani nie wykonywała modnych wygibasów, jak wszyscy pozostali tancerze - wprost przeciwnie: poruszała się z naturalną, niewystudiowaną i niezwykłą gracją, czasem przymykając oczy, jakby pogrążona w świecie, dostępnym tylko dla niej.

Daj sobie spokój! - mówił sobie w duchu książe. Jest dla ciebie za młoda. Musi uważać cię za starca.

Jakby na dowód tego potknął się i trącił łokciem innego tancerza. Poczul miazdzący uścisk na ramieniu i usłyszał kpiącą uwagę rzuconą przez jakiegoś młodziana.

Odwrócił głowę, zły na własne niedołęstwo, świadom luki pokoleniowej pogłębionej przez wyzywającą minę przyszczatego chłopaka.

Karl-Heinz wbił w niego wzrok, a młodzieniec z trądzikiem cofnął się, jakby czując się zagrożony przez istotę wyższego rzędu. Jednak książę nie odczuwał satysfakcji. Ogarnęła go irracjonalna złość na ten tłum kameleonów i dzieciaków o niewyczerpanej energii, z których większość była młodsza nawet od Zandry.

A jednak ona jakoś tutaj pasowała i bez najmniejszego wysiłku udało jej się przeistoczyć w jedną z nich, jakby zmieniła strój; wiedział, że jemu samemu nigdy coś takiego by się nie udało.

Na litość boską, zastanawiał się, co, u diabła, robię w tym przedszkolu dla punków? Jestem tutaj obcy. Powinienem być zupełnie gdzie indziej, tańczyć fokstrota z ufarbowanymi na niebiesko dziewczkami fortun w jakimś nudnym, akceptowanym przez wyższe sfery lokalu!

- Heinzie! - zwołała Zandra głośno, żeby ją usłyszał przez ogłuszające dźwięki muzyki techno. Potem podeszła tanecznym krokiem i pociągnęła go za rękę, ratując przed ponurymi rozmyślaniami. - Pobawmy się, kuzynie!

Początkowo Karl-Heinz się wahał, ale Zandra była osobą, której nie można było odmówić. Usłyszał naleganie w jej głosie i dostrzegł wesołe iskierki w oczach. Nie można było jej się oprzeć i chociaż uważał, że on sam tutaj nie pasuje, zauważył nagle ze zdziwieniem, że pozwala się prowadzić na parkiet. Ulegając namowom dziewczyny, przemógł się i cały poddał muzyce; kołysał się, podrygiwał, tupał i podskakiwał, jakby wykonując ze swą ponętą partnerką pogański taniec rytualny. Razem wili się w rytm ogłuszającego walenia, obserwując się w błyskach stroboskopów i dopasowując swoje ruchy do zmieniających się melodii. Razem się śmiali, gdy jedno próbowało być lepsze od drugiego, tańcząc z niemordowaną młodzieżą ściśnięci jak sardynki.

W końcu oboje mieli dosyć i padli, zgrzani i mokrzy, na siebie.

- Robi się późno - powiedział książę.

- Tak. - Zandra skinęła głową.

Karl-Heinz wziął ją pod rękę i razem przecisnęli się przez morze tańczących. Na zewnątrz deszcz siekł z nową gwałtownością, samochody przemykały, omijając przepelnione studzienki, ale oni nie zwracali na to uwagi i ze śmiechem pobiegli, trzymając się za ręce, do czekającego Bentleya.

Siedząc obok Heinza w drodze powrotnej, Zandra myślała, że jej kuzyn przez cały wieczór był taki czarujący, i zaczęła go widzieć w zupełnie

nowym świetle. Przestała go uważać wyłącznie za starszego, dalekiego krewnego... Stał się kimś więcej, kimś znacznie więcej.

* * *

Potem mówili jedno przez drugie śmiali się i żartowali.

Bo podczas jazdy do domu Zandra i Karl-Heinz drobiazgowo zanalizowali ten wieczór - najpierw przyjęcie, później zaś zabawę w klubie. Ale w końcu nie mogli dłużej udawać i musieli się przyznać, że przede wszystkim są zaintrygowani sobą nawzajem.

Na rogu Czternastej ulicy szofer przyspieszył i bentley przemknął przez mokre skrzyżowanie, rozbryzgując wodę jak szybka motorówka.

- Zan...

- Hei...

Odezwali się jednocześnie i jednocześnie umilkli.

- Mów, Heinzie! Ty pierwszy!

- Nie, ty. Proszę.

- Och, no cóż... Mam nadzieję, że nie znudził cię ten wieczór. Chodzi mi o...

Karl-Heinz bardzo chciał powiedzieć, co naprawdę czuje, że teraz ujrzał ją w zupełnie nowym świetle, że zapalał do niej sympatią i bardzo pragnie częściej ją widywać, ale doszedł do wniosku, iż najlepiej utrzymać lekki ton rozmowy. Najbardziej mu zależało na tym, żeby nie spłoszyć dziewczyny.

- Naturalnie, że miło spędziłem czas, Zandro. Nawet cudownie. - Ujął w dłonie jej rękę. - Wkrótce musimy to powtórzyć.

- Och, Heinzie! - odpowiedziała z entuzjazmem w głosie. - Uważam... uważam, że to byłoby wspaniale. Musimy nadrobić tyle czasu.

Twarz dziewczyny w blasku mijanych świateł wyglądała tak niewinnie, Zandra była taka piękna i delikatna, że poczuł nieodparte wprost pragnienie, by objąć ją i przytulić. Ale zamiast tego spytał:

- A ty, Zandro? Czy naprawdę tak dobrze się bawiłaś dziś wieczorem, jak ja? Tańcząc ze swym starym, dawno niewidzianym kuzynem?

- Och, Heinzie! - roześmiała się perliście. - Wcale nie jesteś stary! I owszem, mówiłam ci, że mi się podobało. Było super!

Pomyślała, że właściwie bardzo dawno nie bawiła się tak dobrze. Że Heinzie jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną, i ma w sobie coś, co... no cóż, może oszołomić każdą kobietę.

Bentley zatrzymał się przed wspaniałym domem, w którym mieszkali Goldsmithowie, szofer wysiadł i otworzył Zandrze drzwiczki.

Wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni kuzyna.

- Nie wysiadaj, sama wejdę do domu. Nie mogę się doczekać, kiedy znów cię zobaczę. - Potem pocałowała go krótko, niewinnie w policzek.

Karl-Heinz też ją cmoknął na pożegnanie.

- Zadzwoń do ciebie.

- Pa! - zawołała i pobiegła do drzwi.

- Wasza wysokość?

- Tak?

To jego szofer czekał na dalsze instrukcje.

- Dokąd teraz?

- Dokąd? - Karl-Heinz się zawahał. - Chyba do domu.

Kiedy wchodził do swojego mieszkania na ostatnim piętrze Auction Towers, wysoko nad Burghleyem, zadzwonił telefon.

Księżę szybko zamknął drzwi i przeszedł przez hol, by odebrać, wiedząc z doświadczenia, że jego lokaj już się położył spać. Bo Josef był służącym hołdującym wspaniałej, europejskiej tradycji i chlubił się swoją dyskrecją oraz wyjątkowym wyczuciem, kiedy jego obecność jest pożądana, a kiedy lepiej się usunąć.

Karl-Heinz uśmiechnął się ironicznie. Tym razem intuicja zawiodła doskonałego sługę; dziś wieczorem nie będzie wina, nie będzie kobiet, nie będzie śpiewu.

Podchodząc do najbliższego aparatu telefonicznego, zobaczył opartą o niego kartkę. Rozpoznał wyraźne, staroświeckie pismo Josefa:

Wasza Wysokość,

Księżniczka Sofia kilkakrotnie dzwoniła z Augsburga. Mówi, że ma pilną sprawę.

Z uszanowaniem, J.

Karl-Heinz zmarszczył czoło i podciągnął mankiet koszuli. Według jego złotego zegarka Vacherona Constantina, w Niemczech była teraz ósma rano, nie za wcześnie, by zadzwonić do siostry.

Chociaż, pomyślał, słysząc uparte brzęczenie telefonu, prawdopodobnie to ona właśnie dzwoni.

Podniósł słuchawkę.

- Słucham?

Po chwili ciszy w słuchawce rozległ się gniewny głos, mówiący po niemiecku.

- No! Nareszcie!

Westchnął w duchu. Dobrze się domyślił!

- *Ja, Sofia!* - powiedział znużonym tonem, automatycznie przechodząc na ten sam język.

- Od kilku godzin próbuję się z tobą skontaktować - odezwała się z wyrzutem. - Od kilku godzin! - powtórzyła, jakby nie dosłyszał.

- Właśnie wróciłem i zamierzałem do ciebie zadzwonić - odrzekł spokojnie. - Cóż to za pilna sprawa?

Ale siostra jeszcze nie skończyła wyrzekać na swój ciężki los.

- Naprawdę, Heinzie - ciągnęła. - Jakbym nie miała dosyć zmartwień, musiałam spędzić całą noc, próbując cię odszukać! W przyszłości mógłbyś mówić temu swojemu okropnemu służącemu...

- Sofio... - przerwał jej cichym lecz stanowczym tonem.

- Chodzi o ojca - powiedziała krótko. - Miał kolejny wylew. Karl-Heinz zmarł; minęła chwila, nim odzyskał głos.

- Bardzo z nim źle?

- Wystarczająco źle, abyś przyleciał do domu.

Powiedziawszy to, Sofia się rozłączyła.

20.

W sypialni było ciemno.

Wysoko nad miastem panowała cisza, czas jak gdyby stanął w miejscu i nie miał znaczenia. Przez pionowe żaluzje w półokrągłym oknie wpadał granat nocy, upstrzony migoczącymi, rozmytymi przez deszcz światłami milionów okien, żarzących się w ciemnościach.

Zegar na nocnym stoliku wskazywał godzinę 2:49.

Kenzie, siedząca na skraju łóżka, pochyliła się i tłumiąc ziewanie najpierw wsunęła lewą nogę w pantofel, a potem prawą. W końcu wstała z niechęcią.

Z przyległej garderoby wyszedł Hannes. Był chodzącą reklamą firmy Timberland: moleskinowe spodnie, żakardowy sweter, skórzana sportowa kurtka i mokasyny. W rękę trzymał przeciwdeszczowy płaszcz burberry.

- Wciąż mocno pada - powiedział. - Lepiej załóż to, bo inaczej się przeziębisz. - Zarzucił jej płaszcz na ramiona.

Kenzie się uśmiechnęła.

- Dziękuję. Z chęcią bym go pożyczyła, ale naprawdę, Hans, nie musisz mnie odprowadzać do domu. Zapewniam cię, że świetnie dam sobie radę...

Położył jej palec na ustach.

- Nie ma dyskusji, Kenzie. Nauczono mnie, że damę należy odprowadzać do domu, więc to zrobię.

- Patrzcie no, jaki dżentelmen - zauważyła lekko drwiącym tonem ale w głębi duszy sprawiła jej przyjemność ta staroświecka rycerskość mężczyzny. Potem, dostrzegłszy swoje odbicie w lustrze, przyglądał; włosy palcami. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła się promiennie. - To jak? Gotowy?

- Możemy iść.

- Wiesz co? - Wzięła go pod ramię. - Naprawdę jesteś ostatnim przedstawicielem gatunku, któremu grozi wymarcie!

- Beznadziejny romantyk - zgodził się Hannes i skinął głową.

Zjechali windą na dół, przeszli przez hol i wyszli na ulicę.

Rzeczywistość uderzyła ich - dosłownie jak obuchem w głowę. Zrobiło się znacznie chłodniej, a silny wiatr zaczął deszczem, wywracając parasol Hannesa na drugą stronę.

- Brrr! - wzdrygnęła się Kenzie i podniosła kłapy płaszcza. Nie tracąc ani chwili, zostawiła swego towarzysza, zmagającego się z parasolem, podbiegła do krawężnika i spojrzała na nieliczne, lecz szybko jadące samochody.

I oto zdarzył się prawdziwy cud na Manhattanie - nadjechała wolna taksówka w deszczową noc!

Wyciągnęła jedną rękę, włożyła dwa palce do ust i nocną ciszę przeżył przeraźliwy gwizd. Taksówka zatrzymała się z piskiem hamulców. Kenzie otworzyła tylne drzwiczki i wgramoliła się do środka. Hannes wyrzucił bezużyteczny parasol do rynsztoka i wsiadł tuż za nią.

- Osiemdziesiąta Pierwsza między Pierwszą a Drugą Aleją - wyrzuciła Kenzie jednym tchem.

Ledwo to powiedziała, Sikh w turbanie nacisnął gaz do dechy.

Ruszyli tak gwałtownie, że oboje zostali wciśnięci w fotele - i siedzieli tak przez całą drogę, trwającą czternaście minut. Było to przeżycie, od którego włosy zjeżyły się im na głowie.

- Co on sobie wyobraża? - jęknęła Kenzie. - Że jest Aire Luyendykem na Indy 100?

Ale musiała oddać kierowcy sprawiedliwość: chociaż kilkanaście razy o mały włos uniknął zderzenia, zawiózł ich na Osiemdziesiątą Pierwszą w rekordowym czasie, w całości - i zakończył poślizgiem kontrolowanym.

- Tutaj, z prawej! - zawołała Kenzie. - Obok...

Zasłoniła oczy, gdy taksówkarz nacisnął hamulec i samochód zatrzymał się z piskiem opon.

Sikh odwrócił się z dumną miną.

- Lepsze niż przejażdżka na Coney Island, co?

- Wiem tylko, że ktoś tam w górze musi nad panem czuwać - odezwała się Kenzie słabym głosem.

- Proszę nie wyłączać licznika - powiedział Hannes do taksówkarza i osłonił kurtką głowę.

Okrażył wóz, by znaleźć się od strony Kenzie i osłaniając dziewczynę wodoodporną kurtką, podbiegli razem do furtki, a potem po schodach w górę do drzwi jej domu z piaskowca, oświetlonych podwójnymi lampami.

Pod dachem Hannes opuścił kurtkę i strząsnął z niej wodę, podczas gdy Kenzie grzebała w swej malutkiej, wieczorowej torebce. Zanim wyjęła klucze, objął ją ramionami i przytulił.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, płaszcz zsunął jej się z ramion. Hannes złapał ją za pośladki.

- Przestań! - krzyknęła ze śmiechem, udając oburzenie. - Bez przekonania próbowała go odepchnąć. - Prawdopodobnie taksówkarz na nas patrzy!

- No to co? - Uniósł głowę i uśmiechnął się. - Dlaczego pozbawiać biedaka odrobiny przyjemności?

- Jesteś niepoprawny!

- Naprawdę?

Zanim mogła odpowiedzieć, poczuła na swych wargach usta mężczyzny. Przywarła doń łapczywie i zarzuciła mu ręce na szyję; języki obojga wykonały zaimprovizowany taniec.

Kiedy ich usta się rozłączyły, Hannes wolno uniósł głowę, jasnymi oczami wpatrując się w zwróconą w górę twarz dziewczyny.

- Kenzie, zanim się rozstaniemy tu, na progu twego domu, powiedz mi coś. - Na chwilę zamilkł, a potem pogłaskał ją po policzku.

Ten zwykły gest wywołał szereg doznań; nagle przyjemne dreszcze przebiegły całe jej ciało. Ale z oczu i ust mężczyzny zniknęła wesołość; przyglądał jej się poważnie, z takim natężeniem, jakby chciał zajrzeć w głąb jej duszy.

- Czy dzisiejsza noc to dopiero początek? - spytał cicho. - Czy też koniec?

Coś ścisnęło ją w gardle. Cholera. Nie tylko wiedział, co należy robić, ale również, co mówić.

- No więc, Kenzie? Jak będzie?

Wciąż się w niego wpatrywała.

Czuła, jak krew krąży jej w żyłach, słyszała walenie pulsu. Słyszała takie głuche dudnienie - to musiało być jej serce.

A Hannes, przyczyna wszystkich owych doznań, stał bez ruchu i patrzył na nią zniewalająco i hipnotycznie.

Pochylił się i nagrodził ją kolejnym pocałunkiem.

Zapomnieli o czekającej taksówce z włączonym licznikiem, o zacinającym deszczu i podmuchach wiatru, o kluczach w jej otwartej torebce

wieczorowej. Była tak zatopiona w nim, a on w niej, że nic poza tym nie istniało i nie liczyło się - ani trzaśnięcie drzwiczek samochodu gdzieś w pobliżu, ani odgłos zbliżających się kroków, ani nawet skrzyknięcie furtyki, kiedy ktoś ją pchnął.

- No dobra, gołąbeczki! Dosyć tego...

Męski głos, rozlegający się ostro w ciemnościach sprawił, że Kenzie odskoczyła od Hannesa. Odwróciła się - a w tym momencie oślepiła ją silna latarka.

Zmrużyła oczy i podniosła rękę, by je osłonić.

- Ch-Charley...? - zawołała w stronę jasnej, bezkształtnej plamy. - To ty?

- Przepraszam, że wam przerwałem zabawę.

Teraz Kenzie przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości. To był on - Charley Ferraro, jej chłopak, który sam twierdził, że ich znajomość jest „niezobowiązująca”.

I miał rację, pomyślała ponuro. Żadnych zobowiązań. Więc czego, u diabła, chce?

- Cóż, zaraz się dowiemy - mruknęła sama do siebie. - Co ty tu robisz? - Aż się zatrzęsała ze złości i wzrokiem pełnym oburzenia zmierzyła go od stóp do głów.

Zamiast odpowiedzieć, pokazał swoją odznakę. Przez chwilę Kenzie aż zamurowało.

- Czy byłbyś uprzejmy - wycodziła, patrząc na Charleya roziskrzonym wzrokiem - wyjaśnić, do czego, u diabła, zmierzasz?

Zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał.

- A któż to taki? - Oświetlił twarz Hannesa. - No, stary. - Wyciągnął drugą rękę. - Zobaczmy, czym się wylegitymujesz.

- Chwileczkę, do jasnej cholery! - sprzeciwiła się Kenzie. - Charley, nie masz najmniejszego prawa niepokoić niewinnych ludzi. Wyłącz tę wstrętną latarkę, schowaj odznakę do kieszeni i spływaj stąd!

- Proszę pani? - Znów skierował snop światła prosto w jej oczy. Odwróciła się, ale za późno. - Chce pani zostać oskarżona o zakłócanie porządku publicznego?

- Co takiego?

Nagle poczuła się tak, jakby z jej płuc wypompowano cały tlen, a jego miejsce zajął straszliwy gniew. O mało nie pękła ze złości!

Wzię głęboki oddech, poradziła sobie. Nie daj się wyprowadzić z równowagi... Przypomniała sobie, że Charley jest zazdrosny i nabuzowany. I chowa się za swą odznaką, cholerny palant!

- Przestań mi świecić w oczy - oświadczyła spokojnie. - I to natychmiast.

Jej władczy ton zdumiał nawet ją samą. Musiał również zdumieć Charleya, bo natychmiast usłuchał.

- Kenzie? - rozległ się za nią głos Hannesa. - Widzę, że znasz tego dżentelmena?

- Dżentelmena! - Prychnęła pogardliwie. - To z pewnością zbyt pochlebne określenie! Ale odpowiadając na twoje pytanie... - Westchnęła. - Tak, znam go. - I rzucając byłemu kochankowi spojrzenie pełne obrzydzenia, dodała: - A raczej powinnam powiedzieć, że go znałam, zanim wstąpił do Gestapo.

Charley nie zwracał uwagi na jej sarkastyczny ton.

- Ej, kolego, zdaje się, że prosiłem kogoś o dokumenty - powiedział stanowczo, by pokazać, że nie żartuje. - No dalej. Raz, dwa, trzy!

Hannes popatrzył na niego zimno, lecz Charley wytrzymał jego wzrok. Powietrze aż drgało od złych wibracji.

- Chryste! - jęknęła Kenzie. - Właśnie mi tego potrzeba - pieprzonej awantury w środku nocy! - Odeszła na bok i znużona oparła się o ścianę. - Hans - zwróciła się do swego nowego kochanka zrezygnowana. - Czy mógłbyś pokazać temu Brudnemu Harry'emu jakiś dokument tożsamości? Może wtedy będzie usatysfakcjonowany i się zmyje.

Hannes wyciągnął portfel i wręczył Charleyowi międzynarodowe prawo jazdy. Kenzie przyglądała się, jak pilny stróż prawa ogląda je w świetle latarki. Nie uszło jej uwagi, że nagle zrobił zaskoczoną minę.

- Nazywa się pan Hannes Hockert? - zapytał. Hannes skinął głową.

- Tak - powiedział.

- Ten Hannes Hockert?

Kenzie zmarszczyła brwi. Cóż Charley chce przez to powiedzieć? - zastanawiała się, patrząc na Hannesa. Czyżbym sobie znalazła jakiegoś mistrza kortów tenisowych? A może nawet sławnego europejskiego kierowcę wyścigowego?

- Czy mógłby mi ktoś łaskawie wytłumaczyć, co tu się dokładnie dzieje? - spytała lodowatym tonem.

Hannes wyciągał z portfela jeszcze coś, więc podeszła bliżej, by zerknąć.

Jak się okazało, nie był ani kierowcą rajdów o Grand Prix, ani zwycięzcą turniejów tenisowych, przynajmniej nic takiego nie wynikało z jego dokumentów.

Interpol! - pomyślała Kenzie i serce w niej zamarło. Dobre sobie - drugi gliniarz. Jakby jednego było mi mało, musiałam sobie znaleźć następnego!

- Cóż za zbieg okoliczności! - odezwał się Charley ze zdumieniem, ton jego głosu był teraz miły i sympatyczny. Wyłączył latarkę i oddał Hannesowi oba dokumenty. - Jestem Charles Ferraro.

Teraz z kolei Hannes osłupiał.

- Pan jest tym policjantem z nowojorskiej brygady do walki z kradzieżami dzieł sztuki? - spytał z niedowierzaniem. - Tym, z którym mam pracować przez najbliższy rok?

- Tak jest - odpowiedział Charley z uśmiechem i wyciągnął rękę.

Kenzie znalazła się niespodziewanie na marginesie i zacisnęła zęby zirytowana. Będąc wcześniej świadkiem ich utarczki, nie miała ochoty sterczeć tu teraz wyłącznie po to, by przekonać się, że została wyłączona z jedynej sprawy na świecie potężniejszej i nieskończenie bardziej ekskluzywnej niż męska przyjaźń: z policyjnej przyjaźni.

Wręczyła Hannesowi jego płaszcz przeciwdeszczowy, wyciągnęła klucze z torebki, otworzyła drzwi i wpadła do środka. Ze złością zatrzasnęła drzwi za sobą i ciężko zaczęła wchodzić po schodach. Przez chwilę zastanawiała się, czy któryś z tych dwóch zauważył jej odejście.

Nie, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Mogą się bawić we wszystkie męskie zabawy, w jakie tylko zechcą.

Jednak ona rano idzie do pracy. Musi się przespać!

21.

Następnego ranka przeważające wiatry zachodnie rozpędziły chmury i dziewięć po szóstej słońce weszło w całej krasie nad Manhattanem, kąpiąc w złocistych promieniach szklane zigguraty, mieszkalne kasztele i ażurowe mosty. Kałuże wyschły, powietrze było ostre, jesienne.

Budzik wyrwał Kenzie ze snu po pięciu godzinach od chwili, kiedy się położyła.

W drodze do pracy wstąpiła do baru na filiżankę kawy i bajgła. Za późno jednak przypomniała sobie, że nie ma przy sobie ani dziesiątaka dzięki Charleyowi, który zamówił wczoraj birmańskie potrawy i zostawił jej do zapłacenia rachunek. Przeklinając go pod nosem, popędziła do pracy, zmuszona do wypicia lury z ogólnodostępnego ekspresu.

Na szczęście zlitował się nad nią Arnold Li. Nalegał wprost, by pożyczła od niego czterdzieści dolarów do wypłaty. Kenzie podziękowała mu gorąco, ale przyjął jej słowa wzruszeniem ramion.

- Przynajmniej tyle mogę złościć - zaszczebiotał, naśladując mowę prostych Chińczyków. - Muszę się podlizywać nowej szefowej. Pławda, ploszę pani?

- Nie jestem nową szefową - oznajmiła Kenzie ponuro i podzieliła się z nim wiadomością o awansie Bambi Parker.

Jeśli spodziewała się oburzenia i wściekłości, to się zawiodła -kolega przyjął nowinę zdumiewająco spokojnie.

- Spójrz na to od jaśniejszej strony - powiedział z uśmiechem, wracając do idealnej angielszczyzny. - Przynajmniej jesteś zwolniona ze zobowiązania.

- Ze zobowiązania? Z jakiego zobowiązania?

- Poczekaj, to się przekonasz - radośnie wyjaśnił Arnold. - Ani się obejrzysz, kiedy się ugotuje. Daję jej maksimum pół roku. Wcześniej czy

później otrzymasz to stanowisko. A nim to nastąpi, ponieważ nie jesteś szefem, oszczędzisz sobie nerwów związanych z koniecznością wyrzucenia jej z roboty. Widzisz? Będziesz miała swoje ciasteczko i jednocześnie będziesz mogła je zjeść.

Kenzie wyskoczyła po kubeczek przyzwoitej kawy i bajgła, a po drodze zastanawiała się nad mądrymi słowami Arnolda.

Może ma rację, pomyślała. Chociaż z drugiej strony...

Kłopot z tym, że wszystko stało się wielką niewiadomą.

Przynajmniej na razie.

* * *

Bambi Parker pojawiła się w Burghleyu o wpół do jedenastej i pierwsze kroki skierowała do Klubu. Uciszyła wszystkie obecne i pochwaliła się awansem.

Rozległy się gratulacje.

Dwadzieścia minut później nowa kierowniczką udała się do zwolnionego przez pana Spottsza gabinetu.

O jedenastej Zachary Bavosa, prawnik z firmy Calvert, Barkhorn, Waldburger i Slocum, przybył w imieniu swego anonimowego klienta.

Za nim podążało dwóch uzbrojonych ochroniarzy; jeden z mężczyzn niósł płaską, przypominającą teczkę paczkę zawierającą drogocenne dzieło Holbeina.

Bambi przyjrzała się obrazowi. Mały, lecz wspaniały; przedstawiał dziewczynkę z kwiatami i spanielem. Co więcej, wyglądał na autentyczny - kwit sprzedaży z 1946 roku nie wzbudzał zastrzeżeń.

Czego więcej mogła chcieć?

Drugiej opinii.

Jednak nie zamierzała o nią poprosić ani Kenzie, ani Arnolda. Oni tylko marnują dni, nawet tygodnie, próbując znaleźć coś, dzięki czemu można zakwestionować autentyczność dzieła lub jego pochodzenie, pomyślała. Komu to potrzebne? Poza tym teraz ja tu rządzę. Ja decyduję!

I panna Parker natychmiast podjęła decyzję.

- Z przyjemnością zorganizujemy sprzedaż - z promiennym uśmiechem zapewniła prawnika i zadzwoniła do Działu Przyjęć.

Kilka minut później jedna z dziewczyn z Klubu przysłała, by zaprowadzić Zachary'ego Bavose i ochroniarzy z Holbeinem na dół, gdzie po wypełnieniu odpowiednich dokumentów obraz został zamknięty w jednym z magazynów.

* * *

Charley Ferraro dzwonił do Kenzie dwa razy i dwa razy odłożyła słuchawkę, nie chcąc z nim rozmawiać.

Zachowując cierpliwość, postanowił odczekać kilka dni, nim spróbuje ponownie. Był pewien, że z czasem Kenzie zmięknie.

W południe spotkał się z Hannesem Hockertem na lunchu w Wolensky's Grill, gdzie z równym zapałem zajadali się żeberkami i dyskutowali o międzynarodowym transporcie skradzionych dzieł sztuki, jak również narzekali na metody stosowane przez przemytników. Mimochodem Charley wspomniiał, że Kenzie pracuje u Burghleya.

Po lunchu Hannes postanowił do niej zadzwonić.

Jego telefon też został przyjęty chłodnym milczeniem.

Bez słowa odłożyła słuchawkę.

* * *

Sześć i pół tysiąca kilometrów od Nowego Jorku odrzutowiec Karla-Heinza wylądował na lotnisku w Monachium i został skierowany na odległy pas, gdzie już czekał helikopter. Na miejscu byli też celnicy i funkcjonariusze służby granicznej, którzy odstąpili od normalnej kontroli.

Dwadzieścia minut później helikopter wylądował na terenie ekskluzywnej prywatnej kliniki pośród malowniczych wzgórz Alp Bawarskich.

Dyrektor szpitala osobiście zaprowadził gościa na oddział intensywnej terapii. Karl-Heinz zastał swoją siostrę, księżniczkę Sofię, czuwającą przy łóżku nieprzytomnego ojca.

- Jak on się czuje? - spytał księżę, kiedy wszedł do sali i pochylił się, by pocałować ją w policzek.

Jego usta napotkały powietrze; Sofia zerwała się już z fotela i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Mogła stanowić studium gatunków chronionych i zagrożonych: lampart (kapelusz i futro), czarny aligator (wielka torba i buty), i kość słoniowa (naszyjnik, klipsy i bransoletka).

- Chyba najwyższa pora, żebyś się pojawił! - warknęła. - Jestem z nim od dwunastu godzin. Przypuszczam, że powinnam ci jeszcze podziękować za to, że przyszedłeś mnie zmienić?

Stukając obcasami pomaszerowała do drzwi, otworzyła je, a potem przystanąła i odwróciła się do brata.

- Witaj w domu! - powiedziała gorzko.

Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

Karl-Heinz czuł się całkowicie wyczerpany. Dwie minuty z siostrą równały się dożywotnim torturom. Nic dziwnego, że jej mąż opanował sztukę znikania w odpowiedniej chwili. Małżeństwo z Sofią to coś gorszego od śmierci.

Wolno, ciężko usiadł w fotelu i skupił uwagę na leżącej postaci.

Kto...?

Przez chwilę był zupełnie zdezorientowany; pomyślał, że znalazł się w niewłaściwym pokoju, co jeszcze pogłębiło jego przygnębienie. Gwałtownie zamrugał powiekami a potem pochylił się i jeszcze raz spojrzął na skurczone, nieruchome ciało podłączone do aparatury podtrzymującej funkcje życiowe.

Albo pomyliłem pokoje, albo ktoś popełnił okropny błąd - pomyślał... Bo jakie mogło być inne wytłumaczenie, skoro ta dziwna bezpłciowa istota o przezroczystej skórze nie mogła być przecież jego ojcem! Nie. To nie był ów pełen życia mężczyzna, który go spłodził. To nie może być on. Muszę wezwać lekarzy, powiedzieć im, że zaszła pomyłka...

Ale oczywiście nie było żadnej pomyłki. To on. Jego ojciec. Stary ksiądz. Może zaledwie jego cień, niemniej jednak on...

Karl-Heinz skrzyżował ręce na piersiach i zamknął oczy. Jak okrutne potrafi być życie! - pomyślał.

Mijały godziny. Od czasu do czasu pojawiali się i znikali lekarze i pielęgniarki, poruszając się bezszelestnie w butach na gumowych podszewkach. Sprawdzali rurki i monitory, przekładali bezwładne ciało chorego na drugi bok, żeby nie powstały odleżyny, konsultowali się szeptem, spoglądając na wykresy. Wydawało się, że od wczorajszego przyjęcia w Met minęły miliony lat świetlnych; wspomnienie o nim ograniczyło się tylko do jednej, odsuwającej inne na bok myśli: Gdyby tylko Zandra była tu razem ze mną...

* * *

Tymczasem ona, nieświadoma wyjazdu Karla-Heinza i kryzysu, który go spowodował, pojawiła się w Burghleyu punktualnie o dziesiątej rano. Godzinę zajęło załatwianie formalności i wypełnianie podania o zieloną kartę. Otrzymała zaliczkę w wysokości dwutygodniowej pensji, jak również kartę bankową do najbliższego oddziału Citibanku.

Potem Kenzie, ciesząc się, że może przez jakiś czas nie odbierać telefonów - właśnie drugi raz tego dnia odmówiła rozmowy z Charleyem i już raz odłożyła słuchawkę, kiedy zadzwonił Hannes - zaprowadziła Zandrę do ich pokoju, gdzie przedstawiła jej Arnolda Li.

Wstał grzecznie zza biurka.

- Dzień dobry - powiedział poważnie, uściśnął dziewczynie rękę i uklonił się nisko. - Płoszę do mnie mówić Arnold. Miło mi panią poznać.

Zandra zgłupiała na chwilę.

- Nie daj się nabrać na jego sztuczki - odezwała się Kenzie lekko zirytowana. - Mówi bezbłędnie po angielsku. Jeśli chcesz mojej rady, nie wahaj się ani chwili i jak tylko zaczniesz się wygłupiać, każ mu się zamknąć.

- Dobrze. - Zandra odwróciła się do Arnolda i powiedziała: - Zamknij się!

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem, co przypięczętowało ich przyjaźń.

Pierwszy dzień w Burghleyu minął Zandrze nie wiadomo kiedy. To było coś, o czym zawsze marzyła. Prawdziwa praca, którą może sama zarabiać na swoje utrzymanie, jednocześnie robiąc coś pożytecznego. Jednego była pewna: nic nie mogło się z tym równać.

I jak cudownie, że ta posada wiązała się z dziedziną tak jej znajomą - jakby całe życie, spędzone pośród arcydzieł w rozmaitych siedzibach krewnych było przygotowaniem właśnie do obecnego zajęcia

Wszelkie wątpliwości, co do tego, czy się nadaje do Burghley, rozwiały się jeszcze pierwszego dnia. W końcu znalazła własne miejsce w świecie ludzi pracy! Jakże znajoma była ta jedyna w swoim rodzaju atmosfera bogactwa i dobrych manier! A zarazem jak cudownie swobodna i niewymuszona, szczególnie jeśli porównać ją z owym sztywnym kręgiem, jaki zostawiła za sobą. Zandra czuła się niczym ptak wypuszczony z klatki.

Podobało jej się tutaj, a nawet więcej - była zachwycona. Prawdę mówiąc, nie wyobrażała Sobie teraz, że mogłaby pracować gdziekolwiek indziej. Nawet najbardziej przyziemne obowiązki wydawały jej się podniecające z racji swej nowości.

Kenzie i Arnold przedstawili ją innym pracownikom i wyjaśnili zasady funkcjonowania Działu Dawnych Mistrzów. Dali jej stos katalogów z poprzednich aukcji i wykazy sprzedaży, żeby mogła porównać ceny szacowane z faktycznie uzyskiwanymi. W końcu zabrali ją na dół, do przestronnych, klimatyzowanych, podziemnych magazynów, by mogła obejrzeć trzysta dwanaście eksponatów przygotowanych na następną aukcję dzieł dawnych mistrzów.

I właśnie tam, otoczona przez onieśmielającą obfitość obrazów, Zandra zadziwiła Kenzie i Arnolda - a najbardziej samą siebie - wiedzą, o jaką nawet by się nie podejrzewała.

- O, rany, Oudry! Był bardzo dobry w tych małych, słodkich zwierzątkach, prawda?

- Zdecydowanie szkoła francuska. Osiemnasty wiek. Świadczy o tym suknia kobiety. Powiedziałabym, że modelka była niewątpliwie Angielką.

- Ojej dlaczego go odrestaurowali? Jest teraz znacznie mniej atrakcyjny, nie uważacie?

- Jaka wspinała martwa natura. Cristofaro Munari, o ile mnie oczy nie mylą... powinien przynieść majątek.

- Mój Boże! A jak to się tutaj dostało? Obawiam się, że mamy do czynienia z podróbką. Najlepiej dokładnie sprawdzić pochodzenie. Ktoś musiał to wysmażyć.

Nagle zauważyła, że Arnold i Kenzie gapią się na nią z otwartymi ustami.

- Och, przepraszam! Musiałam chyba zwariować. Nie chciałam być zarozumiała ani nie zamierzałam się popisywać, skądże znowu. Rzecz w tym, że wszyscy moi ponurzy krewni mają tak ogromne zbiory...

- Nie o to chodzi - wyjaśnił łagodnie Arnold. - Rzecz w tym, że po Bambi Parker nie spodziewaliśmy się kogoś z takim entuzjazmem, nie mówiąc już o twoim zasobie wiedzy.

Był tak miły, że zupełnie oczarował Zandrę. Zarumieniła się lekko.

- Bambi Parker? - Zmarszczyła czoło. - Czy powinnam ją znać?

- Jeszcze poznasz - zapewniła ją cierpko Kenzie. - Nie ma obawy. Boże! Nie wiem, jak mogliśmy przeoczyć ten obraz - zaniepokoiła się. - Ale teraz, kiedy zwróciłaś na niego uwagę...

- Nie martw się, skarbie - powiedziała Zandra. - Zajmę się nim w pierwszej kolejności. Aha, w jakiej gazecie jest najwięcej ogłoszeń o wynajmie lokali?

- Chodzi ci o mieszkania?

Zandra skinęła głową.

- Tak. Będę musiała coś znaleźć.

- No cóż, jeśli nie jesteś bardzo bogata, powodzenia - oświadczyła Kenzie. - Praca tutaj poza prestiżem nie pozwala na kupowanie szampa i kawioru. Już przedźej ryżu i fasoli - dodała cierpko.

- Co więc proponujesz? Muszę znaleźć sobie jakiś dach nad głową.

- Jakie masz wymagania?

- Przy moich środkach? Pokój z dostępem do kuchni i łazienki zupełnie mi wystarczy. O ile będzie tani.
 - Cóż... szukam współlokatorki - powiedziała wolno Kenzie.
 - Cudownie!
 - Nie tak szybko. Zanim się zdecydujesz, proponuję, żebyś obejrzała mieszkanie.
 - Czy mogę to zrobić po pracy?
 - Możesz. Tylko muszę cię ostrzec, bardzo się rozczarujesz.
- Zandra się uśmiechnęła.
- Nie wiem dlaczego, ale ci nie wierzę.

W południe Zandra pobiegła do Citibanku, gdzie zrealizowała czek na zaliczkę i otworzyła rachunek. Na obiad zadowolili się kanapką, kupioną w delikatesach i zjedzoną w biegu. Całe popołudnie spędziła na badaniu podejrzanego obrazu i sprawdzaniu jego pochodzenia oraz zmuśnym śledzeniu, jak w przeszłości zmieniali właściciele. Uznała to za wspaniałe zajęcie, bardziej przypominające zabawę w detektywa niż prawdziwą pracę.

Późnym popołudniem poszła z Kenzie, by obejrzeć mieszkanie.

- Obawiam się, że jesteś przyzwyczajona do czegoś znacznie lepszego - mruknęła nowa przyjaciółka, kiedy otwierała ostatni z pięciu zamków. Zapadka szczęknęła, Kenzie pchnęła drzwi i włączyła światło. - Ty pierwsza.

Zandra znalazła się w środku i rozejrzała dokoła.

- Kenzie! To super! Takie wytworne, a zarazem niemal angielskie, jeśli chodzi o wygodę. Rety, jak tego dokonałaś?

Kenzie przechodziła z pomieszczenia do pomieszczenia, włączała światło i informowała Zandrę:

- ...Oto przestarzała kuchnia z podstawowym wyposażeniem... lata dwudzieste... łazienka... moja sypialnia...

Zandra zajrzała do środka.

- Och, jest naprawdę urocza. I tak cudownie przytulna. Ubóstwiam przytulne pokoje. Są takie miłe.

- Chciałaś powiedzieć: małe. - Kenzie uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - Cóż mogę powiedzieć? Cena jest odpowiednia. - Otworzyła drzwi po drugiej stronie korytarza i odsunęła się na bok. - A to - powiedziała - jest druga sypialnia. Byłaby twoja. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza, że jest umeblowana.

Zandra weszła do środka i rozejrzała się uważnie. Pomyślała, że to z całą pewnością najbardziej uroczy eklektyczny pokój, jaki kiedykolwiek widziała.

- Wszystkie te rzeczy to niedocenione obiekty, wystawiane na licytacjach i kupione za grosze - wyjaśniła ich właścicielka, uśmiechając się nieśmiało. - Jak widzisz, nie przepuszczę żadnej okazji.

- Och, ależ to absolutnie cudowne. Biorę to! Rety, znów zachowuję się okropnie arogancko... Powinam powiedzieć, że jestem zdecydowana, jeśli ty się zgadzasz.

- Czy się zgadzam? - Kenzie sprawiała wrażenie zaskoczonej. - Oczywiście, że się zgadzam! - zawróciła z entuzjazmem. - Dlaczego miałabym się nie zgodzić?

CEL:

OPERACJA BURGHELEY

Wstępne odliczanie

Nie była to nazwa miejscowości; w promieniu wielu kilometrów zwyczajnie nie było tu nic.

Stara stacja benzynowa Texaco na tym odludnym, górskim odcinku szosy numer 95, w połowie drogi między Las Vegas i Reno, już blisko od dziesięciu lat stała nieczynna.

Ale dziś w nocy dwa różne pojazdy, z których każdy przyjechał osobno, zatrzymały się na zarośniętej wysepce, gdzie niegdyś dumnie królowały dystrybutory. Po wyłączeniu reflektorów auta podjechały ukradkiem na tyły stacji, by się ukryć przed wzrokiem wszelkich zmotoryzowanych, którzy mogli by akurat tędy przejeżdżać.

Jeep cherokee przyjechał z Las Vegas.

Furgonetka z napędem na cztery koła przybyła z Reno.

Tutaj, pośrodku pustkowia, zaparkowały obok siebie, ale zwrócone w przeciwne strony, tak że kierowcy musieli jedynie opuścić szyby rękami w rękawiczkach.

Żadnemu nikt nie towarzyszył. I obaj przypominali ludzi tylko z sylwetek. W kapturach i kombinezonach, z twarzami ukrytymi za wypukłymi, czarnymi soczewkami a elektronicznymi urządzeniami do zniekształcania głosu przy ustach wyglądali jak kosmici na popołudniowych seansach filmowych w soboty, ale niebezpieczni jak diabli.

Pierwszy przemówił mężczyzna z jeepa.

- Co masz do zameldowania? - Jego zniekształcony, monotony głos dźwięczał metalicznie jak u robota.

- Jeśli chodzi o tych dziesięciu fachowców, których sobie zażyczyłeś - rozległa się równie zniekształcona odpowiedź - skontaktowano się ze wszystkimi. Pięciu już się znajduje w bezpiecznym miejscu, łącznie z

pierwszym z czterech siedzących w więzieniach. Wyciągnęliśmy go w zeszłym tygodniu.

- Ucieczka helikopterem z meksykańskiego więzienia?

- Tak jest. Ortez. Tego samego dnia przerzuciliśmy go przez granicę do Teksasu. - Rozległ się śmiech przypominający zgrzyt zardzewiałego metalu. - A ci cholerni głupcy wciąż wywracają Meksyk do góry nogami, szukając uciekiniera!

- A pozostałych trzech?

- Pracujemy nad tym. Dwóch z Kolumbii i z Turcji - już możemy uważać za naszych. Ale znawca materiałów wybuchowych z IRA to co innego. Tamto brytyjskie więzienie przypomina twierdzę. Rozumiem, że nadal nie ma harmonogramu?

- Jeszcze nie, ale zostanie przedstawiony, jak tylko nasz przyjaciel z Anglii będzie wolny. Cały plan opiera się na nim.

- Czy nie może tego zrobić nikt inny?

- Nie! - Mężczyzna z jeepa zdecydowanie pokręcił głową.

Ludzi znających się na materiałach wybuchowych było na pęczki, ale on mógł zaufać tylko temu Irlandczykowi i zlecić mu tę robotę. Donough Kildare osiągnął mistrzostwo w swym fachu i potrafił wysadzać w powietrze całe domy, używając zwykłych, powszechnie dostępnych materiałów. Miały to być środki tak niewinne, żeby nie zauważyły ich nawet najbardziej podejrzliwe i doświadczone ekipy specjalistów badających przyczyny pożarów.

Wypadek! - poinstruuje Irlandczyka. To musi wyglądać na wypadek! Do takiego wniosku mają dojść eksperci, analitycy i inspektorzy badający rumowisko. Przypadkowa śmierć...

Fatalny zbieg okoliczności! To konieczne, bo wybuch był podstawą - fundamentem - całej operacji. Musi dojść do „wypadku”, by można było rozpocząć akcję.

Jedna jedyna okazja - to wszystko, co będzie miał Irlandczyk, w przeciwnym razie na nic zdałby się ów cały, wymyślny plan i trzeba by zrezygnować z operacji.

- To musi być Kildare! - powtórzył opryskliwie kierowca jeepa. - Nikt inny! Musisz go wyciągnąć!

Drugi przybysz skinął głową.

- A cel?

- Lepiej tego nie wiedzieć! - zabrzmiała odpowiedź. - Wcześniejsza znajomość celu oznacza automatycznie wyrok śmierci!

Świszczący oddech, wzmocniony przez aparat, miał zaakcentować ostrzeżenie.

- A Irlandczyk? - spytał kierowca furgonetki. - Będzie znał tę informację. Co się z nim stanie, kiedy zrobi swoje?

- A jak myślisz? Umarli milczą.

Mężczyzna z furgonetki skinął głową z aprobatą.

- A przeznaczone dla niego dziesięć milionów? Co się stanie z forszą?

- To mała premia, którą podzielimy między siebie. Ale pamiętaj, musisz dostarczyć towar! Irlandczyk jest nieodzowny! Jeśli go nie wyciągniesz z więzienia, cała akcja zostanie odwołana. - Nastąpiła chwila ciszy. - Jasne?

- Tak jest.

- To dobrze. Czyli jesteśmy zgodni. Jeśli nie masz nic więcej, możemy się rozstać. Będę się kontaktował tak, jak zawsze.

Traktując to jako swoją odpowiedź, kierowca furgonetki uruchomił silnik i wrzucił bieg. Wolno, z wyłączonymi reflektorami, wyjechał zza stacji benzynowej. Spojrzał w prawo, potem w lewo.

Szosa numer 95 była pusta.

Skręcił kierownicą maksymalnie w prawo i nacisnął pedał gazu. Dopiero kiedy furgonetka znalazła się na asfalcie, włączył światła. Potem, goniąc blask bijący od reflektorów, słuchał Tammy Wynette, wiernej swemu mężczyźnie pędzącemu nocą na północ.

Na północ, z powrotem do Reno. Z powrotem do „największego małego miasteczka na świecie”.

Kierowca jeepa odczekał kilka minut, nim uruchomił silnik. Opuściwszy ciemne żaluzje, wykorzystał noktowizor i napęd na cztery koła, by wyjechać zza budynku starej stacji Texaco. Zatrzymał się, rozejrzał i nasłuchiwał przez chwilę.

Daleko na południu dostrzegł światła samochodu jadącego na północ; poczekał cierpliwie, aż wóz minął go z pełną prędkością, potem skręcił ostro w lewo, włączył halogeny i wcisnął gaz do dechy.

Jeep połykał kilometry w drodze na południe.

Na południe, z powrotem do Las Vegas. Z powrotem do tej krzykliwej, wymalowanej neonami dziwki pośrodku pustyni Mojave.

Dwieście pięćdziesiąt kilometrów i będzie na miejscu.

CZEŚĆ DRUGA

PODCHODY

KONTROWERSJE DOTYCZĄCE PLANOWANEJ
SPRZEDAŻY HOLBEINA
SPECJALNIE DLA NOWOJORSKIEGO *TIMESA*

NOWY JORK, 9 STYCZNIA (AP). - W CZORAJ DOM AUKCYJNY BURGHLEY POTWIERDZIŁ, ŻE NIE ZREZYGNUJE Z WYSTAWIENIA NA LICYTACJI W TYM MIESIĄCU OBRAZU, KTÓREGO POCHODZENIE BUDZI POWAŻNE ZASTRZEŻENIA MARSZANDÓW I EKSPERTÓW DOMÓW AUKCYJNYCH PO OBU STRONACH ATLANTYKU.

DZIEŁO AUTORSTWA HANSA HOLBEINA MŁODSZEGO, ZATYTUŁOWANE *DZIEWCZYŃKA Z KWIATAMI I SPANIELEM*, PORTRET O ROZMIARACH 46 CM NA 32 CM, NAMALOWANY ZOSTAŁ PODCZAS DRUGIEGO POBYTU ARTYSTY W ANGLII, PO 1532 ROKU.

CHOCIAŻ WIELU EKSPERTÓW UTRZYMUJE, ŻE DZIEŁO SKRADZIONO Z ZAMKU W POBLIŻU DARMSTADT PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ, BURGHLEY ZAPEWNIŁ, ŻE POSIADA NIEZBITE DOWODY, IŻ PORTRET ZOSTAŁ SPRZEDANY AMERYKAŃSKIEMU WOJSKOWEMU, KTÓRY ZMARŁ, A JEGO SPADKOBIERCY POSTANOWILI WYSTAWIĆ OBRAZ NA SPRZEDAŻ.

ALLISON STEELE, ODPOWIADAJĄCA ZA DZIAŁALNOŚĆ FIRMY W AMERYCE PÓŁNOCNEJ, OŚWIADCZYŁA, ŻE ZGODNIE Z PRAWEM TO SPRZEDAJĄCY, A NIE DOM AUKCYJNY, DAJE PORĘKĘ, ŻE POSIADA TYTUŁ WŁASNOŚCI DO DZIEŁA SZTUKI. SHELDON D. FAIREY, PRZEWODNICZĄCY RADY NADZORCZEJ, PREZES I GŁÓWNY AUKCJONER, BYŁ W CZORAJ W DELEGACJI I NIE MOGLIŚMY UZYSKAĆ JEGO OPINII...

Nowy Jork, 4 stycznia

- Do jasnej cholery! Ktoś z tutaj obecnych musi ponieść odpowiedzialność za to, co się stało!

Rozsierdzony głos, grzmiący w sali konferencyjnej, przeniknął niczym ostrzeżenie przez zamknięte drzwi. Kenzie, trzymając jedną rękę na klamce, zaczerpnęła głęboko powietrza, by dodać sobie odwagi. Potem, żałując, że nie jest niewidzialna, nacisnęła klamkę i wślizgnęła się do środka.

Mahoniowe żaluzje były ustawione tak, by nie wpuszczać do sali promieni zimowego słońca. Postać Sheldona D. Faireya, siedzącego u szczytu długiego stołu, rysowała się ostro na tle poziomych, jasnych paszków.

- Jak, do diabła, mogło bez mojej wiedzy dojść do czegoś tak nieprawdopodobnego...

Kenzie bezgłośnie zamknęła drzwi i zaczęła na paluszkach iść w kierunku najdalszego końca stołu konferencyjnego, przy którym siedział pan Fairey i garstka jego słuchaczy.

- ...ale stało się i teraz grożą nam nie tylko poważne konsekwencje prawne i zła prasa, lecz także doprowadziliśmy do kryzysu dyplomatycznego między Stanami Zjednoczonymi i Niemcami! Uważam, że taka sytuacja jest nie do przyjęcia.

Jego słuchacze aż się skulili, ale niemożliwością było stwierdzić, czy Fairey to dostrzegł. Bo jak bestia, która poczuła zapach nowej ofiary, wolno obrócił się na swym ergonomicznym fotelu, z którego, dzięki Dinie Goldsmith, był teraz zmuszony przewodniczyć naradom, i zmierzył Kenzie lodowatym wzrokiem.

- O, marnotrawna pani Turner, o ile mnie oczy nie mylą.

Kenzie znieruchomiała. Wyglądała groteskowo z jedną nogą uniesioną w powietrzu.

- Jak miło, że zaszczyliła nas pani swoją obecnością - zauważył z ironią. - Mam nadzieję, że nie sprawiłem pani kłopotu, zwołując to spotkanie?

Kenzie lekko się zarumieniła.

- Nie, proszę pana. Przepraszam za spóźnienie.

Czekał, ale fakt, że nie próbowała się tłumaczyć, uspokoił go.

- Proszę usiąść, pani Turner.

- Tak jest, proszę pana.

Kenzie postawiła nogę na podłodze, szybko pokonała kilka metrów, dzielących ją od stołu, odsunęła puste krzesło obok Zandry i pospiesznie usiadła. Wystarczyło jedno spojrzenie, by potwierdziły się jej najgorsze obawy.

Nie ulegało wątpliwości, że to spotkanie na szczycie. Obecni byli wszyscy najważniejsi: Allison Steele, główny dyrektor zarządzający Burghleya; David W. Bunker junior, wiceprezes; Ileana K. Ochsenberg, starszy radca prawny; Eunice Ffolkes, rzecznik prasowy; Fred Cummings, główny księgowy - plus pracownicy Działu Dawnych Mistrzów - Bambi Parker, Arnold Li, Zandra, a teraz jeszcze Kenzie.

Sheldon D. Fairey patrzył na nią przez stół.

- Pani Turner, jak już powiedziałem pani kolegom, miałem telefon od sekretarza stanu. Czy przypadkiem domyśla się pani, czego dotyczyła rozmowa?

- Tak, proszę pana. Z pewnością Holbeina.

- Bardzo dobrze. - Fairey uśmiechnął się lekko, a raczej wyszczerzył nieco zęby. - Poinformowano mnie - ciągnął z westchnieniem - że ambasador Niemiec przedstawił oficjalny protest w związku ze sprzedażą skradzionego skarbu kultury narodowej. A także, że Niemiecki Instytut Kultury złożył w Prokuraturze Generalnej we Frankfurcie wniosek o wszczęcie śledztwa w sprawie kradzieży, dokonanej przez nieznaną sprawców.

- O, rany! - Kenzie aż się skrzywiła.

- Rzeczywiście „o, rany”! - Położywszy wypiełgnowane dłonie na stole, pan Fairey zaczął się wpatrywać w palce. - Proszę mi coś powiedzieć, pani Turner. Jest pani jedną z młodych zdolnych protegowanych pana Spotts'a. - Uniósł głowę i spojrzał na nią. - Czy byłaby pani tak dobra i powiedziała nam, jakie widzi pani wyjście z tej wysoce niezręcznej sytuacji?

Kenzie się nie wahała.

- No cóż, to dość proste - oświadczyła. - Właściwie nie mamy specjalnego wyboru, prawda? Chodzi mi o to, że ów obraz przede wszystkim

nigdy nie powinien być zostać przyjęty w komis. Pragnę przypomnieć, że w listopadzie sporządziłam notatkę, w której szczegółowo przedstawiłam zastrzeżenia dotyczące pochodzenia dzieła i proponowałam, żebyśmy albo nie wystawiali go na licytacji, albo przynajmniej wstrzymali się z sprzedażą do czasu wyjaśnienia wszelkich wątpliwości. Notatkę podpisali zarówno pan Li, jak i pani von Hohenburg-Willemlöhe.

- Tak, tak, tak - powiedział rozdrażniony pan Fairey. - Ale od tego czasu upłynęło już dużo wody. Interesuje mnie, jakie kroki przedsięwzięłaby pani teraz?

- Moim zdaniem, stoimy w obliczu dwóch faktów dokonanych. Po pierwsze, przyjęliśmy obraz w komis. Po drugie, umieściliśmy go na okładce. - Kenzie wzięła leżący przed nią egzemplarz katalogu i podniosła go w górę. - Nie uciekniemy przed tym. Zło już się stało. - Rzuciła katalog na stół. - Według mnie w najlepszym razie możemy spróbować zminimalizować szkody.

- Wycofując obraz z aukcji, tak?

- Tak, proszę pana. I nadając rozgłos temu, że zamierzamy kontynuować badanie jego pochodzenia. Obawiam się, że w przeciwnym razie... cóż, mówiąc brutalnie, narazimy się na podejrzenia, iż zajmujemy się paserstwem.

Fairey skrzywił się, słysząc trzy ostatnie słowa.

- A więc? - spytał, spoglądając po obecnych. - Czy ktoś chce coś dorzucić do opinii pani Turner?

- Tak - powiedziała Allison Steele. - Pani Turner, czy nie można wykluczyć, że pani ocena sytuacji jest zbyt pochopna i wywołana strachem?

Kenzie pokręciła głową.

- Wprost przeciwnie, pani Steele. W tym konkretnym przypadku uważam, że pośpiech jest jak najbardziej wskazany. A jeśli chodzi o strach, cóż, nie ja zwołałam to nadzwyczajne spotkanie.

Nie ulegało to wątpliwości i w sali zaległo niezręczne milczenie.

- Nieźle się przejeździemy na tym obrazie - odezwał się Fred Cummings, księgowy. - Po pierwsze i najważniejsze, został wstępnie oceniony na dwadzieścia pięć milionów dolarów. Jeśli wycofamy go z aukcji, stracimy dwa i pół miliona prowizji kupującego i takiej samej wysokości prowizję sprzedającego. - Postukał końcem ołówka w notes. - To oznacza stratę pięciu milionów dolarów. Więcej, jeśli obraz uzyskałby na licytacji wyższą cenę.

- Z całym należyтым szacunkiem, panie Cummings - zaproponowała Kenzie - muszę się sprzeciwić.

- Ach, tak?

- Tak - powiedziała, wcale niezbita z tropu. - W swoich kalkulacjach opiera się pan na założeniu, że obraz osiągnie cenę wywoławczą i zostanie sprzedany. Jednak wszyscy wiemy, że na każdej aukcji są eksponaty, nawet cenne obiekty, które nie znajdują nabywcy. Innymi słowy, nie mówimy o wróblu w garści, lecz o gołębiu na dachu. Według moich ocen Burghley nic nie straci, jeśli wycofa Holbeina, z tej prostej przyczyny, że przecież nie mamy żadnej gwarancji, iż go sprzedamy.

- Racja - zgodził się Cummings. Odłożył ołówek, z pedanterią poprawił go, by leżał równolegle do krawędzi notesu, i zmarszczył czoło. - Ale musimy również pamiętać, że Holbein jest gwiazdą tej aukcji. Jeśli go wycofamy, wielu ważnych nabywców się nie pojawi.

- Owszem - zgodziła się Kenzie. - Uważam jednak, że to ryzyko musimy podjąć.

- Nawet jeśli to oznacza spadek wstępnego szacunku wartości sprzedaży ze stu dwudziestu milionów do dziewięćdziesięciu pięciu?

- Tak.

- Pani Turner - odezwał się pulchnutki David Bunker, wiceprezes - czy słusznie rozumiuję, że bez Holbeina oraz w razie gdy inne eksponaty uzyskają niższe ceny od szacowanych, a niektóre nie znajdą nabywców, rzeczywista wartość sprzedaży może być znacznie niższa od zakładanych dziewięćdziesięciu pięciu milionów?

Zaczynała się czuć jak świadek poddawany przesłuchaniu.

- Tak, proszę pana. Może się tak zdarzyć.

- I godzi się pani z tym, że w porównaniu z domami aukcyjnymi Christie's i Sotheby's, ogólna wartość sprzedanych przez nas dzieł dawnych mistrzów w tym sezonie może się... okazać drastycznie mała?

- Owszem.

- Uczalowcy nie będą z tego zadowoleni - zauważył kwaśno.

- Spodziewam się, że nie - zgodziła się Kenzie.

Zabrzmiało to jak wyrok. W ciszy, która teraz zapanowała, słychać było tylko złowieszcze tykanie holenderskiego zegara szafkowego wiszącego między oknami. Potem, jakby ktoś wolno podkręcał gałkę, przez okna z podwójnymi szybami zaczęły dobiegać zgrzytliwe odgłosy miasta: klaksony wiecznie stojących w korkach pojazdów, wycie syren, piskliwe zawodzenie alarmu samochodowego, ryk odrzutowca, przecinającego niebo.

W końcu Sheldon D. Fairey odchrząknął i zgiełk miasta znów ucichł.

- David poruszył ważną kwestię - powiedział. - Pani Turner, czy by-
łaby pani łaskawa poradzić nam, co należałoby powiedzieć niezadowolonym udziałowcom?

Kenzie spojrzała mu prosto w oczy.

- Może prawdę? - odparła bez ogródek.

- Prawdę! - W głosie dyrektora słychać było niedowierzenie; Fairey wykrzywił usta w wymuszonym, nieprzyjemnym uśmiechu, patrząc na nią z wyraźną przyganą. - Pani Turner, z pewnością nie może pani być aż tak naiwna! Bo nie przypuszczam, by udziałowcom nagle bardziej zaczęło zależeć na „prawdzie” niż na wysokości kwartalnych dywidend!

- To wcale niewykluczone - oświadczyła Kenzie - jeśli ktoś równocześnie im wyjaśni, że wyjście z tego kryzysu z nieskalaną reputacją bezpośrednio wpłynie na ich zyski!

Na jej twarzy malowały się upór i zaciętrzewienie.

- Proszę mówić dalej - mruknął prezes, uderzając palcami w usta.

Kenzie przesunęła ręką po włosach.

- Mój Boże! Proszę państwa, proszę się tylko nad tym zastanowić! - zawołała. Odsunęła krzesło i wstała. - Cóż znaczy strata finansowa na jednym eksponacie w porównaniu z najcenniejszym skarbem Burghleya, jego reputacją? Musimy chronić za wszelką cenę, nie zważając na nic, te blisko trzy stulecia niezachwianego zaufania klientów!

Dla podkreślenia wagi własnych słów uderzyła pięścią w stół. Nagle, uświadomiwszy sobie, jak bardzo dała się ponieść emocjom, zarumieniła się i szybko usiadła.

- Przepraszam - bąknęła.

- Jeszcze trochę, pani Turner, a uwierzyłbym, że zdolna jest pani skłonić mnie do wystawienia na aukcji Mostu Brooklyńskiego!

W głosie pana Faireya nic słychać już było złości, a zmiana jego nastroju zdawała się łagodzić ostre, zimne światło, odbijane przez lśniąca jak lustro politurę na blacie stołu.

- Może powinna pani zamiast mnie poprowadzić następne zebranie udziałowców?

- Dziękuję, wolę nie, proszę pana - mruknęła.

Pan Fairey pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Nie mogę powiedzieć, bym się pani dziwił - stwierdził. - Tak czy inaczej, pani namiętny apel został zauważony. Najważniejszą sprawą powinno być dla nas zachowanie nieskazitelnej reputacji Burghleya.

No więc - spojrzał na pozostałych. - Czy ktoś ma coś do dodania? Eunice?

- Jeśli chodzi o wizerunek naszej firmy w mediach, muszę się zgodzić z panią Turner - powiedziała pani rzecznik. - Wycofanie Holbeina z aukcji z całą pewnością leży w naszym najlepiej pojętym interesie.

Fairey spojrzął na Ileanę Ochsenberg.

- A z punktu widzenia prawa? Przypuśćmy, że zrezygnujemy ze sprzedaży obrazu, a dalsze dochodzenia ujawnią, iż został zagrabiony. Czy możemy w jakikolwiek sposób zostać pociągnięci do odpowiedzialności za obrót skradzionymi towarami?

- Nie. - Ileana pokręciła głową. - Jak pan wie, zgodnie z prawem to sprzedający, a nie jego agent, gwarantuje, iż jest prawowitym właścicielem dzieła. Wobec tego w normalnych okolicznościach sprzedawca byłby pociągnięty do odpowiedzialności. Jednakże w tym przypadku obraz został odziedziczony, a ponieważ pierwotny właściciel nie żyje, nie ma winowajcy, którego można by skazać. Spadkobierca nie może być o nic oskarżony.

- Dobrze, dobrze. - Dyrektor Fairey skinął swoją wspaniałą, siwą głową. - Czyli nie można się do nas przyczepić. - Milczał przez chwilę, potem odchylił się na swym fotelu i zmarszczył czoło. - Pozostaje więc jeszcze jedna sprawa: nasze moralne zobowiązanie wobec klienta. - Zasznurował usta. - Ostatecznie to jeden z pracowników Burghley przyjął obraz w komis.

- I? - Ileana spojrzała na niego pytająco.

- Zastanawiam się, czy wycofanie obrazu z aukcji nie zostanie odebrane jako opuszczenie naszego klienta w celu ratowania własnej skóry?

- Moim zdaniem nie powinno - odpowiedziała Ileana. - Przyjęliśmy obraz w dobrej wierze i mieliśmy wszelkie podstawy sądzić, że nasz klient ma do niego pełne i niekwestionowane prawo własności. Nie nasza wina, że okazało się inaczej. Zresztą nie pierwszy to taki przypadek w historii.

- I na pewno nie ostatni - dodał ponuro wiceprezes David Bunker. - Ale przynajmniej nie jesteśmy odosobnieni.

- Z całą pewnością nie. - Ileana poprawiła okulary na nosie. - Są niezliczone precedensy... chociażby ów Joachim Wtewael, którego Sotheby musiał wycofać z aukcji w Londynie... i trwający nadal spór o srebra Sevso, do których pretensje roszczą sobie zarówno była Jugosławia, jak i Węgry.

- Żeby nie wspominać o naszych kłopotach z Kalimnosem Kourosem w 1982 roku - mruknął Fairey.

Ileana się uśmiechnęła.

- Specjalnie to pominęłam - wyznała. - Ale wracając do sprawy. Pierwsze podejrzenia, że Holbein mógł zostać nabyty nielegalnie, zrodziły się w wyniku dociekań pani von Hohenburg-Willemlöhe. Wtedy też natychmiast skontaktowaliśmy się z przedstawicielem prawnym naszego klienta informując go, że nie możemy wystawić obrazu na aukcji, póki cała ta sprawa nie zostanie wyjaśniona przez odpowiedni urząd niemiecki.

- I tak się stało - mruknął Fairey. - Dopiero teraz zaczęli mieć wątpliwości.

- Niestety tak - powiedziała Ileana. - Ale mamy kopie całej korespondencji, z której wynika, że niczego nie można nam zarzucić.

- Nie zapominajmy również - wtrącił David Bunker - że to my, w imieniu naszego klienta, pierwsi skontaktowaliśmy się w tej sprawie z Instytutem Kultury. To my zwróciliśmy im uwagę na Holbeina, a nie vice versa!

Ileana skinęła głową.

- Oczywiście, to rutynowe postępowanie w takich przypadkach. Daje to pierwszemu właścicielowi możliwość zakupu dzieła po specjalnej cenie, zanim trafi ono na aukcję. Jednak otrzymaliśmy z Instytutu Kultury odpowiedź, że muzeum nie stać na kupno obrazu i że możemy wystawić dzieło na licytację.

- Głośne ostatnie słowa - burknął Fairey.

- Rzeczywiście. Ale spójrzmy na to od jaśniejszej strony - ciągnęła Ileana. - Pomijając to, jak nieprofesjonalnie na samym początku postąpiliśmy, przyjmując obraz w komis, nasze późniejsze działania w tej sprawie są bez zarzutu... a to obejmuje wszelkie i wszystkie kwestie prawne i etyczne, jakie mogą powstać.

- Jest pani pewna? - zapytał ostro Fairey.

- Absolutnie. - Ileana z mocą skinęła głową.

- Mimo wszystko przyjęcie tego obrazu w komis oznaczało wkroczenie na bardzo cienki lód - stwierdził. - Przy panu Spottsie nigdy by nie doszło do takiej sytuacji.

Nikt nic nie odpowiedział. Dyrektor uniósł głowę i oświadczył apodyktycznie:

- Aby w przyszłości uniknąć takich wpadek, zalecam aż do odwołania, że wszystkie dzieła, przyjmowane na aukcję przez Dział Dawnych Mistrzów, muszą być zaakceptowane przez komisję. A dokładnie mówiąc - troje z czterech pracowników działu musi zaakceptować przyjęcie każdego dzieła sztuki o wartości wyższej niż sto tysięcy dolarów. - Spojrzał

na Kenzie, potem na Zandrę, Arnolda i Bambi; na tę ostatnią oskarżycielsko. - Czy wyrażam się jasno?

Wszyscy skinęli głowami i mruknęli, że całkowicie jasno.

- Dobrze. - Rozsiadł się wygodniej. - W takim razie chciałbym skorzystać z tej okazji i podziękować pani Turner, pani von Hohenburg-Willemlöhe i panu Li za dobrą robotę.

Kenzie musiała przyznać, że swym rozwiązaniem Fairey genialnie ograniczył władzę Bambi. Gdyby się upierał przy jednomyślnej ocenie, kierowniczka mogłaby sabotować każdą ich decyzję.

Ale gdy wystarczą trzy głosy z czterech, jest to niemożliwe, pomyślała. Arnold, Zandra i ja zawsze możemy Bambi przegłosować. Panna Parker pozostała kierownikiem działu, ale pozbawiono ją głosu decydującego.

Dyrektor przybrał oficjalny ton.

- Uważam, że pora, byśmy przegłosowali sprawę Holbeina - oświadczył. - Proszę, by Dział Dawnych Mistrzów wstrzymał się od udziału. Proszę, by ci, którzy są za wycofaniem obrazu z aukcji, podnieśli rękę w górę - powiedział i sam uniósł dłoń.

Kenzie dyskretnie spojrzała na obecnych; wszyscy po kolei też podnieśli rękę.

- Czyli jesteśmy jednomyślni. Obraz zostanie wycofany i nagłośnimy sprawę dogłębnego sprawdzania jego pochodzenia. Eunice, przygotuj oświadczenie dla Allison, dobrze? Ale chcę się z nim zapoznać razem z Ileaną przed zwołaniem konferencji prasowej.

- Dobrze - odpowiedziała Eunice Ffolkes.

Pan Fairey spojrział na obecnych.

- Jeszcze jakieś pytania? - spytał.

Nie było żadnych.

- W takim razie - powiedział tonem prezesa wszechświata - ogłaszam spotkanie za zakończone.

Zaszurały odsuwane krzesła i wszyscy zaczęli cicho wychodzić z sali. Bambi, przepychając się przed Kenzie, rzuciła jej jadowite spojrzenie.

Kenzie była już prawie za drzwiami, kiedy zatrzymał ją głos Sheldona D. Faireya.

- Pani Turner! - zawołał.

- Słucham? - Kenzie się odwróciła.

- Czy mogłaby pani zostać jeszcze na kilka minut? Chciałbym o czymś z panią porozmawiać.

* * *

- Proszę usiąść, pani Turner.

Ostatnia z wychodzących osób zamknęła drzwi od sali konferencyjnej. Kenzie usiadła i czekała, aż pan Fairey przemówi.

Siedział wyprostowany, zapatrzony w przeciwległą ścianę, najwyraźniej głęboko pogrążony w myślach. Wzrok Kenzie powędrował w tym samym kierunku. Wisiała tam w złożonych ramach kopia obrazu van Gogha, przedstawiająca prowansalskie kwiaty, pamiątka szalonych lat osiemdziesiątych, kiedy to licytowano do upadłego. Burghley ustanowił tym obrazem światowy rekord ceny, do dziś niepobity.

- Pani Turner, czy wie pani, jakie jest główne zadanie Burghleya? - spytał cicho dyrektor.

- Oczywiście, panie Fairey. Sprzedaż dzieł sztuki i przedmiotów dekoracyjnych.

- Czyżby? - Uśmiechnął się gorzko. - Tak myślałem. Teraz zaczynam mieć wątpliwości. - Westchnął ciężko. - Coraz częściej odnoszę wrażenie, że skarby, którymi handlujemy, schodzą na plan drugi, a najważniejsze są uzyskiwane prowizje.

- Niestety, tak. - Skinęła głową.

Dyrektor wolno wstał i przesiadł się na inne miejsce - teraz znalazł się naprzeciwko niej. Kenzie śmiało spoglądała mu w twarz.

- Patrzy pani ludziom prosto w oczy - zauważył.

- Pan też, panie Fairey.

Pochylił się i obrzucił ją zamyślnym spojrzeniem.

- Proszę mi coś powiedzieć, pani Turner. To pozostanie wyłącznie między nami. Jakie jest pani zdanie o tej całej... aferze z Holbeinem?

Kenzie wzruszyła ramionami, starając się zachować obojętną minę

- Podejrzewam, że należało się tego spodziewać - odrzekła dyplomatycznie, siłąc się na beznamiętny ton.

- Należało się tego spodziewać? - wykrzyknął zdziwiony.

Skinęła głową.

- Uwzględniając nasze obroty, to normalne, że od czasu do czasu dochodzi do takich wpadek.

- Czyżby? - Dyrektor uniósł siwe brwi. - Czyli, pani zdaniem, wpadka była nieunikniona? Uważa pani, że to nie jest wina tej... tej głupiej idiotki o pustej głowie, którą nam narzucono?

Kenzie spojrzała mu prosto w oczy.

- Panie Fairey - powiedziała cicho. - Moim obowiązkiem jest jak najlepiej pracować w Dziale Dawnych Mistrzów. I chciałabym wierzyć, że mi się to udaje. Nie lubię jednak gdybać ani wskazywać palcem winnego. Szczególnie po fakcie. Interesuje mnie sztuka, a nie wewnętrzne rozgrywki.

- Niezwykle szlachetna postawa - mruknął.

Milczała.

Dyrektor wytrzymał jej wzrok.

- Czy to znaczy, że nie ma pani nic do powiedzenia w tej sprawie? Nic a nic?

- Jedynie to, że się cieszę, iż wszystko jest pod kontrolą i że udało się uniknąć największego zła. - Patrzyła na pana Faireya, jakby chciała go sprowokować do sprzeciwu.

- Rozumiem... - Westchnął, a potem pochylił głowę nad stołem, splótł palce obu dłoni, jakby chciał obejrzeć wypielęgnowane paznokcie. - Wcześniej zaproponowała pani, żebyśmy nagłośnili sprawę dalszego sprawdzania pochodzenia obrazu Holbeina.

- Tak, proszę pana.

- Zdaje sobie pani sprawę, co to oznacza, prawda?

- Że nasze poczynania będą uważnie obserwowane przez prasę w ogóle, a przez świat sztuki w szczególności - odpowiedziała.

- Dobrze. W takim razie niewątpliwie zrozumie pani, dlaczego pani powierzam kierowanie tymi dociekaniem.

- Mnie! Przecież... przecież Zandra von Hohenburg-Willemlöhe z powodzeniem mogłaby...

- Tak, tak, tak - przerwał jej poirytowany, dając ręką znak, by umilkła. - Zdaję sobie sprawę z jej fachowości, jednak pracuje u nas dopiero od trzech miesięcy, a potrzebujemy eksperta - kogoś doświadczonego, jeśli pani woli - do nadzorowania tych prac. Pani von Hohenburg-Willemlöhe może się tym zajmować, ale pani będzie nadzorowała jej działania. I przekazywała informacje o wszystkim bezpośrednio mnie. - Zrobił przerwę. - Mogę na panią liczyć, pani Turner?

- Tak, proszę pana. - Kenzie skinęła głową.

- Dziękuję pani. - Podrapał się w brodę. - O ile dobrze pamiętam, kilka razy współpracowała pani blisko z funkcjonariuszem policji z działu do walki z kradzieżami dzieł sztuki... jak on się nazywa...?

- Charles Ferraro - odpowiedziała odruchowo, bez zastanowienia. Dopiero kiedy wymieniła to nazwisko, ukłuło ją jak zatruta strzała.

- Ach, racja. - Fairey skinął głową. - Charles Ferraro. Proponuję, by niezwłocznie się pani z nim skontaktowała i razem z nim zajęła się tą sprawą. Policja ma dostęp do źródeł, które dla nas są nieosiągalne.

Kenzie zakręciło się w głowie. O, Boże! Nie może ode mnie wymagać, żebym pracowała z Charleyem, pomyślała załamana. Nie może!

Od przyjęcia w Met upłynęły trzy miesiące i przez cały ten czas nie spotykała się ani z Charleyem, ani z Hannesem. Odkładała słuchawkę, kiedy dzwonili. Zmieniła nawet zamki w drzwiach, bo kiedyś nieopatrznie dała Charleyowi klucze do swego mieszkania.

A teraz, kiedy już myślała, że pozbyła się go raz na zawsze, znów musi się z nim spotkać!

- Pani Turner? Pani Turner!

Głos Faireya przerwał Kenzie te rozważania tak gwałtownie, że aż drgnęła.

- Czy coś się stało, pani Turner?

- Nie, tylko... - Przełknęła ślinę. - ...tylko wolałabym nie współpracować z panem Ferraro.

- Tak? - Uniósł brwi do góry. - Mogę wiedzieć dlaczego?

- Wolałabym o tym nie mówić, proszę pana.

- Obawiam się, że to za mało, pani Turner. Stawka jest zbyt wysoka, parafrazując pani własne słowa, chodzi o blisko trzy stulecia naszej nieposzlakowanej reputacji! „Najcenniejszy skarb” Burghleya, jak się pani wyraziła, prawda?

Westchnęła niepocieszona. Cholera! Tym razem sama zapędziła się w kozi róg! Dlaczego, dlaczego dała się tak podprowadzić? Pochylił się do przodu.

- Czy wciąż ma pani coś przeciwko tej zwykłej prośbie, pani Turner? Czy za wiele od pani wymagam?

- Nie, proszę pana - powiedziała zrezygnowana.

- Dobrze. Oczekuję, że będę informowany na bieżąco. To wszystko, pani Turner.

Rozmowa była skończona.

* * *

Wróciła do swego pokoju, opadła na krzesło za biurkiem i siedziała oszołomiona.

- Kenzie? - Zandra przyglądała jej się wyraźnie zaniepokojona. - Mój Boże, jesteś okropnie błada. Co się stało?

Kenzie nie odpowiedziała. Gapiała się ponuro na stojący przed nią telefon.

Charley, myślała załamana. Muszę zadzwonić do tego drania...

...a wołałabym chodzić po rozżarzonych węglach!

Ale czy jest jakiś wybór?

Z rezygnacją podniosła słuchawkę i wybrała numer Charleya do pracy, zastanawiając się, ile czasu jeszcze upłynie, zanim zatrze się w jej pamięci.

- Komenda policji Nowego Jorku - rozległ się kobiecy głos. - Wydział walki z kradzieżami dzieł sztuki.

Zamknęła oczy.

- Poproszę z panem Ferraro.

- Kto mówi?

- Turner.

- Chwileczkę.

Kenzie słyszała, jak kobieta woła: „Ferraro! Telefon na dwójce.”

A potem aż nadto znajomy głos Charleya zapytał: „Kto dzwoni?”

„Jakaś pani Turner. Mam ją połączyć?”

Nastąpiła cisza, a później rozległa się odpowiedź: „Nie. Długo zwlekała. Niech trochę skruszeje. Dobrze jej to zrobi.”

Kenzie rzuciła słuchawkę na widelki. Pieprzony drań! Chryste, on jest nie do zniesienia!

Zacisnęła zęby. Ale jeszcze nie wie, na co mnie stać, powiedziała sobie ponuro. O, nie. Ani trochę!

Znów podniosła słuchawkę i ponownie wykręciła ten sam numer.

Usłyszała ten sam kobiecy głos.

- Komenda policji Nowego Jorku. Wydział walki z kradzieżami dzieł sztuki.

- Chciałabym mówić z panem Ferraro - powiedziała Kenzie przez zacisnięte zęby. - Dzwonię służbowo.

Nastąpiła przerwa, a potem kobiecy głos oznajmił grzecznie:

- Przykro mi, ale pan Ferraro właśnie wyszedł. Czy chce pani zostawić wiadomość...

Kenzie rzuciła słuchawkę na widelki. Aż kipiała gniewem.

23.

Nie miała ani jednej wolnej chwili!

To były pracowite dni dla Diny Goldsmith.

Teraz, kiedy zdobyła towarzyski Everest, nie zamierzała rozsiaść się wygodnie i spocząć na laurach. Wprost przeciwnie; miała tak jasno wyznaczony kierunek, jak gołąb wracający do domu; opracowała strategię postępowania wartą szefów połączonych służb.

Weźmy na przykład ten właśnie dzień. Zgodnie z terminarzem, miała bardzo napięty program zajęć:

7: 00 Spotkanie z Juliem - wydanie poleceń służbie

7: 15 Zajęcia z prywatnym instruktorem

8: 00 Kąpiel

8: 45 Korespondencja, telefony

9: 30 Masaż

10: 00 Fryzjer i manikiurzystka

Kremowy kostium Chanel i biżuteria, komplet Verdury

10: 30 Rozmowa z nowym kucharzem

11: 00 Wykład w Sotheby's - „Malarstwo portretowe w osiemnastowiecznej Anglii”

12: 30 Przymiarka - Oscar de la Renta

13: 30 Lunch i kawa - Becky V

14: 45 Lekcja francuskiego - czasowniki nieregularne!!!

15: 45 Spotkanie komitetu „Wszyscy muszą jeść” dotyczące gali wiosennej

17: 00 Galerie Wildenstein - dot. Gainsborough

17: 30 Czas dla siebie

Czarny kostium wieczorowy Herrery i perły ze szmaragdami „Gatsby” Cartiera

18: 45 Galeria Knoedler - wernisaż Donalda Sultana

19: 30 „Puccini i szampan” Met. Opera Guild - Hunter College

21:00 Kolacja dobroczynna Met. - Colony Club

Przypominało to miotanie się w oku cyklonu, ale Dina nie zamieniła by owej gorączki na nic w świecie. Rozkwitała w wirze życia towarzyskiego. I pomyśleć, że wszystko zaczęło się na przyjęciu Karla-Heinza, kiedy Becky V zwróciła na nią uwagę!

Ód tamtej pory wszystkie drzwi, wcześniej zatrzaśnięte przed Goldsmithami, stały otworem - jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zewsząd napływały zaproszenia. I Goldsmithowie zaczęli bywać: u Brooke Astor, u Oscara i Annette (w mieście i na wsi), u Buckleyów, u Kissingerów.

Wszędzie, w całym Nowym Jorku witano ich z honorami.

Przez dwa miesiące Dina czuła się tak, jakby była królewną z bajki. A potem pewnego ranka obudziła się i stwierdziła, że ciągle nie jest w pełni usatysfakcjonowana.

No więc dobrze, dotarła na sam szczyt. Ona i Robert zostali zaakceptowani przez najwyższe kręgi towarzyskie. I co z tego?

Była zdecydowana pójść jeszcze dalej. Tak. Mała Dina Van Vliet z Goudy w Holandii postanowiła, że nie będzie tuzinkową postacią z eleganckiego świata, i chciwym wzrokiem zerkała na najbardziej zielone z pastwisk. Krótko mówiąc, zapragnęła przejść do legendy i zostać prawdziwą gwiazdą wyższych sfer.

Zrobiła już duże postępy.

Idąc za radą Becky V, zamieniła swego krzykliwego, białego, długąśnego cadillaca na dyskretne lincolna, a teraz pracowała nad Robertem, by poszedł w jej ślady.

Mnóstwo osób z eleganckiego świata świadomie lub nie przyłożyło rękę do edukacji Diny.

Codziennie lekcje francuskiego szybko sprawiły, że jej słownictwo wzbogaciło się o *voulez-vous*, *n'est-ce-pas* i *cherie*. Mówiąc wtrącała teraz obcojęzyczne wyrazy, zupełnie jak Becky V czy Susan Gutfreund.

Zainspirowana przez Jayne Wrightsman, znany autorytet w dziedzinie osiemnastowiecznych mebli francuskich, Dina stwierdziła, że wypadałoby, aby ona sama też stała się ekspertem w jakiejś sferze. Więc zaczęła trzy razy w tygodniu uczęszczać na zajęcia z malarstwa epoki renesansu.

Opowieści o niedzielnych nieoficjalnych wieczorkach u Oscara i pierwszej pani de la Renta - na które wszyscy wpadali wracając ze wsi - podsunęły Dinie pomysł otwarcia drzwi swego mieszkania w niedzielne

wieczory, kiedy to na przyjęciu bufetowym każdy mógł się pojawić ubrany tak, jak stał.

Spotkania te okazały się z miejsca przebojem. Świętej pamięci Kitty Miller twierdziła, że wystarczy wywiesić szynkę, a ludzie zaczną walić drzwiami i oknami. I Dina właśnie tak zrobiła.

Ale z jedną zasadniczą różnicą: nauczyła się, że podstawą dobrego smaku jest dyskrecja, a im mniejsza i bardziej wyszukana szynka, tym lepiej. Właśnie dlatego, zamiast wydawać wielkie, oficjalne bankiety - jak robiłaby to kiedyś - teraz wołała coś skromnego i wkrótce opanowała trudną sztukę organizowania perfekcyjnych, kameralnych przyjęć, o których wszyscy mówili.

Zamiast jako wyraz podziękowania wysyłać gospodyni żenująco drogi prezent, zaczęła szukać w mieście drobiazgów nietuzinkowych i gustownych, rzeczy niedrogich, a czasami zabawnie kiczowatych.

Zapisywała w notesie, co kto lubi, a czego nie - dotyczyło to jedzenia, win, kwiatów, współbiesiadników podczas kolacji, przyjaciół, a przede wszystkim wrogów, by nie zaprosić na jedno przyjęcie dwóch przeciwników.

I wiecznie się doskonaliła, rozwijała, wyrabiała. Uczyła się robić to, co wypadalo.

* * *

Za kwadrans siódma, ubrana w strój do gimnastyki (wściekle różowo-żółto-zielony Spandex), zadzwoniła na majordomusa.

- Słucham pani? - Głos Julia w domofonie zabrzmiał nieco sennie.

- Jestem gotowa trochę przed czasem - oświadczyła jego pracodawniczynie tonem bynajmniej nie przepraszającym. - Spotkamy się teraz. - Zrobiła dwusekundową przerwę. - U mnie.

- Już idę.

Kiedy się pojawił, siedziała na kanapie w saloniku, popijając kawę, którą jej właśnie naląła ze srebrnego dzbanka Darlene.

- Słucham pani - odezwał się Julio z wahaniem.

- Dziękuję, Darlene - powiedziała cierpko Dina. - To wszystko.

- Tak, proszę pani. - Pokojówka dygnęła i wyszła pośpiesznie. Julio, prychając pogardliwie, z dezaprobatą odprowadził wzrokiem znikającą postać.

Znajomość pięknych rzeczy mogła wymagać u Diny doskonalenia, ale nie jej pazury. Spojrzała na mężczyznę ostro i powiedziała:

- Siadaj, Julio. - Zabrzmiało to zupełnie jak komenda, wydana psu przez tresera. - Nie, nie, nie na tym krześle. Na tamtym! - Wskazała je palcem.

Potulnie usłuchał.

- W przyszłym tygodniu przyjdą z *Architectural Digest* zrobić zdjęcia mieszkania - oświadczyła, przechodząc prosto do rzeczy. - Będą tutaj w środę, czwartek i piątek. Oczekuję, że przyjmiesz ich jak najgrzeczniej. - Urwała. - Prawdę mówiąc, masz koło nich skakać.

- Tak jest, proszę pani. - Wyjął notes, pióro Cartiera i coś zapisał.

- We wtorek przyjdzie Renny, by zrobić aranżacje kwiatowe. On albo jeden z jego pomocników będzie też pod ręką w ciągu następnych trzech dni, żeby poprawić bukiety. Spodziewam się, iż staniesz na głowie, by niczego mu nie brakowało.

- Naturalnie, proszę pani. - Zapisał sobie kolejne polecenie.

Dina wypila łyk kawy.

- Teraz co do bufetu w ostatnią niedzielę. Czy muszę przypominać, że tylko gościom wolno pojawiać się w swobodnych strojach? W zeszłym tygodniu wyraźnie zauważyłam niechlujny wygląd części służby. Masz przypilnować, żeby to się nie powtórzyło.

- Tak jest, proszę pani.

- Nie było cię tutaj w ostatnią niedzielę - zauważyła.

- Odwiedzałem chorego krewnego i...

- Będziesz odwiedzał przyjaciół i krewnych w czasie wolnym od pracy. Czy to jasne?

- Absolutnie, proszę pani. Przepraszam...

- Postaraj się, żeby to było ostatni raz.

Omówili ogólne sprawy dotyczące prowadzenia domu; Dina, zaglądając do małego, złotego notesiku, wyrecytowała listę zastrzeżeń: tu kurz... tam brudny marmur... pajęczyna na żyrandolu - pajęczyna!

Julio notował wszystko skrupulatnie.

Zapukała Darlene, aby powiedzieć, że przyszedł instruktor.

Dina spojrzała na małe zegar firmy Fabergè, stojący na stoliku. Była siódma; pojawił się piętnaście minut przed czasem. Dobrze!

* * *

Następne dwadzieścia pięć minut pani Goldsmith spędziła w wyłożonej lustrami sali gimnastycznej, wyposażonej jak Nautilus, gdzie Scott,

niemający litości instruktor, katował ją najrozmaitszymi ćwiczeniami.

Po gimnastyce wzięła kojącą, aromatyczną kąpiel, a następnie spotkała się z Gaby.

Rozmowy telefoniczne zajęły jej kolejne pół godziny.

O wpół do dziesiątej przyszła pora na masaż, a o dziesiątej Dina oddała się w ręce fryzjera i manikiurzystki, co robiła trzy razy w tygodniu.

Później, włożywszy kremowy kostium Chanel z czarnymi lamówkami i masywny komplet Verdury (naszyjnik, bransoletki, klipsy i broszka), odbyła rozmowę z kandydatem na kucharza (skoro Becky V zatrudniała kogoś takiego, czemu Dina nie miałyby tego zrobić?) i przyjęła go na okres próbny.

Potem wyruszyła do miasta.

Ranek i przedpołudnie minęły bardzo szybko. Po wykładzie w Sotheby's i przymiarce u de la Renty, Dina pojawiła się u Becky V.

Było wpół do drugiej, ale chociaż od rana nie miała ani jednej wolnej chwili, wcale nie odczuwała zmęczenia. Wprost przeciwnie; Dinę Goldsmith rozpieszczała energia. Żyła w oszalałym tempie - i bardzo jej to odpowiadało!

* * *

- *Merci*, Uriah. To wszystko - powiedziała Becky V do trzęsącego się, starego służącego o haczykowatym nosie, który przyniósł tacę ze złotą zastawą - imbrykiem, dzbankiem do kawy, cukiernicą i dzbanuszkami do śmietanki.

- Tak jest, proszę pani! - krzyknął wiekowy Uriah; jak wielu ludzi niedosłyszących, raczej się wydierał, niż mówił.

Becky zauważyła pełne dezaprobaty spojrzenie Diny za wychodzącym lokajem; sięgając po filiżankę z Limoges, wyjaśniła:

- Uriah i ja bardzo się zżyliśmy. Wiesz, że przez ponad piętnaście lat służył mojemu ostatniemu mężowi, biednemu, drogiemu Joaquinowi? A wcześniej trzydzieści lat pracował u jego ojca? *Oui*. Uriah należy do starej szkoły, duma nie pozwala mu odejść na emeryturę. Osobiście podejrzewam, że to by go zabiło. - Przechyliwszy głowę, obdarzyła Dinę swym sławnym, tajemniczym uśmiechem. - *Alors*. Mamy z Uriahem porozumienie. On znosi moje ekstrawagancje, a ja nie zwracam uwagi na jego drobne ułomności. Moja babka mówiła: „Najpierw nasi służący troszczą się o nas, a potem my musimy troszczyć się o nich.” To święty obowiązek.

Spójrz na Uriaha. To mała cena za blisko pięćdziesiąt lat wiernej służby, *n'est-ce pas?*

Dina skinęła głową.

- *Alors*. Napijesz się kawy czy herbaty? - Becky wskazała tacę.

- Poproszę o kawę.

Becky uniosła dzbanek, zaprojektowany sto dziewięćdziesiąt cztery lata temu przez Josepha Richardsona juniora z Filadelfii, i naleła kawę sobie i swemu gościowi.

- *Au lait?*

Dina pokręciła głową.

- Zawsze pijam czarną.

- *Moi aussi*. - Becky z aprobatą skinęła głową, podała Dinie filiżankę ze spodeczkiem, a swoją kawę zaczęła pić równie ostrożnie, jak ją nalewała.

Rozkoszowały się tymi poobiednimi kawami w mrocznym *cabinet d'orateur* w apartamencie Becky V, tajemniczym i frapującym miejscu, stworzonym przez mistrza najbardziej okazałych wnętrz na świecie - Renzo Mongiardina.

Pokój, który Becky nazywała swoim *cabinet*, przypominał wnętrze cennej, renesansowej szkatułki na biżuterię - efekt taki osiągnięto dzięki pokryciu wszystkich czterech ścian mistrzowskim *trompe l'oeil*, a fasetowy sufit, którego każdy centymetr kwadratowy został najpierw pieczołowicie zamalowany, potem romantycznie spatynowano.

Wszędzie widać było nadmiar sztucznie postarzonych powierzchni: kość słoniowa, tulipanowiec, porfir, agat, stiuk, złocenia.

Ale to lśniące, spektakularnie bogate tło nie było dekoracją samą w sobie. Twórcy tego przepysznego wnętrza przyświecał jeden wyraźny cel: miało stanowić oprawę dla szesnastu miniaturowych obrazów Goi, umieszczonych na ścianach niczym na półukryte klejnoty, w pierwszej chwili nierzucające się w oczy.

Dina nie mogła się powstrzymać, by cały czas nie podziwiać tego wspaniałego nadzwyczajnego wnętrza i dosłownie pożerała wzrokiem wszystkie szczegóły tego pokoju, który równie dobrze mógł powstać w *hotel particulier na Quai d'Anjou*, nim został przeniesiony tu, w samo serce Manhattanu.

Upajając się tą niezwykłą atmosferą, z ukłuciem bólu uświadomiła sobie, że jej własny dwupoziomowy apartament, z którego była taka dumna, wydawał się w porównaniu z tym, beznadziejnie, niewybaczalnie nuworyszowski i... no cóż, nadto przeladowany.

Celowo naznaczana patyną czasu siedziba Becky V, wysoko pod niebem, gdzie czuło się historię, koligacje, tytuły i wyrafinowanie - to było coś, o czym marzyła Dina.

Tak! Najwyższa pora zmienić wystrój własnych wnętrz i to z pomocą mistrza! Oczywiście Renza jak mu tam, bo kogóż by innego? Zanim wyjdzie, poprosi Becky, by mu ją poleciła.

Ostatecznie, powiedziała sobie w duchu Dina, czyż moim mottem nie było zawsze: „Kiedy masz wątpliwości, zmień wystrój mieszkania”? I czyż wszyscy o tym nie wiedzieli?

- *Alors*. - Becky odstawiła swoją filiżankę i spodeczek.

- Słuch... - Dina drgnęła. - Och, przepraszam, zamyśliłam się.

Becky lekko machnęła dłonią.

- *Point du tout*. Nie masz za co przepraszać. Chciałam tylko podkreślić, że muszę ci powiedzieć coś ważnego.

- Naprawdę! - Dina spojrzała na nią zachwycona, zapominając o planach urządzenia mieszkania na nowo. - Proszę, mów!

- Zapraszając cię tutaj, kierowałam się *arriere-pensee*... - Becky się uśmiechnęła. - Ukrytym motywem... Jestem przekonana, że sama uznasz to za nadzwyczaj zabawne i intrygujące...

- Z całą pewnością! - Dina zamieniła się w słuch; siedziała z zaporą tchem na brzegu fotela. - Już tak uważam!

Becky uniosła palec.

- Ale najpierw muszę cię ostrzec. Całkowita dyskrecja to *imperatif*. Nic nie może wyjść poza ściany tego pokoju. - Uniosła głowę; spojrzenie jej stało się nagle twarde. - To musi pozostać naszą małą tajemnicą. *D'accord?*

Dina nie mogła oderwać od niej oczu. Dzielić sekret z Becky V! Wielkie nieba, czy tym cudom nigdy nie będzie końca? Chciała coś odpowiedzieć, ale z konsternacją stwierdziła, że wprost nie może wydobyć z siebie głosu.

Pani domu podniosła swoją filiżankę, wypila łyk kawy, po czym odstawiła filiżankę na stolik.

- A więc mogę liczyć na twoją *discretion*!

- Uhm - wyjąkała Dina, nadal oniemiała. A potem, zanim zdołała się opanować, wyrzuciła z siebie pierwsze słowo, które jej przyszło do głowy.

- *Oui!*

Gdy tylko jej się to wymknęło, uniosła palce do ust. O, Boże, pomyślała przerażona. Ale palnęłam gafę! Jednak Becky tylko się uśmiechnęła.

- Ponieważ sprawa dotyczy jednego z moich najlepszych przyjaciół i jednej z twoich najlepszych przyjaciółek, to zupełnie naturalne, że połączymy siły. *N'est-ce pas?* Szczególnie, że obie mamy taką wyjątkową możliwość okazania im pomocy.

Połączyć siły? Z Becky? Dina z miejsca zapaliła się do tego pomysłu. Jakie to nadzwyczajne! - pomyślała. Co, u diaska, może mieć Becky na myśli?

- Widzę, że muszę ci wyjaśnić całą sprawę. - Złożywszy ręce na pierśsiach, pani domu spojrzała w zamyśleniu na sztuczne rozety na kasetonowym suficie. - Jutro wraca książę Karl-Heinz.

- Naprawdę? Nie miałam pojęcia...

- Zdaje się, że tylko ja o tym wiem. - Becky spojrzała Dinie prosto w oczy. - Będę szczerą, *oui?*

Dina, wciąż przejęta tym, że zostanie powierniczką wielkiej damy, nie dowierzała swemu głosowi, więc tylko skinęła głową.

- Widocznie stan *le vieil Prince* się ustabilizował. To nie znaczy, że ojciec Heinzie'ego wrócił do zdrowia, o nie. Jest w śpiączce, uważa się, że się z niej nie obudzi. Ale nie grozi mu bezpośrednio żadne niebezpieczeństwo. A, co ważniejsze... - Becky zrobiła przerwę, a potem pochyliła się i powiedziała jednym tchem: - W świetle... prawa... wciąż... żyje!

Oczy zrobiły jej się wielkie, w morzu bieli błyszczały niezrównane fiołkowe tęczęwki.

Kiedy Dina się jej przyglądała, nagle coś zaczęło jej świtać w głowie. A więc to o to chodzi! - pomyślała i poczuła przyływ energii. Pociągnęła łyk kawy. Teraz zrozumiała, dlaczego wielka dama ją zaprosiła i jaki jest cel tej rozmowy. Razem...

...razem doprowadzą do związku Karla-Heinza i Zandry!

Twarz Becky świeciła wewnętrznym blaskiem.

- Ach! - Wolno skinęła głową. - A więc wiesz, o czym mówię, *chere amie*.

Dina milczała.

- Naturalnie, że wiesz.

- Tak - udało się wykrztusić Dinie, a potem, odzyskawszy mowę, powiedziała przyciszonym tonem: - Książę jest twoim najlepszym przyjacielem, a Zandra - moją najlepszą przyjaciółką.

Napięcie, widoczne na jej twarzy, zdawało się stanowić odbicie napięcia pani domu.

- Najwyraźniej obie doszliśmy do takiego samego wniosku. Książę musi się postarać o dziedzica przed śmiercią ojca - a Zandra jest najlepszą kandydatką na żonę.

- *Exactement.*

Idealne równe zęby diuszesy błysnęły w uśmiechu i przez ułamek sekundy Dina odnosiła wrażenie, że pod tym niezglębionym uśmiechem Momy Lisy Leonarda da Vinci kryje się niezłomność.

- Ale żadnej z nas nie uda się tego osiągnąć w pojedynkę. *Alors.* Musimy działać wspólnie.

- Jak dwie animatorki, poruszające marionetkami?

- *S'il vous plait!* Wolę uważać nas za... za mądre przyjaciółki, kierujące się szlachetnymi intencjami... bajkowe wróżki, jeśli wolisz. Jeszcze trochę kawy?

- No cóż...

- *Un peu?*

- Może odrobinę. Tak. Proszę. - Dina podała jej filiżankę.

Becky, nalewając kawę nie przestała mówić, smukły mały palec trzymała wyprostowany.

- Ostatecznie nie można zaprzeczyć, że Heinzie i Zandra idealnie do siebie pasują.

- Tak - przyznała Dina, która myślała nad tym od dnia przyjęcia w Met. - Ale możemy napotkać na jedną czy dwie przeszkody.

- Tak? - Jej rozmówczyni zmarszczyła czoło. - Na przykład?

Dina westchnęła.

- Chociażby miłość.

- Miłość! - Becky siedziała nieporuszona. - A cóż ma tu do rzeczy miłość? - Roześmiała się cicho, strofująco. - Naprawdę, *chere amie.* Mówimy o majątkach, pierworództwie, wymogach krwi. Mówimy o jednym z największych imperiów na ziemi! A ty wyskakujesz z miłością?

- Poza tym różnica wieku - zauważyła Dina.

- Wiek! - Starsza dama machnęła ręką, jakby odpędzała natrętną muchę. - W świetle tego wszystkiego, co łączy Zandrę i Heinzie'ego, wiek nie ma znaczenia. *Dit moi:* czy sama... podobnie jak raz ja... nie poślubiłaś starszego mężczyzny?

Dina skinęła głową.

- I czyż Zandra i Heinzie oboje nie są w stanie ofiarować sobie nawzajem tak wiele?

Ponownie skinęła głową.

- I czyż nie będzie z nich niesłychanie cudowna i olśniewająca para?

- Tak - zgodziła się Dina. - To nie ulega wątpliwości.

- *Alors.* Więc sama widzisz. - Przez chwilę Becky jej się przyglądała. - Czyli mogę na ciebie liczyć? Pomożesz mi?

Dina wytrzymała jej pytający wzrok. Naturalnie, pomyślała. Czyż właśnie nie tego dokładnie chciałam? Wyobraziła sobie Karla-Heinza z Zandrą i mimo woli westchnęła z zadowolenia. Naprawdę będzie z nich idealna para, uznała. Wprost wymarzona...

- O, tak - powiedziała. - Możesz na mnie liczyć.

Pani domu uśmiechnęła się ciepło.

- *D'accord*. Nie wiesz nawet, jaką mi sprawiłaś przyjemność!

Dina pławiła się w aprobacie wielkiej damy. Czowała w środku ciepło, mrowienie i zadowolenie, jak po sporej porcji brandy w mroźny dzień. Już widziała, jak rosną jej notowania. Ale najlepsze w całym przedsięwzięciu jest to, że zabiega o nią sama Becky V!

Komu potrzebna jeszcze do tego wszystkiego kofeina?

Becky mówiła dalej z zamyśloną miną:

- Oto, co zrobimy. W tę sobotę u Christie'ego jest aukcja wyrobów Fabergé i *objets de vertu*. Heinzie zbiera takie rzeczy. Pojutrze pójdę z nim obejrzeć eksponaty. Potem zaproponuję, żebyśmy zjedli obiad u Mortimera...

- Gdzie - dopowiedziała Dina, podejmując wątek rozmowy i prowadząc go dalej - ja umówię się z Zandrą.

- *Exactement*. - Jej rozmówczyni uśmiechnęła się z udawanym rozmarzeniem, lecz fiołkowe oczy pozostały czujne, a wystające kości policzkowe rzucały złowrogie cienie. - Jednak nasze spotkanie musi wyglądać na absolutnie przypadkowe... pozbawione odrobiny premedytacji.

Pani Goldsmith wzruszyła ramionami.

- Nie widzę, dlaczego miałyby wywołać jakiegokolwiek podejrzenie. Ludzie wciąż na siebie wpadają u Mortimera. Po prostu udamy odpowiednie zdziwienie.

Becky skinęła głową.

- *Bon*. A teraz Sheldon D. Fairey i jego żona. Na ile dobrze ich znasz?

- Niezbyt - przyznała Dina. - Czemu pytasz?

- Są właścicielami posiadłości tuż obok mojej w New Jersey. Wiedziałaś o tym? Zdaje się, że Nina odziedziczyła ją po babce ze strony matki.

Pani Goldsmith słuchała uważnie.

- Będziemy potrzebowały pomocy Faireyów - powiedziała wolno Becky. Stukając w usta palcem z paznokciem pomalowanym bezbarwnym lakierem, rzuciła Dinie wymowne spojrzenie. - Jednak pod żadnym

pozorem nie mogą się domyślić, że coś knujemy. Nina jest okropną gadułą, a tajemnica...

- ...musi zostać zachowana za wszelką cenę. - Jej rozmówczyni skinęła głową. - Tak, tak. Wszystko rozumiem.

Becky dalej stuknęła się palcami w usta.

- Gdybyś tylko była bliżej z Faireyami... Zdobycie zaproszenia do ich posiadłości z całą pewnością sprawiłoby, że nasza mała intryga nie byłaby taka oczywista.

Pani Goldsmith się uśmiechnęła.

- Zostaw to mnie. Nie zapominaj, że Fairey stoi na czele Burghleya, a mój mąż jest większościowym udziałowcem. Jeśli powiem: „Skacz”, Sheldon zapyta: „Jak wysoko?”. Wystarczy jedynie, że zasugeruję, by nas zaprosił, a natychmiast to zrobi.

- Ach! - Na twarzy Becky można było dostrzec ślad rozbawienia. - Muszę ci powiedzieć komplement. Jesteś przebiegła niemal jak Francuzka. - Roześmiała się gardłowo. - *Oui*. Obie razem jesteśmy *très formidable*!

- Tak. Ale wracając do Faireyów, im szybciej podasz mi konkretną datę, tym lepiej.

- *A cuop sur*. Ale najpierw muszę się dowiedzieć, jakie plany ma Henzie. Powinnaś wiedzieć coś więcej pojutrze. *Alors*. Uważam, że nadeszła pora, by wypić toast za nasze małe wysiłki, *non*?

I Becky nacisnęła guzik, umieszczony pod blatem gerydonu.

Minutę później do pokoju wpadła szeroka, pozioma smuga złotego światła, kiedy Uriah otworzył drzwi i wszedł, szurając nogami.

- Dzwoniła pani, *madame*!

- Tak, Uriah. Proszę o mrożonego Dom Perignona i dwa kieliszki.

- Już przynoszę, proszę pani!

Krzyknąwszy to, wyszedł, pociągając nogami.

Dina jeszcze raz się rozejrzała, napawając wzrok skomplikowanym rysunkiem kasetonów, złożonymi wzorami lśniącego jedwabiu Heraz - przepychem i luksusem tego najbardziej okazałego z wnętrza.

Uriah wrócił z ozdobnym, srebrnym wiaderkiem wypełnionym lodem. Nie bez trudu udało mu się wyciągnąć korek z oziębionej butelki. Drżącą ręką nalał szampan do dwóch smukłych kieliszków a potem wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Becky wzięła jeden kieliszek i uniosła go w górę, wygłaszając toast.

- Za jaśnie oświeconych księcia i przyszłą księżnę von und zu Engewiesen!

Jej współniczka również uniosła swój kruchy kieliszek ozdobiony złotą obwódką.

- Oby żyli długo i szczęśliwie! - dodała szeptem.

Potem wymieniając porozumiewawcze uśmiechy stuknęły się kieliszkami i wypily szampana. Trunek był bardzo, bardzo dobry. Ale ich intryga jeszcze lepsza.

24.

- Egoistyczny drań, męski szowinista! - Kenzie aż kipiała ze złości.

Ona i Zandra siedziały w wielkim, podziemnym magazynie, gdzie zawsze się kryła w ciężkich chwilach. To tutaj składowano na metalowych regałach setki bezcennych, opatrzonych metkami obrazów i rycin, ustawionych niczym książki na półkach.

- Miałam wielką ochotę uciąć mu tasakiem wiesz, co!

- O, rety - odezwała się Zandra - musiał cię rzeczywiście wyprowadzić z równowagi. Może po prostu ma zły dzień? Znasz mężczyzn - odgrywanie się na tobie mogło być kwestią... przeniesienia!

Kenzie zrobiła głupią minę.

- Przeniesienia? - powtórzyła bezmyślnie. - Co, u diabła, ma z tym wspólnego przeniesienie?

- No wiesz, Kenzie. Mężczyźni są tacy chimeryczni, dlatego że wszystko w sobie duszą... całe to pozowanie na *macho* czasami musi ich męczyć! Chodzi mi o to, że możesz być zwyczajnie najporęczniejszym obiektem do wyładowywania złości spowodowanej czymś zupełnie innym. Mam rację? Po prostu nie traktuj tego zbyt poważnie.

- Nie traktować tego poważnie? Na miłość boską, a jak inaczej mogę to traktować?

Zandra westchnęła. Zupełnie nie wiedziała, co robić. Okazywanie współczucia i służenie kamizelką, w którą Kenzie mogłaby się wypląkać to jedno - ale próby wyrwania jej z zapiekłej złości to zupełnie inna sprawa. Nie ulegało wątpliwości, że przyjaciółka potrzebowała pomocy. Pytanie tylko... w jaki sposób jej pomóc?

- Cóż - mruknęła Kenzie rozmarzonym głosem; oczy jej błyszczały, kiedy wyobrażała sobie zemstę. - Tak, któryś z tych idealnie wyważonych ostrzy do siekania Hoffritza byłby w sam raz.

- Kenzie...

- A jeszcze lepiej, jeden z ich tasaków. To pierwszorzędny przykład, do czego można wykorzystać niezawodną, solidną stal Solingena! Gdybym tylko była wyszkolonym kucharzem Benihana...

- Kenzie, przestań! - zawołała Zandra. - Wygadujesz okropne rzeczy. Na miłość boską, przecież jesteś wegetarianką!

Pokonana Kenzie spojrzała błagalnie na przyjaciółkę.

- To co powinnam zrobić?

- Na razie zapomnieć o wszystkim. To jedyne wyjście.

- Zapomnieć? - powtórzyła Kenzie. - Zandro, jak mogę zapomnieć?

- W takim razie przynajmniej pamiętaj o tym, co w takich przypadkach zawsze powtarzała moja ciotka Josephine: *Diem adimere aegritudinem hominibus*.

- Zandro! Czy możesz mówić po angielsku?

- Mówię po angielsku, skarbie. - Zandra zwróciła się do niej tak, jak zwróciłaby się do młodszej siostry, z miłością, ale lekko zniecierpliwiona. - Powiedziałam to po łacinie, żeby zabrzmiało... szczerze mówiąc mniej trywialnie. Dosłownie znaczy to „Czas wszystko uśmierza.”

- Aha! - Kenzie spiorunowała ją wzrokiem. - „Czas leczy wszelkie rany.” Dlaczego tak jest - mruknęła kwaśno - że zawsze, kiedy dojdzie do kryzysowej sytuacji, ludzie niezawodnie uciekają się do przysłów?

- Przysłowia... Och, Kenzie, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. - Zandra nagle doznała olśnienia. Zerwała się na równe nogi i oświadczyła:

- Kochanie, wiem, czego ci potrzeba!

- Naprawdę? - W głosie Kenzie słychać było niedowierzenie.

- Tak, skarbie. - Przyjaciółka zrobiła przerwę dla osiągnięcia lepszego efektu. - Jakichś smakołyków!

- S m a k o ł y k ó w ?

- Och, Kenzie, mówię poważnie. Czyżbyś o tym nie wiedziała? Jedzenie to najlepsze antidotum. Dobre jedzenie. Przysmaki włoskiej kuchni. Przekonasz się. Niech pomyślę... - Ton jej głosu stał się rozmazany. - Zaczniemy od niebiańskich *tartine con il gorgonzola*... a po nich zjemy jakieś frywolne *tagliatelle alla romagnola*, a może wolałabyś *risotto coi carciofi*? Obojętne. I, Kenzie, skoro już zabawimy się w lasowanie, możemy równie dobrze pójść na całość i szarpnąć się na butelkę absolutnie boskiego, naprawdę dobrego chianti, a zwieńczymy wszystko *espresso*, *amaretto* i najbardziej grzeszną, kaloryczną *gelato di cioccolato*, jaką podają w mieście. - Urwała, oczy jej błyszczały. - No więc

jak? Co ty na to? Idziemy? Och, Kenzie, chodźmy! Przekonasz się, że nie jest takie złe, kiedy ma się pełny żołądek!

- To, co proponujesz - oświadczyła Kenzie bezlitośnie - jest leczeniem symptomów, a nie przyczyny.

- Cóż, przynajmniej to działa. Kiedy cię boli głowa, chcesz się pozbyć bólu, prawda?

- Tak, ale tak się składa, że mój ból głowy wywołał pewien cholerny policjant Ferraro. - Kenzie westchnęła. - Niepotrzebny mi obiad, ale jakiś sposób dokopania mu, i to tak, żeby łobuz o tym wiedział! - Zazgrzytała zębami z bezsilnej złości. - Gdzie, no gdzie jest policja, kiedy jej potrzebujesz? - spytała żałośnie.

- Och, Kenzie, mogłabyś przestać? Chcesz iść na obiad czy nie?

- Obiad? - warknęła Kenzie, wyraźnie dotknięta. - Chyba spasuję.

Przyjaciółka z rozpaczą podniosła ręce do góry.

- W takim razie rób, co chcesz. Naprawdę! - Spojrzała na Kenzie z niesmakiem, obróciła się na pięcie i wyszła z magazynu.

Odprowadzając ją wzrokiem, Kenzie prychnęła pod nosem. Po chwili wyłączyła światło i zamknęła opancerzone drzwi. Nacisnęła guziki elektronicznego zamka szyfrowego, z przyzwyczajenia sprawdziła, czy drzwi są zablokowane. Usłyszała szum pobliskiej windy służbowej; charakterystyczny furkot dźwigu hydraulicznego.

To Zandra jechała na górę.

Kenzie nie miała ochoty czekać na powrót windy. Nie skierowała się też do najbliższej klatki schodowej. Sama nie wiedziała dlaczego, może dlatego, że miała trochę czasu, nagle zapragnęła przejść po przekątnej przez budynek, pokonując skomplikowany, podziemny labirynt.

Większość pracowników unikała zagłębiania się w płataninę korytarzy w podziemiach Burghleya i miała po temu swoje powody. Nawet niektórzy mechanicy o krótszym stażu pracy często się tam gubili, a każdy, kto nie znal rozkładu pomieszczeń, potrzebowałby kłębka sznurka, by nie zabłądzić.

Ale nie ona. Dawno temu awanturnicza natura i fascynacja wszystkim, co dotyczyło firmy, skłoniły Kenzie do zbadania najciemniejszych zakamarków i kątów tego neorenesansowego gmachu, i zachowała w pamięci plan wszystkich sześciu kondygnacji nadziemnych i dwóch pięt w dół.

W wyższym, B1, znajdowały się „Galerie Burghleya w przyziemiu” i podziemny garaż Auction Towers.

Niższe, B2, przez które teraz szła pewnym krokiem, mieściło magazyny poszczególnych działów.

Tutaj, w labiryncie korytarzy zajmujących dziewięć tysięcy metrów kwadratowych, można było znaleźć to, czego się należało spodziewać - całą maszynię, niezbędną do funkcjonowania budynku tej wielkości: piece i kotły, głośne pompy i ciche generatory awaryjne, terminale telefoniczne i kanały wentylacyjne, rupieciarnie i warsztaty.

Można tu też było się natknąć na coś, czego nikt się nie spodziewał - przypominające grotę pomieszczenie na bogatą kolekcję rzeźb ogrodowych, małych świątynek, fontann i pergoli, zarazem tajemniczych i zachwycających na swój groźny sposób.

Dalej, w kolejnym jeszcze niezwykłym pomieszczeniu, znalazły tymczasowe schronienie antyki zbyt wielkie, by pomieścić je w magazynach - para tajemniczych sfinksów, fragmenty kolumn i rzeźbionych fryzów, posągi z marmuru i brązu, gargantuiczna głowa Meduzy dosłownie walcząca z kamiennymi węzami, a nawet potężna stopa pochodząca z jakiegoś rzymskiego pomnika.

W jakże właściwej atmosferze, przypominającej atmosferę grobowca, spoczywały pod ziemią pamiątki minionych tysiącleci. Ich widok zawsze wywoływał u Kenzie przyspieszone bicie serca, jakby była pierwszą osobą, która się natknęła na jakąś do tej pory niesplądrowaną świątynię, tak wielką siłą iluzji, odznaczały się kamienne odłamki.

Wszystko tu jakby się zmówiło, by przyciągnąć wzrok. Ogrom ekspozycji, ich beładne ustawienie, sposób, w jaki zdawały się tworzyć głęboką, złudną perspektywę, idealna symetria ginąca w mroku. Właśnie to kochała Kenzie - tę tajemniczość; poczucie, jakby się ono nie wydawało śmieszne, że jest tu jeszcze wiele takich cudów czekających na odkrycie.

Szła przed siebie, a odgłos jej kroków odbijał się echem, stopniowo ginąc w oddali, kiedy tak kroczyła mrocznymi korytarzami. Żarówka w ścianach, chronione drucianą siatką, w regularnych odstępach rozjaśniały ciemności, rzucając białe kręgi światła.

Nad jej głową, pod stropem, kłębiły się powyginane rury i przewody; tajemnicze kanały rozchodziły się przy każdym prostopadle biegnącym korytarzu.

Jednak pomimo złowroziej atmosfery tego miejsca Kenzie nie odczuwała strachu. Nie cierpiała też w najmniejszym stopniu na klaustrofobię. Dzięki wcześniejszym wyprawom знаła tu każdy metr kwadratowy i była pewna, że nie zabłądziłaby nawet w całkowitych ciemnościach.

Idąc na zmianę to trzęsła się z zimna, to pociła z gorąca, bo w przeciwieństwie do skarbców reszta podziemi nie była klimatyzowana. Panowała tu wiecznie wilgoć, było parno lub zimno, w zależności od tego,

czy w pobliżu biegły kanały centralnego ogrzewania i rury z gorącą wodą, czy też nie.

Ni razu nie natknęła się na żywą duszę, ale wiedziała, że ani przez chwilę nie jest sama. Wszędzie były kamery wideo - niemi, czujni strażnicy, obserwujący cyklopowymi oczami każdy korytarz i przesyłający obrazy do wartowni, gdzie przez okrągłą dobę wpatrywano się w monitory telewizyjne zajmujące całe ściany.

Kenzie szarpnęła szare, stalowe drzwi z szybą pancerną i znalazła się na klatce schodowej.

Jeszcze dwie kondygnacje i była teraz na drugim piętrze.

Po mroku, panującym w podziemiach i na klatce schodowej, wyłożony chodnikiem hol wydawał się oślepiająco widny. Fluorescencyjne lampy rzucały rozproszone, bezcieniowe światło, ciepłe powietrze wydobywało się z krtek wentylacyjnych umieszczonych wzdłuż listwy przy podłodze. Po obu stronach w regularnych odstępach znajdowały się drzwi, pomalowane na kremowy kolor.

Do każdego była przymocowana tabliczka ze złotym napisem. Na trzecich z kolei widniało: DAWNI MISTRZOWIE.

Poniżej, na mniejszej tabliczce widniały trzy nazwiska:

A. LI

M. TURNER

Z. V. HOHENBURG-WILLEMLOHE

Wchodząc Kenzie obwieściła:

- Wróciłam!

Nikt jej nie odpowiedział; w pokoju było pusto. Wystarczył rzut oka na wieszak, by stwierdzić, że zarówno Zandra, jak i Arnold wyszli na lunch.

I bardzo dobrze, pomyślała. Niektóre rzeczy najlepiej robić bez świadków... szczególnie, jeśli chodzi o naciąganie faktów...

Zamknęła drzwi, usiadła przy biurku i oskarżycielsko spojrzała na aparat telefoniczny.

- No cóż - westchnęła. - Mogę równie dobrze zrobić to teraz. - Chwycała słuchawkę i wykręciła numer.

Jeden dzwonek... drugi... trzeci...

- Komenda policji w Nowym Jorku - odezwał się kobiecy głos. - Wydział walki z kradzieżami dzieł sztuki.

- Jeszcze raz dzwoni Turner. Muszę mówić z panem Ferraro.

- Przykro mi, ale pan Ferraro jest w terenie.

- W terenie? W jakim terenie? - krzyknęła wściekła Kenzie. -

Dzwonię z Burghleya w sprawie służbowej. Może byłaby pani tak miła i poprosiła go do telefonu?

- Nie ma go w biurze, proszę pani. Jeśli zostawi pani numer, pod który...

- Och, do krośset diabłów! Proszę posłuchać, to pilne, czy wyrażam się jasno? Czy w tej sytuacji może mnie pani połączyć z panem Ferraro, gdziekolwiek teraz jest, czy też nie? W ten sposób oszczędzę sobie masę kłopotów, bo nie będę musiała się kontaktować z jego zwierzchnikiem. - Kenzie zrobiła przerwę. - No więc jak? Decyzja należy do pani.

Dało się wyczuć pewne wahanie.

- Mówiła pani, że o jaką pilną sprawę chodzi?

- Nie mówiłam. Chodzi o skradzione dzieło sztuki wartości dwudziestu pięciu milionów dolarów.

Telefonistka nie dyskutowała dłużej.

- Proszę zaczekać - powiedziała szybko. - Połączę panią.

Nim minęło piętnaście sekund, Kenzie została połączona.

- Lepiej, żeby to była rzeczywiście pilna sprawa - warknął zirytowany Charley. - Mamy niezłą szopkę. Nie słyszałaś o niczym?

- To znaczy o czym?

- Jestem w Galerii Artisteria. Grupa włamywaczy związała personel i uciekła z łupem wartości pół miliona. Możesz w to uwierzyć? W biały dzień.

- Drobne złodziejaszki. - Kenzie się roześmiała. - Co zabrali? Ertesa?

- To wcale nie jest śmieszne.

- Być może.

- A więc... jaki jest powód twojego telefonu?

- Dzwonię dlatego - powiedziała sztywno - że kazał mi Sheldon D. Fairey.

- I?

- I nic. Nie chciałabym, żebyś doszedł do jakichś fałszywych wniosków. To nie był mój pomysł.

- Kenzie, naprawdę nie mam czasu. Albo przejdź do rzeczy, albo się rozłączę. Masz minutę.

- Jezus, nie bądź taki ważny! Dla twojej informacji, ten obraz wart jest majątek.

- Sprawa dotyczy Holbeina, tak?

Zmrużyła oczy.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytała ostrożnie.
- Ponieważ czytam gazety, mój ty Sherlocku. Cholera, Hans daje mi znaki. Muszę lecieć. Skontaktuję się, kiedy skończy się ten cyrk...

- Nie waż się odkładać słuchawki! Charley, jeśli odmówisz nam pomocy w tej sprawie, przysięgam, że... że...

- Że co? - spytał spokojnie, udając znudzenie i rozbawienie.

- Zadzwońę do *Page Six*. Tak! I do magazynu *New York*! I do *News* oraz *Newsday* i... - Kenzie uśmiechnęła się rozmarzona, zastanawiając się, jakie inne groźby może wyciągnąć ze swej zaimprovizowanej przepastnej torby.

- Kenzie? - odezwał się, przeciągając sylaby.

- Co?

- Pocałuj mnie w nos...

- Nie, to ty mnie pocałuj w nos, Charlesie Gabrieliu Ferraro! Albo spotkamy się dziś, żeby to omówić, albo wasz rzecznik prasowy będzie miał ręce pełne roboty. Prawdę mówiąc, nie wykluczam możliwości specjalnego śledztwa zarządzanego przez burmistrza. Kto wie? Uwzględniając smród, jaki już jest między Waszyngtonem a Bonn, może sekretarz stanu osobiście zadzwoni do komisarza policji. Więc radze ci w twoim najlepiej pojętym interesie, byś włożył swój garnitur od Cerrutiego. Chcesz chyba wypaść w telewizji jak najkorzystniej.

- Dlaczego, ty... Ty suko! - szepnął urażony i wystraszony. - Wiesz, jak prowadzić brudną grę, prawda?

- Potraktuję to jak komplement - odparła wyniośle. - Jeszcze jedno, Charley - dodała bezlitośnie. - Proponuję, abyś zrezygnował z tych okropnych, krzykliwych krawatów. Uważam, że przed kamerami najlepiej wypadnie ten czerwony od Hermesa.

Detektyw Ferraro poddał się w końcu.

- No dobrze już, dobrze! - warknął zrezygnowany. - Wygrałaś. Ale muszę dłużej zostać w pracy, mogę przyjść dopiero po siódmej.

- Bardzo mi odpowiada ta godzina. Ale spotkamy się nie tutaj, tylko w domu. Chyba pamiętasz adres? - spytała słodziutkim głosikiem.

W odpowiedzi cisnął słuchawkę na widełki.

Kenzie z uśmiechem odłożyła swoją. No proszę! To wcale nie było takie trudne! Nic a nic. Pomyślała z zadowoleniem, że trzyma Charleya w szachu. Wiedziała o tym, a co ważniejsze, on też o tym wiedział. Nie wiedział natomiast, że Kenzie ma teraz współlokatorkę. A w obecności Zandry nie zachodziła obawa, że dojdzie do głosu jego libido.

Zresztą tym razem Charleyowi nie pomoże jego męski urok, ponieważ panna MacKenzie Turner jest absolutnie odporna na jego wdzięki. Prawdę mówiąc, nic do niego nie czuje.

Nic a nic!

* * *

Teatr, prawdziwy teatr, który Zandra odkryła w ciągu ostatnich trzech miesięcy, nie znajdował się na Broadwayu, tylko na ulicach i chodnikach Manhattanu.

Pomimo wytwornej scenerii, w obsadzie można było zobaczyć przedstawicieli różnych klas: odziana w sobole dama mijiała szybkim krokiem obdartego żebraka, nieustraszony rowerzysta w błyszczącym spandexie ocierał się o bankowca w garniturze szytym na miarę, długonoga modelka omijała szerokim łukiem maniaka, wykrzykującego obscenia, a obojętna na wszystko czarna pielęgniarka popychała wózek ze starcem.

Zandra, której doświadczenie sceniczne ograniczało się do konkursu piękności, zawsze czuła się tu, jakby ją umieszczono pośród dekoracji do prawdziwego, największego przedstawienia na tej ziemi: Manhattan był wiecznie czynnym teatrem, gdzie jednocześnie grano *Marata Sade*, *Bosonogiego w parku*, *Prywatne życie* i *Operę za trzy grosze* - dokładny termin wystawienia poszczególnych sztuk zależał od takich czynników, jak kaprysy pogody, stan gospodarki, pora dnia, a nawet faza księżyca.

Jednak nie myślała teraz o owym cyrku z tysiącem aren, kiedy szła bez celu Madison Avenue, zadowolona z siebie, w swoim nowym, czarnym płaszczu z kaszmiru, kupionym na wyprzedaży poświętej, który ożywiła trzykolorowym szalikiem od Issey Miyake. Zamierzała spędzić przerwę obiadową na oglądaniu wystaw - zajęciu wymuszonym przez najskromniejszy z budżetów.

Jak zwykle bezwstydnie bogate wystawy sklepowe przyciągały uwagę i nęciły. Nie, żeby Zandra zazdrościła klientkom wychodzącym od Gianiego Versace czy kolekcjonerowi, marszczącemu czoło na widok Francesco Clemente w oknie Galerii Gagosian, czy turystom, grzebiącym w starociach w Mabel's. Wychowana właściwie bez grosza przy duszy, wcześniej poznała wartość pieniędzy i gospodarowała nimi nadzwyczaj oszczędnie, jednocześnie widząc u swych niezmiernie bogatych, zepsutych kuzynów, że szczęście to jedyna rzecz, której nie można kupić za żadne skarby świata.

Dlatego oglądanie takich pokus, jak kwiecista, wiosenna kolekcja Givenchy'ego czy olśniewająca biżuteria w stylu Art Deco u Freda Leightona zupełnie jej wystarczało. No cóż, mówiąc szczerze, może trochę od dawiała się marzeniom - ale czuła się całkiem zadowolona.

Zresztą czemu miałyby być inaczej? Nowy Jork okazał się dla niej wyjątkowo przychylny, czego więcej mogłaby chcieć?

Cóż, właściwie dwóch rzeczy, jedynych dwóch rzeczy, których jej brakowało w życiu. Po pierwsze stałego chłopaka. Po drugie - co było o wiele ważniejsze i wywoływało więcej niepokoju - Rudolph wciąż nie dał znaku życia.

Zandra westchnęła. Nieobecność brata w najbardziej nieodpowiednich chwilach wywoływała u niej dręczące poczucie winy.

Każdy telefon do Anglii - według ostatnich szacunków wydała na nie już blisko dwa tysiące dolarów - okazywał się ślepą uliczką. Albo jej brat ukrył się tak dobrze, że nikt go nie mógł odnaleźć, albo...

Albo co? Spoczywał gdzieś w płytkim nieoznakowanym grobie? Leżał z kamieniem u szyi na dnie jakiegoś zbiornika wodnego? Trafił na wysypisko śmieci?

Zandra westchnęła głośniej i odrzuciła wszelkie tego typu przypuszczenia. Nie pozwoli sobie na rozmyślania o jego losie, w przeciwnym razie zwariuje.

Postawiła kołnierz płaszcza i szła przed siebie. W pewnej chwili usłyszała, jak ktoś woła za nią:

- Zandra? Zandra von Hohenburg-Willemlöhe?

Zaskoczona, odwróciła się gwałtownie. Zmarszczyła czoło, próbując skojarzyć, do kogo należy znajoma twarz. Nagle sobie przypomniała.

- Ojej, Penelope! Penelope Gainsborourg! To ty?

- We własnej osobie! - zachichotał chudzielec o kręconych, marchewkowych włosach, w obszernym płaszczu od Fendiego, uszytym z pasków rozmaitych futer, skór i zamszów we wszystkich możliwych odcieniach brązu.

Objęły się i pocałowały tak, by nie dotknąć ustami swych policzków. Potem odsunęły się od siebie na długość ramienia.

- Mój Boże, Penelope, kochanie, świetnie wyglądasz. A jak tam Dicky?

- To już przeszłość - padła radosna odpowiedź.

- Przeszłość? - Oczywiście Zandry zrobiły się wielkie jak spodki. - Jak to?

- Kochanie, nie nazywam się już Gainsborourg, tylko Troughton. Jestem panią Alexowa Troughton. - Penelope mówiła urywanymi zdaniem.

- A oto dowód - dwadzieścia dwa karaty bez skazy. Spójrz! - Wyciągnęła dłoń.

Zandra gapiała się podziwiając wielki brylant.

- Och, jest... ogromny.

- Groteskowo wielki i absolutnie drobnomieszczański! - Penelope zachichotała wesoło. - Brylanty nadal są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny. Mam zasadę, by ich nigdy nie oddawać, kiedyś zrobię sobie z nich bransoletkę, a raczej naszyjnik. Trzeci rozwód i czwarte małżeństwo! Wszystkie zawarte i rozwiązane w Meksyku, a mam dopiero dwadzieścia sześć lat. Masz pojęcie? Ale nawiasem mówiąc, cóż to był za skandal. Okazało się, że każdy z kimś kręcił. Najpierw Lucinda Troughton uciekła - jeden Bóg wie dokąd - z jakąś kobietą, potem Dicky z lokajem Alexa - możesz sobie wyobrazić coś bardziej okropnego? Uciec z czymś lokajem! W końcu ja i biedny, słodki Alex...

- Ojej, Penelope. To absolutnie niesłychane. Muszę przyznać, że nie wiem, kiedy słyszałam coś równie pogmatwanego.

- Jak to? - Pani Alexowa Troughton gapiała się na nią, otworzywszy ze zdumienia usta. - O niczym nie słyszałaś?

- Och, Penelope, chyba nie. Widzisz, jestem zupełnie nie na bieżąco.

- Widzę! Boże. Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem... Pamiętam! Zadzwoniłaś, żeby zapytać o Rudolpha....tak... jest winien Dicky'emu masę pieniędzy. Nie, żebym się tym przejmowała. Prawdę mówiąc mam nadzieję, że Dicky nigdy nie zobaczy ani szylinga z tej forsy - zasłużył sobie na to uciekając z lokajem Alexa, prawda? Szczególnie, że przyzwolici lokaje znajdują się na samym początku listy zagrożonych gatunków... a może już całkowicie wyginęli? Nieważne! No proszę, spotkać cię akurat tutaj. Kochanie, co ty, u diaska, robisz w Nowym Jorku?

Zandra, starając się nie pogubić w tym nagłym przeskakiwaniu z tematu na temat, oraz wtrętach i aluzjach Penelope, powiedziała:

- O, to okropnie długa historia. Mieszkam teraz tutaj. - Nie zamierzając wnikać w szczegóły, zmieniła temat rozmowy. - Ale kochanie, co u ciebie? Co cię tu sprowadza? Wciąż kryjesz się przed ludźmi z Fleet Street?

- Czy się kryję? Ależ skądże znowu! - odparła tamta promiennie. - Spędzam miesiąc miodowy z Alexem.

- To cudownie. Jesteś szczęśliwa?

- O, tak.

- Moje gratulacje. Czy nie powinnyśmy tego oblać? - Zandra się rozejrzała. - A gdzież ten szczęściarz?

Penelope się zasępiła.

- Uwierzysz? Rozłożyła go grypa. Słowo daję! Prosiłam go: „Zaszczep się, kochanie.” Ale cóż, mężczyźni nigdy nie słuchają dobrych rad. A uwierzysz, mamy bilety w pierwszym rzędzie na dzisiejsze przedstawienie *Bulwaru Zachodzącego Słońca*”? Nie znoszę takiego marnotrawstwa, ale cóż poradzić... Kto by poszedł sam do teatru? - W tym momencie Penelope się rozpromieniła. - Ależ naturalnie! Jaka ze mnie gapa! Zandro, a może wybierzesz się ze mną? Najpierw zjemy obiad... uwielbiam Rosyjską Herbaciarnię. Och, zgódź się, będzie bosko!

- No cóż, czemu nie?

- Zandro, cudownie! Jesteś kochana, uratowałaś ten wieczór. Mamy sobie tyle do powiedzenia... Och! Muszę lecieć! Między zakupami gram Florence Nightingale, no wiesz. Spotkamy się o szóstej?

- Tak. W Rosyjskiej Herbaciarni.

- Już się nie mogę doczekać! Wszystkich olśnimy. Pamiętaj, rezerwacja jest na nazwisko Troughton. Panią Alexowa Troughton. - Penelope zachichotała. - No, lecę!

Posłały sobie całusy, pomachały dłońmi.

- Do zobaczenia!

I istota odziana w modny płaszcz zniknęła.

Zandra stała, patrząc za Penelope. Czuła się, jakby przed chwilą przeszło tędy małe tornado i pomknęło dalej, by siać spustoszenie we wszystkim - czy wszystkich - co znajdzie na drodze.

Idąc wzdłuż Madison, myślała o czekającym ją wieczorze.

Rosyjska Herbaciarnia i przedstawienie na Broadwayu.

Czemu nie? Ostatecznie nie miała nic lepszego do roboty.

25.

- Czy możesz przestać krążyć po pokoju i usiąść? - warknął poirytowany Charley. - Jezu, Kenzie, jesteś zła jak osa. Myślisz, że co zrobię? Zacznę gryźć?

- Zła? Kto jest zły? - spytała zaczepnie Kenzie, z wyniosłą miną siadając w fotelu. Za nic w świecie nie usiądzie obok niego na kanapie. O, nie! Prędeż jej kaktus wyrośnie na dłoni!

Jednak wbrew temu, co mówiła, była niezwykle spięta. Gdyby wiedziała, że Zandra - ładna mi przyjaciółka! - zostawi ją w takiej chwili samą, nigdy by się nie zgodziła spotkać z Charleyem tutaj, w swym mieszkaniu.

Nie. Wybrałaby jakiś neutralny grunt. Ostatecznie konfrontacja z rozpustnym zboczeńcem miała sens jedynie w tłumie, a nie w domowym zaciszu.

Oto, na co jej przyszło: siedzi sam na sam z największym draniem na świecie, z tym egocentrycznym maniakiem seksualnym, który uważa się za nie wiadomo kogo.

- Słuchaj, Charley - odezwała się rzeczowym tonem - proponuję, żebyśmy się ograniczyli wyłącznie do spraw czysto zawodowych, dobrze? Jedynym powodem, dla którego oboje się tu znaleźliśmy, jest to, że mamy do rozwiązania problem.

- Och! - powiedział, gładząc jeden koniec swych obwisłych wąsów niczym Sam Elliot. - Czyżby?

- Tak - odrzekła lakonicznie.

- Nie, Kenzie. - Zostawił w spokoju swoje wąsy. - To nie tak. Widzisz, patrzysz na sprawę z zupełnie niewłaściwej strony. - Charley pokazał palcem siebie i ją. - To nie my mamy problem. Zgoda, że Burghley może go mieć, a więc... - skierował palec wskazujący w jej stronę - ...ty także.

Ale nie ma go ani wydział walki z kradzieżami dzieł sztuki policji nowojorskiej, ani ja. - Rozsiadł się wygodnie na kanapie i skrzyżował ręce za głową. - Im szybciej to do ciebie dotrze - zakończył z zadowoloną miną - tym lepiej dla nas obojga.

Twarz Kenzie stężała. Jak on śmie mnie pouczać! - pomyślała, czując narastającą wściekłość. Za kogo, u diabła, się uważa? Czyżby ten łotr zapomniał, że policja jest - przynajmniej w teorii - instytucją mającą służyć społeczeństwu? I że Burghley, jako przedsiębiorstwo płacące podatki, ma takie samo prawo zwrócić się o pomoc, jak Galeria Artisteria, ten drugorzędny kramarz handlujący wątpliwego pochodzenia grafikami Leroya Neirmana, Ertésa i Dalego?

Naturalnie, że tak! Jednakże wiedziała, że teraz nie czas ni miejsce na sprzeczki.

Niech Charley pozostanie zadowolony z siebie, pomyślała. Może postępować tak niedojrzale, jak chce; Kenzie, oficjalny przedstawiciel Burghleya w tej sprawie, zachowa na zewnątrz spokój, powagę, rezerwę i profesjonalizm - będzie tak nieugięta, że doprowadzi go do szału.

- Przykro mi, skarbie - powiedziała. - Czy ci się to podoba, czy nie, zajmujesz się tą sprawą. A jeśli się okaże, że nasz Holbein został rzeczywiście skradziony...

- Chwileczkę. - Charley podniósł rękę do góry gestem, jakim policjant zatrzymuje samochody. - Mówisz, że musiał zostać przemycony do Ameryki. Mam rację?

- Jeśli został skradziony, to owszem. - Skinęła głową.

- W takim razie to sprawa dla Interpolu i FBI. Czy muszę ci przypominać, że międzynarodowy handel skradzionymi dziełami sztuki nie podlega jurysdykcji policji nowojorskiej?

- Nie musisz. Ale się mylisz. Zgoda, to sprawa dla Interpolu i FBI, jednak dotyczy również policji nowojorskiej. Ten obraz znajduje się w naszym magazynie przy Madison Avenue, Charley. Na terenie Nowego Jorku. Co więcej, został przyniesiony do naszej nowojorskiej galerii przez prawnika z Manhattanu, reprezentującego sprzedawcę, który z nieznanym przyczyn woli zachować anonimowość.

- Niezbity dowód, że coś tu śmierdzi, tak?

- Posłuchaj - powiedziała siląc się na cierpliwość. - To nie ja przyjechałam ten obraz. Nie muszę ci też mówić, że ciągle mamy do czynienia z pośrednikami: prawnikami, rzeczoznawcami, prywatnymi marszandami... oboje wiemy, dlaczego klienci korzystają z ich usług.

- Aby zachować anonimowość.

- Albo z obawy przed złodziejami czy porywaczami, albo dlatego, że przeżywają ciężkie chwile i nie chcą rozgłaszać tego wszem i wobec, albo dlatego, że są jakimiś szalonymi odludkami i zrobią wszystko, by zachować swoją prywa...

- Dobrze już, dobrze! - przerwał jej rozdrażniony. - Powiedz mi tylko, czego ode mnie chcesz. Żebym aresztował kogoś, o czym istnieniu nawet nie wiemy?

- Wprost przeciwnie. Na razie twoim zadaniem jest pomóc nam prowadzić własne śledztwo. Krótko mówiąc, masz dostęp do informacji, których my nie jesteśmy w stanie zdobyć. Możemy również cię potrzebować jako łącznika...

- „Łącznika”? - spytał kpiącym tonem, udając, że zrobiło to na nim wrażenie. - Czy to teraz słowo dnia?

- Odezwał się, mądrała! Rozumiem, że możemy liczyć na twoje doświadczenie?

- Dlaczego nie zatrudnicie detektywa?

- Ty też jesteś detektywem - oświadczyła z uporem w głosie.

- Mam na myśli prywatnego detektywa.

- Czy po to płacimy podatki? - spytała z oburzeniem. - Żeby płacić prywatnemu fachowcowi za te same usługi, za które już zapłaciliśmy miastu?

- Powinienem wiedzieć, że będziesz miała gotową odpowiedź na wszystko! - mruknął ponuro.

Kenzie przechyliła głowę i uśmiechnęła się słodziutko.

- Dobra. - Westchnął. - Czy mogłabyś mi powiedzieć, jakie dokładnie informacje mam zdobyć i z kim będę się musiał skontaktować?

- Miałam nadzieję, że ty mi to powiesz - zauważyła rozpromieniona.

- Przecież to ty jesteś gliniarzem.

Walnął się ręką w czoło.

- Chryste! Sam sobie ukreśliłem bat na własną skórę, czyż nie? - Ze złości zazgrzytał zębami.

Ze wszystkich podłych i nikczemnych istot, ta diabliska naprawdę była najgorsza! Jakie to podobne do niej wykorzystać przeciwko niemu jego własne słowa. I jakie niesamowite, że tyle bezlitosnego wyrachowania - tyle podstępного egoizmu! - może się kryć za tak niewinną buzią. Naprawdę powinno istnieć prawo nakazujące, by charakter człowieka był zgodny z jego powierzchownością. Nie, żeby miało to wielkie znaczenie. Raz wystrychnęła go na dudka i dostał nauczkę. Jednak patrząc z perspektywy, nie mógł sobie wyobrazić, że kiedyś był tak naiwny, by oddać

się tej chytrej lisicy całym ciałem i duszą. No cóż, przynajmniej nie grozi mu, by to się kiedykolwiek powtórzyło!

- Dobra. - Westchnął i niechętnie zmusił do pracy swe szare komórki. Im szybciej się z tym upora, tym szybciej będzie mógł się stąd wynieść. - Kto jest pośrednikiem?

- Niejaki Zachary Bavosa, prawnik.

- Cholera.

- Dlaczego „cholera”? - spytała Kenzie, patrząc na Charleya podejrzliwie. - Wnioskuje z tego, że coś o nim wiesz?

- I owszem.

- Na przykład co?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Na przykład to, że macie do czynienia z prawdziwą szumowiną.

Trzeba samemu być draniem, by poznać swego, pomyślała złośliwie, ale się nie odezwała.

- Prawdziwy hochsztapler - powiedział, a po chwili namysłu dodał: - Lepiej na mnie nie licz.

- Hola! - oburzyła się Kenzie, czując, jak ją pieką policzki. - Nie tak prędko. - Ręce ją świerbiły; czuła wręcz przemożne pragnienie, by chwycić Charleya i wytrząsnąć zeń potrzebne informacje.

- Słuchaj, Kenzie. - Oparł łokcie na udach i pochylił się nad stolikiem. - Bavosa może być hochsztaplerem, ale małego formatu. Kradzież w Galerii Artisteria, owszem, mogę go sobie wyobrazić jako pośrednika. Ale Holbein? - Potrząsnął głową. - Wykluczone.

- Aha! Więc przyznajesz, że wyżej stawiasz groszową kradzież od tego, co być może jest międzynarodową aferą?

- Kenzie, kradzież to kradzież. W galerii Artisteria związano i zakneblowano ludzi. Dla twojej wiadomości, mogli zginąć.

- Tak - powiedziała z przekąsem. - I to przez Lexa Bugga lub Ertésa. Boże, wyobraź sobie, jaka to zniewaga!

Wcale go to nie rozbawiło.

- Zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi ginie codziennie z powodu mniejszych kwot?

- Nie wątpię, że bardzo wielu. Ale skąd wiesz - spytała zaczepnie - że nikt nie zginął z powodu tego Holbeina?

- Nie wiem, ale to było dawno i sześć tysięcy kilometrów stąd. Tymczasem napad na Artisterię miał miejsce tu i teraz.

- Podobnie przedstawia się sprawa z Holbeinem - wycodziła nie ze złością, ale z przekonaniem. - Przynajmniej według Waszyngtonu i Bonn. I czy chodzi o groszowy interes czy też nie, pośrednikiem jest Bavosa.

- Przypuszczalnie udało mu się psim swędem i dlatego, że nie ma w tym żadnego przekreśtu.

- Skąd jesteś taki pewien?

- Ponieważ każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, trzymałby się od niego z daleka. Coś ci powiem - zawiadomię Kopensky, że będziesz z nią w kontakcie. Jest bardzo zdolna, możesz się do niej zwracać ze wszystkim. Ja mam teraz pilniejsze sprawy na głowie, więc jeśli to wszystko, co chciałaś mi powiedzieć, zmywam się.

Kenzie zerwała się na równe nogi.

- O, nie! - wykrzyknęła poirytowana. - Nigdzie nie pójdziesz, Charlesie Gabrieliu Ferraro. Nie, jeśli mam tu coś do powiedzenia.

Wziął z kanapy płaszcz i zwrócił się do wyjścia.

- W takim razie patrz! - powiedział ponuro.

- Pewnie, że będę patrzyła!

Z prędkością błyskawicy przemknęła przed nim, pierwsza znalazła się koło drzwi i stanęła na szeroko rozstawionych nogach, zagradzając mu przejście. Skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła na niego, a jej bursztynowe oczy lśniły jak węgle.

- Kenzie! - Charley westchnął znużony. - Kiedy skończysz z tymi sztuczkami? Proszę, odejdz od drzwi.

- Nie, nawet jeśli od tego zależałoby moje życie.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Czy to oznacza, że siłą muszę cię usunąć z drogi?

- Och! - odezwała się szyderczym tonem. - A więc teraz uciekniesz się do ulubionej metody działania policji - brutalności. - Zaśmiała się krótko. - Dlaczego mnie to nie dziwi?

- Kenzie! - westchnął. - Nie dajesz mi wyboru.

- Charley, jeśli tylko tkniesz mnie palcem, jak mi Bóg miły stawię ci... stawię ci...

- Co?

Źrenice jej się rozszerzyły.

- Stawię ci czynny opór!

- Ty? Stawisz mi opór? - Parsknął ironicznym śmiechem. - Nie mów. Zaczęłaś trenować karate?

- Proszę bardzo - prychnęła wyniośle. - Możesz się ze mnie wyśmiewać, jeśli chcesz.

- Nie wyśmiewam się - odpowiedział cicho. - Ładnie cię proszę. I pytam po raz ostatni, czy odsuniesz się od drzwi?

Stała z wojowniczo zadartą głową.

- Wykluczone!

- W takim razie nie mam innego wyjścia. - Wyciągnął rękę, ale Kenzie znów okazała się szybsza.

Bez zastanowienia i bez ostrzeżenia skoczyła prosto na Charleya, zarzuciła mu rękę na szyję, a nogami mocno ścisnęła w pasie. Tak go zaskoczyła, tak całkowicie ograniczyła mu pole widzenia, że cofnął się i upuścił płaszcz.

- Oszalałaś? - wyjąkał, próbując się od niej uwolnić.

Zamiast odpowiedzieć przywarła ściśle do niego; była tak dojrzała, zmysłowo i niezaprzeczalnie kobieca, że w tych okolicznościach trudno wyobrazić sobie mężczyznę, który miałby siłę jej się oprzeć. Choć Charley gniewnie przeklinał, już czuł, że coś się dzieje. Nie ulegało wątpliwości, że jego członek robi się twardy.

- Złaż ze mnie, do cholery! - wysapał zachrypniętym głosem detektyw Ferraro Na próżno jednak ciągnął za troczki jej czerwonych spodni od dresów. - Puść mnie!

- Nigdy! - wysapała, obejmując go mocniej.

- Ty... cholerna... babo! - Uczynił ostatnią próbę uwolnienia się, nie zważając na reakcję swego ciała. Złapał obydwoma rękami jej czerwony dres i z całej siły szarpnął. Rozległ się suchy trzask pękającego materiału, puściły szwy i nagle Kenzie poczuła na udach falę zimnego powietrza; znalazła się jedynie w niezwykle skąpych, czerwonych majteczkach.

- Ty... ty neandertalczyku! - wrzasnęła, trzęsąc się ze złości.

Charley chwiał się i zataczał, nic nie widząc.

Z wściekłością waliła go piętami w pośladki, a wolną ręką okładała po plecach.

- Ordynus! - krzyknęła i wpiła mu się w ucho zębami ostrymi jak sztylety, aż jęknął z bólu.

- Wariatka!

- Zboczeniec! - krzyczała Kenzie. - Gwałciiciel!

W tej chwili Charley zahaczył nogą o dywan. Zachwiał się niebezpiecznie, stracił równowagę i runął, lądując ciężko na podłodze. Z płuc uleciało mu całe powietrze.

Na szczęście dla Kenzie zwałił się na plecy, więc nie została przygniecioną. Jednak podczas upadku zsunęła się z niego. Teraz, pierwsza się pozbierawszy, znów się na niego wgramoliła. W pośpiechu nie zauważyła, że usiadła na nim w klasycznej pozycji. Cholera!

Gdzieś w środku mocne postanowienie, które uważała za ogniotrwałe, zajęło się płomieniem i stopniało jak wosk.

Gwałtowne dreszcze, pełne zmysłowości, przebiegły jej ciałem od stóp do głów; do głosu dochodziło coraz silniejsze pożądanie. Nagle Kenzie stwierdziła, że jedyną słuszną rzeczą jest teraz obserwować rejon rozporzeczki spodni Charleya.

Bo niezaprzeczalnie coś się tam działo. Jeśli prawidłowo oceniała sprawę, była właśnie świadkiem niezwykle silnej erekcji. Mocno ujęła jego penis, uwięziony w spodniach.

Głośno westchnęła. Jak mogła tak długo się obywać bez tego? I co nią zawładnęło, by przez kilka miesięcy z własnej woli skazać się na celibat? Trzeba się cieszyć pełnią życia jak markowym winem.

- Kenzie... - Głos Charleya był stłumiony, ale wywołał w niej dreszcz rozkoszy. - ...oboje... będziemy tego żałować...

- Och, zamknij się, Charley - powiedziała bez złości. - Czy nikt ci nigdy nie zwrócił uwagi, że za dużo mówisz?

Jedną ręką dotknęła jego przyrodzenia, drugą rozpięła pasek spodni.

Wiedziała, że dotarli do miejsca, z którego nie ma odwrotu, a ten stosunek nie jest czystym zaspokojeniem żądz. Czuło się powstrzymywaną pasję obojga; od ich ciał biło pożądanie; wydawało się, że czas się zatrzymał i liczyła się tylko chwila obecna.

Uznali, że ubranie krępuje im ruchy. Jednocześnie, bez słowa, pośpiesznie się go pozbyli: część zrzucili z łatwością, część zdarli ogarnięci pożądaniem.

Byli teraz oboje nadzy.

Kenzie czuła, jak serce wali jej niczym młot, krew jak oszalała krążyła w jej żyłach. Łzy napłynęły jej do oczu. Co do niego czuła? Miłość?" Czy też zwykłe pożądanie, uczucie tak potężne i wszechogarniające, że bladło przy nim wszystko na świecie?

Później będzie czas na rozważania. Teraz słowa były zbędne; nie istniało nic poza dwoma splecionymi ciałami.

Zmieniła pozycję i znalazła się twarzą w twarz z Charleyem; trzymając jego członek podniosła wysoko pośladki.

Przez chwilę znieruchomiła, jakby zawieszona w powietrzu, a potem z gracją wolno się opuściła. Oczy zrobiły jej się wielkie, poczuła ukłucie bólu i już był w niej.

Wolno, rozmyślnie, znów się uniosła, jakby chciała go z siebie wyrzucić, a potem znów na niego opadła. Rytmicznie podnosiła i opuszczała biodra: w górę, w dół, w górę, w dół, w górę, w dół...

Nagle przestało mu wystarczać bierne leżenie pod nią. Uniósł się na spotkanie jej ciała, ich ruchy stały się szybsze, biodra poruszały się w zmysłowym tańcu starym, jak sam czas.

Szybciej, szybciej, szybciej! Z zapamiętaniem oddawali się rozkoszy, gorączkowo poruszali biodrami, pochłonięci jednym pragnieniem - chęcią zaspokożenia.

Więcej, więcej, więcej! Zupełnie, jakby żadnemu z nich nie było dosyć. Żądza rodziła większą żądzę; biodra, ręce, nogi, piersi: wszystko pracowało w gorączkowym napięciu.

A potem oczy Kenzie stały się szkliste; otworzyła usta w ekstazie, z jej gardła wydobył się zduszony krzyk. Poczula narastający w niej dreszcz; wszechświat wybuchł niczym za sprawą szalonego pirotechnika.

Ale to był dopiero pierwszy z kilku orgazmów. Nigdy dotąd tak się nie czuła; lecz nigdy wcześniej tak długo nie pozostawała w celibacie. Każdy orgazm przychodził jak wstrząs, każdy był coraz silniejszy.

W końcu Charley nie mógł już dłużej wytrzymać.

Wydawało się, że ziemia zadrżała i rozstąpiło się niebo; jej krzyk mieszał się z jego jękiem, kiedy razem przekroczyli linię mety w apokalipsie, która zdawała się nie mieć początku ni końca. Potem zaś wyczerpani, łapczywie chwytając powietrze, przywarli do siebie.

Minęło kilka minut. Wreszcie Charley poruszył się i zerknął przelotnie na Kenzie, a potem przyjrzał jej się uważniej. Omal się nie zakrztusił.

Ki diabeł?

Gwałtownie usiadł i potrząsnął głową, by odzyskać jasność umysłu, gorączkowo próbując sobie wytłumaczyć, jak mogło do tego dojść.

Możliwe było tylko jedno wyjaśnienie.

- Czego - spytał, ochrypniętym głosem - dosypałaś do mojego drinka?

- Nie bądź głupi - odrzekła spokojnie Kenzie. Leżała niczym uosobienie dojrzałej, zaspokojonej Wenus. - Nawet ci nie zaproponowałam nic do picia, nie pamiętasz?

Podrapał się w głowę i zmarszczył czoło.

- Racja. Więc co dokładnie się stało?

- Cóż, chciałabym wierzyć, że to ja tak na ciebie działałam - odrzekła z uśmiechem.

- Jezul! - wykrzyknął. - Wiesz, co jest z tobą nie tak?

- Co? - zamruczała jak kotka.

- Masz jaźń wielkości cholernego szczytu Mont Blanc!

- Och - powiedziała słodkim tonem. - Mówiłam ci już, jaki jesteś śliczny, kiedy się złościsz?

Charley spojrzał na nią spode łba.

Kenzie zawsze się zastanawiała, dlaczego te słowa nieodmiennie irytują mężczyzn, ale tak było. Jeszcze nie spotkała faceta, który byłby odporny na ową uwagę.

Udając, że go nie widzi, przeciągnęła się leniwie, podłożyła ręce pod głowę i poruszyła palcami nóg.

- Mój Boże! - Charley rozpoznał stałe sztuczki ze swego repertuaru. Naśladuje mnie! - uświadomił sobie. Przedrzeźnia moje zachowanie! - Czy nie ma już nic świętego? - spytał zimno.

- Jest! - odparła radośnie, kiwając palcami. - Krowy.

Krowy? Nawet nie zamierzał zapytać, co chciała przez to powiedzieć.

- Wiesz - oświadczył - czasami potrafisz być naprawdę nieznośna.

- Racja! - odparła promiennie. - Ale czasami bardzo, bardzo przyjemnie nieznośna! - Przesłała mu całusa. - Dzięki, kochasiu.

Zacisnął zęby, nie zamierzając odzywać się ani słowem do tej najnędrniejszej z kreatur, i wstał. Rozejrzał się wokoło.

- Skarpetki - wycedził.

Znalazł jedną i wciągnął ją na lewą nogę, śmiesznie podskakując.

Kenzie leżała podpierając się na łokciach i z coraz większym rozbrawieniem obserwowała, jak Charley biega po pokoju i zbiera poszczególne części garderoby, porozrzucane w nieładzie.

Czując na sobie jej wzrok, odwrócił się tyłem i zaczął się ubierać.

Cudownie! - pomyślała. Nagle jurny byk zrobił się nieśmiały! Jakby była taka część jego ciała, której nie widziałam!

Westchnęła w duchu. Mężczyźni! Czasami naprawdę stają się straszliwymi dupkami.

W końcu Charley był gotów, zapięty na ostatni guzik.

Poprawiając krawat, przeszedł sztywno obok niej, po drodze podniósł z podłogi płaszcz. Kiedy tylko znalazł się przy drzwiach, nie tracąc czasu zaczął otwierać pierwszy z pięciu zamków.

- Och, skarbie! - zawołała Kenzie omdlewającym głosem.

Czekała, ale był zbyt pochłonięty otwieraniem drzwi, by zwracać na nią uwagę.

A niech go, pomyślała lekko zaniepokojona. Specjalnie pokazuje, że mnie lekceważy.

- Nie zapomniałeś o czymś? - spytała, lekko unosząc głos.

- O czym? - Rzucił jej spojrzenie z ukosa.

- O tym! - Kenzie zerwała się na nogi, złapała leżącą na stoliku grubą kopertę i cisnęła w niego.

Miał do wyboru - albo oberwać kopertą, albo ją złapać. Rozsądnie zdecydował się na to drugie.

- Jezu! - Spojrzał groźnie. - Czym ty próbujesz mnie zabić? Ołówek?

Kenzie przeszła przez pokój. Poruszała się zwinnie i z gracją, jej piersi sterczały dumnie.

Charley poczuł, jak krew napływa mu do twarzy i szybko odwrócił wzrok. Tak go omotała, że musi się maksymalnie skupić, by poradzić sobie z otwarciem baterii zamków! Dlaczego nie może zachować dystansu? Jej bliskość działała na niego jak najczulsza pieśczoła.

- Ta koperta - poinformowała go - zawiera dokumenty dotyczące Holbeina.

Otworzył już cztery zamki i pomyślał: Jeszcze jeden i mnie tu nie ma!

- Powinieneś znaleźć tu wszystko, co ci będzie potrzebne - ciągnęła Kenzie. - Katalog, oceny, kolorowe przezrocza, pokwitowanie sprzedaży, przeniesienie własności, kopie korespondencji... wszystko.

Szczęknął ostatni zamek.

- Jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebował - dodała łagodnie - nie wahaj się poprosić.

Akurat! - pomyślał i otworzył drzwi. Zbiegł szybko po stopniach, ścisnąc kopertę pod pachą.

Kenzie wysunęła głowę na korytarz.

- Zadzwoń do ciebie jutro! - zawołała za Charleyem, który zniknął właśnie za zakrętem schodów.

Uśmiechając się do siebie zatrzasnęła drzwi i zamknęła wszystkie zasuwki.

To był z pewnością bardzo interesujący wieczór, doszła do wniosku. Tak. Naprawdę bardzo interesujący...

Nie tylko zmusiła Charleya do współpracy, ale przy okazji osiągnęła kilka razy orgazm!

Co dowodzi jednego, pomyślała. Jeśli dobrze zagrasz swoimi kartami, możesz zachować ciasteczko i jednocześnie je zjeść!

Zadowolona z siebie, przeciągnęła się leniwie. Zastanawiała się, ziewając szeroko, dlaczego po stosunku zawsze chce jej się spać? Naprawdę, gdyby ktoś potrafił butelkować błogość, którą odczuwała po współżyciu fizycznym, tarzaliby się w forsie. Zupełnie wyparliby z rynku pigułki nasenne...

Przechodząc przez pokój, poczuła pod bosymi stopami coś jedwabistego. Pochyliła się, by sprawdzić, co to. Wielki Boże, jej czerwone majteczki.

Rozejrzała się wokoło. Dywan usłany był dowodami rozpusty, jaka tu miała miejsce, nie wyłączając podartych spodni od dresu z czerwonego dżerseju. O rety!

Wiedziała, że powinna teraz to wszystko pozbierać... poprawić poduszki na kanapie... przywrócić w pokoju porządek.

Ziewnęła szeroko. A tam! Po co ten pośpiech? Zandra nie wróci do domu jeszcze przez... Parę godzin? Będzie jeszcze dużo czasu, by posprzątać... cała masa. Zwinęła się w kłębek na kanapie, wsunęła poduszkę pod głowę i zamruczała leniwie. Och, jak przyjemnie...

Powieki jej opadły i wkrótce zapadła w sen.

Śniło jej się, że spała do powrotu Zandry.

Obudziła się przerażona i zobaczyła swą współlokatorkę z programem teatralnym w ręku. Rozglądała się po pokoju z mieszaniną ciekawości i rozbawienia.

- Ach! - Kenzie usiadła gwałtownie, przez chwilę całkiem zdezorientowana. Uświadomiła sobie, że jest golusienka. Chwyciła poduszkę i przycisnęła ją do piersi.

- Ciii! - Zandra przytknęła palec do ust. - Śpij dalej! - powiedziała teatralnym szeptem, przechodząc obok niej na paluszkach. - Nie będę gderać. - I puszczając oko dodała: - Daję słowo!

- To wcale nie to, co myślisz - burknęła Kenzie, aż nadto dobrze wiedząc, że kłamie.

Przyjaciółka ominęła podarte spodnie od dresu, nie odzywając się ani słowem. Ale właściwie nie musiała, dowody mówiły same za siebie, podobnie jak jej uniesione brwi.

Kenzie pochyliła głowę.

- O, Boże! - jęknęła. - Nigdy tego nie naprawię!

- Nigdy nie mów „nigdy” - poradziła jej przyjaciółka. - Ale, kochanie, nie ma się czym martwić! Naprawdę, przecież jesteś pełnoletnia. Jeśli było dobrze - a było, prawda? Nie, nic nie mów... masz prawo do prywatności. „Nigdy nie narzekaj, nigdy się nie tłumacz” - znam tę zasadę. Więc sama widzisz, że nic nie musisz wyjaśniać. - Ale nie mogła się powstrzymać, by nie dodać: - Chociaż osobiście uważam, że to bardzo słodkie. Chodzi mi o to, że się całowaliście z Charleyem i się pogodziliście. - Westchnęła. - Boże, jakie to romantyczne!

Kenzie zgrzytnęła zębami, opadła na kanapę i zasłoniła sobie twarz poduszką.

Zandra udała, że ziewa.

- No, pora iść spać. Czy to nie okropne, że po teatrze zawsze ogarnia mnie senność? - Skierowała się do swego pokoju. - Mam zgasić światło?
Kenzie nie odpowiedziała.
Zandra przyjęła jej milczenie za odpowiedź twierdzącą.
- Dobranoc! - zaszcebiotała i przekręciła kontakt.
W salonie zapanowała ciemność.
- Cholera! - szepnęła porywczo Kenzie. Zwinęła się w kłębek i natychmiast ponownie zapadła w sen.

26.

Nazajutrz późnym rankiem na rogu Park Avenue i Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy na drugim piętrze domu aukcyjnego Christie's unosił się mocny zapach pieniędzy.

W tym szczególnym dniu, niespełna dwadzieścia cztery godziny przed zapowiadaną aukcją „Fabergé, rosyjskich dzieł sztuki, bibelotów oraz wyrobów srebrnych i złotych z Anglii, Europy kontynentalnej i Ameryki”, aura bogactwa była wprost od posrebrzanych i pokrytych emalią kompletów do herbaty, promieniowała od bogato złożonych osiemnastowiecznych drzwi, których jedno skrzydło przedstawiało naturalnej wielkości postać świętego Jana Chryzostoma, a drugie świętego Bazylego; unosiła się, niczym ulotne perfumy, nad kompletami ręcznie malowanej porcelany i uderzała, niczym prowokujący podmuch, od szklanych gablot, zawierających wysadzane drogimi kamieniami kaukaskie sztylety i stuletnie tabakierki.

W otoczeniu przedmiotów takiej wartości ludzie znizali głos do szeptu - nawet tej klasy koneserzy, co Becky V. Pomimo dziesięcioleci, spędzonych na zwiedzaniu najwspanialszych galerii domów aukcyjnych na świecie, prywatnych zbiorów i muzeów, zawsze przebiegał ją dreszcz na widok owych skarbów, których historię czytało się jak kwintesencję *Wykazu Parów Wielkiej Brytanii* Burkego, Debretta, *Almanachu gotajskiego*, *Błękitnej Księgi* i *Kto jest Kim* - przedmiotów, które za sprawą swych właścicieli zyskały znaczenie historyczne lub społeczne, a w niektórych niezwykle rzadkich przypadkach otaczała je prawdziwa aura tajemniczości.

Bo cóż mogło się równać ze srebrnym pucharem, z którego kiedyś piła Maria Antonina?

Albo emaliowanym jajkiem, którego właścicielką była nieszczęsna caryca Alix?

Becky przystanęła przed przeszkloną gablotą. Książę Karl-Heinz, za ledwie wczoraj wróciwszy z Niemiec, towarzyszył wielkiej damie krok w krok, dopuszczony za mur, którym się otoczyła, oglądając wraz z nią samowary, srebra z Augsburga i złote miniaturowe filiżanki. Z pewnej odległości dyskretny ochroniarz uważnie obserwował wszystkich obecnych.

- A więc... *le vieil Prince?* - szepnęła Becky swym aksamitnym głosem. Chwilowo uniosła przyłbicę i zrezygnowała z maski: wielkie, ciemne okulary, z którymi się nie rozstawała, przesunęła na kruczoczarne włosy. - Stan ojca w końcu się ustabilizował?

- Przynajmniej chwilowo - cicho odpowiedział Karl-Heinz. - Ale niewiele brakowało. - Uśmiechając się krzywo, dodał: - Przypuszczam, że moja siostra Sofia była zdruzgotana, kiedy się jakoś wykaraskał.

- *Naturellement* - Diuszesa rzuciła mu wymowne spojrzenie. - Pomyśl o tych miliardach, które ona i ten jej mąż... jak mu tam - *je oublier* - Egbert?... otrzymaliby w zarząd powierniczy dla swego najstarszego syna!

Karl-Heinz się uśmiechnął.

- Nie Egbert, tylko Erwein .

- Erwein! - Wymówiła te dwie krótkie sylaby z pewnym zdumieniem. - Dlaczego mi się wydawało, że nazywa się Egbert? *Comment se fait-il que?*

- Może dlatego, że do niego pasuje ? - powiedział.

- Oui. Rzeczywiście. - Uśmiechnęła się ponuro. - Spotkałam go raz czy dwa razy, *le malheureux*. Okropny, przeokropny człowiek!

- Gorszy niż sobie wyobrażasz - zgodził się książę. - A przy tym taki nudny! To chyba jego największy grzech.

Becky przystanęła, by przyjrzeć się uważniej bogato zdobionemu osiemnastowiecznemu srebrnemu kubelkowi do chłodzenia wina. Po tem, marszcząc lekko brwi, potrząsnęła głową i wolno ruszyła dalej.

Miała na sobie kostium Chanel z krótką spódniczką, szafirowoniebieski z turkusową lamówką, co idealnie pasowało do jej profilu, przypominającego profil Nefretete, i szczupłej sylwetki. Biżuteria ze szmaragdów - kolczyki, bransoletka i naszyjnik - dobrana była do koloru lamówki kostiumu.

- A ty? - spytał grzecznie Karl-Heinz, idąc z rękami założonymi do tyłu. - Dobrze się czujesz?

- Powinieneś wiedzieć, że życie zawsze mi służy. Hmmm...

Becky przystanęła obok stolika i pożądlwym wzrokiem obrzuciła wyjątkowo cudowne, półmetrowej wysokości srebrne tabernakulum. Miało kształt rosyjskiej cerkwi, z jedną centralną, turkusową, cebulastą kopułą, otoczoną po rogach czterema mniejszymi. Z trzech stron znajdowały się drzwiczki na zawiasach z wyrzeźbioną postacią Chrystusa.

Spojrzała na numer eksponatu i zajrzała do katalogu.

- „Srebrna, emaliowana *darokchranilnica*, Nikołaj Tarabrow, Moskwa, około 1910” - przeczytała na głos. Spojrzała pytająco na Karla-Heinza.

Uśmiechnął się znowu.

- Tutaj, w domu aukcyjnym Christie's, to „darokchranilnica”. Wszędzie gdzie indziej to po prostu tabernakulum.

- *Finaud*. Mądrała. - Becky uszczypliła go w ramię. - Mając dwanaście miliardów, możesz sobie pozwolić na brak *snobisme*. *C'est vrai?*

Obeszła stolik, pochylając się, by obejrzeć tabernakulum z bliska ze wszystkich stron. Otworzyła jedno z drzwiczek i zajrzała do środka, potem zamknęła je równie delikatnie i wyprostowała się, podejmując decyzję.

- *Alors* - oświadczyła. - zamierzam wziąć udział w jego licytacji. *Qu'en pensez-tu?*

- Jest bardzo piękne - zgodził się książę. - Miniaturowe arcydzieło.

- *Oui*. Jedno trzeba powiedzieć o *Les Russes*, zawsze byli bardzo dobrzy w tych rzeczach. - Zmarszczyła lekko brwi, zajrzawszy do katalogu. - Szacują wartość na od sześciu do ośmiu tysięcy. Myślę, że bardzo skromnie. - Spojrzała na swego towarzysza. - Jak uważasz?

- Zgadzam się. - Karl-Heinz skinął głową.

Wzięła go pod ramię i poprowadziła tam, gdzie wisiały ikony.

- Skoro już mówimy o pieniądzach... - odezwała się, zaciągnawszy księcia do kąta. Niespodziewanie puściła jego rękę i stanęła doń przodem. - Heinzie! Musimy porozmawiać o finansach!

- Och? Brakuje ci pieniędzy? Ile potrzebujesz?

- *Finaud!* - Jej szept był jak smagnięcie biczem. - To nie temat do żartów!

- No cóż, Becky. - Książę był wyraźnie zaskoczony i rozbawiony. - Mówisz to tak poważnie.

- Ponieważ to poważna sprawa. - Westchnęła, położyła mu rękę na piersi i przez chwilę stała z opuszczoną głową. Potem, zebrawszy myśli, znów na niego spojrzała. - Heinzie, dla swego własnego dobra, wysłuchaj mnie! Proszę!

Karl-Heinz milczał.

- Zaklinam cię - powiedziała przyciszonym głosem. - Ożeń się!
Niemał wybuchnął śmiechem.

- A więc to dlatego tak bardzo chciałaś się dzisiaj ze mną spotkać? -
Było to raczej stwierdzenie, niż pytanie.

- *Oui* - przyznała. - Pora, żebyś zabezpieczył swoje dziedzictwo. -
Ujęła w dłonie kłapy jego marynarki. - Póki jeszcze nie jest za późno!

W pobliżu dwoje ciekawskich rozmawiało szeptem, najwyraźniej nie
mogąc się zdecydować, czy podejść do Becky czy też nie; agent Secret
Service, zawsze czujny, już szykował się do interwencji.

- Wiesz, że mam rację, Heinzie! - szepnęła diuszesa.

Puściła kłapy jego marynarki i machinalnie je wygładziła. Ciekawscy
pospieszyli w jej stronę, ale zostali zgrabnie odprawieni. Becky i Karl-
Heinz jednak nawet tego nie zauważyli. Nieświadomi, co się dzieje poza
granicami muru, który odgrodził ich od reszty świata, patrzyli sobie pro-
sto w oczy.

- Nie możesz tego dłużej odwlekać! - ostrzegła go. - *Dieu sait!* Czy ta
obecna poważna choroba ojca nie jest dla ciebie wystarczającą przestro-
gą? *Mon ange*, bądź rozsądny.

Karl-Heinz westchnął. Potarł czoło i odwrócił się tyłem do sali.

Święci o stylizowanych twarzach i oczach spoglądali na niego z ikon-
niczym niemi świadkowie poprzez wymyślne koszulki swych srebrnych
ochładów. Matka Boska Włodzimierska trzymająca dzieciątko; święty
Mikołaj z Możajska; setnik Longin, święty Jerzy ze swą kopią. I archa-
niolowie, święty Michał i święty Gabriel, z mieczami w dłoniach. Wszy-
scy oni wydawali się nie na miejscu w tym jasnym, nowoczesnym po-
mieszczeniu: zagrabione skarby z odległych i dziwnych krain.

- Heinzie - spytała cicho diuszesa. - Dlaczego... dlaczego właśnie ty,
spośród wszystkich ludzi, tak nie dbasz o swój los?

- Dlaczego? - Stanął przodem do niej i uśmiechnął się krzywo. -Może
dlatego, że mam ciebie, moja droga Becky, abyś martwiła się za mnie.

- *Cela suffit!* - W jej oczach pojawił się gniewny błysk. - Nie pozwolę,
żebyś mówił takie głupstwa. *Non*. Martwię się wyłącznie dlatego, że cię
szczerze lubię.

- Wiem o tym - powiedział łagodnie.

- Nie mogę spokojnie patrzeć, jak tracisz swoje dziedzictwo - ciągnę-
ła. - Ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, *cheri*. Pewnego dnia *le vieil*
Prince się nie wykaraska. - Wzięła głęboki oddech. - I co wtedy?

Nie pierwszy raz Karl-Heinz poczuł siłę woli tej kobiety; był świadom
żelaznej ręki w rękawicze z kozłej skóry.

- Znasz odpowiedź na to pytanie równie dobrze, jak ja - odrzekł cicho.
- *Oui*. - Westchnęła. - Ale nie musi tak być. Nie może! *Mon Dieu!* Czy po to pomnażałeś majątek rodziny, by z niego zrezygnować na rzecz *imbécile* twojej siostry? I przez co? Przez zwykły brak męskiego potomka?
- Książę nie odpowiadał.
- Posłuchaj mnie, Heinzie. Wiesz, co się stanie, jeśli ten *imbécile* przejmie dziedzictwo. Imperium zabraknie sternika. Straci impet. Zgnije i rozsypie się od środka!
- Jego wzrok się nie zmienił.
- *Alors*. Jesteś kapitanem swojej rodziny. Proszę, Heinzie, przez wzgląd na wszystkich, a szczególnie na siebie samego - nie opuszczaj statku!
- Roześmiał się gorzko.
- Mówisz, jakby to było takie proste!
- Bo to jest proste!
- Czyżby? - Uniósł brew. - Utrzymać umierającego starca przy życiu? Zawrzeć odpowiedni związek małżeński? I spłodzić syna na czas?
- *Oui*.
- Becky, nie jestem Panem Bogiem!
- Przyjaciółka nie spuszczała zeń wzroku.
- Nikt tego po tobie nie oczekuje - powiedziała niezniechęcona. - Ale czy zbudowałeś to imperium tylko po to, by przyglądać się, jak ulega zniszczeniu? *Non*. Kochasz robić interesy, Heinzie, przyznaj to. Nadają sens twojemu życiu. Zależy ci na zajmowanej pozycji społecznej, rozmaitych *Schösser*, kolekcjach dzieł sztuki, wpływach... Kochasz wszystko, co jest związane z pełnieniem roli głowy rodziny, tylko nie chcesz się ustakować!
- Co jest moim jedynym prawdziwym obowiązkiem? - spytał kpiąco. Znów uniósł jedną brew i uśmiechnął się ironicznie.
- Do cholery, Heinzie! - wycedziła Becki przez zaciśnięte zęby. - Czy musisz być taki uparty? Ożeń się, na litość boską! Spłódź męskiego potomka! Postaraj się, by to, co jest twoje, twoim pozostało!
- Dłaczego - spytał z westchnieniem - jak przeczuwam, ma się skończyć moje beztróskie starokawalerstwo?
- Ponieważ już najwyższa pora! - odpowiedziała ostro. - Odroczone ci wykonanie wyroku, więc wykorzystaj tę okazję!
- I mam ożenić się?
- *Oui*.

Odwrócił się, jakby chciał się przyjrzeć ikonom wiszącym na ścianie, a po chwili milczenia zapytał cynicznie:

- Niech zgadnę, wybrałaś już odpowiednią kandydatkę na pannę młodą?

- Naturalnie, cheri. I pomyśleć tylko, że przez cały ten czas znajdowała się tuż pod naszym nosem!

Karl-Heinz zamknął oczy.

- Zandra? - zapytał z bólem w głosie.

- Oczywiście, że Zandra! - przytaknęła jego przyjaciółka, ściągając brwi. - A dlaczego nie?

Książę otworzył oczy i znów zaczął się wpatrywać w ikony. Potem, włożywszy ręce do kieszeni spodni, odwrócił się do Becky i powiedział:

- Nie rozumiesz. Znam ją od dziecka.

- *Alors!*

- Ma przed sobą jeszcze całe życie. Mój Boże, Becky! Małżeństwo ze mną, z całą odpowiedzialnością, która się z tym wiąże, może ją zniszczyć!

Wielka dama zmrużyła oczy.

- Jesteś tego pewien?

- Czasami - westchnął i wzruszył ramionami - nie jestem już niczego pewien.

Jego ton zaintrygował diuszese.

- *Dit moi* - powiedziała wolno, tonem kobiety, która wierzy swej intuicji. - Co naprawdę czujesz do Zandry?

- Co... - Zrobił udręczoną minę. - *Verdammt noch einmal!* Co może czuć do niej każdy mężczyzna? Jest czarująca, do cholery! Ma w sobie coś magicznego! - Po chwili dodał ponuro: - Czy to chciałaś usłyszeć?

- No cóż, Heinzie! - Oczy Becky błyszczały, przycisnęła ręce do piersi.

- To cudownie! Jestem przekonana, że ją kochasz!

Książę skrzywił się na dźwięk słowa „kochasz”.

- A więc - ciągnęła - czy wyjawiliś już swoje uczucia?

- Zandrze?

- Naturalnie, że Zandrze! - powiedziała zniecierpliwiona.

Potrząsnął głową.

- Nie - szepnął stłumionym głosem.

- A dlaczegoż to?

- Po pierwsze - odparł z godnością - nie lubię dostawać kosza. Po drugie, nie jestem ani rozpustnikiem, ani pedofilem.

- Ty! Pedofilem! - Jego rozmówczyni się roześmiała. - Nie bądź śmieszny, Zandra nie jest dzieckiem. Jest dojrzałą kobietą. O wiele bardziej dojrzałą i światową, niż przypuszczasz.

- Być może - burknął.

- Heinzie! - Głos Becky był spokojny. - Nie widzisz? Nie masz wyboru, musisz ją poślubić!

- To łatwiej powiedzieć, niż zrobić - zauważył cierpko. - *Au contraire, chéri*. To naprawdę całkiem proste.

- Czyżby?

- *Oui*. Podejmę się roli swatki!

- Rozumiem - odrzekł, pocierając brodę. Nagle w jego umyśle zrodziło się jakieś podejrzenie i spytał: - Czy przypadkiem nie zaczęłaś tego wszystkiego planować za moimi plecami?

- *Mais oui!* - przyznała Becky tonem pełnym entuzjazmu. - Ostatecznie nie ma czasu do stracenia! Mam następujący plan... - Położyła dłoń w rękawicze na jego ramieniu, zniżyła głos i zaczęła wolno krążyć z Karlem-Heinzem po galerii. - ...Zaproszę cię na weekend do mego domu na wsi. Zandra - i jej znajomi, Goldsmithowie - zostaną zaproszeni przez moich sąsiadów, Faireyów. Dzięki temu wasze... przypadkowe spotkanie będzie wyglądało całkiem niewinnie.

- Zawsze mistrzyni dyskrecji - zauważył sucho.

Jego przyjaciółka machnęła tylko ręką.

- Proszę jedynie, żebyś mi zaufała. Przekonasz się, dwa dni w twoim towarzystwie i Zandra nie będzie mogła ci się oprzeć.

- Czyżby? Gwarantujesz?

- Czemu nie? *Oui. Oui*. - Skinęła głową. - Przy twoim uroku osobistym, nim minie miesiąc, powinieneś się ożenić.

- Dobrze. - Karl-Heinz westchnął. - Ponieważ sprawiasz wrażenie, że znasz odpowiedzi na wszystkie pytania, może mogłabyś mi wyjaśnić jedno.

- *Alors!* - Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Co Zandra będzie z tego miała? - zapytał cicho.

Becky przystanąła i spojrzała na niego niedowierzająco.

- Przecież to oczywiste! Będzie miała ciebie - jednego z najbardziej rozrywanych mężczyzn na świecie! Zostanie członkiem jednej z największych i najbogatszych rodzin na tej ziemi! Poza tym ze zwykłej hrabianki awansuje na księżnę! *Mon Dieu!* Czego więcej może pragnąć młoda kobieta?

- Może kogoś w swoim wieku?

- *Bêta*. - Wyciągnęła rękę i czule dotknęła jego policzka. - Czy to możliwe, że wy, mężczyźni, naprawdę tak mało wiecie o kobietach?

Nie odpowiedział.

Becky uśmiechnęła się z triumfem.

- Pamiętaj, Heinzie, nie wolno ci mnie nie doceniać. Zawsze osiągam to, co sobie postanowię.

- Nawet to?

- Szczególnie to - odpowiedziała stanowczym tonem.

Przez chwilę Karl-Heinz milczał.

- Zawsze myślałem, że jesteś najbardziej zdeterminowaną kobietą w Nowym Jorku - i to prawda.

Becky poruszyła palcami, by rękawiczka lepiej jej się ułożyła na dłoni.

- *Alors* - odezwała się, zmieniając temat. - Pora na obiad. Chodźmy coś przekąsić do Mortimera. - Ujęła go pod ramię. - Dobrze, *chéri*?

27.

- Kenz! - zawołał Arnold Li z korytarza. - Jakiś pan do ciebie.

Kenzie prowadziła właśnie rozmowę międzynarodową. Zasłoniła dłoń słuchawkę.

- Och, powiedz Charleyowi, żeby zaczekał! - warknęła, nawet się nie odwracając. - Wiesz, ile czasu zajęło mi uzyskanie połączenia z Tapolca pod Miskolcem na Węgrzech?

Potem zdjęła dłoń ze słuchawki i kontynuowała rozmowę dotychczasowym ożywionym, łagodnym i rzeczowym tonem jakby nic jej nie przeszkodziło.

- Naprawdę jestem wdzięczna, że znajdzie pan na to czas, profesorze Tindemans. Bardzo mi przykro, że niepokoję pana podczas kuracji... Tak się cieszę, że pan to rozumie... Tak, będę czekała na faks od pana... Naturalnie, że przekażę pańskie pozdrowienia panu Spottsowi, gdy tylko będę z nim rozmawiała! Na pewno ogromnie się ucieszy... Bardzo mi pan pomógł, panie profesorze... Mam nadzieję, że miło upłynie panu pobyt w uzdrowisku i przepraszam za zakłócenie wypoczynku... Dziękuję, profesorze Tindemans!

Odłożyła słuchawkę z teatralną afektacją, odsunęła krzesło, uniosła w górę obie ręce w geście zwycięstwa i wykrzyknęła: - Wspaniale!

- „Wspaniale”? - spytała ze zdumieniem Zandra. - Co się stało? Można by pomyśleć, że twoja drużyna zdobyła Puchar Świata.

- Nie. Ale coś niemal równie cennego. - Kenzie westchnęła uszczęśliwiona, założyła ręce za głowę i z uśmiechem spojrzała na stos książek i katalogów, piętrzących się na biurku. - Cóż to za przesympatyczny starszy pan. Jaki szarmancki! I wiesz co, Zandro?

- Co?

- Możesz przestać się zajmować Holbeinem.
- Przestać? Jak to? - zaprotestowała przyjaciółka, jeszcze bardziej zdumiona. - Wiesz, że nie możemy. To teraz najważniejsze.

- Już nie. Zaufałam intuicji i trafiłam na żyłę złota! Widzisz, pan Spotts powiedział mi kiedyś, że profesor Tindemans jest tym dla Holbeina, czym E. K. Waterhouse dla Reynoldsa. Nie tylko miał rację, ale okazało się, że - dasz wiarę! - profesor Tindemans badał nasz obraz w 1939 roku!

- Naprawdę? Och, Kenzie, świetnie!

- Mhm. Musiałam jedynie odnaleźć go na Węgrzech, wyjechał z Brukseli do jakiegoś odległego uzdrowiska, gdzie znajdują się - słuchaj uważnie - jaskinie o naturalnej radioaktywności.

- Radioaktywności! - Zandra się wzdrygnęła. - To straszne. Co to takiego, podziemny Czernobyl?

- Na to wygląda, ale ponoć leczy astmę czy coś tam. Tak czy inaczej, profesor Tindemans zadzwoni do swego asystenta w Belgii, który prze-faksuje nam stosowne strony jego nowej rozprawy. Zostanie wydana jesienią, dotyczy artystów niemieckich z piętnastego i szesnastego wieku. I - słuchaj, słuchaj! - zawiera dzieje naszego Holbeina od A do Z! A więc *voilà!* Pomijając kwestie aktualnego właściciela i przemytu, skończyliśmy naszą część pracy.

- Rety, Kenzie, dobra robota! Jesteś cudotwórczynią. I dokonałaś wszystkiego przez jeden ranek!

- Mhm. Teraz zostało nam tylko poczekać na faks. Potem, pomijając Bambi, prześlemy kopie panu Faireyowi i naszemu wydziałowi prawnemu i oddamy całą sprawę w ręce tych... - Ton jej głosu stał się sarkastyczny. - ...superspeców od dedukcji, Charlesa Ferraro i Hannesa Hockerta.

- Kenzie! - syknęła Zandra, chcąc ją uciszyć. - Twój gość!

Kenzie zamrugwała powiekami. Jej gość? Kto...? Już zdążyła zapomnieć. Nagle doznała olśnienia. O, cholera. Charley! No to co, że mnie usłyszał? Jest łobuzem, a jeśli poczuwa się do winy... Odwróciła się na krześle.

Ale to nie był Charley... Wszystko w niej zamarło. Wzięła głęboki oddech i głośno przełknęła ślinę.

...To był Hannes Hockert.

Kenzie zaczęła mu się przyglądać, poczynając od brązowych butów od Bruno Magliego, a potem wolno przesuwiała wzrok po wełnianych szerokich spodniach, podkreślających wąskie biodra, podobnie jak rozpięta,

dwurzędowa, brązowa marynarka z delikatną, niemal opalizującą szaro-brązową nitką.

Nie był to sztywny garnitur urzędnika. O, nie. I z całą pewnością nie należał do tanich - potrafiła rozpoznać ubranie od Armaniego.

Kenzie patrzyła na niego, na jego urodziwą, męską twarz, a serce jej biło coraz szybciej. Dobry Boże, jak mogła zapomnieć, że jest tak zabójczo przystojny? Ten jasnowłosy wiking naprawdę był piękny; nie mogła oderwać od niego oczu, tak jak nie miała możliwości cofnąć swej kąśliwej uwagi.

Świadczyła o tym intensywność jego spojrzenia. Wszystko to jednak było bez znaczenia - mówił o tym wzrok Hannesa.

Gapiała się na niego, on zaś nie odrywał od niej oczu. Nagle czas przestał się liczyć. Oboje znaleźli się w swoim własnym świecie.

Zandra, czując zmysłowość, którą przesycona była atmosfera, obserwowała tę scenę z rosnącym zainteresowaniem, podobnie jak Arnold, stojący tuż za drzwiami. Z uśmiechem spoglądając na Kenzie, uniósł kciuk w górę.

Nie zauważyła tego gestu; ani ona, ani Hannes nie zdawali sobie sprawy z obecności innych. Widzieli tylko siebie.

- Dzień dobry, Kenzie - powitał ją cicho, w końcu przerywając milczenie.

Zmusiła się, by mu odpowiedzieć:

- Dzień dobry, Hans. - Jej głos był drżący, ledwo słyszalny.

- Minął szmat czasu.

- Tak - szepnęła, wciąż nie odrywając od niego oczu.

Trzy miesiące, pomyślała. Tyle czasu upłynęło, odkąd powiedziałam mu, żeby zostawił mnie w spokoju! Chryste, chyba muszę zrobić sobie badanie głowy! Czy samotna dziewczyna przy zdrowych zmysłach przepędziłaby takiego przystojniaka jak on?

- Nie masz nic przeciwko temu, że tak przyszedłem? - spytał. - Bez zapowiedzi? Nieumówiony? - Uśmiechał się czarująco; na widok tego uśmiechu poczuła ciepło w całym ciele.

- A więc... co cię sprowadza w... w moje progi? - mruknęła myśląc: muszę się wziąć w garść! Na rany Chrystusa, jestem dorosłą kobietą, a nie jakąś siksą, która się zakochała jak pensjonarka!

Zrobił kilka kroków.

- Jest parę powodów, Kenzie - odrzekł cicho.

Milczała, nie będąc w stanie oderwać od niego oczu.

- Służbowych - dodał. - I prywatnych. - Oparł się o jej biurko i złożył dłonie. - Widzisz, Kenzie, lubię łączyć obowiązki z przyjemnością.

Zauważając, że porusza nerwowo rękami, zmusiła się, by trzymać je nieruchomo, i starała się odzyskać przynajmniej coś podobnego do postawy profesjonalistki.

- Może... - Musiała odchrząknąć. - Może ograniczymy się do spraw służbowych? - zaproponowała przez ściśnięte gardło.

- Jak sobie życzysz. - Skinął głową. - Czemu nie? To bardzo rozsądne. A oboje jesteśmy ludźmi rozsądnymi, prawda, Kenzie? Rozsądnymi i... może trochę impulsywnymi?

Milczała, nie mając odwagi się odezwać.

Hannes znów się uśmiechnął. Dla postronnego obserwatora był to zwykły uśmiech, ukoronowanie kontynentalnej grzeczności i czaru starożytności, ale ta, do której był skierowany, odebrała go zupełnie inaczej; Kenzie przypomniał dawne chwile, obietnice, emocje, razem spędzoną noc.

A w ostrym świetle jarzeniówek nad głową uświadomiła sobie jeszcze coś. Jasnoniebieskie oczy tego wikinga nie były tego samego koloru. Każde miało trochę inny odcień: prawe bardziej niebieski, lewe nieco zielonkawy i Kenzie uznała, że owa różnica jest niezwykle intrygująca i - nie mogła odpędzić tej myśli! - bardzo podniecająca.

- A więc. - Potarł brodę. - Przechodząc do rzeczy...

Czekała.

- Co ci mogę powiedzieć poza tym, czego prawdopodobnie już się domyśliłaś? Tak, to oficjalna wizyta z ramienia Interpolu dotycząca Holbeina. I owszem, na wyraźne polecenie rządu Niemiec oraz Departamentu Stanu USA. A jeśli chodzi o to, czy jestem upoważniony do korzystania ze wszystkich potrzebnych źródeł, by pomóc sądom rozstrzygnąć kwestię własności - odpowiedź również brzmi: „tak”. - Rozłożył ręce i się uśmiechnął. - Przedstawiłem ci wszystko - zakończył. - Oczywiście w pigułce.

Wyraz twarzy Kenzie nie uległ zmianie. Szum gorącego powietrza tłoczonego z klimatyzacji był w tej chwili jedynym odgłosem w pokoju, nie licząc szelestu dokumentów przekładanych przez Zandrę.

- Nie chcę przez to twierdzić, że potrzebna ci jakaś pomoc - dodał Hannes, znów przywołując swój czarujący uśmiech. - Z tego, co podsłuchałem, wynika, że masz kontrolę nad wszystkim. Jednak będę szczęśliwy, jeśli przekazesz tę sprawę... - Pochylił się nad nią, by szepnąć jej prosto do ucha: - ...i wszystko, co chcesz - w moje ręce.

Aluzja była czytelna i Kenzie się zarumieniła. Z największym wysiłkiem oderwała od niego wzrok i odwróciła się na krzesło, udając, że przekłada papiery.

W głowie miała zamęt.

Dlaczego nagle nie mogła się opędzić od mężczyzn? Przez trzy długie miesiące żyła jak mniszka, z nikim się nawet nie umawiała. Teraz ni stąd ni zowąd taki urodzaj.

Wczorajszy wieczór przyniósł jej Charleya, a dzisiejszy ranek Hanne-sa.

I pragnęła go, do cholery! To było najgorsze.

Istniała tylko jedna przeszkoda: Jej chwilowy partner - Charley.

Westchnęła w duchu. Ostatnia rzecz, która jej była potrzebna, to żeby ci dwaj walczyli o nią. Albo - Boże broń! - za jej plecami wymieniali się wrażeniami i pozwalali sobie na niewybredne żarty.

Więc...

Odprawić go z kwitkiem czy nie? - oto jest pytanie. A decyzję musiała podjąć teraz, zanim sytuacja wymknie jej się spod kontroli.

- To mój telefon do pracy, Kenzie - powiedział Hannes. - Możesz mnie pod nim łapać w ciągu dnia. Jeśli mnie nie zastaniesz, zostaw wiadomość.

Odwróciła lekko głowę, patrząc, jak Hockert wsuwa rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciąga z niej jeden z tych cieniutkich wizytowników z czarnej cielejącej skórki. Drogich, z zaokrąglonym, oprawionym w złoto rogim, ozdobionym malutkim, szafirowym kaboszonym.

Kenzie poczuła ukłucie irracjonalnej zazdrości.

Na pewno upominek od jakiejś przyjaciółki, pomyślała z goryczą. Mężczyźni nigdy nie kupują sobie takich rzeczy.

To ją przekonało. Do diabła ze skrupułami! Ona ma takie samo prawo do życia, wolności i przyjemności, jak inni.

Hannes i Charley pracują razem, no i co z tego?

Wczoraj wieczorem miała chwilę słabości, zwykły wybryk hormonów. Wcale nie zamierza wrócić do Charleya. Nie jest też zobowiązana do zachowania mu wierności. Prawdę mówiąc, nie ma wobec niego żadnych zobowiązań!

Przyglądała się, jak Hannes zgrabnie wyciągnął wizytówkę i trzymał ją między palcem wskazującym i środkowym - taka sztuczka w rodzaju zapalania zapalniczki jedną ręką.

- Na odwrocie zapisałem swój numer domowy, Kenzie - powiedział łagodnie.

Wyciągnęła rękę, by wziąć mały kartonik, ale nie była przygotowana na to, co nastąpiło. Zupełnie, jakby wizytówka stanowiła przedłużenie jego ciała. Z chwilą, kiedy Kenzie jej dotknęła, przebiegł nią silny prąd

elektryczny i mimo woli wróciła myślami do tamtej deszczowej październikowej nocy.

Hannes przytrzymał chwilę wizytówkę, za nim ją puścił.

I właśnie wtedy sobie to uświadomiła. Tęskniłam za nim, pomyślała zdumiona. Cholera! Naprawdę za nim tęskniłam! Przełknęła ślinę, bo zaschło jej w gardle.

- Powiedziałeś, że... że jest kilka powodów twojej wizyty - przypomniała mu cicho.

- Cóż, oto jeszcze jeden - odrzekł z uśmiechem.

Kenzie uniosła brwi.

- Chciałbym cię dziś wieczorem zaprosić na obiad. Oczywiście, jeśli nie masz innych planów.

Obiad, pomyślała. To zupełnie niewinne. Nie pociąga za sobą żadnych zobowiązań z mojej strony.

- Dobrze - szepnęła. - Z przyjemnością pójdę. Ale nie jem czerwonego mięsa, więc...

- To nie ma znaczenia - zapewnił ją. - Znam odpowiedni lokal. Przyjadę po ciebie o siódmej.

Skinęła głową jak zahipnotyzowana.

- Świetnie - powiedziała nieswoim głosem.

- A jeśli dostaniesz faks, przyniesiesz mi kopię?

Ponownie skinęła głową.

- No, muszę lecieć. - Znów błysnął zębami w uśmiechu. - Do zobaczenia wieczorem! - powiedział.

I zniknął.

- No, no, no - zauważyła figlarnie Zandra. - Kochanie, on jest boski. Wpadłaś jak z deszczu pod rynnę; zdaje się, że minęła pora sucha i zaczął się monsun. Jak ty to robisz? Nieważne, wychodzę na obiad...

Ale Kenzie nie słyszała ani słowa. Z błogim uśmiechem na twarzy patrzyła w przestrzeń i wyobrażała już sobie czekający ją przyjemny wieczór.

Hannes, myślała. A niech to!

28.

Restauracja Mortimer a, na rogu Lexington Avenue i Wschodniej Siedemdziesiątej Piątej Ulicy, należała do lokali, które nie zwracają uwagi przechodniów. Główna sala miała okna z zasłonami, gołe, ceglane ściany, długi bar po lewej stronie i stoliki z białymi obrusami po prawej. Nad barem wisiał rysunek, przedstawiający patrona restauracji - fikcyjnego Mortimera, ukazanego jako postać romantycznego młodzieńca.

Na barze zawsze stały wielkie palmy w donicach (albo, jak tego dnia, gigantyczne aranżacje z kwitnących gałęzi derenia, pozostałość po prywatnym przyjęciu, które odbyło się poprzedniego wieczora).

To, że nigdy nie brakowało tutaj różnorodnych ogrodniczych ekstrawagancji, świadczyło, że takie prywatne przyjęcia nie były wyjątkiem, tylko normą: od blisko dwóch dziesięcioleci bogaci i sławni mieszkańcy miasta traktowali Mortimera jak swój nieoficjalny, lecz wielce ekskluzywny klub.

Teraz, w porze obiadowej, w głównej sali szumiało jak w ulu, kiedy pojawił się nowy gość. Przybyła zachowywała się z teatralną przesadą i przez dłuższą chwilą stała w wejściu, lustrując salę, by się przekonać, kogo już tu zastała.

Naturalnie przy stolikach siedział cały batalion pań, które przychodziły na obiady, ale nie jadły.

Pod oknami ulokowały się Gloria Vanderbilt, Annette de la Renta, Nancy Kissinger, Pat Buckley, Joan Rivers, Nan Kempner i jedna czy dwie panie Rothschild. Towarzyszyli im jak zwykle Bill Blass, Jerry Zipkin, Johnny Galliher i Kenny Jay Lane.

Kiedy obserwowwała ich bacznie, oni przyglądali się jej.

Dina Goldsmith nikogo nie rozczarowała. Jej twarz była nieskazitelna, brwi wyskubane, dyskretny makijaż jaśniał paletą ciepłych beżów, kremów i różów. Jasne włosy, mocno ściągnięte do tyłu i ozdobione złotą klamrą, opadały luźno na ramiona niczym błyszczący łan zboża. Sobolowy płaszcz narzuciła na turkusowy kostiumik Chanel z pomarańczową i fioletową lamówką. Wokół szyi miała długie sznury drobniutkich listków z zielonych onyksów, do tego identyczne klipsy w uszach, broszkę oraz bransoletkę. Oczywiście torebka i pantofle zrobione były z czarnej, krokodylej skóry. Dina trzymała w dłoni błyszczącą, małą, czerwoną firmówkę.

Jej wejście odniosło zamierzony efekt; wywołało falę podekscytowanych szeptów. Rozkoszowała się widokiem obecnych znajomych i rzucanymi przez nich spojrzeniami pełnymi podziwu. Stanowiły wszak żywy dowód, że pojawił się ktoś ważny!

Właściciel w rogowych okularach na czubku nosa pospieszył, by ją powitać.

- Pani Goldsmith! - zawołał serdecznie. - Pani von Hohenburg-Willemlöhe już przyszła.

Dina uśmiechnęła się promiennie i podążyła za nim małymi kroczkami; minęła stolik 1B - zaraz na prawo od drzwi, przy którym jeszcze nikt nie siedział - i skierowała się do sąsiadującego z nim, gdzie pod oknem, tyłem do wejścia, siedziała Zandra.

- Witaj, kochanie! - powiedziała śpiewnie pani Goldsmith.

Zandra, która nie zauważyła jej wcześniej, drgnęła.

- Dina! Jak się masz! Co słyhać?

- Przepraszam, spóźniłam się, chociaż tak się starałam przyjść punktualnie! - Dina się nachyliła, objęła przyjaciółkę ramieniem i niemal musnęła jej policzek. Cmoknęła powietrze.

Właściciel odsunął krzesło stojące przodem do drzwi i Dina obesła stolik, by usiąść naprzeciwko Zandry. Odstawiła torebkę, ściągnęła rękawiczki, zsunęła sobole z ramion, a w końcu oparła łokcie o blat stolika i pochyliła się do przodu. Uśmiechnęła się promiennie.

- Och, Dino, wyglądasz wprost zachwycająco... Tak się cieszę, że cię widzę... Wydaje się, że upłynęło tyle czasu! Życie dobrze się z tobą obchodzi?

- Och, znasz mnie, kochanie - odpowiedziała pani Goldsmith, lekceważąco machając ręką. - Życie zawsze jest dla mnie łaskawe. Bardzo się cieszę, że mogłaś przyjść. Szczególnie, że zaprosiłam cię w ostatniej chwili!

Dina nie mogła skupić wzroku na jednym punkcie, jej oczy koloru akwamaryny spoglądały uważnie to tu, to tam. Zachowywała się jak rozbudzona licytatorka na aukcji, z tą różnicą, że dawała znaki ręką i posyłała całusy połowie obecnych na sali gości.

- Czyżbyś nie wiedziała? - odrzekła z humorem Zandra. - My, dziewczyny pracujące, zrobimy wszystko dla darmowego poczęstunku.

- Phi! Jakbyś jadła więcej niż ptaszek!

Pojawił się młody kelner.

- Życzą sobie panie czegoś z baru? - zapytał.

- Wodę mineralną. - Dina spojrzała na Zandrę. - A dla ciebie?

- Już zamówiłam wodę.

Dina rzuciła kelnerowi olśniewający uśmiech. Wrócił po chwili i nalał jej wody z zielonej butelki. Dina zamówiła łososia z imbirem, a Zandra zdecydowała się na kurczaka *paillard*.

- Co cię skłoniło do wyjścia dzisiaj na miasto? - spytała Zandra, kiedy odszedł kelner.

Dina upiła łyżek wody.

- Zakupy, skarbie - oświadczyła radośnie. - Nie uwierzysz, jakie to męczące!

Z pewnością nie można było tego powiedzieć, sądząc z jej wyglądu. Poza tym, jak Zandra dobrze wiedziała, jej przyjaciółka wprost ubóstwiała biegać po sklepach.

- Tak, nakupiłam masę rzeczy. Dzięki Bogu, że wybrałam się samochodem. Jest wypełniony po brzegi, a zostało jeszcze całe popołudnie!

A propos... Proszę, to dla ciebie. - Podała Zandrze małą, czerwoną firmówkę.

- Od Cartiera! Cóż to takiego?

- Och, taki drobiażdżek. Kiedy to zobaczyłam, wiedziałam, że jest jakby specjalnie stworzone dla ciebie.

Zandra spojrzała na przyjaciółkę, jakby chciała powiedzieć: „Po co to wszystko”, wzięła torebkę i zajrzała do środka. Wyjęła trzy pudełeczka, owinięte w biały papier i przewiązane czerwoną wstążeczką.

- Odpakuj! - Dina, skończywszy lustrowanie sali, podparła się łokciami i obserwowała przyjaciółkę z uśmiechem.

Zandra ostrożnie rozwiązała wstążeczkę najmniejszego pudełeczka i odwinęła papier. Spojrzała na małe, czerwone pudełeczko.

- Dino! - ponownie zaprotestowała.

Ta wzniosła oczy w górę, udając irytację.

Zandra wolno uchyliła wieczko. Aż jej zaparło dech. Na białym jedwabiu spoczywała prześliczna złota broszka w kształcie biedronki.

- Podoba ci się?

- Tak, ale...

- Żadnego ale. Zobaczyłam ją, kiedy kupowałam to, spójrz. - Wyciągnęła rękę, by zademonstrować swą bransoletkę z onyksów, a potem naszyjnik, stanowiący z nią komplet. - No, dalej! Otwórz pozostałe!

Zandra posłusznie odpakowała drugi prezent. Były w nim kolczyki w kształcie biedronek.

- Dino!

- Nic nie mów, skarbie. Zostało ci jeszcze jedno.

Zandra z westchnieniem otworzyła najdłuższe pudełko i zupełnie zaniemówiła z wrażenia. Bransoletka z biedronek, połączonych delikatnymi, złotymi ogniwkami, stanowiła najpiękniejszą część całego kompletu.

- Rety, nie wiem, co powiedzieć! Są... super! Dino, jesteś kochana, ale absolutnie nie mogę... Przecież to nawet nie moje urodziny!

- Należą do ciebie i koniec, kropka - oświadczyła zdecydowanie przyjaciółka. - Sprawa zamknięta. - Zniżyła głos do szeptu. - Patrz! Znów wychodzi.

Zandra zmarszczyła czoło.

- Kto?

Dina lekko skłoniła głowę w kierunku kościstej damy opuszczającej salę. Pochyliła się nad stolikiem.

- Nie zauważyłaś? - szepnęła. - Naprawdę, kochanie, sądząc po tym, jak biega do toalety, powinna przestać brać środki przeczyszczające!

Zandra zachichotała.

- Mój Boże, Dino... czy jest coś, czego nie wiedziałabyś o tych ludziach?

Pani Goldsmith opowiadała plotki, póki nie pojawiły się przystawki. Na sali robiło się coraz gwarniej.

Nagle zapanowała kompletna cisza.

Dina, spoglądając nad głową Zandry w stronę drzwi, mruknęła:

- Boże! - Oczy zrobiły jej się wielkie. - A więc to dla nich zarezerwowano najlepszy stolik!

Dla kogo...? Zandra odwróciła się na krześle.

Właśnie wchodzili Karl-Heinz z Becky V, dwoje przedstawicieli istot wyższego gatunku, pozornie obojętni na wrażenie, jakie wywołali.

Zandra aż otworzyła usta ze zdumienia i zagapiła się na Heinza, nie zwracając uwagi na to, co szepcze jej przyjaciółka.

- ...no cóż, to normalne, że jej towarzyszy, prawda... uwzględniając wszystkie jej tytuły i jego...

Palce Zandry zacisnęły się na widelcu; dziwne, ale stało się coś niesłychanego: ostatnie trzy miesiące, podczas których ani nie widziała swego kuzyna, ani o nim nie słyszała, skurczyły się do ułamka sekundy.

Och, dobry Boże... Heinzie! Co on ma w sobie takiego, że ogarnia ją dziwna słabość...

Wszystko wokół wydawało się zamazane, jakby za mgłą, wszystko straciło kontury i ostrość. W panującej ciszy Zandra słyszała, jak jej wali serce.

Nagle znów wszyscy zaczęli rozmawiać, rozległ się brzęk talerzy i sztućców, a ona odzyskała zdolność widzenia.

O, Boże, to niemożliwe! - pomyślała ogarnięta wyrzutami sumienia. Nie mogę się w nim zakochać. Chryste, jest moim kuzynem...!

Oddychała z trudem, jakby brakowało jej powietrza; serce nadal waliło jej mocno, nierytmicznie.

Co się ze mną dzieje? Dlaczego zachowuję się jak jakaś głupia, zakochana pensjonarka?

- Zandra?

Głos Heinzie'ego przestraszył ją; drgnęła, jak złapana na gorącym uczynku.

- Zandro! Czemu nie przysiądziesz się do nas ze swą przyjaciółką? Stolik nakryty jest dla czterech osób. Zandro?

Gapiała się na niego. On patrzył na nią.

Żadne z nich nie zauważyło, jak Dina i Becky wymieniły ledwo dostrzegalne spojrzenia.

Nie widzieli nikogo poza sobą.

* * *

- Pani Turner? - powiedział Sheldon D. Fairey, wsuwając głowę przez drzwi. - Jest pilna sprawa, klientka prosi o wycenę. Obawiam się, że chce mieć to na wczoraj, co oznacza natychmiast. Byłaby pani tak dobra...?

Kenzie się skrzywiła.

- Czy to musi być dzisiaj?

- Obawiam się, że tak. To wyjątkowa sytuacja.

- Dobrze. - Skinęła głową. - Zajmę się tym osobiście.

- Doskonale. Naprawdę to doceniam. - Podał jej kartkę. - Nie chciałbym stracić takiej klientki - powiedział. - No, muszę lecieć. Obiad z potencjalnym klientem. Olbrzymia kolekcja!

I zniknął.

Kenzie popatrzyła na kartkę, którą jej wręczył, a potem wolno ją rozłożyła.

Nagle usiadła prosto, nie wierząc własnym oczom. Pewna, że to złudzenie, zamknęła oczy, policzyła do dziesięciu i ponownie spojrzała na zapisany kawałek papieru.

Lata spędzone w Nowym Jorku mogły uczynić z niej osobę zblazowaną, przemienić w obojętną sceptyczkę, na której nic i nikt nie robi wrażenia. Ale właśnie kiedy wypracowała sobie postawę prawdziwej kosmopolitki, zdarzyło się coś wyjątkowego.

Została znokautowana - któż by nie był? - na widok nazwiska, które pan Fairey napisał nad adresem i godziną spotkania.

Lila Pons

Wschodnia 52 Ulica nr 447

16.00

Lila Pons, osławiona legenda srebrnego ekranu, zajmowała miejsce obok Dietrich i Garbo i stała się - jeśli to w ogóle możliwe - jeszcze większą samotnicą niż najślawniejsza ze wszystkich pustelniczek, sama boska Greta.

Lila Pons!

Kenzie siedziała, nie wierząc własnym oczom. Wydawało jej się to nierealne. Czy to naprawdę możliwe, żeby ona, spośród wszystkich rzeczoznawców na świecie, została wybrana do dokonania oceny kolekcji Wielkiej Pustelniczki, a może nawet zaszczycona spotkaniem z legendarną aktorką?

Ale trzymała w ręku dowód, miała to wypisane czarno na białym. Lila Pons.

- Jezu Chryste! - szepnęła.

* * *

Zandra dopiła kawę.

- Przepraszam was - oświadczyła, odstawiając filiżankę. - Nie lubię wychodzić zaraz po jedzeniu, ale naprawdę muszę zmykać.

- Tak szybko? - Karl-Heinz był wyraźnie rozczarowany.

- Obawiam się, że tak. Obowiązki wzywają. - Stanowczym ruchem odsunęła krzesło. - W przyszłym tygodniu jest aukcja, a to oznacza masę roboty. Na dodatek jeszcze ta wpadka z Holbeinem, mam takie zaległości, że jeden Bóg wie, kiedy się z nimi uporam... Wszyscy patrzą

wszystkim na ręce. Nie uwierzylibyście, co się dzieje. Naprawdę, ktoś by pomyślał, że ogłosili trzecią wojnę światową.

- Cóż - mruknęła Dina - skoro naprawdę musisz już iść, chyba nie możemy cię zatrzymać.

- Obawiam się, że nie mam innego wyjścia. W firmie panuje ogólna nerwowość. Wiesz, jak to jest. Zaczyna się na samej górze, a kończy na szeregowych pracownikach. - Zandra uśmiechnęła się pogodnie. - Ale patrzę na to inaczej, przynajmniej nie jest nudno. - Wstała i wzięła z oparcia krzesła okrycie.

Karl-Heinz też się podniósł.

- Może pozwolisz się odprowadzić? - spytał cicho, biorąc od niej płaszcz i pomagając jej go włożyć.

- Och, Heinzie, czy nie powinieneś raczej zostać i napić się cordialu lub czegoś w tym rodzaju? - spytała. - Naprawdę, nie musisz mnie odprowadzać.

- Wiem, ale chciałbym. - Spojrzał na Becky. - Nie masz nic przeciwko temu?

- *Juste ciel, chéri.* - Diusza machnęła ręką. - Nie bądź śmieszny. Idźcie już.

- Zadzwoń do ciebie później - powiedział jej na pożegnanie, a potem ujął dłoń Diny i uniósł do ust. - Było mi bardzo miło.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekła rozpromieniona pani Goldsmith.

- Do widzenia, Becky! - Karl-Heinz skłonił się lekko.

Z niewinną miną przesłała mu prawie niedostrzegalnie całusa.

- *A bientôt, chéri.*

Zandra nachyliła się i objęła Dinę.

- Wspaniały obiad - podziękowała i dodała ciszej: - Ale kochanie, proszę... musisz skończyć z tymi prezentami! Naprawdę! Nie, żeby nie sprawiały mi przyjemności, ale zupełnie mnie rozpuścisz. Wiesz, że i tak zawsze cię będę kochała.

- Och, daj spokój, złotko - odpowiedziała lekceważąco Dina, ale miała zadowoloną minę.

Zandra, uśmiechając się promiennie, zwróciła się do Becky.

- Cudownie było znów panią spotkać!

Wielka dama obdarzyła ją swym słynnym uśmiechem Mony Lisy.

- Ciebie też, *chérie.*

Zandra owinęła szyję szalikiem i przewiesiła przez ramię skórzaną torbę.

- No, żegnajcie! - Machnęła im ręką, a Karl-Heinz ujął ją pod ramię i poprowadził w kierunku drzwi.

Po chwili „zniknęli”.

- *Alors*. - Becky uniosła filiżankę z kawą i spojrzała nad jej brzegiem. - Poszło dość gładko, *n'est-ce pas*?

- Tak - przyznała cicho Dina. Wyrzała przez okno w samą porę, by zobaczyć, jak Zandra i Karl-Heinz pospiesznie idą Siedemdziesiątą Piątą Ulicą. - Miałaś rację - powiedziała cicho. - Naprawdę niezwykle atrakcyjna z nich para.

- *Oui*. - Jej współpracowniczka wypila kawę i odstawiła filiżankę. - *Alors*. Uważam, że nadeszła pora na twoje małe *tête-à-tête* z *monsieur* Fairem.

Pani Goldsmith uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Na temat weekendu na wsi.

- *Oui*. Za tydzień, licząc od tego piątku, będzie w sam raz. - Diuszesa zamyśliła się i wolno pokiwała głową. - Tak, w sam raz...

* * *

Zandra miała sprzeczne odczucia. Nie pamiętała, kiedy była równie bezwolna i podatna na zranienie. Nie znosiła bezradności i poczucia, że nie potrafi zapanować nad emocjami. Własna reakcja na widok Karla-Heinza całkowicie ją zaskoczyła.

Z jednej strony, fizyczne pożądanie, jakie w niej budził, było upajające i nie do opanowania, ożywcze i przyjemne.

Ale z tego powodu uważała się za dziewczynę bez zasad i było jej wstyd, wprost czuła do siebie wstręt.

Jest moim krewnym! - powtarzała sobie ponuro. Dobry Boże, to, co sobie wyobrażam, to niemal kazirodztwo...

Naturalnie pokrewieństwo między nimi było na tyle dalekie, że nie mogło być mowy o żadnym kazirodztwie. Jednak Zandra nie mogła się powstrzymać, by sobie nie wyobrażać ich obojga w intymnej sytuacji. Rzucając idącemu obok mężczyźnie krótkie, ukradkowe spojrzenia, myślała: Niewątpliwie to sama rozkosz. Tak, z pewnością wielka, niczym niezmacona rozkosz...

Karl-Heinz odznaczał się wszystkimi cechami, których mogłaby pragnąć kobieta. Był przystojny, miał charyzmę, nosił jeden z najstarszych tytułów arystokratycznych na świecie i posiadał tę specjalną pewność siebie, która jest produktem ubocznym wielkiego bogactwa i wpływów.

Wyglądał też młodziej niż na swoje czterdzieści lat, poza tym był delikatny, zabawny i mocny jak przysłowiowa opoka.

Boże, pomóż mi! - modliła się w duchu dziewczyna. Dlaczego nie mógł zostać z Becky i Diną u Mortimera? Dlaczego się uparł, żeby mnie odprowadzić?

Nie widziała sygnalizacji ulicznej ani tłumów ludzi robiących zakupy podczas przerwy obiadowej, ani nawet mknących jezdnią samochodów. Zdawała sobie wyłącznie sprawę z niepokojącej bliskości tego mężczyzny.

Z tego wszystkiego na Siedemdziesiątej Trzeciej Ulicy nie patrząc weszła na jezdnię.

- Uważaj! - wykrzyknął Karl-Heinz.

Złapał ją za ramię i wciągnął na chodnik, a tuż obok z rykiem klaksonu przemknęła taksówka.

- Mój Boże! - zawołał. - Mało brakowało, a wpadłabyś pod samochód! Zandro, naprawdę musisz patrzeć, gdzie idziesz!

Uniosła głowę i skinęła lekko.

- Masz rację - odpowiedziała zachrypniętym głosem, najwyraźniej wstrząśnięta tym, co zaszło.

- Nic ci się nie stało? - spytał, troskliwie przytrzymując ją za obie ręce i patrząc jej głęboko w oczy. Jego dotyk był tak elektryzujący, a jego niepokój - który natychmiast zastąpiła ogromna ulga - tak szczery, że Zandra poczuła, jak tonie w jego oczach.

Dopiero wtedy w pełni pojęła, co się dzieje.

Są mężczyźni-uwodziciele, mężczyźni-opiekunowie, mężczyźni zapewniający kobiecie byt, a raz na milion trafia się taki, który stanowi sumę ich wszystkich. I oto na jej drodze pojawił się właśnie taki ideał - uświadomiła to sobie z całą jasnością.

Od jego niebieskich oczu barwy płomienia gazowego biła gwałtowna intensywność, wiatr rozwiał z lekka przerzedzone włosy, których - Zandra zauważyła z zadowoleniem - Karl-Heinz nie próbował zaczesywać na coraz wyższe czoło. Chociaż przystojny, szczupły i zadbany, nie przypominał młodzieńczego Apollina. Pociągająca była właśnie owa dojrzałość. Zandra miała już w przeszłości do czynienia z próżnymi młodymi Adonisami i nie tęskniła za nimi.

Problem jednak stanowiło jego pochodzenie.

W wyniku zawieranych przez stulecia małżeństw ich rody były spokrewnione. W odległej przeszłości niekorzystne wpływy genetyki pozostawały w znacznej części tajemnicą; jedynymi przesłankami przy kojarzeniu par wśród arystokracji było przypieczętowanie politycznych

sojuszów, poszerzenie władzy królewskiej, umacnianie pozycji społecznej i pomnażanie nieprzebranych majątków. Małżeństwo między przedstawicielami klasy rządzącej służyły głównie do utrzymania potęgi rodu.

Naturalnie, efekty uboczne tego wszystkiego - dziedziczne choroby, takie jak hemofilia, demencja i wady wrodzone, by wymienić tylko kilka - były przekleństwem wszystkich wielkich rodów europejskich.

Jednak w ostatnim dziesięcioleciu drugiego milenium problemy, jakie niosły związki między kuzynostwem, stały się powszechnie znane. Zandra nie miała najmniejszej ochoty brać udziału w tej ruletce; sama myśl o tym była niesmaczna i niosła potencjalne zagrożenia.

Nie mam zamiaru igrać z losem. Stawką w tym pojedynku byłoby dziecko!

Światła się zmieniły, ale Zandra i Karl-Heinz nie ruszyli się z miejsca, przeszkadzając przechodniom, którzy spieszenie podążali w jednym i w drugim kierunku. Chociaż ich potrącano, a czasem przeklinano, żadne z nich ani drgnęło.

Heinzie wciąż trzymał ją za rękę.

- Teraz możemy bezpiecznie przejść - powiedział w końcu z łagodnym uśmiechem, a potem ją puścił.

Zandra niemal straciła zdolność oddychania, tak była nieprzygotowana na to, że nagle zostanie pozbawiona jego dotyku.

Należało zmusić się do uczynienia kroku; wiedziała o tym. Jednak wciąż gapiała się na niego i mimo styczniowego zimna fala obezwładniającego gorąca owładnęła nią niczym oskarżenie. Czowała, jak na czoło występują jej kropelki potu, niewątpliwie pozostawiając na skórze błyszczącą warstewkę, która wszystko zdradzała.

Co się ze mną dzieje? - zastanawiała się. Dlaczego tak długo na niego patrzę? Czy można zrobić z siebie jeszcze większe widowisko?

Z najwyższym wysiłkiem udało jej się oderwać wzrok od Karla-Heinza. Potem, nim jej postanowienie mogłoby osłabnąć, zmusiła się do zrobienia kroku i przebiegła przez ulicę...

...jakby ucieczka przed własnymi uczuciami była taka prosta!

Książę dogonił ją i dostosował tempo marszu do jej szybkich kroków. Miał nadzieję, że małomówność Zandry jest raczej rezultatem zamyślenia niż irytacji.

Oddychał głośno. Tak czy inaczej, nie miał specjalnie wielkiego wyboru. Mówiąc ściślej, mógł zrobić jedno z dwóch. Albo zwolnić kroku i pozwolić, by dalej poszła sama, albo dotrzymać tempa, zadowolając się rzucaniem ukradkowych, badawczych spojrzeń w stronę dziewczyny.

Zdecydował się na to drugie - nie z arogancji, ale dlatego, że sama obecność kuzynki sprawiała mu zadowolenie - bez względu na to, jak najeżona mogła być Zandra. Jego wytrwałość została nagrodzona tym, co widział, zerkając na nią ukradkiem.

Promienie słońca padły na jej głowę i oświetliły burzę gęstych, rudych włosów, jak na obrazach jakiegoś prerafaelity - księciu przyszła na myśl dziewczyna Rossettiego.

Powiew wiatru sprawił, że kilka skręconych loków spadło Zandrze na twarz; odgarnęła je machinalnie, bezwiednie, ale w jego oczach ten gest był niezwykle i nadzwyczaj pociągający; oładnęło nim przemożne pragnienie zdobycia tej zdumiewającej kobiety - eleganckiej, wyrafinowanej i pełnej wdzięku. A najbardziej chciał, żeby to on mógł wyciągnąć rękę i delikatnie odgarnąć włosy, które wiatr zdmuchiwał jej na twarz.

Dlaczego, zastanawiał się, właśnie ona, spośród wszystkich kobiet na świecie, uświadomiła mu, co stracił przez owe dziesięciolecia życia playboya? Dobry Boże, przy niej perspektywa bycia domatorem stawała się czymś, o czym myślał z przyjemnością, nie traktując tego jak przykrego obowiązku, jak do tej pory!

Jednak bezlitosne lekceważenie, jakie mu okazywała, ignorowanie jego obecności, jakby w ogóle nie istniał, raniły mu serce. Karl-Heinz szedł obok Zandry w milczeniu, czując się odrzucony. Równie dobrze mogli być zupełnie obcymi ludźmi, przypadkowymi przechodniami, podążającymi tą samą ulicą. Jakby sam los postanowił z niego zadrwić umieszczając ją tak blisko, a zarazem daleko....

W końcu, kiedy przeszli bez słowa prawie cały kwartał, Karl-Heinz nie mógł tego dłużej znieść. Musiał zburzyć niewidzialną granicę, która ich dzieliła. W przeciwnym razie zwariuje!

Poszukał ręki Zandry i ujął ją mocno, żeby dziewczyna mu nie uciekła. Gdy przystanął, odwróciła się do niego bardzo niechętnie.

- Na litość boską, Zandro! O co chodzi?

Nie spojrzała na niego.

- O co miałyby chodzić? - mruknęła i wzruszyła ramionami, a potem wyswobodziła rękę i odwróciła się, z uwagą przyglądając się artykułom żelaznym na wystawie.

Karl-Heinz wsunął ręce do kieszeni kaszmirowego płaszcza i przez chwilę przyglądał jej się badawczo, podczas gdy ona, jakby absolutnie zafascynowana, przysunęła twarz do zakurzonej szyby wystawowej i udawała, że nadzwyczaj interesują ją zasuwy, klamki do drzwi, kraty okienne i klucze. Poświęcała im tyle uwagi, jakby to była najnowsza kolekcja wiosennych sukienek.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Zandro - odezwał się błagalnym tonem - dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? A może zbyt trudno ci powiedzieć, co się stało złego?

- Złego? Dlaczego miałyby się stać coś złego?

- Nie wiem - odrzekł. - Dlaczego mi nie powiesz?

- Może po prostu nie ma o czym mówić.

Przestała oglądać artykuły żelazne i ruszyła dalej, specjalnie patrząc prosto przed siebie, a jej nieprzystępna twarz dawała jasno do zrozumienia, że koniec dyskusji.

Szli więc w milczeniu, aż znaleźli się przed pseudorenesansowym budynkiem, gdzie ona pracowała, a wysoko w górze on mieszkał.

Zandra czuła dziwną mieszaninę ulgi i smutku. Ulgi, ponieważ w końcu mogła uciec przed niepokojącą obecnością Karla-Heinza; smutku, ponieważ - chociaż bardzo tego pragnęła - ich znajomość nie mogła rozwijać się w sposób naturalny, jak między kobietą a mężczyzną.

Wciąż zachowując krępujące milczenie, stali, miotani podmuchami wiatru, pod furkoczącą, gołębioszarą markizą przed wejściem. Żadne z nich nie umiało nic powiedzieć. Zandra spoglądała tęsknie, niemal nerwowo, na portiera i wielkie drzwi z rżniętego szkła, za którymi gorąco pragnęła się schronić.

Ale wpojone jej zasady dobrego wychowania nakazywały, by najpierw pożegnała się z kuzynem. A to oznaczało konieczność spojrzenia mu w twarz.

Wolno uniosła wzrok.

Cholera! Powinna to wiedzieć. Jego niebieskie oczy posiadały hipnotyzującą moc i malowało się w nich to wszystko, czego nie wypowiedział słowami - pożądanie, miłość, lojalność, tęsknota - wszystko to wyraźnie dostrzegła. Czuła, jak chwieje się jej postanowienie, kolana się pod nią ugięły i jeszcze chwila, a upadłaby na chodniku.

- Przez najbliższe trzy-cztery tygodnie będę w mieście - odezwał się w końcu Karl-Heinz.

Zandra spojrzała z desperacją na potężne drzwi.

- Wiem, że musisz wracać do pracy - dodał, ujmując jej dłoń. - Ale nie traktuj mnie jak kogoś obcego, dobrze?

Niewyraźnie kiwnęła głową, maskując to, co chciała wyrazić: czy to, że słyszała jego słowa, czy to, że zgadza się na prośbę. Wszystko było kwestią interpretacji.

Jednak zdawała sobie sprawę, że musi coś powiedzieć. Nie mogli przecież rozstać się w milczeniu!

Pomyślała: Zbyt mocno na mnie działa. Dla dobra nas obojga muszę się trzymać od niego z daleka. Muszę zrobić coś, żebyśmy nigdy więcej się nie spotkali.

Głośno zaś powiedziała:

- Będę z tobą w kontakcie.

Było to wygodne i nieszkodliwe kłamstwo, ale jej uśmiech mówił coś innego.

- Do zobaczenia - rzuciła na pożegnanie.

Wielkie drzwi otworzyły się i Zandra zniknęła w czeluściach Burghleya.

29.

Lila Pons była właścicielką mieszkania w River House, ponoć najbardziej snobistycznej i ekskluzywnej kamienicy w Nowym Jorku, jeśli nie na całym świecie.

Wprowadziła się tam latem 1954 roku, trzynaste lat po wybudowaniu Alei Franklina D. Roosevelta. Wcześniej był to stateczny budynek bezpośrednio nad East River, chlubiący się własną przystanią jachtową. To, jak tyle innych rzeczy, z czasem uległo zmianie, ale sam River House pozostał taki jak dawniej.

Zbudowany tuż po krachu w 1929 roku, symbolizował optymizm i wiarę zarówno w miasto, jak i w gospodarkę kraju, i od początku był domem dla wielu najbogatszych, najwybitniejszych i przyjmowanych w najwyższych sferach obywateli miasta, a właściwie świata. Nadal nim pozostawał, a akceptacja zarządu gmachu stanowiła rękojmię w rodzaju pozytywnej opinii CIA, stalinowskiego KGB, FBI J. Edgara Hoovera, MI5, Banku Morgana i *Social Register*.

Dla postronnego obserwatora górujący nad okolicą budynek z cegły i kamienia roztaczał aurę przedwojennej stabilności i solidności; wydawało się, że był tu wiecznie i pozostanie na zawsze - jak legendarne mauzoleum, albo pomnik swej najślawniejszej i najbardziej tajemniczej mieszkanki: Lily Pons.

Zanim Kenzie znalazła się na Wschodniej Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, weszła w bramę jakiegoś domu przy Pierwszej Alei, zdjęła reeboki, schowała je do torby na ramię, a na nogi wsunęła swoje najbardziej eleganckie pantofle.

Spojrzała na zegarek - jeszcze sześć minut. Pięknie. W sam raz, by dotrzeć na miejsce punktualnie.

River House był ostatnim budynkiem przy końcu Wschodniej Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Fasadę w kształcie litery U ozdabiała płócienna markiza, na parterze kamienne twarze wyrzeźbione w murze spoglądały na siebie nad cofniętym wejściem. Kiedy było ciepło, z ich ust tryskała woda do mis w kształcie muszli - teraz wyglądały idiotycznie z rozdzielonymi ustami. Portier stał przed domem, rozkoszując się popołudniowym słońcem; miał na sobie nieodzowny uniform i czapkę z daszkiem i wyglądał, jakby był tu od początku.

- Słucham pani? - Jego piskliwy głos był uprzedzająco grzeczny.
- Jestem umówiona z panią Pons.

Mogłaby przysiąc, że jego twarz - oczy, usta, nawet nos i uszy - stały się zupełnie obojętne.

- Obawiam się, że nikt taki tu nie mieszka.

Kenzie nie dała się zbić z tropu.

- Pracuję w domu aukcyjnym Burghley's - oświadczyła. - Pani Pons zadzwoniła do nas z prośbą o dokonanie wyceny jej kolekcji. Oto moja wizytówka. - Otworzyła torbę i podała mężczyźnie biały kartonik.

Wizytówka była w europejskim stylu, większa od amerykańskich, nobliwa i elegancka.

BURGHLEY ROK ZAŁOŻENIA 1719

721 Madison Avenue
Nowy Jork 10021
(212) JL5-5000

MacKenzie Turner
Rzeczoznawca
Obrazy i rysunki starych mistrzów
(212) JL5-5121

Mężczyzna przesunął kciukiem po wygrawerowanych literach, westchnął i powiedział:

- Pani będzie łaskawa zaczekać, zaraz wrócę.
- Dziękuję! - uśmiechnęła się grzecznie Kenzie.

Patrzyła, jak wszedł do środka i dzwonił z domofonu. Skorzystała z okazji, by obejrzeć wysokie budynki w tym krótkim, wąskim zaułku. Spoglądając nad Aleją Franklina D. Roosevelta, zobaczyła holownika, który pchał barkę w górę East River, zmagając się z silnym nurtem. Po tem odwróciła się i musiała zmrużyć oczy i ręką osłonić twarz przed podmuchem wiatru wiejącego od strony Hudsonu w kierunku New Jersey przez kanion o pionowych ścianach.

Słyszac dyskretne chrząknięcie portiera, Kenzie popatrzyła na niego z uśmiechem. Wyglądał na szczerze zmartwionego.

- Rozmawiałem z gospodynią - oświadczył poważnie, oddając Kenzie wizytówkę. - Kazała pani powiedzieć, że panna P. przebywa obecnie w Japonii.

- W Japonii? - Zmarszczyła czoło. - To trochę dziwne, czyż nie? Skoro nie ma jej w kraju, dlaczego do nas zadzwoniła?

- Przykro mi, proszę pani - odrzekł jak zawsze grzecznie, ale coś w jego zachowaniu zdradzało, że oboje są jedynie ofiarami kaprysu jakiejś siły wyższej. - Przekazuję tylko to, co mi powiedziano.

Kenzie się zawahała, ale zaraz filozoficznie wzruszyła ramionami.

- Cóż, to nie pana wina. - Cofnęła się kilka kroków i podniosła rękę, by mu przyjaźnie pomachać. - Niemniej dziękuję.

Staruszek wydawał się wdzięczny, że nie jest bardziej dociekliwa.

- Zawsze do usług - powiedział, unosząc czapkę.

Ruszyła z powrotem w kierunku Pierwszej Alei, kiedy coś... może intuicja? Może szósty zmysł?... sprawiło, że zwolniła kroku i uniosła głowę, by spojrzeć w zamknięte okna budynku. Nagle przystanęła z wrażenia.

Czy to jej wyobraźnia?

Czy też zobaczyła... co?

Nie przysięgłaby przed żadnym sądem świata, nawet przed sobą, ale wydawało jej się - czyżby to była halucynacja albo pobożne życzenie? - że zasłona w oknie na piątym piętrze lekko drgnęła i ukazała się tam jakaś upiorna twarz, by równie szybko zniknąć w głębi pomieszczenia.

Kenzie poczuła ciarki przechodzące po plecach. Stała jak zamurowana, nie mogąc oderwać oczu od tamtego okna. Było ciemne i tajemnicze; zasłona ani drgnęła.

Besztając samą siebie za wybujałą wyobraźnię, z ociąganiem ruszyła dalej, ale przez ramię rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na owo piętro.

To jeszcze jedno zamknięte okno pośród niezliczonego mnóstwa innych, mówiła sobie. No to co, że zasłona się poruszyła? To mogło być mieszkanie czyjekolwiek; jeden Bóg wie, ilu lokatorów mieszka w takim wielkim domu.

Przelotnie pomyślała, czy to zlecenie nie było czymś głupim żartem.

Albo też Lila Pons naprawdę chciała, by oszacowano jej kolekcję... a potem w ostatniej chwili się rozmyśliła.

Czas wszystko wyjaśni. A może nie.

Tak czy inaczej, Kenzie wiedziała, że nieprędko zapomni tę intrygującą sprawę.

Sam pomysł wizyty u jednej z największych legend ekranu wszech czasów - szczególnie takiej, która stała się tajemniczą pustelnicą, żyjącą za zamkniętymi drzwiami - sprawił, że ta wyprawa, chociaż daremna, okazała się jeszcze bardziej fascynująca.

„Chcę być sama!” - powiedziała do siebie cicho Kenzie.

„Powiedz, kimkolwiek jest ta osoba, że wyjechałam do... do Japonii!”

No tak, to było oryginalne!

Szczególnie, kiedy ów ktoś pragnął zobaczyć gwiazdę.

A do tego najbardziej tajemniczą gwiazdę...

30.

Po powrocie do domu pani Goldsmith dała swemu majordomusowi wyraźnie do zrozumienia, że nikomu pod żadnym pozorem nie wolno jej przeszkadzać. Następnie zaś udała się do wybitego jedwabiem buduaru pewna, że tutaj w całkowitym spokoju może snuć swą pajęczą sieć.

Mając za świadków jedynie elegancką *Hrabinę Essex* Sargenta i dwie rozmarzone piękności Boldiniego, Dina zdjęła pantofle z krokodylej skóry i rozsiadła się wygodnie na miękkiej *duchesse brisée* w stylu Ludwika XV, która kiedyś należała do najsłynniejszej koneserki osiemnastowiecznych mebli francuskich, pani Karolowej (Jayne) Wrightsman. Tej samej pani Wrightsman, której amfilada przypominających Wersal pokoi stanowiła załazek jednej z największych kolekcji Metropolitan Museum - sal Wrightsman.

Podśpiewując cicho, Dina wzięła ze stolika mosiężny aparat telefoniczny i postawiła go sobie na kolanach.

Była gotowa.

Ale nim zadęła w róg, pozwoliła sobie na chwilę refleksji.

Jej wzrok przyciągnęły dwa obrazy Boldiniego, przedstawiające zatrzymane w czasie przedstawicielki wymarłego, przedwojennego gatunku. Przechyliwszy lekko głowę, przyglądała im się z zachwytem, jak to robiła już z tysiąc razy.

Kiedy tylko przeżywała chwile zwątpienia w siebie, wystarczyło, że przyszła tu i od razu zyskiwała nowe siły - tak potężna aura błogiej pewności siebie i niezmaconego spokoju biła od dwóch piękności na obrazach. Dina często się zastanawiała, jakiż to rodzaj alchemii, czemu tak na nią wpływają owe postacie z pozłacanych ram, jaką magiczną moc posiadły, dzięki której mogły tak pozytywnie oddziaływać na jej poczucie własnej wartości.

Myśli Diny zwróciły się ku realizowanemu zadaniu - intrydze, którą tak przemyślnie i genialnie uknęła razem z Becky V.

Przypominając sobie każdy kolejny krok, pozwoliła sobie na luksus podniecenia, wywołanego zadowoleniem z siebie.

Trzy miesiące! Trzy długie miesiące - tyle czasu upłynęło od przyjęcia w Met, kiedy po raz pierwszy wpadła na pomysł ożenienia Karla-Heinza z Zandrą. Ale pozostał on tylko nierealną fantazją; potrzebna była pomoc Becky V, by zaczął przybierać rzeczywiste kształty.

Teraz, gdy pomyślnie udało się ukończyć fazę wstępną - jako że Becky zainteresowała skutecznie Karla-Heinza kuzynką - nadeszła pora przystąpienia do drugiego etapu - kiedy wszystko było dosłownie w rękach Diny! Już rozkoszowała się bliskim zwycięstwem.

Zwyciężę! - powtarzała sobie w duchu raz po raz. Muszę zwyciężyć!

Nie tylko wybrały najbardziej dogodny moment - Dina wiedziała, że drugi raz nie trafi się już taka okazja.

Teraz albo nigdy, powiedziała sobie.

Jeśli było coś bardziej upajającego lub uderzającego do głowy niż odgrywanie roli swatki prawdziwego księcia i przyszłej księżnej, jeszcze tego nie zakosztowała.

Ostatecznie dzięki małżeństwu księcia Karla-Heinza von und zu Engelwiesen i Zandry, hrabianki Grafburg, Dina przy jednym ogniu upiecze wiele pieczeni. Nie tylko potwierdzi i umocni własną pozycję i wpływy; za jednym zamachem odniesie wielki sukces towarzyski i uczyni tych dwoje swymi dozgonnymi dłużnikami.

Ostrożnie, przestrzegła samą siebie. Niebezpiecznie jest przedwcześnie świętować zwycięstwo.

Oderwała wzrok od obrazów Boldiniego i położyła rękę na aparacie telefonicznym. Pora przestać śnić na jawie i przystąpić do dzieła. Czas znaleźć zajęcie dla rąk!

Podniosła słuchawkę i wybrała prywatny numer Sheldona D. Faireya w Burghleyu.

* * *

Obiad wprowadził dyrektora Faireya w przyjemny, pogodny nastrój. Wrócił do pracy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, przekonany, że udał mu się mistrzowski ruch. Wchodząc do sekretariatu z błyszczącymi oczami, rzucił promienny uśmiech swej sekretarce, wspaniałej panie Botkin.

Bez wahania wstała z za biurka, by wziąć od niego płaszcz, szalik i rękawiczki.

Sheldon uwielbiał jej zaafelowaną, przypominającą żoniną, krzątanicę. Ta kobieta, chwała Bogu, nie należała do feministek. Z całą pewnością nie.

Panna Botkin - nalegała, by zwracano się do niej „panna”, a nie „pani” - była jedną z ostatnich sekretarek w starym stylu. Nie tylko czuła się dumna z tego, że podaje swemu szefowi filiżankę kawy, ale nie ufała nikomu i osobiście meła ziarna, sporządzała napar, a potem podawała go, używając dużego, oficjalnego srebrnego serwisu, lnianych serwetek i najcieńszej porcelany.

Wszędzie jakość mogła się pogorszyć, ale nie w tym biurze. Nie, póki ona żyje. Panna Botkin trzymała się kurczowo swych niewzruszonych, wiktoriańskich zasad z rzetelnością równie zdumiewającą, jak niemodną.

Fairey przygładził swe srebrzyste włosy, poprawił krawat, a potem wkroczył dumnym krokiem do gabinetu i zamknął za sobą drzwi, by móc w samotności napawać się zwycięstwem.

Szedł na obiad, spodziewając się najgorszego.

Wrócił w nastroju euforii.

I miał ku temu powód. Okazało się, że Leonard Sokoloff, producent ogłupiających, okropnych seriali telewizyjnych, nie przypominał stereotypowego hollywoodzkiego producenta, kolekcjonującego dzieła sztuki tylko dlatego, że to zajęcie intratne czy modne.

Bystry, wylewny i chytry jak lis, Sokoloff trzymał jeden palec na pulsie telewizorów, a pozostałe na najrozmaitszych dziedzinach życia - od polityki i filozofii do finansów i sztuki. Szczególnie sztuki nowoczesnej.

Tak więc schlebianie temu człowiekowi - a raczej zabieganie o jego kolekcję sztuki współczesnej, która wkrótce miała pójść pod młotek - okazało się dla Faireya wielce przyjemnym doświadczeniem. Ale najbardziej zdumiał go sam Sokoloff; widać było jego prawdziwą pasję do dzieł Mondriana, Kline'a, Lichtensteina i Klee. Mówił o nich z takim uczuciem, jakby były jego dziećmi.

Wprawdzie lepiej by zrobił, gdyby taką samą miłość okazywał własnej żonie, wtedy zbiory mogłyby pozostać nietknięte. Ale tak się złożyło, że padły ofiarą jednego z trzech wielkich fatalnych wydarzeń, napędzających klientów domom aukcyjnym - śmierci, zadłużenia i rozwodu - i trafiły na licytację z uwagi na to ostatnie.

Fairey ze współczuciem pokiwał głową. Tak, jak każdy medal ma dwie strony, tak nieszczęście jednego człowieka oznaczało dla innych radość.

Niewątpliwie przegrany był w tym wypadku Sokoloff. Wielkimi zwycięzcami staną się adwokaci, którzy otrzymają olbrzymie honoraria za przeprowadzenie rozwodu, a także już niebawem była żona producenta, która bezlitośnie go wyżyłowała, oraz Burghley, który zarobi pokaźną prowizję na sprzedaży jego kolekcji.

Ponieważ Burghley - nie Christie, czy Sotheby, ale Burghley! - zajmie się tymi obrazami! Uzgodnili to podczas obiadu.

I dlatego właśnie Sheldon D. Fairey był taki zadowolony.

Niespodziewane brzęczenie prywatnego telefonu przerwało mu błogi nastrój. Pewny, że dzwoni żona, podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

- Słucham?

- Sheldon! Kochanie!

Ten przymilny i dźwięczny głosik z całą pewnością nie należał do Niny Fairey.

- Tu Dina.

O, Chryste, pomyślał pan Fairey czując nieprzyjemne mrowienie. A czemuż to, zastanawiał się, zawdzięczam ten dyshonor?

- Dzień dobry, pani Goldsmith - pozdrowił ją ostrożnie.

- Nie przeszkadzam ci, Sheldonie?

„Do jasnej cholery, pewnie, że przeszkadzasz!” - miał ochotę warknąć. Oczywiście nic takiego nie powiedział.

- Bo jeśli akurat jesteś czymś zajęty - ciągnęła wspaniałomyślnie Dina - możemy porozmawiać później.

Pani Goldsmith okazująca delikatność? Nagle Sheldon D. Fairey zrobił się nadzwyczaj czujny. Owa miła, łagodna Dina to było coś zupełnie nie w jej stylu.

- Ależ skądże znowu, wcale mi pani nie przeszkadza - skłamał, nawet się nie zająknąwszy. - Nic a nic.

- Tak się cieszę! Rozumiem, że u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję - powiedział. Teraz do czerwonych światełek pulsujących mu w głowie przyłączyło się wycie syren. - A pani?

- Och, wiesz... *comme ci, comme ça*. Ale generalnie całkiem nieźle, jak sędzę. - Dina przeszła prosto do rzeczy. - Skarbie, dzwonię do ciebie, bo potrzebna mi twoja pomoc!

- Tak? - powiedział ostrożnie, żałując, że wciąż jeszcze nie je obiadu z Leonardem Sokoloffem, albo...

...albo nie znajduje się teraz gdzieś na drugim końcu świata, może na bezludnej wyspie lub w Himalajach - gdziekolwiek, dokąd nie sięga długa ręka Diny Goldsmith.

- Sprawa jest następująca - zaczęła tłumaczyć Dina. - Widzisz, razem z Robertem szukamy domu na wsi. Rozgląda się za czymś w Connecticut, podczas gdy ja wolałabym Hamptons. Obawiam się, że nie zdaje sobie sprawy z tego, jak nudno może być na wsi.

- O tak, wyjątkowo nudno - zapewnił ją Fairey, mając najgorsze przeczucia.

- No więc porozmawiałam z Becky V... - Dina zawiesiła głos, najwyraźniej po to, by mieć pewność, że ów fakt zapadnie Faireyowi w pamięć - ...i nigdy nie zgadniesz, co mi poradziła.

Sheldon poczuł ciarki na samą myśl o tym.

- Nie... - powiedział cicho.

- Zaproponowała, żebym zabrała Roberta do New Jersey. Gdzieś do krainy polowań. Zapewniła mnie, że jest tam tak nudno, iż jeden weekend wyleczy go raz na zawsze z marzeń o wiejskim domu.

- Hmm - mruknął wymijająco.

- Becky powiedziała mi też, że wasze posiadłości sąsiadują ze sobą.

Fairey uniósł dłoń do twarzy i zamknął oczy. Dobry Boże, pomyślał, jak chcesz mnie doświadczyć?

- Owszem - potwierdził szeptem.

- A więc - ciągnęła Dina - zastanawiałam się, czy moglibyśmy wpaść do was w któryś weekend. Żeby poznać atmosferę, no wiesz... pojeździć po okolicy, zobaczyć różne miejsca. Żeby Robert na własnej skórze mógł się przekonać, jakie to nudne.

Umysł Sheldona D. Faireya pracował na najwyższych obrotach. Wpaść! W któryś weekend! Wielki Boże, musi ją odwieść od tego zamiaru - i to natychmiast, zanim ta nieobliczalna kobieta nie wpadnie na jakiś inny okropny pomysł.

- Obawiam się, że nasz dom jest... no cóż, dość skromny, pani Goldsmith - powiedział szybko. - Moja żona jeździ konno i stajnie są w lepszym stanie niż budynek. - Zmusił się do jowialnego śmiechu. - Obawiam się, że nie przypadnie pani do gustu.

- Mniejsza o mnie - odpowiedziała niezrażona Dina. - Najważniejsze, żeby Robertowi się nie spodobało.

Nie mógł w to uwierzyć! Wystarczająco źle, że musiał znosić Goldsmithów w Nowym Jorku. Ale na wsi? W swoim własnym domu?

- Rozumiesz, skarbie - ciągnęła. - O ile Robert nie przekona się, jak tam okropnie i straszliwie nudno - a musi dojść do takiego wniosku! - skończę gdzieś w hrabstwie Litchfield zamiast w Southampton. A odkąd zobaczyłam tam pewien dom, wiem, że musi stać się moją własnością.

Rozumiesz, złotko? Moje szczęście jest w twoich rękach! Musisz mi pomóc przekonać Roberta!

Sheldon przelknął głośno ślinę, wyobrażając sobie, jak Dina przez cały dzień terroryzuje wszystkich, a nieokrzesany Robert, wiecznie palący swe cuchnące cygara, zatrzuwa nieskalane powietrze jego weekendowego sanktuarium!

- Naprawdę nie wiem, czy na wiele zda się nasza pomoc - mruknął sztywno.

- Ależ na pewno bardzo pomożecie, skarbie! Na pewno! Co byś powiedział na... na następny weekend?

Co takiego? Aż otworzył usta w obliczu takiej bezczelności.

- Muszę... muszę porozumieć się z żoną - powiedział wykrętnie. - *Naturellement!* To się rozumie samo przez się.

- Dam pani znać.

- Dobrze. - Dina zrobiła przerwę. - Sheldonie?

- Słucham, pani Goldsmith?

- Pamiętaj, złotko - zaszczębiotała. - Ręka rękę myje!

I powiedziawszy to, jego prześladowczym się rozłączyła. „Ręka rękę myje...” Słowa te bez końca dźwięczały mu w uszach. „Ręka rękę myje...”

Ich znaczenie było oczywiste.

- A niech tę kobietę wszyscy diabli! - zawołał, waląc pięściami w biurko. - Żeby po wsze czasy smażyła się w piekle!

Potem, odzyskawszy panowanie nad sobą, wybrał zakodowany numer telefonu do domu. Jego żona nie podniosła słuchawki; włączyła się automatyczna sekretarka. Szybko się rozłączył i nacisnął kolejny guzik, numer jej telefonu komórkowego. Rozległa się seria szybkich, elektronicznych dźwięków. Potem zapanowała cisza. W końcu jeden sygnał... drugi...

Sheldon słyszał, jak jego oddech odbija się rykoszetem od słuchawki; czuł, jak jego palce zaciskają się na niej tak mocno, jakby chciał ją zgnieść.

No dalej... odbierz, do jasnej cholery!

Musiał porozmawiać z Niną. Zawsze znajdowała najbardziej wiarygodne wytłumaczenie. Może jej uda się wykręcić od weekendu z Goldsmithami...

...od weekendu w piekle!

* * *

Podczas gdy jej mąż przeżywał najgorsze katusze, Nina Fairey zamawiała kompletnie nowy strój do jazdy konnej u Hermesa. Czapka, bluzka, kurtka, bryczesy, buty - stanowiły niemały wydatek w każdym sklepie dla miłośników konnej jazdy, ale u Hermesa była to poważna inwestycja.

Nina Fairey wolała myśleć o tym jako o podniesieniu standardu życia.

Właśnie spisywano zamówienie, kiedy zabrzączał telefon komórkowy w jej torbie od Kelly'ego.

- Przepraszam - powiedziała do ekspedientki, wyjmując aparat. Odpiąwszy ciężki kolczyk, przyłożyła słuchawkę do ucha i powiedziała:

- Halo!

- Dzięki Bogu! Nino, gdzie jesteś?

Wyraźnie słyszała ulgę w głosie męża.

- U Hermesa. - Mówiłam ci, że jestem umó...

- Tak, tak, tak - syknął, przerywając jej w pół słowa. - Słuchaj, zaszło coś, co nie może poczekać. Czy możesz swobodnie mówić?

Nina spojrzała na sprzedawców i klientów sklepu.

- Nie - powiedziała. - Niezupelnie. Ale poczekaj chwilę. - Nacisnęła guzik „hold” i zwróciła się do ekspedientki. - Czy mogłabym tu gdzieś bez skrępowania przeprowadzić tę rozmowę?

- Ależ naturalnie! Proszę za mną.

Przeszły koło szklanych gablot z porcelaną ozdobioną motywem tukanów, a potem kolejną z altankami, pagodami i motylami, następnie obok ekwipunku do konnej jazdy i mebli z drewna i skóry, a w końcu Nina znalazła się w małym pomieszczeniu na zapleczu. Przyłożyła telefon do ucha.

- Sheldonie? Jesteś tam?

- Tak!

- Możemy teraz swobodnie porozmawiać. Kochanie, co się stało? Jesteś jakiś nieswój.

- Co się stało? - odezwał się jej mąż urywanym, piskliwym głosem, jakby za chwilę miał dostać ataku hysterii. - Zagraża nam Dżingis-chan!

Nina obracała w palcach złoty kolczyk.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Nino, na litość boską... Zagrażają nam Goldsmithowie!

- Kochanie, co chcesz przez to powiedzieć?

- Przecież mówię wyraźnie.

- Sheldonie, nie jestem psychiatrą. Czy możesz skończyć z tymi zagadkami i wyrażać się bardziej konkretnie?

- Dobrze już, dobrze! Ale nie uwierzysz w to!

Usiadła na krześle.

- Zobaczymy.

- Dobrze. - Słyszała jego świszczący oddech. - Wróciłem z obiadu i jak myślisz, co mnie powitało?

Żona milczała.

- ...dzwoniący telefon. Mój prywatny, do cholery! Wiesz, jak chronię ten numer, nie ma go nawet w książce!

Nina mruknęła coś współczująco.

- Nieważne. Któż to mógł dzwonić, jak nie Dina Goldsmith? Jeden Bóg wie, skąd wzięła ten numer, chociaż nie dziwię się, że jej się to udało - ta modliszka jest zdolna do wszystkiego!

Nina przycisnęła do czoła dwa palce, by powstrzymać zbliżający się ból głowy.

- Uspokój się, kochanie, proszę. Nadal nie mam najmniejszego pojęcia, co się stało. A więc: zadzwoniła Dina.

- Tak! - krzyknął.

- Czego chciała?

- Uwierzysz, wprosiła się do... do naszego domu na wsi! Do naszego domu, do jasnej cholery! - powiedział Sheldon bełkotliwym tonem, unosząc głos z niepohamowanej wściekłości. - Chryste, czy nie ma już żadnych świętości? Czy już dom człowieka przestał być jego twierdzą?

Nina zachowała spokój.

- I co jej odpowiedziałeś?

- A jak myślisz? Bóg wie, że próbowałem z godnością odwieść ją od tego pomysłu, ale oczywiście to mi się nie udało!

Znowu wybuchnął ponurym śmiechem; Nina zorientowała się, że nerwy jej męża napięte są do granic wytrzymałości.

- Ta kobieta nie rozumie, co znaczy słowo nie!

- Sheldonie, uspokój się, niech pomyślę, kochanie...

- I lepiej szybko coś wymyśl! - warknął. - W przeciwnym razie następny weekend spędzimy z nią i z tym jej okropnym mężem!

- Czy przypadkiem wspomniała, dlaczego chce przyjechać?

Powtórzył żonie to, co mu powiedziała Dina.

- Naturalnie nie uwierzę w tę bajeczkę - oświadczył. - Kieruje się jakimś innym powodem, chociaż nie mam pojęcia, cóż to takiego może być.

- Hmm. - Nina w zamyśleniu postukała się palcem w usta. - Następny weekend...

- Tak! Nino, musisz coś zrobić! Znajdź jakiś sposób, by się od tego wykręcić...

- Sheldonie! Na miłość boską, mógłbyś się uspokoić? To nie koniec świata. Prawdę mówiąc... - z lubością spojrzała na krzesło z drewna i skóry i uśmiechnęła się do siebie. - ...może to być wspaniały początek. Ta wizyta zdecydowanie może nam się przysłużyć.

- Nino! Co ty mówisz?

W głosie Sheldona znów dało się słyszeć panikę. Nina była już lekko zirytowana, ale zmusiła się, by jej głos pozostał spokojny.

- Kochanie, mówię jedynie, że mam na uwadze nasz najlepiej pojęty interes. Twoją karierę... naszą pozycję towarzyską. Naprawdę. Mam wrażenie, że przyjęcie Goldsmithów w Somerset wcale nie jest takim złym pomysłem...

- Nino!

- Kochanie, zaufaj mi. Teraz zapomnij o wszystkim i wracaj do pracy. Ja się tym zajmę.

- Nino... Nino! Odwiedzisz ich od tego zamiaru, prawda?

- Sheldonie, proszę skończ z tym! - Boże, nie znosiła, kiedy mężczyźni się mazali! - Wiem, co robię.

- O, Chryste...!

- Uspokój się, kochanie. Czy muszę ci przypominać, że chociaż jesteśmy sąsiadami, nigdy nie udało nam się nawiązać bliższej znajomości z Becky V?

- I co z tego?

- To, że... - Skrzyżowała zgrabne nogi. - ...krążą plotki, że ona i Dina Goldsmith bardzo się zaprzyjaźniły, a przynajmniej mają jakieś wspólne sprawy. Tak więc najłatwiejszą drogą do poprawienia naszej pozycji w towarzystwie będzie podłączenie się do Diny.

- Podłączenie się... Nino! Zwariowałaś?

- Skądże znowu, kochanie! - Uśmiechając się do siebie, pani Fairey przyglądała się swym skrzyżowanym nogom i poruszyła palcami w szpilkach karmelowego koloru. - Może jestem oportunistką, ale wariatką? Z całą pewnością nie. No, nie mam teraz czasu. Kochanie, porozmawiamy później...

- Ale...

- Później, Sheldonie - powiedziała stanowczym tonem. - Daj mi tylko numer telefonu Diny, żebym mogła natychmiast do niej oddzwonić.

* * *

Kiedy Dina odłożyła słuchawkę, poczuła przyjemną satysfakcję, że mogła wykorzystać małą cząstkę swych znaczących wpływów.

Och, wpływy. Czy coś się może z tym równać?

Według niej nic.

Ale będzie jeszcze dużo czasu, by napawać się własnym triumfem. Na razie miała pilniejsze rzeczy do załatwienia. Na przykład zadzwonić do Zandry. Nina Fairey, oczywiście, zaprosiła wszystkich troje - Roberta, Dinę i Zandrę.

I jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, Zandra zostanie kolejną księżną von und zu Engelwiesen!

Nie tracąc czasu, Dina wybrała numer telefonu do Działu Dawnych Mistrzów.

- Złotko! To ja!

- Rety, Dina! - rzuciła Zandra do słuchawki. - Cześć! - Siedziała za biurkiem, obserwując, jak z faksu wysuwa się papier prosto w ręce czekającej Kenzie. - Chyba nie zostawiłam w restauracji portmonetki? Czasami jestem tak okropnie roztrzepana...

- Nie, nie - zapewniła ją pospiesznie Dina. - Skarbie, niczego nie zostawiłaś.

- Och, to dobrze. Czasami się boję, że zostawiłabym gdzieś głowę, gdyby nie była mocno przytwierdzona do reszty mego ciała.

Przyjaciółka się roześmiała.

- Złotko, dzwonię, żeby cię zaprosić na wieś w następnym weekend.

- Na wieś! Ależ, Dino, cóż za niespodzianka!

- Mogę na ciebie liczyć, skarbie, prawda?

- Miałam... - Zandra starała się zebrać myśli. Zaproszenie było tak niespodziewane, że na chwilę zbiło ją z tropu. Czy już sobie coś zaplanowała na przyszły weekend? - Kto będzie oprócz nas? - spytała, przerzucając kartki kalendarza leżącego na biurku.

- Och, nikt ważny - uspokoiła ją Dina. - Pojedziemy do Faireyów, będą tylko oni, Robert i my dwie. No wiesz, spokojny weekend w niewielkim gronie.

- Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć!

- Złotko, musisz powiedzieć „tak”! W przeciwnym razie... umrę z nudów i nigdy, przenigdy ci tego nie wybaczę!

- Och, Dino. Kochanie, naprawdę muszę mieć chwilkę, żeby...

- Czy dzwonię nie w porę?

- Nie, nie o to chodzi. Tylko zupełnie się tego nie spodziewałam i... no cóż, nie zamierzałam...

- Ależ musisz jechać z nami! - zaskomlała Dina. - Skarbie, nalegam! Rozkazuję ci! Prawdę mówiąc, twoja obecność jest nieodzowna!

Zandra zmarszczyła czoło i pomyślała: Nieodzowna? To oczywiście, że moja obecność nie jest nieodzowna. Dlaczego miałyby być inaczej? I czemu Dina robi z tej wizyty taką wielką sprawę?

- Dino... - zaczęła i urwała.

Z drugiego końca pokoju rozległ się okrzyk triumfu; Kenzie uniosła w górę rękę zaciśniętą w pięść i zawołała: „Wiedziałam!”. Widocznie faks od profesora Tindemansa zawierał wszystko to, co miał zawierać, i sprawę Holbeina można będzie teraz przekazać w ręce odpowiednich władz i sądu.

- Zandro? - rozległ się w słuchawce głos Diny. - Złotko, co się tam dzieje?

- Rety, Dino, muszę kończyć!

- Ale co z następnym weekendem?

- Dobrze, kochanie, pojedę z wami - obiecała Zandra dla świętego spokoju. - Możesz na mnie liczyć. Będzie cudownie. Jak za dawnych czasów... porozmawiamy później... dziś wieczorem. Pa!

Odłożywszy słuchawkę, Zandra się zamyśliła. Weekend na wsi to całkiem niezły pomysł. Przynajmniej wyrwie się z miasta. Przez trzy miesiące nie opuszczała Manhattanu. Zmiana otoczenia z pewnością dobrze jej zrobi.

* * *

Cabinet d'amateur w apartamencie Becky V, niczym kosztowna szkatułka ze ścianami ozdobionymi dziełami Goi, stanowił odpowiednią oprawę dla najbardziej drogiego klejnotu.

Becky siedziała na fotelu przypominającym tron. Była Pierwsza Dama przyglądała się oprawionemu w złoczone ramy obrazowi, umieszczonemu na sztalugach. W promieniach przyćmionego światła jaśniała *Wenus w kąpielu* Corota, przysłana przez galerię z Madison Avenue do obejrzenia.

Kupić czy nie kupić... Było to pytanie za trzy i pół miliona dolarów.

Ponieważ pieniądze nie stanowiły żadnej przeszkody, należało rozstrzygnąć znacznie istotniejszy problem: czy obraz jest wystarczająco dobry, by znaleźć się w jej kolekcji?

Diuszesa siedziała ze zmarszczonym czołem, starając się podjąć decyzję.

Jej rozważania przerwało głośnie pukanie do drzwi.

- *Oui?* - zawołała.

Do pokoju wszedł szurając nogami Uriah i odchrząknął.

- Proszę pani! - wykrzyknął. - Dzwoni pani Goldsmith!

- *Merci*, Uriah. - Nadal przyglądając się obrazowi, Becky sięgnęła po stojący obok aparat i podniosła słuchawkę. - *Allô!*

- Skarbie! Tu Dina!

- *Chérie!*

- Wszystko załatwione. *Fait accompli!*

- A Zandra? - Becky ani na moment nie odrywała wzroku od obrazu.

- Zgodziła się pojechać z nami.

- *Bon.* Dobrze się spisałaś, *chérie*. Natychmiast dzwonię do Karla-Heinza!

31.

Tamtego wieczoru Manhattan skrzył się jak pokryty szronem. Oglądany z góry przypominał sławne czarno-białe zdjęcie z lotu ptaka autorstwa Berenice Abbott, którego podpisana odbitka wisiała w holu mieszkania Karla-Heinza.

Ale między fotografią a rzeczywistym obrazem była jedna różnica: kolory.

Miliony żarzących się okien miało kolor żółty, a nie biały. W dole, na poziomie ulic, sygnalizacja świetlna w kółko zmieniała się z barwy czerwonej na żółtą, a potem na zieloną... z żółtej na czerwoną, a potem na zieloną... Migotały wielobarwne neony. A ulice i aleje przypominały rzeki białych reflektorów i rubinowych tylnych świateł.

Poza tym mało się zmieniło od czasów, kiedy pani Abbott robiła swoje zdjęcie z lotu ptaka. Och, budynki były wyższe, ruch samochodów większy, światła liczniejsze i bardziej jaskrawe. Ale właściwie wszystko wyglądało tak, jak w 1932 roku.

Manhattan widziany z góry można było natychmiast rozpoznać.

Nawet jeśli się nie znało zdjęcia Berenice Abbott.

* * *

Było wpół do ósmej, kiedy Hannes i Kenzie dotarli do Lumy, restauracji nad brzegiem morza przy Dziewiątej Alei w Chelsea. Mieli zarezerwowany stolik pod oknem.

- Zastrzegłaś się, że nie jesz czerwonego mięsa - powiedział, pomagając Kenzie usiąść.

Uśmiechnęła się wzruszona, że o tym pamiętał, i rozejrzała się po sali, utrzymanej w subtelnych kolorach brzoskwini i seledynu. Trójkątne kiniki rzucały na ściany zielone refleksy.

Kenzie podparła się łokciami na blacie okrągłego stolika i splotła palce, obserwując, jak Hannes siada naprzeciwko niej. Znów uderzyła ją jego męska uroda i imponująca osobowość. Przemknęło jej przez myśl, że nigdy dotąd nie poznała mężczyzny, który byłby tak... tak doskonały.

I nie była odosobniona w swojej opinii. Przekonała się o tym, kiedy od niechcienia rozejrzała się po sali. Oczy wszystkich kobiet kierowały się w jego stronę.

Czując dziwną mieszaninę dumy i zazdrości, pomyślała: Przykro mi, dziewczyny, ale on jest zaklepany.

Hannes podciągnął mankiety koszuli i powiedział z uśmiechem:

- Słyszałem, że podają tu najlepsze potrawy wegetariańskie w mieście.

Kenzie, nie chcąc mu psuć przyjemności, nie zdradziła się, że była tu już kilka razy. Potem przypomniała sobie, z kim, i poczuła wyrzuty sumienia. Czy zupełnie nie mam wstydu? Poprzednio przychodziłam tu z Charleyem!

Dobry Boże, pomyślała z nagłym poczuciem winy. Zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu byłam z Charleyem! Może nie zamierzaliśmy się kochać, ale w końcu do tego doszło. A teraz siedzę tutaj z jego kolegą z pracy!

Zdusiła w sobie uczucie wstydu. Taki zamęt w głowie do niczego jej nie doprowadzi. Nie mam powodu, by czuć się winna; Charley należy do przeszłości. Nie mogę pozwolić, by dyrygował moją przyszłością.

Hannes mówił dalej:

- Nie sądzę, by podawali tu napoje wysokoprocentowe. Co powiesz na to, żebyśmy na początek napili się wina?

Kenzie drgnęła.

- Przepraszam. - Opuściła ręce i przesunęła dłońmi po białym obrusie. - Zamyśliłam się trochę.

Spojrzał na nią z niepokojem.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. - Uśmiechnęła się uspokajająco. - Wino będzie w sam raz.

Zamówił Chateau Lynch-Bages Pauillac z 1982 roku, a potem powiedział:

- Chciałem cię zapytać, czy dostałaś faks od profesora Tindemansa?

Kenzie uderzyła się w czoło.

- Co się ze mną dzieje? Zupełnie straciłam głowę.

Sięgnęła do torebki, którą powiesiła na oparciu krzesła i podała mu przez stół szarą kopertę.

- Proszę. Zrobiłam ci fotokopię.

Jakby się zastanawiając, na ile to pilne, przez chwilę przyglądał się kopercie, nim odłożył ją na bok.

- Wybaczysz mi, jeśli wrócę do tego dopiero jutro rano? O wiele bardziej wolę poświecić ten wieczór tobie.

Jego głos był tak cichy, tak pełen uroku, tak niezaprzeczalnie czuły i obiecujący, że Kenzie poczuła, jak ogarnia ją fala ciepła.

Uratowało ją od konieczności odpowiedzi pojawienie się kelnera, który z pewną ostentacją pokazał etykietkę na butelce wina. Kenzie przyglądała się, jak z wprawą wyciągnął korek, nalał trochę wina do kieliszka Hannesa i zgrabnie obrócił butelkę, by nie uронić ani jednej kropli.

Hannes podniósł kieliszek; zakręcił nim, powąchał bukiet i wypił łyk wina. Odstawił kieliszek i skinął głową.

- Bardzo dobre - oświadczył aprobowająco. Kelner napełnił obydwa kieliszki i dyskretnie się ulotnił.

Hannes wziął swój kieliszek.

- Proponuję toast - powiedział.

Kenzie podniosła swój kieliszek i spojrzała na mężczyznę pytająco.

- Za nas - odezwał się cicho.

Czuła bijące od niego ciepło. Zupełnie jakby ktoś rozdmuchał żar, który promieniował na całe ciało, aż do koniuszków palców u rąk i nóg.

- Za... nas - szepnęła, delikatnie trącając się z nim kieliszkiem.

Pili wino, nie odrywając od siebie oczu. Powietrze było tak przesycone zmysłowością, że Kenzie niemal widziała elektryczne iskry przeskakujące między nimi. Spuściła wzrok i odstawiła kieliszek. Jej głos był zachrypnięty.

- Wino jest bardzo dobre.

- Tak - powiedział Hannes, wpatrując się w nią z natężeniem. - Ale towarzystwo jeszcze lepsze. Według mnie, niewątpliwie *grand cru*.

Musiła się roześmiać.

- Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom.

Kciukiem i palcem wskazującym obracał kieliszek, stojący na stole.

- Nie postawiłbym na to zbyt dużo - ostrzegł ją. - Przegrałabyś.

- Czy to znaczy, że zaprosiłeś mnie dziś wieczorem tylko dlatego, by mnie uwieść?

- Owszem, a także aby lepiej cię poznać. - Skinął głową. - Ostatnim razem nie mieliśmy okazji porozmawiać.

Jego szczerłość rozbijała i niepokoiła równocześnie. Jednym haustem Kenzie opróżniła kieliszek do połowy.

- Cóż, wobec tego porozmawiajmy. - Zrobiła gest ręką.

- Miałem nadzieję, że głównie ty będziesz mówiła. Widzisz, chciałbym się więcej o tobie dowiedzieć.

Roześmiała się przekornie.

- A ja wolałabym posłuchać o tobie! Masz fascynującą przeszłość.

Zdaje się, że mówiłeś, że twój ojciec był dyplomatą?

Hannes skinął głową twierdząco.

- Więc jak trafiłeś do Interpolu?

- Obawiam się, że to długa historia, Kenzie.

- I co z tego? - Nie odwróciła wzroku. - Mamy całą noc.

Zaczerpnął głęboko powietrze i wolno je wypuścił.

- Zgoda. Ale muszę cię ostrzec, że to nie będzie jedna z tych opowieści ze szczęśliwym zakończeniem.

Kenzie popatrzyła na niego z uwagą.

- Na ogół życie to nie bajka.

- Chyba masz rację. - Wciąż obracał kieliszek. - Zastanawiam się, od czego zacząć - powiedział po chwili.

- Dlaczego nie od początku? - zaproponowała delikatnie.

- No właśnie - przyznał jej rację. - Czemu nie?

Zaczął opowiadać o sobie, a ona słuchała z największą uwagą. To, co mówił, tak przypominało historię jej życia, że aż wydawało się to nieprawdopodobne. Były tylko dwie istotne różnice. Po pierwsze, Kenzie miała trzech braci, a on był jedynakiem. Po drugie, zamiast przeprowadzić się z jednej bazy wojskowej do drugiej, jak ona, Hannes razem z rodzicami zaliczał stolice różnych państw.

- Brzmi to bardziej atrakcyjnie, niż wygląda w rzeczywistości - stwierdził. - Przyznaję, że życie we wszystkich tych egzotycznych krajach było fascynującym doświadczeniem. Poznałem kawał świata: Bangkok, Nairobi, Waszyngton, Londyn, Moskwę, Meksyk... - Wypił trochę wina. - Problemem pobytu na placówce jest izolacja. Dyplomaci stanowią zamkniętą społeczność. Nie utrzymuje się bliższych kontaktów z miejscową ludnością, tylko z pracownikami ambasady i ich rodzinami oraz z urzędnikami kraju-gospodarza. Zawsze kiedy już zawarłem jakieś przyjaźnie, mojego ojca wysyłano na drugi koniec świata i trzeba było wyjeżdżać. Uśmiechnął się z zadumą na to wspomnienie. - Ale wiesz, za czym najbardziej tęskniłem... czego mi najwięcej brakowało?

Kenzie potrząsnęła głową.

- Tego, że nigdy nie miałem prawdziwego domu, do którego można by wrócić.

Świetnie to rozumiała. To zupełnie przypomina moje dzieciństwo, pomyślała. My też nigdy nie mieliśmy własnego domu. I ledwo zdążyliśmy

się urządzić w jednej bazie wojskowej, tata dostawał rozkaz wyjazdu do następnej. Wiedziała też, jakie spustoszenie wywoływały takie ciągle przeprowadzki w sferze młodzieńczych przyjaźni. Niemożliwością było zawarcie długotrwałych znajomości.

- Jako że pochodziłem z rodziny dyplomatów - mówił dalej Hannes - moi rodzice naturalnie mieli nadzieję, że pójdę w ślady ojca. - Roześmiał się cicho. Jego wzrok stał się odległy, jakby utkwiony w jakiś punkt z przeszłości. - Zaplanowali ze wszystkimi szczegółami moją przyszłość w służbie zagranicznej.

- Tymczasem wylądowałeś tutaj - dopowiedziała Kenzie.

- Tak - przyznał. - Wylądowałem tutaj.

Dopił wino i odstawił kieliszek. Kelner zauważył jego spojrzenie i skinął głową. Nie odzywali się, póki ich kieliszki ponownie nie były pełne i nie otrzymali eleganckich kart z menu.

Kiedy kelner odszedł, Hannes kontynuował swą opowieść.

- To dziwne, prawda - powiedział, odkładając kartę potraw na bok - spodziewamy się, że będziemy robić w życiu jedno, a kończymy, zajmując się czymś całkowicie odmiennym.

Kenzie pokiwała głową.

- Weźmy moje prawdziwe ambicje. Nie moich rodziców, tylko moje. - Urwał. - Uwierzysz, że zawsze chciałem zostać artystą?

- Naprawdę!? - wykrzyknęła zachwycona, że mają ze sobą jeszcze jedną wspólną cechę.

- Tak. Odkąd byłem na tyle duży, by móc utrzymać ołówek w ręce, zawsze albo rysowałem, albo malowałem. Wszyscy mówili, że mam talent. I dla mnie przyszłość była oczywista.

Kenzie wtrąciła się z uśmiechem:

- Niech zgadnę. Chciałeś mieszkać na mansardzie w Paryżu... malować to, co ci grało w duszy... do późna w noc dyskutować o sztuce w zadymionych kafejkach... mieć wystawy...

- ...czekać na odkrycie - dokończył z kwaśną miną.

- Byłeś dobry?

- Uważałem, że tak.

Uniósł kieliszek w ironicznym toaście, a potem odstawił i znów zaczął nim obracać.

- Pewnego ranka jednak obudziłem się i uświadomiłem sobie prawdę. Widzisz, Kenzie, byłem dobry. Cholernie dobry. - Urwał. - Ale nie wystarczająco dobry.

- Więc wstąpiłeś do Interpolu?

- Nie. - Uśmiechnął się. - Jeszcze nie wtedy. Najpierw zacząłem studiować nauki polityczne.

- Ach. Posłuszny syn, idący w ślady swego ojca.

- Właśnie. - Skinął głową.

- Ale ostatecznie tak się nie stało - zauważyła. - Nie poszedłeś w jego ślady.

- Nie - stwierdził krótko.

Widziała, jak blask w jego oczach zgasł, jakby chmura nieszczęścia przesłoniła przyjemne wspomnienia.

- Kenzie, posłuchaj mnie! - W głosie Hannesa słyhać było naleganie. Gwałtownie wyciągnął rękę przez stół i ujął jej dłoń. Tak mocno ścisnął jej palce, aż poczuła ból. - Ten świat to okropne miejsce! Bez względu na to, jak odizolowane życie się prowadzi czy też jakie się ma poczucie bezpieczeństwa, wszystko to złudzenie. Przemoc zawsze skrada się tuż obok. Może dać o sobie znać wszędzie, o każdej porze. Nigdy o tym nie zapominaj!

Kenzie wzdrygnęła się; była to mimowolna reakcja na nagłe uczucie strachu. Jej dobre samopoczucie nagle znikło. Jednak ten melodramatyczny zwrot w ich rozmowie wydał jej się równie intrygujący, co wzbudzający lęk.

Pragnęłabym zrozumieć, co dokładnie próbuje mi powiedzieć, pomyślała, ale nie chciała wydać się wścibska. Muszę być cierpliwa. Powie mi o tym, kiedy będzie gotów.

Wyczuwając niepokój dziewczyny, Hannes puścił jej rękę.

- Przepraszam, Kenzie, nie chciałem być melodramatyczny.

Skinęła głową.

- Wytlumaczę ci wszystko, wtedy zrozumiesz. Uważam, że jestem ci to winny. - Urwał i zmarszczył czoło. - Oczywiście zdajesz sobie sprawę z tego, że nie zawsze byłem taki cyniczny i pełen rezerwy. Kiedyś do wszystkiego podchodziłem beztrąsko, z całym zapalem cechującym młodość - i naprawdę wierzyłem, że jesteśmy panami własnego losu.

Kenzie uniosła kieliszek i wypila trochę wina. Gwar rozmów w tle tworzył przyjemną zasłonę, dając poczucie intymności.

- Studiowałem nauki polityczne w Oksfordzie - mówił dalej Hannes - a potem w Yale. Gdy uzyskałem dyplom, mój ojciec wykorzystał swe znajomości i zostałem zatrudniony w ambasadzie Finlandii w Paryżu.

Współpracowałem blisko z naszym ambasadorem i wkrótce też bardzo się zaprzyjaźniłem z jego rodziną. W tych warunkach nieuchronnie musiało dojść do tego, że zakochałem się w jego córce. Miała na imię Helena. Zareczyliśmy się po krótkim czasie.

Kenzie poczuła irracjonalne ukłucie zazdrości.

- Czy była ładna?

- Helena? - Hannes westchnął, zamknął oczy i wolno skinął głową. - O, tak. Była... niezwykle piękna.

- W takim razie co...?

- Przeznaczenie! - odpowiedział gorzko. Zaciśnął rękę w pięść tak mocno, że aż mu pobielaly kostki. - Boże, jak ja... - Urwał w połowie zdania i zagryzł wargi, nie będąc w stanie dalej mówić.

Nie ulegało wątpliwości, że bardzo cierpi. Mimo całej pewności siebie i męskiej siły, nie potrafił dłużej ukrywać głębokiej, niezabliźnionej rany. Oczy zrobiły mu się wilgotne i Kenzie wiedziała, że jest bliski łez. Potem szybko odwrócił wzrok, ale zdążyła dostrzec na jego twarzy jeszcze coś...

...jeszcze coś, poza bólem.

Wstrząśnięta uświadomiła sobie, co to było: kipiąca, niebezpiecznie tłumiona w środku pasja i potężny gniew.

Jakie cierpienie mogło doprowadzić do takich emocji?

Wyciągnęła dłonie przez stół i delikatnie, czule objęła zaciśniętą, drżącą pięść mężczyzny. Pod wpływem jej dotyku przestał dygotać.

- Hans - odezwała się zachrypniętym głosem. - Proszę, nie dręcz się tak. To naprawdę niepotrzebne.

Zwrócił do niej twarz wykrzywioną bólem.

- Mylisz się, to konieczne - powiedział przez ściśnięte gardło. - Masz prawo o tym wiedzieć!

Kenzie wytrzymała j ego wzrok.

- Decyzję pozostawiam tobie. Ale nie chciałabym być wścibska...

- To był napad - głupi, bandycki napad! - powiedział gorzko. - Siedem lat, trzy miesiące i dwanaście dni temu. W dniu naszego ślubu! A wszystko dlatego, że Helena i moi rodzice znaleźli się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiedniej chwili!

- Och, Hans! - szepnęła Kenzie.

- Stało się to, jakby takie rzeczy zwyczajnie się zdarzały... - Głos mu się załamał; ze złością potrząsnął głową, z ust wyrwał mu się szloch, który uderzył Kenzie jak bat. Mężczyzna przesunął ręką po włosach, a potem pochylił się i opuścił głowę, jakby szukał skazy na białym obrusie. - Byli... Chryste, byli w drodze do kościoła... wstąpili do banku po naszyjnik, trzymany w skrytce, naszyjnik, który tradycyjnie nosiły panny młode w naszej rodzinie... - Hannes głośno przełknął ślinę; policzek drgnął mu nerwowo. - Naszyjnik, Kenzie! Potrafisz to sobie wyobrazić? Zginęli przez... przez błyskotkę!

- Mój Boże! Ale jak...?
- Złodzieje... uzbrojeni bandyci... - Mówił tak cicho, że ledwo go słyszała.

Musiała się pochylić i wyteńczyć słuch.

- ...wychodzący ze skarbcza. Ojciec, matka i Helena natknęli się na złodziei, zaskoczyli ich...

Kenzie z narastającym przerażeniem słuchała opowieści.

- Wszyscy troje zostali zabici z zimną krwią. Ojciec... matka... Helena... - Wymawiając te słowa, Hannes złapał krawędź stołu obydwiema szczupłymi dłońmi.

- Jaki wyrok...

- Żaden! - szepnął. - Do dziś sprawa pozostała niewyjaśniona.

Kenzie się wzdygnęła, nie mogąc w to uwierzyć. Nie mieściło jej się w głowie, że ktoś może zamordować człowieka i ujsć bezkarnie. Pomyślała: od dzieciństwa nam powtarzają, że przestępców się łapie i karze - tak jak to oglądamy w kinie albo w telewizji. Ale prawdziwe życie jest inne. Prawdziwe życie jest wstrętne, brutalne i niesprawiedliwe.

Hannes wolno podniósł wzrok. W kącikach jego oczu dostrzegła powstrzymywane łzy.

- To jest gorsze, Kenzie... - powiedział - ...znacznie gorsze niż cokolwiek, co potrafisz sobie wyobrazić.

- Ale jak... jak sobie z tym poradziłeś...?

- W jedyny możliwy sposób. - Westchnął i wzruszył ramionami. - Odnalezienie zabójców stało się moją obsesją. Chciałem, żeby ponieśli karę - i to pragnienie trzymało mnie przy życiu. - Po chwili cicho dodał: - Nadal mnie trzyma.

- Nawet po tylu latach?

- Tak. - Skinął głową. - Szczególnie po tylu latach. - Jego wzrok znów stał się taki, jak zwykle. - A więc masz wytłumaczenie. Oto, dlaczego poświęciłem życie utrzymaniu porządku publicznego. Chociaż muszę przyznać... - Uśmiechnął się krzywo. - ...że wyobrażałem sobie, iż będę tropił zabójców, a nie złodziei dzieł sztuki.

- Więc jak do tego doszło?

- Decyzję podjęli za mnie moi przełożeni. Tak czy inaczej, dobrze się stało. Zdaje się, że mam do tego szczególne predyspozycje. Ale dosyć o tym - burknął i machnął ręką. - Nie zaprosiłem cię na obiad, by obarczać cię moimi problemami. A więc zamówimy coś?

Kenzie zaczęła czytać menu.

Nic z tego, słowa się zamazywały, nie mogła teraz myśleć o jedzeniu. Wszystkie jej myśli koncentrowały się na mężczyźnie siedzącym obok.

Gdyby mi nie powiedział, nigdy bym się nie dowiedziała, ile wycierpiał, myślała ponuro. Wiedziała również, że nie przyszło mu łatwo podzielić się z nią swym nieszczęściem. Należy do ludzi, którzy zazwyczaj ukrywają własne uczucia.

Nic dziwnego, że świadomość, iż pod tą czarującą, pełną pewności siebie powłoką kryje się wrażliwy człowiek, sprawiła, że Hannes wydał jej się jeszcze bardziej atrakcyjny.

- A więc na co masz ochotę? - spytał.

Kenzie uśmiechnęła się tajemniczo; poszła na łatwiznę.

- Może zamówisz dla nas obojga? - zaproponowała, odkładając na bok kartę.

Przyglądała mu się taksująco, kiedy zamawiał sałatki oraz warzywa pieczone i z rożna.

Prawdziwy *macho*, a zarazem wrażliwy mężczyzna. Teraz to rzadkość.

Poczuła falę zadowolenia. Dokładnie wiedziała, jak chce, by zakończył się ten wieczór.

I sądząc po jego uśmiechu, on też wiedział.

* * *

W końcu wojownik z Wall Street wrócił do domu. Późno, zmęczony, zaspany i opryskliwy.

Dina wcale się tym nie przejęła. Powitała męża u drzwi jak bohatera. Przytuliła się doń mocno, ugryzła go lekko w ucho i zamruczała:

- Skarbie, myślałam, że już nigdy nie wrócisz!

Taki nagły objaw miłości natychmiast wzbudził w Robercie podejrzenia.

- Dobra, Dino - warknął. - O co chodzi?

Odsunęła się i niewinnie zatrzepotała rzęsami.

- Ależ o nic, mój drogi! - Do perfekcji opanowała sztukę kłamstwa.

- Ha! - Nie uwierzył jej i ciężkim krokiem ruszył przez hol.

- Robercie...

Co znowu? - jęknął w duchu. Westchnął, zatrzymał się, odwrócił i przyjrzał jej się uważnie.

Dina, która zazwyczaj w milczeniu tolerowała jego cygara, wyciągnęła jedno z Flor de F. Farach Extra i wolno, rozmyślnie, przesuwając nim pod nosem, po czym potrząsnęła przy uchu, zanim odcięła jeden koniec. Przyglądał się, jak ssła lubieżnie drugi koniec, cały czas zbliżając się do niego.

Jej wysiłki odniosły pożądaný skutek. Robert A. Goldsmith poczuł, że jest gotów.

Cholera! - pomyślał. Co ma w sobie takiego kobieta z cygarem? Zdecydowanie było w tym coś podniecającego. O, tak. A jednak...

- Dino? Myślałem, że nie cierpisz...

Wsunęła mu cygaro do ust. Tym go uciszyła, potem zaś zapaliła zapalkę i zbliżyła ją do cygara.

Marszcząc podejrzliwie swe jaszczurcze oczy i doskonale zdając sobie sprawę z tego, że pozwala, by żona nim manipulowała, Robert pyknął z cygara. Wkrótce otaczały go kłęby niebieskawego dymu.

Ręcznie zwijane cygaro dało mu niewysłowioną przyjemność i sprawiło, że ogarnęło go zwodnicze poczucie zadowolenia.

Dina założyła ręce do tyłu jak dziewczynka i obracała się to w jedną stronę, to w drugą.

- Tatuśku! - zapiszczała. - Dziecinka ma dla ciebie niespodziankę! Wielką niespodziankę!

Robert wykrzywił się, rozejrzał ukradkiem dokoła.

Dina z całej siły panowała nad sobą, by nie wybuchnąć śmiechem. Naprawdę, czy jej mąż myślał, że jest na tyle głupia, by robić przedstawienie na oczach służby?

Zaufaj mi! - pomyślała i powiedziała:

- Nie martw się, tatuśku. Dziecinka dała wszystkim wolne!

- Ach, tak? - burknął. - W takim razie co będziemy jedli? No, co? Umieram z głodu.

- Dziecinka przyniesie tatuśkowi papu do łóżeczka. Idź na górę, tatuśku. Proszę!

Zawahał się, a potem obrzucił ją taksującym spojrzeniem. Żałował, nie po raz pierwszy, że nie potrafi czytać w myślach żony. Wtedy przynajmniej wiedziałby, do czego zmierza.

Tak czy inaczej, musiało to być coś ważnego, w przeciwnym razie nie zadałaby sobie aż tyle trudu, by dać całej służbie wolne.

- Proszę, tatuśku! - Dina przechyliła głowę i wyduła usta. - Bardzo proszę! Dziecinka zaraz przyjdzie. Obiecuję!

Robert z udawaną nonszalancją pyknął z cygara, a potem pomyślał: czemu nie? To nie musi go nic kosztować. Odwrócił się i poczłapał korytarzem; wolno zaczął wchodzić po kręconych, marmurowych stopniach.

Dina zaczęła, aż mąż wejdzie do siebie, nasłuchując jego ciężkich kroków i świszczącego oddechu. Dopiero kiedy usłyszała, jak trzasnęły

drzwi jego sypialni, ruszyła na górę, spoglądając na wielkie obrazy starych mistrzów, wiszące na ścianach żółtej, marmurowej klatki schodowej, Mijając portrety bogato odzianych renesansowych książątek i eleganckich arystokratek pomyślała, że to jeszcze jeden dowód jej pozycji, wpływów i smaku.

Na drugim piętrze wstąpiła do podręcznego pomieszczenia kuchennego, wyciągnęła z lodówki gotowe, zamrożone danie i wsunęła je do mikrofalówki.

Potem udała się do własnego apartamentu i skierowała prosto do garderoby. Otworzyła szafę, w której trzymała erotyczne fatalaszki. Dziś żadnych pajacyków, podwiązek, pasów do pończoch, mikroskopijnych koszulek nocnych czy majtek z dziurą w kroku. O, nie, dziś musi się zdecydować na coś ekstra. Z zaciśniętymi ustami przyglądała się temu, co wybrała na ten wieczór. „Mus to mus”, powiedziała sobie ponuro.

Nie ociągając się dłużej, zdjęła drogą suknię i rzuciła ją na podłogę, by Darlene rano ją sprzątnęła, i wcisnęła się w dzisiejsze przebranie.

Po dwóch minutach przed toaletką i włożeniu peruki przejrzała się w lustrze.

- *Heidi Heidi Heidi ho!* - zanuciła i wstała, by podać Robertowi obiad. Nie trzeba mówić, co będzie na deser.

* * *

Hannes zatrzymał przed Lumą przejeżdżającą taksówkę i nie pytając Kenzie o zdanie, podał kierowcy swój adres.

Nie protestowała, tylko szybko przytuliła się do niego na tylnym siedzeniu.

Wkrótce leżeli w jego łóżku, spleceni w miłosnym uścisku.

Hannes należał do mężczyzn niezwykle pomysłowych. Nie tylko był doświadczonym kochankiem, ale również w jednakowym stopniu lubił sprawiać przyjemność, jak sam jej zaznawać, co Kenzie wysoko ceniła. Mogąc zliczyć swych partnerów na palcach obu rąk (łącznie z Charleyem i Hannesem), na własnej skórze się przekonała, jaka wyjątkowa jest taka atencja. Aż nadto często mężczyznom chodziło wyłącznie o jedno: własną satysfakcję seksualną.

Nie dotyczyło to Hannesa. Wiedział, że do tanga trzeba dwojga, i dokładał wszelkich starań, by zadowolić swą partnerkę.

Dziś wieczorem był w nadzwyczajnej formie.

Leżąc na łóżku, Kenzie czuła, jak ją całkowicie spowija męska siła; jego ręce i nogi oploty jej ciało niczym węże: mocne, grzeszne, zmysłowe.

Przesuwał palcami po jej nagiej skórze, wsuwał język w każde zagłębienie, sprawiając, że dostawała gęsiej skórki.

Wydawało jej się, jakby płynęła w przybrzeżnym prądzie, w objęciach sił, nad którymi nie miała władzy; sił, nad którymi wcale nie chciała mieć kontroli, gdyż była szczęśliwa.

Uniósł wzrok i spojrzał na nią, na swej wilgotnej skórze czuła jego gorący oddech.

- Znasz *Kamasutrę*, Kenzie? - spytał szeptem.

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- *Kamasutra* to dosłownie „nauka o miłowaniu”, można się z niej wiele nauczyć - powiedział. - Ten podręcznik miłości napisał hinduski mędrzec Watsjajana, jakieś dwa tysiące lat temu. Słowo „kama” oznacza zaspokojenie pragnień przy wykorzystaniu wszystkich pięciu zmysłów. Wzroku, słuchu, węchu. - Wsunął nos między jej piersi i głęboko nabrał powietrza. - Dotyku. - Przesunął palcami po wewnętrznej stronie jej ud.

Podparta się na łokciach i wpatrywała w niego z napięciem.

- Smaku. - Patrząc na nią poważnie, objął ustami jeden jej nabrzmiały sutek.

Wygięła się i wydała cichy okrzyk.

- Według *Kamasutry*, Kenzie, można całować różne miejsca. - Kłęcząc nad nią pochylił się, a potem zaczął czule całować różne części jej ciała, wymieniając ich nazwy. - Czoło. Oczy. Policzki. Usta, szyję, dekolt, piersi.

Te pocałunki były paralizujące, podobnie jak owe wszystkie magiczne, wręcz rytualne zabiegi miłosne. Kenzie leżała na wznak z zamkniętymi oczami, oddając mu ciało i duszę. Należała do tego mężczyzny, on należał do niej i wydawało się, że poza tymi czterema ścianami nic nie istnieje.

Zsuwając się coraz niżej, Hannes delikatnie rozchylił jej uda i uniósł w górę pośladki.

- Klejnot twego tajemnego miejsca... on też jest do całowania, Kenzie - mruknął i przycisnął tam usta.

Była bliska łez ze szczęścia; zakwiliła z niepokoju, kiedy uniósł głowę i opuszczył jej biodra.

- W *Kamasutrze*, Kenzie, wszystko ma swą nazwę - ciągnął, przesuwając się tak, że znów znaleźli się twarzą w twarz. - Na przykład, gdyby spotkały się nasze języki... to się nazywa „walka języka”.

Ich usta się zetknęły; czuli, jak bardzo teraz siebie pragną. W końcu oderwał od niej usta.

- A gdybym objął cię ramionami, umieścił nogi na zewnątrz i wszedł w ciebie kucając, przyciskając twoje kolana do swoich boków, to pozycja taka nazywa się *dadhjataka*.

Wpita paznokcie w jego ramiona.

- A gdybyśmy... położyli się obok siebie... albo jedno na drugim... - Nie odrywała od niego oczu. - Gdybym wzięła twój członek w usta, a ty wsunąłbyś mi język do środka...?

Roześmiał się cicho.

- To, Kenzie, nazywa się *kakila*.

- *Kakila* - powtórzyła.

- To znaczy „wrona”. Ponoć w ten sposób kochają się niewolnicy... i osoby niskiego stanu.

Oczy Kenzie zabłyśły.

- W takim razie oddajmy się przyziemnym przyjemnościom, Hanes! Bądźmy prymitywni i pospolici!

Jej głos przemienił się w drżący szept, kiedy dodała:

- Pozwól mi być twoją niewolnicą!

* * *

Papilein! - śpiewnie zawołała Dina.

Weszła do sypialni Roberta, zmagając się z wielką tacą. Parujące półmiski z gotowaną kwaszoną kapustą, kaszanką i sałatką ziemniaczaną oraz cztery kufle schłodzonego piwa ważyły chyba tonę.

Robertowi oczy niemal wyszły na wierzch. Rozwalony na swoim ogromnym łóżku niczym wielki, różowy wieloryb, palący cygaro, z trudem usiadł.

Diną spojrziała na jego już twardy członek. Zareagował we właściwy sposób - i tak powinno być, tego się spodziewała.

Mała dziewczynka tatuśka nosiła jasną perukę - włosy splecione były w dwa grube warkocze - i mikroskopijną kamizelkę w bawarskim stylu, która całkowicie odsłaniała jej piersi. A do tego odpowiedni makijaż - długie, sztuczne rzęsy i wymalowane ołówkiem piegi oraz uśmiech od ucha do ucha.

Heidi wyruszyła na podbój Manhattanu, pomyślała Dina kwaśno, ale szybko się zgaśniła. Nie pora teraz na ponure myśli! Najważniejsze było pozytywne nastawienie, szczególnie, że zamierzała osiągnąć podwójny cel.

- Widzisz, *Papilein!* - Spojrzała na niego nieśmiało, przystanąwszy w progu. - Dziecinka przyniosła ci obiad! Tak, jak obiecała!
- To nie stój tam, dziecinko! - Robert klepnął materac. - Dawaj go tu!
- *Ja, Papilein!* - Dina udała dziecięcą radość. - Naprawdę mogę?
- Tak - wysapał z lubieżnym uśmiechem. - Tatusiek dziecinki jest głodny jak wilk. No, dalej. Na co czekasz, na zmiłowanie?
- Och, *danke, Papilein!* - zapiszczała.

Przeszła przez pokój, postawiła tacę i wskoczyła do łóżka obok Roberta. Zachowywała się jak sześćioletnia dziewczynka, którą rozpiera energia. To, że miesiąc temu skończyła trzydzieści lat, nie miało żadnego znaczenia. Grała z całym poświęceniem, a Robert rozkoszował się każdą minutą tego spektaklu.

Zaczęła od karmienia go ręką, jakby był jednym z owych tłustych, rozpustnych, rzymskich cesarzy. Potem nastąpiła długa zabawa w „chowanie kaszankę”. Robert nie miał dosyć i Dina uciekła się do swych zwykłych sztuczek. Wkrótce jej mąż miał rozum tam, gdzie chciała, żeby się znalazł - w kroczu. Jego postanowienie, by niczego nie obiecywać, legło w gruzach.

Przez niemal pół godziny Dina utrzymywała męża w stanie bliskim orgazmu. Dopiero wtedy przystąpiła do rzeczy.

Postanowiwszy zacząć od drobiazgów, najpierw powiedziała o weekendzie u Faireyów. Zadowolony: że uda mu się wykpić tanim kosztem, Robert chętnie przystał na wyjazd. Do diabła, ostatecznie nic go to nie kosztowało!

Ale Dina jeszcze nie skończyła. Dalej pieściła go, przestając tuż przed wytryskiem.

W końcu doszła do wniosku, że zdolności logicznego rozumowania jej małżonka są już wystarczająco ograniczone. Jeśli będzie przeciągała strunę, Robert może zacząć warczeć. Albo - co gorsze - zaskoczy ją niespodziewanym wytryskiem.

Uznała, że pora zagrać o najwyższą stawkę.

- *Papilein!*

Burknął coś niezrozumiale.

- Dziecinka bardzo czegoś chce!

Robert prychnął.

- Jedyne, czego chce dziecinka, to kutasek tatuśka!

Bardzo śmieszne, pomyślała, wcale nieubawiona, jednak zatrzepotała kokieteryjnie długimi rzęsami.

- Dziecinka musi zmienić wystrój mieszkania!

Przewrócił oczami.

- Powiniennem wiedzieć, że trzeba będzie za to zapłacić - warknął.

- Wcale nie! - sprzeciwiła się i wydeła usta.

- W takim razie jak to nazwiesz?

Z oburzeniem podrzuciła głową.

- Dziecinka nazywa to „prezent”!

- Tak - fuknął. - Jak wszystkie dziwki w mieście.

Cholera! Najwyraźniej niewystarczająco go ogłupiła. Szybko naprawiła swą pomyłkę pokazując Robertowi, do czego naprawdę zdolne są jej usta.

- Och, dziecinko - jęczał. - Och! Och! Och...

Nie szczędziła wysiłków; jej wargi pracowały z potrójną szybkością.

- Och, dziecinko - wysapał. - Dziecinko...

Dina poczuła, jak zadrżał; wiedziała, że osiąga punkt, od którego nie ma powrotu... ...i znieruchomiała. W samą porę. Jeszcze kilka ruchów, a byłoby po wszystkim.

- Dino, do jasnej cholery! - warknął wściekły.

- Proszę, *Papilein!* Czy dziecinka może dostać swój prezent? - Pocałowała czubek jego penisa. - Ślicznie proszę!

Zrezygnowany Robert A. Goldsmith nabrał głęboko powietrza - wiedziała, że ma go w garści.

- No, dobrze już! - zaskrzeczał gderliwie. - Wygrałaś. Teraz skończ to, co zaczęłaś!

Bingo! Trafiła dziesiątkę!

Uznała że czas okazać swą wdzięczność małżonkowi w taki sposób, jak to najbardziej lubił. Opuściła głowę i wzięła się poważnie do roboty.

Pół minuty później Robert osiągnął orgazm, w błogiej nieświadomości, ile będzie go kosztowało te trzydzieści sekund.

Cóż, dość szybko się przekona, pomyślała Dina. Po co mu psuć przyjemność informacji, że za ten numerek przyjdzie zapłacić kilka milionów dolarów?

* * *

Sen nie nadchodził.

Mijały godziny, a Zandra leżała w ciemnościach, sama ze swymi myślami.

Chociaż okno jej pokoju wychodziło na podwórko, słyszała odgłosy miasta. Wycie syren gdzieś w oddali, pisk alarmów samochodowych; basowe dudnienie radia dobiegające z sąsiedniego budynku, śmiech i podniesione głosy na klatce schodowej, grzmot rapu z przejeżdżającego samochodu - już dawno przestała reagować na miejskie hałasy i wiedziała, iż to nie one są powodem, że nie może usnąć.

W myślach ciągle odtwarzała w kółko wszystko, co zaszło w czasie obiadu - a raczej to, co zaszło od chwili, kiedy Karl-Heinz wszedł do restauracji do chwili, kiedy uciekła od niego przed gmachem Burghleya.

Po prostu nie mogła przestać o nim myśleć. Karl-Heinz. Jej kuzyn. Jej...

...obsesja?

Nie. Nigdy. Przenigdy.

Zandra słyszała, jak wróciła Kenzie i na paluszkach przeszła obok drzwi do jej pokoju. Spojrzała na budzik: dochodziło wpół do drugiej.

Tak bardzo pragnęła usnąć, ale, niestety, sen nie nadchodził.

* * *

Karl-Heinz też nie mógł spać. Krążył niespokojnie od okna do okna swego mieszkania na ostatnim piętrze wieżowca. Wcześniej widok w dole przypominał zdjęcie Berenice Abbott, wiszące w holu. Ale od tego czasu minęły godziny.

Teraz ekipy sprzątaczek opuściły biurowce i większość okien było ciemnych. Podobnie jak te w blokach mieszkalnych.

Jednak Karl-Heinz nie zauważył tego. Chociaż wyglądał przez okno, panorama miasta była ostatnią rzeczą, która mogłaby zaprzętać jego myśli.

Całą uwagę skupił na Zandrze. W głowie kłębiły mu się tysiące pytań, a ich lista nie miała końca. Co się dzieje w tej pięknej główce? Czy Zandra coś do mnie czuje? A może w jej życiu jest ktoś inny? Czy spisek Becky się powiedzie?

Jego książęca wysokość książę Karl-Heinz von und zu Engelwiesen nie wiedział, co począc, co bardzo rzadko mu się zdarzało. Wiedział, że kocha tę kobietę, zdawał sobie z tego sprawę od dnia swego przyjęcia urodzinowego.

Nie wiedział jednak, co czuje do niego Zandra jeśli w ogóle cokolwiek czuła!

Gdybym miał jakąś wskazówkę, pomyślał.

Ale nie miał. I nie będzie miał aż do następnego weekendu.

Wyrzwał przez jedno z okien wychodzących na północ. W tej chwili ona też była tam gdzieś, w jednym z tysięcy budynków tej wielkiej metropolii.

Zandra. Niewątpliwie śpi głębokim snem niewinnego dziecka.

Nagle ogarnęło go znużenie. Na chwilę zamknął oczy.

Proszę, Boże, nie pozwól mi jej skrzywdzić.

CEL: OPERACJA BURGHELEY *Odliczanie trwa*

Long Island City, 14 stycznia

- Jak długo mamy tu jeszcze siedzieć? A może zamieniliśmy jedno więzienie na drugie?

Wybuch był niczym nieusprawiedliwiony, a okazany brak szacunku - niewybaczalny. Zakapturzony przebieraniec, mało przypominający człowieka przez czarne, wypukłe soczewki, elektroniczne urządzenie do zniekształcania głosu, kombinezon płetwonurka i rękawiczki, miał ochotę uderzyć i dla przykładu ukarać wojowniczego Libijczyka.

Ale na razie zamaskowany mężczyzna postanowił ograniczyć się do przestrogi. Arab odznaczał się umiejętnościami, które mu w tej chwili były niezwykle potrzebne.

Niesamowity, zdeformowany głos warknął:

- Wolałbyś stanąć przed sądem za tamto piractwo powietrzne? Zawsze możesz ponownie wrócić za kratki!

Jego słowa odniosły pożądaną efekt: śniady Libijczyk spuścił z tonu i wbił wzrok w betonową posadzkę, aby uniknąć pełnych nienawiści spojrzeń, rzucanych przez ósemkę jego kompanów.

Zakapturzony osobnik pomyślał: A więc nie kwitnie między nimi miłość. Bardzo dobrze!

Byli w bezpiecznym miejscu - w dawnej odlewni wzniesionej w przemysłowej dzielnicy Queens nad East River. Wszystkie urządzenia już dawno temu zdemontowano i wywieziono. Znajdowali się w przestronnej, zimnej, pustej hali.

A do tego w ciemnościach.

Wcześniej wydał polecenie, by przed jego przybyciem wyłączono wszystkie lampy jarzeniowe i teraz jedynym źródłem światła był spowity

w mgiełkę Manhattan za wodą oraz księżyc, którego promienie wpadały przez świetliki w dachu.

Nawet w dzień miejsce to sprawiało ponure i odpychające wrażenie. Nocą zaś stawało się całkowicie wrogie.

Grube, betonowe podpory, wznoszące się jak przysadziści strażnicy, ginęły w egipskich ciemnościach. Podmuchy zimnego wiatru wpadały przez wybite szyby; a szukające jedzenia szczury uwijały się w zakamarkach.

Najgorszy był jednak hałas. Pochodził z góry - stały, doprowadzający do szaleństwa szum ulicznego ruchu, dobiegał od strony mostu oraz Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy - i przypominał wzmocnione trzepotanie skrzydeł rozgniewanych rojów pszczół.

Przez wąską szczelinę w czarnych okularach mężczyzna przyglądał się swej doborowej drużynie. Liczyła dziewięć osób - ośmiu mężczyzn i jedną kobietę. Samych terrorystów.

Dawny komandos izraelski. Nieustraszony i pomysłowy, był właściwie jednoosobowym oddziałem armii.

Niemiec, zdolny elektryk, nie potrzebował żadnych schematów połączeń, by pozbawić prądu budynek, a nawet całe miasto.

Libijczyk specjalizował się w porwaniach samolotów i nikt lepiej od niego nie potrafił zmusić przeciwnika do spełniania żądań dotyczących okupu.

Dawny MORS - mistrz od wielkich eksplozji, potrafił samodzielnie wysadzić mur, most albo cały budynek.

Francuz. Szaleniec, który umiał prowadzić samochody Formuły Pierwszej, pilotować F-15 i Jumbo Jeta, a także pływać wszystkim, co utrzymywało się na wodzie.

Kolumbijczycy, dwaj bracia; finezja nie stanowiła ich mocnej strony, ale jeśli mieli wskazany cel, potrafili zabić na miejscu.

Japończyk nazywał się Yoshi Mori, jego hobby była elektronika, a specjalnością włamanie do komputerów. Jeśli miał dosyć czasu, potrafił włamać się prawie do wszystkich systemów cywilnych i wojskowych.

Włoszka dawniej działała w Czerwonych Brygadach; szykowna, szczupła, piękna kobieta, okazała się bardziej bezwzględna od mężczyzn.

Z jednym wyjątkiem, pomyślał zakapturzony człowiek. Mianowicie mnie. Jestem najniebezpieczniejszy z nich wszystkich!

Rzucił najbliższemu z mężczyzn długą, kartonową tubę.

- Masz.

Niemiec złapał ją zgrabnie w locie.

- W środku są światłokopie. Zapoznajcie się z nimi, aż będziecie mogli podać każdy szczegół wyrwani ze snu. To dotyczy was wszystkich.

- Czyli to jest nasz cel? - Chrapliwy głos o mocnym, cudzoziemskim akcencie, należał do kobiety.

- Tak. Ale wszystkie napisy, które umożliwiłyby jego identyfikację, zostały usunięte. Poznacie dokładny adres w swoim czasie.

- To znaczy kiedy?

Pomyślał: kiedy Irlandczyk będzie wolny.

- Wkrótce - oznajmił skrzekliwym głosem. - Na razie... - wbił palec w pierś Libijczyka - ...możecie uczyć naszego przyjaciela sztuki cierpliwości. Pamiętajcie, od tego zależy życie was wszystkich.

Odwrócił się i przeszedł bezgłośnie w butach na gumowych podszwach. Ciężka sylwetka przesunęła się szybko za kolumnami i w dół metalowych stopni. Od strony rampy załadunkowej dobiegł trzask drzwiczek furgonetki, a potem warkot motoru i pisk opon.

Tajemniczy osobnik odjechał.

* * *

Postawił skradzioną furgonetkę na parkingu Queens Plaza, szybko wysiadł i poszedł na sam koniec placu, gdzie zostawił wynajęty samochód. W rękę trzymał torbę, w której schował swe przebranie.

Bezdomny, owinięty w brudne koce, wyłonił się z mroku.

- Proszę pana! Nie odmówi pan kilku groszy biedakowi?

Mężczyzna zatrzymał się i odruchowo sięgnął do kieszeni, ale zaraz przypomniał sobie, co kiedyś napisał Benjamin Franklin: „Głupiego pieniądza się nie trzymają”.

Niemal roześmiał się na głos. Głupi! Cóż, to ostatnia rzecz, o jaką go można było posądzić.

Czemu psuć swój wizerunek?

- Zjeżdżaj! - warknął i poszedł dalej.

* * *

Piętnaście minut później pędził mostem Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy z powrotem na Manhattan, a opony jego samochodu dołączyły do tego szalonego, ciągłego łoskotu, który z dołu brzmiał jak roje atakujących pszczoł-zabójców.

Spojrzał w dół, mijając kryjówkę tamtych dziewięciorga. Spijcie smacznie, moi przyjaciele, pomyślał ironicznie. A na głos powiedział:

- Jeśli potraficie!

Uśmiechał się zimno.

CZEŚĆ TRZECIA

UBIJMY

INTERES!

„UBIJMY INTERES”

SPECJALNIE DLA NOWOJORSKIEGO *TIMESA*

NOWY JORK, 19 STYCZNIA. ROBERT A. GOLDSMITH JEST DOBREJ MYŚLI. MARNE WYNIKI SPRZEDAŻY NA WTORKOWEJ LICYTACJI DZIEL STARYCH MISTRZÓW W DOMU AUKCYJNYM SOTHEBY'S NIE ZEPSUŁY MU HUMORU. NIE MARTWI SIĘ O PRZEBIEG JUTRZEJSZEJ AUKCJI DZIEL STARYCH MISTRZÓW W BURGHLEY'S, INC. SZEŚĆDZIESIĘCIOJEDNOLETNI MILIARDER, DZIAŁAJĄCY W HANDLU DETALICZNYM ORAZ NA GIEŁDZIE, UJAWNIŁ W CZORAJ SWÓJ ZAMIAR UTWORZENIA NOWEJ FIRMY O ZASIĘGU ŚWIATOWYM PRZEZ POŁĄCZENIE CZTERECH ODREBNYCH PRZEDSIĘBIORSTW.

NOWY KONGLOMERAT, GOLDGLOBE INTERNATIONAL HOLDINGS, INC., POWSTANIE NA DRODZE FUZJI CZTERECH FIRM, W KTÓRYCH PAN GOLDSMITH POSIADA KONTROLNY PAKIET AKCJI - GOLDMART, INC., BURGHLEY'S HOLDINGS, INC., SIECI RESTAURACJI HOME-ON-THE-RANGE ORAZ MYSTIQUE COSMETICS.

„DZISIEJ MAMY DO CZYNNIENIA Z RYNKIEM GLOBALNYM, CZY SIĘ SPRZEDAJE KOMBINEZONY ROBOCZE, CZY DZIEŁA SZTUKI WARTOŚCI MILIONA DOLARÓW, CZY DANIA BAROWE” - OŚWIADCZYŁ PAN GOLDSMITH NA W CZORAJSZEJ KONFERENCJI PRASOWEJ NA MANHATTANIE, ZAPOWIADAJĄC EKSPANSJĘ NA NOWE RYNKI ZAMORSKIE, W TYM DO BYŁYCH REPUBLIK RADZIECKICH, KRAJÓW POŁUDNIOWO-AMERYKAŃSKICH I WSCHODNIOEUROPEJSKICH. „TA FUZJA UMOŻLIWI NAM WPROWADZENIE CZTERECH RÓŻNYCH FIRM NA KAŻDY NOWY RYNEK, NA KTÓRYM BĘDZIEMY DZIAŁALI.”

UDZIAŁY GOLDMART, INC, WZROSŁY W CZORAJ O PRAWIE 4 PROCENT, DO 28,85 DOLARÓW, CENA JEDNEJ AKCJI BURGHLEYA PODROŻAŁA O 40,5 CENTA DO 18,25 DOLARÓW, A HOME-ON-THE-RANGE OSIĄGNĘŁY WARTOŚĆ 12,20 DOLARÓW.

MYSTIQUE COSMETICS JEST FIRMĄ PRYWATNĄ. PRÓBY JEJ WPROWADZENIA NA GIEŁDĘ W ZESZŁYM ROKU NIE UDAŁY SIĘ Z

UWAGI NA SPRZECIW WŁAŚCICIELA...

32.

Nowy Jork, 20 stycznia

- Jutro się przeprowadzam - oznajmiła Bambi Parker, poprawiając makijaż. - Koniec ze współlokatorkami, wynajęłam samodzielne mieszkanie! - Poruszała złotą puderniczką, by obejrzeć się ze wszystkich stron.

Robert A. Goldsmith, rozwalony na tylnym siedzeniu długasnej limuzyny, uniósł nieco swój wielki zad i podciągnął spodnie.

- To znaczy, że będziesz miała inny numer telefonu? - Zasunął suwak i zapiął pasek od spodni.

- Uhm. - Bambi skończyła nakładać błyszczyk na usta, zatrzasnęła puderniczkę i wręczyła mu złożoną kartkę. - Mój nowy adres i numer telefonu - powiedziała.

Nie patrząc wziął kartkę i wsunął ją do kieszeni.

Panna Parker spodziewała się, że jej kochanek okaże chociaż odrobinę zainteresowania i poczuła się dotknięta jego całkowitą obojętnością.

- Robercie! - fuknęła. - Nie interesuje cię, dlaczego się przeprowadzam?

Spojrzał na dziewczynę i zamrugał powiekami.

- Dlaczego? Chyba nie wynosisz się za miasto?

- Powiem ci, dlaczego. Przeprowadziłam się z uwagi na nas, do cholery! Żebyśmy nie musieli tego robić zawsze w tej... - Zatoczyła koło ręką. - ...w tej cholernej bryce!

Jej gwałtowność zaskoczyła pana Goldsmitha.

- Co masz przeciwko mojemu autu? Jest duże, wygodne, niekrepujące i na podorędziu.

- Może dla ciebie, ale czasem chciałabym to zrobić w łóżku. Poza tym moja nowa chata też jest na podorędziu.

Kobiety, jęknął w duchu. Dlaczego zawsze muszą skomplikować najprostsze sprawy?

On sam nie potrafił sobie wyobrazić niczego wygodniejszego od samochodu. Wystarczyło jedynie otworzyć drzwiczki, a Bambi wskakiwała do środka.

Po co nam, u diabła, łóżko?

- Tak czy inaczej chcę, żebyś przyszedł i obejrzał mój nowy apartament - oznajmiła. - Może wpadniesz jutro i zabawisz z godzinę? - Wsunęła koniuszek różowego języka. - Nie pożalujesz, Robercie, zapewniam cię.

- Dobra - burknął, mając nadzieję, iż naprawdę nie będzie sobie kiedyś pluł w brodę, że zrobił takie głupstwo. Ostatnio wyglądało na to, że gdzie się obejrzał, leciały na niego kobiety. - Ale lepiej, żebym nie musiał zbaczać z drogi, by tam dojechać - warknął.

- Nie będziesz musiał - zapewniła go pospiesznie. - Już ci mówiłam.

- A więc gdzie to jest?

- Tam! - Wskazała palcem dach limuzyny.

- Co?

- W Auction Towers - oświadczyła Bambi jak gdyby nigdy nic.

- Gdzie? - wrzasnął, robiąc się purpurowy z wściekłości. - Czy zupełnie ci odbiło? Myślisz, że dam się przyłapać, gdy składam ci wizytę w tym domu? Równie dobrze moglibyśmy dać ogłoszenie w *Timesie*!

- Uspokój się - odpowiedziała niczym niezrażona. - Nie rozumiesz, Robercie? Jesteś właścicielem tego budynku albo przynajmniej niesprzedanych mieszkań. Poza tym jedna z twoich firm administruje całym gmachem. Jeśli więc ktokolwiek ma prawo być tam widziany, to z całą pewnością ty.

- Gdyby moja żona się o tym dowiedziała, byłbym skończony. - Pan Goldsmith powziął decyzję. - Nie ma mowy, by stanęła tam moja noga! Koniec dyskusji!

Bambi westchnęła w duchu. Przeczuwała, że początkowo Robert może przyjąć źle jej przeprowadzkę. Ale żeby aż tak? Nie spodziewała się tego i gorączkowo zaczęła myśleć, czy przypadkiem się nie przeliczyła. Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Była zdecydowana postawić na swoim.

Nacisnęła guzik w drzwiach, dając szoferowi znak, żeby się zatrzymał i po chwili limuzyna stanęła na przystanku autobusowym, gdzie był zakaz postoju. Robert bez słowa otworzył drzwiczki po swojej stronie.

Bambi się zawahała, a potem precyzyjnie się przez jego rozwalone nogi. Stojąc już na chodniku, pochyliła się i wsunęła głowę do środka.

- Numer mieszkania jest na kartce - oświadczyła, starając się nadać własnemu głosowi stanowczy ton. - Spotkamy się tam albo nigdzie!

- Naprawdę wystawiasz moją cierpliwość na próbę - ostrzegł ją niebezpiecznie cichym głosem. - Wbij sobie do głowy, że moja noga tam nie postanie. Nigdy!

- A ja nie wsiądę więcej do tego samochodu!

Spoglądali na siebie roziskrzonym wzrokiem, oboje uparci, oboje nie-skorzy do ustąpienia.

- W takim razie - powiedział cicho pan Goldsmith - to koniec. - Chciał zamknąć drzwiczki, ale Bambi chwyciła za klamkę.

- Robercie, udam, że tego nie słyszałam - powiedziała sztywno. - Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie.

- Na twoim miejscu nie liczyłbym na to - odparł stanowczym tonem.

- Dziękuję za radę. Ale przynajmniej ma to jedną dobrą stronę, bo tapicerka w tym samochodzie okropnie niszczyła mi rajstopy!

Powiedziawszy to zatrasnęła drzwiczki, odrzuciła głowę i pomaszerowała do pracy.

* * *

- Czy pozwoli mi pani na pewną sugestię? - wymamrotał Sergiej, fryzjer Becky V, z usług którego zaczęła ostatnio korzystać Dina.

- Ależ naturalnie, skarbie! - odrzekła wielkodusznie Dina. - Słucham!

Znajdowali się w gabinecie piękności w jej apartamencie. W pokoju tym były lustra na ścianach, fotel i różne specjalistyczne urządzenia. Dina, poddająca się codziennie zabiegom fryzjerskim i upiększającym, właśnie korzystała z usług May, pięknej Azjatki-manikiurzystki, i mistrza grzebienia.

- Zastanawiałem się, czy nie chciałaby pani zmienić fryzury?

Dina zmarszczyła czoło, patrząc na swe liczne odbicia w lustrach.

- Zmienić? Na jaką?

Sergiej ujął jej włosy w obie ręce, zebrał je i zagarnął na czubek głowy.

- Bardzo w stylu Claudii Schiffer - zachwycił się żarliwie.

Dina przyjrzała się sobie krytycznie. Pomyślała, że wygląda, jakby z czubka jej głowy tryskała jasna fontanna.

- Nie sądzę, Sergieju. Zbyt... zbyt przypominam Iwanę.

- Ale to bardzo młodzięcza fryzura, czyż nie?

- Być może, lecz nie dla mnie. Uczesz mnie jak zwykle.

- Jak sobie pani życzy - mruknął, uznając jej gust.

Dina rozsiadła się w fotelu. Bycie niewolnikiem mody to jedno, ale stosować się do najświeższych nowinek? Nie ma mowy! Niech sobie zwykle kobiety naśladowują Claudię Schiffer, Ivanę czy biedną księżnę Di; ona, Dina Goldsmith, ma swój własny, charakterystyczny styl, styl, którego nigdy nie zmieni, z miejsca przez wszystkich rozpoznawany, nie wspominając o tym, że bardzo fotogeniczny.

Głośne pukanie do drzwi poprzedziło pojawienie się w pokoju jej sekretarki.

- Telefon zamiejskowy - oznajmiła Gaby tym swoim tonem lorda Jamesa Jonesa. - Z Włoch. - Uniosła okulary wiszące na łańcuszku na szyi, by odczytać to, co zapisała w notatniku. - Mon...gar...dini? Coś w tym rodzaju. Odbierze pani czy nie?

- Ależ naturalnie, że odbiorę - powiedziała Dina. - Wiesz bardzo dobrze, że czekałam na ten telefon. Szybko, Gaby! Podaj mi słuchawkę!

- Czy wyglądam na taką, co podaje telefony? - oburzyła się sekretarka.

Siergiej dyplomatycznie zainterweniował: sięgnął po aparat i podał go pani Goldsmith z ukłonem.

- Dziękuję, skarbie! - powiedziała słodko i rzucając Gaby kwaśne spojrzenie dodała:

- Przynajmniej ktoś tu zna się na dobrych manierach!

Ta jednak uśmiechnęła się złośliwie.

- Owszem, i wygląda również jak džentelmen w każdym calu - zauważyła ironicznie, mając na myśli jego kręcone włosy do pasa, żółte okulary i kowbojskie buty z białej skóry węża.

Dina jednak miała ważniejsze rzeczy na głowie, niż słuchać jej uszczypliwości. Nacisnęła guzik i rzuciła śpiewnie:

- Halo?... *Signor* Mongiardini?... Tu Dina Goldsmith... Rozmawiał pan z Becky V?... Owszem, wspomniała, że nie pracuje pan już za granicą... Byłam szczerze zmartwiona... Słucham?... Uczyni pan wyjątek?... Nie wiem, jak panu dziękować!... W najbliższy poniedziałek?

Wspaniale... Naturalnie pieniądze nie grają żadnej roli... Będzie pan miał wolną rękę... Ja również czekam na spotkanie z panem... Dziękuję, *signori*

Wzdychając z zadowolenia, oddała Siergiejowi słuchawkę, położyła głowę na miękkim oparciu fotela i zamknęła oczy.

Ach! - myślała rozmarzona, kiedy May polerowała jej paznokcie. Jak cudownie!

Już to widziała! Wnętrze zaprojektowane przez Mongiardiniego i mogące rywalizować z apartamentem Becky V! Nic dziwnego, że czuła się tak wspaniale!

* * *

„W takim razie to koniec...” Słowa kochanka mocno wstrząsnęły panną Parker. Tak bardzo, że zrezygnowała z porannego rytuału i nie wstąpiła do Klubu. Ostatnią rzeczą, która jej była teraz potrzebna, to plotki z damskiej toalety, szczególnie, że sama mogła wkrótce stać się ich bohaterką.

Wystarczy, że Robert weźmie swój telefon komórkowy, pomyślała, i zadzwoni do działu kadr. To wszystko, co stoi między moją pracą a wymówieniem.

Nie potrafiła sobie wyobrazić takiego upokorzenia. Sama myśl o tym sprawiła, że przeszedł ją dreszcz.

Wolałabym umrzeć!

Poleciwszy sekretarce, by nie łączyła żadnych rozmów, Bambi zamknęła się w gabinecie i wahała torebki herbatki ziołowej o zapachu jabłkowym (by zmniejszyć stres) i zadreślała się sprzeczką z Robertem.

Jak mogłam być na tyle głupia, by stawiać mu warunki? To przywilej żon, nie kochanek!

Nie było również w jej stylu do tego stopnia stracić zimną krew. Co, u diabła, ją podkusiło?

Kiedy w końcu się uspokoiła, zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby naprawić szkodę. Czy mam połknąć dumę, zadzwonić do Roberta i go przeprosić? - rozważała. A może czekać, aż sam zadzwoni do mnie? Czy też nie wywoływać wilka z lasu i zobaczyć, jak się rozwinie sytuacja?

Kłopot polegał na tym, że nie miała doświadczenia w takich sprawach. Był to dziewiczy teren. W przeszłości to Bambi znajdowała się zawsze w centrum uwagi i to chłopcy - a potem mężczyźni - nadskakiwali jej i musieli ją całować i przeproszać.

Tak, ale czy Robert A. Goldsmith zachowa się tak samo?

Naprawdę nie wiedziała. Należał do innej ligi niż większość mężczyzn i poza dziedziną seksu pozostawał zagadką. Musiała dopiero odkryć, co na niego działa.

Kilka razy sięgała po telefon i wybierała numer kochanka, a potem szybko rzucała słuchawkę na widelki. Gdyby tylko mogła się komuś zwierzyć, spytać o radę! Ale kogo?

Z całą pewnością nie wchodziła w grę żadna z bywalczyń Klubu. Powierzenie sekretu jednej dziewczynie byłoby równoznaczne z wyznaniem go wszystkim i spekulacje o żonatym mężczyźnie w jej życiu nie miałyby końca. Prędzej czy później dziewczyny domyśliłyby się wszystkiego.

Po długich rozważaniach Bambi w końcu podjęła decyzję. To Robert powinien do mnie zadzwonić, postanowiła.

A jeśli tego nie zrobi?

To do diabła z nim.

* * *

Pan Goldsmith natomiast wyznawał następującą zasadę: Jeśli nie można tego pieprzyć ani zjeść, to gwizdź na to.

I właśnie tak postąpił z Bambi. Nie miał zamiaru nigdy więcej z nią się spotykać.

Tak myślał rano. Ale koło południa stwierdził, że ma trudności ze skupieniem uwagi. Przeszkadzały mu obrazy Bambi, robiącej to, co wychodziło jej najlepiej.

Nie minęło dużo czasu, a zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem ten jeden raz nie okazał... nie okazał zbytniego pośpiechu, zrywając ową znajomość...

O wpół do drugiej był tak napalony, że dym niemal wychodził mu uszami. A przed drugą złamał się i zadzwonił do Burghleya.

Bambi podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku i z wahaniem zapytała:

- Robert? - Wymówiła jego imię naprawdę przymilnie i uwodzicielsko.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, by odłożyć słuchawkę, i to natychmiast. Zanim będzie za późno. Zamiast to zrobić, Robert A. Goldsmith spytał:

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

- Ponieważ tylko ty znasz ten numer telefonu.

Chrząknął z zadowoleniem.

- To dobrze. Wiesz co, tak sobie myślałem... Może przyjdę i obejrzę to twoje nowe mieszkanie. Ale koniecznie dzisiaj.

- Robertcie! Meble przywiozą dopiero jutro! Mieszkanie jest puściuteńkie...

- No to co? Komu potrzebne meble? Masz klucze, prawda?

Nastąpiła chwila ciszy.

- Kiedy chcesz wpaść? - spytała Bambi łagodnie.
- Może teraz?
- Będę na ciebie czekała.

A więc jednak!

Pięć minut później już siedział w swojej limuzynie, nabuzowany że
hej.

Pojechał do centrum, do Auction Towers.

Tam, gdzie przysięgał, że nie postanie jego stopa!

Wszystkie aukcje dzieł wielkich mistrzów odbywały się w jednym tygodniu. U Sotheby'ego we wtorek. Świat dzieł sztuki - a szczególnie domy aukcyjne Christie'ego i Burghleya - pilnie obserwował przebieg tego wydarzenia i wstrzymywał oddech.

Zandra i Kenzie były obecne na licytacji.

- To powinno dać nam wyobrażenie, co się będzie działo we czwartek - szepnęła Kenzie, kiedy zajęły miejsca.

Zandra rozejrzała się z powątpiewaniem.

- Okropnie pusto. Kochanie, jak myślisz, gdzie są wszyscy?

- Miejmy przynajmniej nadzieję, że ci, którzy się pojawili, są w nastroju do kupowania - odrzekła ponuro Kenzie.

Mylila się; prawie połowa ze stu osiemdziesięciu czterech obiektów nie znalazła nabywcy.

Christie's organizował aukcję w środę. Znowu były na niej Kenzie i Zandra. I znów sprzedano nieco więcej niż połowę z dwustu jedenastu wystawianych przedmiotów.

Wracały do Burghleya na piechotę, w nastroju równie ponurym jak pogoda. Przed dziesiątą słońce świeciło słabo; teraz, o wpół do trzeciej, zerwał się wiatr i zasnuł niebo szarą warstwą chmur.

- To ten cholerny kryzys gospodarczy - powiedziała zniechęcona Kenzie, otulając się mocniej szalikiem. - Zawsze ktoś sprzedaje, ale nikt nie chce kupować.

- Do diabła! - mruknęła ponuro Zandra. - Trzeba było wystawić tego cholernego Holbeina.

- Mów to teraz. - Kenzie westchnęła. - Przeszło, minęło. Na razie niewiele się dzieje. Kłopot w tym, że ludzie nie chcą sięgać do portfela. Tymczasem to idealna pora, by skorzystać z wyjątkowej okazji!

Na rogu Sześćdziesiątej i Madison zatrzymały się na zmianie świateł.

- Z całą pewnością nie wyglądam jutra - stwierdziła Kenzie zupełnie niepotrzebnie.

Zandra się skrzywiła.

- To strasznie przykre i upokarzające siedzieć na tym cholernym podwyższeniu, by przyjmować telefoniczne oferty, kiedy aparaty milczą, udawać, że jest się zajęтым, gdy tymczasem ludzie na sali mają wszystko w nosie i tylko gapią się na nas, jakbyśmy byli małpami w zoo i jakby to wszystko była nasza wina.

- Chodźmy! - Złapała ją za ramię. - Kiedy tu stałyśmy i narzekałyśmy, zapaliło się zielone światło.

Szybko ruszyły przez jezdnię.

- Cholera! - Zatrzymała się gwałtownie i spojrzała w niebo.

- Co się stało, Kenz?

- Zaczyna padać śnieg! - jęknęła przyjaciółka. - Jeśli nie przestanie, jutrzejszy obrót będzie gorszy niż w najbardziej ponurym śnie! - Spojrzała błagalnie na Zandrę. - Och, dlaczego nie możemy jutro rano zadzwonić, że jesteście chore?

- Wiesz dlaczego, Kenz. Profesjonalizm, duma, solidarność. Musimy ratować wydział przed naszą Wielką, Ukochaną Przewodniczącą!

Zmarły północnokoreański przywódca Kim Ir Sen zainspirował Arnolda do nadania tego najnowszego przezwiska Bambi Parker.

- Masz rację.

Światła się zmieniły i kierowcy zaczęli trąbić.

- Chodź, Kenz! Nie stój tak! Kochanie, bo nas obie przejadą!

Kenzie uśmiechnęła się krzywo.

- Kusząca perspektywa, czyż nie?

- Nic a nic! - warknęła Zandra i pociągnęła ją za rękę.

Nim dotarły do Burghleya, śnieżycy rozpoczęła się na dobre.

* * *

- Słuchałem prognozy pogody - powiedział Arnold Li. - Zapowiadają piętnaście do dwudziestu centymetrów śniegu.

Dochodziła siódma, a oni wciąż jeszcze siedzieli w pracy, jak to zwykle bywało w przeddzień aukcji.

- Teraz powiedz mi coś przyjemnego. Proszę! - odezwała się błagalnie Kenzie.

- Zgłoszono rękem jeszcze trzydzieści ofert. Wpisuję je właśnie do komputera.

- Jeszcze jakieś złe wiadomości?

Skinął głową.

- Wycofano cztery obiekty.

Cholera.

- Które? - spytała znużonym głosem.

- Okazy nr 64,113,161 i 201.

Kenzie знаła je na pamięć. Jacob Jordeans, oceniany na dwieście-trzysta tysięcy dolarów; Lorenzo di Niccolo, szacowany na sto-sto pięćdziesiąt tysięcy; Hendrik Terbrugghen, trzysta-pięćset tysięcy i Veronese, również w cenie trzystu-pięćset tysięcy.

Cztery najlepsze obrazy na tej aukcji.

Kenzie zamknęła oczy. Ładnie się zapowiada, pomyślała.

* * *

Nazajutrz o wpół do siódmej rano leżało już trzynaście centymetrów śniegu i warstwa białego puchu stawała się coraz grubsza. Rozgłośnie radiowe informowały, że zamknięto szkoły, wszystkie trzy lotniska były nieczynne, zabroniono parkowania na poboczu ulic.

Gdyby równie łatwo można było odwoływać aukcje, pomyślała Kenzie.

Nastawiła głośniej wiadomości i poszła do kuchni. Wsypała do młynka swoją ulubioną mieszankę kawy: połowę kolumbijskiej Excelso, połowę brazylijskiej Bourbon Santos, nalała wodę do ekspresu i włączyła go. Wkrótce woda zaczęła bulgotać, a w pomieszczeniu rozszedł się przyjemny aromat.

Zaspana Zandra, przyczłapała ze swej sypialni, mając na sobie tylko wielki, biały płaszcz kąpielowy. Zmarszczyła nos jak królik, wciągając powietrze.

- Świeża kawa? Jesteś aniołem. Chyba już nigdy nie będę się mogła ponownie przyzwyczaić do herbaty. Nie ma, jak porządna dawka kofeiny, by się obudzić. Dobrze spałaś?

- Jak kamień - odpowiedziała Kenzie. - A ty?

- Jak niemowlę. - Zandra ziewnęła i przeciągnęła się, a potem podeszła do okna w pokoju dziennym i wyjrzała przez szybę.

Dzień jeszcze nie wstał, ale nie było ciemno: podwórko dziwnie połyskiwało, odbijając śnieg, a w powietrzu było aż gęsto od milionów wielkich, pozornie leciuteńkich płatków.

- Rety, Kenzie, ciągle pada!

- Wielka mi nowina, zamknęli już lotniska i szkoły.

Zandra puściła zasłonę i odwróciła się do przyjaciółki.

- A co z aukcją?

- Och, przypuszczam, że ruch będzie jak zwykle. - Kenzie westchnęła.

- Co? - Zandra gapiała się na nią.

- Znasz to powiedzenie - odezwała się kwaśno przyjaciółka. - Przedstawienie musi trwać dalej.

- Tak, ale... Jezu, Kenzie! - Zandra wskazała ręką na okno. - W tych warunkach?

- Czemu nie? Podczas wszystkich lat mojej pracy u Burghleya nie przypominam sobie, by kiedykolwiek odwołano jakąś aukcję.

Ekspres w kuchni przestał bulgotać.

- Oho, kawa gotowa. - Kenzie wyszła i wróciła z dwoma parującymi kubkami. Podała jeden swej współlokatorce. - Proszę.

Zandra wzięła go w obie ręce, delikatnie podmuchała na kawę, a potem zaczęła ją pić małutkimi łyčzkami. Kiedy podniosła głowę, brwi miała ściągnięte.

- Naprawdę, kochanie, gdyby mieli choć odrobinę oleju w głowie, odwołaliby to wszystko. Przecież dzisiaj samo przedarcie się przez miasto to koszmar. Jak ludzie dojadą...

Zadzwoił telefon.

Kenzie spojrzała na zegar na kominku. Była dopiero za kwadrans siódma.

- Dziwne - mruknęła Zandra. - Któż to może dzwonić tak wcześnie?

- Jest tylko jeden sposób, by się przekonać. - Kenzie podeszła do aparatu. - Halo?

- Kenz?

- Arnold! Nie mów mi, że utknąłeś w korku i...

- Nie, jestem w pracy - powiedział. - Woląłem zostać na noc, niż ličzyć rano na sprawną komunikację. Słuchaj, lepiej przyjdź tu z Zandrą. I to jak najszybciej.

- Teraz? Ale dlaczego?

- Dzieją się straszne rzeczy!

I się rozłączył.

Kenzie ze zmarszczonym czołem odłożyła słuchawkę. Nie wiedziała, co się działo, ale musiało chodzić o coś poważnego. Arnold nie należał do tych, co wszczynają fałszywe alarmy.

- Zarzuć coś na siebie - poleciała przyjaciółce. - Nie ma czasu na czesanie się i makijaż. Możemy to zrobić po drodze.

Pięć minut później wybiegły z domu.

* * *

- No, no! - wykrzyknęła Zandra i zatrzymała się w progu.

Wyglądający na skonanego Arnold, w rozpiętej koszuli i z podwinętymi rękawami, gorączkowo naciskał migające guziki telefonu.

- Proszę chwileczkę poczekać... - Uniósł wzrok, zobaczył obie dziewczyny i gestem ręki pokazał, by zajęły miejsca przy biurkach.

- Co się dzieje? - spytała bezgłośnie Kenzie, zdejmując płaszcz.

Dał jej znak ręką, że zaraz powie.

- Już słucham - rzucił do słuchawki. - Uhm. Uhm. - Zirytowany, wznosił oczy do góry. - Tylko pół minuty, proszę pani, nie dłużej. Obie...

Ktoś dodzwonił się na drugą linię i Arnold nacisnął migający guzik.

- Burghley, Dawni Mistrzowie, proszę poczekać - rzucił jednym tchem.

Potem odłożył słuchawkę, wytrzeszczył oczy, nadął policzki i zgarbił się na krześle.

- Uff! - Głośno wypuścił powietrze. - Bardzo się cieszę, że was widzę, dziewczyny!

- Lepiej powiedz nam, co się tu dzieje, i to szybko - odezwała się Kenzie.

- Telefony się urywają! Wszyscy dzwonią i składają telefonicznie oferty, nie mówiąc już o faksach. Sam Bóg wie, ile się tego zebrało.

Kenzie spojrzała na faks. Pojemnik był pełny, kopie wypełnionych zgłoszeń do przetargu zaścielały całą podłogę. Odwróciła się do Arnolda.

- Więc mówiąc: „dzieją się straszne rzeczy” miałaś na myśli to, że jesteśmy zasypywani ofertami?

- Zgadza się.

Dobry Boże, westchnęła w duchu. I mówić, że coś się stało całkiem niespodziewanie!

Nagle ogarnęło ją takie podniecenie, że ledwo mogła oddychać. To było naprawdę oszałamiające. Urywające się telefony, gromadzące się fakсы.

Nigdy nie widziałam czegoś podobnego, pomyślała uradowana.

- Ale dlaczego? - spytała Arnolda. - Nie rozumiem.

- Ja też nie. Przypuszczam, że ludzie, unieruchomieni w domach, hotelach i jeden Bóg wie, gdzie jeszcze, kartkują nasz katalog i zgłaszają oferty. Rozumiesz, coś w rodzaju skrzyżowania między kupowaniem i składaniem ofert.

Kenzie potrząsnęła głową.

- Całkiem nowe zastosowanie idei „zakupów bez ruszania się z domu”, prawda?

Znów zadzwonił telefon.

- Cholera! - Arnold już sięgał po słuchawkę, ale potem cofnął rękę. - Ktokolwiek to jest, może zostawić wiadomość.

- Nie na długo. - Kenzie, oceniwszy sytuację, objęła kierownictwo. - Słuchaj. Arnold, zupełnie zachrypleś. Przyda ci się chwila wytchnienia.

- Powiedz to jeszcze raz!

- Nie odbieraj telefonów i zajmij się faksami. Wszystkie te oferty trzeba wprowadzić do komputera i im szybciej się do tego weźmiesz, tym lepiej. Ale najpierw zamów kawę.

- Już się robi!

- Zandra, my obie do wpół do dziesiątej będziemy odbierały telefony. Potem zatrudnimy pierwsze trzy osoby, które pojawią się w pracy, i obojętne, z którego będą działu!

- Najpierw odbierzcie telefon na trójce - poradził jej Arnold. - Biedna kobiecina czeka już nie wiem jak długo.

- Racja. - Zandra nacisnęła guzik. - Halo? Bardzo przepraszam, że musiała pani tak długo czekać. Dziękuję za cierpliwość...

A Kenzie, naciskając inny guzik, rzuciła do słuchawki:

- Dział Dawnych Mistrzów, słucham...

Przez blisko dwie godziny zwijali się jak w ukropie. Ledwo sobie radzili z odbieraniem telefonów, lecz mimo że dzwoniło mnóstwo ludzi, Kenzie, Zandra i Arnold pracowali razem jak dobrze naoliwiony mechanizm.

Informowali się na bieżąco, wykrzykując zaszyfrowane wiadomości:

- Okaz numer dwadzieścia jeden, Hamilton. Dziewięć! W granicach!

- Sto sześćdziesiąt, Guardi, cztery przecinek dziewięć. W granicach!

- Dwieście osiem, Hendrik Meyer, dwadzieścia. Tuż poniżej!

- Siedemdziesiąt cztery, Rynacker, ćwierć melona. Powyżej!

Przyprawiało to o zawrót głowy. Kenzie nigdy nie przeżyła niczego podobnego; po raz pierwszy od trzech dni pozwoliła sobie na odrobinę nadziei, potem zaś ogarnęła ją euforia.

Proszę Cię, Boże, modliła się, niech to trwa.

Modlitwy były wysłuchiwane do dziewiątej. Trzy sekundy później rzucono jej podkreśloną piłkę.

- Kenzie, obawiam się, że mamy .duży kłopot - odezwała się Zandra.
- Możesz odebrać rozmowę na linii siódmej?

Kenzie zasłoniła słuchawkę ręką.

- Kto to?

- Bambi.

- W jej przypadku - powiedziała ponuro Kenzie - brak wiadomości to dobra wiadomość. Trudno! - westchnęła zrezygnowana. - Porozmawiam z nią, kiedy skończę z tym klientem.

* * *

Panna Parker niecierpliwie spoglądała przez przeszkloną ścianę na miliony wirujących płatków śniegu. Przesłoniły całe miasto z wyjątkiem dwóch najbliższych wieżowców, które przybrały tajemniczy, wprost zjawiskowy wygląd. W innej sytuacji mogłaby sobie wyobrażać, że jest księżniczką z bajki, zamkniętą na szczycie wieży zamkowej.

Jednak dziś rano rzeczywistość - pod postacią szczupłego, nagiego mężczyzny - sprawiała, że niepotrzebne stały się jakiekolwiek fantazje. Bambi pragnęła jedynie jak najszybciej ponownie znaleźć się z nim w łóżku, stąd jej zniecierpliwienie.

Dlaczego Kenzie tak długo nie odbiera? Nie mogę zmarnować całego dnia!

- No prędeej! - mruknęła gniewnie; różowymi paznokciami jak szponami przejechała po zmiętym prześcieradle. - No prędeej...

- Tak, mała. Już nie mogę się doczekać! - Materac ugiął się i wczoraj poznany mężczyzna przyłgął do niej i zaczął ssać jej ramię.

Od stóp do głów przebiegł ją dreszcz słodkiego pożądania.

Poznali się na przyjęciu wczoraj wieczorem i odkryli, że mają ze sobą dużo wspólnego: na przykład kryształ, New Age, chorały gregoriańskie. Przyszli tutaj, do nowego mieszkania - Bambi i Lex Bugg, król sztuki psychodelicznej. Podkochiwała się w nim od dziecka; był to bezpośredni wpływ owych stylizowanych tęcz, księżyców, gwiazd i obłoków, które malował.

Teraz znalazł się w jej łóżku, nagusieńki, jeśli nie liczyć wiszącego na szyi kryształu na rzemyku. Tulił się do Bambi, obejmował ją, językiem wodził po nierównościach i zagłębieniach jej ramienia.

A ja muszę marnować czas, czekając, aż ta ofiara podejdzie do telefonu!

W końcu w słuchawce rozległ się trzask, a potem Kenzie spytała szorstko, lapidarnie:

- Bambi? Tu Kenzie. O co chodzi?

Lex przesuwiał palcami po jej plecach.

- Cześć, Kenzie. Okropny dzień, co?

- Nie wiem. Przypuszczalnie zależy to, z której strony patrzeć.

- Stąd wygląda okropnie - powiedziała Bambi, kładąc się i owijając przewód telefoniczny wokół palca. - I pan Fairey się zgadza. Właśnie skończyłam z nim rozmawiać. Postanowiliśmy przełożyć dzisiejszą aukcję.

- Co takiego! - Kenzie krzyknęła tak głośno, że Bambi się skrzywiła i odsunęła słuchawkę od ucha. - Oszalałaś?

Jej kierowniczką poczuła się dotkniętą.

- Nie pozwolę, żebyś tak do mnie mówiła! - warknęła. - Nie ty kierujesz działem, tylko ja!

- Dlatego też radzę ci, żebyś jeszcze raz wszystko przemyślała. Rozumiem, że Zandra cię poinformowała, co się tutaj dzieje?

- Tak i to dowodzi, że mam rację. Sprzedaż pójdzie jeszcze lepiej, jeśli ją przełożymy.

- Bambi, wiesz, jak kiepsko poszło w tym tygodniu Christie'emu i Sotheby'emu?

Bambi zauważyła spojrzenie Lexa i pokiwała ręką.

- Słuchaj, Kenzie, nie rozumiem, co Christie's czy Sotheby's mają z tym wspólnego. To nie nasza wina, że zostały im dzieła gorszej jakości.

- Bambi? - Głos Kenzie był łagodny. - Czy poszłaś i obejrzałaś te obrazy? Albo czy przynajmniej przejrzałaś katalogi?

Szefowa prychnęła pogardliwie.

- Nie muszę ci odpowiadać. I nie będę o tym dyskutować. Aukcja jest odwołana i już.

- Popelniasz duży błąd - ostrzegła ją Kenzie.

Bambi rzuciła słuchawkę na widelki.

- Bardzo dobrze, mała! - Lex błysnął w uśmiechu oślepiająco białymi zębami. - Nie pozwól wciskać sobie kitu.

* * *

Kenzie roziskrzonym wzrokiem spoglądała na słuchawkę.

- Życzę miłego dnia! - powiedziała, nim położyła ją na widelki.

- Kenzie! - zawołała Zandra. - Co mam mówić ludziom?
- Przyjmuj oferty. O ile nam wiadomo, aukcja się odbędzie.
- Jesteś pewna?
- Jak najbardziej.

Kenzie nie zamierzała dopuścić do tego, by Bambi wszystko popsukała, nie teraz, kiedy im tak świetnie szło. Złapała za telefon i zadzwoniła do biura Sheldona D. Faireya.

Jak się można było spodziewać, nikt nie odbierał. Włączyła się tylko automatyczna sekretarka prosząc o pozostawienie wiadomości, co Kenzie uczyniła. Następnie próbowała się połączyć z Allison Steele. Z takim samym rezultatem. Zostawiła kolejną wiadomość.

A więc zadbała o stronę formalną.

Następnie zaczęła coś wystukiwać na klawiaturze komputera. Wyświetliła zastrzeżony numer domowy Faireya i wybrała go.

- Halo? - rozległ się po trzecim dzwonku kobiecy głos.
- Poproszę z panem Faireyem. Mówi MacKenzie Turner z Burghleya.
- Akurat bierze prysznic. Tu jego żona. Może mogłabym pani jakoś pomóc?

- Czy może pani powiedzieć mężowi, że to nadzwyczaj pilne? Zaczekam przy aparacie.

- Naturalnie.

Kenzie zacisnęła zęby. Świat sztuki - jaki to miał być fascynujący świat! Prędzej przypominał jednak miejsce, gdzie ręka rękę myje i jeden drugiemu zadaje ciosy w plecy! Kto się znalazł na samym szczycie, walczył, by tam pozostać. Pozostali zaś usiłowali się tam dostać albo przynajmniej utrzymać dotychczasową pozycję.

Świat sztuki. Jeśli ktoś miał jakieś wątpliwości dotyczące słuszności teorii Darwina, nie musiał dalej szukać. Tutaj miał niepodważalny dowód. Dzień w dzień.

- Sheldon D. Fairey - rozległ się znajomy głos.

- Pan Fairey? Tu MacKenzie Turner. Przepraszam, że niepokoję pana w domu, ale mamy kłopot.

- Proszę strzelać, pani Turner.

Zapoznała go z ofertami, które wciąż napływały, a na koniec powiedziała:

- Chyba pan rozumie? To okazja, jaka się zdarza raz w życiu! Jeśli przełożymy aukcję, ryzykujemy, że oferty zostaną wycofane. Musimy ją przeprowadzić!

Nastąpiła chwila ciszy.

- Jest pani pewna, pani Turner? - spytał cicho główny aukcjonier.

- Ręczę głową! - oświadczyła Kenzie w przypiływie niezachwianego przekonania.

Zandra gorączkowo dawała jej znaki i powiedziała bezgłośnie:

- Nie! Oszalałaś?

Pan Fairey odchrząknął.

- W takim razie zadzwonię do pani Parker i odwołam polecenie.

Kenzie westchnęła z ulgą.

- Dziękuję panu.

- Pani Turner?

- Słucham?

- Powodzenia! - dodał sucho.

Kiedy odwiesiła słuchawkę, zobaczyła, że ma spocone dłonie. I ręce jej drżały.

* * *

Początek aukcji zaplanowano punktualnie na dziesiątą.

Za pięć dziesiątą Bambi na czele pracowników swego działu - Arnolda, Kenzie i Zandry - weszła na podium. Zajęli miejsca za stołem, na którym stało mnóstwo telefonów i cztery komputery.

Kenzie nie posiadała się z radości. Wkrótce dowiedzie, że miała słuszność. I odniesie triumf!

Zandra ujęła jej dłoń i uściśnęła, by dodać przyjaciółce odwagi. Arnold pochylił się, uniósł w górę obie ręce i pokazał zaciśnięte kciuki. Tylko Bambi, milcząca, z zaciśniętymi ustami, kompletnie ją ignorowała.

Za cztery dziesiątą przybył pierwszy potencjalny kupiec. Za trzy dziesiątą do sali weszło małżeństwo. Po chwili pojawił się znany marszand.

Nagle Kenzie ogarnęło okropne przecucie.

Za minutę dziesiątą z dwustu miejsc, sto dziewięćdziesiąt sześć było wciąż pustych.

Pojawiły się tylko cztery osoby!

Dopiero wtedy zrozumiała znaczenie swojej decyzji. No, tym razem to już koniec, pomyślała ponuro. Jeśli nie będzie wystarczająco dużo ofert telefonicznych, mogę się pożegnać z posadą.

Patrzyła, jak Sheldon D. Fairey, jak zawsze nieskazitelnie ubrany, zbliżył się do pulpitu aukcjonera. Poruszał się z gracją, jakby sala była wypełniona po brzegi, a środki masowego przekazu rejestrowały każdy jego krok. Jego jak wyrzeźbiona twarz była bez wyrazu, kiedy patrzył na puste krzesła.

Zamierza poprowadzić aukcję, uświadomiła sobie Kenzie, czując się jak przerażony i zafascynowany widz, który ma być świadkiem katastrofy. Czeka nas klęska. A wszystko przeze mnie. Po czymś takim już nigdy nie znajdę pracy. Boże, pomóż mi. Co mnie podkusiło, by postawić wszystko na jedną kartę?

Teraz - za późno! - nagle uświadomiła sobie jeszcze coś. Od pięciu minut telefony milczały. Była to złowroga cisza.

O, Boże, pomyślała. Dlaczego nie mogłam spokojnie siedzieć?

* * *

- Okaz numer jeden - obwieścił Sheldon D. Fairey. - *Portret lady Digby z pracowni Antona van Dycka.*

Dwóch młodzieńców w zielonych fartuchach wniosło na podwyższenie obraz w połączonych ramach i umieściło go na sztalugach. Jednocześnie na wielkim ekranie pojawiło się przezrocze malowidła.

- Rozpoczynamy licytację od tysiąca dolarów.

Arnold, patrząc na ekran komputera, uniósł w górę ołówek.

- Mamy chętnego za tysiąc dolarów...

Na ścianie w głębi sali na tablicy pojawiła się proponowana cena w przeliczeniu na sześć głównych walut - japońskie jeny, niemieckie marki, angielskie funty, włoskie liry oraz franki francuskie i szwajcarskie.

- Kto da tysiąc sto dolarów?

Kenzie i Zandra, odbierające telefony od klientów, uniosły swoje ołówki, podobnie jak Arnold.

- Kto da tysiąc dwieście... tysiąc pięćset... dwa tysiące... trzy tysiące... cztery tysiące...

Kwota wzrastała jakby pod wpływem czarodziejskiej różdżki i zdawała się żyć własnym życiem.

- ...dziesięć tysięcy... dziesięć tysięcy pięćset... jedenaście tysięcy... dwanaście...

Pół minuty później rozległo się stuknięcie młotka.

- Sprzedane za osiemnaście tysięcy dolarów.

Cztery i pół raza powyżej szacunków.

Kenzie odetchnęła z ulgą. Na razie dobrze, powiedziała do siebie. Oby tak dalej...

Mężczyźni w zielonych fartuchach znieśli obraz z podwyższenia, a dwójka innych wniosła następny obiekt.

- Okaz numer dwa.

Od stojącego za pulpitem Sheldona D. Faireya biła pewność siebie, autorytet i spokojna asertywność.

- *Portret włoskiego szlachcica*, również z pracowni Antona van Dyc-ka. Zaczynamy licytację od tysiąca dolarów...

Zandra i Kenzie już odbierały telefony zamiejskowe. Arnold, z oczami utkwionymi w ekran komputera, znów zgłosił ofertę w imieniu nieobecnego klienta.

I znów jakby pojawiła się nie wiadomo skąd zaczarowana nić i zaczęła tworzyć oszałamiającą materię utkaną z dolarów; wszystko działo się jakby pod wpływem zaklęcia wielkiego czarnoksiężnika.

- Kto da sześć tysięcy... sześć tysięcy pięćset... siedem tysięcy... siedem tysięcy pięćset...?

Cena rosła, ogromniała, zwielokrotniała się i pomnażała.

- Piętnaście tysięcy... piętnaście tysięcy pięćset... po raz pierwszy, po raz drugi...

Stuk młotka.

- Sprzedane za piętnaście tysięcy pięćset dolarów.

Prawie cztery razy drożej, niż szacowano!

Kenzie poczuła się, jakby zażyła narkotyk albo środek uspokajający, mający ukoić jej napięte nerwy. Czy mogła mieć choć wąty cień nadziei?

Jeszcze za wcześnie, by to ocenić. Ale mimo wszystko początek był lepszy, niż miała odwagę oczekiwać.

Kto wie? - pomyślała pełna otuchy. Może nam się uda. A może nawet odniesiemy spektakularny sukces.

Ale potem los się odwrócił.

Ani okaz numer trzy, *Ukrzyżowanie* przez naśladowcę van Cleve'a, ani okaz numer cztery, malutki obrazek owiec i kóz Barenta Graata, ani okaz numer pięć, *Portret damy jako Wenus* van der Helsta, nie znalazły nabywców. Sheldon D. Fairey za każdym razem stukał młotkiem wygłaszając obojętnym tonem złowieszcze słowa: „Nie wylicytowane”.

Kenzie odbierała każde stuknięcie młotka jak wymierzony jej cios. Mamy kłopoty, pomyślała. Ale z miejsca zmieniła zdanie. Nie. Równie dobrze mogą nazwać rzecz po imieniu. Wpadliśmy po szyję w gówno. A może nawet po uszy.

Ale bogowie przeznaczenia jeszcze raz zażartowali z niej, odwracając koło fortuny.

Okaz numer sześć, *Pokłon Trzech Króli* Jana van Scorela, szacowany na dziesięć-dwadzieścia tysięcy, poszedł za dwadzieścia jeden tysięcy.

A okaz numer siedem, *Madonnę z Dzieciątkiem* Raffaelina del Garbo,

sprzedano za trzydzieści sześć i pół tysiąca dolarów - szesnaście i pół tysiąca powyżej szacunków.

Kenzie nie pozwalała sobie na nadmierny optymizm, i słusznie. Sześć kolejnych obiektów nie uzyskało ceny gwarancyjnej. Każdemu uderzeniu młotka towarzyszyło jedno nieubłagane słowo: „Wylicytowane”.

Kenzie, czując zbliżający się atak bólu głowy, potarła czoło. Z doświadczenia wiedziała, co ich czeka, i bała się tego.

Będziemy mieli mnóstwo niezadowolonych klientów, pomyślała z obawą. Niektórzy niewątpliwie będą winili Burghleya za to, że ich obrazy nie zostały sprzedane, co oznaczało, że przyjdzie jej stawić czoło licznym zagniewanym rozmówcom.

Tymczasem Sheldon D. Fairey mówił:

- Okaz numer piętnaście, *Martwa natura* Pietera Claesza. Olej na miedzi. Podpisany inicjałami i opatrzony datą 1630.

Oceniony przed aukcją na pięćset-siedemset tysięcy dolarów, był pierwszym naprawdę spektakularnym i drogim dziełem wystawionym na sprzedaż.

- Rozpoczynamy licytację od dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Kenzie, wiedząc, co od tego zależy, dosłownie wstrzymała oddech.

Krótki, ale żaźarty pojedynek zakończył się przy cenie milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Kenzie potrzebowała chwili, by dotarło do niej to, co się stało. Wtedy poczuła taką ulgę i ogarnęły ją takie mdłości, że siłą powstrzymała się, by nie wymiotować.

I tak przebiegała aukcja do samego końca - wieczna huśtawka, od kwot zawrotnych po żałośnie niskie.

O wpół do jedenastej zapełniło się jeszcze jedenaście miejsc, kiedy stali klienci, wyliczywszy swoje przybycie tak, by trafić na licytację obiektów, które ich interesowały, pojawili się osobiście na sali.

O jedenastej liczba obecnych wzrosła ogółem do trzydziestu trzech osób, łącznie z reporterem z nowojorskiego *Timesa*.

Mimo małej frekwencji, w powietrzu czuło się napięcie i ostre szpony klientów polujących na okazje.

Po dwóch godzinach od rozpoczęcia licytacji, Sheldon D. Fairey po raz ostatni stuknął młotkiem.

- Proszę państwa - ogłosił - to koniec naszej aukcji. Dziękuję.

Kenzie bezwładnie zapadła się w fotelu. Była kompletnie wykończona, siedziała oszołomiona, podczas gdy Arnold kończył podsumowania na komputerze. Aukcja zebrała swoje żniwo.

- Hmmm - mruknął. - Spójrz na to!

- Może później - szepnęła Kenzie myśląc: Jeśli brak wiadomości to zia wiadomość, po co się spieszyć? Wkrótce poznamy rozmiary strat.

Zresztą aukcja się zakończyła. Teraz już za późno, by cokolwiek zmienić.

Zandra była bardziej ciekawa. Sumowała wszystko w pamięci i teraz z zainteresowaniem zerknęła na ekran komputera. Wyniki, jakie tam ujrzała, zgadzały się z jej obliczeniami.

Z dwustu dwudziestu ośmiu obiektów sprzedano blisko dwie trzecie - dokładnie sto trzydzieści dziewięć - za ogólną kwotę pięćdziesięciu sześciu milionów sześciuset dziewięciu tysięcy stu dwunastu dolarów.

Na jedną czwartą tej sumy złożyły się cztery obrazy:

Numer sto sześćdziesiąt, Francesco Guardi, który poszedł za sześć milionów siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Mały Tycjan, kupiony za dwa miliony sześćset czterdzieści tysięcy dolarów.

Gericault - z ceną dwóch milionów czterystu dwudziestu tysięcy dolarów.

I Joachim Wtewael, który znalazł nabywcę za milion osiemset tysięcy dolarów.

- Rety, Arnoldzie! - zawołała Zandra. - Jak to osiągnęliśmy? Kenzie, naprawdę musisz rzucić okiem!

- Wolę nie - powiedziała słabo Kenzie. - Chyba tego nie zniosę.

- Gadanie! Z pewnością zniesiesz! - oświadczyła jej przyjaciółka. - Ogółem sprzedaliśmy obrazów za pięćdziesiąt sześć przecinek sześć milionów dolarów. Czy możesz w to uwierzyć? Pięćdziesiąt sześć milionów, Kenzie! Kochanie, powinnaś skakać z radości!

- Pięćdziesiąt sześć...? - powtórzyła tępo.

- Kochanie, otrząśnij się, to prawda! Wiem, że to trochę poniżej wcześniejszych szacunków, ale musisz przyznać, że prognozy nie były zbyt optymistyczne... Kenzie? Słyszysz mnie? Poszło nam znacznie lepiej niż Christie'emu i Sotheby'emu. Widzisz? Miałaś rację, że przedstawienie musi trwać dalej!

Kenzie zamrugała powiekami.

- Naprawdę? - zapytała cichutkim, niepewnym głosem.

- Jasne. Dowiodłaś, że miałaś słusność - przy poparciu pięćdziesięciu sześciu milionów. Arnoldzie, czy nie powinniśmy tego oblać?

- Zdecydowanie - przyznał jej rację kolega i powiedział, naśladując mowę prostych Chińczyków. - No, długie panie. Placowaliśmy, a teraz umielamy z głodu. Zjecie razem ze mną późny obiad?

Kenzie potrząsnęła głową.

- Może idźcie sami? Czuję, że nie dam rady nic przelknąć.

- Nic nie szkodzi. - Zandra nie dawała za wygraną. - Napijesz się czegoś, kochanie. To najlepsze lekarstwo. Nie ma, jak szklaneczka czegoś mocniejszego. - Wzięła przyjaciółkę za rękę i zmusiła ją, by wstała. - Idziesz z nami i tyle. Nie ma dyskusji. No, grzeczna dziewczynka!

Kiedy znaleźli się na ulicy, wzdłuż Madison jechał warcząc pług śnieżny. Kenzie wzniosła oczy do nieba.

- Patrzcie! Kiedy aukcja się skończyła, przestało padać.

34.

Becky V wyruszyła na wieś o jedenastej rano. Pragnąc zachować incognito, korzystała z nierzucającego się w oczy ciemnoszarego chryslera. Włożyła duże, okrągłe okulary słoneczne, a głowę obwiązała chustką od Hermesa. Lord Rosenkrantz, o twarzy różowitkującej jak buzia niemowlęcia, z wydatnym dickensowskim brzuskiem, siedział obok Becky na miejscu dla pasażera. Za nimi jechał ciemnoniebieski ford Taurus, prowadzony przez przydzielonego jej agenta Secret Service, a za nim z kolei - czarna minifurgonetka.

Za kierownicą furgonetki siedział kucharz Becky, wioząc kosze ze świeżymi czarnymi i białymi truflami, skrzynki Duque de la Vila Rioja z 1988 roku, butelkowanego w hiszpańskich posiadłościach diuszesy, pięciokilogramowe puszki kawioru z białugi, obłożone suchym lodem, i torby-lodówki pełne świeżych owoców morza, kupionych dziś rano na targu rybnym przy Fulton Street.

Kawalkada trzech samochodów przejechała pod rzeką tunelem Holland i wkrótce znalazła się w sławnej krainie polowań w New Jersey, pośród starych lasów, pagórkowatych pastwisk i gospodarstw rolnych. Kręte, wiejskie drogi, chociaż odśnieżone, były zdradliwe, więc jadący posuwali się wolno.

Pół godziny później skręcili w prywatną nieoznakowaną aleję, biegnącą przez przykryte śniegiem, otoczone białymi płotami pastwiska. Ona też została odśnieżona.

Jeszcze pół kilometra i byli na miejscu, w wiejskiej siedzibie Becky V, bardzo rozległej posiadłości, oględnie mówiąc.

W białym eleganckim głównym budynku znajdowało się trzydzieści pomieszczeń. Dom ten stanowił ponoć jeden z najwspanialszych przykładów architektury neoklasycyzmu w Ameryce. Były tu jeszcze inne

zabudowania: domek dla gości, który Becky oddała do dyspozycji lordowi Rosenkrantzowi, dwie murowane stajnie, ciągnące się po obu stronach brukowanego dziedzińca - jedna dla koni, druga używana w charakterze garażu dla licznych samochodów - kuźnia, oszklone oranżerie oraz stodoły i szopy.

Lubiący aktywny wypoczynek goście mieli tu do dyspozycji dwa baseny, jeden kryty, drugi - na świeżym powietrzu, a także kort tenisowy, mierzący blisko cztery tysiące metrów kwadratowych kryty maneż i dwie areny na świeżym powietrzu.

Poza tym był tu jeszcze domek dozorczy oraz budynek dla służby.

Zaraz po przyjeździe Becky, razem z panią Wheatley, administratorką, obeszła zarówno główny dom, jak też pomieszczenia gościnne. Potem w towarzystwie pana Wheatleya, zarządcy majątku, obejrzała stodoły, szopy, warsztaty oraz kryty basen i maneż. Następnie przyszła kolej na cieplarnię. Becky, wraz z głównym ogrodnikiem oglądała rośliny, sprawdzała palcem wilgotność ziemi, rozmawiała o nawozach, a potem wybrała kwiaty do domu i pokoi gościnnych.

Jako że konie stanowiły jej pasję, zostawiła stajnie na sam koniec. Tam razem z głównym koniuszym niespiesznie przyjrzała się swym piętnastu ukochanym folblutom, racząc je kostkami cukru.

Po ukończeniu inspekcji doszła do wniosku, że pora na przejażdżkę. Bardzo lubiła galopować przez pokryte śniegiem łąki i malownicze wzgórza.

- Proszę osiodłać Sparky'ego - poleciła. Był to jej ulubiony koń, dziewięcioletni wałach. - Przejadę się na nim za kilka minut.

Potem, upewniwszy się, że wszystko wokół odpowiada jej wysokim wymaganiom, pani domu wróciła do głównego budynku, gdzie założyła bryczesy, długie buty, puchową, niebieską kurtkę narciarską, kaszkiet, szalik i podbite futerkiem rękawiczki.

Kiedy wróciła do stajni, czekali już na nią dwaj agenci Secret Service. Obaj przebrali się w dzinsy i grube, podbite kozuszką zamszowe kurtki.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytała. - Wybieram się tylko na krótką przejażdżkę.

- Obawiam się, że tak, proszę pani - odezwał się grzecznie jeden z nich. - To dla pani własnego bezpieczeństwa.

Becky skinęła głową i poleciła stajennemu, by wyprowadził Sparky'ego.

- A potem osiodłaj dla panów Moonbeama i Firefly, dobrze?

Koniuszy spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Słucham? Czy jest pani pew...

Pracodawczyni przerwała mu.

- Rób, co ci każe.

- Tak jest, proszę pani!

Pospiesznie poszedł do stajni i wyprowadził Sparky'ego, który przestępował z nogi na nogę i stawał dęba. Był wspaniały - wielki, lśniący, czarny w białe łaty, o kształtnym łbie i długich, mocnych nogach. Stajenny przytrzymał lejce i pomógł Becky dosiąść konia.

Zaczekała, aż osiodłano i przyprowadzono Moonbeama i Firefly. Moonbeam był narowistym, upartym białym ogierem; Firefly zaś krnąbrną, starszą klaczą.

Diuszesa obserwowała z rozbawieniem, jak obaj mężczyźni z trudem dosiedli wierzchowców. Kiedy w końcu znaleźli się w siodłach, krzyknęła: „Naprzód!” i szarpnęła za wodze.

Ruszyła pierwsza.

Po chwili spojrzała za siebie i wybuchnęła śmiechem. Moonbeam, brykając i stając dęba, zrzucił swego jeźdźca, a Firefly nie chciała pobiec prędzej niż truchtem.

Właśnie na to liczyła Becky.

Przejażdżka po ośnieżonych łąkach okazała się cudowna; powietrze, chociaż przenikliwe zimne, było kryształowo czyste. Sparky z łatwością przeskakiwał przez płoty i biegł z gracją w górę po łagodnych zboczach. Wystraszył rodzinę jeleni, która rączo pomknęła, by skryć się w pobliskim lesie.

Godzinę później Becky wróciła do domu. Agenci Secret Service czekali na nią przy stajni. Jeden był wyraźnie zły, drugi miał potulną minę. Zeskoczyła z pokrytego pianą konia, i rzuciła wodze stajennemu.

- Panowie - zwróciła się do swych ochroniarzy - zdaje się, że was zgubiłam.

Obaj się zaczerwienili.

Wróciwszy do domu, Becky poleciła pokojówce, by przygotowała gorącą kąpiel. Potem, po raz drugi tego dnia zanurzywszy się w wannie, zaczęła rozmyślać nad urokami życia na wsi.

Następnie, ubrana już w spodnie i sweter, zaczęła się zastanawiać nad czekającą ją wizytą.

Zandra i Karl-Heinz. Sprawiali wrażenie pary skojarzonej w niebie. Wkrótce się okaże, czy to się sprawdzi na ziemi.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Ten weekend zapowiadał się ciekawie...nadmierzaj ciekawie...

* * *

Państwo Fairey wyruszyli na wieś w południe. Jak przystało na przedstawicieli potomków pierwszych brytyjskiej osadników, korzystali z odpowiedniego, praktycznego pojazdu - poobijanego dziesięcioletniego samochodu-kombi.

Byli też odpowiednio ubrani na wyjazd na wieś. Sheldon miał na sobie czerwono-czarną flanelową koszulę, oliwkowe sztruksy i starą, skórzaną kurtkę. Nina włożyła żółty obszerny sweter z kapturem i tabaczkowe zamszowe spodnie, a także sznurowane buty. Patrząc na nich, nikt by się nie domyślił, że mają więcej pieniędzy niż Ivana Trump - tylko oni wiedzieli, jak je utrzymać.

Dzieci bankierów z Nowej Anglii (Nina) i brokerów z Nowej Anglii (Sheldon), oboje zostali wychowani w wierze w Boga, Amerykę, wszechmogącego dolara i jankeską powściągliwość - choć nie koniecznie w tej kolejności - i każde z nich mogło z pamięci wyrecytować pięć przykazań prawdziwego Amerykanina:

I. Nie będziesz nigdy tykał Kapitału, bez względu na to, jakbyś tego pożył.

II. Będziesz żył z części odsetek od Kapitału - resztę należy natychmiast zainwestować, tak by Wszechmogący Kapitał się pomnażał.

III. Nie będziesz się afiszował swym bogactwem przed światem.

IV. Będziesz oszczędny i skromny.

V. Pod żadnym pozorem nie będziesz tykał Kapitału.

I dlatego postronnemu obserwatorowi można było wybaczyć, że się nie domyślił, iż Faireyowie dysponowali sześciocyfrową pensją (jego) plus sześciocyfrowymi odsetkami od pierwszorzędných akcji (jej).

A więc wyruszyli w drogę swym skorodowanym dziesięcioletnim samochodem-kombi. Jedyny bagaż, jaki mieli ze sobą, to podręczne torby z ubraniem, a i one były czymś wyjątkowym - wzięli stroje na zmianę tylko dlatego, że Becky V zaprosiła ich razem z ich gośćmi na obiad.

Pojechali tunelem Lincolna do New Jersey, potem szosą międzystanową 1-95, a następnie skręcili w 1-78, z której zjechali w North Plainfield. Wstąpili do pobliskiego centrum handlowego, gdzie zaopatrzyli się w podstawowe artykuły żywnościowe i tani alkohol (ceny i podatki pośrednie w New Jersey są znacznie niższe niż na drogim Manhattanie). Potem ruszyli znanymi, wiejskimi drogami przez ośnieżone lasy i pastwiska. Osiem kilometrów za Middlebush minęli aleję wiodącą do posiadłości Becky V i pół kilometra dalej skręcili w lewo, do swego

skromnego, czterohektarowego, ale całkowicie im wystarczającego Cedar Hill.

Krótki, żwirowy podjazd, niedawno odśnieżony, prowadził prosto do budynku, wzniesionego na szczycie wzgórza, tak że zdawał się dominować nad okolicą. Jak zawsze widok domu sprawił Faireyom niesłychaną przyjemność. Był z czerwonej cegły, piętrowy, o idealnych proporcjach, symetryczny. Miał stromy, teraz ośnieżony dach, okazały centralny portyk i wysokie, ceglane kominy po obu bokach. Z obu stron później zostały dobudowane parterowe skrzydła.

Lewe pełniło rolę stajni na jednego konia i garażu na dwa samochody, drugie zostało przekształcone w małe mieszkanie dla dozorca.

W połowie drogi do domu samochód zatrzymały dwa psy myśliwskie, które czekały radośnie, zataczając kręgi wokół teraz wolno sunącego auta.

Faireyowie ostrożnie okrążyli dom i zaparkowali koło kuchni. Pani Pruitt, żona dozorca, otworzyła drzwi, wytarła ręce w fartuch i powiedziała, że wyładuje wszystko z samochodu.

Nina i Sheldon spędzili kilka następných minut na zabawie z psami, które lizaly ich twarze długimi, różowymi, mokrymi językami, a na ubraniach zostawiały ślady ośnieżonych łap.

Pan Fairey rozejrzał się i westchnął w zadumie. Niebo było jasnoniebieskie, słońce świeciło jasno, powietrze wydawało się czyste i przejrzyste. Zapowiadał się wspaniały, zimowy weekend.

Tylko jedna ciemna, brzydka chmura mąciła horyzont. Goldsmithowie!

* * *

Księżę Karl-Heinz wyruszył na wieś o wpół do czwartej, ale zrezygnował z jazdy samochodem. Udał się do heliportu na East Side i skorzystał z wygodnego śmigłowca.

Wystartowali natychmiast i pilot skierował maszynę na południowy zachód. Lecieli nad East River, minęli cztery mosty - Queensboro, Williamsburg, Manhattan i Brooklyn, wieżowce przy Wall Street, a potem pomknęli nad wzburzonymi, szarymi wodami Upper New York Bay.

Kiedy lecieli na południe wzdłuż brzegów Staten Island, Karl-Heinz spoglądał w dół.

Widział wzniesione wśród drzew niskie budynki mieszkalne, okazałe wiktoriańskie domy, osiedla domków jednorodzinnych. Było to typowe przedmieście metropolii, urzeczywistnienie amerykańskiego marzenia tuż pod bokiem Manhattanu.

Wszystko to stanowiło niezwyklej kontrast. Za wodą drapacze chmur - tutaj całkiem inny świat.

Regularna szachownica ośnieżonych trawników, kręte podjazdy wśród szeregów domków: parterowych, piętrowych i w stylu kolonialnym. I ich mieszkańcy, którzy drwili z wyrafinowanej, siostrzanej dzielnicy molocha po drugiej stronie zatoki i dumni z tego, że należą do klasy średniej, wysoko dzierżyli swój prowincjonalizm jak tarczę, regularnie czyniąc próby odłączenia się od miasta Nowy Jork.

Potem pojawiła się znajoma, przemysłowa strefa New Jersey; Perth Amboy i Metuchen, stocznie, rafinerie, magazyny ropy, a w końcu rzeka Raritan, gdzie znów były przedmieścia, które wreszcie ustąpiły miejsca prawdziwej wsi: lasom, gospodarstwom rolnym, łagodnym wzgórzom...

Helikopter z rykiem przeleciał nad dachami budynków w posiadłości Becky y zawisł w powietrzu nad frontowym dziedzińcem przed domem w neoklasycznym stylu, a potem wylądował na podjeździe. Obracające się śmigło wzbilo w niebo tumany śniegu.

Otworzyły się drzwiczki w głównej kabinie i opuściły się schodki, po których zszedł Karl-Heinz z walizką w rękę. Z przyzwyczajenia pobiegł, pochylony, póki nie znalazł się poza zasięgiem śmigła, tam, gdzie czekał już agent Secret Service w ciemnych okularach lotniczych.

Mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, a potem podniósł rękę i wymamrotał coś, niczym Dick Tracy, do mankietu, drugą ręką osłaniając ucho. Dopiero później książę dostrzegł malutkie słuchawki.

- Jest pan oczekiwany. - Ochroniarz musiał krzyzczeć, żeby go słyszano. - Proszę za mną... - Wskazał na dom.

Karl-Heinz skinął głową i poszedł za nim, szczęśliwy, że może się odwrócić plecami do wciskających się wszędzie płatków śniegu. Pilot wciągnął schodki, zatrzasnął drzwi i wystartował, unosząc się pionowo w górę niczym jakiś potężny, metaliczny owad, wzywany przez purpurowiejące niebo. Ryk silnika stawał się coraz cichszy, aż zanikł zupełnie w oddali.

Imponujące drzwi frontowe otworzyły się od środka przed nadchodzącymi.

- Książę Karl-Heinz? - spytał drugi agent Secret Service.

Gość skinął głową, a ochroniarz usunął się, by zrobić mu przejście. Znaleźli się w owalnym holu z pilastrami i wielkimi schodami.

- Proszę mi wybaczyć, ale to zwykła formalność. - Agent zaczął, aż Karl-Heinz postawił walizkę i szybko, fachowo sprawdził jej zawartość.

- *Mon Dieu!* - rozległ się z góry donośny głos pani domu. - Naprawdę - powiedziała rozbawiona - nie sądzę, by to było potrzebne.

Trzej mężczyźni unieśli wzrok.

Becky, w czarnym golfie, z jedną ręką w kieszeni luźnych, szerokich spodni w stylu lat trzydziestych, a drugą na hebanowej poręczy, schodziła po schodach. Wyglądała nie mniej olśniewająco niż Marlena Dietrich czy sama Greta Garbo.

Kiedy znalazła się obok Karla-Heinza, położyła mu dłonie na ramionach, wspięła się na palce i cmoknęła go w usta.

- *Cher ami.* Musisz wybaczyć moim psom łańcuchowym ich nadgorliwość! Wiesz, że mają dobre intencje.

Cofnęła się, kiedy lokaj odbierał od gościa kaszmirowy płaszcz i jedwabny szalik. Na jej znak obaj agenci Secret Service zniknęli.

- Są niesamowici - ciągnęła diuszesa. - Jak ich szkoła! Cóż za lojalność! Uwierzysz, że bez wahania rzuciliby się na linię strzału?

Przyjrzała się księciu swymi niewiarygodnie fiołkowymi oczami.

- Myślę, moja droga Becky, że wszyscy bez wahania byśmy to zrobili, gdyby chodziło o ratowanie twojego życia.

- Oczywiście żartujesz. - Ale uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona. - *D'accord.* Zostaw walizkę tutaj, ktoś się nią zajmie, i chodźmy do salonu. Będziesz miał jeszcze mnóstwo czasu, by się odświeżyć.

Wsunęła Karlowi-Heinzowi rękę pod ramię i zaprowadziła go do olbrzymiego pokoju, gdzie na obu marmurowych kominkach płonęły drwa.

Pomimo kryształowych żyrandoli, pomalowany na żółto pokój był przytulny, przesiąknięty dymem cygar, zawieszony obrazami, z półkami pełnymi książek i grubymi dywanami na podłodze. Jedną ścianę tworzyły okna z purpurowymi, aksamitnymi storami. Za nimi rozciągał się kołtowo-niebieski mrok zapadającej nocy.

Ale tutaj, w środku, w miękkim świetle lamp, było ciepło i zacisznie.

Wszędzie stały wielkie kanapy, obite skórą i zarzucone wyszywanymi poduszkami. Głębokie, wygodne fotele w różnych stylach zachęcały do plotek, podobnie jak okrągłe stoliki ze stosami książek zachęcały do lektury i rozmyślań. W olbrzymich, pokrytych turkusową emalią misach z dynastii Sung i bursztynowych naczyniach z epoki Tang pyszniły się pęki rzadkich orchidei; ich łodygi ugiwały się pod ciężarem brązowo nakrapianych kwiatów.

Lord Rosenkrantz, w okularach na czubku nosa, siedział w fotelu z brązowej skóry. Na kolanach miał złożoną gazetę, a pod ręką kieliszek z czerwonym winem, połyskujący jak rubiny. Dym drogiego cygara unosił się nad, prostokątną, kryształową popielniczką.

- Ach! - zagrział. - Gość honorowy! - I z uśmiechem zacytował: - „Plotki, prawdziwe lub fałszywe, są niezbędne, by tworzyć państwa...

- ...i niszczyć królów”? - dokończył za niego książkę, z rozbawieniem unosząc brew.

- Miejmy nadzieję, że nie, mój drogi chłopcze!

Od różowej jak u cherubina twarzy lorda Rosenkrantza bił blask niczym z obrazów Bouchera - trudno powiedzieć, czy spowodowała to stojąca obok lampa, czy też wypite wino.

Becky machnęła ręką.

- Nie słuchaj jego głupot, *chéri*. Cokolwiek zapowiada ten weekend, jedno jest pewne: przynajmniej nie będzie nudno. - Posłała Karlowi-Heinzowi porozumiewawczy uśmiech. - *N'est-ce pas?*

Okręciwszy się szybko, aż załopotaly jej szerokie spodnie, zrzuciła z nóg pantofle ze złotymi sprzączkami, usiadła na najbliższej kanapie i podwinęła nogi. Władczym ruchem wskazała księciu miejsce obok siebie.

- *Alors*. Usiądź tutaj, Heinzie, ze mną. Czy masz jakieś *préférence*? Kawa? Herbata? A może coś mocniejszego?

Uśmiechnął się, lekko zdziwiony.

- Dlaczego? Myślisz, że będzie mi to potrzebne?

- Posłuchaj mojej rady, mój drogi chłopcze - zawołał lord Rosenkrantz, szeleszcząc gazetą - i optuj za wzmocnieniem! Pamiętaj: „Można za dużo wypić, ale nigdy dość picia”! Jeśli chodzi o ten weekend, podejrzewam, że raczej to drugie niż pierwsze, okaże się prawdziwe.

Goldsmithowie zajmowali w Cedar Hill „najlepszy pokój gościnny” - jak to określiła Nina Fairey - obszerny, wychodzący na północ apartament na pierwszym piętrze. Jednak chociaż obszerny i stylowo urządzone, wcale nie był luksusowy. A nawet zdaniem Diny, która wykrzywiła usta w grymasie niechęci, kiedy pani Pruitt, zapaliwszy ogień na kominku, wychodziła energicznie z pokoju, a jej obcasy klekotały ostro po gołych deskach podłogi - był zdecydowanie antyluksusowy: purytański, pruderyjny i penitencjarny, w najlepszym, autentycznie kolonialnym stylu.

Kuląc się z zimna w swych eleganckich norkach, pani Goldsmith rozglądała się wokoło z rosnącą desperacją. Wypatrywała luksusów, a oczy jej wszędzie napotykały wyłącznie chłodną, nobliwą stateczność.

Owa stateczność aż biła od cnotliwego, zasłanego patchworkową kapą łóżka z czterema słupkami bez zasłon. Emanowała z praktycznej i surowej dębowej skrzyni o trzech panelach, znajdującej się w jego nogach, jak również ze sztywnej, surowej, wolno stojącej szafy i zabudowanego po obu stronach biurka, które dzięki prostemu, oprawnemu w mahoń lustru pełniło również rolę toaletki. A nawet z dwóch typowo purytańskich foteli, ustawionych po obu stronach komody.

Jedyne ustępstwo na rzecz dekoracji wewnątrz znajdowało się na ścianie, w postaci pary oschłych, naiwnych portretów - męża i żony; oboje promieniowali milczącą dezaprobatą. Ona miała na głowie sztywny, koronkowy czepeczek i trzymała książkę do nabożeństwa, a on ubrany był chyba w strój duchownego.

Dina odwróciła się plecami do cnotliwych małżonków, podeszła blisko do ognia i stała z wyciągniętymi rękami, starając się wchłonąć jak

najwięcej ciepła i czekając - oby nie daremnie! - modliła się w duchu - aż zadziała ogrzewanie, chociaż nie ośmieliła się kusić losu i wyruszyć na poszukiwanie kaloryferów albo krutek nawiewu. Ale skoro dotychczas nic takiego nie wpadło jej w oko, obawiała się, że...

Odrzuciła tę myśl jako absurdalną. , Chyba Faireyowie nie byli aż tak radykalnymi miłośnikami stylu kolonialnego, żeby namiętność do autentyzmu nie pozwoliła im zainstalować w domu centralnego ogrzewania!

Pan Pruitt przytaszczył do pokoju i postawił na podłodze ostatnie dwie z sześciu waliz.

- To by było na tyle - powiedział i wyszedł, zanim Dina zdołała zebrać się na odwagę i zapytać o ogrzewanie.

Zziębnięta skrzyżowała ramiona, wsunęła dłonie w rękawy futrzanych rękawów i zerknęła do przyległego saloniku. Robert, który miał gdzieś wystrój wewnątrz i komfort, dopóki tylko widział dach nad głową, czuł się jak u siebie w domu. Siedział na sztywnej, garbatej sofie, w ręce trzymał telefon komórkowy, przed sobą miał stolik z opuszczanymi, półokrągłymi kłapami, zasypany jak zwykle przeróżnymi śmieciami - popielniczka, cygara, pióra, kalkulator, laptop oraz pliki raportów i wydruków. Nie ulegało wątpliwości, że robi pieniądze w jakiejś odległej strefie czasowej, gdzie właśnie się rozpoczynał dzień pracy.

Pani Goldsmith zacisnęła wargi z irytacji. To oczywiste, że od niego nie należało oczekiwać współczucia. I raczej się go nie spodziewała. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie potrafiła zrozumieć, jak jej mąż potrafi iść przez życie, niepomny na nic, poza interesami i seksem. A i to nie zawsze w tej kolejności.

Poczula nagle do niego wstręt. Zaczęła spacerować po sypialni. Musi znaleźć sobie coś do roboty, żeby nie myśleć o chłodziu. Jeżeli nie, to dostanie szału.

Ale co? Popatrzyła nieżyczliwie na własne walizy. Cóż, szukała wprawdzie czegoś do roboty, ale nie obejmowało to rozpakowywania bagażu, zwłaszcza jeżeli wziąć pod uwagę, że zabrała ze sobą sześć razy tyle rzeczy, ile mogła pomieścić ta nudna, pojedyncza szafa.

- Co ja takiego zrobiłam, że tak mnie pokarano? - zawodziła. - Och, dlaczego nie mogę znaleźć się z powrotem w domu, a przynajmniej gdzieś, gdzie jest miło i ciepło?

Ale oczywiście sama wiedziała, dlaczego. Jakżeby mogła zapomnieć, że skwapliwie skorzystała z okazji, by zabawić się w swatkę. No i wylądowała tutaj, i już zaczynała tego żałować!

Powiadają, że człowiek uczy się na własnej skórze, myślała. To będzie dla mnie dobra nauka. Od tej chwili, zanim się na coś zgodzę, dowiem się najpierw dokładnie, w co się pakuję!

Doszło do niej, że ktoś stuka do drzwi.

A teraz co znowu? - miała ochotę wrzasnąć. Dostyc już jestem nie-szczęśliwa! Nie możecie mnie zostawić w spokoju?

Stukanie nie ustawało. Dina szurnęła krzesłem.

- O co chodzi? - zawołała.

Drzwi uchyliły się na tyle, że zza ich skrzydła wyjrzała całkiem niestosownie wesoła twarz.

- Rozgościłaś się? - Zapytała promiennie jej przyjaciółka.

I nagle skrzydło drzwi gwałtownie odskoczyło. Dwa wielkie psiska, dziko wymachując ogonami, przepchnęły się obok Zandry, ruszyły prosto na Dinę i niemal zwały ją z nóg, kiedy skoczyły na nią i zachwycone zaczęły ją lizać.

- Ratunku! Ratunku! Fuj! - Zakryła twarz rękami, żeby uniknąć zaślinionych jęzorów.

- Skarbie! - zawołała rozpaczliwie. - Zabierz ode mnie te potwory! Pogryzą mnie!

- Dajże spokój! - przeciągając samogłoski odpowiedziała uspokajająco Zandra. - Czy ty niczego nie wiesz? Przecież to są legawce. Absolutnie cudowne! Chociaż nie sprawdzają się jako stróże... pomogłyby włamywaczowi trzymać latarkę.

- Wszystko mi jedno! Śmierdzą i są obrzydliwe! Nienawidzę zwierząt! Ja...

- Nonsens. Nie spotkałam jeszcze człowieka, który by nienawidził legawców. Są najwspanialsze na świecie. No, popatrz tylko, one cię uwielbiają, kochanie.

Jak gdyby chcąc tego dowieść, pies objął przednimi łapami nogi Diny w nader niedwuznacznych zamiarach...

- Zandra! - wrzasnęła histerycznie pani Goldsmith. - Zrób coś! Ten potwór chce mnie zgwałcić!

- Ależ, kochanie, nie możesz mieć mu tego za złe. Popatrz tylko sama na siebie, wyglądasz jak jedno wielkie futerkowe stworzenie. To cię nauczy, żebyś nie ubierała się w nieszczęśne pomordowane noreczki!

- Zandra! Jeżeli w tej chwili nie zabierzesz ode mnie tych potworów, to ja... ja przysięgam, że zadzwonię do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami!

- Nie ma co tak się wściekać. Już je zabieram. Może mi to chwilę zająć.

Złapała oba psy za obroże i pociągnęła za sobą.

- George! - Wypróbowała asertywny ton. - Leżeć. Leżeć, Martha. Siad. Siad!

- Zandra? - Pani Goldsmith popatrzyła na nie zza skrzyżowanych rąk. - Czy ty naprawdę wołałaś... George? I Martha?

- Jak u Waszyngtonów. Tak. Wspaniałe są, prawda? Jakim cudem ty możesz ich nie lubić?

Bez najmniejszych trudności, pomyślała Dina. Teraz, kiedy psy już posłusznie siedziały, wałąc ogonami w pełną sęków sosnową podłogę, a ich ociekające śliną pyski sapały jak miechy, ostrożnie opuściła ręce.

- Och, nie! - załkała z rozpaczą.

- Kochanie, co znowu?

- Popatrz tylko na mnie! - Dina wskazała dłonią na futro. - Psia sierść... i... co to jest? Ślina! Całą mnie obśliniły! Ato moje najlepsze naturalne norki o czerwonym połysku od Maximiliana....

- Na litość boską, kochanie, przecież to nie koniec świata. Przestań się gorączkować!

- Gorączkować się? - Pani Goldsmith aż dygotała z wściekłości. - Czy powiedziałaś: gorączkować się? Tutaj? Wychłodziłam już niemal na śmierć. Jak ci się zdaje, siedziałam w saunie, czy co? Smażyłam się z gorąca?

- No dobrze, jest tu trochę chłodno, no i co z tego? Nie znaczy to, że nie możesz się umyć i przebrać.

- Umyć się? - Głos Diny ociekał sarkazmem. - Czyżbyś chciała powiedzieć, że w tym domu jest bieżąca woda? Gorąca, bieżąca woda?

- Jak już o tym mowa, to jest.

- Za nic na świecie! Nie mam zamiaru rozbierać się na tym zimnie. Czy ty masz blade pojęcie, ile tu musi być stopni?

- Przypuszczam, że więcej niż w większości wspaniałych rezydencji w Anglii. Tak czy owak, jak myślisz, dlaczego radziłam ci, żebyś sobie kupiła parę swetrów?

- Tam. - Dina pokazała palcem na szereg vuittonów. - Darlene zapakowała je do którejś z walizek.

- Kochanie, to ty nawet... nie zaczęłaś się jeszcze rozpakowywać?

- A jak? Przecież tu nie ma ani jednej porządnej szafy.

Zandra pospiesznie rozejrzała się po pokoju.

- Masz tę skrzynię... - Spojrzała na mebel w nogach łóżka. - ... i toaletkę... a to niewątpliwie jest szafa...

- Wiem - stwierdziła ponuro królowa Manhattanu. - Po prostu nie mogę się do tego zmusić!

- Powiem ci coś, moja droga. - Zandra chwyciła najbliższego vuittona, wrzuciła go bez wysiłku na łóżko i pstryknęła mosiężnymi zamkami. - Ty zajmij się doprowadzeniem garderoby do porządku, a ja cię rozpakuję. Jak ci się podoba takie załatwienie sprawy?

Dina popatrzyła na nią zaczerwienionymi oczami.

- Skarbie? - szepnęła głosem ochryplym z emocji. - Naprawdę byś to zrobiła? Dla mnie?

- Zwłaszcza dla ciebie, chociaż taka z ciebie cholerna zrzęda!

- Złotko, jesteś cudowna! Cudowna, cudowna! - Po raz pierwszy od chwili kiedy noga jej postąpiła w tym pokoju, pani Goldsmith rozpromieniła się w uśmiechach. - Tak. Myślę, że mimo wszystko pójdę się oczyścić. Mmmm...

Postukała w wargi palcem o paznokciu w kolorze miętowej zieleni.

- Tylko najpierw muszę skorzystać z telefonu. - Zerknęła za łączący pokój łuk. - A Robert przyssał się do komórki.

- A ten czemu ci się nie podoba? - Zandra skinęła głową w kierunku starego, czarnego telefonu z tarczą, stojącego na jednej z szafek nocnych.

- Nie! - jęknęła Dina.

Przeraziła się na myśl, że przyjaciółka usłyszy rozmowę i wyciągnie z niej wnioski. A tego należało uniknąć. Zandra nie może nigdy się dowiedzieć, jaką intrygę uknułyśmy, ja i Becky, pomyślała pani Goldsmith. Jeżeliby się dowiedziała, miałyby powody, żeby się na nas wściec! Mogłoby to również poważnie nadwyrężyć ich przyjaźń, chociaż dotychczas nie wpadło jej to do głowy. Chociaż teraz trochę za późno, żeby się wahać. Powinam była wcześniej zastanowić się nad konsekwencjami.

- Idę na dół - oznajmiła. - Może znajdzie się jakiś telefon w kuchni. Niewykłuczone, że jest to najcieplejsze pomieszczenie w całym domu!

Z poczuciem winy wysunęła się z pokoju. Cieszyła się, że chociaż na króciutko zdołała się wymknąć z tej lodowni.

Nagle zaczęła żałować, że wdała się w całą tę intrygę.

* * *

Callas była we wspaniałej formie, Becky, oparłszy się wygodnie na kanapie, pochłonięta była rozmową z Karlem-Heinzem. Ze skórzanego klubowego fotela lord Rosenkrantz dyrygował orkiestrą La Scali za pomocą pilota do CD.

Do pokoju wszedł kamerdyner i skierował się do Becky, niosąc na srebrnej tacy bezprzewodowy telefon. Lord Rosenkrantz wykonał zamazysty gest swoją prowizoryczną pałeczką dyrygenta i uciszył Verdiego.

Służący odchrząknął.

- Przepraszam panią.

- Słucham, Mumford? - Jego pracodawczyni podniosła wzrok.

- Dzwoni pani Goldsmith. Czy zechce pani odebrać? Czy też nie życzy pani sobie?

- *Mais oui* - powiedziała Becky podnosząc słuchawkę z podawanej sobie tacy. - Odbiorę. *Merci*, Mumford. To wszystko. - Wysunęła powlekaną plastikiem antenę telefonu i musnęła palcem guzik *talk*. - *Allô?* Dina?

- Tak. - Głos jej był ostrożny. - *Alors*. Masz się dobrze, *j'espère bien?*

- Nie... całkiem.

Uśmiech Becky przybladł. Odpowiedź raczej nie była zachęcająca. Powściągliwość Diny również nie rokowała dobrze.

- *Chère amie*, chyba się czymś martwisz, co się stało? - zapytała z troską diuszesa.

Zapadło milczenie.

- *A. Je comprends*: nie możesz mówić swobodnie, bo ktoś mógłby usłyszeć.

- Tak.

- Rozumiem, że jesteś u Faireyów. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

Westchnienie Diny mówiło samo za siebie.

- Oj, jestem, jestem!

- *Alors*. Pobawmy się trochę w taką grę. Czy mogłabyś powiedzieć mi, używając jednego kluczowego słowa, z czym wiąże się problem? W ten sposób może uda mi się odgadnąć, co się stało.

Na chwilę zapadła cisza, podczas której Becky wręcz widziała, jak jej współniczka rzuca spojrzenia w obie strony za siebie. Potem szepnęła:

- Zimno!

- *Naturellement!* - roześmiała się lekko Becky. - *Chérie*, jest zima.

- Wewnątrz?

- Och. Chodzi ci o to, że zepsuł im się piec czy bojler?

- Gorzej.

- *Non!* - Na twarzy Becky pojawił się wyraz krańcowego zdumienia. - *Pas possible*. Chyba nie chcesz powiedzieć... oni wciąż jeszcze nie mają centralnego ogrzewania?

- Tak mi się zdaje. Chyba nie mają.
- *Incroyable! Ma pauvre petite*, nie miałam pojęcia, naprawdę. Widzę teraz, że coś musimy zrobić.

- Naprawdę byłabym wdzięczna.

- Nie ma o czym mówić. Mam mnóstwo wolnych pokoi, w których - zapewniam cię - jest ciepłutko. *Alors*, tak to rozegramy, że zostanieecie tutaj. Musimy jednakowoż zachować ostrożność.

Dina czekała.

- Czy rozpakowałaś już swój bagaż i takie tam?

- Dopiero zaczęłam. Zawsze mogę przerwać...

- *Non!* Jest sprawą nadrzędną, żeby ani Zandra, ani Faireyowie niczego się nie domyślali. Zachowuj się po prostu jak zwykle. Jak gdyby nie działo się nic nadzwyczajnego. Możesz to zrobić?

- Tak.

- A więc nie niepokój się o nic, *chère amie*. Ja się zajmę wszystkim.

Diuszesa wyłączyła telefon i odstawiła go.

- Czy dobrze słyszałem, czy też koniec końców słuch mnie zawodzi? - zapytał lord Rosenkrantz. - Zaprosiłaś ich tutaj?

- *Oui*.

- Moja droga, czy sądzisz, że to rozsądnie?

Becky wzruszyła ramionami.

- Może i nie. Ale jakież mam inny wybór? *Cher ami*, to biedactwo jest wyczerpane nerwowo i nie mogę jej winić! *À vrai dire!* W tej swojej obsesji na punkcie autentyczności tym razem Faireyowie posunęli się za daleko. Czyż nie dość męczą nas w latach dziewięćdziesiątych różne niedogodności? Czy musimy jeszcze doświadczać autentycznych *mais* osiemnastego wieku? *Quelle horreur!*

- Nie sądzisz chyba, że obchodzą się bez lekarstw czy antybiotyków, prawda? - zapytał Karl-Heinz.

- Tylko na wsi i tylko wtedy, kiedy Nina Fairey nie robi sobie kolejnego liftingu - zauważył figlarnie lord Rosenkrantz.

- *Cela suffit* - powiedziała Becky i wezwała kamerdynera.

Mumford pojawił się bezzwłocznie.

- Pani dzwoniła?

- Mumford, czy mógłbyś, proszę, dopilnować, żeby przygotowano dwa apartamenty gościnne?

- Oczywiście, proszę pani. Czy ma pani któreś konkretnie na myśli?

- Tak. Dla pary *Toile de Jouy*, jak sądzę. Są tam dwie sypialnie, salonik i dwie łazienki.

-

Idealny dla Goldsmithów, pomyślała, ponieważ jest najdalej od mego pokoju.

- A jeśli chodzi o pojedynczy - podjęła decyzję - niech to będzie apartament w gałązki.

Ten z kolei będzie dobry dla Zandry, ponieważ znajduje się blisko pokoi Karla-Heinza, ale nie na tyle blisko, żeby to rzucało się w oczy. Poza tym odpowiedni dla niej, bo najbardziej angielski ze wszystkich pokoi, przez to wspaniałe łoże z baldachimem, wystrój w stylu Jerzego II, brytyjskie obrazy i perkalowe pokrycia w gałązki.

- Zajmę się tym natychmiast, proszę pani - powiedział Mumford.

* * *

Szofer Diny dawno już wrócił samochodem do miasta, nie mieli więc wyboru - musieli na tę krótką przejażdżkę do Becky V włądować się wszyscy do kombi Faireyów.

Strojami krańcowo różnili się od siebie.

Sheldon był w klasycznym, jednorzędowym, niebieskim blezerze z mosiężnymi guzikami, jasnobrązowych flanelowych spodniach i czarnym, wełnianym golfie. Nina Fairey włożyła czarny żakiet ze stójką, spódnicę w szkocką kratę, czarne pończochy i czarne buty. Żakiet, wcięty w pasie, zapinał się na ozdobne kołki, a spódnica spięta była na przodzie dużą, ozdobną agrafą. Robert miał na sobie jeden z tysiąca swoich identycznie uszytych garniturów, tym razem ciemnopopielaty w prążki. Zandra była w luźnych, czarnych tweedowych spodniach, swetrze Fair Isle w poziome zygzyki białe, czarne i szare i krótkich, czarnych botkach. Chociaż nie założyła żadnej biżuterii, wyglądała wspaniale.

Dina natomiast wystąpiła w rapsodii błękitów i szafirów. Prawdziwe miała na szyi, nadgarstkach i w uszach; fałszywe na szafirowej tiulowej tunice, wyłożonej na szafirowe, welwetowe, elastyczne spodnie. Na to narzuciła farbowaną, strzyżoną pelerynkę z bobrów, a na nogi założyła niebieskie zamszowe buty.

Przejażdżka zajęła całe osiemnaście minut; noc była czarna jak smoła - takie potrafią być tylko bezksiężycowe noce na wsi.

Ale u Becky V światło płonęło we wszystkich oknach; Zandra miała wrażenie, jakby podjeżdżali do świątecznie oświetlonego statku wycieczkowego, a otaczający ich pagórkowaty teren był pofalowanym morzem.

Gdy tylko Sheldon podjechał pod rezydencję, Dina wyskoczyła z samochodu i pędem wbiegła na schody prowadzące do frontowego

wejścia. Drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarła i w mrok buchnęło jaskrawożółte światło, Brahms i daleki śmiech.

Pani Goldsmith odwróciła się, żeby popatrzeć na samochód. Poma-chała niecierpliwie ręką, nakłaniając współpasażerów do pośpiechu i właśnie miała przekroczyć próg....

...kiedy zmaterializował się przed nią ochroniarz i zablokował przejście.

- Och! - Cofnęła się o krok z dłonią na piersi i usłyszała, jak jakiś męski głos zagrzmiął:

- Na litość boską, człowieku! Wpuśćże tę nieszczęsną kobietę do środka, zanim zamarznie!

W środku powitał ją zaraz lord Rosenkrantz.

- Pamiętaj! - Pogroził ochroniarzowi palcem. - Bez tych wszystkich bzdur z przeszukiwaniem.

Chociaż Dina nie zgłaszała żadnych zastrzeżeń - za bardzo była zaintrygowana, zbyt zajęta rozglądaniem się na wszystkie strony po owalnym foyer z pilastrami i schodami, wzdłuż których jeden przy drugim wisiały portrety, a także podziwianiem masywnego, zmatowiałego, holenderskiego kandelabru, który zwisał wprost nad jej głową.

- Czy mogę zabrać pani okrycie? - Podszedł do niej kamerdyner.

Dina zrobiła mu tę grzeczność, zakręciwszy pelerynką. Służący wziął pelerynkę, złożył ją starannie i podał drobniutkiej służącej.

Nina, Zandra, Sheldon i Robert weszli już do środka. Kamerdyner uwalniał ich po kolei od okryć, które dołączyły do rosnącego stosu na rękach służącej. Dziewczyna oddaliła się pospiesznie, żeby je powiesić.

- Dziękuję, Mumford - powiedział lord Rosenkrantz. - Jeżeli pozwolisz, sam zaprowadzę gości do salonu.

- Bardzo dobrze, milordzie.

Lord Rosenkrantz szeroko rozłożył ręce, zaganiając ich we właściwym kierunku salonu niczym życzliwy nauczyciel.

Pani Goldsmith weszła do środka pierwsza. Patrzyła na wszystko równocześnie i z zapartym tchem przeprowadzała inwentaryzację. Świece, muzyka, rozpalony na obu paleniskach ogień, słowem kwintesencja wytwornego, wiejskiego życia. Tak idealnie skomponowana była ta scena, tak kameralna, tak komfortowa, że Dinie zdawało się, iż zabłądziła między teatralne dekoracje, wśród których siedzieli w bezruchu aktorzy, czekając aż podniesie się kurtyna. Becky z podwiniętymi nogami przycupnęła bokiem na kanapie, książkę Karl-Heinz stał przy marmurowym kominku, z łokciem na gzymsie, z drinkiem w ręce... i kurtyna musiała pójść w górę, bo *tableau* nagle ożyło.

Karl-Heinz, spojrzawszy na drugą stronę pokoju, porozumiał się wzrokiem z Diną i powiedział coś do Becky. Ta zaś odwróciła się z wyrazem pełnego zachwytu zdumienia, szybko wyprostowała się i podniosła z kanapy. Wciąż jeszcze bosa, ubrana swobodnie w spodnie á la Garbo i golf, pospieszyła przez pokój z wyciągniętymi na powitanie ramionami.

- *Cherie!*

Obie z Diną niemal się dotknęły, ale nie całkiem; emoknęły sobie nawzajem wargami przy policzkach.

- Tak się cieszę, że się wam udało przyjechać! - powiedziała Becky promiennie. - *Ca va?*

Ale zanim pani Goldsmith zdążyła odpowiedzieć, Becky spojrzła za nią i oczy zrobiły jej okrągłe jak talerzyki, niby to z zaskoczenia.

- Zandra! - wykrzyknęła. - No nie! To ty też jesteś u Faireyów? *Quelle surprise!* Ale to cudownie!

I pociągnęła dziewczynę w głąb pokoju, gdzie ta nagle znalazła się twarzą w twarz...

... z nim!

Dobry Boże! Jej kuzyn, książe Karl-Heinz von und zu Engelwiesen patrzył na nią z takim natężeniem, że gorący rumieniec oblał ją od czubków palców u nóg po samo czoło.

- Zandra! - powiedział cicho, potem wyciągnął ręce i serdecznie ją przytulił.

Było to bardzo cnotliwe powitanie, niemniej tak naładowane emocjami, że poczuła mrowienie w sutkach, które nagle zaczęły twardnieć. Pospieszenie się odsunęła i głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Heinzie - szepnęła, ledwie ośmielając się odezwać.

Jej kuzyn się uśmiechnął.

- Jakoś ciągle wpadamy na siebie.

- Tak, rzeczywiście na to wygląda. Ojej, Heinzie, nie miałam pojęcia, że tu będziesz. - Na w pół odwróciła się do Diny, wyraźnie po to, żeby oderwać od niego oczy. - A ty, kochanie?

Ale ta właśnie uśmiechała się do Karla-Heinza.

- Jego wysokość książe - zamruczała jak kotka.

Karl-Heinz z wysiłkiem oderwał spojrzenie od Zandry, uniósł dłoń pięknej damy, pochylił się nad nią i złożył pocałunek.

- Pani Goldsmith.

- Czemu tak oficjalnie? Proszę mi mówić „Dina”. Wszyscy tak do mnie mówią.

- Pod warunkiem - odrzekł - iż pani przestanie mówić do mnie „jego wysokość”. Nie ma pani pojęcia, jak bardzo może się to stać nużące.

Poza tym słowo „Heinzie” dużo łatwiej przechodzi człowiekowi przez usta.

Dina niemalże osunęła się zemdlna z zachwytu.

- Pójdę przyciszyć muzykę - odezwał się lord Rosenkrantz.

Reszta gości weszła do środka i rozmowa stała się ożywiona.

- Sheldon - powiedziała Nina Fairey - popatrz! To Stubbs. Tam... tam...

- Przykro mi, kochanie, ale ten malarz nazywał się Marshall. Wspañale malował konie.

- Tak, to rzeczywiście świetnie zrobione.

- Mumford? *Alors*, może byś dowiedział się, co kto będzie pił? *Oui!*

- Bardzo dobrze, proszę pani.

- Można tu zapalić cygaro? - zapytał Robert już podczas wykonywania tej czynności.

- Złotko, jak tu jest miło i ciepło - powiedziała Dina z zadowoleniem, zostawiła Zandrę i Karla-Heinza, żeby nawiązało się między nimi to, co się nawiązać miało i ruszyła w rejony o jeszcze wyższej temperaturze, w okolicę najbliższego kominka, przy okazji sprawdzając, jak wygląda w wymyślnym lustrze w stylu regencji, wiszącym nad jego gzymsem.

- No - powiedział lord Rosenkrantz, kiedy grzmiący Brahms zmienił się w przytłumione tło muzyczne. - Tak chyba lepiej, co?

- Bourbon, czysty. Im starszy tym lepszy. Podwójny - odezwał się Robert chrapliwym głosem.

- Dla mnie białe wino - zadysponowała Nina - i szkocką z lodem dla mojego męża.

- *Alors*. A, Mumford, nie zapomnij o szampanie. Mamy na lodzie Veuve Cliquot, *n'est ce pas?*

- Oczywiście, proszę pani.

- Hmm. Cóż za przepiękna terakota - zachwycił się Sheldon i pochylił się, żeby podziwiać artystycznie ułożoną na stoliku mozaikę. - To chyba wizerunek syryjsko-hetyckiego bóstwa?

- Mnie to wygląda na Marty'ego Feldmana, jakby się kto pytał - parsknął głośnym śmiechem Robert, wydmuchując gęsty kłąb dymu.

- Albo Estelle Winwood - dodała Nina Fairey.

- Co? - Robert popatrzył na nią i zamrugał. - A to kto?

- Taka brytyjska aktorka - wyjaśnił lord Rosenkrantz. - Głównie sceniczna, ale zrobiła też kilka pamiętnych filmów. Charakterystyczna, wie pan.

- Taaaa? Jakaś przystojna babka?

- Pod warunkiem, że ma się skłonności do Marty'ego Feldmana - zachichotał lord Rosenkrantz, który pod względem intelektualnym potrafił zapędzić w kozi róg niemal każdego rozmówcę.

Rozległ się wybuch śmiechu.

Przez cały ten czas Zandra i Karl-Heinz milczeli - jedyne istoty we własnym, odizolowanym, małym świecie.

A niech to! - przeklinała siebie w myślach Zandra. Co się ze mną dzieje? Czemu zachowuję się jak nastolatka na pierwszej randce?

- *Alors*, oto Mumford z drinkami. Może byśmy usiedli i się rozgościli? - zaproponowała Becky, idąc w kierunku miejsca, gdzie wcześniej siedziała sama przed kominkiem. - Jacinta wkrótce przyniesie *hors d'oeuvres*.

Wszyscy udali się za nią... to jest wszyscy, z wyjątkiem Zandry i Karla-Heinza, którzy chyba nie usłyszeli.

- *Allons!* - powiedziała Becky, dotykając ręki każdego z nich, aż oboje wzdrygnęli się w poczuciu winy.

- *Mes chères*, mamy zamiar usiąść - Pani domu uśmiechnęła się. - Dołączycie do nas, *j'espère bien?* Chodźcie...

I biorąc każde z nich pod rękę poprowadziła ich w stronę kominka.

* * *

Sala jadalna migotała. Na kominku płonęły kłody drewna, świece jarzyły się w lśniących srebrnych kandelabrach. Ożywiając wioski, pagody i skaliste wysepki na osiemnastowiecznej chińskiej tapecie, nasycaly bogatą poświatą mahoniowy przeszklony kredens i odbijały się w srebrach Paula Revere'a.

Długi chippendale'owski stół przypominał ciemne, lustrzane jezioro, zachwycał oczy chińską porcelaną, kryształami i srebrnymi sztućcami, wytwornymi serwetkami i czarkami pachnących róż z ciepłarni. W kryształowych karafkach i pucharach żarzyła się czerwona jak krew rioja.

Becky była w swoim żywiole. Miejsce u szczytu stołu wydawało się wprost dla niej stworzone. Kierowała stamtąd wszystkim samą swoją milczącą, królewską obecnością i robiła to, co umiała robić najlepiej - aranżowała obsługę i podtrzymywała rozmowy.

- To wino - podniosła kieliszek pełen Duque de la Vila 1988 - dojrzewa wyłącznie w beczkach z francuskiej dębiny. Właśnie ów gatunek drewna nadaje mu przytłumiony, podobny do bordeaux posmak.

- *Chéri...* - poprosiła Roberta - opowiedz nam koniecznie, jak udało ci się stworzyć te tysiące i tysiące supersklepów z jednej jedynej *petit* witryny w... gdzie to było?... w St. Louis.

- Mamy wśród nas przewspaniałą *equestrienne*. Ależ *chérie*, nie bądź taka *timide*.. - Tu uśmiechnęła się do Niny Fairey - wprost nie możemy doczekać się, żebyś nam opowiedziała, jak zostałam kobietą-dzokejem,

W końcu zaś stwierdziła z ubolewaniem:

- Szkoda, że w tak niewielkim stopniu wykorzystujemy nasze tutejsze pomieszczenia. Naprawdę, to niemal zbrodnia. Pomyśleć tylko o tych koniach i całym wnętrzu... basen, korty tenisowe, maneż... I dom, przecież to piąte koło u wozu! Tłuczemy się po nim jak ziarnka grochu. Czasami aż mnie kusi, żeby go sprzedać.

- Sprzedać! - wykrzyknęła Nina Fairey. - Ależ on jest taki piękny!

- *Peut-être oui*. - Jego właścicielka uśmiechnęła się z udaną skromnością. - Oczywiście nie zrobię tego, ponieważ już się do wszystkiego tutaj przywiązałam. Każdy kąt pełen jest wspomnień, ale mimo to niekiedy robi się tu pusto.

- Ależ złotko! Zdawało mi się, że cenisz sobie własną prywatność - zwróciła jej uwagę Dina.

- *Naturellement*. Niekiedy poszukuję samotności, któż tego nie robi? Ale musicie pamiętać, że większość dorosłego życia spędziłam jako zamężna kobieta.

Nikt nie wiedział, co odpowiedzieć; rozmowa wyraźnie zmierzała w jakimś dziwnym kierunku.

- Przypuszczam, że wszystko byłoby inaczej, gdybym miała dzieci - dumiała na głos Becky. - *Oui*. Tego właśnie potrzeba w tym domu. Dzieci. Może wtedy ożyłby naprawdę.

Mumford, krążąc wokół stołu, dyskretnie napełniał kryształowe kieliszki winem.

- A wiecie, czego mi jeszcze brakuje? - W oczach wielkiej damy pojawił się nieobecny wyraz; uniosła do góry brodę, a światło świec zamigotało na jej profilu Nefretete, kiedy rozglądała się dookoła. - Tych staroświeckich zjazdów weekendowych - powiedziała. - Zandro, ty i Heinzie będziecie wiedzieli, o co mi chodzi.

- Oj, Becky. Ale, kochana, ostatni taki prawdziwy zjazd odbył się w Chatsworth wieki temu!

- *Oui, oui* - przytaknęła diuszesa. - Pamiętam, zaproszono nas, ale wtedy mój drogi, biedny Joaquín zmarł tak tragicznie....

Mumford nalał jej jeszcze trochę wina.

- *Merci*, Mumford.

Becky uniosła do góry kryształowy kielich i nagle oczy jej się rozszerzyły. Postawiła puchar z powrotem na stole.

- Wiem! - zawołała, jak gdyby dopiero w tej chwili wpadło jej to do głowy. Pochyliła się w podnieceniu do przodu. - *Chéries!* A może byście zostali tu wszyscy na weekend?

Dina zareagowała błyskawicznie.

- Tutaj? Masz na myśli... w tym domu, skarbie?

- *Oui.*

Faireyowie wymienili pełne nadziei spojrzenia, a Karl-Heinz zerknął spod oka na Zandrę, która wyglądała na nieco zaskoczoną. Pani domu po prostu promieniała.

- To będzie całkiem jak taki staroświecki zjazd! Czemu nie? Miejsca tutaj bez wątpienia nie zabraknie. Straciłam już rachubę, ile dokładnie jest pokoi. Tylko że... - Zagryzła wargę.

- Złotko! O co chodzi?

- *Mon Dieu!* W podnieceniu zupełnie zapomniałam o dobrych manierach. Nino, *chérie*, jakże to bezmyślne z mojej strony. Czy mi wybaczysz? Nie miałam zamiaru podkraść ci gości...

- Wszelkie przeprosiny są całkowicie zbędne - zapewniła ją pani Fairey.

- Absolutnie! - dodał Sheldon.

- *Alors.* Nie muszę chyba mówić, że zaproszenie obejmuje również i was dwoje.

- Jakież to zabawne. Taki spontaniczny, weekendowy zjazd!

- Brzmi cudownie! - Dina aż klasnęła w ręce.

- Ale co z naszymi rzeczami? - zapytała Zandra i w nagrodę obdarzona została lekkim kopniakiem i piorunującym spojrzeniem pani Goldsmith.

- *Rien de plus facile.* - Diuszesa skwitowała ten problem machnięciem ręki. - Mumford i ktoś jeszcze pojedzie do was, spakuje wszystko i przywiezie tutaj. No więc jak, *mes amies?*

Rozejrzała się wokół stołu.

Robert zmarszczył czoło, ale nikt głośno nie wyraził sprzeciwu. Lord Rosenkrantz podchwycił spojrzenie Becky i żartobliwie uniósł swój kieliszek, gratulując jej.

- *Alors* - oznajmiła pani domu. - Ustalone. Mamy weekendowy zjazd! - Z kieliszkiem w dłoni wzniosła toast: - Za zdrowie naszych przyjaciół, starych i nowych!

Puchary uniosły się w górę i wszyscy powtórzyli chórem:

- Starych i nowych.

- A jedni i drudzy są cenni - dodał lord Rosenkrantz z lekkim uśmiechem. - Żeby zacytować słowa lorda Lytteltona: „Kobiety, jak książęta, niewiele znajdują przyjaciół”.

- A czy to nie Pindar powiedział - odparowała Becky, której z całą pewnością nie można było zarzucić intelektualnej ociężałości - że, „Często najmądrzej dla człowieka jest zachować milczenie”?

- *Touché*, moja droga - uśmiechnął się lord Rosenkrantz - *touché*.

Nie chodziło mu, jak wiedziała, o fragment, który zacytowała głośno, ale raczej o tę część, którą przemilczała:

„Nie każda prawda zyskuje na ukazaniu swej twarzy.”

36.

Wczesnym popołudniem następnego dnia Becky przyjęła ich, leżąc na wykładanym poduszkami wiklinowym szezlongu w pełnym światła ogrodzie zimowym, gdzie bujnie rosły w donicach drzewa i liany.

Ta dobudówka na tyłach rezydencji miała trzy szklane ściany wzmocnione delikatną kratą z kutego żelaza, a w narożach każdej ośmiobocznej szyby z przejrzystego szkła osadzony był kaboszon z niebieskiego, rźniętego kryształu czeskiego w kształcie rombu. Oślepiające światło słoneczne odbijające się od białego śniegu na zewnątrz powodowało, że niebieskie wstawki jarzyły się jak szafiry.

Lord Rosenkrantz zajmował miejsce obok wielkiej damy. Pomiędzy nimi stał bejcowany na heban stolik z bambusowymi nóżkami, wypełniony akcesoriami próżnujących bogaczy: srebrną zastawą do kawy i herbaty, szampanem w wiaderku, starymi kryształami i haftowanymi serwetkami stołowymi.

Dina siedziała na szerokim, wykładanym poduszkami wiklinowym fotelu, który został specjalnie ustawiony w ten sposób, żeby mogła obserwować zarówno wewnątrz pokoju, jak otaczający go teren.

Nina i Sheldon, wciąż jeszcze ubrani w tenisową biel i z ręcznikami na szyjach, wrócili właśnie z krytych kortów. Kipieli aż od nadmiaru energii, popijali San Pellegrino i pytali o Roberta.

- Jest na górze, kochani - westchnęła pani Goldsmith przewracając oczami. - Robi pieniądze za pomocą swojego komputera.

Na wysokim fotelu, w rogu pokoju, otoczony z trzech stron przez wonne, obwieszane owocami drzewka pomarańczowe, siedział Karl-Heinz. Przerzucał karty bezcennej teki z akwarelami Redoute'a, którą znalazł w bibliotece Becky, ale nie mógł skupić uwagi na tych przepięknych malowidłach. Prawdę powiedziawszy, czuł się zbyt podekscytowany, żeby się skupić na czymkolwiek.

Przyczyna owych emocji znajdowała się po drugiej stronie pokoju, na wpół ukryta za Diną. Zandra trzymała w palcach za łożyskę olbrzymi, pomarańczowo-czarny tulipan papuzi, poruszając nim tak, że postrzępione, woskowe płatki lekko muskały jej twarz.

Widok dziewczyny, pozornie bliskiej, zapierał Heinzowi dech. Powiniennem być teraz tuż przy niej, myślał, i wykonywać następne posunięcia. Wprowadzać w czyn kolejne punkty planu, słowem wykorzystać cały mój czar.

Była tylko jedna mała przeszkoda. Wobec Zandry ów słynny czar go opuszczał.

Gott im Himmel! - pomyślał. Zachowuję się jak zadurzony w tajemnicy przed wszystkimi szczeniak! A przecież nie było żadnego powodu, żeby tak miał się czuć. Absolutnie żadnego!

Jestem bogaty, utytułowany i pewny siebie. Jestem mężczyzną, który podobno ma wszystko.

No właśnie.

Tylko dlaczego miał wrażenie, że gdzieś w środku trzepoczą mu się motyle, uderzając skrzydełkami w ścianki żołądka tak, jakby chciały się wyrwać na wolność?

* * *

Zandra była w zdecydowanie przekornym nastroju, chociaż rano poszła na długi spacer, a przed lunchem zmęczyła się porządnie, pływając w basenie. Problem w tym, że takie leżenie i brak zajęcia to było dla niej całkiem coś nowego. Od chwili kiedy przybyła do Wielkiego Jabłka, każdą chwilę miała wypełnioną szaleńczą aktywnością. Ani razu nie zdarzyło jej się odetchnąć na luzie.

A teraz miała możliwość, żeby to zrobić, no i co?

Jak na ironię, już jej brak było niekończących się miejskich fajerwerków, pełnego energii zamieszania, owego burzliwego cyrku na wielu arenach naraz, do którego już się przyzwyczaiła i który pokochała.

Oprócz tego cisza zdecydowanie wytrącała ją z równowagi.

Odwróciła głowę w bok i zauważyła wspaniałego lisa, który powoli przechodził obok nich za szklaną ścianą. Zatrzymał się, spojrzął na nią przez szybę, a potem odwrócił łeb i potruczał swoją drogą.

Zandra patrzyła na ślady łap, które zwierzak zostawił na śniegu. Muszę się wydostać z tego domu, zdecydowała.

Tak. Może przejażdżka konna poprawi jej samopoczucie. Wszystko będzie lepsze od takiego pławienia się w lenistwie!

* * *

Tymczasem lord Rosenkrantz opowiadał:

- Tak więc zapisała cały swój majątek fundacji, którą on założył, ale naprawdę to żadnej fundacji nie było, rozumiecie? To...

- Cśśśś - uciszyła go pani domu; miała swój własny system wczesnego ostrzegania, z którego nawet Pentagon mógłby być dumny. Siedziała wyprostowana, wyglądając przez ośmioboczne szybki.

Jest tak, jak myślała. Zandra, która wyszła z pokoju przed kilkoma minutami, ruszyła zdecydowanie przez podwórze w kierunku stajni.

Dziękując Bogu, że tak się dobrze złożyło, iż Faireyowie akurat poszli na górę wziąć prysznic i zmienić ubranie, Becky powiedziała:

- *Excusez moi, mon cher*. Obowiązek wzywa.

- Robota, robota, bez końca robota, co? - zauważył lord Rosenkrantz.

Nie zwracając na niego uwagi, podniosła się z szezlonga i podeszła do Karla-Heinza, który wciąż siedząc w fotelu, udawał, że pochłonięty jest eleganckim studium *Metrosyderos Lophanta*.

Becky pochyliła się i przyciszyła głos niemal do szeptu.

- Heinzie!

Gdy Karl-Heinz podniósł głowę, wskazała mu dłonią przeszkloną ścianę.

Podążył wzrokiem w tym kierunku i zobaczył Zandrę udającą się na przejażdżkę w pożyczonych rzeczach - boty, bryczesy i gruba, brązowa kurtka z pelerynką były żywym dowodem na to, że nie strój czyni damę.

- Nasza piękna panna wyszła z domu. *Alors*. Czas wziąć się do roboty.

Książę skinął głową, wiedząc, że już powinien wyruszyć w pościg. Co więc powodowało, że siedział bez ruchu, pełen wahania, jak przyrośnięty do krzesła? Skrupuły? Uczciwość? Zasady?

Diuszesa leciuteńko zmarszczyła brwi.

- Na co ty czekasz? *Mon Dieu!* To twoja szansa. Heinzie, jedź za nią! Rusz się!

Zabrała mu tekę z kolan, zamknęła ją i odłożyła. Potem wzięła go za ręce i zmusiła do wstania z fotela. Książę westchnął. Nikt nie mógłby zarzucić jego przyjaciółce braku stanowczości.

Ten, kto twierdził, że kobiety są słabszą płcią, najwyraźniej nigdy nie spotkał na swojej drodze Becky V!

- Już cię tu nie ma - rozkazała. - I bądź łaskaw nie zapominać, jaka jest stawka. Jeżeli te wszystkie miliardy dostaną się w ręce Sofii i Egberta...

- Erweina - poprawił ją automatycznie.

- Jak go zwał, tak go zwał - powiedziała, bynajmniej niestropiona pomyłką. - A teraz idź. I *bonne chance!* - Pchnęła go lekko i wysłała do akcji.

Kiedy Karl-Heinz doszedł do drzwi, odwrócił się i spojrzał za siebie.

Becky, z jedną ręką na fotelu, wpatrywała się weń wysoka i pewna siebie, a w jej milczącej sile było coś, co przypominało świeżo wykutą stal.

Z miną zbolalą i zrezygnowaną poszedł na górę przebrać się w strój jeździecki.

* * *

- Ona to wzięła tą kasztankę - powiedział Karlowi-Heinzowi chłopak stajenny. - Starczy, jak pan pojedzie po śladach. Ten Alidad to ją dogoni... - tu strzelił palcami - ...o tak.

Mówił o lśniącym, karym ogierze, którego trzymał za wodze. Alidad, wspaniały, wrażliwy arab, dosłownie tańczył w miejscu, parszkając gniewnie i rzucając głową.

Stajenny wpatrywał się w Karla-Heinza przymrużonymi oczami.

- Pewien pan jesteś, że sobie pan z nim poradzi?

- Całkiem pewien - uśmiechnął się Karl-Heinz. - Ale dziękuję za troskę.

- Pani V. nie lubi, jak się jej gościowi coś stanie.

- Przyjmuję pełną odpowiedzialność - zapewnił go Karl-Heinz, wziął wodze i przez chwilę głąskał konia po pysku, przemawiając do zwierzęcia spokojnym, uspokajającym tonem.

Może był to ten przypadek, kiedy jeden rasowy okaz poznał się na drugim. A może chodziło o telepatię, będącą cechą szczególną koni. Obojętne z jakiego powodu, Alidad natychmiast się uspokoił i dotknął pyskiem szyi Karla-Heinza, trzepocząc chrapami.

- Ależ pan masz podejście do koni - powiedział chłopak stajenny z podziwem. - To się widzi.

Księżę uśmiechnął się i lekko skoczył na siodło. Jedno szarpnięcie i już ich nie było.

Alidad czuł się w swoim żywiole. To nie był koń, który chętnie stał w stajni. Biegł po białych łąkach i bezdrożach długim, pełnym gracji krokiem. Płoty też mu nie przeszkadzały, przeskakiwał nad nimi znakomicie i zostawał mu jeszcze spory zapas miejsca.

Idealny dzień na przejażdżkę! Niebo było bezchmurne, powietrze mroźne ale bezwietrzne, słońce ciepłe. Zasypane śniegiem łąki i ogrodzone wybiegi zmierzały łagodnie w kierunku dalekich lasów.

Wjechawszy na szczyt pagórka, Karl-Heinz ostro ściągnął wodze. Gdzieś o dwieście metrów miał przed sobą dziewczynę, jadącą na kasztance statecznym klusem.

- Zandro! - zawołał Karl-Heinz, stając w strzemionach.

Usłyszawszy swoje imię, zawróciła klacz i zatrzymała się, osłaniając oczy dłonią. Karl-Heinz pomachał do niej, a potem szarpnął wodze, pochylił się nisko nad karkiem Alidada i ruszył z kopyta. Odległość między nim a Zandrą gwałtownie się zmniejszyła; podjechał do niej galopem i zatrzymał się, wyrzucając w górę fontannę śniegu. Zandra opuściła rękę.

- Ojej, Heinzie, cóż to za wspaniały koń!

Jej twarz poróżowiła z zimna, słońce zapalało czerwone płomyki w pomarańczowych włosach; dosłownie czuł emanującą od niej zdrową energię.

Gdyby to było możliwe, powiedziałbym że wygląda jeszcze piękniej niż zwykle, pomyślał.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli się do ciebie przyłączę? - zapytał.

- Och, oczywiście, że nie. To znaczy, czemu by mi miało przeszkadzać? - Uśmiechnęła się ołsniewająco. - Ale wybrałam się tylko na krótką przejażdżkę - uprzedziła go. - Jest coraz zimniej, jeszcze godzina albo dwie i zrobi się ciemno.

Potrząsnęła wozami i klacz posłusznie ruszyła statecznym krokiem. Karl-Heinz jechał obok, ściągając mocno wodze Alidada, który aż rwał się, żeby przyspieszyć.

- Od wieków już nie jeździłam - przyznała się Zandra. - To dlatego dali mi tę klaczkę. Najłagodniejsza w całej stajni, jak sądzę. Ale wiesz, jest trochę racji w tym, że z łagodnością też można przesadzić, czyż nie?

- Zdecydowanie tak - odrzekł Karl-Heinz z uśmiechem.

Jechali lekko pod górę przez dziewiczy śnieg. Panowała taka cisza, że słyszeli, jak pod ciężarem kopyt załamuje się cienka zaskorupiała warstwa z wierzchu. Przed nimi okryte płatami śniegu sosny gęstniały w ciemny, niebieskawo-czarny las.

Kiedy dojechali na skraj lasu, odwrócili się i spojrzeli na przebytą drogę.

- Och, Heinzie! - wykrzyknęła Zandra. - Popatrz! zupełnie jak na bożonarodzeniowej pocztówce! I nic nie psuje widoku.

- To może byśmy rozprostowali nogi, dali odpocząć koniom i popodziwiali widoki? - zaproponował książe.

- Wspaniale! - Zandra zsiadła, uwiązała klaczkę do gałęzi i pełna entuzjazmu brnęła przez zasy.

- Nogi sobie przemoczysz - ostrzegł ją, przywiązując Alidada. - Możesz dostać zapalenia płuc.

- Tak jak przy wychodzeniu na dwór z mokrą głową? - naśmiewała się z niego Zandra. - To stare przesady! Jeżeli tylko przebiorę się po powrocie do domu, nic mi nie będzie.

Pochyliła się, nabrała w garść śniegu i ulepiła kulę. Potem na wpeł się odwróciła i zawołała:

- Heinzie?

- Tak?

I rzuciła w niego śnieżką!

- Co do...! - zaczął mówić ze złością, gdy kula uderzyła go prosto w pierś.

Zandra roześmiała się wesoło i szybko nabrała następną garść śniegu.

- Zandra! - zawołał. - Przestań!

- Och, Heinzie, czy musisz udawać takiego starego piernika?

Cisnęła w niego drugą śnieżką, którą odbił ręką, aż obsypał go rozprysnięty śnieg.

- Zandro, ostrzegam cię...

Roześmiała się zachwycona i szybko ulepiła następną. Właśnie miała ją rzucić, kiedy...

... w ramię uderzyła ją mocno biała kulka.

- O rety! - zawołała. - No, teraz to oberwiesz!

Zamachnęła się i cisnęła weń śnieżnym pociskiem. Karl-Heinz widział, jak nadlatuje i zrobił unik, a biała kula pofrunęła dalej, nikomu nie wyrządzając krzywdy.

Następna śnieżka poszybowała w kierunku Zandry i trafiła ją w udo.

- Do diabła! Przestań, Heinzie, to boli!

Widząc, że on znowu zgarnia śnieg, zapiszczała radośnie i zaczęła uciekać.

Szeroko uśmiechnięty Karl-Heinz rzucił swoją śnieżką, ale niecelnie i ruszył w pościg.

Zandra, obejrawszy się przez ramię, zobaczyła, gdy się zbliżał, i szybko cisnęła następną śnieżką. Trafiła, ale nie powstrzymała następnych kul.

Udając przerażenie, przedzierała się przez sięgający do pół łydki śnieg, ale książkę przytrzymał ją od tyłu, po czym oboje wywrócili się i zaczęli się turlać w białym puchu. Chichotali przy tym i pokrzykiwali jak para pięcioletków.

Kiedy oprzytomnieli, Karl-Heinz przyciskał Zandrę pod sobą do śniegu. Wpatrywała się w jego twarz, oddaloną najwyżej o kilkanaście centymetrów. Oddech uwiązał jej w gardle, serce trzepotało, a w głowie zapanał zamęt. Wciąż wpatrywała się w Heinzie'ego i nie była w stanie oczu od niego oderwać.

Tak jak Zandra wpatrywała się w niego, Karl-Heinz również wpatrywał się w nią, i to nie mniej intensywnie. Czuł, że oblewa go dziwny żar, a serce wali mu głucho w piersi.

Wydawało się, że owa chwila rozciąga się w nieskończoność.

Zandra całą sobą czuła jego długie, szczupłe i umięśnione ciało, patrzyła w impertynencki błękit oczu, a ponad wszystko na jego niewybaczalnie pociągające i uwodzicielskie usta, których wargi stworzone zostały w jednym chyba celu, a mianowicie do pocałunków.

On całym sobą wyczuwał ciepło ciała dziewczyny, patrzył na kryształki śniegu, które jak kruche, wilgotne klejnoty połyskiwały na jej rzęsach, na trójkącik piegów na nosie, jarzącą się syrenią zieleń jej tęczówek i prerafaelski blask jaskrawo-pomarańczowych włosów.

A chwila ta trwała nadal, jakby nie miała początku ani końca.

Aż wreszcie się skończyła; książkę wzdrygnął się nagle i potrzęsął głową, jakby chciał sobie coś wyjaśnić, siadł na śniegu i uświadomił sobie, że wciąż jeszcze ściska w pięści kulkę. Z roztargnieniem rzucił ją za siebie, między drzewa.

Śnieżka wypłoszyła parkę ptaków, które wyleciały spomiędzy gałęzi, skrzecząc przenikliwie. Gonily się, zataczając wymyślne pętle, trzepotały przez moment na miejscu, a potem opadały niżej nad zbocze i po odtańczeniu krótkiego, powietrznego baletu odleciały z szybkością błyskawicy.

Oboje przyglądali się temu w milczeniu.

- Urocze są, prawda? - odezwała się w końcu Zandra. - Jestem przekonana, że te ptaszki są zakochane. - Z czarującym uśmiechem odwróciła się do mężczyzny; łokieć miała głęboko wbity w śnieg, głowę oparła na dłoni.

- Jak myślisz, Heinzie?

Uznając, że to wspaniały wstęp powiedział cicho:

- Myślę, że się w tobie zakochałem.

Był to dla Zandry taki wstrząs, że nie zdołała się opanować i wybuchnęła gwałtownym chichotem. Cóż za niedorzeczność! - pomyślała. On, którego znała od dzieciństwa, on jej wyznawał miłość? Oczywiście to tylko żart, pomyślała. Ale jeżeli tak, to dlaczego oczy Karla-Heinza błyszczały tak mocno? I dlaczego jego głos zrobił się ochryply? Najświętsza Panienko! To nie jest kawał! On mówi na serio!

Mogła tylko gapić się na niego jak jakaś idiotka, która nie jest w stanie wykrztusić z siebie słowa!

- Zdaję sobie sprawę, że jest to dla ciebie zaskoczeniem, ale przy tobie coś się ze mną dzieje, Zandro. Naprawdę. Przy tobie życie wydaje mi się takie... inne. Jasne i proste - mówił dalej Karl-Heinz. - Jest też zabawne i podniecające. Warte tego, żeby żyć. Mógłby wymienić z dziesięć takich określeń.

- Kompletnie zwariowałeś - odrzekła z sympatią w głosie. - Zdajesz sobie chyba z tego sprawę, co?

- Zandro - powiedział cicho, z wahaniem. - Kochanie, ja mówię serio.

Czysty obłąd! pomyślała. Może i jesteśmy spokrewnieni, może ja go i znam od Bóg wie jak dawna, ale w pewnych sprawach nie wiemy o sobie w ogóle nic!

Zastanowiła się, czy przypadkiem nie zrobiła czegoś, żeby go zachęcić. A może odniósł fałszywe wrażenie? Wydawało jej się, że nie... spłoszyła się, kiedy wziął jej dłoń w obie ręce i podniósł do warg. Nagle zaschło jej w gardle.

- Heinzie - zaprotestowała, ale to imię musiało gdzieś utknąć, bo usłyszała tylko własne bełkotliwe skrzeknięcie. Musiała odchrząknąć.

- Heinzie - powtórzyła, głośniejszym, wyraźniejszym, bardziej pewnym głosem.

- Zandro! - Ucałował koniuszki jej palców; jego wzrok zdawał się obejmować ją i tonąć w jej spojrzeniu. - Słodka, słodka Zandro! Czy wiesz, kim dla mnie jesteś?

- Och, Heinzie, oczywiście, że wiem. Jestem twoją kuzynką!

- Nie. - Potrząsnął głową i znowu ucałował jej palce. - Jesteś kimś dużo, dużo ważniejszym.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Chcę się z tobą ożenić - powiedział. - Chcę, żebyś została moją żoną.

- Ty... ożenić... ze mną....? - Nagle rozchichotała się znowu. - Ależ, kochanie, szczerze mówiąc, ja nawet guzika nie potrafię przyszyć, nie mówiąc już o tym, że bym miała ugotować coś i nie spalić całego domu!

Karl-Heinz nawet nie mrugnął.

- Zandro, moja kochana, czy wstąpisz ze mną w święty związek małżeński? Czy pozwolisz, żebym aż do śmierci opiekował się tobą, kochał cię i szanował?

Cholerny świat! - pomyślała Zandra. On to mówi na serio, ze śmiertelną powagą!

- Ja... przykro mi, Heinzie - powiedziała rozdygotana i wysunęła dłoń z jego rąk. - To... to by po prostu nie... to znaczy, ja nie... Próbuję powiedzieć, że.... - Była tak roztrzęsiona, że musiała głęboko zaczerpnąć powietrza. - Po prostu nie dojrzałam jeszcze do małżeństwa - powiedziała. - Ani z tobą, ani z nikim innym.

- A więc nie kochasz mnie?

- Boże, oczywiście, że cię kocham! Nie ma dwóch zdań. Ale chodzi mi to, że to nie ma nic do rzeczy, prawda? To nie znaczy, że musimy zaraz podejmować taką życiową decyzję i brać ślub.

- Czemu nie? Czy dlatego, że jesteśmy kuzynostwem?

- Tak. Nie. Och, do diabła, sama nie wiem. - Zatrzepotała rzesami. - Szczerze mówiąc, kompletnie mnie zaskoczyłeś.

- Jeżeli martwisz się genetyką, to poleciłem pewnemu naukowcowi prześledzić nasze relacje rodzinne. Mówi, że absolutnie nie powinno być żadnych problemów.

- Heinzie, nawet w tym przypadku... - Zandra westchnęła. Teraz, kiedy wyskoczył z taką niespodzianką, musiała porządnie się zastanowić, zanim coś powie. Muszę być pewna moich uczuć i nie popełnić błędu, którego obydwójce moglibyśmy żałować.

- Ja wiem, że nie będę tego żałował.

Jej twarz delikatnie się zmieniła, jak gdyby okrył ją jakiś cień.

- Ale ja mogłabym żałować. Heinzie - powiedziała jak najłagodniej, modląc się w duchu, żeby te słowa go nie zraniły. - Nie jestem pewna, czy wystarczająco cię kocham.

Książę nic nie odpowiedział.

Zandra zacisnęła wargi i zmusiła się, żeby mówić dalej stanowczym tonem.

- Rozumiesz mnie, prawda, kochanie? Kocham cię jak kuzyna, bezwarunkowo, na zawsze. Jesteś absolutnie cudowny, będzie z ciebie świetny mąż dla jakiejś szczęśliwej dziewczyny, którą bardzo, bardzo uszczęśliwisz. Ale nie jestem całkiem pewna, czy potrafiłabym cię kochać w ten sposób...

Oczy Karla-Heinza zgasły i zmatowiały. Patrzył na nią teraz ze smutnym uśmiechem. Zandra jęknęła w duchu i pomyślała: Och, mój Boże jednak go zraniłam! Naprawdę nie chciałam.

- Chyba... chyba powinniśmy wracać - powiedziała i wstała, usiłując się otrzepać ze śniegu.

Podniósł się również; czuł się niezręcznie, stojąc tak z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała jak suplikant.

- A jeżeli miłość nie miałyby z tym nic wspólnego? - wyszeptał ochryplym głosem. Nie był w stanie na nią patrzeć, kąciki ust drgały mu nerwowo.

Zandra powoli zwróciła na niego spojrzenie. Dłoń, którą otrzepywała rękaw kurtki ze śniegu, znieruchomiła.

- Heinzie - zdziwiła się. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Księżę odetchnął ciężko.

- Pytam czy... nawet jeżeli twierdzisz, że mnie nie kochasz... czy potrafiłabyś... czy zdobyłabyś się na to, żeby za mnie wyjść?

- Heinzie, ależ to kompletny nonsens! A po cóż byśmy się mieli w takim przypadku pobierać?

- Byłoby to wielce dogodne. - Brzydził się sobą za napięcie i desperację we własnym głosie.

- Ależ kochanie, nie rozumiem.

- Z pewnością znasz zasady dziedziczenia von und zu Engelwiesenhów? - Jej kuzyn uśmiechnął się błado.

Zandra poczuła się nagle tak, jakby wszystko w niej nagle zwolniło i zamarło w bezruchu.

- Mój Boże! - wykrzyknęła cicho. - Nie mogę w to uwierzyć!

Karl-Heinz zacisnął ponuro wargi.

- Ty hipokryto! Ty cholerny hipokryto! - To oskarżenie wyrwało się z jej serca, uwolniło się jak niewielka lawina. - Naprawdę wcale mnie nie kochasz! Oświadczyłeś mi się jedynie dlatego, żebym ci pomogła uzyskać to cholerne dziedzictwo! Tylko to cię obchodzi, prawda?

Księżę wzdrygnął się, jakby go uderzyła.

- No, czyż nie mam racji?

Milczał.

- Och, jakie to wspaniałe! - Uderzyła stopą w śnieg raz za razem, aż jej but przestał być widoczny. - Chryste, to naprawdę coś wspaniałego...

- Zandro, posłuchaj mnie!

- Co ty sobie wyobrażasz, co według ciebie powinnam zrobić? Czego się spodziewasz? Mam paść przed tobą na kolana z wdzięczności, że chcesz ze mnie skorzystać jak z byle jakiego portu w czasie burzy? - Rzuciła głową i wściekła ruszyła do drzewa, przy którym uwiązali konie.

- Zandro! - Dogonił ją i chwycił za nadgarstek. - Na miłość boską, błagam, wysłuchaj mnie!

Szarpnęła się gwałtownie; była wspaniała w swej furii.

- Puść mnie! - powiedziała zimno, usiłując na próżno wyrwać mu rękę. - Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

- Słuchaj, rozumiem twój gniew...

- Och, czy aby?

- Gdybyś tylko pozwoliła mi wyjaśnić... Całkiem opacznie to wszystko zrozumiałaś...

- Nie, nie sądzę. - Wbiła w niego ostre spojrzenie. - Jesteś cholerycznym, aroganckim sukkinsynem, i właśnie tego dowiodłeś.

- Ja cię kocham, do diabła! - To wyznanie wyrwało mu się wbrew jego własnej woli. - Dziedzictwo czy nie, tak czy tak byłbym ci się oświadczył. Nie pojmujesz tego?

Dziewczyna roześmiała się gorzko.

- A może te lasy - tu pokazała na drzewa za ich plecami - zamieszkują elfy, boginki i trolle?

Karl-Heinz głęboko zaczerpnął powietrza.

- Zandro, uwierzysz w to, czy nie, jesteś jedyną kobietą, której naprawdę kiedykolwiek pragnąłem.

- Och, pragnąłeś mnie, czyż tak? Jakże mi miło. Pewnie czekasz, że bym padła ci do stóp i całowała cię z wdzięczności po tych twoich cholerycznych buciorach?

Książę skrzywił się słysząc pogardę w jej głosie.

- Ale pieprzę to! - warknęła. - A co ze mną, ty gnojku? Co z tym, czego ja mogłabym chcieć? Temu nie poświęciłeś ani jednej myśli?

- Ustawicznie o tobie myślałem - odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Tak. A więc, wracając do tego małżeństwa, które zaproponowałeś - ciągnęła dalej bezlitośnie. - Co ja bym z tego miała, może będziesz mi łaskaw powiedzieć?

- Zostałabyś jedną z najbogatszych kobiet na świecie. Miałabyś pieniądze. Władzę. Pozycję.

- Nic z tego wszystkiego, pozwól sobie powiedzieć, tak naprawdę mi się nie uśmiecha.

To beznadziejne, pomyślał. Powinienem był wiedzieć. Ale jakim cudem skoopał to aż tak... Czuł się okropnie. Było mu wstyd za siebie.

Zandra dwoma palcami zdjęła jego dłoń z nadgarstka. Nie powstrzymywał jej, spodziewał się, że natychmiast wskoczy na swego konia i odjedzie galopem.

Ona jednak stała, obejmując się ramionami i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w okryty śniegiem teren w dole.

- A więc to dlatego! - wykrzyknęła cicho. - Teraz wszystko mi się już ułożyło!

Karl-Heinz zerknął na nią spod oka.

- Co mianowicie?

- To dlatego Dina tak nalegała, żebym pojechała z nią na weekend. Oczywiście, umówiliście się oboje, i pewnie jeszcze Becky brała w tym wszystkim udział. Tak. Zaplanowaliście to sobie we troje. Ale oczywiście najpierw trzeba mnie było tu ściągnąć. - Zrobiła okrągły gest ręką w kierunku rezydencji Becky V w dole. - Jakże inaczej mógłbyś zaskoczyć mnie tymi oświadczeniami?

Po minie kuzyna poznała, że odgadła słusznie.

- Zandro... - zaczął.

- Heinzie, proszę - przerwała mu. - Przestań!

- Ale ja muszę ci to wyjaśnić. Przyznaję, zostałam zaproszona pod fałszywym pretekstem, ale moje uczucia dla ciebie...

- Heinzie! - Jej oczy napełniły się łzami.

Karl-Heinz zaczerpnął głęboko powietrza. Chryste, ależ zawalił sprawę! Nie mógłby już bardziej tego skopać, nawet gdyby się starał. Przecież za nic w świecie nie chciał sprawić jej przykrości. Czy zawsze ranimy tych, których kochamy? zastanawiał się z bólem.

- Zandro - błagał - spróbuj nie sądzić mnie zbyt pośpiesz...

Ale ona pobiegła już do konia, a w chwilę później galopowała w dół po zboczach, kierując się w stronę rezydencji w stylu greckiego odrodzenia.

Jeśli nie liczyć Alidada, księżę został na wzgórzu sam jak palec, przyglądając się bezradnie, jak Zandra ucieka....

... oddala się od niego coraz bardziej...

...na dobre.

* * *

Lord Rosenkrantz popijał właśnie szampana, kiedy uwagę jego zwrócił jakiś ruch za oknem. Zandra na kasztance pędziła w kierunku stajni pełnym galopem.

- Oj, oj - powiedział cmoknąwszy językiem. - Oj, oj, czy mnie wzrok myli, moja droga Becky, czy też wydaje się, że mamy niewielki problemik?

- Problemik? - Pani domu natychmiast wyprostowała się i podążyła za jego wzrokiem. - *Alors*. Nie, żebym ja z tym miała coś wspólnego! - powiedziała zdecydowanie i zaczęła się podnosić.

- Zaczekaj - powstrzymała ją Dina wstając. - Może lepiej ja się tym zajmę.

Diuszesa zawahała się, a potem przystając na to, skinęła głową.

- *Oui*. Czemu nie? Znasz ją lepiej niż ktokolwiek z nas.

Kiedy Dina pospiesznie wychodziła, lord Rosenkrantz wyjął butelkę szampana z wiaderka.

- Wygląda na to - wygłosił pesymistyczną przepowiednię - że może nam się przydać coś na wzmocnienie. Jeszcze trochę szampana, moja droga?

37.

- Skarbie? - zapytała Dina sacharynowym z zatroskania głosem. Udało jej się złapać Zandrę, w marmurowej sieni. - Czy wszystko w porządku?

Zandra, która właśnie wsunęła piętę w pachołek do ściągania obuwia, wyszarpnęła wściekle nogę z wysokiego buta do konnej jazdy.

- A czemu by nie? Przecież spędzamy rozkoszny weekend na wsi. - Spiorunowała przyjaciółkę wzrokiem. - Prawda?

Nieskazitelną, upudrowaną twarz pani Goldsmith przecięła zmarszczka.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem, o co ci chodzi, złotko.

- Możesz przestać udawać, gra się skończyła, skarbie.- Zandra z niedowierzaniem potrząsnęła głową. - Jezu! Zaplanowałeś całą tę sprawę prawda?

- Złotko?

- Moje bajkowe wesele z Heinzie'em! - warknęła ze złością.

- Och! - westchnęła Dina. - O to chodzi.

Zandra wyszarpnęła do połowy drugą nogę z buta, wierzgnęła i zrzuciła go z taką złością, że przeleciał na drugą stronę sieni.

- Powiem ci coś, skarbie - zaproponowała Dina. - Może byśmy przeszły do biblioteki i omówiły to wszystko miło i spokojnie?

- Może równie dobrze omówić to cholerstwo tutaj! - Przyjaciółka wpatrywała się w nią z furią. - Jak śmiesz! Co ty sobie, do jasnej ciasnej, wyobrażałaś? A może masz taki zwyczaj, że robisz za rajfurkę dla Karla-Heinza?

- Och, jej! - Dina przybrała pozę urażonego niewiniątka. - Naprawdę, złotko, wolałabym, żebyś się tym tak nie przejmowała.

- A myślisz, że mnie jest miło?

- Oczywiście, że nie. Ja tylko chciałam dla ciebie jak najlepiej.
- Pewnie. - Po tonie Zandry można się było zorientować, że myśli wręcz przeciwnie.

- Poza tym ty i Heinzie jesteście jak stworzeni dla siebie - dodała pani Goldsmith.

- Czyżby?

- Złotko, taka z was idealna para. Każde ma coś, czego potrzebuje to drugie.

- Co ty powiesz!

- A właśnie, że tak. Heinzie'emu rozpaczliwie potrzebny jest potomek, w przeciwnym razie nie może dziedziczyć.

- A ja? Czego mnie rzekomo potrzeba?

- No przecież pieniędzy! Skarbie, staniesz się jedną z najbogatszych kobiet na świecie!

- Dino - w głosie Zandry słychać było znużenie - czy przyszło ci kiedykolwiek na myśl, że pieniądze to nie wszystko?

- Oczywiście, że tak. Ale uwierz mi, złotko, lepiej je mieć, niż nie mieć. A mówię z doświadczenia.

- A czy to twoje doświadczenie obejmuje też cholerne pszczołki i motylki?

- O co ci chodzi?

- Dino! Zapewnienie mojemu kuzynowi dziedzictwa pociąga za sobą współżycie seksualne. I urodzenie dziecka! Więcej niż jednego, jeżeli pierwsza byłaby dziewczynka. Musi mieć męskiego potomka, żeby mógł dziedziczyć!

- Tak, tak. Wiem.

- A czy przyszło ci na myśl, że ja mogę nie mieć ochoty spać z Heinzie'em?

- A kto powiedział, że musisz?

Zandra wytrzeszczyła na nią oczy.

- Co? Czy według ciebie dzieci przynosi bocian?

- W pewnym sensie można by powiedzieć, że tak - uśmiechnęła się pani Goldsmith. - Mogłoby tak być.

Zandra mogła tylko potrząsać głową.

- To proste, skarbie. Widzisz, w prawie von und zu Engelwiesenów dotyczącym pierworództwa jest luka.

Zandra nadal wpatrywała się w nią wytrzeszczonymi oczami.

- Z jakiegoś powodu - wyjaśniała Dina - nie sprecyzowano tam, że to książe musi być ojcem. Wyraźnie w dawnych, dobrych czasach żony nie śmiały schodzić na manowce.

Zandra nadal milczała.

- Jedyną ważną rzeczą jest to - mówiła Dina - żeby owa wymagana trójca prawników była świadkami porodu. Ale skąd wiadomo, jak zostało poczęte dziecko?

Zandra miała wrażenie, iż nagle zaniemówiła.

- A więc, jeśli nie odpowiada ci przespanie się z Heinziem, można to zrobić przez sztuczne zapłodnienie, sympatycznie i czyściutko, nie sądzisz? Nauka poczyniła znakomite postępy.

- A więc pomyślałaś o wszystkim - zauważyła Zandra cicho.

- Ależ tak - odrzekła Dina z entuzjazmem. - Wydaje mi się, że tak.

- Poza tym, że przeoczyłaś jeden niewielki szczegółólik.

- Jaki to, złotko? - Twarz przyjaciółki przybrała nagle zmartwiony wyraz.

- Będziesz sobie musiała znaleźć inną pannę młodą - powiedziała Zandra zimno. - Ja nią nie będę. A może widzisz gdzieś na mnie tabliczkę: „Łono do wynajęcia”?

Teraz Pani Goldsmith wytrzeszczyła na nią oczy.

- Zapomnij o tym. Moje łono nie jest na sprzedaż. Nie jest również do wynajęcia!

I z tymi słowy opuściła sieni, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

* * *

- *Chérie?* - Stuk, stuk, stuk.

Zandra słyszała, jak Becky stuka i woła przez drzwi.

- *Chérie....*

Czy nie można nawet lizać ran w samotności? pomyślała ze złością. Czy to za dużo - chcieć, żeby mnie zostawili w spokoju?

- *Chérie*, proszę. Bardzo proszę, otwórz.

Boże, jakże żałowała, że ta uparta kobieta nie zrezygnuje i nie pójdzie sobie! Jednak nie ma co liczyć na tyle szczęścia.

Równie dobrze można z tym skończyć zaraz, postanowiła Zandra. Może wtedy dadzą mi trochę spokoju. Pozbierała się z aż zbyt miękko wyścielanego fotela, przeszła przez salonik apartamentu „w gałązki” i otworzyła drzwi.

- *Mechanceté, mechanceté!* - Becky figlarnie pogroziła jej z wyrzutem palcem. - Zaczynałam się martwić! Czy mogę wejść?

To twój dom, miała ochotę odpowiedzieć Zandra, ale dobre wychowanie nie pozwalało. Otworzyła drzwi szerzej i odsunęła się z przejścia. Diuszesa wpłynęła do środka, zamknęła drzwi i zręcznie skierowała ją

na zieloną, adamaszkową kanapę naprzeciw kominka. Usiadły obie nieco pod kątem, żeby ułatwić sobie rozmowę. Starsza dama rozejrzała się po czerwono-zielonym pokoju, jak gdyby wszystko tu było dla niej nowe: ściany w gałazki, perkalowe zasłony, wielkie, ciemne malowidła, ceglano-czerwone, grubo wyściełane fotele i orzechowe meble.

Skinęła głową, jakby z aprobatą dla wystroju saloniku, złożyła ręce na kolanach i powiedziała:

- Interesujące. Ten pokój jest bardzo angielski. *N'est-ce pas?*

- Tak.

- W mieście wolę osobiście styl francuski, ale nie wychodzi on dobrze na wsi. *Non*. Ci Anglicy! Wyłącznie oni umieli wygodnie urządzić wiejskie domy. *Oui*. - Becky przechyliła głowę na bok i wystawiła Zandrę na pełne działanie swoich słynnych fiołkowych oczu. - *Naturellement*, nie przyszedłam tu omawiać urządzania wnętrza.

Zandra spojrzała jej prosto w twarz.

- Ani przez chwilę nie sądziłam, żeby tak miało być.

Pani domu skinęła głową.

- Dina mówi, że miałyście *une bisbille*... malutkie nieporozumienie?

- Och, ależ to tylko drobiazg! - zapewniła ją Zandra, radykalnie pomniejszając fakty.

- *Bon*. Z radością to słyszę.

Najpierw Heinzie składa mi propozycję, pomyślała Zandra, potem namawia mnie Dina, a teraz jeszcze Becky. Co to ma być? Zbiorowe przeciąganie liny czy co?

- Dina wspomniała mi, że miało to coś wspólnego z Heinzie'em - powiedziała Becky. - *C'est vrai?*

- Tak. Oświadczył mi się i dał mi kosza. Koniec opowiadania!

- Szkoda. Byłaby z was ogromnie atrakcyjna para. A jemu przydałaby się twoja pomoc, sama wiesz.

- Moja pomoc!? Tak, już rozumiem, że to dlatego zostałam tu ściągnięta.

Fiołkowe oczy diuszesy straciły całą przejrzystość.

- Niekiedy takie wybiegi są konieczne. Uznałam, że jest to jeden z tych przypadków. Nie miałam zamiaru cię urazić, *chérie*. Jeżeli tak się stało, składałam najszczerze wyrazy skruchy.

- Przepraszam przyjechałam.

- *Alors*. Teraz już nie ma potrzeby stosować podstępów. Czy mogę mówić otwarcie?

- Bardzo proszę.

- Apeluję do ciebie w imieniu Heinzie'ego. *Chérie*, czy nie mogłabyś się jeszcze zastanowić?

- I wyjść za niego, o to ci chodzi?

- *Oui*. - Becky skinęła głową.

- Przykro mi, ale odpowiedź nadal brzmi: nie.

- Nawet gdybyśmy ułożyli wszystko tak, żeby ci się to opłaciło?

- Nawet wtedy.

- Czy wolno mi zapytać, dlaczego?

- Ponieważ muszę się liczyć z własnymi uczuciami.

- Uczucia! - westchnęła diuszesa. - *Chérie*, czyż musisz być tak *obstiné*! Czy nie potrafisz myśleć o nikim oprócz siebie?

- Jeżeli ja tego nie zrobię - powiedziała Zandra - kto zrobi to dla mnie? Heinzie? Dina? Ty?

- Jesteś małą, niemądrą, samolubną niewdzięcznicą. Teraz to widzę.

- Ja jestem samolubna? - wybuchnęła Zandra. - Czy nie odwracasz kota ogonem? To wy... ty, i Dina, i Heinzie... jesteście samolubni. Proszę, kochanie, zrób coś dla mnie. Kiedy następnym razem będzie wam potrzebny potomek Cesarstwa Rzymskiego, bądźcie uprzejmi nie brać mnie pod uwagę, dobrze?

Zaczęła się podnosić, ale Becky chwyciła ją za rękę i pociągnęła na kanapę.

- Jeszcze nie całkiem skończyliśmy, *chérie*.

Zandra zdecydowanie wysunęła do przodu podbródek.

- Obawiam się, że tak.

- Ty niemądry dzieciaku! - Polakierowane szpony starszej damy wpiły się w rękę dziewczyny. - Dlaczego musisz robić tyle trudności? Dlaczego...?

Zandra nie miała ochoty się kłócić, więc milczała.

- Ludzie cały czas pobierają się dla obopólnej wygody - ciągnęła dalej Becky. - Żeby zdobyć zieloną kartę. Żeby zapewnić sobie korzyści podatkowe. Żeby za szacowną fasadą ukryć podejrzane skłonności. Powodów jest multum!

Zandra wciąż milczała.

- Wystarczy, że wyjdiesz za Heinzie'ego i dasz mu syna. A potem możesz robić, co zechcesz. Rozwieść się z nim. Przez resztę życia pławić się w luksusach...

Zandra uznała, że ma już dość.

- Równie dobrze możesz sobie nie strzępić języka. Naprawdę nie jestem tym zainteresowana.

Oczy jej rozmówczyni zwały się nagle.

- Dziesięć milionów dolarów. Czy to wystarczy, żeby cię zainteresować?

- Nie słuchałaś, co mówię. Powiedziałam: nie jestem na sprzedaż!

- A może dwadzieścia milionów?

- Możesz mi zaproponować sto milionów, a i tak nic z tego.

- *Vraiment*, - wyśmiała ją Becky. - Żeby odrzucać sto milionów? I to ty?

- Tak. Ja.

- *Chérie*, proszę, nie rozśmieszaj mnie!

- *Chère amie*, nie jest to moim zamiarem. - Zandra przedrzeźniała swą rozmówczynię ze zjadliwą doskonałością. - *Alors*. Ta dyskusja jest *fini*.

Owa parodia była tak arogancka, że Becky puściła rękę dziewczyny i zerwała się na równe nogi.

- Jak śmiesz! - syknęła.

- Może teraz - powiedziała ostro Zandra - będziesz tak uprzejma i mnie zostawisz. Uważam, że już pora, żebym się zaczęła pakować. Nie chciałabym nadużywać twojej gościnności.

- To może nie jest taki zły pomysł - odparła diuszesa lodowatym tonem. - Zamówię ci samochód.

I odwróciwszy się na pięcie wyszła, zamykając za sobą bezgłośnie drzwi.

W pięć minut później Zandra jechała już z powrotem do miasta.

* * *

U Becky V podawano drinki przed obiadem. Nina Fairey, wędrując po olbrzymim salonie, ostrożnie trzymała kieliszek białego wina.

- Co zatrzymało Zandrę? - zapytała.

Odpowiedziała jej Becky:

- Obawiam się, że źle się poczuła, *chérie*. Ale prosiła, żeby przekazać wam, jak jest jej przykro.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- *Non, non*. Prawdopodobnie jakiś wirus żołądkowy. Ach! Oto i *hors d'oeuvres*. Koniecznie musicie spróbować tej miniaturowej pizzy. Naprawdę jest wyśmienita!

38.

- Dom Pérignon! - wykrzyknęła Kenzie. - Czyżbyśmy chcieli się wku-
pić w łaski?

- Co ci przyszło do głowy z tym gównianym „my”. Bawisz się w pielęgniarce? Tak czy owak...

Charley zadzierzystem kroczkiem podszedł do lustra w złożonych ramach i wyciągnął szyję, poprawiając sobie krawat co najmniej jak John Gotti.

- Mówiłem ci, że nie jestem żaden łachmyta.

- Mówiłeś. - Kenzie się roześmiała.

- Facet z klasą - powiedział, wygładzając palcami kłapy. - No! Cały ja!

- Dobrze, już dobrze, Narcyzie. Wystarczy już tego chwalenia się na jeden dzień. Masz, przydad się wreszcie do czegoś i otwórz butelkę. A ja pójdę poszukać kieliszków do szampana.

Kenzie zakłuło nagle poczucie winy. Dobry Boże, pomyślała, powtórzyłam niemal słowo w słowo to samo, co powiedziałam wtedy, kiedy ostatni raz widziałam się z Hannesem!

Poszła do kuchenki, besztając się w duchu za to poczucie winy.

Jeśli mężczyzna umawia się z więcej niż jedną kobietą, to wszystko jest wspaniale, mówi się wtedy, że jest taki męski. Ale gdy kobieta spotyka się nie tylko z jednym facetem, nazywa się ją kurwą. Ostro zwróciła sobie uwagę, że nie ma najmniejszego sensu zamartwiać się z tego powodu. Do niczego dobrego to nie doprowadzi!

Charley, który właśnie zdejmował grubą, zieloną folię z szyjki butelki, przecisnął się obok niej, żeby dostać się do kuchennych śmieci. Stał jak wryty na widok pustej butelki po Krugu, która wystawała z plastikowego pojemnika.

- Ho, ho! - powiedział wyciągając ją. - Miałaś rację.

- W jakiej sprawie?
- Swojego gustu. Zdecydowanie idzie w górę. Ale żeby aż Krug? Powiedziałbym, że trochę to za kosztowne jak na pracującą dziewczynę, nie uważasz?

Kenzie odwróciła się do niego z kieliszkiem w każdej ręce. Trudno powiedzieć, co bardziej błyszczało, rżnięty kryształ czy jej oczy.

- Panie detektywie Ferrara - zapytała ostro. - Czy zajmie się pan tym, czy też może sama mam otworzyć tę cholerną butelkę?

- Drażliwa jesteś. Trafiłem w czuły punkt, co? - zauważył drwiąco.

Oczy Kenzie zwęziły się ze złości.

- Czy widzisz na moim palcu pierścioneł zaręczynowy?

- Nie.

- No to w porządku. Pilnuj swego nosa.

Charley wrzucił pustą butelkę z powrotem do śmieci.

- Takie coś to wystarczy dla faceta, który podkochuje się w dziewczynie. A jeżeli ma naprawdę na jej punkcie kota? Przynosi jej autentyk.

- Tu podniósł do góry Dom Pérignon i szeroko się uśmiechnął.

- Och, skończę już z tym, facet - odrzekła Kenzie ze znużeniem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, otworzył butelkę i napełnił kieliszki.

Podał jeden Kenzie, a potem wziął swój i trącił się z nią.

- Za nas - powiedział. - Bo mnie zależy na tyle, żeby przynosić to, co najlepsze.

- Charley, czy jesteś pewien, że nie jesteś Irlandczykiem?

- Absolutnie nie. Neapolitańczyk od stóp do głów. A czemu?

- Ponieważ kiedy ostatni raz słyszałam tyle komplementów, chodziłam z Irlandczykiem!

Przeszła do saloniku, a Charley ruszył za nią.

- Czy wciąż mamy w planie twoje słynne risotto? - zapytał.

- Oczywiście. Ale najpierw mam zamiar porozkoszować się kieliszkiem tego, co najlepsze - powiedziała i usiadła na sofie. - Potem wezmę się do roboty w kuchni.

- No i dobrze. - Usiadł obok niej.

Nagle usłyszeli, że ktoś wsuwa klucz w zamek, oboje odwrócili się w kierunku drzwi wejściowych.

- Spodziewasz się towarzystwa? - zapytał cicho Charley.

- Nie.

- Twoja współmieszkanca?

- Już ci powiedziałam - szepnęła Kenzie. - Ma wrócić dopiero jutro.

- Właściciel? Administrator?

- Żaden z nich nie ma kluczy.

Szczęknął pierwszy zamek.

- A jednak ktoś je ma, i to na pewno. No, jeżeli nikogo się nie spodziewasz i nikomu nie dawałaś kluczy do mieszkania, a twoja współmieszkancka wyjechała.... Myślisz, że to włamywacz?

Kenzie uśmiechnęła się.

- Powiedziałabym, że czeka go duża niespodzianka. To jedna z koryści, gdy się zaprasza do domu gliniarza.

Szczęknął drugi zamek.

Charley odstawił kieliszek, wstał i po cichutku przeszedł do drzwi. Obejrzał się na Kenzie i przyłożył palec do warg.

Szczęknęły jeszcze trzy zamki i drzwi gwałtownie się otworzyły. Charley ze służbowym rewolwerem w ręku wrzasnął:

- Stój!

Kenzie zerwała się z kanapy i zawołała:

- Zandra!

Przyjaciółka wrzuciła do środka torbę z rzeczami i zatrzasnęła drzwi. Nie zauważając ani wycelowanej w siebie broni, ani tych dwojga, pozasuwała niezgrabnie bolce i skierowała się prosto do swojego pokoju, a po twarzy strumieniem płynęły jej łzy.

- Cholerny świat! - wykrzyknął Charley, chowając rewolwer. Popatrzył oskarżycielsko na Kenzie. - Wydawało mi się, że mówiłaś....

- Musiało się zdarzyć coś bardzo złego. Widziałeś, w jakim ona jest stanie.

- Cholerny świat! - powtórzył, ale już cicho.

Kenzie skierowała się do drzwi Zandry, zastukała, otworzyła i wsunęła się do środka. Minęła minuta. Charley jednym haustem wychylił swojego szampana. Potem drzwi otworzyły się i Kenzie wyszła.

- Co się dzieje? - zapytał Charley.

- Biedactwo, przeżyła straszny szok. Charley, słuchaj...

- Och, nie! - Podniósł obie ręce w górę i potrząsnął głową. - Nie, nie. Tylko mi nie mów. Nie chcę nic słyszeć!

- Obiecuję, że ci to wynagrodzę - perswadowała Kenzie, popychając go w kierunku drzwi. - Ona jest cała roztrzęsiona i potrzebuje mnie teraz. Proszę cię, idź, to pora na dziewczynskie pogaduchy.

- A to pewnie znaczy, że risotta nie będzie - westchnął.

- Obawiam się, że nie. - Wyjęła z szafy jego płaszcz i wcisnęła mu w rękę.

- Tak bezlitośnie mnie wyrzucasz, w ten skłębiony tłum? - rozczulał się nad sobą.

- Można to tak określić, owszem. Ale skorzystasz później. A teraz

proszę, Charley, czy wreszcie sobie pójdiesz? Już ci powiedziałam, że ci to wynagrodzę.

- Dasz risotto?
- Tak!
- Ale bez grzybów. Zachowaj je dla dzikich tłumów.
- Będzie z *radicchio*. - Trzymała drzwi otwarte.
- Taa? Są takie dobre, jak można sądzić z nazwy?
- Do widzenia, Charley. - I dosłownie wypchnęła go za drzwi.

* * *

- Księżna, autentyczna księżna, mogłaś zostać prawdziwą, oryginalną, niepodważalną królową z bajki... - Kenzie westchnęła rzewnie nad trzecią szklaneczką wódki z lodem, która co prawda nie była jej ulubionym napojem, ale kiedy wysączyły do ostatniej kropelki Dom Pérignon, nie zostało im już pod ręką nic innego. - Zupełnie tak jak Di albo Sarah - ciągnęła dalej rozmarzona. - Kochana, naprawdę umiesz zrobić człowiekowi przykrość: przychodzisz i oznajmiasz, że moja najlepsza przyjaciółka już prawie była księżną... prawie... jak mogłaś.

- Dużo większa byłaby owa przykrość, gdyby się okazało, że wzięłam sobie na kark żabę zamiast księcia - pociągnęła wyniośle nosem Zandra - żeby już nie wspominać o dwóch chrzestnych wiedzmach zamiast dobrych wróżek!

- Taak, pewnie masz tu trochę racji.

- Och, Kenz! Jak mogłam być taką idiotką! Zaufałam mojej najdawniejszej przyjaciółce tylko po to, żeby przekonać się, że przez cały czas intrygowała za moimi plecami...

- Nie myśl o tym - poradziła jej Kenzie. - Podniosła butelkę Smirnoffa i napełniła obie szklaneczki po brzegi. - Coś takiego może się zdarzyć nawet w najlepszej rodzinie. Błądzić jest rzeczą ludzką, nie wiedziałś o tym?

- Tak, ale ja w to wdepnęłam z szeroko otwartymi oczami...

- Chwileczkę, kotku. Jedną małą chwileczkę. - Kenzie podniosła rękę jak gliniarz kierujący ruchem, dłonią na zewnątrz. - Nie możesz się tym ciągle walić po głowie. Co się stało, to się nie odstanie. Przyjmij dobrą radę i uznaj to za doświadczenie życiowe.

- Tak, wspaniale, dobrze ci tak mówić. Ale zostawiając na boku sprawę Becky i Diny, jak ktoś, kto jest moim własnym krewnym... przeć jej go, na litość boską poznałam, kiedy uczyłam się chodzić!... jak on mógł tak mnie potraktować, tylko po to, żeby załatwić sobie dziedzictwo?

- Nie wiem - westchnęła Kenzie. - No już, napij się!

Ale Zandra nie słuchała.

- Najbardziej zabolalo mnie - mówiła - że to właśnie Karl-Heinz, a nie kto inny. Chociaż przez ostatnie lata tak rzadko go widywałam, zawsze ze wszystkich krewnych jego lubiłam najbardziej. Oczywiście, teraz to się całkowicie zmieniło, możesz mi wierzyć.

- Muszę powiedzieć, że ci tego nie mam za złe - wyrażała jej współczucie Kenzie. - Ja też bym się tego po nim nie spodziewała. Nie po księciu Karlu-Heinzu... takim przystojnym... takim bogatym... takim... takim... królewskim.

- Jaśnie oświeconym - poprawiła ją Zandra. - Jego Królewską Wysockością jest książę Karol. Karl-Heinz, podobnie jak Rainer z Monako, jest tylko jaśnie oświecony.

- Jaśnie oświecony.... - mamrotała z rozmarzeniem Kenzie. - Podobają mi się to wyrażenie.

- Dużo mniej by ci się podobało, gdybyś miała wyjść za mąż za tego szakala! - stwierdziła ponuro Zandra.

- Zamki w Bawarii... - dumiała Kenzie. - Pałacyki myśliwskie w Szwabii...

- Grube, wilgotne mury i pleśniejące obicia... - posępnie mamrotała Zandra. - Pełne przeciągów pokoje i niekończące się korytarze...

- Tycjany i Tintoretta... - ciągnęła dalej rozmarzona Kenzie. - Banki i browary... ta starożytna genealogia ta błękitna krew...

- Te wewnętrzne koligacje. Te okropne małżowiny bez płatków...

- I cudowne prywatne odrzutowce i helikoptery, i stada służących...

- Kenz! - wykrzyknęła zirytowana Zandra.

- Ccco? - zapytała przyjaciółka, wytracona z alkoholowego rozmazania.

- Poniosło cię! - oskarżycielsko powiedziała Zandra. - Musisz w tej chwili przestać! Przez ciebie on mi się zaczyna podobać!

- Co? Oj, do wszystkich diabłów... - Kenzie z wysiłkiem ściągnęła surowo brwi. - Nie martw się, to nie ja mówiłam, tylko pan Smirnoff. Całe jego osiemdziesiąt procent.

- No to proponuję, żebyś wszystkim jego osiemdziesięciu procentom powiedziała, żeby się zamknęły, w przeciwnym razie bardzo, bardzo mnie rozłoszczą, a tego nie miałabyś ochoty zobaczyć, zaręczam ci.

- Zła... zła jesteś na mnie? - zachichotała Kenzie.

- Tak, i wcale nie ma się z czego śmiać. Brak opanowania von Hohenburg-Willemlöhe'ów jest legendarny, a ich wybuchów za wszelką cenę należy unikać.

- Chcesz powiedzieć, że... w waszej rodzinie macie dziedziczny temperament? - Kenzie była zafascynowana.

- To tak samo jak ze szczękami Habsburgów albo z pozbawionymi płatków małżowinami von und zu Engelwiesenów - kiwnęła głową Zandra. - Tak!

- No i?

- I wydaje mi się, że to się chyba zaczęło od Albrechta von Hohenburg-Willemlöhe, który w roku 1680, czy coś koło tego, w napadzie wściekłości obciął sobie czubek nosa. - Ściągnęła z namysłem brwi. - A może to był jego brat, Lucas? Zawsze mi się mylą.

- O raaaany! - Kenzie była do głębi zachwycona, chociaż zaczynała już pogrążyć się w pijackim otepieniu.

Zandra jednym haustem wychyliła pół szklaneczki i z satysfakcją głośno beknęła.

- Wiesz, naprawdę niełatwo jest pochodzić z rodziny, która ma tak przerażająco długą i zawiłą historię. Pomijając już wysiłek, konieczny, żeby się w nich wszystkich połąpać, nie uwierzyłabyś, ile dziedzicznych cech czyha na biednego człowieka. To zadziwiające, że się ze mnie nie zrobił najgorszego rodzaju hipochondryk. Naprawdę, na serio. - Nagle oczy jej się rozszerzyły. - Niech to wszyscy diabli!

- Co się stało?

- Właśnie sobie przypomniałam! Odziedziczyłam coś więcej niż tylko temperament von Hohenburg-Willemlöhe'ów!

- Co jeszcze? - zapytała ze zgrozą Kenzie. - Hemofilie?

- Coś gorszego - pośępnie oświadczyła Zandra. - Po Hedwidze Saksońskiej mam słabą głowę!

- Nie bądź niemądra! Wydaje mi się, że masz całkiem mocną głowę. Jesteś tylko o jedną szklaneczkę w tyle za mną i...

- A jak już o tym mówimy - przerwała smętnie przyjaciółka - to biedna, nieszczęsna Hedwiga miała jeszcze jedną wspólną cechę ze mną.

- Jaką?

- Była za bardzo ufna, gdy chodziło o mężczyzn. Boże, to mogłoby być o mnie, prawda?

- Słuchaj, jedno zgniłe jabłko nie dowodzi, że zepsuta jest cała skrzynka.

- Kochanie, łatwo ci mówić. A może... - Zandra przerwała. - Tak! Może po prostu powinnam pogodzić się z moimi mankamentami i kompletnie zrezygnować z mężczyzn. Co o tym myślisz?

Kenzie parsknęła głośnym śmiechem.

- Myślę, że zupełnie nie masz zadatków na lesbijkę!
- Nie chodziło mi o to, żeby zostać lesbijką, Kenz - odparła surowo hrabianka. - Raczej mam na myśli coś... szlachetnego. Wiesz, może bym wstąpiła do klasztoru?
- Ty... zakonnica!?
- No cóż, myślę, że matce Teresie przydałaby się jeszcze jedna oddana pomocnica, prawda? Myłabym żebraków, karmiła kaleki, troszczyła się o trędowatych...
- Zandra! - wykrzyknęła ze zgrozą Kenzie. - Nie zrobisz tego!
- Przyznasz chyba, że te białe habity z niebieskim paskiem wyglądają okropnie słodko.
- Na tobie by wyglądały paskudnie! Zmieniłabyś się w chodzące logo.
- Logo? Jakie logo? - Zandra zmarszczyła brwi. - Kochanie, o czym ty mówisz?
- No bo to są... to są kolory PanAmu.
- Pana Mu? Jakiego pana Mu? A, PanAmu! Mówisz o tej... linii lotniczej?
- Tej i żadnej innej. Właśnie.
- No więc?
- No więc... PanAm wypłynął brzuchem do góry.
- Och, pamiętam. To okropnie nudne. No dobrze, chyba Czarna Dziura w Kalkucie to nie dla mnie. Ale słuchaj, Kenzie, może lepszy byłby któryś z tych zakonów, gdzie nosi się te olbrzymie, wykrochmalone kapelusze ze skrzydłami? Wiesz, jakie. Bardzo *haute couture*. Jak myślisz?
- Nie, Zandro, nie.
- No to może nie przywdzieję habitu - westchnęła zgnębiona.
- No już, wypij to do końca - poleciła Kenzie, której ogromnie ulżyło.
- Życie świeckie nie jest aż takie złe, jak się już człowiek pogodzi z faktem, że ma i lepsze, i gorsze strony. A poza tym, chociaż mężczyźni mają tyle mankamentów, wciąż jeszcze dobry Pan Bóg nie wymyślił nic lepszego i przynajmniej chwilowo nie ma ciekawszego wyjścia.
- Na razie nie ma.
- No właśnie. Spójrz na wszystko od jasnej strony! Zandro, jesteś niesłychanie atrakcyjna, elokwentna, seksowna, młoda...
- W przyszłym miesiącu skończę dwadzieścia dziewięć lat, a mój biologiczny zegar nie przestaje tykać!
- No to co? Karl-Heinz nie jest jedynym kawalerem do wzięcia na świecie. Wszędzie ich pełno. - Kenzie zmarszczyła brwi i nagle przeszła

do zwierzeń. - Posłuchaj tylko. Kto jak kto, ale ja to dopiero mam problem. Czy znasz jeszcze kogoś, kto ma dwa równoległe romanse, w dodatku oba z gliniarzami, którzy ze sobą współpracują?

- Niegrzeczna dziewczynka! - Hrabianka z satysfakcją pogroziła jej palcem. - Wstydz się!

- To wcale nie jest śmieszne - trapiła się Kenzie. - Wszyscy wiedzą, że gliniarz i jego partner są bliżej ze sobą niż mąż i żona. No to powiedz mi, co powiesz na taki przejaw emocjonalnej stałości?

- Och, Kenz, przynajmniej dobrze się bawisz. Bo chyba tak jest, prawda?

- No tak, ale co się stanie, jeżeli Charley i Hans zaczną sobie nawzajem opowiadać wrażenia z sypialni?

- Czegoś takiego na pewno nie zrobią! To niemożliwe!

- Nigdy nie wiadomo. - Kenzie wysączyła szklaneczkę do dna, podniosła butelkę i ponuro wpatrywała się w ostatnie pół cała wódki. - Jak przyjdzie do zwierzeń w szatni, to gliniarze są gorsi niż nastolatki - oznajmiła, wlewając sobie tę resztkę.

- A nie mogłabyś po prostu jednego rzucić... - Zandra czknęła - ... a zatrzymać tego drugiego?

- I w tym właśnie jest problem. Nie mogę się zdecydować. Kiedy jestem z Charleyem, jest jedyny na całym świecie. A kiedy jestem z Hansem, czuję się dokładnie tak samo!

- No ale przecież są jeszcze inne rzeczy poza urodą i seksem? Chcę powiedzieć, że jeden z nich na pewno ma w sobie coś, czego nie możesz znieść.

- To Charley - stwierdziła Kenzie. - Pyszałek i męski szowinista.

- No to rzuć go.

- Bóg mi świadkiem, że próbowałam. Ale jak tylko go zobaczę... cholerny świat! Dlaczego życie musi być takie popieprzone i skomplikowane?

- Mnie się pytasz?

- Oj! Przepraszam, zapomniałam. To wina pana Smirnoffa.

- Jak już o nim mówimy - powiedziała Zandra bełkotliwie - to chyba się k-kompletnie zalałam. - I z największą uwagą oraz przesadnie ostrożnymi ruchami kogoś, kto się upił na umór, powoli podniosła się na nogi.

To był błąd. Gdy tylko się wyprostowała, pokój zaczął wirować wokół niej. Zachwiała się niebezpiecznie, odzyskała równowagę wymachując rękami, a potem rozłożyła je na boki jakby zamierzała chodzić po linie.

- K-k-kochanie, to chyba nie jest pokój obrotowy, prawda? Jak w tych o-o-ohydnych restauracjach na dachach, specjalnie dla turystów?

- Nie, na pewno nie.

- Tak właśnie mi się wydawało. Musiałam p-p-przekroczyć swój limit.

Z wyciągniętymi rękami i brwiami ściągniętymi w skupieniu, Zandra zajęła się trudną sztuką chodzenia.

- Czekaj, może ci pomogę? - zaproponowała Kenzie. Wstała i chociaż wiedziała, że na pewno nie jest na statku, podłoga gwałtownie przechyliła się pod jej stopami. - Ooo! - powiedziała. - Coś mi się zdaje, że pan Smirnoff mnie też dzisiaj załatwił. - Zataczając się podeszła do przyjaciółki, która zarzuciła jej ręce na szyję.

- K-k-kochanie, prawdziwy z ciebie anioł, żeby już nie powiedzieć że d-d-diabelnie dobry b-b-barman - wybełkotała z pijacką wylewnością. - Nie wiem sama, czy cię c-c-całować, czy p-p-przeklinać.

Kenzie, odrobinę mniej zalana, przejęła inicjatywę. Ale chociaż była mniej wstawiona, można by prawie powiedzieć, że prowadził ślepy ślepego, a dokładniej pijany pijanego. Zataczając się niepewnie, ruszyły do pokoju Zandry, Kenzie otworzyła drzwi i udało jej się wciągnąć przyjaciółkę do środka.

I w samą porę, gdyż tamta opuściła ręce, zwała się do tyłu i padła ukosem na łóżko.

Film jej się urwał.

Kenzie nie zawracała sobie głowy rozbieraniem jej... z trudem dotarła do własnego pokoju, gdzie również padła nieprzytomnie na łóżko.

* * *

Gdzieś z daleka, z krainy poza snem, dochodził dźwięk telefonu. Zandra jęknęła i odwróciła się na bok. Wtuliła twarz głęboko w poduszkę, a drugą naciągnęła sobie na głowę i trzymała ją tak, dopóki telefon nie przestał dzwonić.

Wkrótce potem zdała sobie sprawę, że Kenzie bezlitośnie ją szarpie.

- Hej! Śpiąca Królewno, obudź się! Telefon do ciebie.

- Idź sobie.

- Zandra! Ju-hu! Zandra! Obudź się! - Kenzie klasnęła w dłonie, i zamigotała światłami; włączyła je, wyłączyła, a potem znowu to samo. - Wstawaj, wstawaj, wstawaj!

- Cz-czego...? - wymamrotała ochryple przyjaciółka.

- Jak nie wstaniesz, to wylądujesz w żłobku dla alkoholików! - zagroziła jej Kenzie. - Zapisana na dwunastoetapowy program!

- Która godzina?

- Szósta rano. A teraz marsz do telefonu. Chodzi o twojego brata, Rudolpha.

Rudolph! To imię przebiło się przez alkoholowe oszołomienie Zandry. Rozchyliła gwałtownie powieki, usiadła i natychmiast pożałowała tak gwałtownego ruchu. W czaszce zakłuły ją igielki bólu.

Kenzie przyniosła telefon i wepchnęła jej słuchawkę do ręki. Zandra wzięła ją niezgrabnie i uderzyła się w głowę. Znowu ten kłujący ból!

- Rudolph! - Z trudem opanowała podniecenie.

- Zandra? - Głos był żeński.

- Tak. Kto mówi?

- Penelope Troughton, kochanie! Wiesz, *neé* Gainsborourg? Spotkałyśmy się wtedy w Nowym Jorku...

- Och, Penelope. Boże! He, o co chodzi z Rudolphem? Czy widziałas go? Rozmawiałas z nim? Proszę, musisz mi powiedzieć!

- Właściwie to ja się z nim nie widziałam. Widział go Alex.

- Alex? - powtórzyła Zandra nie rozumiejąc.

- Alex Troughton. Mój nowy mąż.

- I?

- Rudolph jest w szpitalu.

- Do szpitala!

Dobry Boże, błagała w duchu Zandra, to nie może być prawda. Spraw, żeby to nie była prawda!

- Tak bardzo mi przykro, że to ja ci przynoszę te złe wieści.

- Penelope! Proszę cię, czy on...

- Żyje, jeżeli to o to ci chodzi. Ale jest w złym stanie, kochanie. W bardzo złym stanie. Zmaltretowali go tak, iż to istny cud, jak mówi Alex, że w ogóle żyje!

Zandrze wydawało się, że ze wszystkich stron zaciskają się wokół niej ściany.

Zmaltretowali go tak... Te słowa jak grzmot dudniły jej w uszach. To istny cud, że żyje... Rudolph... w złym stanie... zmaltretowany...

O Boże, modliła się, spraw, proszę, żeby był w porządku.

W trzy i pół godziny później, chociaż ją mdliło, a głowa nadal pękała jej z bólu, leciała samolotem British Airways nad Atlantykiem w kierunku Londynu.

39.

Pod względem pogody ten dzień zasługiwał na trzy P: pochmurny, przygnębiający i ponury.

Książę Karl-Heinz był w równie pośępnym nastroju. Wkrótce po wyjeździe Zandry on również wyjechał od Becky V i wrócił na Manhattan, do apartamentu na ostatnim piętrze Auction Towers.

Tu spędził najdłuższą noc swojego życia. Próbował zasnąć, ale mógł tylko leżeć, niby rozbitek wyrzucony przez fale na olbrzymie, złożone łoże jak na bezludną wyspę, a w głowie kłębiło mu się pełno bolesnych refleksji i pretensji do siebie.

Próbował czytać, słuchać muzyki, obejrzeć jakiś film na wideo, ale okazało się to beznadziejne. Nic nie mogło go zainteresować, żadna rozrywka nie potrafiła umniejszyć jego bólu; nawet alkohol nie był w stanie choćby przelotnie zapełnić pustki w jego duszy. Pamięć w kółko podsuwała mu ową fatalną chwilę na zaśnieżonym zboczach, gdy z ust wyrwały mu się owe godne pożałowania słowa: „A jeżeli miłość nie ma z tym nic wspólnego... z pewnością wiesz, jakie są zasady dziedziczenia von und zu Engelwiesenów... czy zdobyłabyś się na to, żeby i tak za mnie wyjść?”

Krzywił się za każdym ze stu razy, kiedy na nowo przeżywał ów upiorny moment. *Gott im Himmel!* Nic dziwnego, że uciekła! On na jej miejscu zrobiłby to samo. Jak mógł być taki głupi... tak zaabsorbowany sobą, swymi pragnieniami, dziedzictwem..

Um Gotteswillen, ależ ze mnie idiota! myślał. Nie, nawet gorzej. Idiotie jego błędy można przynajmniej wybaczyć. A mnie ich wybaczyć nie można...

... i w ten sposób stracił Zandrę. Stracił ją na zawsze...

Z nieznośną powolnością niekończąca się noc przeszła w poranek, a

światło dzienne, słabe i smutne, ukazało niskie, monotonnaie szare chmury.

Ale Karlowi-Heinzowi nawet takie światło wydawało się za mocne; w posępnym nastroju, jaki go ogarnął, z tą bolesną pustką w duszy, szukał ciemności, styksowej czerni nocy; pragnął niepamięci, jaką niesie nicność.

Nacisnął guzik przy łóżku i zadzwonił na Josefa.

Jego służący, który podniósł się przed świtem, natychmiast odpowiedział na wezwanie.

- Słucham jasnie pana? Karl-Heinz ręką wskazał na okno.
- Zaciągnij zasłony - powiedział apatycznie.

* * *

Kenzie zadzwoniła do Charleya w południe i nagrała się na jego sekretarkę.

- Pewnie nie będziesz chciał, żebym ci wynagrodziła tamten wieczór dziś po południu? - zapytała. - Ale gdyby tak, to wystarczy zagwizdać.

W piętnaście minut później Charley oddzwonił gwizdząc.

- Chyba zrozumiałam - odpowiedziała.
- A co z twoją współlokatorką?
- Odleciała o dziewiątej trzydzieści do Londynu samolotem British Airways.

- To znaczy, że będziemy sami?

- Nie, spodziewam się wizyty ciotki Idy z Altoony - odrzekła z sarkazmem Kenzie.

- Jak cię znam, to wcale nie jest niemożliwe. W porządku. Kiedy?

- Jak tylko wyskoczę i kupię trochę *radicchio*.

- Powiem ci coś: ty nastaw nastrojową muzykę, a ja przyniosę *radicchio*.

- Jak romantycznie. Czy zadziałamy na *radicchio* tak jak *Ostatnie tango w Paryżu* na masło?

- Pewnie nie zostało ci - zapytał Charley - ani trochę tego szampana?

- Chyba nie chodzi ci o wczorajszy szampan?

- Chodzi.

- Wyszedł do ostatniej kropelki.

- Auu!

- Sam sobie „auu”! Wszyscy wiedzą, że otwarty szampan źle się trzyma.

- Nie masz takiego specjalnego gadżetu?
- Gadżetu?
- No wiesz, taki chromowany korek z klapką. Można nim absolutnie szczelnie zamknąć butelkę.

- Ach, takiego gadżetu - odrzekła Kenzie niedbale. - Mam, ale to nie to samo.

- Cholera. A właśnie dziś musi być niedziela! Sklepy monopolowe są pozamykane. - Przerwał. - Zobaczę, co da się zrobić.

Kenzie nuciła sobie podczas kąpieli i potem, gdy zakładała ciemnoniebieskie legginsy i klasyczną bluzę futbolisty, która sięgała jej do kolan. Miała kolor khaki, na rękawach granatowe paski i naszyte na łokciach laty. Chopin na odtwarzacz CD, Chanel nr 19 za uszami i na dekolcie - i już gotowa była łamać serca.

Charley pojawił się z następną butelką Dom Pérignon.

- I na litość Boską - powiedział - nie pytaj, skąd ją wytrzasnąłem.

Ucałowała go lekko w usta.

- No, skąd?

- Z mojej ulubionej restauracji. Jeżeli się o tym dowiedzą odpowiednio władze, właściciel może stracić licencję. A jak już mówimy o kosztach, to nie pytaj też, ile za nią zapłaciłem.

- Nie sprawię ci takiej przyjemności! Och, jak ty wyglądasz! - Zmierzyła mu figlarnie włosy. - Mój ty rozrzutniku, pewnie będę musiała sprawić, żeby ci się to opłaciło, co?

* * *

Dlaczego, pytała samą siebie Zandra przemierzając posępne, wiktorjańskie korytarze w poszukiwaniu pokoju Rudolpha, dlaczego szpitale na całym świecie muszą pachnieć jak szpitale? I dlaczego muszą poważnie mieścić się w czymś, co przypomina nieprzyjazny, stary arsenał?

Ten przedstawiciel swojego rodzaju był wyraźnie reliktem z czasów Charlesa Dickensa - brudne cegły na zewnątrz, ponury i przepisowo tradycyjny wystrój wewnątrz - dokładnie czegoś takiego należałoby się spodziewać po dziewiętnastowiecznym domu wariatów. Jakoś trudno było jej pojąć, że to nie szpital dla upośledzonych umysłowo, a cierpiącym i chorym pomagano tu i uzdrawiano ich, nie zaś więziono.

Pokój 432...433...

Obcasy Zandry stukwały po wytartym, wkleśłym granicie, od sklepionego sufitu i nagich ścian odbijały się echa. W jednej ręce trzymała swoją

torbę, wciąż jeszcze wypchaną zgniecionymi rzeczami, których nie wypakowała po weekendzie; w drugiej przywiędły, przepłacony bukietik chryzantem, który kupiła na lotnisku.

Czuła się równie nieświeżo, jak one wyglądały, a może nawet gorzej. Chociaż zwymiotowała w samolocie, męczył ją wciąż jeszcze ból głowy w pierwszorzędnym gatunku; miała wrażenie, że jej czaszkę wykonano z kruchej waty szklanej, która w dowolnym momencie może rozpaść się czy połamać na maleńkie, ostre kawałeczki.

Pokój 447... 448...

Tam! 449!

Nienaoliwione zawiasy zapiszczały w proteście, kiedy powoli otwierała ciężkie drzwi.

- Rudolph? - powiedziała śpiewnie, półgłosem.

Zajrzała do środka i zamilkła; to nie była sala, tylko cały oddział. Łóżka z metalowymi ramami, pokrytymi poźółkłą, poobijaną emalią, ciągnęły się w nieskończoność, pofalowane linoleum, wypastowane tak, że lśniło jak lustro, odbijało materace po obu stronach, dając złudzenie, że łóżka są piętrowe. Na drugim końcu, gdzieś daleko, deszcz tłukł w gotyckie okna z taką siłą, jakby ktoś rzucał w nie kamykami.

Po drugiej stronie Atlantyku mogło świecić słońce, ale ona wylądowała na Heathrow we mgle i deszczu. Wróciła do Londynu i oglądała go z absolutnie najgorszej strony.

Witaj w domu, pomyślała Zandra ponuro, cicho zamykając za sobą drzwi i ruszając przejściem między łózkami. Patrzyła po przesuwających się przed nią posłaniach - wszystkie były zajęte - a jej oczy przeskakiwały bez przerwy z lewa na prawo, z lewa na prawo, w poszukiwaniu znajomej, przystojnej twarzy brata.

A jeżeli go nie poznam? martwiła się. A jeżeli tak bardzo uszkodzili mu twarz, że nawet nie będę wiedziała, że to on? A jeżeli...

... Serce nagle jej skoczyło. Tam leży! Ziemisty i blade, z zamkniętymi oczami. Jej brat!

Tak zeszczupłał, wychudł i ma taką ściągniętą twarz. Jakże musi być chory, że podłączyli go do tych wszystkich kroplówek! A co tu robi ta cała elektronika, te monitory w nogach łóżka? I te rurki, które są podłączone do wielkich, czarnych rzeczy, pokrywających nogi Rudolpha od krocza aż do kostek. Przypominają nogi Robocopa, takie grube, futurystyczne, z mackami przy kolanach?

Dobry Boże! Co oni mu zrobili?

Przyspieszyła kroku i przypadła do jego łóżka.

- Rudolph! - szepnęła, upuściła torbę i rzuciła bukiet na nocną szafkę. - Och, kochanie, mało nie oszalałam ze zmartwienia... nie potrafiłam sobie wyobrazić, co się mogło stać...

Brat spał dalej, pogrążony w głębokim, bezbolesnym, wywołanym morfiną śnie.

Serce jej się ścisnęło i mało nie pękło na widok tego dziarskiego, przystojnego chłopaka, którego tak urządzili.

Jak mogłam go opuścić, kiedy mnie najbardziej potrzebował? zastanawiała się Zandra ze skrucą. Dlaczego nie próbowałam mu pomóc?

Z oczami pełnymi łez pochyliła się nad śpiącym i pocałowała jego zaróżniony policzek.

Powoli otworzył oczy, ale nadal były one nieobecne i dalekie. Narkotyki działały.

- Rudolphie - szepnęła, przytulając policzek do jego policzka. - Kochanie, to ja, Zandra.

- Zan...dra - zamruczał i powieki mu znowu opadły.

Wyprostowała się i rozejrzała dookoła. Muszę porozmawiać z jego lekarzem, pomyślała. A już na pewno przynajmniej z pielęgniarką. Muszę dokładnie dowiedzieć się, co mu się stało.

- Rudolphie - powtórzyła łagodnie. - Kochanie, czy ty mnie w ogóle słyszysz...?

- Wątpię - powiedział jakiś prostacki głos za jej plecami.

Zandra wzdygnęła się, odwróciła i podniosła oczy. Zszokowana widokiem Rudolpha w podnieceniu nawet nie zauważyła młodego, chudego człowieka, który leniwie opierał się o łóżko naprzeciw jej brata i czyścił szczyrykiem polakierowane paznokcie.

Czy ja go znam? zapytała sama siebie. Czy powinnam? Wygląda znajomo, ale...

Wyprostowała się i zmarszczyła brwi, usiłując go jakoś umiejscowić.

Był dobrze zbudowany, miał twardą twarz, cerę rumianą i cień zarostu na brodzie. W rysach chłopaka dostrzegła coś dzikiego i prymitywnego; jego oczy były martwe, ale czarne włosy lśniły. Niewątpliwie uważał, że dzięki swej fryzurze retro w stylu lat pięćdziesiątych wygląda jak Elvis.

A naprawdę wyglądał jak tani zbir.

Wszystko w nim sprawiło, że Zandra poczuła przechodzące po skórze ciarki. Nawet jego kosztowny, gładki, lekko połyskujący garnitur i lśniące, spiczaste, czarne buty budziły obrzydzenie.

- Porządnie dali mu w żyłę na operacyjnej, naprawdę - powiedział przerywając w połowie swój manicure, żeby kiwnąć głową w kierunku Rudolpha. - Ale bólu to żadnego nie czuje, możesz mi wierzyć.

- Kim pan jest? - zapytała ostro Zandra, marszcząc czoło. Przechyliła głowę w bok. - Czy ja się z panem już gdzieś nie zetknęłam?
- Dopilnowałem, żeby braciszka tu przynieśli - wyjaśnił chłopak.
- A więc jest pan jego przyjacielem - założyła Zandra. - Dlaczego pan tak od razu nie powiedział? Miło z pana strony, że go pan odwiedził, naprawdę. Okropnie ponure to miejsce, czyż nie? Nie zaszkodziłoby go trochę rozweselić.
- No, żeby prawdę powiedzieć, to bym się jego przyjacielem nie nazywał, siostró - odpowiedział tamten.
- O? - Zawiniła ta „siostra”; Zandra zmarszczyła czoło jeszcze bardziej. - Więc kim pan jest?
- Och, wie pani, znajomi i w ogóle - powiedział z uśmiechem wyższości. - Joe Leach jestem i lubie przypalać ładne hrabinie. - Mrugnął do niej oblesnie, a uśmiezek zmienił się w szeroki grymas. - Teraz już łapiesz, siostró?
- Pan! - Zandrze aż dech zaparło, a ogłuszające wspomnienie przemknęło jej z wrzaskiem przez myśl, jak pociąg, nad którym maszynista stracił kontrolę. Bezwiednie dotknęła swojej lewej ręki tam, gdzie zagoiła się rana po cygarze i gdzie skóra wciąż jeszcze była bielsza; i już na zawsze taka miała zostać.
- Jak to możliwe, że mogłam go zapomnieć? pomyślała. Czyżby moja pamięć usiłowała pogrzebać złe wspomnienie? Nie, to muszą być te jego włosy. Tak, to o to chodzi. Miał wtedy dużo krótsze.
- Pryślaś nam wtedy w październiku, co? - Znowu puścił do niej oko i pokazał nieco krzywe zęby z plombami z Kasy Chorych. - No nie?
- Wynoś się stąd! - syknęła roztrzęsiona. - Natychmiast stąd wyjdź!
- Wszystko w swojej porze, siostró. - Chwycił zasłonkę przymocowaną do szyn nad łóżkiem i obszedł łóżko dookoła, tworząc wokół nich trochę prywatnej przestrzeni. - Po pierwsze - powiedział - musimy sobie troszkę pogadać, mam rację?
- Nie - odpowiedziała cicho, a w jej głosie pojawiła się twarda, obca nuta. - Absolutnie nie mamy o czym rozmawiać. A teraz, jeżeli będzie pan tak uprzejmy, proszę po prostu stąd wyjść...
- Leach nie zwracał na nią uwagi.
- Możemy sobie albo pogadać tutaj, albo przy obiadku u Ritza. Nigdy tam jeszcze nie byłem z prawdziwą hrabiną.
- Uczciwie mówiąc - oznajmiła Zandra - wolałabym rowy kopać, niż iść z kimś takim jak pan na obiad.
- Taaa... - Znowu puścił do niej oko. - Ale co by wolał twój brat, siostró?

Zandra patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie ośmieli się pan go palcem tknąć!
- Już go tkłem. A skąd by się tu inaczej wziął?

Joe Leach leniwie obszedł łóżko i zbliżył się do niej. Kiedy stanęli twarzą w twarz, uniósł do góry scyzoryk tak, że światło odbiło się w ostrzu, które błysnęło.

To jest szpital, powiedziała sobie Zandra, miejsce, gdzie się uzdrawia. Zachowaj spokój. On nie ośmieli się nic zrobić. Nie tutaj. Wstrzymała oddech i czekała.

Po chwili tamten z trzaskiem zamknął nóż i schował go do kieszeni.

- Bardziej ty jesteś z jajami, niż ten twój brat, to ci musze przyznać. Ulga jaką odczuła Zandra, była wprost nieznośna.

- No, siostrzo? Obiadek?

Zandra uniosła brodę do góry i potrząsnęła głową.

- Może powiedziałby pan to, co ma pan do powiedzenia, żeby już raz z tym skończyć?

- No, no, ale jesteśmy twardzi. Robimy co możemy, żeby wszystkim utrudnić życie. No to żeby nie było na mnie, że robie, co musze. Wszystko twoja wina, rozumiesz? - Jego szare, obślizgłe oczy znowu mrugnęły na nią oblesnie; wyciągnął rękę i wziął prawą dłoń Rudolpha. - Na pierwszy ogień mały paluszek. - Nie spuszczał oczu z Zandry. - Jedna złamana kostka więcej, jedna mniej, bez znaczenia, co?

- Błefuje pan - powiedziała słabo; zrobiło jej się już całkiem niedobrze.

- Chcesz się przekonać? - Nie spuszczał z niej oczu. - To jak, nie idziemy do Ritza?

Nie chciała z nim iść... nie mogła!... nie po tym, co jej zrobił w październiku; nie po tym, co zrobił Rudolphowi!

- Nie - szepnęła.

I wtedy zrobił to, przez cały czas nie spuszczając z niej wzroku. Odgiął mały palec Rudolpha do tyłu, aż dotknął on nadgarstka. Zandra wzdrygnęła się kiedy usłyszała jednoznaczny trzask łamanej kości. Ten dźwięk przeniknął ją na wskroś i musiała zatkać sobie ręką usta, żeby zdusić krzyk.

Leżący prawie nie zareagował. Dzięki Bogu, że nafaszerowali go środkami przeciwbólowymi, pomyślała. Prawdopodobnie nic nie czuje. A przynajmniej na razie nie czuje...

- Następny będzie paluszek wskazujący. - Joe Leach uśmiechnął się okrutnie, jak zdegenerowany młodzik, który obrywa skrzydełka musze.

Wtedy jednak obok nich zaskrzypiały gumowe podeszwy. Zbir zawa-
hał się, a potem niechętnie puścił dłoń Rudolpha. Pielęgniarka odcią-
gnęła zasłonkę.

- Nie wolno tego zaciągać, moi złoci! - zbesztła ich z wyrzutem.

- Siostro - odezwała się niespokojnie Zandra - jak się czuje mój brat?
Czy może mi siostra coś powiedzieć? Właśnie przyleciałam z Nowego
Jorku...

Starsza, stateczna kobieta cmoknęła ze współczuciem.

- Biedaczysko - powiedziała, popatrując na śpiącego pacjenta i po-
trząsając głową. - Dwie rzepki ma zmiażdżone, dwie.

Zandra poczuła, że robi jej się słabo. Ten uśmiechnięty potwór
Zmiażdżył Rudolphowi obie rzepki w kolanach! I stoi tutaj, spokojny
jakby nigdy nic! Spiorunowała Joe'ego Leacha wzrokiem; czuła jak z
obrzydzenia i wstrętu żółć podchodzi jej do gardła. Miała ochotę rzucić
się na tego łotra, wydrapać mu oczy, rozedrzeć gardło.

- Operowali go dziś rano - dodała pielęgniarka, poprawiając leżące-
mu poduszki.

Zandra poczuła, że żołądek jej się zaciska z potwornej obawy.

- Czy on... - zaczęła i przerwała, żeby głęboko zaczerpnąć powietrza. -
Siostro, on będzie jeszcze chodził, prawda?

- Jeżeli zastosuje się odpowiednią terapię, to chirurdzy myślą, że
wszystko się pięknie pozrasta. Zastąpili mu obie rzepki plastikiem i tyta-
nem, tak zrobili. Ale minie kilka miesięcy, zanim się podniesie i dojdzie
całkiem do siebie, złociutka.

Zandra ze wszystkich sił musiała powstrzymywać się, żeby nie zacząć
krzyczeć, i krzyczeć, i nigdy nie przestać.

- Nic ci nie jest, złociutka? Jakaś się taka nagle zrobiłaś blada.

Pokręciła głową.

- Wszystko... wszystko w porządku, dziękuję.

- Jeżeli jesteś całkiem pewna....

- Absolutnie.

- Dobrze. - Pielęgniarka pokazała na Joe'ego Leacha. - Ten tu sym-
patyczny dżentelmen pomógł go przynieść. Wiesz, był tam, kiedy miał
miejsce wypadek i nie odstępował twój brat od tej chwili. Można od-
zyskać wiarę w rodzaj ludzki, prawda?

Zandra zerknęła na Joe'ego Leacha, który stał obok nich uśmiechając
się jak niewinny ministrant. Miała ochotę zwymiotować.

- Biedaczysko - ciągnęła dalej pielęgniarka, patrząc na Rudolpha. -
Wyobraź sobie tylko, żeby wejść między zaparkowany samochód a

ciężarówkę i żeby ciężarówka się akurat na człowieka cofnęła! - Potrząsnęła głową. - Dreszcze mnie przechodzą. Okropne. Okropne!

To kłamstwo! - chciała wrzasnąć Zandra. Cholerne kłamstwo!

- Doktor będzie na obchodzie o wpół do siódmej - powiedziała pielęgniarka. - Możesz wtedy z nim porozmawiać, złociutka. Jestem pewna, że będzie potrafił odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania. - I poszła zająć się następnymi pacjentami.

Joe Leach podniósł znowu dłoń Rudolpha i wykrzywił się do Zandry.

- Ale śmiesznie, co? Obojętne, czy zasłonki zaciągniemy czy nie. Mogie mu połamać wszystkie paluchy, a on ani piśnie.

Patrzyła ze zgrozą, jak ujmuje palec wskazujący Rudolpha.

- No, hrabino? Teraz też chrzaniś moje zaproszenie na obiad? - I powoli zaczął odginać drugi palec do tyłu.

Nie mogła już tego dłużej wytrzymać.

- Na litość boską, niech pan przestanie! - szepnęła. - Pójdę na ten pański cholerny obiad!

Joe Leach puścił rękę Rudolpha.

- Cosik mi mówiło, że dojdziemy do porozumienia. No to chodź, siostrze, cholernie jestem głodny!

Zandra z niedowierzaniem poszła za nim.

Jak będzie mógł jeść po tym, co właśnie zrobił? zastanawiała się. A ja?

* * *

Sala jadalna u Ritza jest prawdopodobnie najpiękniejszą salą restauracyjną w Londynie. Stylowe fotele, różowe obrusy, obfitość złocień i kryształów, wyniosłe okna wychodzące na Green Park.

Mieli stolik w alkowie, pod jednym z fresków przedstawiających kolumny jońskie spowite w girlandy. To, że w tym skądinąd kojącym otoczeniu siedział naprzeciw niej Joe Leach, było dla Zandry zarówno czymś nieharmonijnym, jak i obscenicznym.

Pomimo kosztownego, szytego na miarę garnituru, ten człowiek nie pasował do tutejszego zadowolonego z siebie, dobrze ubranego tłumu. Wszystko w nim aż krzyczało o chamstwie - jaskrawy krawat w fioletowo-pomarańczowe paski, toporne maniery, ordynarny akcent z przedmieścia. Jedno spojrzenie wystarczyło i stawało się oczywiste, że bardziej w jego stylu było jedzenie ryby z frytkami z zatłuszczonej gazety.

A on ani tego nie widzi, ani go to nie obchodzi, pomyślała Zandra.

- Zawsze mi się zdawało, że tutaj trzeba rezerwować stolik - powiedziała.

- No pewno. - Szeroko się uśmiechnął. - Ale nie jak sie Ritza troche przyciśnie.

- Przepraszam?

- Jak sie wsunie szefuniowi sali w łapę sto gwinei.

- Ile? - Patrzyła na niego z drugiej strony stołu szeroko otwartymi oczami. To chyba wariat!

Przyszła jej do głowy niepokojąca myśl, że pewnie ma rację.

- A ja tak kombinuje - ciągnął Joe - jeżeli za setkę dał nam stolik, to co zrobiłby za dwie, kapujesz? Majtki by sobie spuścił przy ludziach? - I wybuchnął tak głośnym śmiechem, że ludzie zaczęli odwracać głowy.

Zandra marzyła, żeby zapaść się pod ziemię. Dobry Boże, myślała, że-bym tylko nie spotkała kogoś znajomego!

Leach pstryknął palcami, żeby zwrócić na siebie uwagę kelnera.

- Hej, panie starszy! Przynieś no pan nam butelkę szampanu, i to nie jutro, tylko dziś!

Zandra z trudem powstrzymywała się, żeby nie wstać i nie wyjść.

- Wymyśliłaś już, co chcesz? - zapytał ją Leach, kiedy butelka Taittinger Brut Reserve została otwarta i napełniano im kieliszki.

- Prawdę mówiąc, nie mam apetytu.

Leach nie przejmując się tym zamówił dla niej.

- Oboje se zjemy marynowanego łososia na sałatce z imbiru i limonek - powiedział, czytając z menu. - Potem rozbratel z puddingiem Yorkshire. A na deser ciasto z kremem z sherry.

Zandra nie tknęła jedzenia. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby dotknąć go na biało-różowym talerzu.

- Marnujesz dobre pieniądze - zwrócił jej uwagę Leach, mówiąc z pełnymi ustami.

Nie mogła znieść jego widoku. Jadł jak świnia - serwetkę, co nawet do niego pasowało, wetknął sobie za kołnierzyk koszuli. Nigdy jeszcze nie przeżyła tak okropnego obiadu.

- No, teraz lepiej - powiedział Leach, kiedy skończył i swój deser, i jej. Odsunął krzesło do tyłu. - To niekulturalnie omawiać interesy na pusty żołądek, no nie?

Zandra milczała.

Jej towarzysz beknął donośnie, wyciągnął drewnianą wykałaczkę z kieszeni i zaczął czyścić sobie zęby.

- Wiesz, hrabinio, z tego twojego brata to dobry numer, żeby być winnym tyle szmalu i zwiać sobie. Kupę kłopotów ludziom narobił.

- Dlaczego mu po prostu nie dacie spokoju? - zapylam cicho.
- Może i chciałbym mu dać. Z miłą chęcią zrobiłbym dużo fajnych rzeczy dla takiej fajnej babki jak ty. - Znowu puścił do niej oko i roześmiał się. - Szkoda oczywiście, że nie mogię. Za dużo jest krewny moim ludziom.

- Ile?

- Chwileczkie... wliczając procenty, powiedziałbym, że tak z równy milion funciaków.

Zandra wpatrywała się w niego zaszokowana. Kiedy się odezwała, głos miała ochryply.

- Milion! Pan chyba żartuje!

Leach rozmawiając nie przestawał dłużyć sobie w zębach.

- Procenty mają to do siebie, że jakoś ich tak przybywa.

Siedziała, próbując oswoić się z nieprawdopodobną wielkością tej kwoty.

- Ale śmieszne, nie? Nigdy byśmy go nie nakryli, jakby nie był taki pioruńsko głupi. Tak przywarował, żeśmy go znaleźć nie mogli. Ale nie mógł wytrzymać z daleka od zielonego stolika. Zgubił go hazard, ot co.

Zapadło przeciągłe, przedłużające się milczenie.

- No, w szpitalu żaden z niego dla was pożytek - powiedziała Zandra.

- Chyba że nie zależy wam na pieniądzach. Wpadło wam to do głowy?

Leach uśmiechnął się szeroko.

- Cosik widzi mi się, że poza szpitalem też z niego niewielki pożytek, nie?

Nie odpowiedziała.

- Trzeba dać przykład innym. - Jego szare oczy pociemniały. - Dostanie nauczkę, nie mam innego wyjścia.

Twarz Zandry zrobiła się szara.

- Oczywiście, że ma pan wyjście.

Znowu mu się odbiło.

- Twój brat ma dwadzieścia cztery godziny, żeby spłacić dług. Potem zrobi mu się łokietki. W czterdzieści osiem godzin później obie kostki u nóg. Ludzkie kości pękają równie łatwo jak u kurczaka, ale o tym żeś się już przekonała, co nie?

- Ty kanalio! - szepnęła Zandra, przesywając go miazdzącym wzrokiem.

Zbir wzruszył ramionami.

- To bez znaczenia, co ja jestem. Znaczenie ma to, żeby zapłacił. Bo jak nie, to jak mu nie zostanie nic do złamania, popłynie sobie Tamizą.

Na moment ogarnęła ją panika. Och, Boże, pomyślała. To nie może działać się naprawdę. To tylko senny koszmar, a ja zaraz się obudzę. Joe Leach znowu wyszczerzył zęby.

- Nie jest to piękny widok, taki topielec. Zapytaj byle jakiego gliniarza.

Twarz Zandry przybrała twardszy wyraz.

- Jeśli już mowa o policji, to jeżeli jeszcze raz palcem dotkniesz Rudolpha, idę prosto do Scotland Yardu. Czy wyrażam się jasno?

Uśmiech Leacha przybladł.

- Gliniarze nic ci nie pomogą! Zrozum, twój brat ma takiego pietra, że niczego nie wyśpiewa!

- On może nie, ale ja tak.

Mężczyzna pochylił się nad stołem.

- No to idź do tych pioruńskich gliniarzy. Zobacz, czy ci co z tego przyjdzie. Ale tyle ci powiem. - Tu wysunął palec w jej kierunku. - Ty coś wyśpiewasz, a my z twojego cennego braciszka zrobimy topielca. Będziesz to wszystko miała na sumieniu, laleczko.

Zandrze zaczynało się kręcić w głowie. Musi istnieć jakiś sposób, żeby uratować Rudolpha! myślała rozpaczliwie. To mój brat! Nie mogę stać z boku i pozwolić, żeby go maltretowali, a w końcu zabili.

Joe Leach wykałaczką prowadził wykopaliska w trzonowym zębie.

- Dwadzieścia cztery godziny, tyle ma i kropka, „złoćciutka”. Jak nie, to nigdy już nie będzie ruszał rękami, a przynajmniej na pewno nie normalnie.

- Ty sukinsynu! - Zniżyła głos do szeptu. - Rajcuje cię, jak to robisz, prawda? Masz nadzieję, że nie zdoła zapłacić?

Joe Leach cały czas szeroko się uśmiechał. Ma rację, myślał. Ale jest jedna rzecz, która by mnie nawet jeszcze lepiej rajcowała. Lubię dzielne kobiety z charakterem, zwłaszcza jeżeli są piękne. Żebym je dostał w swoje ręce i powoli, ale pewnie złamał ten ich cholerny charakter, to właśnie najbardziej lubię robić.

Zandra odetchnęła głęboko.

- A jeżeli ja zapłacę ten jego karciany dług? - zapytała cicho. - Czy wtedy zostawisz Rudolpha w spokoju?

- Masz tyle forsy? - Zbir popatrzył na nią uważnie.

- Na razie nie. Ale mogę ją zorganizować.

- W dwadzieścia cztery godziny?

Potrząsnęła głową.

- Będę potrzebowała co najmniej dwa dni. Może nawet trzy.

Z namysłem wydał wargi.

- No dobra - powiedział w końcu. - Masz sześćdziesiąt godzin. Kropka.

Zandra skinęła głową.

- A jak szmalu na czas nie będzie, nastąpi pożegnanie z łokciami... twoimi łokciami, nie twojego brata. Rozumiesz?

Słabo skinęła głową, ale głos miała stanowczy.

- Tak - powiedziała.

- I musisz zapłacić całość. Żadnych rat.

- Czy prosiłam o jakieś raty? - Zandra uniosła brodę do góry.

Lech nie odpowiedział.

- Może byś mi powiedziała, skąd weźmiesz forse? - zapytał po chwili.

- W zasadzie - odparła Zandra zimno - to nie pański zamazany interes.

- O co ci, do diabła, idzie? Teraz to twój dług, więc szlag by to, bo to mój interes, siostró. Martwię się, jak ludzie tyle mi wiszą. - Zrobił z palców pistolet i wycelował w nią. - Kumaszą?

- A jak panu nie powiem - zapytała Zandra lekkim tonem - to co pan wtedy zrobi? Paznokcie mi pan powyrywa?

- Na twoim miejscu cholernie bym to poważnie potraktował, „zło-ciućka”.

- No ale nie jest pan, prawda? - powiedziała ze znużeniem. - I tak naprawdę wcale się pana nie boję. - Nie była to, dokładnie rzecz biorąc, prawda... nie, to wcale nie była prawda. Właściwie, bała się go... okropnie się go bała. Ale nie miała mu zamiaru zrobić przyjemności, pokazując to po sobie.

Lech łypnął zezem do kieszeni, sięgnął do marynarki, wyjął wizytówkę, na której nie było nic, oprócz wydrukowanego numeru telefonu i złotym wiecznym piórem nabazgrał inny numer i kwotę.

- To będzie bank Barclaysa. Napisałem tu numer rachunku. Pieniądze możesz nadać telegraficznie bezpośrednio na ten rachunek, siostró. - Podał jej wizytówkę przez stół, trzymając kartonik pomiędzy palcem środkowym i wskazującym.

Zandra wyrwała mu ją, popatrzyła, spojrzała raz jeszcze, a potem spiorunowała go wzrokiem. Nozdrza jej się rozděły.

- Co to ma znaczyć? Powiedział pan, że dług wynosi równo milion. A tu napisał pan milion i ćwierć!

- No. - Lech szeroko się uśmiechnął i zaczął się bujać na krześle. - To obejmuje dodatkowe kary, oprocentowanie i przekazanie tytułu własności.

Zandra gwałtownie zamruwała rzęsami.

- Przekazanie czego?

- No wiesz, opłaty związane z przekazaniem. Jak przy rejestrowaniu nowego właściciela pojazdu.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Naprawdę to z pana jest zdumiewający, pierwszej klasy złamany chuj.

- Taa? - Lubieżnie się do niej uśmiechnął. - Cały ja! Pierwszej klasy i wcale nie złamany.

Zandra przewróciła oczami.

- Och, niech pan da już spokój - powiedziała znudzonym głosem.

Leach przestał się huśtać na krześle i pochylił się do przodu.

- Dam ci coś innego, jeżeli chcesz tego „złociutka”. A jak nie zapłacisz, dostaniesz za darmo, przekonaj się, czy nie. Rozumiesz, doczekać się tego nie mogę.

Kiwnęła na niego, żeby przysunął się bliżej. Kiedy to zrobił, powiedziała:

- Niech ci się to przyśni, ty mendo.

- Już mi się marzy! - Znowu uśmiechał się szeroko.

Przyszedł kelner z rachunkiem; Leach odprawił go machnięciem ręki.

- Zapłaci ta dama - oświadczył; wykałaczką podsłakiwała mu w górę i w dół w kąciку ust.

Zandra przyjęła tackę z rachunkiem, lecz jak tylko kelner się oddalił, powiedziała:

- Widzę, że się pomyliłam. Nie tylko złamany chuj, ale na dodatek tani.

Wyjął wykałaczkę z ust, pochylił się nad stołem i zanim zorientowała się, co ma zamiar zrobić, wetknął jej patyczek między wargi.

Natychmiast z obrzydzeniem ją wypluła.

- *Adiós*, hrabinio! - uśmiechnął się z wyższością Leach, wstając i pozdrawiając ją drwiąco. Potem zaś poprawił sobie kłapy i odszedł dumnym krokiem.

Zandra przyglądała się, jak odchodził. Nie widziała chyba jeszcze nigdy kogoś tak obmierzłego! Ze znużeniem odwróciła kartkę i spojrzała na rachunek. Ten obiad kosztował tyle, ile wynosiła jej tygodniowa pensja! Sięgając po torebkę, Zandra błogosławiła kartę kredytową American Express, którą Burghley wydawał swym pracownikom.

Dzięki Bogu, że nie wypadłam z domu bez niej, pomyślała. Gdyby tak się stało, tkwiłabym teraz w kuchni Ritza i zmywała garnki.

* * *

Bez wiedzy Zandry Joe Leach przekazał wcześniej *maître d'hotel* wizytówkę razem z wprost nieprzyzwoicie hojnym napiwkiem.

- Zadzwoń na ten numer i powiedz komuś, kto odbierze, żeby Freddie sie ze mną tu spotkał - szepnął.- Przyswajasz?

Wyglądało na to, że *maître d'hotel* przyswoił.

A teraz, wychodząc z restauracji, Joe spotkał wyżej wymienionego Freddie'ego. Był to przystojny facet, na oko czterdziestoparoletni, którego można by wziąć za godnego szacunku bankiera - z powodu jego melonika, grubego płaszcza i z parasola.

- Dobrze sie przyjrzałeś tej laleczce, z którą byłem? - zapytał Leach.

- No.

- Idź za nią. Nie spuszczaaj jej z oczu, kontaktuj sie ze mną przez komórke. Chcę znać każdy jej ruch.

- Zrobi się, szefie.

* * *

Zandra pojechała Piccadilly Line z powrotem na Heathrow, gdzie miała zamiar zdrzemnąć się w poczekalni.

Muszę skądś wykopać milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów, powtarzała w kółko w myśli. Niemal dwa miliony dolarów.

Miała na to całe sześćdziesiąt godzin. Zerknęła na zegarek i nagle zrobiło jej się zimno. Nie, wcale nie, w obliczeniach był błąd.

Muszę czekać niemal jedenaście godzin, zanim odleci mój samolot, potem sześć godzin w powietrzu, dobra godzina albo dwie, aż przejdę przez cło i dojadę na Manhattan. Zostanie mi tylko trzydzieści dziewięć albo czterdzieści godzin, jeżeli nie będzie opóźnień w locie!

Zapadła się głębiej w fotel. Czuła się niemal fizycznie chora.

Milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów, nie przestawała myśleć. Muszę skądś wykopać milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów, bo jeżeli nie...

Tymczasem sekundy mijały szybko jedna za drugą, godzina zero była coraz bliżej... jak w bombie zegarowej.

Pociąg wjechał na stację, zatrzymał się, żeby pasażerowie wysiedli i znowu ruszył; Zandra zastanawiała się: Jaka jest moja wytrzymałość na ból? Czy stracę przytomność, kiedy zrobi się nie do zniesienia? Czy umrę?

Nie miała pojęcia.

* * *

Joe Leach siedział w jednym z modnych londyńskich kasyn, którymi kierował, kiedy zaćwierkał telefon komórkowy.

- Taa?

- Jest na Heathrow.

- Pewnie czeka na lot do Nowego Jorku. Trzymaj się blisko i zobacz, którym poleci.

- Czy mam ją zatrzymać?

- Nie. Niech leci.

W Nowym Jorku będzie na nią czekał utalentowany tubylec, postanowił. Może ją śledzić i dopilnować, żeby się nie zmyła.

Poniedziałkowy poranek na Manhattanie nie był zachęcający. Znowu chmury, plus kilka dziur w przezroczystym niebie - jakby w ten sposób pogoda przepraszała za całe to ponuractwo. Dina jadła śniadanie z Robertem, gadając bez przerwy, że Becky to, a Becky tamto. Mąż, który czytał *Wall Street Journal*, pochrząkiwał od czasu do czasu i robił, co mógł, żeby jej nie słyszeć. Jeżeli chciała słuchać samej siebie, proszę bardzo. Przecież on nie musi. Na dobrą sprawę już do perfekcji opanował sztukę nie zwracania uwagi na paplaninę małżonki i doskonale umiał wtrącać odpowiednie wykrzykniki, kiedy wymagały tego okoliczności. Kiedy jednak doszło doń, że Dina wspomniała coś o Auction Towers, uznał, że może wypadałoby się trochę skupić.

- Cofnij no się - polecił. - Trajkoczesz milion mil na minutę.

- Ależ skarbie! - odrzekła z wyrzutem, wydymając wargi jak mała dziewczynka. - Słowa nie słyszałeś z tego, co do ciebie mówiłam!

- Taa? No to czemu ci kazałem włączyć tylny bieg?

Dina postanowiła unikać kłótni.

- Mówiłam o przeniesieniu.

- Przeniesieniu? Jakim znowu przeniesieniu?

Przewróciła oczami.

- O to mi właśnie chodzi, skarbie. Nie uważałeś. Mówiłam ci, że musimy opuścić mieszkanie na czas jego renowacji. Prawda?

- No i co?

- No i to, że przyszło mi na myśl, że masz ile - trzydzieści? a może jest ich czterdzieści? - niesprzedanych mieszkań własnościowych w Auction Towers. Wszystkie stoją puste i się marnują.

- Wcale się nie marnują - odpowiedział zrzędlawie, zdenerwowany obrotem rozmowy.

Dzięki Bogu włączył się w samą porę, żeby uniknąć WIELKIEGO KŁOPOTU. Jeszcze tego tylko brakowało, żeby wprowadzili się oboje do tego samego budynku, gdzie uwiła sobie gniazdko Bambi Parker. Jakby sprawy były jeszcze nie dość śliskie!

- Jeżeli stoją puste, to jaki z nich pożytek? - zapytała Dina.

- Pokazuje się je ludziom. Potencjalni nabywcy cały czas się po nich płaczą.

- Po wszystkich?

- Nigdy nie wiadomo. A czemu? Chcesz zaproponować, żebyśmy oprowadzali kupców po mieszkaniu, w którym będziemy mieszkali?

- Oczywiście, że nie, głuptasie - odrzekła nieco opryskliwie. - Próbo-
wałam ci tylko zaoszczędzić wydatków, Robercie.

O cholera, pomyślał, Dina i oszczędzanie pieniędzy! Uśmieć się można.

- Skarbie, musimy gdzieś się przeprowadzić.

Kusiło go, żeby jej powiedzieć: Nie, nigdzie nie musimy się przeprowadzać. Oraz: Właśnie zaczynałem się przyzwyczajać do obecnego wy-
stroju, jaki tam był. Jak również: Najbardziej to mi się podobało nasze
dawne mieszkanie na Central Park West. A także: Wciąż jeszcze tęsknię
za moimi poczciwymi, funkcjonalnymi meblami z GoldMartu. I kusiło
go, żeby wrzasnąć: A ponad wszystko tęsknię za moim wygodnym fote-
lem! Zamiast tego jednak...

- No to pewnie będziesz musiała nam znaleźć jakieś mieszkanie -
powiedział.

- Wiesz, że łatwiej postanowić, niż zrobić, złotko.

- No to może byśmy się zatrzymali w hotelu? - zaproponował.

Dinie zabłyśły oczy.

- Co za wspaniały pomysł! - pisnęła. - Och, Robercie! Wiedziałałam, że
na pewno coś wymyślisz!

- Zajmij się tym wszystkim - polecił jej i pomyślał: Ile może nas kosz-
tować apartament w hotelu? Pewnie nawet w przybliżeniu nie tyle, co to
mieszkanie plus nadmiar służby. Poza tym mając obsługę hotelową, bę-
dziemy mogli wszystkich zwolnić: kucharza, majordomusa, pokojówki...

- Natychmiast się do tego zabiorę - obiecała.

- I bardzo dobrze - odrzekł, gratulując sobie, że udało mu się wyma-
newrować żonę z Auction Towers.

- Wszystko co znajdę przedstawię ci do ostatecznej aprobaty.

- Nie. - Robert potrząsnął głową. - Mam dużo za dużo roboty, żeby
tracić czas na oglądanie mieszkań - stwierdził, postanawiając, że później
wpadnie do Bambi Parker. - Wszystko jest w twoich rękach.

- Nie pożałujesz tego, Robercie - zapewniła go Dina; po tych słowach powinny się były rozdzwonić wszystkie jego wewnętrzne alarmy.

Ale pan Goldsmith, nie słuchał. Gdy już zdecydował się odwiedzić Bambi, spędził resztę posiłku wyobrażając sobie, co może przynieść ten poranek. Gdyby Dina domyśliła się, jakie ma plany jej mąż, pewnie by musiał nosić tyłek na temblaku!

Na szczęście miała na głowie coś innego, a mianowicie, który hotel wybrać - Pierre, Sherry Netherland czy Carlyle - i ile pokoi będzie im potrzeba. Nie ma co mówić, że jej wyobrażenia o hotelu odbiegały bardzo od jego wyobrażeń. A najlepsze ze wszystkiego było to, że Robert nie wyznaczył górnej granicy wydatków, popełniając następny wielki błąd.

Na razie Dina nie widziała jednak powodu, żeby poruszać ten szczególnie temat. Wystarczająco szybko się dowie, tak czy owak.

Ale wtedy już będzie za późno.

* * *

Może i dobrze, że nie mam pokoju z oknem, pomyślała Kenzie, wkraczając do pracy z małą papierową torebką, która zawierała dwa papierowe kubeczki kawy na wynos i dwie kanapki z serem.

- Urroczno - zawołał Arnold Li.

- Proszę cię - błagała go Kenzie. - Za wcześniej jeszcze na to.

- W takim razie uprzejmie ci dziękuję. A, sprawdziłem nagrania na sekretarce. Te są do ciebie. - Podał Kenzie różowe fiszki typu: pod twoją nieobecność.

Pospiesznie rzuciła na nie okiem.

- Nic od Zandry? - zapytała.

- Nie. A dlaczego?

Kenzie zdjęła płaszcz i szybko wprowadziła go w szczegóły nagłego wyjazdu ich przyjaciółki.

- No, czas brać się do roboty - powiedziała. - Równie dobrze mogę zacząć od uporania się z tymi telefonami.

- Zapomnij o innych telefonach - odrzekł Arnold. - Ważny jest tylko jeden, z kodem kierunkowym trzy-jeden-trzy.

- Trzy-jeden-trzy... - Kenzie ściągnęła brwi.

- Detroit i okolice. A zwłaszcza Grosse Pointe.

- A.

- A co ważniejsze, to tam właśnie pogrzebano jedno z ciał.

- Aha!

„Tam pogrzebano jedno z ciał” - było wyrażeniem z żargonu świata artystów i pośredników w handlu dziełami sztuki i odnosiło się do takich skarbów, które wszyscy mieli na oku, kiedy zmieniali właściciela.

Kenzie poczuła potężny przyływ podniecenia.

- Nie mów, sama zgadnę - sapnęła, a oczy jej zabłysnęły. - Szkice da Vinci do jego niedokończonego *Hołdu Trzech Króli*?

- Trafiony! To dobre wiadomości.

- O, to są też i złe?

- No. Zarząd powierniczy spadkobierców chce napuścić na siebie nas, Christie's i Sotheby's.

- A co masz jeszcze do powiedzenia?

- Jak się zdaje, żądają szczególnych warunków, łącznie z gwarancją cenową, niezależnie od tego, czy dostaniemy tyle za te szkice, czy nie.

- A to diabły! - powiedziała Kenzie cicho.

- Nie mógłbym sam tego lepiej wyrazić. U Christie'ego prawdopodobnie będą się wzdragać, ale ludzie od Sotheby'ego rzucą się na to z pazurami. Nierzadko w przeszłości tak postępowali.

- Żeby już nie wspomnieć o przedaukcyjnych pożyczkach dla kupujących - dodała ponuro Kenzie.

- Właśnie. Tak czy owak, dzwoniłem do Sheldona D. Faireya; chce cię widzieć u siebie jak najszybciej. - Arnold określił się razem z krzesłem i podniósł słuchawkę. - Na wszelki wypadek zadzwonię może do linii lotniczych i zajmę się rezerwacją miejsca na lot do Detroit...

Określił się z powrotem, ale Kenzie już nie było.

* * *

Przynajmniej tym razem wyniosła panna Botkin nie wprowadziła Kenzie uroczyście do gabinetu Sheldona D. Faireya, tylko praktycznie ją tam wepchnęła.

- A, pani Turner.

Dyrektor przemawiał najdźwięczniejszym ze swoich głosów; wyglądał imponująco za gigantycznym biurkiem z inkrustowanego kością słoniową drewna wschodnioindyjskiego, tui i hebanu.

- Proszę. - Zrobił okrągły ruch ręką. - Niech pani siądzie.

- Dziękuję panu.

Kenzie zajęła miejsce w jednym z dwóch anglo-indyjskich foteli z rzeźbionego hebanu i czekała.

Sheldon D. Fairey podciągnął mankiety swego wspaniałego eleganckiego garnituru z popielatej, wełnianej flaneli, oparł łokcie na tłoczonej,

zielonej skórce blatu biurka, złożył nobliwie ręce o różowych dłoniach i postukiwał palcami wskazującymi o wargi.

- Sądzę, że orientuje się pani, dlaczego chciałem się z panią zobaczyć?

Kenzie spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, proszę pana. Szkice Leonarda.

- Całkiem słusznie. - Skinął głową i zmarszczył brwi. - Proszę mi powiedzieć, pani Turner, ile, według pani szacunków, mogą być warte?

Kenzie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. O rany, pomyślała. To ci pytanie - za sześćdziesiąt cztery miliony dolarów!

- No cóż - powiedziała powoli. - Naprawdę nawet w przybliżeniu nie potrafię powiedzieć. Jeżeli to istotnie autentyki, to są... bezcenne. W żaden sposób nie zdołam ich wycenić w dolarach.

- Oczywiście, że nie. - Pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Dokładnie tak samo brzmi moja odpowiedź.

Kenzie czekała.

- Na nieszczęście, chociaż może to zabrzmie bardzo po filistyńsku, my, jako aukcjonerzy, zajmujemy się zawodowo wyceną bezcennych przedmiotów specjalnie po to, żeby wyznaczyć ich cenę. Czyż nie taka jest prawda?

- Wiem o tym, proszę pana, ale jeżeli chodzi o szkicownika Leonarda... Po pierwsze, nigdy na oczy nie widziałam żadnego z tych rysunków, tylko na fotografiach, a nie muszę panu mówić, jak fotografie potrafią kłamać. Dużo również zależy od tego, w jakim stanie znajdują się te szkice. Czy spłowiły? Czy są poplamione? Czy mają brązowe przebarwienia? Czy nie są podarte? No i dochodzi do tego na koniec jeszcze sprawa ich rzadkości. Leonardy to nie Picassy, prawie nigdy nie idą pod młotek. O ile sobie przypominam, ostatni taki przypadek miał miejsce, kiedy Basia Johnson....

- Tak, tak, wiem - przerwał rozdrażniony i westchnął. - Proszę panią, pani Turner - dodał miękko - niech pani spełni moje życzenie. Niech pani spróbuje.

Kenzie uniosła ramiona w górę.

- No właśnie, proszę pana. Ja nie wiem! Mogę tylko snuć domysły, a nawet wtedy musiałabym najpierw ocenić ich jakość, autentyczność i stan. A żeby to zrobić, musiałabym je osobiście zobaczyć.

- Zakładam, że pan Li powiedział pani, iż zarząd powierniczy każe nam się zmierzyć z Christie's i Sotheby's?

- Tak.

- Wygląda na to, że żądają podjęcia natychmiastowej decyzji... - Podniósł do góry obydwie ręce dłońmi na zewnątrz, żeby powstrzymać jej protesty. - Wiem, wiem. To w najwyższym stopniu niezgodne z przepisami. Jednakowoż w świetle faktu, że są to szkice Leonarda... no cóż, musimy się nagiąć.

Kenzie milczała.

- Zarząd powierniczy żąda również od nas - i innych domów aukcyjnych - zagwarantowania pewnej minimalnej ceny. Nie trzeba mówić, że wybiorą tego, czyja oferta będzie najwyższa.

- Proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę, ale... mamy tam wszystkiego razem dwadzieścia cztery szkice?

- Tak mi się wydaje. - Skinął krótko głową. - Tak.

- Dobry Boże! To znaczy, że każdy z nich może być wart miliony!

- I dokładnie właśnie dlatego liczę na panią, pani Turner. Nie możemy pozwolić, żeby taka okazja przeszła nam koło nosa. Chcę, żeby poleciała pani do Detroit natychmiast i jeżeli te szkice to rzeczywiście autentyk...

- Załatwię sobie hotel - powiedziała Kenzie. - Ile mam czasu? Tydzień? Dwa?

Fairey uśmiechnął się bez cienia wesołości.

- Obawiam się, że kilka godzin.

- Co! - Kenzie z niedowierzaniem wytrzeszczyła na niego oczy. - Żartuje pan?

- Gdybym tylko mógł.

- Ależ to szaleństwo! Samo potwierdzenie autentyczności...

- Wiem, pani Turner, proszę mi wierzyć, że wiem. Niemniej jednak, jeżeli chcemy się zająć tą sprzedażą, zmuszeni jesteśmy zagwarantować cenę.

Kenzie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Mówiąc „my” - powiedziała ostrożnie - ma pan, o ile się orientuję, na myśli mnie? Że to ja będę musiała zdecydować?

- Tak, pani Turner - potwierdził. - Będzie pani upoważniona do podjęcia tej decyzji.

I to ja pójdę pod nóż, jeżeli cokolwiek się nie uda, pomyślała Kenzie.

Fairey znowu postukał złożonymi palcami.

- Tak więc, jeżeli to autentyki i jeżeli są w dobrym stanie, musimy ustalić, jaką kwotę uznalibyśmy za godziwą gwarancję ceny. Taką, jaka - o ile dopisze nam szczęście - przewyższy gwarancję Christie's... i zwłaszcza Sotheby's.

Jakim cudem ja mam zgadnąć tę kwotę? Nawet tych cholernych szki-
ców nie widziałam. A jeżeli to falsyfikaty?

- Dziesięć milionów? - zapytał Fairey. - Dwadzieścia milionów? Wię-
cej?

Nigdy w życiu nie widziałam takiej sumy pieniędzy. Ile to by było pli-
ków dwudziestodolarówek? Parę pełnych walizek. Pewnie ważyłyby z
tonę.

- Naturalnie musiałbym to uzgodnić z panem Goldsmithem - powie-
dział Sheldon D. Fairey, sięgając po słuchawkę i wystukując numer tele-
fonu komórkowego głównego udziałowca Burghleya. - Miejmy tylko na-
dzieję, że uda nam się z nim skontaktować. Przecież spokojnie mógł wy-
jechać do Timbaktu.

Żeby tylko wyjechał! Nic mnie nie obchodzi, może być w najgłębszej,
najczarniejszej dziurze... na lądzie, morzu lub w powietrzu, gdziekol-
wiek... żeby tylko był w jakimś miejscu, gdzie się go nie da odnaleźć.

* * *

Akurat.

Mieli Roberta A. Goldsmitha niemalże pod ręką. Chociaż ani Kenzie,
ani Sheldon D. Fairey nic o tym nie wiedzieli, znajdował się bezpośrednio
nad nimi, w wynajętym mieszkaniu Bambi Parker na dwudziestym
siódmym piętrze Auction Towers.

Leżał właśnie nagi na futrzanej kapie, a Bambi, jędrna i sprężysta
dzięki aerobikowi i różowa jak brzoskwinia z Georgii, klęczała jak po-
kutnica między jego szeroko rozsuniętymi udami i po mistrzowsku wy-
konywała swoją robotę.

Starła się przy tym nic nie widzieć ani nie słyszeć - zamknęła oczy,
żeby nie oglądać jego galaretowatego cielska; i starła się nie dopuszczać
do świadomości nieustannie płynącej z jego ust obscenicznej litanii. Wy-
konywała swe zajęcie w godny podziwu sposób, zwłaszcza jeżeli
uwzględni się, że myślami była przy własnych planach:

Jeden kutas jest całkiem podobny do drugiego. Będę udawała, że ten
należy do Lexa Bugga i że jak się już dobrze rozgrzeje, to przeleci mnie
tak, że świat mi się skończy.

Krótki ale potężny penis Roberta drgał, napinał się i robił się coraz
grubszy.

Dziś po południu umówiona jestem u Georgette Klinger. Może oprócz
maseczki zafunduję sobie masaż.

Astmatyczne pojękiwania Roberta rozlegały się coraz częściej i głośniej i czuła, jak zaczynają dygotać mu uda.

A potem wejść do Bendela i szarpnę się na jeden z tych wisiorów z żywicy i rafii...

I w momencie, kiedy jego członek już gotów był do erupcji i kiedy poczuła, że zaczyna nim wstrząsać mocny dreszcz...

...biip...biip... biiip...

...zadzwoił telefon komórkowy.

Bambi, która miała nadzieję, że doprowadzi Roberta do orgazmu raczej szybciej niż wolniej, zaczęła ssać go jeszcze silniej, ale odepchnęła ją.

Szlag by to! pomyślała. Teraz będę musiała zaczynać wszystko od samego początku.

- Ro...bert! - przysiadła na piętach i wyduła wargi. - Nie może ten pieprzony telefon sobie podzwonić?

Idealne blond włosy miała rozczochrane, a twarz całą czerwoną, gdyż krew napłynęła jej do głowy, kiedy pochylała się, żeby go wysssać.

- Interesy najpierw, przyjemności potem - wychrypiał. - Przynieś mi telefon.

Bambi się najeżyła.

- Ro...

- Telefon!

- Och, dobrze już! - warknęła ze złością.

Podniosła się z łóżka i poszła wyjąć aparat z kieszeni marynarki. Rzuciła go Robertowi, który nacisnęła guzik „send” i stęknął:

- Taaak.

- Pan Goldsmith? Mówi Sheldon D. Fairey.

- Co jest?

- Pojawiła się pewna pilna sprawa i potrzebna mi jest pańska aprobata.

- No dobra. Tylko proszę się streszczać!

Fairey zrobił, jak mu polecono, a Robert słuchał, od czasu do czasu wydając wymijające pomruki.

Z wargami wciąż jeszcze odrętwiałymi, Bambi wsunęła się z powrotem na łóżko i przykucnęła między rozłożonymi nogami Roberta. Słyszała gładzący głos z drugiej strony słuchawki, ale nie była w stanie rozpoznać słów.

- I pewnie potrzebna panu odpowiedź natychmiast, co? - mówił Robert. - W porządku. Co do tej pani... jak jej tam... Turner...

Panna Parker nastawiła uszu na nazwisko Kenzie i w milczeniu zaczęła poruszać wargami.

- ...ma pan zaufanie do jej sądu?

Robert posłuchał jeszcze trochę, ignorując to, co Bambi jak szalona sygnalizowała mu na migi.

- No to dobra, powiem panu tak. Jest ich dwadzieścia cztery? Dobra. Jeżeli będzie na sto procent pewna, że to autentyki, to upoważniam ją do osiemnastu milionów. Taa, za cały interes! Mam gdzieś, ile one są prawdopodobnie warte. „Prawdopodobnie” mnie nie bierze. Jak będzie miała najmniejsze wątpliwości, to ma tego nie tykać. Rzucić jak gorący ziemniak! Taa. Niech pan będzie ze mną w kontakcie. - Nacisnął guzik „end” i odrzucił telefon na bok.

- Ro...bert! - poskarżyła się Bambi. - To ja podobno mam być głową tego działu.

Robert spojrział na nią przeszywająco swoimi jaszczurzymi oczami.

- Jak już mówimy o głowach, to może byś się zamknęła i wzięła do roboty? - warknął.

- Ale...

- Rób, co ci każę!

* * *

Zandra zadzwoniła z budki na lotnisku Kennedy'ego.

- Arnoldzie, co powiedziałaś, gdzie jest Kenzie? W Detroit? Och, rozumiem. Nie, to nic ważnego. Dzięki, Arnoldzie. Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i westchnęła.

Cholerny świat, pomyślała. To by było na tyle, jeśli chodzi o podporę moralną. No cóż, mogę równie dobrze zakasać rękawy. Im prędzej uporam się z tą nieprzyjemną robotą, tym lepiej.

41.

Książę Karl-Heinz von und zu Engelwiesen był na nogach od bladego świtu. Spędziwszy sobotnią noc, a potem całą niedzielę w sypialni, nagle otrząsnął się z chandry.

Półtora dnia drążenia własnej duszy wystarczyło. Pogodził się z faktem, że miesiące życia jego ojca są policzone - a może tylko tygodnie albo dni? - i pogodził się z tym, że utraci swe dziedzictwo i zobaczy, jak przechodzi ono w ręce tego niewydarzonego pierworodnego jego siostry Sofii.

Jak na ironię, z chwilą kiedy pogodził się z tym faktem, poczuł się dziwnie lekki i pełen radości życia, jak gdyby zrzucił z siebie jakiś wielki ciężar.

Cóż imperium rodzinne był to istotnie ogromny ciężar - każde wielomiliardowe przedsiębiorstwo jest takim ciężarem. Może czas, żeby kto inny powalczył z tą wielogłową hydrą, pomyślał książę.

Poza tym pociągało go przejście na wczesną emeryturę. Miał własną, wielomilionową fortunę, więc bez wątpienia nie grozi mu śmierć głodowa. A co do imperium... no cóż, czy ma to takie wielkie znaczenie w ogólnym układzie wielkich spraw?

Siedział teraz w swoim gabinecie w Auction Towers przy *bureau plat* z kopajowca - właśnie podpisał ostatni dokument, który przesłano mu specjalną pocztą kurierską z Niemiec. Podniósł wzrok, kiedy w drzwiach pojawił się służący.

- Trzeba to bezzwłocznie przefaksować z powrotem, Josefie - powiedział po niemiecku, starannie osuszając bibułą swój podpis. - Oryginały można wysłać przez Federal Express.

- Tak jest, wasza wysokość. - Lokaj przerwał i odchrząknął dyskretnie. - Jest jeszcze jedna sprawa, wasza wysokość.

- Jaka?

Karl-Heinz zakręcił złote wieczne pióro, pozbierał i ułożył równo plik dokumentów, postukując nimi o biurko.

- W holu czeka hrabianka von Hohenburg-Willemlöhe.

Karl-Heinz przestał stukać dokumentami i wziął głęboki oddech.

Na moment jego usta ściągnęły się, a potem do serca napłynęło coś w rodzaju łagodnego smutku.

So, pomyślał. A więc Zandra wpadła go odwiedzić. Czuł się zaskoczony, ale i niezaskoczony zarazem. Ciekawe, czego chce.

- Zaproś ją na górę - polecił, podając służącemu dokumenty.

Josef uroczyście skinął głową.

- Bardzo dobrze, wasza wysokość - powiedział, wycofał się tyłem i uklonił oficjalnie, kiedy doszedł już do podwójnych drzwi.

Karl-Heinz odepchnął krzesło do tyłu, wstał zza biurka i podszedł zamyślony do jednego z okien. Wpatrywał się w dal z rękami założonymi na plecy. Jednolicie szare chmury zawisły nad miastem, otulając całunem szczyty najwyższych budynków. Już o trzeciej po południu w oknach świeciły jasno światła, a gdzieś z daleka, z dołu, dobiegały wrzaski syren, słabe, a przecież natarczywe.

Syreny, klaksony, alarmy. To były dźwięki, które kojarzyły mu się z tymi pionowymi kanionami o ostrych krawędziach. Żeby nie wiem jak człowiek był odizolowany i otulony swym kokonem, męki wijącej się megalopolis nigdy nie dawało się wyciszyć do końca. Rzeczywistość oddalona była tylko o ścianę.

Nagle zatęsknił za nieziemską samotnością swych europejskich zamków. Może, pomyślał, czas już, żebym wrócił i podładował sobie akumulatory.

Jego zadumę przerwał Cesar.

- Hrabianka von Hohenburg-Willemlöhe - oznajmił.

- Dziękuję, Cesarze. - Karl-Heinz odwrócił się od okna.

- Wasza wysokość. - Majordomus uklonił się i cicho zamknął za sobą podwójne drzwi.

Zandra stała niepewnie tuż za progiem pełnego książek pokoju. Wiedziała, że wygląda okropnie: - wymizerowana i blada, oczy miała zaczerwienione z braku snu. Od dwóch dni nie zmrużyła oka, jej organizm wyczerpany był zmęczeniem, spowodowanym zmianą czasu i napięciem nerwowym; znajdowała się na skraju załamania. Powieki miała spuchnięte, w gardle ją drapało.

- No? - uśmiechnął się Karl-Heinz. - Będziesz tam tak stała? Ja przecież nie gryzę.

Udało jej się blado uśmiechnąć. Miał rację, stała przy drzwiach jak idiotka.

Przeszła po płonącym kolorami dywanie i uniosła twarz, żeby mógł pocałować ją w policzek; ze zdenerwowania nie była w stanie odpowiedzieć mu tym samym.

- Nie zajmie to długo, Heinzie - odezwała się tonem pełnym skruchy. Głos miała zachrypnięty z braku snu. - Przejdę od razu do rzeczy.

- Czemu się tak spieszyć? - odpowiedział, w jego głosie brzmiała łagodna sympatia.

Pierś Zandry uniosła się w ciężkim westchnieniu; potem zacisnęła wargi i spuściła wzrok na wirujące wzory na dywanie z Aubusson. Po chwili podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Co do tego ostatniego weekendu, Heinzie... - zaczęła.

- Weekend? Jaki weekend? - Karl-Heinz roześmiał się. - O niektórych sprawach lepiej zapomnieć. Czy nie zgadzasz się ze mną?

Zandra potrząsnęła głową, na twarzy jej malowała się powaga.

- Proszę cię - powiedziała cicho. - Nie ułatwiasz mi całej sprawy. Księżę popatrzył na nią zatroskany.

- Zandro? Czy wszystko w...

- Co do tego weekendu. Ja... no, nie będę udawała, że mnie nie zaskoczyłeś i to kompletnie... chcę powiedzieć, że ucziwie, Heinzie, to było takie... niespodziewane. - Wykręcała sobie palce w napięciu. - I wiem, że moja reakcja była okropna. Tylko że całkiem mnie zbilęś z pantaluku.

- Myślę, że to wybacalne. Jak sobie przypominam, dokładnie spa-prałem sprawę. Żeby powiedzieć prawdę, to czułem się zawstydzony swoim postępowaniem.

- Tak czy owak, pewnie się zastanawiasz i masz całkowite prawo do tego, co ja tu, u diabła, robię. A prawda jest taka, że ja... że przyszedłam dowiedzieć się, czy byłbyś zainteresowany pewną propozycją handlową.

- W takim przypadku - zaproponował, łagodnie biorąc ją za rękę i prowadząc w kierunku najbliższej sofy - usiądźmy. Nigdy nie rozmawiam o interesach na stojąco.

Zandra uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Karl-Heinz opadł na krzesło na przeciw niej.

- Czy mogę ci coś zaproponować? Może drinka? Albo kawę?

Potrząsnęła głową.

- Nie, ja... chciałabym już to mieć za sobą, Heinzie.

Nerwowo przelknęła ślinę. Przestała wykręcać sobie palce i zacisnęła je na kolanach. Skrzyżowała, a potem wyprostowała swoje wspaniałe nogi.

- Nie będę ci miała za złe, jeżeli pomyślisz sobie, że jestem strasznie nikczemna...

Książę pochylił się do przodu.

- Poważnie w to wątpię. Nie wierzę, żebyś była zdolna zrobić coś nikczemnego.

- Proszę cię! - Usłyszała natarczywość we własnym głosie i szybko go przyciszyła. - Pozwól mi skończyć, zanim mnie pochopnie osądzisz - szepnęła, odwracając wzrok, gdyż nie była w stanie patrzeć mu w oczy.

Karl-Heinz milczał.

- Rozumiem, jakie okoliczności doprowadziły do tego ostatniego weekendu. Zdaję sobie również sprawę, że musi być ci cholernie ciężko. - Znowu głęboko zaczerpnęła powietrza. - Równie ciężko, jak mnie.

Obawiając się, że powie coś niewłaściwego, książę nadal milczał.

- Twoje oświadczyzny... ja... ja rozumiem, że to była propozycja handlowa, prawda?

Gdzieś głęboko coś w nim ścisnęło się nieznośnie, zakłuło brutalnym, przeszywającym bólem. O dobry Boże - gdyby tylko знаła prawdę! Gdyby potrafił tę prawdę wyrazić! Tak bardzo, najbardziej na świecie, pragnął chwycić ją w objęcia.

- Chodzi mi o to... - Dziewczyna popatrzyła na swoje rozedrgane palce - ...miałam za ciebie wyjść i urodzić ci to dziecko warte miliard dolarów. Przypuszczalnie o to chodziło?

- Tak - potwierdził ponuro.

Podniosła nagle oczy i spojrzała na niego badawczo.

- No? Czy jesteś tym jeszcze zainteresowany?

Poczuł się zbity z tropu.

- Chodzi mi o to, czemu byś w końcu nie miał dziedziczyć? Potrzebny ci tylko potomek. To znaczy, co w tym takiego wielkiego, żeby się pobrać i mieć syna? Mamy przecież lata dziewięćdziesiąte, ponad połowa małżeństw i tak się rozpada. A przecież nie musimy się pobierać na zawsze, prawda?

- Nie - potwierdził ze ściśniętym gardłem - nie musimy.

- A jak już odziedziczysz dzięki mnie te miliardy... to mnie też by się coś należało, zgodzisz się chyba? Coś jak... jak znaleźne... albo prowizja dla pośrednika?

Oczy miał zasłonięte powiekami.

- A więc przyszedłeś tu, żeby się sprzedać - powiedział bolesnym szepczeniem.

- Nie, Heinzie - poprawiła go stanowczo Zandra. - nie. Nie sprzedać. Wynająć. Możesz mnie wynająć, Heinzie. Mnie i to, co we mnie najcenniejsze, moje prawowite, bezcenne, odziedziczone po Świętym Cesarstwie Rzymskim łono.

- Zandro...

- Oczywiście nie mogę zagwarantować płci dziecka, które będziemy mieli, ale zrobię co w mojej mocy, żeby zagwarantować ci dziedzictwo. A nawet nie zostawię cię i będę miała drugie dziecko, gdyby to pierwsze okazało się dziewczynką.

- A to... to wypożyczenie łona - zapytał sucho książę - ile mnie będzie kosztowało?

- Dokładnie milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów sterlingów, za mnie i moje łono w komplecie. Płatne natychmiast i w pełnej kwocie.

- Dlaczego akurat milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy? - zapytał Karl-Heinz zaskoczony. - Czy to nie za niska cena za ciebie? Czemu nie równe ćwierć miliarda? Albo pół miliarda? Bóg mi świadkiem, że stoisz na pozycji, z której możesz żądać, ile chcesz.

- Już to zrobiłam.

- Ale dlaczego decydujesz się na nędzny milion i ćwierć?

Zandra odwróciła od niego wzrok.

- To moja sprawa - powiedziała cicho. Jej kuzyn pochylił się do przodu.

- Zandro - zapytał łagodnie - czy masz jakieś kłopoty? Czy to o to chodzi? Nie musisz się sprzedawać...

- Wcale się nie sprzedaję! - wyrzuciła z siebie ze złością. - Wynajmuję się!

- Ale nie musisz. Z chęcią tak czy tak bym ci pomógł.

Groziło jej, że przestanie cokolwiek widzieć spoza łez; z trudem powstrzymywała płacz.

- Słuchaj, Heinzie, ja nie chcę pomocy. Robimy po prostu interes. No więc albo zawieramy umowę, albo nie. Powiedz mi, czy się decydujesz.

Karl-Heinz westchnął i popatrzył na nią smutno.

- Na miłość boską! - zawołała gniewnie. - Jestem ci potrzebna, żebyś mógł dziedziczyć! No to wspaniale! Oto ja, cholerny cud, idealny produkt, przygotowany do wypożyczenia! Czy teraz się wreszcie zdecydujesz?

- Zandro - powiedział łagodnie - ty nie jesteś jakimś tam produktem. Słone łzy zakłuły ją w oczy.

- Och, skończ z tym, Heinzie! - Wstała i popatrzyła na niego; wyraźnie było widać, jak cierpi. - Chcesz mnie, czy nie? - zapytała spokojnie. - Teraz albo nigdy. No to jak?

Karl-Heinz podniósł się z fotela.

- W porządku, Zandro - odrzekł.

- Co to znaczy? Tak czy nie?

- To znaczy tak.

Ulga, której doznała, była niemal nie do zniesienia.

Ale nie z powodu mojego dziedzictwa, chciał dodać książkę. Tylko ponieważ widzę, że potrzebujesz mojej pomocy. I ponieważ jestem w tobie zakochany.

Zandra niepewną ręką wyjęła z torebki wizytówkę, którą dał jej Joe Leach. Wepchnęła ją w ręce Karlowi-Heinzowi i odwróciła wzrok.

- Prześlij telegraficznie milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów na ten rachunek u Barclaya w Londynie. Od chwili, kiedy pieniądze zostaną przekazane, należą do ciebie.

- Do mnie? - powiedział myśląc: Jak możesz do mnie należeć? Nie słyszałem nigdy, żeby komuś udało się pochwycić promień słońca i zamknąć go w butelce.

- Tak, do ciebie. Dostajesz to, co widzisz. Całe pięć stóp dziesięć cali mojej osoby. Od stóp do głów, ze złotym łonem do kompletu!

Karl-Heinz pomachał wizytówką trzymaną w ręce.

- Pieniądze zostaną przekazane za niecałą godzinę.

- I jeszcze jedno - przypomniała sobie Zandra.

- O? - Książkę uniósł brwi do góry.

- Chcę, żeby twoi prawnicy sporządzili intercyzę, na mocy której ja wyrzekam się jakichkolwiek praw do alimentów, dziedziczenia, zatrzymania dziecka i wszystkiego innego.

- Czy nie jesteś dla siebie trochę za surowa? - zapytał.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- To jest warunek, przy którym będę obstawać.

- W porządku - odpowiedział. - Możesz sprawę uważać za załatwioną.

Zandra głęboko zaczerpnęła powietrza, odwróciła się doń plecami, sięgnęła do tyłu i podniosła do góry włosy.

- Rozepnij mnie, Heinzie, dobrze? - Jej głos zrobił się nagle silny i pewny.

- Pieniądze jeszcze nie zostały nadane. - Książkę poczuł bolesny ucisk w piersi.

- No to co? Wierzę ci na słowo. Lepiej zacząć od razu, nie sądzisz? Mamy w planach dziecko warte miliard. - Czekala, ale on się nie poruszył. - Heinzie! - zawołała niecierpliwie. - Nie poradzę sobie z tym sama, wiesz. Do tego trzeba dwojga...

Karl-Heinz chwycił ją i gwałtownie odwrócił twarzą do siebie.

- Zandro, przestań!

Oczy jej rozszerzyły się z trwogi.

- Czy to znaczy, że mnie nie chcesz? Że umowa zerwana?

- Nie bądź niemądra. Ale jestem staroświecki i chcę to zrobić, jak należy.

Dziewczyna wpatrywała się w niego oczami okrągłymi jak talerzyki.

- Ty to mówisz serio!

- Bardzo.

- Jeżeli tak chcesz - odpowiedziała miękko.

- Tak chcę. - Karl-Heinz skinął głową.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem podniosła brodę do góry.

- Daj mi znać, gdy już coś ustalisz - powiedziała, dodając w myśli: Dlaczego mi to brzmi bardziej jak zaproszenie na pogrzeb niż na wesele?

- Zawiadomię cię.

Wciąż jeszcze patrzyła mu w oczy. Podniosła rękę, dotknęła jakby na próbę jego policzka, a potem szybko odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Dopiero kiedy znalazła się na ulicy, pozwoliła, by ogarnęła ją ta trująca, dusząca chmura. Schroniła się w najbliższej bramie, ukryła w cieniu i przycisnęła czoło do zimnego, twardego kamienia. Wstrząsały nią łkania, wydzierające się z głębi piersi.

Za jednym zamachem przehandlowała jedyne trzy rzeczy, które kiedykolwiek naprawdę miała prawo nazywać absolutnie, całkowicie własnymi: swoje nazwisko, własne ciało i szacunek do siebie samej.

A to znaczyło, że nie pozostało jej nic. Absolutnie nic.

42.

Starszy wspólnik firmy prawniczej Freiman, Steinberg, Hirst i Andrews, PC, podniósł wzrok, kiedy sekretarka weszła do jego luksusowego biura w Renaissance Center w Detroit. Wziął zapieczetowaną kopertę, którą mu przyniosła i położył ją z powagą na biurku.

- Gwarancja Sotheby'ego?
- Tak, proszę pana.
- Kto teraz ogląda szkice?
- Pan Adeane i pani Blow, od Christie'ego.
- A co z Burghleyem?
- Ich specjalista jest w poczekalni.
- Dobrze. Odprowadziła pani przedstawicieli Sotheby's do windy, prawda?
- Miałam taki zamiar, ale stwierdzili, że nie ma potrzeby.
- W jakim byli nastroju?
- Bardzo podnieceni.
- A. To świetnie. Może przekaże pani specjaliście od Burghleya, że to chwilę potrwa. Proszę przeprosić za wszelkie niedogodności, na jakie mogliśmy go narazić...
- To nie jest on, tylko ona.
- Obojętne. Zna pani rutynowe postępowanie.
- Tak, proszę pana. - Sekretarka pospiesznie wyszła do poczekalni. - Co do.... - zaczęła i rozejrzała się wokoło. Przedstawicielka Burghleya zniknęła.

* * *

Kilka minut wcześniej Kenzie siedziała w luksusowej poczekalni, pochylona nad tomem szkiców Leonarda, który zabrała ze sobą, kiedy przez pokój przeszły trzy osoby i stanęły przy jej fotelu.

- Windy są tam - usłyszała głos pani Silber.

- Dziękujemy pani, trafimy sami - odrzekł męski głos, który Kenzie chyba skądś znała. - Odlatujemy dopiero o siódmej piętnaście i mamy kilka godzin luzu. Czy może nam pani polecić jakiś bar w okolicy?

- Jest ich nawet kilka - powiedziała pani Silber.

- Restauracje już pewnie pozamykane? - zapytała kobieta.

Jej głos również brzmiał swojsko. Kenzie siedziała z opuszczoną głową, żeby ukryć swój profil za opadającymi włosami *à la Prince Val*, ale z ciekawości zerknęła na nich ukradkiem.

Tuż obok niej, jak wcielenie idealnych, wymuskanych yuppies, stali Robert Sullivan i Gretchen Ng - jej przeciwnicy z działu starych mistrzów od Sotheby'ego.

- Proszę zjechać windą na parter - tłumaczyła im pani Silber. - Kiedy państwo wyjdą, proszę się skierować na prawo. Jest tam bardzo sympatyczny bar, gdzie podają również przekąski. Na pewno państwo trafią.

- Brzmi to idealnie - odpowiedział jej ciepło Robert Sullivan. - Bardzo serdecznie pani dziękujemy.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Mam nadzieję, że podobały się państwu szkice - mówiła pani Silber.

- „Podobały się” nawet z grubsza nie opisuje naszych uczuć! - entuzjasmowała się Gretchen Ng. - Jestem pewna, że niedługo się skontaktujemy.

- Życzę państwu miłego powrotnego lotu - pożegnała się pani Silber.

- Bardzo miło było państwa poznać.

Odeszła, a Robert Sullivan skierował się do szafy, żeby wyjąć płaszcze. Kenzie nadal siedziała z pochyloną głową, w nadziei że nikt jej nie pozna.

- To twój płaszcz, Gretchen?

- Tak, mój. Boże, Bob! Własnym oczom nie wierzyłam, patrząc na te szkice!

- Są niewiarygodne. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Myślisz, że mamy szansę, żeby się nimi zająć?

- Nie widzę, czemu by nie.

- Tak, ale nasza gwarancja...

- Muszę sobie gardło przepłukać. Może byśmy o tym porozmawiali przy drinku? Masz wszystko?

Wyszli razem z poczekalni, otworzyli szklane drzwi z wytrawionym na szybie napisem FREIMAN, STEINBERG, HIRST I ANDREWS, P.C. i zniknęli za zakrętem wysianego luksusowym dywanem korytarza.

* * *

„Porozmawiajmy o tym w barze”... wystarczyło tych sześć słówek. Kenzie zatrzasnęła książkę, wcisnęła ją do torby na ramię i rzuciła się po płaszcz.

- Gdyby ktoś pytał, to niedługo wrócę - powiedziała recepcjonistce. - Jaki jest numer faksu do państwa?

Recepcjonistka napisała numer i podała jej karteczkę.

- Gdzie będzie można się z panią skontaktować, gdyby....

Ale Kenzie nie słuchała. Pędem minęła drzwi z wytrawionymi szybami i pognąła korytarzem do szeregu wind. Nacisnęła guzik, zaczęła na najbliższą i zjechała na poziom pasażu handlowego.

W pasażu krzątało się mnóstwo ludzi, a sklepów było wiele. Nie mam czasu biegać i szukać, pomyślała. Musi być jakaś szybsza metoda.

Była. Umundurowany ochroniarz. Dziewczyzna popędziła do niego.

- Przepraszam pana. Czy mógłby pan mi wskazać najbliższy salon fryzjerski?

- Jeden z nich jest tuż, tuż - poinformował ją i pokazał palcem. - Ale obawiam się, że to taki staroświecki...

Serce Kenzie zabiło nieco szybciej. Dokładnie tego szukałam, pomyślała.

- Dzięki! - powiedziała mu.

Okazało się, że rzeczywiście był to staroświecki salon piękności. Witryną podzielili się wyblakłe powiększenia zdjęć niemodnych już fryzur i styropianowe głowy bez twarzy, na których wystawiono przykurzone peruki.

Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Samo Renaissance Center było futurystycznie wygodne i gładkie, a tu poczuła się tak, jakby cofnęła się w przeszłość. W powietrzu czuło się ostry zapach płynu do trwałej, klientki, przerzucając strony lśniących pism, siedziały pod hełmami hałaśliwych suszarek.

- Przepraszam panią, kochana - powiedziała rudowłosa kobieta w niebieskim kitlu i okularach z wielkimi, firmowymi, niebieskimi oprawkami. - Nie mam wolnego okienka.

- Nic nie szkodzi. Wpadłam dowiedzieć się, czy można by kupić tu perukę.

- Perukę! Ależ, kochana, źle pani trafiła. My czesemy wyłącznie włosy.

- A... a te peruki na wystawie? - zapytała stanowczo Kenzie.

- Och, to. To tylko dekoracja. One tam stoją od zawsze.

Kenzie sięgnęła po portfel. Ile może być warta taka peruka? zastanawiała się. Dwadzieścia dolarów to chyba maksimum. Wyciągnęła banknot studolarowy.

- Bardzo by mi się przydała ta długa, blond.

Kobieta wyszarpnęła banknot spomiędzy palców Kenzie.

- Bierz ją, złotko. Już zdejmuję!

W minutę później Kenzie wyszła z salonu piękności z ciemnymi okularami na nosie; jej twarz otaczały blond włosy w stylu lat siedemdziesiątych, á la Sarah Fawcett. Zobaczyła przelotnie swe odbicie w witrynie sklepowej, przystanąła i aż się skuliła.

Własna matka by jej nie poznała.

No ale właśnie o to chodziło.

* * *

W lokalu było dość mroczno i niemal pusto. Jego wystrój w stylu radosnych lat dziewięćdziesiątych był hołdem dla produktów ubocznych przemysłu petrochemicznego: fałszywe „witraże”, czerwona akrylowa wykładzina dywanowa, imitacje migoczących świateł gazowych i kryty czerwonym winylem bar w kształcie podkowy. Wzdłuż trzech ścian ciągnęły się czerwone, winylowe boksy, z robionymi na drewno stolikami z formiki i laminowanymi plakatami z podobiznami dziewcząt na wytłaczanej, czerwono-złotej okładzinie ścian.

Czego ja bym nie zrobiła dla Burghleya, westchnęła Kenzie, opuszczając o włos niżej ciemne okulary, żeby od drzwi rozejrzeć się po sali.

Nie było tam znów tak wiele do oglądania: znudzony barman polerował do połysku szklanki, dwie kobiety biznesu gadały przy stoliku, a nad barem garbił się obowiązkowy pijaczyna. Jakaś słodka babcia z włosami po niebieskiej płukance, tankowała dżin, a w rogu, w boksie na drugim końcu sali, siedzieli Robert Sullivan i Gretchen Ng.

Bonanza!

Kenzie ruszyła w ich stronę i zajęła sąsiedni boks. Obydwoje natychmiast zamilkli. Potem, wyraźnie lekceważąc przybyłą, podjęły rozmowę w miejscu, gdzie ją przerwali.

Kenzie, która siedziała tyłem do Gretchen, słyszała każde słowo:

- Może jeszcze jeden Kir Royale żeby to uczcić? - mówił Robert Sullivan zadowolony z siebie pewnym głosem.

- Czy nie sądzisz, że to nieco przedwczesne? - Oto cała Gretchen Ng, ostrożna i rozważna.

- Zejdź na ziemię, Gretchen! Czym się mamy martwić?

- Och, różnymi drobiazgami. Jak na przykład to, ile Christie's czy Burghley...

- Na litość! Wiesz sama, że Christie's jest taki przeostrożny, że tego nie ruszy, a Burghleya znają z tego, że ma węża w kieszeni.

Czy aby na pewno? miała ochotę wybuchnąć panna Turner. Młaśnieście gumą do żucia zabrzmiało jak wystrzał. Spłoszona, popatrzyła w górę.

- Coś pani podać? - pytała kelnerka.

- Och! - Kenzie przez chwilę czuła się zdezorientowana. Potem przypomniała sobie, że lepiej będzie zmienić głos. - Ach... chyba się napiję koktajlu miętowego - powiedziała przeciągając samogłoski i zamawiając pierwszy napój, jaki jej przyszedł na myśl.

- Jeden koktajl miętowy, już podaję.

Kelnerka odplynęła, a Kenzie oparła się znowu i zaczęła słuchać. ... nie ma dwóch zdań, że najwspanialsze szkice, jakie kiedykolwiek... .. rynek jest taki maleńki...

... nawet jeżeli Królewska Biblioteka w Windsorze nie... .. Getty Museum, garstka kolekcjonerów... ..dwadzieścia milionów to bardzo niewiele, jeśli wziąć pod uwagę... Bingo! Dowiedziawszy się dokładnie tego, co chciała, Kenzie gotowa była się stamtąd zmyć.

- Proszę bardzo! - Kelnerka postawiła jej napój na stoliku.

- Ależ ba-ardzo dzięku-uję - powiedziała Kenzie. - Ile jestem pa-ani winna?

- To będzie trzy dziewięćdziesiąt pięć.

- Dzięki. - Kenzie podała jej piątaka.

Zostawiając nietknięty koktajl na stoliku, pospiesznie wzięła torebkę i płaszcz, wymknęła się z boksu i znikła na ulicy. Kelnerka pogapiła się za nią, potem wrzuciła ramionami i odniosła koktajl miętowy z powrotem do baru.

* * *

Zadzwoniła z budki telefonicznej. - Pan Fairey? Tu Kenzie Turner.

- Tak, pani Turner. Czy miała pani okazję rzucić okiem na te szkice?
- Nie, proszę pana. Jeszcze nie, jestem następną w kolejce. Sytuacja rozwinęła się jednak w interesujący sposób. Być może zechce pan znowu zadzwonić do pana Goldsmitha.

Chwila ciszy.

- Czy mogę zapytać, w jakim celu?

Wyjaśniła mu, a potem podyktowała numer faksu, jaki podała jej recepcjonistka.

- Dziękuję pani - odrzekł pan Fairey. - Powiadomię panią, jaka jest decyzja.

Kenzie zdjęła perukę, wepchnęła ją do najbliższego pojemnika na śmieci i pojechała windą z powrotem na górę.

- Pani Turner? - zawołała za nią recepcjonistka. - Właśnie przyszedł do pani faks.

- Dziękuję - powiedziała Kenzie i przeczytała:

01/23/1995 15:47 BURGHLEY OD 1719 STRONA 01

VIA FAX

DO: FREIMAN, STEINBERG, HIRST, AND ANDREWS, P.C.

DLA: MacKenzie Turner

OD: Sheldon D. Fairey

Udzielono zgody.

S. Fairey

Tym razem rzeczywiście nie trwało to długo, pomyślała z satysfakcją.

* * *

Pani Silber zgłosiła się do wiekowego starszego partnera.

- Eksperci Christie's właśnie wyszli, proszę pana.

- I?

- Powiedzieli, że z ogromną radością zajmą się sprzedażą, ale nie zgodzili się na udzielenie gwarancji.

- Hmm. Nie jest to duże zaskoczenie. A Burghley?

- Ich dział prawny przysłał do nas faks ceny gwarancyjnej in blanco, który wypełnić ma pani Turner. Właśnie teraz ogląda szkice.

- Wspaniale.

- Tak, proszę pana. Tylko że...

- Tak, słucham pani?

- Nie jestem pewna, proszę pana. Ta pani Turner. Wydała mi się taka jakaś... nieprzewidywalna.
- Czy tak? To powinno sprawie dodać smaczku.

* * *

Kiedy Kenzie, uzbrojona w cienkie, bawełniane rękawiczki i dużą pesetę z poduszczkami na końcach badała szkice Leonarda w nieustępliwym blasku żarówek halogenowych, towarzystwa na sali konferencyjnej dotrzymywało jej dwóch adwokatów i ochroniarz.

Na zewnątrz udawała spokój, wewnątrz czuła się jak po narkotykach. Serce jej waliło, puls szaleńczo przyspieszył. Niemal nie mogła oddychać.

Nigdy - nawet u pana Wugsby'ego ani u Burghleya, ani nawet w żadnym muzeum nie natrafiła na coś tak doskonałego!

Dobry Boże, myślała. Ani szkice Leonarda w Uffizi, ani w Królewskiej Bibliotece w Windsorze nie dadzą się porównać z tymi! Naprawdę są bezcenne.

I w dodatku jest ich dwadzieścia cztery!

Zdumiewające. Nie da się tego pojąć...

Gdybym tylko mogła z kimś dzielić tę doniosłą chwilę. Gdyby tylko znaleźli się tu Arnold albo Zandra. A pan Spotts! Byłby w siódmym niebie, podobnie jak pan Wugsby... ten kochany, stary koneser wyszedłby z siebie, niech spoczywa w spokoju!

Przytłoczona wrażeniami, Kenzie odłożyła ostatnie szkice i oparła się na krześle. Odłożyła pesetę i powoli zdjęła rękawiczki. Potem zamknęła oczy i pomasaowała sobie powieki. Szkice utrwaliły się na jej siatkówce. Gdyby tylko mogły tam zostać na zawsze, pomyślała.

Otworzyła oczy.

- Jeśli chodzi o tę minimalną cenę gwarancyjną... - odezwała się cicho.

- W tej sprawie pomoże pani pani Silber - odrzekł jeden z adwokatów. Panna Turner skinęła głową i wstała.

- Panowie - powiedziała.

- Żegnamy panią. - Obydwaj wstali z foteli.

Pani Silber czekała na zewnątrz i poprowadziła Kenzie do małego, pustego pokoju. Były w nim biurko, krzesło i mała kopia na stole.

- Tutaj ma pani formularz na minimalną cenę gwarancyjną - powiedziała, podając Kenzie jednostronicowy dokument. - Proszę zwrócić uwagę, że jest to faks przygotowany i przesłany nam przez państwa własny

dział prawny, na papierze z nagłówkiem Burghleya. Wystarczy, że poda tu pani kwotę w dolarach cyframi i słownie, tak jak przy wypełnianiu czeku. Potem proszę formularz podpisać, zrobić kopię do swoich archiwów, a oryginał zapieczętować w tej kopercie. Proszę nie zapomnieć podpisać jej na ukos w miejscu zalepienia. Czy ma pani jakieś pytania?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Będę czekała na zewnątrz. - Pani Silber wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Nie siadając Kenzie przeczytała dokument, wzięła pióro i wpisała kwotę:

Dwadzieścia milionów i jeden dolar, zero centów

\$ 20000001,00

Podpisała, zrobiła dwie kopie, wsunęła oryginał do koperty. Potem szybko wyszła.

- Boże drogi! To było naprawdę tempo! - Pani Silber okazała zdziwienie.

Panna Turner podała jej kopertę. Pani Silber sprawdziła, czy koperta została podpisana w miejscu sklejenia.

- I co pani sądzi o tych szkicach? - zapytała.

- Och, bardzo ładne - powiedziała Kenzie udając, że ziewa. - Przepraszam panią. To był taki długi dzień. Ale bardzo pani dziękuję. Proszę mnie nie odprowadzać.

* * *

Wiekowy starszy wspólnik ułożył kopertę Burghleya równo obok koperty od Sotheby'ego.

- No, to by było na tyle.

- Tak, proszę pana.

- A ta pani Turner, w jakim była nastroju'!

- Zdecydowanie dziwnym. Powiedziano mi w sali konferencyjnej, że wydawała się dosłownie oszołomiona. A przecież na mnie zrobiła dokładnie odwrotne wrażenie.

- Rzeczywiście wydaje się nieprzewidywalna. Fascynujące. No więc...

- Odchrząknął. - Proszę wezwać naszych klientów i powiedzieć im, że koperty są gotowe.

- Natychmiast, proszę pana.

* * *

Kenzie skończyła załatwiać interesy i miała jeszcze godzinę, zanim będzie musiała pojechać na lotnisko. Wróciła do baru i postanowiła uczcić sprawę kieliszkiem szampana. Tym razem usiadła jak najdalej od Roberta Sullivana i Gretchen Ng.

Trzaśnięcie gumy do żucia uprzedziło ją o pojawieniu się kelnerki.

- Proszę mi nie mówić - powiedziała kobieta. - Koktajl miętowy!

Dziewczyna zagapiła się na kelnerkę, zbyt zaskoczona, żeby ją poprawić.

- Nigdy nie zapominam twarzy. Mówiąc szczerze, bardziej mi się pani podobała jako blondynka. Tak trochę przypominała pani Farrę Fawcett.

Jaką Farrę?

- O rany! - powiedziała Kenzie. - Pochlebia mi pani.

- Przyniosę pani tego drinka.

Panna Turner patrzyła, jak kelnerka odpywa w kierunku baru. Niech mnie wszyscy diabli, pomyślała.

Kiedy dostała swój miętowy koktajl, wypila go do ostatniej kropelki.

01/23/1995 19:34 FREIMAN, STEINBERG, HIRST, AND ANDREWS, P.C. STRONA 01

VIA FAX

DO: BURGHELEY'S, INC.

DLA: pan Sheldon D. Fairey

OD: Martin D. Freiman

DOT: szkice Leonarda da Vinci

Państwa gwarancja ceny została przyjęta. Proszę skontaktować się z panią Silber w sprawie szczegółów dotyczących przekazania pieniędzy i transportu.

Z wyrazami szacunku

Martin Freiman

43.

- Ty biedne, nieszczęsne stworzenie, ty dumna, staroświecka idiotko!
- besztala Kenzie czule Zandrę.

Rozciągnęły się obydwie na anatolijskim kilimie przed płonącymi na kominku polanami, popijając campari i szampana.

- Mówiłaś mi, że Rudolph ucieka przed wierzyicielami, ale chytrze pominęłaś taki szczegół, że kryje się przed zbirami.

Zandra pociągnęła nosem i wpatrzyła się w swoją szklaneczkę.

- Są takie sprawy - oznajmiła bardzo wyraźnie, pomimo całej rozpacz - z którymi wystarczająco trudno jest się uporać, nawet jeżeli je człowiek zatrzyma dla siebie; a jeżeli ubierze je w słowa, to tylko jeszcze powiększy własne cierpienie, urealni cały ten koszmar i nada mu wiarygodność. Bóg mi świadkiem, że nie jest to żadna radość, którą chciałoby się z kimś dzielić. Nawet myśleć o tym ciężko, chociaż nie dotyczy to Anglii, bo tam coś takiego napędza młyn plotek i gada o tym praktycznie każdy, kto jest kimś, i wielu takich, którzy nie są nikim. Obłądu można dostać od samego rozprawiania na ten temat. Ja bym na pewno dostała. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to żeby mi ktoś stale o całej sprawie przypominał. Zresztą i tak nie potrafię o tym zapomnieć. W żadnym razie. Ani na chwilkę.

Kenzie wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni przyjaciółki.

- Głuptasie - upomniała ją łagodnie. - Spróbowałabym ci jakoś pomóc.

Zandra westchnęła i podniosła oczy, pełne niewyłanych łez.

- Och, kochanie, czy ty nie rozumiesz? Niczego nie mogłabyś zrobić. Niczego! Jesteś absolutnie cudowna i cholernie wspaniała. Moja jedyna prawdziwa i wierna przyjaciółka na świecie! Zawsze cię będę kochała. Ale to przerasta nas obie.

- Jednak byłabym tutaj z tobą! Gdybym miała o tym wszystkim choć zielone pojęcie, to przynajmniej mogłabym cię podtrzymywać na duchu.
 - Nie, Kenzie, nie. Gdybym porozmawiała z tobą wcześniej, to może zabrakłoby mi odwagi. Wierz mi, kochana, tak było lepiej.
 - Kiedy pomyślę, przez co przeszedłaś w ciągu tego weekendu! - Kenzie ze zdumieniem potrząsnęła głową. - Ta małżeńska intryga...
 - ...za którą muszę podziękować dwóm macochom *honoris causa*.
 - Twój brat...
 - ... ten kutafon!
 - Wyprawa do księcia Karla-Heinza...
 - ... żeby się sprzedać!
 - A jest dopiero poniedziałek wieczór! Człowiek zaczyna zastanawiać się, co może przynieść wtorek.
 - Już jest wtorek, kochana - poprawiła ją Zandra. - Druga trzydzieści nad ranem, czy coś koło tego.
 - Patrzcie państwo - powiedziała Kenzie posępnie - czas szybko leci, nawet jak człowiek się dobrze nie bawi.
- Przyleciała z Detroit trzy i pół godziny temu i kiedy za piętnaście dwunasta otwierała drzwi do mieszkania, była całkowicie przekonana, że pójdzie prosto do łóżka. Ale kiedy zobaczyła, że w saloniku jest ciemno i tylko pali się na kominku i że Zandra ułożyła się na kanapie w pozie żalobnej prerafaelickiej rzeźby, elegancko zalewającej się łzami nad grobowcem, jej plany raptownie się zmieniły.
- Wynikiem błyskotliwego pomysłu - pomysłem tym było telefoniczne SOS do lokalnego sklepu monopolowego, który właśnie miał się zamykać oraz obietnica wielkiego napiwku, wręcz gigantycznego napiwku - okazała się pierwsza pomoc w postaci trzech schłodzonych butelek korbela i litrowej butli campari, które sklep musiał niezwłocznie dostarczyć do ich domu.
- Och, Kenzie! - jęknęła Zandra. - Uczciwie mówiąc, kochana, to całkowita strata pieniędzy.
 - Pozwól, że o tym ja zadecyduję, dobrze?
 - Ale ja nic nie mogę jeść ani pić i nic na świecie mnie nie pocieszy. Sprawy przybrały naprawdę zbyt poważny obrót. Jeżeli wciąż ci jeszcze na mnie zależy, idź po prostu do łóżka i zostaw mnie samą.
 - Najpierw muszę ci zaordynować dawkę specjalnego, opatentowanego syropu i panaceum doktor Turner - powiedziała stanowczo Kenzie, dorzuciła kilka polan na kominek i usadowiła się wygodnie.
- Patrzyła na przyjaciółkę z z troskaniem. Biedna, słodka Zandra. Co by nie mówić, jedno było pewne - w tej chwili jej zostawić nie może.

Nieszczęście lubi towarzystwo. Bez wątpienia wskazana była potężna popijawa.

Przecież to jak przekłucie wrzodu, tłumaczyła sobie Kenzie. Czasami trzeba ranę przebić, żeby cały nagromadzony jad wypłynął, bo jak nie, to może przyjść zakażenie i wszystko skończy się fatalnie. Nie ma co myśleć o żadnych dwunastostopniowych programach; każdy wie, że są takie sytuacje w życiu, kiedy człowiek potrzebuje kielicha.

- Tylko jeden mały łyżeczek - nakłaniała Zandrę - jeden maleńki, ma-ciupeńki łyżeczek.

No ale oczywiście po pierwszym przyszedł następny, a potem jeszcze jeden i nie minęło wiele czasu, a przyjaciółka się rozgadała i trucizna zaczęła się wylewać.

- Jak już teraz wszystko wyszło na jaw, pora zapomnieć o tym, co złe - poradziła jej Kenzie, napełniając ponownie szklaneczki i nie żałując campari. - To już przeminęło z wiatrem. Pora za-ak-cen-to-wać to, co dobre. Pora popatrzeć na wszystko z dobrej strony.

- Z... z dobrej strony? - podejrzliwie powtórzyła jak echo Zandra. - Z jakiej dobrej strony?

- Popatrz chociażby na twojego księcia.

- Na Heinzie'ego? - ponuro spytała tamta, podparłszy brodę dłonią. W szybkim rytmie postukała się palcami po policzku.

- No, no, tylko tak na mnie nie patrz! Musisz przyznać, skarbie że to niewątpliwie najlepsza partia roku.

- Zwłaszcza - dumiała Zandra - dla kogoś, kto nie jest gotowy wstępować w związki małżeńskie. - Pociągnęła potężny łyk ze szklaneczki i przeszedł ją dreszcz. - Dobry Boże, Kenzie, odkąd to campari pije się bez dodatków?

- Masz. - Panna Turner złapała za szyjkę butelkę szampana i pochyliła ją nad szklanką Zandry. - To powinno pomóc.

- Gdzie my byliśmy?

- Po dobrej stronie wszystkiego - powiedziała Kenzie.

- Właśnie. Czy to nie zdumiewające, kochanie, że ani na krok nie posunęliśmy się do przodu? Czego nam, na Boga, brakuje?

- Brakuje... brakuje nam oczywiście słodkiego maleństwa! Twojego własnego, cudownego, bezcennego, kochanego, maleńkiego, nad wiek rozwiniętego jaśnie księżątka!

- Proszę - błagała ją słabiutko Zandra. - Nie przypominaj mi o tym.

- O czym? O ciąży?

- Kochanie! Musiałś to powiedzieć na głos?

- Ależ to jest cudowne!
 - Nie, Kenzie, nie jest. Cięża oznacza, że rano jest ci niedobrze. Macierzyństwo oznacza, że robią się rozstępy.
 - Jedno i drugie minie.
 - A urodzenie dziecka oznacza jeszcze pieluszki. Butelki. Przygotowywanie mleka i wysypki, kolkę i wrzaski...
 - Na litość boską, Zandro, będziesz miała całą armię wyszkolonych nianiek, które się tym będą martwiły!
 - Och! - Przyjaciółka przelotnie się rozchmurzyła. - No rzeczywiście. Tak, przypuszczam, że będę miała...
 - I pomyśl tylko! Kiedy reszta z nas, dziewczyn, przeczesuje krzaki w poszukiwaniu jakiegoś męża, ty popłyniesz sobie do ślubu, nie zrobiwszy nawet najmniejszego wysiłku, aby znaleźć swojego mężczyznę! Czekaj tylko, aż się to rozejdzie u Burghleya! Dziewczyny w Klubie oczy ci wydrapią!
 - Idiotki! - odezwała się Zandra pogardliwie.
 - No i musisz przyznać, że będzie z ciebie śliczna panna młoda.
 - Hmm - odpowiedziała rozmarzona. - Tak, pewnie masz rację. A jak już o tym mówimy, to mogę chyba liczyć na ciebie, prawda, kochanie?
 - Oczywiście, będę przy tobie przez cały czas.
 - To dobrze. Więc zostaniesz pierwszą druhną?
- Kenzie wytrzeszczyła na nią oczy.
- Ale... Zandro! A co z Diną?
 - No, co z nią? - zapytała mrocznym tonem hrabianka.
 - Czy nie uzna tego za afront?
 - Dinie należy się afront - odrzekła zdecydowanie. - Może pójść w orszaku. Właściwie to Becky też może. - Zachichotała po raz pierwszy od kilku dni. - Jak się pojawią wszyscy krewni i przyjaciele Heinzie'ego i moi, to będę miała w orszaku najstarsze matrony, jakie kiedykolwiek ktokolwiek widział na weselu. A jakbym była naprawdę podła i okropna...
 - Zandro...
 - ... to bym się uparła, żeby miały jakieś upiorne kiecki... w kolorze cytrynowo-zielonym! A może fioletowo-brązowym? Jak myślisz, który jest gorszy?
 - Nie zrobisz tego! - powiedziała Kenzie ze zgrozą.
 - Nie kuś mnie, kochanie. Wcale by mi ich nie było żal, a tobie?
 - No tak, ale... czy to by nie było trochę tak, jakbyś chciała kogoś ukarać Bożym Narodzeniem?

- Kochanie, gdzieś ty się chowała? Boże Narodzenie to kara. Zapytaj, kogo chcesz. Tak samo jak ślub.
- Daj spokój, Zandro, nie psuj zabawy. Śluby są fajne. A kto wie? Może to mnie uda się złapać bukiet panny młodej?
- Czy doszło do mnie coś o bukiecie, w liczbie pojedynczej? Ty, Kenzie? Kochanie, obawiam się, że wzięłaś takie tempo, że będziesz musiała złapać dwa.
- No, no, żadne takie. Ak-cen-tu-je-my dobre strony. Zapomniałaś? - Uśmiechnęła się do przyjaciółki i westchnęła błogo. - Księżna. Będziesz prawdziwą, stuprocentową królową z bajki, mimo wszystko! Taką von und zu Engelwiesen.
- Cholera! - zaklęła Zandra cicho.
- Co znowu?
- Właśnie sobie przypomniałam. Razem ze ślubami i urodzinami idą.... pogrzeby.
- Co? Co wspólnego mają pogrzeby ze ślubami?
- Dla von und zu Engelwiesenów wszystko, kochana. Wszystko.
- Na przykład?
- Na przykład to, że człowieka chowają w trzech różnych miejscach. Wiedziałaś o tym?
- W trzech..? Nie... nie rozumiem. Oświeć mnie, proszę.
- W porządku. Słuchaj: zabalsamowane ciało odsyłane jest do specjalnego mauzoleum w krypcie w katedrze w Augsburgu.
- I co w tym takiego złego?
- Ale serce - ciągnęła dalej Zandra - zostaje zamarynowane w solance czy czymś takim, a potem umieszcza się je w zapieczętowanym naczyniu i chowa w krypcie pod Schloss Engelwiesen.
- Mówiłaś coś o trzech miejscach?
- Zaraz do tego dojdę. Wątrobę natomiast... a może jest to pęcherz albo śledziona, albo wyrostek robaczkowy, nie pamiętam... zawozi się do takiego małego kościółka gdzieś daleko w Bawarii i do tegoż kościółka, możesz mi wierzyć, ludzie chodzą na pielgrzymki, ponieważ jakoby sły- nie z cudownych uzdrowień. - Przeszedł ją dreszcz. - Przyznaj sama, na- prawdę jest to całkiem upiorna tradycja.
- No, ty przynajmniej jesteś młoda, śmierć jeszcze daleko. Zandro, masz całe życie przed sobą.
- Życie! Jako von und zu Engelwiesen! Nie rozśmieszaj mnie. Kenzie, kochana, von und zu Engelwiesenowie nie mają życia.
- O? A co mają?
- Obowiązki, kochana. Von und zu Engelwiesenowie mają obowiązki.

* * *

Becky, siedząc na wyściełanej miętko sofie zasypanej wspaniałymi poduszkami z wytłaczanego brązowego jedwabiu i aksamitu, powiedziała:

- *Chérie*, Dino, myślałam, że ciebie pierwszą zawiadomi. Heinzie i ja właśnie zjedliśmy razem *déjeuner*.

Minęło kilka dni. Było wczesne popołudnie, znajdowały się obie w *Salon des Cuirs* w luksusowym mieszkaniu diuszesy na Fifth Avenue. Malowane panele z kurdybanu, od których pokój wziął swoją nazwę, i które wyglądały jak wspaniałe gobeliny, przypisywano - w zależności od tego, w opinię jakiego eksperta się wierzyło - albo Govaertowi Flinckowi, uczniowi Rembrandta, albo samemu wielkiemu mistrzowi Van Rijn.

- I? - Dina, uniósłszy do ust delikatną filiżankę herbaty o smaku jabłkowo-calvadosowym, patrzyła z zapartym tchem nad jej złożonym brzeżkiem. - Opowiedz! Co się w końcu okazało?

- *Voilà*. Stało się - odrzekła Becky z uśmiechem Mony Lisy na posterunku. - Zaręczył się z Zandrą i się pobiorą.

- Nie! - Pani Goldsmith odstawiła ze stukotem filiżankę i pochyliła się do przodu. - Naprawdę?

- *Mais oui*. - Becky pogodnie skinęła głową, popijając herbatę. - To fakt.

- Ale... nie rozumiem! Kiedy to wszystko się stało?

- Według Heinzie'ego, wczoraj. Jak mi się zdaje, to Zandra przyszła się z nim zobaczyć.

- Och!

Dinę aż coś zapiekło w środku. Słyszała głos pani domu, która ciągle mówiła, ale słowa przepływały obok jak falujący strumień i nie docierały do jej świadomości. Była w stanie myśleć wyłącznie o tym, jaka się czuje zawstydzona i dotknięta.

Myślała: Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłam, Zandra nie miała nawet na tyle przyzwoitości, żeby do mnie zadzwonić. Jeżeli nie chciała mnie o tym uprzedzić, mogła mnie chociaż powiadomić po fakcie. Ale najwyraźniej nawet tego nie powinnam się była spodziewać. Musiałam się o tym dowiedzieć od osób trzecich! Boże, cóż za upokorzenie!

W tym momencie doszedł do niej głos Becky.

- *Chérie! Chérie*, czy dobrze się czujesz?

Dina opanowała się i skinęła głową.

- Tak - skłamała. - Oczywiście.

- Rozumiem, że nie rozmawiałaś z Zandrą?

- Nie, jeszcze nie.

- *C'est dommage*. Naprawdę mam nadzieję, że nie będzie ci miała za złe naszej *petite intrigue*.

- Ależ nie - odpowiedziała Dina z większą pewnością niż przekonaniem. - Zobaczy wszystko we właściwym świetle... - Podniosła filiżankę drżącymi palcami i wypila łyżeczek herbaty. - Po prostu nie rozumiem. Zandra była tak zdecydowanie przeciwna małżeństwu z księciem. Cóż mogło spowodować, że zmieniła zdanie?

- *Je ne sais pas* - Becky wymownie wzruszyła ramionami. - Ale stało się. Zapowiedzi już wychodzą.

- A ślub? Kiedy się odbędzie?

- Za sześć tygodni.

- Sześć...

- Wiem, wiem: czas jest sprawą zasadniczą. *Alors*. Musisz jednak zrozumieć, *chérie*, że to również należy do tradycji von und zu Engelwiesenhofów. - Wielka dama machnęła pięknie wypielęgowaną ręką, aż zabłysnął kwadratowo przycięty szmaragd na jej palcu. - *Naturellement*, tradycja pochodzi sprzed setek lat, kiedy listy chodziły po kilka miesięcy i nie było czegoś takiego jak telefon czy faks.

- Przypuszczam - powiedziała powoli Dina - że mogłabym zadzwonić do Zandry, jak przyjdę do domu.

- *C'est une bonne* myśl. - Becky mądrze przytaknęła. - *Oui*. Wyobrażam sobie, że poprosi cię, żebyś zajęła honorowe miejsce w jej orszaku.

Pani Goldsmith zamrugła powiekami i przez chwilę czuła się zaskoczona. Poprosi? Ależ oczywiście, że poprosi! Natychmiast poczuła się bez porównania lepiej. Tak, niewątpliwie. Już wracała do siebie po tym początkowym wstrząsie.

- A w każdym razie, *ma chérie*, tak sobie pomyślałam...

- Tak?

- Jesteś przecież najlepszą przyjaciółką Zandry, tak jak ja jestem najlepszą przyjaciółką Heinzie'ego. *Alors*. Nie byłoby źle, gdyby nasza czwórka lepiej się ze sobą poznała, *n'est-ce pas?*

- A co proponujesz? - zapytała Dina, ustępując lepiej zorientowanej Becky.

- Och, jakiś obiadek *intime* na cześć tych zaręczyn wydawałby się właściwy.

- Jakie to sprytne z twojej strony! Tak. Natychmiast coś takiego zorganizuję! - zawołała z entuzjazmem, natychmiast stając na wysokości zadania.

Graniczyło to niemal z cudem, ale całkowicie wróciła jej pogoda ducha.

* * *

Marmurowa posadzka w galerii obrazów w Schloss Engelwiesen, na wyspie o tej samej nazwie, na jeziorze o tej samej nazwie (Jezioro Engelwiesen - drugie pod względem wielkości w Bawarii) lśniła lodowato, podobnie jak powierzchnia wody na zewnątrz.

Przez szereg równo odległych od siebie wysokich okien, osadzonych głęboko w jednej, wielkiej ścianie, do długiej sali wlewało się oślepiająco jasne, północne światło; na przeciwległej ścianie od podłogi do sufitu wisiały setki dzieł starych mistrzów w złotych ramach - wspaniałe, muzealnej wartości obrazy Belliniego i Botticellego, Rubensa i Rembrandta, Tycjana i Tintoretta - zaledwie czubek góry lodowej, jeśli chodzi o skarby sztuki von und zu Engelwiesenów.

A nad tym wszystkim z beczkowego sklepienia, pomalowanego przed dwustu laty w stylu Charlesa Le Brun, zwieszało się w dwóch rzędach trzydzieści dobranych żyrandoli z kryształu górskiego.

Była to sala nadająca się na kontemplację, na ucztę dla oczu i na wychodzenie z siebie z podziwu.

Jednak księżniczka Sofia nie wyglądała w tej chwili w najmniejszym stopniu na zadumaną czy zadziwioną. Majordomus przyniósł jej kartonową kopertę FedEx, którą z Nowego Jorku wysłał do niej brat, książe Karl-Heinz. Kiedy ją otworzyła, znalazła w środku dwie małe, zapieczętowane kopertki.

Rozdarła pierwszą i teraz wściekła chodziła w kółko, zamiatając posadzkę jasnofioletową, wykończoną strusimi piórami suknią.

- *Verdammt noch einmal!* - zaskrzeczała, wymachując grubym, tłoczonym zaproszeniem tak gwałtownie, aż naokoło uleciały drabiny strusich piór. - Zrób coś, Erweinie! Czy masz zamiar tak siedzieć i czekać, aż ci dziedzictwo przejdzie koło nosa?

- A cóż ja mogę zrobić? - zaskomlał jej mąż, hrabia Erwein, z jednego z rzeźbionych foteli w stylu Ludwika XIV, poustawianych pod obu ścianami.

- Ty bezużyteczny trutniu! - Wrzask Sofii był tak pełen złości, że Etti, Welfy, Popo i Luisa, cztery spaniele, zeskokczyły ze swych taboretów i umknęły z sali z uszami gładko położonymi po sobie. - Czasami zastanawiam się, dlaczego ja w ogóle za ciebie wyszłam! - Odwróciła się gwałtownie, w jej oczach tańczyły dzikie błyski. - Tchórz! - rzuciła. - *Untermensch!*

Hrabia Erwein Jonannes Emmanuel von der Grimmkau skulił się, zadygotał i robił co mógł, żeby stać się jak najmniej widocznym. Jego

żona w jednej trzeciej była księżniczką, w jednej trzeciej anielsko cierpliwą męczennicą, ale w pozostałej jednej trzeciej wiedźmą. Nie znalazł nikogo innego, kto miałby tak okropne usposobienie; on sam znajdował się całkowicie pod jej pantoflem. Sofia - piękna, lecz zimną, ostrą pięknoscią, w stu procentach była von und zu Engelwiesen, miała zamki i ziemie, bogactwa i władzę, a krew tak błękitną, że w porównaniu z nią starożytne pochodzenie i tytuł samego Erweina wydawały się słabiotkie i trzeciorzędne, o których to faktach nigdy nie pozwoliła mu zapomnieć.

Miała wszystko - łącznie z taką domieszką chciwości, zaborczości i zawiści, że całe dnie spędzała na intrygach, jakby tu zdobyć jeszcze więcej. Jeżeli kto inny miał coś, czego ona nie miała, spać nie mogła, dopóki tego nie zdobyła.

A księżniczka Sofia zwykle sypiała bardzo dobrze.

Jeżeli tylko ktoś lub coś znalazło się jej na drodze, bez litości usuwała przeszkody. A jeżeli akurat nie mogła ich usunąć, posiekać na kawałki czy jakoś łatwo zniszczyć, przewyciężyła wszystko swoją wytrwałością - i koniec końców triumfowała podstępem.

Księżniczka Sofia była wcieloną Lukrecją Borgia, Erwein nie miał co do tego wątpliwości. Najmniejszych! Przecież żaden człowiek nie powinien musieć znosić tego, co on wycierpiał z rąk tej kobiety. Sofia robiła się coraz bardziej wściekła i sama siebie napędzała do kolejnego ze swych światowej klasy ataków furii.

Erwein siedział na podobnym do tronu fotelu, trząsł się i kulił. Nie potrafił sobie wyobrazić żadnego wydarzenia, które mogłoby bardziej rozpalić furję jego żony niż ogłoszenie zbliżających się zaślubin Karła-Heinza. Teraz Sofia stanie się już naprawdę niemożliwa, myślał z trwogą hrabia. Gdybym tylko mógł uciec. Gdybym tylko mógł odlecieć rakieta do gwiazd...

- Erwein!

Słyszając głos żony poczuł, jak jego ciało przeszywają strzały grozy i z poczuciem winy podniósł oczy.

- Możemy zrobić tylko jedną rzecz. - Przerwała i popatrzyła na niego twardo. - Teraz wszystko zależy od ciebie.

- Ode mnie? - pisał.

- Tak, od ciebie. A może nie kochasz naszych dzieci?

Nienawidzę ich! - pomyślał. Wszystkie wzięły charakter po swej matce.

- I chcesz, żeby miały wszystko, prawda? - ciągnęła dalej Sofia. - Przedsiębiorstwa i zamki? Prawdziwą władzę von und zu Engelwiesenhów? Chcesz chyba, żeby miały to, co im się prawnie należy?

- Nie... nie rozumiem cię - wyjąkał Erwein i zaczął się wiercić nerwowo na fotelu.

- Och, myślę, że rozumiesz, kochany. - Sofia uśmiechnęła się niewesoło.

Ale mąż naprawdę nie rozumiał. Jego umysł był niezdolny do przebiegłości. Naprawdę nie miał pojęcia, o co jej może chodzić.

- Mój ojciec! - syknęła Sofia cicho, pospiesznie rozglądając się dookoła, żeby upewnić się, czy nikt z tłumu służących ich nie podsłuchuje. - Czy nie rozumiesz? Nie umiera tylko dzięki aparaturze podtrzymującej jego życie.

Erwein, siedząc bez ruchu, głośno przełknął ślinę, aż podskoczyła mu wydatna grdyka.

- Jeżeli Karl-Heinz i ta suka Zandra sprawią sobie męskiego potomka, zanim on umrze, to nasze dzieci zostaną pozbawione wszystkiego! Czy słyszysz mnie, Erweinie? Wszystkiego! - Przerwała znowu, a jej głos stał się jeszcze zimniejszy i twardszy. - Teraz ty musisz coś zrobić, Erweinie. Po raz pierwszy w życiu bądź mężczyzną i załatw coś!

Hrabia czuł się, jakby otaczała go dusząca chmura.

- Ale... ale cóż ja mogę załatwić?

- Wystarczy że pójdziesz do kliniki i odłączysz mojego ojca od tej aparatury. Nic więcej robić nie musisz.

Oczy Erweina zrobiły się wielkie i okrągłe jak talerze; szczęka opadła mu w niemym proteście. Nie wydał żadnego dźwięku, był za bardzo wstrząśnięty.

- Chociaż raz, mój drogi, chociaż ten jeden raz, możesz coś zrobić dla mnie i dla dzieci. Czy proszę o zbyt wiele?

Jakoś udało mu się odzyskać głos.

- A czemu t-ty tego nie zrobisz? - wyszeptał.

Sofia wbiła w niego wzrok, a cienkie linie wokół jej ust się ściągnęły.

- Wierz mi, że nie po raz pierwszy przyszło mi to na myśl, jednakowoż nigdy nie było potrzeby, żeby się uciekać do czegoś takiego. Heinzie zawsze był takim zatwardziałym kawalerem! Kto by pomyślał, że zechce się ustatkować? Ale to... - Sofia zaczęła wywijać zaproszeniem na ślub i potrząsała nim gniewnie - ...to nagle wszystko zmienia! No więc zrobisz to, o co proszę?

- Ale... ale dlaczego ja? - jęknął Erwein. - Dlaczego ty tego nie zrobisz, Sofio? To przecież t-twój ojciec!

Żona popatrzyła na niego z taką furją, że się skulił; potem nagle głęboko westchnęła, a jej twarz zrobiła się nietypowo łagodna i zamyślona.

- Nie mogę! - szepnęła poruszona, chodząc tam i z powrotem. - Choć tak bardzo bym chciała, po prostu... nie mogę. *Um Gottes willen*, to jest mój ojciec! Ja go kocham.

- Ja... ja też nie mogę - wyjąkał Erwein.

Zatrzymała się w pół kroku i spiorunowała go wzrokiem.

- *Was zum Teufel ist los mit Dir?* - zapytała. - Przecież to nie twój ojciec.

- Ja nie mogę popełnić m-morderstwa, Sofio. *Bitte* - błagał. - Nie prosź mnie o to. Nie mogę.

Popatrzyła na niego z niesmakiem.

- Żaloszny, tchórzliwy, mały *Untermensch*! Nie myśl, że temat został zamknięty - powiedziała groźnie. - Porozmawiamy jeszcze o tym później.

Odwróciła się od niego i rozdarła drugą kopertę. Prawdopodobnie coś, co będzie wiązało się z planami tego *verfluchtes*... Przeczytała zaledwie kilka linijek i wydała z siebie przeraźliwy wrzask, aż Erweinowi krew zakrzepła w żyłach. Sofia zgmiotła papier w kulę i odrzuciła go jak najdalej od siebie.

- Zabiję go! - krzyknęła. - *Gott behüte!* Biorę cię na świadka, Erweinie, że tymi oto rękami zabiję mojego brata!

Hrabia wiedział, że to tylko puste groźby, że nigdy do tego nie dojdzie. Z jakiegoś powodu przy swoim bracie Sofia nigdy nie rzucała gromów ani nie robiła awantur. Nie wiadomo dlaczego Karl-Heinz był jedynym mężczyzną, którego nigdy nie potrafiła przerazić ani zastraszyć.

- Cóż za bezczelność! - kipiwała. - Jaki tupet! Jakie upokorzenie! Och, jak on śmie? Jak on śmie!

- C-co on pisze?

- On pisze - fuknęła Sofia z goryczą - że mamy opuścić naszą siedzibę! Napisał, że jako pierwородny korzysta z jednej ze swoich prerogatyw! Pisze, że chce, by ten *Schloss* stał się jego główną rezydencją!

Erwein nie musiał udawać zaskoczenia. Był zaskoczony, ale z innych powodów niż jego żona.

Schloss Engelwiesen zawsze służył Sofii jako coś w rodzaju osobistej gabloty z eksponatami. Był jej dumą i radością, a chociaż mieszkali w nim z łaski Karla-Heinza, zaczęła go uważać za swoją własność.

Dla Erweina Schloss Engelwiesen oznaczał w pewnym stopniu - chociaż wątlým - bezpieczeństwo i wolność. Z racji swych rozmiarów najlepiej ze wszystkich zamków i pałacyków myśliwskich von und zu Engelwiesenów nadawał się do tego, żeby hrabia mógł się w nim ukryć przed żoną.

Biedak nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby mieszkać gdzie indziej.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? - lamentowała Sofia. - Erwein, Erwein! Będziemy musieli się przenieść i zamieszkać w Schloss Schweigenau!

Erweinowi zakręciło się w głowie. Schloss Schweigenau, tradycyjna rezydencja córek von und zu Engelwiesenów, był to ponury zamek na brzegu najbardziej ponurego ze wszystkich bawarskich jezior, Starnberger See, tego samego, które wybrał sobie Ludwik Szalony, żeby się utopić.

Co gorsza, Schloss Schweigenau był niewielki, a ponieważ miał zwartą zabudowę, Sofia zawsze będzie go potrafiła znaleźć. Nie znajdzie przed nią kryjówek.

Kiedy owe myśli przemykały Erweinowi przez głowę, Sofia przycisnęła dłoń do czoła i odwróciła się doń plecami. Powoli podeszła do jednego z okien i wyjrzała na zamrożone jezioro i widniejące w dali za nim ośnieżone Alpy, który to widok zawsze przyjmowała za pewnik.

Zacisnąwszy wargi, Erwein rzucił ukradkowe spojrzenie na najbliższe drzwi. Teraz mam okazję, pomyślał. Wstrzymując oddech, zsunął się z fotela i na palcach zaczął się wykradać z sali. Jednak głos żony zatrzymał go, zanim doszedł do połowy.

- Errrrrweiiiiin! - zagruchała, a była to parodia erotycznej intonacji, od której włosy mu zawsze stawały dęba.

Hrabia odwrócił się powoli, oczy miał wystraszone. Poczł, jak wysychają mu jądra i zaczął dygotać. Aż za dobrze wiedział, co go czeka. Sofia miała zamiar odegrać się na nim za cały swój gniew i frustrację. Podchodziła do niego powoli, rozpinając już z tyłu wykończoną strusimi piórami suknię. Erwein zaczął się cofać

- Bitte, Sofia - błagał. - Nie rób mi krzywdy!

- Krzywdy! - Roześmiała się pogardliwie i nieubłaganie podchodziła coraz bliżej. - A dlaczegoż to myślisz, że chciałabym ci zrobić krzywdę, ty żałosna, tchórzliwa, nadęta mała, *Maus!* Nie wart jesteś tego, żeby ci robić krzywdę!

Sofia naga wyglądała jeszcze bardziej władczo i zabójczo niż Sofia ubrana. Nie po raz pierwszy Erwein doszedł do wniosku, że jego żona to Walkiria.

Przelknął nerwowo ślinę, jego wielkie jabłko Adama pracowało jak szalone. Bolesnie nabrzmiały członek przeżył się już pod szorstkimi, płóciennymi kałesonami, które nosił jako coś w rodzaju włosienicy, żeby powstrzymać erekcję.

Nie, żeby to pomagało. Nic nie mogło pomóc - kiedy już ujrzał nagie piersi swojej żony.

Sofia chwyciła go z obu stron za twarz i przytrzymała mocno. Potem szarpnęła jego głowę w dół, w kierunku sterczących piersi i popatrzyła ponad nią w dal.

- Ze względu na ciebie, Erweinie, mam tylko nadzieję, że to wesele okaże się naprawdę nieudane!

CEL: OPERACJA BURGHELEY

*Więzienie Ponton, Wielka Brytania,
27 stycznia*

Ludzie epoki wiktoriańskiej nie stworzyli tego odludnego więzienia o zaostzonych środkach bezpieczeństwa dla resocjalizacji więźniów. Wybudowali ów zespół budynków o grubych murach ze sterczącymi wieżami strażniczymi specjalnie po to, żeby karać. Powiadano, że nie da się uciec z tej kamiennej wyspy porzuconej na lodowatym, spowitym we mgłach wrzosowisku.

Kiedy Leatham, umundurowany strażnik z półautomatycznym karabinem gotowym do strzału w ręce, prowadził księdza i zakonnice ponurym korytarzem, po bloku z celami niósł się pogłos kroków.

Zakonnica miała słodką twarz i ubrana była w tradycyjny czarno-biały habit, nie brakowało jej nawet barbetu ani welonu i wydawała się bardziej płynąć, niż kroczyć.

Ksiądz miał rumianą cerę, ubrany był w czarny garnitur i czarną koszulę oraz koloratkę. Niósł stareńką, skórzaną teczkę, której zawartość została już dwa razy sprawdzona. W teczce znajdowały się parafenalia konieczne do odprawienia mszy świętej: pojemnik na hostię, mszał, plastikowa fiolka z wodą święconą i dwie świece.

Doszli do bramy ze stalową kratą, które na sygnał Leathama odsunęła się z hałasem na bok. O kilka metrów dalej znajdowała się druga, identyczna brama, zamknięta.

Ksiądz i zakonnica popatrzyli pytająco na swego przewodnika.

- Ojcie. Siostro. - Gestem karabinu kazał im iść przed sobą.

Mijając strażnika, zakonnica popatrzyła nieufnie na broń.

- Przykro mi, siostro. - Uniósł lufę wyżej. - To jest konieczne, rozumiecie. Tutaj trzymamy najbardziej niebezpiecznych i agresywnych więźniów.

Uśmiechając się łagodnie zakonnica skinęła głową i spuściła skromnie oczy w dół.

Leatham wszedł za nimi i znowu dał znak. Ciężka, stalowa brama zatrzasnęła się za ich plecami. Zakonnice przeszedł dreszcz. A potem odsunęła się kolejna krata przed nimi. Leatham poszedł przodem i poprowadził przybyłych dalej; znów usłyszeli trzask zamykającej się bramy.

- Fatalna sprawa, że nie możecie zobaczyć się z nim w pokoju wizyt - powiedział strażnik. - Tak go usytuowano, żeby nie było stamtąd widać murów ani strażnic. Tylko wrzosowisko, tak jak się należy.

- Dobrze nieba! - wykrzyknął ksiądz, kiedy zbliżali się do bramki z wykrywaczem metali, po obu stronach której stali uzbrojeni wartownicy. - Jeszcze jeden taki przyrząd!

- Środki bezpieczeństwa są tutaj bardzo surowe, ojcze. Muszą być.

- Nic nie szkodzi, mój synu. - Ksiądz oddał teczkę i wyciągnął z kieszeni pęk kluczy.

- Siostro?

Zakonnica odpięła od sznura różaniec i odłożyła go na stolik. Minęła bramkę pierwsza, za nią poszedł ksiądz. Detektor ani pisnął.

Teczka została sumiennie przeszukana po raz trzeci. Potem zwrócono ją księdzu, razem z kluczami i różańcem.

Teraz musieli przejść przez jeszcze jedną parę potężnie okratowanych bram.

Zakonnica rozejrzała się wokół siebie z konsternacją. Blok z celami był jeszcze bardziej niesamowity niż ten, z którego właśnie wyszli. Nie dochodziło tu naturalne światło. W grubych murach nie poprzebijano żadnych okien. Tylko nagie, mocne żarówki, osadzone wysoko i okryte drucianą siatką, jarzyły się i rzucały długie, ponure cienie. Na lewo i na prawo wzdłuż każdej ze ścian znajdował się szereg żelaznych drzwi, w każde wmontowany był judasz. Nad podłogą w każdym drzwiach znajdowała się szczelina, przez którą można było wsunąć metalową tackę.

Zakonnica zerknęła na Leathama.

- Pojedyncze cele - wyjaśnił.

Kobieta przeżegnała się spieszenie.

* * *

Czekał. Siedział na wąskiej prycy niczym jakiś drapieźnik, z pochyloną głową.

Byli już blisko.

Donough Kildare opuścił wzrok na ręce. Bardzo powoli i jak gdyby

ze swej własnej woli jego silne, pokryte odciskami dłonie zaczęły się zaciskać i rozprostowywać.

Wolność.

Była tak blisko, że niemal czuł jej smak.

* * *

Kiedy mijali stalowe drzwi, dochodziły do nich głosy. Zza jednych posykiwanie; zza innych szaleńczy śmiech; zza jeszcze innych wyrzaskiwano przekleństwa. A z daleka niesło się nieustanne, głuche echo zatrzaśkiwanych bram.

- Boże im dopomóż - szepnęła zakonnica.

Następny strażnik, z bronią gotową do strzału i z ogromnym pękiem kluczy przyczepionym do paska, patrolował korytarz.

- Cześć, Brompton - pozdrowił go Leatham. - Oni tu przyszli odprawić mszę dla Kildare'a.

- Ty też musisz być przy tym obecny, Keith. Znasz przepisy, nie wolno mu samemu przyjmować gości. Nawet duchownych.

- Wiemy o tym - odrzekł spokojnie ksiądz.

- No to może zacznijmy już, co, Brompton? - powiedział Leatham.

- Twój pogrzeb, Keith.

- No, pewno tak, stary.

Brompton odczepił kółko z kluczami, wybrał jeden z nich i podszedł do stalowych drzwi. Zajrzał przez judasza i wetknął klucz w zamek.

* * *

Kildare opuścił głowę, pozbył się wszelkich myśli, nie czuł nic, nie obawiał się niczego, nie robił nic, pozwolił, żeby wydarzenia toczyły się swoim biegiem. Ręce opierał na udach, dłonie leżały spokojnie; wydawał się odprężony, a przecież napięty był jak ciasno zwinięta sprężyna.

Nagle usłyszał, że ktoś wkłada klucz do zamka i przez twarz przemknęło mu coś na kształt uśmiechu.

Przybyli jego przyjaciele.

* * *

- Wygląda na dosyć spokojnego - powiedział Brompton księdzu i zakonnicy. - Ale bądźcie ostrożni, ma już na rękach krew, a nic by nie stracił, jakby rozlał jej więcej.

- Bóg pędzie nas chronił - odparł ksiądz ze spokojnym przekonaniem.

- No. Ale jakby was nie uchronił, to wystarczy krzyknąć. Będę tuż za drzwiami.

Brompton przekręcił klucz i otworzył drzwi.

Leatham wszedł pierwszy, z bronią wycelowaną w Kildare'a, który siedział na pryczy. Ksiądz i zakonnica weszli za nim. W celi ledwo się pomieścili; z ich czworga zrobił się tłum.

Grube, żelazne drzwi zatrasnęły się, klucz przekręcił się w zamku.

Byli sami z zabójcą.

* * *

Donough Kildare powoli uniósł głowę i popatrzył na przybyłych. Był przystojnym trzydziestoosmioletnim mężczyzną, o twardej twarzy i chudym ciele. Oczy miał ciemnoniebieskie jak bezdenne jeziora, włosy gęste i czarne, grube brwi i gęstą brodę.

- Przyszedł ojciec.

- Sługa Boży zawsze przychodzi, kiedy się go wezwie, mój synu - odpowiedział ksiądz, otwierając teczkę i wysypując jej zawartość na pryczę.

- Czy jesteś gotów wysłuchać mszy?

- Na wszystko jestem gotów - uśmiechnął się Kildare i w olśniewającym szyku zabłysły wilgotno jego białe zęby.

- Zaczynamy więc. - Ksiądz zrobił znak krzyża. - *In nomine Patris et Filii...*

* * *

... et Spiritu Sancti.

Leatham należał do kościoła anglikańskiego i łacina była dla niego istną chińszczyzną, równie niezrozumiałą i obcą jak voodoo czy suahili. I tak odrętwiającą, że aż się spać chciało.

Nie, żeby miał się zdrzemnąć. Przeszkadzało mu, że w celi jest aż tak ciasno; to sprawiało, że był czujny i podenerwowany. Ich troje stało, a Kildare klęczał, więc broń należało skierować w sufit, zamiast w więźnia.

Niech nas Bóg ma w swojej opiece, gdyby ten łotr próbował jakichś sztuczek, pomyślał strażnik. Nie ma tu dość miejsca, żeby wycelować.

- Proszę pana? - szepnęła zakonnica.

Zdjął palec z cyngla i popatrzył w bok. Zakonnica obracała w palcach różaniec.

- Bóg nam wszystkim wybaczy - powiedziała.

Mówiąc to, odkreśliła górną część niewielkiego krucyfiks, który wisiał przy jej różańcu. A potem z szybkością błyskawicy wbiła Leathamowi igłę w bok.

Wzdrygnął się, czując ukłucie.

- Co do...

- Cśśś.. - Zakonnica przyłożyła palec do ust. - Nie wolno rozmawiać w trakcie mszy, proszę pana!

Nie był w stanie wykonać żadnego ruchu, nie mógł zaczerpnąć tchu. Opadł na kolana, a zakonnica łagodnie wyjęła mu broń z rąk. Ostatnia rzecz, jaką widział, był jej słodki, łagodny uśmiech.

* * *

Na korytarzu Brompton wyczuł zmianę tempa w łacinie dobiegającej zza żelaznych drzwi. Zajrzał przez judasza, ale widać było tylko plecy księdza. Duchowny trzymał hostię wysoko w górze i intonował jakąś modlitwę.

Chryste! pomyślał strażnik z obrzydzeniem. Ci cholerni papiści! Nie starczy mszy na całym świecie, żeby pomóc temu pierdolonemu Kildare'owi.

Brompton odstąpił o krok od drzwi i zaczął chodzić tam i z powrotem. Marzył, żeby ten ksiądz wreszcie się pospieszył.

Ile może trwać taka cholerna msza?

Nagle z celi dobiegły grzmiące odgłosy strzałów.

- Co u diabła...

Brompton rzucił się do najbliższego guzika alarmowego i natychmiast rozległo się zawodzenie syren. Popędził do drzwi, zajrzał przez judasza, potem pospiesznie otworzył zamek i wbiegł do środka. Upadł na kolana i usiłował wymacać puls u któregoś z czterech leżących.

Zakonnica - nie żyje.

Ksiądz - nie żyje.

Kildare - nie żyje.

Bał się odwrócić do ciała Leathama. Mundur strażnika przesiąknięty był krwią. Twarzy nie dawało się rozpoznać, była to istna makabra z ciałą, krwi i odłamków kości.

Zaczerpnął głęboko powietrza, dotknął szyi kolegi, chcąc wyczuć puls, a potem podniósł się i wrzasnął:

- Wezwijcie ten cholerny helikopter! Ale to już! Leatham jeszcze żyje!

* * *

Helikopter uniósł się i zaczął zawracać, a potem zanurkował w zmierzch i poleciał nad ciemnym, jałowym wrzosowiskiem.

- Jak tam z nim? - zawołał pilot przez ramię.

- Przeżyje! - odrzyknął medyk, który nie zauważył, że leżący na noszach ranny zaczyna rozpinąć pasy. - Za cholereę pojąć tego nie mogę. Ciśnienie w porządku. Puls jak trzeba...

Nie udało mu się skończyć. Ubrany w mundur Leathama Donough Kildare sięgnął w górę, skręcił młodemu człowiekowi kark i złamał mu kręgosłup.

W minutę później wyleciał z helikoptera krzyczący pilot.

Kildare przelazł przez fotel, chwycił ster i opanował kręcącą się jak bąk, zbaczającą z kursu maszynę. Zawrócił ją, opuścił się poniżej poziomu radarów i ruszył nad wybrzeże w kierunku zardzewiałego frachtowca, który czekał mrugając światłami na wodach międzynarodowych.

Pięciu ludzi z załogi też było jego przyjaciółmi.

Chwilowo.

CZEŚĆ CZWARTA

WIELKIE BUM

TERRORYSTA WCIĄŻ JESZCZE PRZEBYWA NA WOLNOŚCI

LONDYN, 11 LUTEGO (REUTERS) - PO DWÓCH TYGODNIACH NAJBARDZIEJ INTENSYWNYCH POSZUKIWAŃ, JAKIE KIEDYKOLWIEK PROWADZONO W WIELKIEJ BRYTANII, ZARÓWNO POLICJA TUTEJSZA, JAK I POLICJA NA TERENIE IRLANDII PRZYZNAJĄ, ŻE ANI TROCHĘ NIE SĄ BLIŻEJ SCHWYTANIA DONOUGH KILDARE'A, KTÓRY 27 STYCZNIA UCIEKŁ Z WIĘZIENIA PORSTON, ZAMORDOWAWSZY PIĘĆ OSÓB.

„ZUPEŁNIE JAKBY ROZPŁYŃ SIĘ W POWIETRZU” - POWIEDZIAŁ RZECZNIK SCOTLAND YARDU O SPECJALIŚCIE IRLANDZKIEJ ARMII REPUBLIKAŃSKIEJ W ZAKRESIE ŚRODKÓW WYBUCHOWYCH, KTÓRY UDAWAŁ RANNEGO STRAŻNIKA I PORWAŁ HELIKOPTER SANITARNY.

PEWNA OSOBLIWOŚCIĄ BYŁO TO, ŻE PRZYWÓDCY IRA NIEZŁOMNIE ZA-PRZECZALI, JAKOBY BYLI W JAKIKOLWIEK SPOSÓB ZAMIESZANI W ZORGANIZOWANIE UCIECZKI I POMAGANIE UCIEKINIEROWI.

„DAWNO JUŻ ODŻEGNALIŚMY SIĘ OD NIEGO.” - TAK BRZMIAŁO OŚWIADCZENIE, PODPISANE PRZEZ NAJBARDZIEJ SZANOWANYCH I WPLYWOWYCH LIDERÓW KATOLICKICH Z PÓŁNOCNEJ IRLANDII. - „PRZED LATY UWAŻANO GO ZA BOHATERA, ALE BYŁO TAK, ZANIM ZMIENIŁ SIĘ W ZWYKŁEGO TERRORYSTĘ DO WYNAJĘCIA.”

OBLAWA, W KTÓREJ UDZIAŁ BRAŁO CZTERDZIEŚCI TYSIĘCY ŻOŁNIERZY I PIĘTNAŚCIE TYSIĘCY POLICJANTÓW, BYŁA NAJWIĘKSZĄ, JAKĄ KIEDYKOLWIEK ZORGANIZOWANO W TYM KRAJU.

„MÓWIĄC CAŁKIEM SZCZERZE, NIE MAM POJĘCIA” -STWIERDZIŁ RZECZNIK SCOTLAND YARDU ZAPYTANY, CZY UWAŻA SIĘ, ŻE KILDARE WCIĄŻ JESZCZE PRZEBYWA NA TERENIE ZJEDNOCZONEGO KRÓLESTWA. - „WSZĘDZIE

ZORGANIZOWALIŚMY BLOKADY DRÓG, A WE WSZYSTKICH PORTACH WPROWADZILIŚMY WZMOCNIONE ŚRODKI BEZPIECZEŃSTWA.”

DODAŁ, ŻE WCIĄŻ JESZCZE NIE ODZYSKANO HELIKOPTERA, KTÓRY ZOSTAŁ WYKORZYSTANY PRZY UCIECZCE I ŻE ZWRÓCONO SIĘ Z PROŚBĄ O POMOC DO INTERPOLU, SÛRETÉ ORAZ FBI.

„ON MOŻE BYĆ WSZĘDZIE - POWIEDZIAŁ NA KONIEC - ALE JEDNO JEST PEWNE: GDZIEKOLWIEK SIĘ UDAŁ, NIE POJECHAŁ TAM PROPAGOWAĆ POKOJU.

44.

Nowy Jork, 12 lutego

- Tak cudownie było się z wami zobaczyć, kochane. Właściwie to mam straszne wyrzuty sumienia, że tak was zostawiam, ale tyle jest do zrobienia. Nie mogę się doczekać, aż będę miała to wszystko za sobą. Stęskniłam się za babskimi pogaduszkami. Cmok! Cmok!

Wymieniły całą furę powietrznych pocałunków, a potem Zandra uciekła w zapierającym dech wirze intensywnie granatowych wzorów (kamizela w ukośne pasy, blezer w pionowe i poziome), w czarnym golfie, wąziutkiej skórzanej mini spódnicy, rajstopach od Jeana-Paula Gaultiera we wzory przypominające tatuaż i czarnych wysokich botkach na „sklejkowych” obcasach; jej strój był niezbitym dowodem, że z rzeczy używanych, skarbów odkrytych na wyprzedazy i jednej pary frywolnie kosztownych rajtek można skomponować całość nie do pobicia w restauracji pełnej najlepszego gatunku *haute couture* na świecie.

- Druhna, taka zwykła, tuzinkowa druhna...

W pełnej ludzi sali Dina nie mogła odreagować swego zawodu w sposób bardziej żywiołowy, mówiła więc przez zaciśnięte zęby; kiedy usiadła z powrotem razem z Becky przy stoliku i przyglądała się, jak Karl-Heinz wyprowadza Zandrę z Le Cirque, gdzie cała czwórka jadła razem lunch, na wargach miała już przyklejony sztuczny uśmiech.

- Naprawdę, skarbie, nigdy w życiu nie czułam się tak do głębi upokorzona!

Diuszesa, ubrana w dopasowaną czarno-białą wełnianą sukienkę od Valentina, z białym kołnierzykiem i dużą, czarną, opadającą, aksamitną muchą oraz spinkami z diamentów i onyksów przy wykrochmalonych białych mankietach, podnosiła właśnie do ust filiżankę cappuccino i przerwała ten gest w pół drogi.

- *Chérie*, proszę. Posłuchaj mnie. Ten afront, jeżeli to rzeczywiście jest afront...

- Oczywiście, że afront. Cóż może to być innego?

- ... jest niezamierzony. *Oui*. - Wielka dama odstawiła filiżankę i kiwnęła głową.

- Niezamierzony? Jakim cudem mógłby być niezamierzony?

Dina, która na sobie miała fortunę skomponowaną ze skrawków akşamitu - ręcznie szytą, zwariowaną fantazję patchworkową od Christa-na Lacroix - czuła się zdecydowanie jak starsza pani przy promieniującym młodością, niedrogim stroju Zandry. Następna z owych niesprawiedliwości, jakie ją ostatnio spotykały, a miała wrażenie, że ktoś musi specjalnie nad tym pracować, by tak cierpiała.

- Oczywiście Zandra nie miała nic złego na myśli! - mówiła Becky.

- Nie? Złotko, nie dość, że moja tak zwana najlepsza przyjaciółka czekała aż do teraz, żeby mnie w ogóle poprosić... ale kiedy to wreszcie zrobiła, to nie poprosiła, żebym została starościna wesela, tylko druhną, i to nawet nie pierwszą, a przydanką... I ty uważasz, że nie powinnam tego odbierać jako afront?

- Oczywiście, że nie! Jesteś jej najstarszą i najbliższą przyjaciółką.

- Czy aby?

- *Oui*. Sama to wiesz najlepiej.

Pani Goldsmith z uśmiechem przylepionym na mur do twarzy poma-chała palcami, odpowiadając na pozdrowienie od sąsiedniego stolika.

- A więc dłaczego, bądź uprzejma mi to wyjaśnić, była zbyt zajęta... tak, skarbie, zbyt zajęta... żeby dać się zaprosić na obiad, który dla niej zaplanowałam? Dlaczego musiałam zadowolić się tym lunchem w... ile to?... w dwa tygodnie później?

- *Chère amie*, musisz postarać się to zrozumieć. Od momentu, kiedy ogłoszono ich zaręczyny, Zandra nie może się opędzić od zajęć. Z dnia na dzień musiała przyjąć na siebie niekończące się obowiązki. Nie jest łatwo zostać księżną, jak wiesz. To poważna odpowiedzialność.

- Być może - przyznała Dina. - Ale czy mogę zapytać, gdzie się udała teraz? Hmm?

Jej towarzyszka milczała.

- Słyszałaś ją sama, skarbie. Ależ do Very Wang, na przymiarkę sukni ślubnej! A z kim ma się tam spotkać? Z Kenzie Turner!

- *Chérie*... - Becky westchnęła.

- Gdzie się nie odwrócę, wszędzie słyszę tylko: Kenzie Turner to, albo: Kenzie Turner tamto! Kenzie Turner: współlokatorka. Kenzie Turner: pierwsza druhna. Kenzie Turner: najlepsza przyjaciółka.

Wielka dama przesłała obowiązkowy pocałunek jakimś nowo nabytym.

- A ja kim w takim razie jestem? - zapytała Dina. - Starym ciuchem, którego się pozbyła? Przecież Zandra nawet by nie spotkała Kenzie Turner, gdyby nie ja!

- *Chère amie*, wiem, jak się musisz czuć. Chcę, żebyś mnie wysłuchała. Jednakowoż najpierw będzie nam koniecznie potrzebny *digestiff* - zdecydowała Becky i przywołała kelnera lekkim podniesieniem palca.

- Będzie nam koniecznie potrzebny - oznajmiła Dina ponuro - płatny morderca, który usunie Kenzie Turner.

- *Quelle horreur* - zauważyła diuszesa niezbyt przejęta i uśmiechnęła się do zbliżającego się kelnera. - Dwa *Drambuies*, Julianie, proszę.

- Tak, *madame*.

Kiedy kelner odszedł, Becky powiedziała:

- Musisz jedno zrobić, *chérie*, popatrzeć na wszystko z właściwej perspektywy.

- Łatwiej to powiedzieć niż wykonać - ponuro zadumała się Dina.

Jej szeroko rozstawione, lodowato niebieskie oczy zrobiły się jeszcze bardziej lodowate, nieobecne i nieprzejrzyste niebieskie jak matowe szkło. Nie czuła się na siłach, żeby tak łatwo puścić to Zandrze w niepamięć. Nie; zbyt wiele ostatnio odniosła ran, i za bardzo były one głębokie.

- *Quelle sottise!* Cóż za absolutna bzdura! - odparła diuszesa. - Oczywiście, że łatwo tego dokonać. Pamiętaj: do ślubu Zandra będzie zwykłą pracującą dziewczyną.

- No i?

- I czy zapomniałaś, że prowadzisz uprzywilejowane życie osoby posiadającej bogactwo i władzę?

- Oczywiście, że nie zapomniałam. Ale nie widzę, co ma wspólnego jedno z drugim.

- Wszystko, *chérie*. Absolutnie wszystko. Widzisz, teraz jest to całkiem naturalne, że Zandra zwróciła się ku Kenzie Turner. Ma z nią więcej wspólnego niż z tobą. Jednak raczej nie warto się tym irytować.

- Raczej nie warto...

Dina zamilkła, kiedy kelner stawiał na stole dwa kieliszki ciemnobursztynowego likieru.

- *Merci*, Julianie - powiedziała Becky, podnosząc głowę.

- *Mesdames*. - Kelner oddalił się dyskretnie.

Diuszesa delikatnie ujęła malutki kieliszek.

- Wypijmy za zdrowie przyszłej panny młodej, dobrze? Zobaczysz. Kiedy już wesele będzie *fini*, wszystko wróci do normy.

- Jesteś pewna?

Jej przyjaciółka uśmiechnęła się porozumiewawczo. - *Mais oui*. A czemu nie miałyby wrócić?

- A Kenzie Turner?

- Nie będzie już współmieszkanką Zandry ani jej najbliższą *confidante*. Stanie się... nieistotna.

Pani Goldsmith patrzyła na swą pocieszycielkę szeroko otwartymi oczami.

- Jak możesz być taka pewna?

- Ufaj mi, *chérie* - mówiła cierpliwie diuszesa. - Z czasem wszystko się ułoży.

- A więc kiedy już będzie po wszystkim - ciągnęła z namysłem Dina - przysięga zostanie złożona i Zandra wyjdzie za mąż, co wtedy się stanie?

- Młoda księżna będzie miała tak wiele obowiązków w swym własnym kręgu, że nie wystarczy jej czasu dla *mademoiselle* Turner. Pamiętaj, że to ostatnie kilka tygodni, którymi mogą się obie razem cieszyć... jeżeli nie na dokładnie tej samej stopie towarzyskiej, to przynajmniej na tyle bliskiej, na ile to jest możliwe. - W słynnym uśmiechu á la Mona Lisa pojawił się cień złości. - Rozumiesz chyba, do czego zmierzam, *chère amie*?

- Oczywiście! - Dina odpowiedziała jej szerokim uśmiechem.

Becky nie tylko przywróciła sprawom właściwe proporcje, lecz spowodowała, że wszystko stało się jasne jak kryształ.

Co ja bym bez niej zrobiła? Tego pani Goldsmith naprawdę nie wiedziała.

- *Bon*. - Diuszesa pokiwała z zadowoleniem głową. - Już wkrótce Zandra należeć będzie do naszego kręgu... tak pod względem finansowym, jak i towarzyskim. Naturalnie, w sprawach przyjaźni będzie grawitować w stronę osoby, którą najlepiej zna, czyli ciebie.

Tych słów właśnie było trzeba Dinie. Czują się przejęta po czubki palców u nóg.

- Skarbie, nie uwierzyłybyś, o ile lepiej się dzięki tobie czuję! Tak się cieszę, że mogłyśmy odbyć tę pogawędkę!

- A po cóż ma się przyjaciół?

- Taka przyjaźń to prawdziwy skarb - powiedziała Dina gorąco.

- *Oui*? - Wielka dama miała zadowoloną minę. - *Alors*. A więc pozwólmy sobie na rozrzutność i uczcijmy to ostatnim *Drambuie*.

* * *

- Kenzie, słuchaj, chcę żebyś mi powiedziała co myślisz, tylko szczerze - uprzedziła przyjaciółkę Zandra i wychylna z przymierzalni na drugim piętrze u Very Wang na Madison Avenue.

Przyjaciółka wpatrywała się w nią zachwycona, a cały tabun pracownic cofnął się i unisono błogo westchnął.

Zandra miała na sobie bajkową suknię z długą trenem, na której uszyte, razem z welonem, musiało pójść dobre sto metrów starej, prawie białej walansjenki, nie wspominając już o beli ciężkiego, białego jedwabiu i kilku tysiącach słodkowodnych perełek.

- No, kochana? - zapytała, zaciskając dłonie na prowizorycznym bukiecie z jedwabnych kwiatów. - Nalegam, żebyś powiedziała mi prawdę, całą prawdę i nic oprócz prawdy, tak ci dopomóż Bóg.

- Wyglądasz... fascynująco - udało się wykrztusić Kenzie, kiedy przeknęła ślinę. - Słów... słów mi brak.

Zandra przejrzała się w otaczających ją lustrach i zmarszczyła brwi.

- Fascynująco... słów brak.... Phi! Okropnie jest nadęta - wymamrotała. - Beznadziejnie romantyczna i uporczywie ślubna. Kenzie, przestańmy pieprzyć od rzeczy. Jeżeli miałabyś mnie zapytać, to jest fascynująco okropna.

Personel popatrzył na nią ostro.

Kenzie zerwała się z krzeselka i poruszona zaczęła obchodzić przyjaciółkę dookoła.

- Można zwariować, takie to jest wspaniałe! Naprawdę nie rozumiem, co masz jej do zarzucenia. Przecież sama księżna Di byłaby z czegoś takiego dumna. Nawet Królowej Matce, niechże Bóg błogosławi jej podchmielone serduszko, ciężko byłoby tego nie pochwalić!

- No właśnie, kochanie. Kenzie, ona naprawdę mi się podoba, naprawdę, przecież inaczej bym tego fasonu nie wybrała.

- No więc o co chodzi?

- Z jakiegoś niezrozumiałego powodu teraz, kiedy już została uszyta i mam ją na sobie... taka mi się wydaje okropnie sztywna... taka... taka zdecydowanie elżbietańska i nie pasuje do mnie. A jak mam ją włożyć tylko raz i czuć się w niej okropnie, to przecież to się kompletnie mija z celem i cały ten wydatek będzie zupełnie bez sensu, prawda?

Personel wymienił między sobą urażone spojrzenia. Jakim cudem suknia ślubna tak królewskiej i nieporównanej piękności mogła mijać się z celem? Jeżeli, jak zapewnił panią Wang jaśnie oświecony książę Karl-

Heinz, pieniądze nie stanowiły żadnego problemu, to każda panna młoda po prostu musiała zwarłować na punkcie tej najpiękniejszej sukni ślubnej, jaką kiedykolwiek zaprojektowano.

Niestety, Zandra nie była „każdą panną młodą”, tylko koszmarnym snem kreatora mody, zbuntowana panną młodą - krótko mówiąc najbardziej frustrującą klientką, jakiej zdarzyło się pojawić w tym zakładzie.

- W porządku - odezwała się powoli Kenzie. - Wyduś to z siebie. Co ci się w tej sukni nie podoba? I chcę, żebyś mówiła szczegółowo, bo im dłużej potrwa, zanim zaczniesz, tym bardziej będziesz się czuła nieszczęśliwa, a im bardziej ty będziesz się czuła nieszczęśliwa, tym bardziej my wszyscy będziemy nieszczęśliwi.

- Wiem, wiem - powiedziała Zandra potulnym, cichym głosem, okręcając na palcu swój zaręczynowy pierścionek z Różową Damą, czyli czternaście i pół gruszkowatych karatów najwspanialszego, nieskazitelnego, różowego diamentu na świecie.

- No to proponuję zacząć. Suknia leży idealnie, prawda?

- Oczywiście, że tak - odparła. - To zupełnie nie o to mi chodzi, wcale nie. Och, Kenzie, kochanie, po co mi w ogóle ta cała suknia? Dlaczego nie możemy po prostu z Heinzie'em wpaść do jakiegoś magistratu i mieć z głowy całą ceremonię? Czy naprawdę proszę o zbyt wiele?

- Tak i sama dobrze o tym wiesz. Pamiętasz, jak mi opowiadałaś, że uroczystość musi odbyć się zgodnie z tym, co zalecają pewne rodzinne tradycje? Że inaczej nie uznano by jej za wiążącą?

- Boże, Kenzie, masz pamięć jak słoń! - Zandra wdzięcznie zmarszczyła brwi. - Widzę, że w przyszłości będę musiała uważać na każde słowo.

- Na dodatek - przypomniała jej przyjaciółka - trzeba brać pod uwagę drobny problem rozgłosu.

- Och, Kenzie - westchnęła przyszła księżna. - Brzydzę się rozgłosem. Mam wstręt do tego, że będę wystawiona na widok publiczny.

- Lepiej, żebyś się do tego przyzwyczaiła albo znalazła sobie innego narzeczonego.

- Łatwo ci mówić.

- Posłuchaj mnie, Zandro. Kocham i wysoko sobie cenię własną prywatność, więc naprawdę dobrze rozumiem, co twoja musi znaczyć dla ciebie. Ale na Boga, twój ślub jest tylko o jeden szczebelek niżej niż ślub pary królewskiej, jeśli chodzi o pozycję towarzyską! Nie ma sposobu, żeby przeszedł niezauważony.

- Wiem - odpowiedziała tamta ponuro, wciąż kręcąc na palcu olbrzymi, migoczący, różowy diament. - Jakże ja to dobrze wiem.

- A ponieważ tak czy owak zwróci na siebie mnóstwo uwagi, jakby to wyglądało, gdybyś poszła do ołtarza nieodpowiednio ubrana? Zwłaszcza, że będziesz musiała stanąć twarzą w twarz z fotografami, reporterami, ekipami telewizyjnymi, gośćmi i Bóg jeden wie, kim jeszcze.

- Kenzie, przerażasz mnie. Okropnie mnie przerażasz.

- Głupio byś się czuła i tyle! - ciągnęła dalej nieubłaganie przyjaciółka. - Ludzie świetnie by się bawili, śmiejąc się z ciebie i nie zostawiając na tobie suchej nitki.

- Przestań!

- Czy ty nic nie rozumiesz? Żeby przejść przez tę męczarnię tak gładko i łatwo, jak tylko to jest możliwe i z jak najmniejszą ilością tremy, musisz wyglądać jak panna młoda z marzeń.

Zandra z namysłem zmarszczyła brwi. Może coś jest w tym, co mówiła jej Kenzie. Nigdy wcześniej nie myślała w taki sposób o sukni ślubnej.

- Jeżeli czegokolwiek zaniedbasz - dodała przyjaciółka - to tylko zwrócisz na siebie uwagę. Poza tym... - tu uśmiechnęła się z zadowoleniem, zręcznie wykładając asa - ...nie ma to jak suknia ślubna, jeżeli człowiek chce się ukryć.

- Ukryć?

- Tak, ukryć. Nie rozumiesz, Zandro? Ona może spowodować, że będziesz niemalże niewidzialna! Słyszałaś mnie? Niewidzialna!

To na twój strój będą się wszyscy gapili, a nie na dziewczynę w welonie!

Zandra zaczęła słuchać uważnie. Cała Kenzie, pomyślała, taka praktyczna i rozsądna. Tak. Miałam rację, że zabrałam ze sobą ją zamiast Diny, która by tylko wołała: „och” i „ach” i nawet nie próbowała zrozumieć problemu.

- No to może zaczniemy od początku - zaproponowała przyjaciółka cierpliwym tonem. - Powiedz nam dokładnie, co myślisz o tej sukni.

Zandra odwróciła się ponownie do luster i pokazała na siebie.

- No, po pierwsze to ona jest za bardzo... dużo za bardzo w ogóle. Rozumiesz?

- Przypuśćmy, że nie rozumiem.

- W porządku. - Głęboko zaczerpnęła powietrza. - Jest zbyt tradycyjna, zbyt romantyczna, zanadto królewska i za... zbyt cholernie ślubna!

- Rozumiem. - Wyglądało na to, że Kenzie czuje się zaskoczona. - Coś jeszcze? - zapytała z ironią.

- Tylko tyle, że jest przygnębiająco dziewicza. - Zandra dostrzegła wyraz twarzy personelu. - O Boże, teraz to chyba naprawdę się naraziłam!

- Nikomu się niczym nie naraziłaś - zapewniła ją Kenzie. - Jesteś panną młodą. Jeżeli ty nie będziesz szczęśliwa, nikt się nie będzie czuł szczęśliwy.

Zandra jeszcze chwilę przyglądała się swym wielokrotnym odbiciom.

- Rozumiesz o co mi chodzi, prawda, kochanie? Ja chcę, żeby to był mój ślub, nie tej cholernej sukni, tylko mój. Która panna młoda chciała-by, żeby zakasowała ją własna suknia?

- Dobrze. - Przyjaciółka uśmiechnęła się zachęcająco. - Teraz, jak już to z siebie wyrzucasz, to do czegoś dojdziemy. Słucham dalej. Słucham propozycji.

- Czy byśmy nie mogły... nie mogły trochę tej sukni skrócić? Kenzie przyglądała się obrąbkowi sukni, który dotykał ziemi.

- Skrócić? - mruknęła.

Zandra kiwnęła głową.

- Oczywiście, że można by ją skrócić... jeżeli ci na tym zależy. Ale zdajesz sobie sprawę, że przestanie to być suknia, a zrobi się sukienka?

- Zwariowałaś, Kenzie?

- A twój ślub ma być staroświecki. Wystawny, staroświecki ślub w katedrze, którego udzieli wam kardynał, książe kościoła.

- Teraz robisz się świętoszkowata. Kochanie, czy ktoś powiedział, że nie mogę być zbuntowaną księżną?

Zbuntowana księżna? Kenzie miała spłoszoną minę.

- A cóż to ma znaczyć?

- To znaczy tylko tyle, że mam zamiar się trochę zabawić. A jeżeli moja chęć zabawy sprawi, że Stefania z Monako będzie wyglądała na potulnego, wytresowanego pieska pokojowego, to niech tak będzie.

- Tylko proszę cię, żeby nie było na mnie. To jak myślisz? Do pół łydki?

- Kenzie, co ty! - naśmiewała się Zandra.

- Wyżej?

- Wyżej.

- Ale poniżej kolana?

- Powyżej kolana - oświadczyła nieugięcie. - Dwadzieścia centymetrów powyżej.

- Dwadzieścia? - Kenzie poczuła się tak wstrząśnięta, że aż zapiszczała. - Dwadzieścia centymetrów? Powiedz mi, że tylko żartujesz. Proszę, Zandro, powiedz mi, że żartujesz.

- Chcę żeby się kończyła dwadzieścia centymetrów nad kolanem - powiedziała z uporem tamta. - Powyżej górnej krawędzi rzepki - dodała groźnie.

- Tak mi się zdawało, że to właśnie mówiłaś. Do czego ty próbujesz doprowadzić? Chcesz, żeby stara europejska gwardia dostała kolektywnego ataku serca?

- Najwyższy czas, żeby ktoś te dinozaury obudził!

- Ale całe gołe nogi! I to w katedrze!

- A kto mówi o gołych nogach? Co byś powiedziała na... białe siatkowe pończochy?

- Nie, Zandro, zabraniam. Jak ty chcesz wyglądać? Jak panna młoda z rogu ulicy?

- No to co byś powiedziała na... koronki - mówiła hrabianka rozmazana. - Koronkowe pończochy! Tak. Biała koronka. Jestem zachwycona! Kenzie, kochana, teraz do czegoś dojdziemy!

- Jeżeli tak twierdzisz - odrzekła przyjaciółka z powątpiewaniem.

- I chcę mieć bardzo, bardzo wysokie „sklejkowe” obcasy - ciągnęła dalej Zandra z coraz większym entuzjazmem. - Ale nic tak wulgarnego jak szpilki. Ani koturny. Wiesz... coś w rodzaju... jak buty Lotte Lenyi! Bardzo, bardzo brzydkie, z całym mnóstwem paseczków w kostce? Albo może z koronkami? W każdym razie muszą być okropnie brzydkie i okropnie sztywne. - Zachichotała. - Wiesz, takie, żeby prawie przypominały buty ortopedyczne!

- Zandra...

- I, kochanie, zrobimy z tej spódnicy bombkę. O tak! Chwyła suknię w obie ręce i pokazała, o co jej chodzi. - Coś w rodzaju bombki z końca lat osiemdziesiątych, ale króciutkiej. Bez trenu, z welonem sięgającym tylko do obrąbka sukienki.

- Ty... Zandro! Będziesz wyglądała jak koronkowy dzwon na nogach!

- Hmm. Tak, coś w tym stylu, prawda? Ale to jest inne, czyż nie?

- Och, zdecydowanie tak.

- A co najważniejsze, to jestem ja! Och, kochanie, czy zdajesz sobie sprawę, że jeszcze się ani razu z okazji tego ślubu tak świetnie nie bawiłam... A teraz Kenzie, mów prawdę... ile to rozkloszujemy... tyle... czy może aż tyle...?

CEL: OPERACJA BURGHELEY *Odliczanie trwa*

*W pobliżu Grand Abaco, Wyspy Bahama,
12 lutego*

Zachód słońca na siedemdziesiątym piątym południku.

Po wielkich, zimowych bałwanach na Atlantyku sześciostopowa huśtawka w obszarze Karaibów wydawała im się spokojną przejażdżką po sadzawce w połowie lata.

Dziewiętnastego dnia od wypłynięcia z Marsylii mały frachtowiec *Beatriz* oddalony był o sto dwadzieścia mil na północny zachód od wyspy Grand Abaco, kiedy kapitan rozkazał wyłączyć silniki.

Fiolety, róże i chmury jak pomarańczowe chryzantemy malowały niebo i barwiły wodę. Był to ten typ wspaniałego zachodu słońca, który ściąga tłumy na Key West i wzbudza ogólny zachwyt.

Na *Beatriz* jednak nikt nie doceniał wysiłków natury. Czterech ludzi z załogi zajętych było na pokładzie dziobowym, skąd bom ładunkowy podnosił dziesięciometrową żaglówkę spoczywającą dotychczas na rusztowaniu w ładowni. Na rufie łodzi widniał napis: ALOHA LADY Z HONOLULU. Kapitan i jego jedyny pasażer przyglądali się z mostka, jak bom przerzuca żaglówkę nad burtą i opuszcza ją powoli na wodę. Dwaj marynarze zeszli po drabince sznurowej i zamocowali składany maszt na miejscu.

Aloha Lady była dobrze zaopatrzona w zapasy, bak miała po wręby pełen paliwa dieslowskiego. Wystarczyło podnieść zwiniętych czterdzieści pięć metrów kwadratowych płótna, a smukła łódeczka odpłynie w zachodzące słońce.

Kapitan, przysadzisty Hiszpan o skórze tak mocno opalanej i ogorzałej od wiatru, że przypominała skorupę orzecha włoskiego, odwrócił się do pasażera.

- A więc tu rozstajemy się, *amigo*.

- Tak jest, *capitán*. - Donough Kildare patrzył na niego bez uśmiechu zimnymi, irlandzkimi oczami. Drobne rany, które sam sobie zadał w Porston, już się wygoiły, włosy i brwi miał ufarbowane na żółto-biały kolor. - To była bardzo interesująca podróż. Kapitan wybuchnął jowialnym śmiechem.

- Interesująca! *Por Diós*, to chyba nieco za mało powiedziane!

Osiemnastoletni syn kapitana wdrapał się po drabince sznurowej i pomachał na znak, że wszystko jest gotowe.

- *Adiós, capitán!* - powiedział Kildare cicho.

- *Adiós, amigo!*

Bosman, lśniący czarny mężczyzna z wygoloną głową, zbliżał się do kapitana i patrzył, jak ich pasażer schodzi pod górny pokład i idzie przez pokład dziobowy.

- Nadal uważam, że powinniśmy byli go zabić, człowieku - odezwał się cicho.

Kapitan potrząsnął głową.

- Nic złego nam nie zrobił, a staliśmy się bogaci.

- Nie ufam mu, człowieku. Ma oczy jak sama śmierć.

- *Silencio!* Ty i te twoje przesady voodoo. Oczy jak śmierć, też coś!

Widzisz, Marcel? Odpływa. Teraz ci już lepiej?

Obydwaj usłyszeli warkot wewnętrznego silnika żagłówki i przyglądali się, jak zgrabna łódka odbija od statku, rysując się czarną sylwetką na tle płonącego zachodu słońca.

A może, dumiał kapitan, wykorzystam moją część pieniędzy, żeby przejść na emeryturę? Oczami śledził łódkę. Może sam sobie kupię taką żagłórkę?

W jego myśli wdarł się jakiś głos.

- *Capitán?* - To odezwał się gruby grecki kucharz.

- Czego?

- Zniknęło całe mydło w proszku z kambuza.

- No to co? Weź sobie z zapasów.

- Ale były cztery pełne pudełka!

- Nie zwracaj mi tym głowy.

- *Papá!*

- *Si?*

- Właśnie wracam z kabiny. Zauważyłem, że zginął mój budzik.

- Nie masz nic do roboty? Możesz poszukać go później.

- *Capitán?*- Tym razem odezwał się radiooperator.

- A teraz co znowu?
- Radioodbiorniki. Obydwa są roztrzaskane!
- Wszystko, co się popsuło, naprawimy albo kupimy nowe, jak dopłyniemy na Gran Abaco.
- *Capitán?* - zawołał mechanik.
- Co?
- Baryłka z benzyną do motorówki. Nie ma jej!
- Wracaj do maszynowni! - ryknął kapitan. - Ale już!
- *Si, capitán.*

Kapitan poczuł, że na jego nadgarstku zaciska się silna, czarna ręka.

- Słuchaj mnie, człowieku! - szepnął bosman. - Coś złego się dzieje. Nie czujesz tego?

Szef strząsnął jego rękę, poszedł do sterowni i podniósł słuchawkę telefonu.

- Włączyć silniki! - rozkazał.

Wkrótce, kiedy uruchomiono wielkie diesle, usłyszał swojski pomruk, a pokłady zaczęły drgać i śpiewać.

- Widzisz? - powiedział do bosmana. - Gorszy jesteś niż stary...

Nie udało mu się dokończyć tego zdania. Nagle oślepił ich błysk, a gigantyczny wybuch uniósł *Beatriz* nad wodę i rozdarł ją na kawałki; wszędzie dookoła jak ognisty deszcz spadały szczątki, wyprodukowane przez domowe roboty napalm.

* * *

O ćwierć mili dalej Donough Kildare zaparł się mocniej w oczekiwaniu na falę uderzeniową. Przed chwilą widział przed sobą *Beatriz*; teraz zniknęła.

Zostały tylko płonące okruchy.

- *Bon voyage* - powiedział cicho i ironicznie zasalutował.

Potem ustawił kurs na Fort Lauderdale i pożegłował w zachód słońca.

46.

W sobotę 9 marca, w dzień książęcego ślubu, poranek był burzliwy i szary. Księżniczka Sofia obudziła się w świetle błyskawic i huku grzmotów. Wściekły deszcz smagał setki wysokich okien Schloss Engelwiesen, a wody jeziora zdawały się kipieć w złowieszczej furii.

- *Wach auf!* - Sofia obudziła męża kuksańcem.

- Au! - zaskowyczał Erwein, uniósł głowę w szlafmicy z kutasikiem, która była reliktem ubiegłego stulecia, i usiadł.

Przez moment nie wiedział, gdzie jest. Potem sobie przypomniał. Znajdowali się w sypialni dwupokojowego apartamentu na drugim piętrze, do którego relegował ich Karl-Heinz i na który Sofia gorzko narzekała. Popatrzył na żonę.

- *Was gebt's?* - wybełkotał cierpko.

Jej oczy w ciemnościach płonęły jak oczy kota.

- Och, Erweinie, posłuchaj! Posłuchaj tylko... - Pokazała na okno.

Jakby na dany znak, zamkiem wstrząsnął ogłuszający huk, któremu towarzyszyły szczególnie imponujące błyskawice. Sofia uśmiechnęła się z wyższością.

- Widzisz? Co ci mówiłam, Erweinie? Jest dokładnie tak, jak powiedziałam. Ten wielki dzień - oznajmiła triumfalnie - to będzie jedna wielka kłapa!

- *Ja, Liebling* - westchnął Erwein, wdzięczny że burza wprawiała ją w dobry nastrój. - Miałaś rację, jak zwykle.

Tak, pomyślała z zadowoleniem księżniczka. Miałam. Erwein położył się i zapadł w głęboki sen.

W ten dzień, kiedy usposobienie Sofii zależało od kaprysów pogody, ta ostatnia postanowiła się chyba z nią podroczyć.

O dziewiątej rano księżniczka wstąpiła znowu na ścieżkę wojenną.

Burza dawno minęła, a wiejący przeważnie ze wschodu wiatr przepędził ostatnie strzępy chmur. Słońce świeciło promiennie, głęboki błękit był gładki jak lustro, a dalekie, ośnieżone Alpy wyglądały jak poszarpane kopce bitej śmietany. Widoczność była tak dobra, że Sofia miała niemal ochotę wyciągnąć rękę, żeby ich dotknąć.

Hrabia golił się właśnie w łazience, kiedy usłyszał, że żona go woła.

- Errrrrweiiiiin.... - gruchała.

Ręka mu drgnęła, maszynka do golenia z perłową rączką ześlizgnęła się i rozciąła mu policzek.

- Errrrrweiiiiin...

Rozejrzał się w popłochu dookoła, rozpaczliwie szukając drogi ucieczki. Niestety, ta właśnie łazienka miała tylko jedne drzwi i niewielkie okno. *Scheisse!* Był w pułapce.

- Errrrrweiiiiin...

Przygarbił się i upuścił maszynkę do umywalki. Lepiej to już mieć za sobą, pomyślał żałośnie.

- *Ja, ja* - powiedział ze znużoną rezygnacją w głosie. - *Ich homme schon...*

* * *

Uroczystość zaślubin z typowo niemiecką punktualnością wyznaczono dokładnie na drugą trzydzieści.

O pierwszej czterdzieści pięć Zandra wciąż jeszcze tkwiła na górze w *Brautkammer* w Das Trauungshaus, rezydencji von und zu Engelwiesenhof dla przyszłych panien młodych w Augsburgu i głucha była na rozpaczliwie gdakanie hrabiny Fuchswalder i baronowej Fröhlichhasen, które upierały się obydwie, że czas już ruszać do katedry, a - *Gott im Himmel!* - narzeczona nie jest jeszcze nawet ubrana! Przecież nie odjadą, dopóki nie pojawią się limuzyny, ani nie ruszą bez trzech ciotek - Lady Josephine, Lady Cressidy i Lady Alexandry - reprezentujących część angielskiej rodziny Zandry - te zaś wciąż jeszcze guzdrały się w swych gościnnych pokojach, prawdopodobnie pudrując się albo zajmując się tym, czym zajmują się starszawe damy.

Kenzie, która również zatrzymała się na noc w owym najwspanialszym renesansowym domu przy Maximilianstrasse, najwspanialszej renesansowej ulicy w Niemczech, raczej powątpiewała, czy trzy stare wielkie damy pozwolą się poganiać.

Ona sama chodziła tam i z powrotem po salonie od frontu, a jej mieszczańskie wzburzenie stało w wyraźnej sprzeczności z niesłychanie

elegancką suknią w stylu *empire*, z jedwabnego, fioletowego muślinu, z jednym haftowanym na złoto rękawem i jedną dopasowaną kolorem, długą, złotą rękawiczką.

Zawsze czuła się nieswojo na ślubach, ale ten.... ten księżący ślub w katedrze, na który przybyli goście pochodzący z najstarszych, najszlachetniejszych ze wszystkich wielkich rodów europejskich, jak również istne *Who is Who?* międzynarodowego towarzystwa kawiarnianego - to wszystko wznagało tylko jej niepokój.

Dzwonek u drzwi zadzwonił, a na górze głosy *Grafin* Fuchswalder i baronowej Fröhlichhasen nabrały gorączkowych tonów.

Kenzie nie potrafiła mieć im tego za złe. Tym dwóm szlachetnym damom, które zarabiała na życie aranżując debiuty towarzyskie, śluby i pogrzeby, powierzono zorganizowanie owego ślubu - który mógł stać się dla nich powodem do największej dumy, jeżeli wszystko pójdzie gładko, albo pewną drogą do bankructwa, jeżeli zawiodą.

Umundurowana pokojówka wprowadziła do wykładanego boazerią saloniku dwie identycznie ubrane nowo przybyłe damy, w dwóch identycznych, olbrzymich, podpiętych od przodu do góry kapeluszach.

- A gdzież to panna młoda? - zapytała Dina, która wychynęła z swego żółtego płaszczyka *boucle* i okręciła się w półprzejrzystej chmurze białocytrynowego jedwabiu.

Kenzie pokazała palcem na górę.

Sądząc po odgłosach, które stamtąd napływały, wydawało się oczywiste, że arystokratyczne opanowanie dam organizujących śluby zostało wystawione na ciężką próbę.

- *Mon Dieu!* A któż to robi tyle okropnego hałasu? - zapytała Becky.

- Hrabina i baronowa - westchnęła Kenzie. - Martwią się, że Zandra się spóźni.

- Jakże to typowo niemieckie - uznała diuszesa, rzucając swój płaszczyk na krzeselko z niskim oparciem i krzyżakiem między nóżkami, kryte aksamitem ze złotymi frędzlami. - Z własnego doświadczenia wiem, że panna młoda ma prawo spóźnić się na swój ślub. *Alors*. - Rozejrzała się dookoła. - Bardzo byłoby miło wypić teraz kieliszek szampana, *n'est-ce pas?* Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że uroczystość poprzedzi śpiewana msza.

Dina władczo skinęła na pokojówkę, która zbierała właśnie ich płaszcze.

- Proszę nam przynieść dwa kieliszki szampana. - Po namyśle popatrzyła na Kenzie. - Och, może ty też byś się napiła, skarbie?

- To byłoby miłe. Proszę.

- Trzy. - Dina podniosła do góry trzy palce i mówiła jak do dziecka. - *Drei. Champagne. Schłodzony. Eee... Kalt. Kalt!*

- Schłodzony szampan, rozumiem - odpowiedziała pokojówka świetną angielszczyzną. - Czy woła panie Dom Pérignon czy Cristal?

- Cristal - zdecydowała pani Goldsmith i dodała półgłosem: - Ależ ona się popisuje!

Becky przechadzała się po pokoju, klaszcząc żółtymi rękawiczkami o dłoń i rozglądając się wokoło.

- Cudowna boazeria! - entuzjazmowała się Dina.

- *Oui.* - Diuszesa wzruszyła ramionami. - Jeżeli lubi się połączenie renesansu i Hunów.

Dina zmarszczyła brwi. A potem, jakby dopiero w tej chwili naprawdę zauważyła Kenzie, popłynęła w jej kierunku, aby dokonać inspekcji.

- A więc - odezwała się, udając że musi przetrząsać komórki pamięci. - to pani... Turner, czyż nie?

- Tak, to ja! - powiedziała Kenzie starając się nadrabiać wesołą miną.

Jej dobry humor chwilowo nie wywarł żadnego wrażenia na Dinie, która po prostu nie wiedziała, co powiedzieć.

Ale nie miało to żadnego znaczenia - właśnie w tej chwili trzy ciotki, które powoli schodziły po schodach, zwróciły na siebie ich uwagę. Wszystkie trzy miały na głowach kapelusze z kwiatami, a Kenzie słusznie domyśliła się, że ta szczupła, wyniosła dama na przedzie, Lady Josephine, będzie najgroźniejsza.

Lady Alexandra, licząca sobie blisko osiemdziesiąt lat i najbardziej krucha, była uroczą staruszką o łagodnych rysach i zębach jak słodkowodne perełki. Pachniała ginem i miała bez przerwy spłoszony wyraz twarzy, jakby zaskoczona faktem, że wciąż jeszcze żyje.

Lady Cressida, o okrągłym jak księżyc obliczu, nieco tęgawa, miała niepokojąco mongolskie rysy, niesamowite, szeroko osadzone, blade oczy, z których każde patrzyło w innym kierunku i maleńką, poziomą, bezwargą kreskę zamiast ust.

Wszystkie trzy założyły staroświeckie, kwieciste suknie, pasujące raczej na przyjęcie ogrodowe, oraz liczne sznury niezwykle pięknych i bardzo, bardzo dużych pereł. Od całej trójki czuło się zapach bogactwa wielu pokoleń.

- *Z-z-z-zandra?* - Lady Alexandra chwiejnie przeszła przez pokój i z bliska przyjrzała się Becky, a potem Dinie i Kenzie.

- *Zandra jeszcze nie zeszła!* - na wpół krzyknęła Lady Cressida.

- Co? - Lady Alexandra przyłożyła do ucha powykrzywianą artretyzmem dłoń. - Nie słyszę cię! - zawołała. - Mogłabyś mówić wyraźniej?

Lady Cressida wzięła ją pod rękę.

- Wygląda na to, że Zandra wciąż jeszcze jest na górze - powiedziała, podnosząc głos. - Gdzie masz swój aparat słuchowy, kochanie?

Stara dama dumnie podniosła brodę do góry.

- Nie pozwolę, żeby mnie z nim ktoś zobaczył! - wykrzyczała z godnością.

- Gdzie go masz, Alex?

Lady Alexandra uśmiechnęła się triumfalnie.

- Spuściłam go w toalecie!

Cressida przewróciła oczami. Był to niepokojący widok. Zjawiła się pokojówka z szampanem.

- Ach, gin! - Lady Alexandra przycisnęła dłonie do swego kwiecistego łona. - Cudownie!

- Nie, Alex, to jest szampan.

- Och!

- Nie martw się. Załatwimy ci gin, kochanie. - Cressida poklepała ją po ręce.

- Gdzie jest Rudolph? - Lady Alexandra rozejrzała się dookoła.

- W szpitalu, moja droga. Pamiętasz?

- W szpitalu? - Lady Alexandra zamrugała gwałtownie oczami. - Ale ktoś musi poprowadzić pannę młodą do ołtarza! Na miłość Boską! Kto poprowadzi Zandrę?

- Przypuszczam, że ja - oznajmiła królewskim tonem Lady Josephine.

- Och - zamartwiała się Lady Alexandra. - Och, och, och! Gdyby tylko ten biedaczek Stefan...

- Biedaczek Stefan zapił się na śmierć - powiedziała Lady Josephine groźnie. - Dzięki Bogu, nie ma go tutaj. A jeśli chodzi o Rudolpha... - wymawiała jego imię z gardłowym r, jakby były tam co najmniej dwie setki owych głosek - prawdopodobnie już by mu się film urwał.

- Josie! - zawołała Cressida zgorziona.

- To pewne. Przypomina swojego ojca - pociągnęła nosem Josephine.

Nagle na zewnątrz dał się słyszeć odgłos kopyt końskich, zatrąbił jakiś samochód, a potem z góry dała się słyszeć szybkostrzelna seria natarczywej niemieczyny.

Baronowa Fröhlichhasen wychyliła się z podestu schodów, jedną ręką mocno ściskając poręcz, a drugą przytrzymując duży turkusowy kapelusz z szerokim rondem.

- Przyjechały już pojazdy! - zawołała na dół. - Niech nam ktoś pomoże! Panna młoda nie chce za nic wyjść z łazienki! Zamknęła się w środku! Ciotki popatrzyły na siebie pogodnie, jak gdyby było to normalne zachowanie w ich rodzinie i właśnie czegoś takiego należało się spodziewać.

- Błagam... ktokolwiek!

Becky popatrzyła na Dinę.

Dina popatrzyła na Kenzie.

Becky również popatrzyła na Kenzie.

Zdaje się, że zostałam jednogłośnie wybrana, pomyślała panna Turner i pospiesznie weszła na górę.

* * *

Zandra, w białej halce i koronkowych pończochach stała zgięta wpół nad umywalką.

Nie wiedziała sama, co się z nią dzieje. Zdążyła właśnie wziąć do ręki swój ślubny strój, kiedy ogarnęła ją fala silnego gorąca. Upuściła sukienkę, popędziła do łazienki i zamknęła się w środku.

Ledwo zdążyła.

Kiedy już nie miała czym wymiotować, puściła zimną wodę, ochlapała sobie rękami twarz i pomyślała: Ładna ze mnie panna młoda!

Popatrzyła na swoje blade odbicie w lustrze. To na pewno nerwy. Taką histeria w ostatniej chwili!

Nagle z głębi jej piersi wydobyło się konwulsyjne łkanie. W rzeczywistości ten ślub okazał się czymś więcej, niż się spodziewała. Za dużo tego. Dużo za dużo. Czuła się tak, jakby życie w jakimś obłądnym walcu wymknęło jej się spod kontroli. I tak było.

Zandra przypominała sobie wiersz „Droga, którą nie poszedłem” Roberta Frosta. Ale kiedy, zastanawiała się, jej droga się przed nią rozwidliła? Kiedy postawiła ów pierwszy, doniosły krok, który w końcu doprowadził ją tutaj, do tego właśnie miejsca, w tej dokładnie chwili?

Czyjeś palce wystukiwały natarczywe staccato na drzwiach do łazienki.

- Zandra? - Ten zatroskany głos należał do Kenzie. - Nic ci nie jest?

Wcale nie. Coś mi jest. Jak to pisał W.C. Fields? „Wolałbym być w Filadelfii”.

- Zandra? Czy wpuścisz mnie do środka?

- Sekundę.

Zandra pospiesznie nabrała kilka razy wody w dłoń i wypłukała usta, a potem otarła je ręcznikiem. Otworzyła drzwi na tyle, żeby Kenzie zdołała się prześlizgnąć i szybko zamknęła je znowu na klucz.

Kenzie popatrzyła na przyjaciółkę i potrząsnęła głową.

- Boże, zmiłuj się!

- Czy wszystko tam w porządku? - zawołała zza drzwi baronowa Fröhlichhasen.

- Wszystko będzie w porządku, jeśli nas panie zostawią w spokoju! - odrzyknęła jej Kenzie. - To jest ślub Zandry. Nawet jak się trochę spóźni, to pociągi nie przestaną przyjeżdżać na czas!

Wbrew sobie Zandra zaczęła chichotać.

- O rany, Kenzie, ty kochana, kochana idiotko! Mussolini! To on doprowadził do tego, że pociągi zaczęły jeździć punktualnie. Mussolini, Kenzie, a nie Adolf.

- I co z tego? Obydwoj nosili takie dziwaczne spodnie.

- Okropne, workowate, dziwaczne spodnie - zgodziła się Zandra i chichotała jeszcze przez chwilę. Potem nagle zawiodło ją opanowanie. - Och, Kenzie - szepnęła i wyciągnawszy ramiona, zaczęła płakać.

Przyjaciółka objęła ją serdecznie.

- Wszystko w porządku. No, no... wypłacz się porządnie...

Zandra schowała twarz na ramieniu Kenzie.

- Tylko że to wszystko... - jej ciałem wstrząsały łkania - to wszystko nagle zrobiło się tak bardzo naprawdę.

- Cśśś!

- A ja się tak okropnie boję...

- A czego tu się bać? - Kenzie poklepała ją po pochylonych, rozdygotanych plecach.

- Ale jest czego.

- Dlaczego? Jednak nie możesz wziąć tego ślubu? Czy o to chodzi?

- To... nie chodzi o to, że nie mogę. Ja muszę, kochanie.

- Wcale nie! Masz od Boga dane prawo, żeby dążyć do własnego szczęścia.

- Powiedziałam ci. Zawarłam umowę. - Zandra z trudem opanowała łkanie.

- No i? - Kenzie odsunęła się i trzymała ją teraz na odległość ramienia. - Wiesz, że Heinzie nie będzie tego od ciebie egzekwował.

Zandra zagryzła dolną wargę.

- Prawda?

- Tak. I to dlatego mnie nie wolno postawić go w kompromitującej sytuacji.

- Czyżby przemawiała przez ciebie słynna duma Hohenburg-Willemlöhe'ów?

- Do diabła z moją dumą! Mam zasadę, że długi trzeba spłacać.

- Posłuchaj mnie, Zandro! Spłacanie długów to jedna sprawa, ale niewolnictwo przestało już być legalne.

Zandra pociągnęła nosem i otarła oczy.

- A teraz powiedz mi uczciwie - poleciła Kenzie cicho. - To zostanie tylko między nami, dobrze?

Zandra kiwnęła głową.

- Kochasz Heinzie'ego?

- Jezu, Kenzie, a cóż to za pytanie!

- Uczciwe pytanie, na które trzeba uczciwie odpowiedzieć.

- No to jak już musisz wiedzieć - Zandra westchnęła - to chwilami mi się wydaje, że tak.

- A innymi chwilami?

Zandra zaczęła szczypać się w wargę.

- Chwilami nie jestem pewna.

- Ale on powiedział ci, że cię kocha?

- Powiedział. - Zandra potakując zmarszczyła brwi. - Tak.

- A ty wciąż jeszcze nie jesteś pewna?

- Kenzie, jakież ty mi przypisujesz zdolności? Nie jestem jasnowidzem, prawda?

- Wiem. Ale nie jest jeszcze za późno, żeby zmienić zdanie.

- Tak, ale ja tego nie zrobię.

Teraz, kiedy atak nerwowy już mijał, Zandra otarła oczy i rozejrzała się, jakby się chciała zorientować w sytuacji. Palcami odgarnęła pasmo pomarańczowych włosów, które jej spadło na jedno oko. Potem, zobaczywszy w lustrze własne odbicie, zebrała siły.

- Boże, czy to ja? Jak mogłam tak rozmazać sobie makijaż! Podaj mi chusteczkę kochanie, szybko!

Kenzie podała jej całą garść.

- Och, dobrze. A teraz, jeżeli pomożesz mi naprawić szkody, to skoczę dla ciebie w ogień.

- Rozumiem więc, że masz zamiar przez to przejść?

- Oczywiście. Powiedziałam ci: w bogactwie i nędzy; w chorobie i zdrowiu. Tak.

- Naprawdę tego chcesz?

Zandra popatrzyła jej w oczy. Nie była już taka blada, na jej twarz powróciły słabe kolory.

- Tak, Kenzie - oświadczyła spokojnie. - Chcę.

- To żaden wstyd...

- Och, przestań, kochanie, to była tylko taka histeria w ostatniej chwili, wiesz. Pannie młodej chyba wolno mieć atak nerwowy, prawda? Już mi lepiej. O całe tony lepiej!

- Przedślubna trema? Jesteś pewna, że tylko to?

- Tak. I musiałam się porządnie wypłakać. Dzięki za twoje ramię. I że tu jesteś. A właściwie to za wszystko.

- Pamiętaj, że będę zawsze, kiedy tylko będziesz mnie potrzebowała.

- Wiem. I naprawdę to doceniam, kochanie. Naprawdę. - Zandra wzięta Kenzie za rękę i uściśnęła je. Uśmiechnęła się jakby na próbę, a przyjaciółka odpowiedziała jej uśmiechem. - A teraz, zanim nam się ze wzruszenia zamglą oczy, proszę cię, pomóż mi, żebym się mogła pokazać ludziom! Musimy zrobić ten makijaż i... diabli nadali! Przecież ja nawet jeszcze nie jestem ubrana!

Obydwie zaczęły się krzątać.

W dziesięć minut później hrabianka Hohenburg-Willemlöhe gotowa była stawić czoło światu. Dzięki wspólnym wysiłkom ich obu zmieniła się niesłychanie. Tamta niepewna siebie dziewczyna, która zamknęła się w łazience, była blada i miała zaczerwienione oczy. Ta, która spoglądała teraz w wielkie lustro, czuła się pewnie i mogła pozować do zdjęć na okładkę dla czasopisma *Panna Młoda*.

- Mój Boże! - westchnęła Kenzie. - Wyglądasz niesamowicie!

Zandra objęła ją.

- No, jak myślisz, kochanie? Czy skrócimy cierpienia *Grafin Fuchswalder* oraz *Baroness Fröhlichhasen*?

* * *

Na placu przed katedrą panowała odświętna atmosfera. Z wysokich gotyckich wież dzwoniły dzwony, sprzedawcy uliczni robili wspaniałe interesy. Wśród gapiów zgromadzonych wielu było potomków tych, których przodkowie przed wiekami stali i przyglądali się, jak von und zu Engelwiesenowie zjeżdżają się w złożonych powozach i karetach na zaślubiny.

Ponieważ była to ostatnia dekada dwudziestego wieku, masowo przybyli fotoreporterzy z pism brukowych, a z wielu krajów zjechały się ekipy sprawozdawców, żeby sfilmować bogatych, sławnych i utytułowanych dla telewizji.

W tłumie podniosły się krzyki, kiedy zza rogu ukazała się na motocyklach eskorta policjantów w zielonych i białych mundurach, która prowadziła kawalkadę pojazdów do katedry. Za nimi ciągnął sznur statecznych daimlerów i mercedesów, limuzyny z najbliższymi przyjaciółmi panny młodej i pana młodego, druźbowie, druhny i dziewczynki z kwiatami.

Potem w idealnym szyku jechała parami grupa jeźdźców na koniach, we wspaniałych dziewiętnastowiecznych mundurach, w wypolerowanych oficerkach szamerowanych złotem i z ceremonialnymi szablami w krytych filigranem pochwach.

A dalej, w złoconej, ciągniętej przez cztery konie karecie, przyozdobionej herbem von und zu Engelwiesenów, jechał Karl-Heinz. Wiwaty nasiliły się, kiedy książę pomachał do zgromadzonych ludzi.

Za jego karetą ciągnęła następna grupa jeźdźców na koniach, a za nimi jechała następna, nawet jeszcze bardziej bogato zdobiona, także zaprzężone w cztery konie kareta.

Teraz w tłumie rozległy się już ryki, ponieważ w środku siedziała ciotka Josephine, a naprzeciw niej osłonięta białą koronką panna młoda, którą wszyscy przyszli tu zobaczyć. Zandra odwracała się na lewo i prawo i machała do gapiów po obu stronach. Kiedy wysiadła z karety przed kościołem, tłum oszalał. Fotorporterzy przepychali się i kordon policji z trudem utrzymywał widzów na wyznaczonych miejscach.

Baronowa Fröhlichhasen, która wcześniej pobiegła do katedry, pośpiesznie schodziła teraz ze schodów.

- Bogu niech będą dzięki! - zagdakała nerwowo. - Mamy opóźnienie! Goście już wszyscy siedzą i kardynał czeka! Jak wiecie, zgodnie z tradycją panna młoda musi pozostać ukryta na chórze, dopóki nie skończy się msza! - I popędziła Zandrę i ciotkę Josephine na górę po schodach frontowych, pod łuk portalu.

Wewnątrz katedry potężne dźwięki organów płynęły w uroczystych akordach nad falującymi szeptami i szelestem sukien. Gdy tylko panna młoda i towarzyszące jej osoby zostały usadzone na swoich miejscach, akordy przeszły w melodię, a chór chłopięcy rozpoczął nieziemską pieśń.

Kenzie, która siedziała na lewo od Zandry, rozejrzała się dookoła.

Lady Josephine po prawej stronie Zandry tkwiła wyprostowana niczym dziewiętnastowieczna przełożona pensji; obok niej Lady Cressida uśmiechała się nieobecnie. A Lady Alexandra, niech Bóg da zdrowie jej osiemdziesięcioletniemu sercu, promieniała przez cały czas - w czym bez wątpienia pomogła jej srebrna buteleczka, z której od czasu do czasu pociągała.

Osiem dziesiątków lat ślubów w rodzinie, z których każdy poprzedzała przydługa msza, najwyraźniej nauczyło starą damę, że powinna się do uroczystości odpowiednio przygotować.

* * *

Po uroczystości zaślubin ośmiuset gości przewieziono całą armią limuzyn i wynajętych autobusów nad jezioro Engelwiesen. Stamtąd zaś cała flotylla motorówek zabrała ich do zamku na wyspie.

W Sali Lustrzanej - Schloss Engelwiesen, jak tyle innych pałaców budowanych w tamtym okresie był dokładną, acz pomniejszoną kopią Wersalu - nowożeńcy przyjmowali gości, z których każdego oficjalnie anonsował lokaj.

Becky, wsparta na ramieniu lorda Rosekrantza, przechodziła z jednej wspaniałej sali do drugiej, tu podziwiając plafony, tam poddając krytyce ceramikę.

Dzieci kuzynów Zandry, Emily, Elodene, Francesca, Adrian, Timothy i Christopher, istna armia małych ładnych dziewczynek i miniaturowych dżentelmenów, z radością zapomnieli o dobrych manierach, darły się i biegały pomiędzy gośćmi, aż przeszły do wymagającej mniej wysiłku, za to bardziej trzymającej w napięciu gry w chowanego.

Księżniczka Sofia, ubrana w czarny, żałobny strój, przechadzała się ponuro, palącym spojrzeniem i pełnym wyrzutu marszczeniem brwi wyrażając swą dezaprobatę dla całego tego najazdu.

Erwein bardzo rozsądnie starał się zejść jej z oczu.

Dina płynęła po sali w stanie oczarowania, zastanawiając się, w jaki sposób najskuteczniej podejść Roberta, żeby kupił jej jakiś zamek, najlepiej we Francji i to niezbyt daleko od Paryża. Lady Alexandra zasnęła w swym fotelu, a dwóch służących zaniósł go na górę, aby mogła odpocząć w spokoju. Kenzie poznała pełnego fantazji, świeżo rozwiedzonego kuzyna Zandry, Adriana, który poił ją szampanem w nadziei, że pójdzie z nim do łóżka, którym to zakusom z łatwością się oparła.

Kolejka gratulujących ciągnęła się niemal przez półtorej godziny, a Karla-Heinza aż ręka rozboliała od uścisków. Zandra, nieustannie szczęśliwa i promienna, zastanawiała się, ilu jeszcze będzie musiała ścierpieć mężczyzn, całujących jej dłonie; i ile jeszcze kobiet wysmaruje szminką jej zarumienione policzki.

Wreszcie gości zaproszono na obiad, do którego nakryto sto okrągłych stołów, każdy na osiem osób, w dziesięciu pokojach w amfiladzie, a w każdym grał kwartet smyczkowy i na czterech biesiadników przypadał jeden lokaj.

Na koniec zaś wwieziono do Sali Lustrzanej dwunastopiętrowy, wysoki na ponad dwa metry, fantastyczny tort weselny, ozdobiony koronkową przędzą cukrową i tysiącem cukrowych białych róż. Państwo młodzi ukroili pierwszy kawałek tortu, otwarto następne butle szampana, a orkiestra taneczna zagrała walce i fokstroty.

Kenzie, przyglądając się, jak nowożeńcy tańczą pierwszego walca pod żyrandolami, w których paliły się świece, usiłowała rozeznaczyć się w tym, co naprawdę odczuwa Zandra. Nie umiała jednak powiedzieć, czy jej przyjaciółkę ciągle jeszcze gnębią wątpliwości, czy też była naprawdę tak szczęśliwą oblubienicą, jak na to wyglądała.

Następnie przyciągnął gości do okien kosztowny (milion dolarów!) pokaz fajerwerków, a jeszcze później nowożeńcy odlecieli czekającym na nich helikopterem.

W sumie *Gräfin* Fuchswalder i *Baroness* Fröhlichhasen dumne były z tego bajkowego wesela. Większość gości zasiedziała się i za dużo wypila, dzieci padły z wyczerpania, Sofia zaś polowała po całym zamku na Erwina.

A Kenzie, której udało się złapać bukiet panny młodej z miniaturowych białych różyczek i konwalii, siedziała w okiennym wykuszu w jednym z pustych pokoi i zastanawiała się rozmarzona, kto ją poprowadzi do ołtarza...

... i kiedy.

46.

Kenzie odleciała do Nowego Jorku. Gorączkowe podniecenie wywołane olśniewającym ślubem Zandry minęło i teraz zupełnie nie miała humoru. Całkiem inaczej czuła się przedtem, gdy leciały we dwie do Europy.

Urządziły sobie wtedy przyjęcie w powietrzu, pochłaniały kieliszkami szampana i zaprzysięgały wzajemną wieczystą przyjaźń, żeby nie wiem co się działo. Wspominały, śmiały się i płakały naprzemian.

Teraz, lecąc samotnie z powrotem, Kenzie poczuła przypływ bolesnej samotności, która stała się jeszcze bardziej dotkliwa, kiedy zmęczona otworzyła drzwi do mieszkania.

Wydawało się wprost niesamowicie ciche.

Brak mi Zandry, niech to cholera weźmie! - pomyślała chodząc po pokojach i otwierając okna. Była dla mnie siostrą, której nigdy nie miałam i jedyną przyjaciółką, której wszystko mogłam opowiedzieć. A teraz po prostu wyszła sobie za mąż!

Nie będzie już więcej pogaduszek długo w noc. Nie będzie już więcej zajętej łazienki. Już nigdy nie będą miały wspólnych kosmetyków i sekretów, nie będą wypadają razem z domu do pracy.

Trochę to potrwa, zanim przyzwyczai się znowu do mieszkania w pojedynkę.

Rozpakowała walizkę i powiesiła swoją suknię pierwszej druhny.

„Wybrałam właśnie tę, zwierzyła jej się Zandra, ponieważ jest absolutnie doskonała na niemal każdą oficjalną okazję. No bo dlaczego miałabyś ją włożyć tylko raz?”

Te słowa ożyły w pamięci Kenzie i uświadomiły jej, jak puste i bez celu, i pozbawione znaczenia jest jej życie.

Mam ponad dwadzieścia osiem lat i wciąż jestem sama. Poświęciłam siedem lat zatechłym starym obrazom i poprzebarwianym szkicom. I czym mogę się pochwalić? Dwoma facetami, z których żaden nie jest gotowy, żeby się ze mną związać na poważnie. Westchnęła głęboko. Wychodzi na to, że nie miała nikogo.

Lepiej przyjmij to do wiadomości, Kenzie, powiedziała sobie. Na ciebie nie czeka żaden domek z ogródkiem.

Skończyła się rozpakowywać, schowała walizkę i poszła do kuchni zaparzyć sobie filiżankę Earl Greya. Była to jeszcze jedna rzecz, która została jej po Zandrze. Kiedy herbata się parzyła, sprawdziła sekretarkę.

Ekranik pokazywał, że jest sześć wiadomości. Nacisnęła guzik.

Charley: - Hej, hej, Panno Wielki Świat! To ja... - Przewinęła do przodu.

Hannes: - Kenzie, to ja. Zastanawiałem się, czy... - Przewinęła do przodu.

Pan Spotts: - Cześć, Kenzie. Mówi A. Dietrich Spotts. Nasiąkam słońcem w Słonecznym Staniu i właśnie skończyłem rozmawiać z kimś, kto rozmawiał z kimś... będę się streszczał. Słyszałem, że macie w swoim dziale wakat. Znam taką młodą kobietę nazwiskiem Annalisa Barabino, która uczyła się u Fiorentina w Ambrosiana, a potem pracowała w galerii Uffizi. Powiedziałem jej, żeby się z tobą skontaktowała. - Sygnał.

Odezwała się jakaś kobieta z wyraźnie obcym akcentem: - Halo? Pani Turner? Mówi Annalisa Barabino. Przepraszam, że niepokoję panią w domu. Pan Spotts powiedział, że skontaktuje się z panią... - Przesłucham to później.

Głos z domu: - Hej, kochanie, mówi tata. Co tam u mojej małej dziewczynki? Dzwonię, żeby ci tylko złożyć najlepsze życzenia urodzinowe...

Kenzie nacisnęła guzik „pauza” i zmarszczyła brwi. O co mu chodzi z tymi urodzinami?

A potem nagle przypomniała sobie! Ojciec miał rację.

Dzisiaj są jej urodziny. Skończyła dwadzieścia dziewięć lat!

* * *

- Sekretarka! Pierdolona sekretarka! - wściekał się Charley, ze złością wracając od płatnego telefonu w Live Bait na Dwudziestej Trzeciej Ulicy. - Nic, tylko się człowiek dodzwania do tej pierdolonej sekretarki! -

Rzucił się na krzesło, pociągnął haust piwa, strzelił kuflem o stół i patrzył spode łba na stadko długonogich modelek, które oblepiały bar. - Wiesz, na co mam ochotę?

- Nie. - Hannes usiłował się jakoś do niego dostroić.

- Cofnąć się w czasie. - Charley kiwnął głową. - Właśnie tak. Jak w *Maszynie czasu* albo *Powrocie do przeszłości*.

- Ale po co miałbyś coś takiego robić? - Hannes powoli popijał swoje piwo.

- Bo w ten sposób mogłem dostać w swoje łapy tego palanta, który skonstruował tę piekielną maszynę! Mógłbym go zadusić, zanim zdążyłby ją wymyślić! - Charley przelknął piwo i otarł sobie usta rękawem. - Jak już o tym mowa, to samo należy się facetowi, który wynalazł alarm samochodowy. Taa. Ile razy przez ten harmider nie mogłeś spać? No? - Nie czekał na odpowiedź. - Usprawiedliwione zabójstwo - warknął - to byłoby właśnie to. Nie ma w kraju takiej ławy przysięgłych, która by mnie nie uniewinniła!

Skończył piwo i pokazał kelnerce, że chce jeszcze jedno.

- Może byśmy już poszli? - zaproponował Hannes. - Późno już, a obydwaj dość chyba wypiliśmy.

- Och, do stu ogoniastych czortów, nie zaczynaj zrzędzić. Chcę wypić jeszcze jedno na drogę. - Charley podniósł oczy na kelnerkę. - Jeszcze dwa. Jedno dla kumpla, jedno dla mnie. I dwa... - Popatrzył na Hannesa. - Jak się nazywa to coś, co wy pijecie w Finlandii? Akwawita? A może to jest w Szwecji?

- Charley, nie powinniśmy...

- Nie, nie i nie! Szlag by to! - warknął Charley. - Zaczynasz nudzić jak jakaś cholerna żona! - Przymrużył oczy. - Nie miałaś gdzie zadzwonić?

- Tak. - Hannes wstał. - Dla mnie tylko piwo - powiedział kelnerce.

- Dwa schnappszy z miętą - zamówił Charley. - Dwa.

Hannes przemykał się między stolikami do telefonu. Czuł, że kumpel mu się przygląda; zignorował spojrzenia kilku nieprzeciętnie pięknych kobiet i co najmniej dwóch niezwykle przystojnych młodych ludzi. Pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu dwudziestopięciocentówki, wrzucił ją do otworu i wystukał numer. Za jego plecami ktoś gwałtownie sapnął, czyjaś ręka wysunęła się i nacisnęła widelki. Moneta z brzękiem wpadła do pojemniczka.

Hannes odwrócił się zdumiony, ze słuchawką w ręce.

Charley patrzył na niego wściekłym wzrokiem.

- Ty pieprzony sukinsynu! - powiedział z furią.
Hannes spojrział na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Co się stało?

- Wyjdiesz ze mną na chwilę na zewnątrz?

- Po co?

- Po co? - Twarz Charleya skurczyła się ze złości. - Bardzo dobrze wiesz po co, ty pierdolony skurwysynu!

Hannes patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Tak naprawdę to nie wiem - odrzekł spokojnie. - Może zechciałbyś mi powiedzieć?

- Dzwoniłeś do niej! - Wyrwało się Charleyowi. - Tak? - A jak myślisz, ja to do kogo dzwoniłem? - ryknął.

Rozmowy na sali nagle przycichły. Od baru ruszyło w ich kierunku dwóch potężnie zbudowanych facetów, którzy wcześniej gawędzili z jakimiś dziewczynami.

Hannes miał wrażenie, że czas się na chwilę zatrzymał; oczy wszystkich zwrócone były na niego i na Charleya. Ten jednak nie zdawał sobie sprawy, że na nich patrzą. Był w furii. Poniosły go bez reszty jego włoski temperament i szowinistyczny, zaborczy charakter.

- Czemu, do diabła, nie znajdziesz sobie własnej baby? Chyba że szczególnie rajcuje cię, jak się przykładasz do cudzej? O to chodzi? Bardziej się czujesz mężczyzną?

Hannes wpatrywał się w niego przez chwilę, aż mu się wszystko pokładało. Przestał być już taki napięty.

- To o nią ci chodzi? O Kenzie? Ty też się z nią spotykasz?

- Tak - odwarknął wojowniczo Charley. - Jakbyś nie wiedział!

- Nie wiedziałem - odparł spokojnie Hannes. - Myślałem, że między wami już skończone. Czemu mi nie powiedziałaś? - Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Ale Charley jeszcze nie skończył. Szarpnął go gwałtownie i cisnął nim o ścianę.

- Słuchaj, ty dupku pierdolony! - Złapał rywala za koszulę. - Myślisz, że ci to ujdzie płazem?

Hannes wpatrywał się w niego zimno.

- Myślę, że lepiej będzie, jak mnie puścisz.

Prawa ręka Charleya wygięła się w łuk, pięść wyskoczyła w przód w błyskawicznym ruchu, ale Hannes zablokował cios, chwyciwszy napastnika za nadgarstek i zatrzymał jego rękę bez ruchu w powietrzu.

Tylko dygotanie obydwu rąk wskazywało na wysilek przeciwników.

- Jak widzisz - powiedział cicho Hockert - nie możesz się ze mną równać. A teraz proponuję, żebyś się uspokoił, a ja ci pomogę wytrzeźwieć. Później możemy o tym porozmawiać jak džentelmeni.

- Dżentelmeni! - warknął Charley. - Co ty możesz wiedzieć o džentelmenach?

- Nie rób tego! - ostrzegł go Hannes wyczuwając, że tamten zgina nogę, żeby kolanem zadać cios w górę. - Nie chciałbym, żeby ci się stała krzywda.

- Żeby mnie stała się krzywda? Z twojej ręki? Nie rozśmieszaj mnie! - Złość Charleya nagle opadła, puścił swego przeciwnika i zrobił krok w tył. - Idę. Ale możesz mi wierzyć... - wyciągnął w jego kierunku rozdygotany palec - że na tym się nie skończy.

Odwrócił się i wyszedł. Tłum przy barze rozstał się i przepuścił go w milczeniu.

Kiedy zniknął za drzwiami, rozległo się ogólne westchnienie, a stali klienci zaczęli coś mamrotać. Dwóch wykidajłów wróciło z powrotem do baru. Potem ktoś roześmiał się i podjęto rozmowy w tym miejscu, gdzie je wcześniej przerwano.

- Hej, koleś! - odezwał się jeden z wykidajłów. - Dobra robota, to za-blokowanie ciosu. Jakżeś to zrobił?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. - Hannes ruszył w kierunku wyjścia.

- Hej tam!

- Tak? - Obejrzał się już od drzwi.

- Pali się czy co? Może byś z minutkę zaczekał? Wiesz. - Mężczyzna pokazał głową na drzwi. - Niech mu może trochę wychłodnie.

- Nic mi się nie stanie - odpowiedział Hockert.

* * *

A jednak się stało. Nos miał rozkrwawiony, a czoło paskudnie rozcięte, gdy zgięty wpół z bólu wchodził po schodach frontowych do budynku, gdzie mieszkała Kenzie.

Oparł się o dzwonek.

- Kto tam? - zaskrzeczał domofon.

- Hans.

- Nie możesz poczekać? Właśnie przyleciałam z Europy.

- Proszę. Coś... coś się stało.

Chwila milczenia, potem rozległ się brzęczyk. Kiedy chwiejnie wchodził po schodach, Kenzie stała na górze, opierając się o poręcz na podeście.

Była boso i w koszuli nocnej. Jak tylko zobaczyła jego chwiejny krok, zbiegła na dół.

- Dobry Boże! - Przełożyła sobie przez ramię jedną rękę Hannesa, żeby mu pomóc wejść. - Co się stało?

- Zaprowadź mnie.... na... górę - wykrztusił. Wciągnęła go do mieszkania i zamknęła wszystkie zamki.

- Kto to zrobił?

- Lepiej, żebyś nie...

- Nie pieprz od rzeczy, Hans. - Przyjrzała mu się uważnie, potem ostrożnie dotknęła jego napuchniętego oka. Będziesz miał niezłego siniaka. - To Charley - powiedziała spokojnie - prawda?

- Daj spokój - wymamrotał ochryplym głosem.

- Chodź. Zaprowadzę cię do łazienki i trochę oczyszczę. Wyglądasz okropnie. - Popatrzyła na niego chłodnym wzrokiem. - A potem będziesz mi musiał sporo spraw wyjaśnić.

* * *

Była siódma trzydzieści rano, kiedy u Kenzie zadzwonił budzik. Jęknęła i odwróciła się na bok. Absolutnie nie miała ochoty wstawać. W głowie ją łupało, ledwo patrzyła na oczy i czuła się kompletnie nieprzytomna po trwającej przez pół nocy zabawie we Florence Nightingale.

I to jeszcze na dokładkę do różnicy czasu między Europą i Nowym Jorkiem.

Robię się już na to za stara, pomyślała.

Przez chwilę chciała zadzwonić i powiedzieć, że jest chora, ale postanowiła tego nie robić. Zwolniła się przecież na czwartek i piątek, żeby być druhną na ślubie Zandry, a to znaczyło, że na pewno nagromadziła się fura roboty. A skoro Zandry już nie ma, ich dział jest zdekompletowany. Arnold został sam na posterunku. To nie byłoby sprawiedliwe, gdyby kazała mu ciągnąć cały ciężar w pojedynkę.

Z westchnieniem wygrzebała się spod kołdry, wzięła szybko prysznic i jakoś zdążyła na czas.

Arnold okrzyknął się na swoim fotelu.

- Ah so!- powitał ją. - Oto zjawia się jedyna dobrze poinformowana osoba! Chcę usłyszeć wszystko o tych nader szlachetnych zaślubinach! - Przestał się wygłupiać i powiedział: - To znaczy, że czekam na wszelkie soczyste ploteczki!

- A może by tak przy lunchu? - zapytała Kenzie błagalnym tonem. - Jestem na wpół żywa i muszę nadrobić całe tony zaległości.

- Lunch może być, nawet za niego zapłacę, jeżeli tylko obiecasz, że niczego nie opuścisz!

- Obiecuję - zapewniła go z uśmiechem. Popiła kawą dwie aspiryny i zabrała się do roboty.

O dziesiątej piętnaście Bambi wsunęła głowę w drzwi Działu Dawnych Mistrzów.

- Hej wam!

- Hej! - wymamrotał Arnold, nie zadając sobie trudu, żeby podnieść wzrok.

- Hej! - odpowiedziała Kenzie i odwróciła się do niej razem z krzesłem.

- Cieszę się, że już wróciłaś - przywitała ją szefowa. - Nasi ludzie zamieścili ogłoszenie we wczorajszym *Timesie*, żeby znaleźć kogoś na miejsce Zandry. Kandydaci siedzą w poczekalni. Sama bym ich obejrzała, ale po prostu muszę się ostrzyć. Nie masz mi za złe, prawda?

- Ależ skąd. - Kenzie uśmiechnęła się promiennie, a nie było to łatwe. Jej wstręt do panny Barbary Parker nasilał się z upływem czasu.

- Świetnie. Wiedziałałam, że mogę na ciebie liczyć.

I co jeszcze, pomyślała Kenzie.

- Och, jeszcze jedno!

Kenzie czekała.

- Jedna dziewczyna tam w poczekalni wygląda jak coś, co pies przywlókł ze śmietnika - ostrzegła ją Bambi. - Zdecydowanie nie jest to materiał na pracownika Burghleya, chwytasz, o co mi chodzi? - Rzuciła Kenzie znaczące spojrzenie.

Ta przytakiwała i uśmiechała się, aż rozboleły ją mięśnie twarzy.

- Wszystko zależy od ciebie - oświadczyła surowo Bambi. - Możesz skorzystać z mojego pokoju. - I wyszła swobodnym krokiem.

- Wszystko zależy od ciebie - powtórzył Arnold, jak tylko zamknęły się za nią drzwi. - Ja po prostu muszę się ostrzyć.

Kenzie nie wytrzymała.

- Arnold, przestań! - jęknęła. - Muszę do tego podejść na poważnie.

- W porządku, o ile nie zaangażujesz tego czegoś, co pies przywlókł ze śmietnika - ryknął śmiechem. - Potrzebny nam jest materiał o jakości odpowiedniej dla Burghleya.

Kenzie przekopywała się przez plik kolorowych zdjęć. Wybrała kilka z nich.

- Arnoldzie, co zrobiłeś z przykładowymi plótnami?

- Są na dole w skarbcu. Przyniosę ci je.

Kenzie przeszła do pokoju Bambi, zaczekała aż Arnold przyniesie płótna, a potem zadzwoniła do recepcjonistki.

- Ilu mamy kandydatów na etat w Dziale Dawnych Mistrzów?
- Ośmiu.

No to już po lunchu, pomyślała. Będę winna Arnoldowi kolację.

- W porządku - powiedziała. - Proszę przysłać pierwszą osobę.

Zaczęły się rozmowy kwalifikacyjne.

Z pozoru każdy z siedmiorga kandydatów robił wrażenie zadbanego, inteligentnego, elokwentnego i kompetentnego. Mieli gdzieś od dwudziestu pięciu do prawie czterdziestu lat.

Każda z pięciu kobiet była atrakcyjna, odpowiednio ubrana i idealnie umalowana. Dwaj przystojni mężczyźni mieli na sobie kosztowne, tradycyjne garnitury. Każdy pracował już w jakimś domu aukcyjnym albo galerii, a chociaż ich życiorysy były imponujące, Kenzie wiedziała, że to nie wystarczy.

Skorzystała ze zdjęć i przykładowych płócien, żeby sprawdzić ich umiejętności. Cała siódemka błędnie zidentyfikowała co najmniej po dwa z dziesięciu dzieł, które nie powinny im sprawić żadnych trudności. Już samo to było wystarczająco fatalne. Ale całkiem pognębiły ich zdjęcia ze zbliżeniami techniki i pociągnięć pędzlem różnych artystów.

Nikt z tej siódemki się nie nadawał.

Kenzie była przerażona. Dobry Boże, pomyślała. Nie chciałabym zostać zmuszoną do zasięgania opinii u któregokolwiek z nich! Są beznaściej!

Skończyła siódmą rozmowę tak samo jak poprzednie, energicznym uściskiem ręki, uśmiechem i słowami:

- Bardzo dziękuję, że się pan pofatygował. Skontaktujemy się z panem.

Żeby osłodzić odmowę, dodała w myśli. Zadzwoniła do recepcji.

- Zdaje się, że jest jeszcze ktoś?
- Tak. Czy mam ją teraz przysłać?
- Proszę - powiedziała z rezygnacją.

Po chwili za drzwiami rozległ się łomot. Kenzie wzdrygnęła się i wstała, żeby zobaczyć co się stało. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła jakąś kobietę, która na czworakach zbierała stos rozsypanych książek.

- Przepraszam - wymamrotała nieznajoma, nerwowo spoglądając w górę.

- Nic nie szkodzi. Czy nie trzeba pani pomóc? - spytała Kenzie z uśmiechem.

- Nie, nie. Dzięki! - Kobieta przygryzła wargę. - Czy pani jest.... panią Turner?

Kenzie jęknęła w myśli. Och, nie, pomyślała sobie, tylko nie to!

- Tak... Czym mogę służyć?

- Przyszłam w sprawie rozmowy kwalifikacyjnej.

A więc to ją miała na myśli Bambi!

- No to proszę wejść.

Kobieta niepewnie weszła do pokoju i położyła swoje książki na krześle.

Ujmując rzecz łagodnie, było to rozczochrane brzydactwo średniego wzrostu, z ziemistą cerą. Mysie włoski ściągnęła do tyłu w koczek, nosiła małe okulary w drucianej oprawce i nie miała makijażu.

Bure ubrania sprawiały wrażenie o dwa rozmiary za dużych. Rękawy rozpinanego swetra były tak długie, że zakrywały jej dłonie niemal do czubków palców. Paznokcie miała poobgryzane do żywego mięsa.

Kenzie poczuła przypływ litości. Dobry Boże, co ja mam z nią zrobić? Nie mogę jej urazić.

- Proszę. - Wskazała kandydatce krzesło i uśmiechnęła się, miała nadzieję, że zachęcająco. - zapewne wzięła pani ze sobą swój życiorys?

- Ży... życiorys? O, tak, wzięłam... - Kobieta zaczęła przekopywać poprawianą taśmą izolacyjną torebkę, a papiery, które wyciągnęła, były pomięte i poplamione tłuszczem. Pospiesznie wygładziła je dłońmi. - *Scusi*. - Uśmiechnęła się ze skrucą podając dokumenty.

Kenzie wzięła je od niej ostrożnie.

- W porządku, rzucę tylko na nie o... - Uśmiech zamarł jej na ustach. - Napisano tutaj, że nazywa się pani...?

- Annalisa Barabino.

- Ach, tak... - powiedziała Kenzie słabym głosem.

Dlaczego tak właśnie musi wyglądać kobieta, w sprawie której dzwonił pan Spotts? Dlaczego nie może to być ktoś nieco mniej niezdarnej i lepiej się prezentujący?

Ale życiorys Annalisy Barabino, chociaż był w takim stanie, przedstawiał się imponująco. Musiało tak być, skoro polecał ją pan Spotts.

Na tym etapie już nic nie mogło zaskoczyć Kenzie. Po prostu założyła, że Annalisa zaliczy każdy test z honorami - i tak się też stało. Miała znakomite oko i encyklopedyczną wiedzę. Gdyby tylko nie wyglądała jak żebraczka!

- Hmmm! - zamruczała Kenzie, postukując paznokciami po blacie biurka.

- Proszę? Czy coś jest źle?

Tak. Wszystko!

- No cóż, chodzi o... o pani *image* - powiedziała taktownie.

- O mój...

- Mam pomysł - przerwała jej Kenzie, chwyciła słuchawkę i nacisnęła trzy cyfry. - Arnold? SOS.

- Co się stało?

Zerknęła na Annalisę i uśmiechnęła się, żeby ją ośmielić.

- Elizie Doolittle koniecznie potrzebny jest profesor Higgins.

- Ho, ho, to brzmi groźnie!

- Masz ambitne zadanie. Powiem ci coś, jest już za późno na lunch, ale nie minie cię kolacja, ja stawiam. Le Colonial, Daniel, Petrossian, wybieraj.

- Kolacja! Petrossian! Kenz, czemu mi to zalatuje węzową chytrnością?

- Wcale nie zalatuje, ale twój nieskazitelny gust jest mi rozpaczliwie potrzebny. I pospiesz się, dobrze? Czy może nie chcesz zrobić Bambi w konia?

- Co! Czemu od razu tak nie mówiłaś. Już lecę! - zaśpiewał.

* * *

Kiedy w trzy godziny później Arnold i Annalisa wrócili, Kenzie nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Zniknął bez śladu nieatrakcyjny rozczochraniec.

Stała przed nią elegancka, młoda kobieta w grantowej spódnicy, bleszerze, białej bluzce, z wzorzystym szalem zawiązanym luźno na szyi. Włosy miała rozjaśnione i modnie przycięte na ukos, a na twarzy całą paletę barw. Nawet jej okulary zniknęły.

- Niech mnie wszyscy diabli! - wykrzyknęła cicho Kenzie.

Annalisa zrobiła przerażoną minę.

- Czy coś jest nie w porządku? - ośmieliła się niespokojnie zapytać.

- Nie, właśnie w porządku. Arnoldzie, jak ci się to udało?

Chińczyk uśmiechnął się bardzo szeroko.

- Najpierw zajęliśmy się sprawami podstawowymi. - Pokazał jej torbę od Daffy'ego. - Jak może zauważyłaś, szukaliśmy okazji. Trzy kostiumy, trzy bluzki, cztery apaszki, torebka i buty. Za... uwierzysz? Za trzysta pięćdziesiąt zielonych! Wliczając podatek.

- Przypomnij mi, żebym zabrała cię ze sobą na zakupy następnym razem, jak będę czegoś potrzebowała - powiedziała Kenzie.

- Następnie wstąpiliśmy do fryzjera - ciągnął dalej Arnold. - Moja

stara sympatia spłaca dług wdzięczności, tak więc było to za friko. Po dobnie z makijażem - dzięki temu, żeśmy przespacerowali się przez pierwsze piętro u Bloomiego. Perfumy są z tych małych flakoników z próbkami. Do tego komplet przyklejanych paznokci i... *voilà!* - Wskazał pańskim gestem na Annalisę.

- A te babcine okulary?

- Okazuje się, że potrzebne są jej tylko do czytania. Uparłem się jednak i załatwiłmy jedną parę prawie szylkretowych. A co myślisz o tych czarnych, niskich obcasach? Zdecydowanie wygląda w nich na dziewczynę od Burghleya, prawda?

W tym momencie do pokoju wpłynęła Bambi.

- Hej, co słyhać?

- To jest Annalisa Barabino - powiedziała Kenzie. - Na miejsce Zandry.

Panna Parker obrzuciła nowo przybyłą baczny spojrzeniem i kiwnęła energicznie głową.

- Ujdzie - powiedziała łaskawie i zwróciła się do Kenzie: - Dzięki Bogu. Nie byłabym się zdziwiła, gdybyś zaangażowała tamto czupiradło.

* * *

W głosie telefonującej kobiety pobrzmiwały echa niezliczonych późnych i bardzo różnych przedstawień.

- Pani Tarna?

Kenzie poczuła, że robi jej się gęsia skórka. Nie można się było pomylić co do tego przydymionego, wschodnioeuropejskiego akcentu. Przez moment nie była się w stanie odezwać.

- Pani Tarna? - Głos kobiety zabrzmiał wyraźniej. - Czy mnie pani słyszy?

- T...tak - odpowiedziała słabiutko Kenzie. Zasłoniła słuchawkę dłonią i pospiesznie odchrząknęła. - Tak - potwierdziła bardziej już autorytatywnie.

- Dobrze. Pani wie, kto dzwoni?

- Tak... tak mi się zdaje. Pani musi być panną Po...

- Aha! - przerwał jej głos. - Proszę, nigdy, przenigdy do mnie po nazwisku nie mówić. Panna P, to całkiem wystarczy. A także proszę nigdy nie wspominać o mojej dawnej karierze. - Nastąpiła chwila władczego milczenia. - Czy to jasne?

Kenzie przełknęła ślinę.

- Tak, proszę pani. Całkowicie jasne.

- Dobrze. Mam trochę starych mistrzów, które chciałabym, żeby wy-
cenić.

- A jaki termin by pani odpowiadał?

- Jutro po południu. Punktualnie o trzeciej.

Kenzie sięgnęła po notes, ale potem pomyślała: Tam do diabła, Lila Pons jest największą z legend srebrnego ekranu. Przecież nie dzwoni codziennie.

- Tak, trzecia godzina jutro bardzo mi odpowiada - powiedziała.

- Dobrze! Będę się pani spodziewać.

- Z przyjemnością...

Ale Lila Pons już się rozłączyła.

- ...się z panią jutro zobaczę - dokończyła cicho Kenzie, odkładając słuchawkę.

47.

Wyspa Marzeń ma swoją nazwę, a mianowicie Mustique. Leży ona jak szmaragd na turkusowym morzu na północ od Grenadines, tego nazyjnika wysp oddalonych o sto dwadzieścia dwie mile na zachód od Barbados, a mając zaledwie 1350 akrów powierzchni, jest jednym z najmniejszych w nim klejnotów.

I najcenniejszym.

Ponieważ na całej tej wysepce znajdują się tylko dwa hoteliki, jeden bar i ze sześćdziesiąt prywatnych domów, turystom odradza się jej odwiedzenie; trudno jest otrzymać pozwolenie na przycumowanie.

To prywatny placyk zabaw i sławy takie jak księżniczka Małgorzata, Mick Jagger, lord Glenconnor, rozmaici Guinnessowie, hrabia Lichfield czy David Bowie zdecydowane są ów stan rzeczy utrzymać - ponieważ prywatność to ostatnia granica i ostateczny luksus w naszym nieustannie kurczącym się świecie.

A nigdzie nie spotka się tylu przykładów luksusu, co w tych budowlach z marzeń poukrywanych pomiędzy falistymi pagórkami i białymi cedrami, wśród czerwonych bugenwilli i krzewów jaśminu.

Trudno byłoby sobie wyobrazić bardziej egzotyczne nagromadzenie budynków: angielski fort, któremu nie brak nawet zębatach blanków, miniaturowa wioska japońska rozłożona wokół sadzawek Koi, kompleks pawilonów w stylu indonezyjskim, z wymyślnie rzeźbionymi z drewna tekowego fasadami, zdemontowanymi w jakiejś jawajskiej wiosce, pałac mauretański, piernikowa chatka, a nawet Taj Mahal.

Nazwy nadawane tym architektonicznym dziwactwom i kaprysom pasują do tajemniczej atmosfery Mustique: *Oceanus*, *Serendipity*, *Fort Shandy*, *Blue Waters*.

I tu, w tym zaczarowanym raj, nowożeńcy spędzali miesiąc miodowy.

Zajmowali *Villa Neptune*, świątynię z kolumnami, z trzech stron otaczającą basen kąpielowy. Za głębokimi i cienistymi loggiami w ścianach z koralowcowego wapienia przebite były otwarte łuki - w tym balsamicznym klimacie granica między wnętrzem i tym, co na zewnątrz zacierała się, a drzwi i okna nie były potrzebne. Wszędzie panowały się bugenwille i jaśminy, opasując dom aromatycznymi girlandami.

Wokół basenu baraszkowały marmurowe posągi - Neptun, syreny na delfinach, fauny, centaury, sfinksy, rzeczni bogowie i inne osiemnastowieczne fantazje. Za nimi bujnie zarośnięte ogrody opadały gwałtownie w dół do akwamarynowego morza. A tam, po wewnętrznej stronie rafy, stał na kotwicy wielki biały jacht motorowy i smukły mahoniowy jednomasztowiec, którego kadłub przypominał klingę.

Tego popołudnia, w połowie marca, pasat zmienił się w idealny, stały powiew, który dmuchał znad oceanu, przelatywał przez dom i wylatywał drugą stroną. Niebo miało głęboki, czysty, błękitny kolor. Sąsiednie wyspy widać było poprzez lekką mgiełkę; dalekie garbki wyglądały jak wiewioryby wygrzewające się w słońcu na horyzoncie. Przynajmniej takiego zdania była Zandra, która leżała na wyścielonym szezlongu w chłodnej, cienistej ciemności loggii, ubrana w przejrzystą białą dzellabę.

- Najbardziej ze wszystkiego zachwycona tutaj jestem tym - oznajmiła mężowi - że dopóki dach sięga wystarczająco daleko, okna są po prostu niepotrzebne! To przecież genialne! Wystarczy cień, wiatraczek pod sufitem i pasaty... Och, kochanie, to prawdziwy raj, prawdziwy... Co? Mój ruch? Naprawdę?

Patrząc na szachownicę ustawioną na niskim stoliku między nimi, wdzięcznie ściągnęła brwi w skupieniu. Karl-Heinz przyglądał się jej z uśmiechem, słuchając tej radosnej paplaniny, a świergotliwe słowa krążyły mu wokół głowy jak ptaki.

Mógłbym wpatrywać się w nią bez końca i nigdy bym się nie znudził, pomyślał i uświadomił sobie, że spostrzeżenie to jest co najmniej banalne.

Było jednak prawdziwe. Sama obecność Zandry powodowała, że czuł się jak odurzony. Ta świetlista, pełna życia istota uczyniła go tak szczęśliwym, że wydawało mu się, iż nie mógłby wymarzyć sobie nic bardziej cudownego. W końcu zrozumiał, co pobudzało poetów do pisania sonetów i dlaczego pieśni miłosne, z których kiedyś sobie pokpiwał, były jedynymi utworami, mogącymi właściwie oddać jego uczucia.

Ona jest światłem mojego życia, pomyślał. Moja jedyna, moje wszystko.

- Och, Heinzie - powiedziała Zandra niemal z desperacją. - Naprawdę bardzo niechętnie to robię, ale przecież w grze trzeba walczyć, żeby wygrać... to jest celem, prawda? Strasznie mi przykro! - Zrobiła ruch wieżą, zbiła jego królową i uśmiechnęła się promiennie. - Twój ruch - powiedziała radośnie, sięgnęła w górę i zerwała olbrzymi, czerwony kwiat hibiskusa z wielkiego krzewu, który rósł w donicy za jej plecami. Nucąc cicho kręciła kwiatem o kształcie trąbki tak, że płatki łaskotały ją po twarzy.

Karl-Heinz zapomniał o szachownicy i wpatrywał się w żonę, czerpiąc przyjemność z samego jej widoku. Nigdy nie widział kogoś, kto tak rozkoszowałby się dotykaniem kwiatów. Miał wrażenie, że Zandra nieustannie zrywa tu jakiś kielich, tam pączek, tylko po to, żeby pogłodzić się nim zmysłowo po skórze albo zanurzyć nos w wonne płatki.

Ciekaw jestem, kiedy ona zda sobie sprawę, że to coś więcej niż zwykła umowa handlowa, że gdybym jej nie kochał, to nie ożeniłbym się z nią? - pomyślał.

- No, Heinzie - Zerknęła na niego znad hibiskusa. - Wcale się nie koncentrujesz.

- Pręciki poplamia ci pyłkiem twarz - powiedział miękko.

- Boże, pewnie już się umazałam! - Zandra pochyliła się do przodu i zmarszczyła nos. - Już? Umazałam się?

- Uroczo się umazałaś.

- No to niech tak zostanie. Będziemy udawali, że jestem urwis!

Roześmiała się z zachwytem i zeskoczyła z szeszlonga, zrzucając szachownicę ze stolika. Figury rozsypały się po kamiennej posadzce i zanim Karl-Heinz się zorientował, jednym szybkim ruchem Zandra chwyciła go za ręce i pociągnęła do góry.

- Kochanie, nie musimy grać w szachy, prawda? Nie w taki prześliczny dzień. Chodźmy popływać.

- W porządku - roześmiał się. - Czemu nie? Zaraz wrócę. Chciał wejść do domu, ale dłoń żony zamknęła się na jego ramieniu.

- Heinzie, gdzie ty, do licha, idziesz?

- Po kąpielówki.

Zandra wzruszyła ramionami.

- Och, kochanie, na litość Boską! A po co? Nie bądźże taki pruderyjny! Służba nas tu nie zobaczy, a dopóki nie staniemy na samym skraju urwiska, załoga jachtu też nas nie widzi z dołu. - Nie spuszczała z niego

oczu. - A jeśli chodzi o mnie - dodała - jestem przecież twoją żoną, wiesz.

- Wiem - odpowiedział cicho.

Puściła go i jednym płynnym ruchem ściągnęła przez głowę dzellabę. Potrząsnęła włosami.

Karl-Heinz stanął jak wryty. Nie miała nic pod spodem, jej truskawkowe sutki sterczały z okrągłych, idealnych piersi, a wzgórek łonowy przypominał trójkąt pomarańczowych loczków.

- No? Kochanie, rozbierzesz się wreszcie? Czy ja mam to za ciebie zrobić?

Wciąż nie spuszczać z niej oczu, zrzucił z siebie koszulę, a potem zaczął rozwiązywać sznur, którym ściągnięte były w pasie jedwabne spodnie.

- Świetnie - powiedziała Zandra i wyszła na oślepiające słońce, kierując się prosto do basenu.

Przyglądał się jak unosi w górę ręce, zatacza w powietrzu łuk, składa się wpół jak scyzoryk i wchodzi w wodę tak gładko, że jej powierzchnia pozostała spokojna. Jak to się dzieje, że wszystko co robi jego żona, jest doskonałe? Przecież ona też musi mieć jakieś wady!

Wynurzyła się przy drugim brzegu, pod wielką marmurową statua Neptuna, przyglądała sobie włosy i pomachała.

- Kochanie, na co czekasz? - zawołała. - Chodźże do mnie! Jest cudownie!

Karl-Heinz ściągnął spodnie i slipy i zanurkował, płynąc pod wodą mocnymi, równymi ruchami. Wynurzył się tuż obok Zandry i potrząsał głową, rozpryskując kropelki we wszystkich kierunkach.

- No i co? Czy nie wspaniale?

Wszędzie wokół nich połyskiwała woda, jakby światło słoneczne odbijało się od ciekłego chromu.

- Nieźle! - powiedział.

- Nieźle? - Żona prysnęła na niego silną kaskadą. - Jak to: nieźle?

Z uśmiechem skierował na nią wielki strumień wody. Zandra pisnęła. Nabrała powietrza i szybko zanurzyła się cała w basenie. Karl-Heinz pływał naokoło szukając jej i zastanawiając się, gdzie jest? Co ona tam knuje?

Nagle bez ostrzeżenia pojawiła się za nim i wepchnęła go pod wodę. Na powierzchnię wypłynął bąbel powietrza i pękł z bulgotem. Potem zaś wynurzył się Karl-Heinz, plując wodą. Spiorunował ją wzrokiem.

- To nie było ładnie!

- No to co? - Roześmiała się radośnie.

Trudno było nie ulec jej rozbawieniu, więc rzucił się w kierunku Zandry. Udając przerażenie wrzasnęła i zaczęła uciekać jak szalona na drugi koniec basenu. Karl-Heinz zaczął ją ścigać, ale siły obojga były wyrównane i zgrabnie mu się wymknęła.

- Aha! Boisz się! - droczył się z nią.

Ponad odgłosy rozchlapywanej wody przebił się dźwięczny śmiech.

- Naprawdę? A czego?

- Mnie.

- Ciebie! A czemu miałabym się ciebie bać?

Oczy mu zabłyśły.

- Bo wiesz, co się stanie, jak cię dogonię!

- A co? - rzuciła mu wyzwanie.

Nie potrafił powiedzieć, czy zwolniła naumyślnie, ale chwycił ją za kostkę u nogi i przyciągnął do siebie.

- To! - odpowiedział.

Wziął ją w objęcia, nakrył jej usta swoimi i zagłębił się w ich ciepłą słodycz. Poczul dotyk piersi Zandry i nagle jego członek zrobił się sztywny.

Zandra miała wrażenie, jakby coś w jej wnętrzu ożyło. Oplotła Heinzie'ego nogami i przycisnęła jego preżącą się męskość do swego brzucha. I tak objęci poszli pod wodę, wirując w jej błękicie opadali ze złączonymi ustami, a ich języki muskały się i próbowały, badały i pieściły.

Czuła, jak łomocze mu serce; palące płomienie jego pożądania oblały ją promiennym żarem.

Całą sobą odpowiedziała na jego namiętność, przyciskając go tak mocno, jak on obejmował ją. Wirowali wolnym ruchem, jakby byli nieważcy, włosy jej rozsypały się w wodzie i falowały jak u syreny. Wszędzie dokoła nich rozedrgane odbicia światła błyskały jak falująca r tęć, zmieniając basen w podwodną salę balową.

Karl-Heinz przesunął dłoń na tył głowy Zandry, przyciskając jej twarz do swojej. Drugą objął jej pierś, łagodnie muskając kciukiem brodawkę. Poczula w piersi mrowienie i jęknęła mu w usta. Powoli jego palce zsuwały się coraz niżej, niżej, nieubłaganie niżej, gładziły wklęsłość jej brzucha, pieściły miękki wzgórek, badały delikatną intymność między jej udami.

Zandrze wydawało się, że przez całą wieczność pływają w tym świetlistym świecie; palce Heinzie'ego zapalały w niej pierwsze błyski rozkoszy.

A potem, kiedy zabrakło im już powietrza w płucach, wynurzyli się jak jedno ciało na powierzchnię.

Zandra oddychała ciężko, szeroko otwartymi ustami.

- Heinzie - szepnęła, a jej piersi poruszały się gwałtownie.

W oczach miała dziwny, intensywny blask. Ona, która zawsze uważała swój erotyzm za subtelny i powściągliwy, przekonała się teraz, że był obezwładniającą siłą, której w żadnym stopniu nie kontrolowała.

- Chodź - powiedział Karl-Heinz i skierował ją do brzegu.

Słowa stały się już niepotrzebne. W momencie kiedy ramiona Zandry dotknęły gładkich, niebieskich kafelków, puściła go, sięgnęła za siebie i przytrzymała się gzymsu.

Jego twarda męskość wtargnęła między przypominające płatki kwiatu fałdki między jej udami. Zandra głęboko wciągnęła powietrze i popatrzyła na Heinzie'ego. Oczy mu lśniły. Jednym płynnym ruchem wsunął się w nią do końca. Jej oczy napełniły się łzami.

- Tak - jęczała. - O Boże, tak!

I Karl-Heinz zaczął się poruszać. Zandra odrzuciła głowę do tyłu, obracała nią z boku na bok, wyginała plecy w łuk, przyciskając się do niego. Uderzał w nią coraz szybciej, szybciej i szybciej, aż woda wokół nich zkipiała jak w kotle.

Zandra czuła, jak zaczyna spiętrzać się w niej pierwszy przypływ, a potem porwał ją nurt namiętności, unosząc coraz wyżej i wypełniając bez reszty.

Z gardła jej wyrwał się krzyk, kiedy rozkosz ogarnęła ją i uniosła ze sobą.

Ale to był dopiero początek.

Mogła być księżną, jednak miłość uprawiała jak profesjonalistka.

48.

Punktualnie o trzeciej. Tak nakazała panna P.

Kenzie przyjechała na skrzyżowanie First Avenue i Pięćdziesiątej Drugiej ulicy o całe dwanaście minut za wcześnie. Miała wprost niesamowite poczucie *déjà vu*, jakby powtarzała coś, co już raz kiedyś zrobiła.

Bo przecież tak było.

Wtedy, kiedy przyszła tu ostatnim razem.

Brama, w którą dała nura, żeby zmienić reeboki na najlepsze szpilki (zostały dawno już naprawione i znów miały wysokie obcasy) była tą samą bramą, gdzie zmieniała buty poprzednim razem. *Ditto* torba na ramię, do której zostały relegowane reeboki.

Słońce zaczynało zachodzić za Jersey Palisades i rzucało tunel światła na drugą stronę Pięćdziesiątej Trzeciej ulicy i dalej na East River, gdzie błyskało na dzielonych kamiennymi słupkami oknach tysiąca fabryk i magazynów.

Kenzie, zbliżając się do River House, wiedziała, że odźwierny przygląda jej się badawczo przez grube, szklane drzwi. Było oczywiste, że pierwszy egzamin zdała, kiedy je otworzył, aby ją wpuścić, ale nie weszła zbyt daleko. Tabliczka na ścianie głosiła, że każdy gość musi zostać zapowiedziany, a w takim domu owo zarządzenie odnosiło się nawet do prezydenta Stanów Zjednoczonych.

W końcu był to River House, jedna z najgodniejszych rezydencji na całym świecie.

- Czy mogę w czymś pani pomóc?

Skrzypiący głos odźwiernego był dokładną repliką tego, co usłyszała podczas swojej ostatniej wizyty i znowu ogarnęło ją to drażniące poczucie *déjà vu*. Nie tylko słowa były te same, odźwierny też był ten sam!

Poznała go od razu. Ten sam powłóczyący nogami staruszek, który wyprosił ją stąd poprzednim razem.

Kenzie odrzuciła głowę do tyłu i usiłowała go oczarować uśmiechem. Odpowiedział jej spojrzeniem milczącym, obojętnym, bez wyrazu.

- Jestem umówiona z panną P. - powiedziała lekko i pomyślała: No, przynajmniej to się zmieniło! Kiedy byłam tu poprzednio, mówiłam o niej „panna Pons”. Może to go ruszy.

Nie ruszyło.

- A dlaczego pani uważa, że miałyby tutaj mieszkać jakaś panna P.? - Głos mężczyzny był obojętny i bez wyrazu, podobnie jak twarz.

Kenzie dodała jeszcze parę wolt do swojego uśmiechu.

- Ponieważ - odrzekła zadowolona z siebie - dzwoniła do mnie wczoraj. Rozmawiałam z nią osobiście.

- Czyżby?

- Tak. - Boże, co za niewierny Tomasz! - Może pan sobie mnie przypomina? Byłam tu już raz. Jestem przedstawicielką Burghleya. Proszę, oto moja wizytówka...

Głos jej przycichł, kiedy zaczęła rozpinąć torbę.

- To zbyt ciche - odźwierny machnął ręką i wziął do ręki słuchawkę domofonu. - Jakie pani podała nazwisko?

- Turner. MacKenzie Turner. - Rozejrzała się po holu, kiedy portier wystukiwał numer, udając, że przygląda się wnętrzu. A potem usłyszała:

- Tak. Mówi Archie z dołu. Mam tutaj panią Turner. Od Burghleya. Twierdzi, że jest umówiona z panną P. Tak... yhm.... w porządku.

Kenzie przyglądała odźwiernemu się spod oka, ale jego twarz nie zdradzała niczego.

- No i? - odezwała się pogodnie, kiedy odłożył słuchawkę. - Czy przeszłam przez sito KGB?

- Nie - odpowiedział. - Przykro mi.

- Słucham? - zapytała, wpatrując się w niego z niedowierzaniem.

Odźwierny dyskretnie odkaslnął, ale nie chciał jej spojrzeć w oczy.

- Gospodyni mówi, że panna P. jest w Klosters. To gdzieś we Francji czy coś takiego.

- W Szwajcarii - poprawiła go automatycznie Kenzie. - Kiedy wyjechała?

- Nie wiem, proszę pani. Musiało to być na zmianie kogoś innego.

- Ale ja z nią dopiero wczoraj rozmawiałam!

- Nic o tym nie wiem, proszę pani. Może gdyby pani przyszła kiedy indziej...

- Kiedy indziej?

Została tu wezwana, do diabła!

- No to może pani uprzedzi telefonicznie...

- Ale o to chodzi! Czy pan nie rozumie! Ja nie mam jej numeru! To ona do mnie dzwoni!

- W tej sytuacji obawiam się, że nie mogę pani pomóc. - Z kamienną twarzą ruszył do frontowych drzwi, żeby otworzyć je. - Proszę pani?

Kenzie postanowiła nie ruszać się z miejsca.

- Proszę posłuchać, to ważna sprawa - podkreśliła. - Może... może zaszło jakieś nieporozumienie. Gdyby pozwolił pan, żebym to ja zadzwoniła...

Odźwierny był wstrząśnięty.

- Wykluczone! - uciął, puszczając drzwi i podchodząc do telefonu, żeby uprzedzić ją i bronić go własnym życiem, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

- A czy w takim razie nie mógłby pan jeszcze raz zadzwonić na górę? Staruszek z żalem potrząsnął głową.

- Nie mogę, proszę pani.

- Ale dlaczego nie? - zapytała pełna niedowierzania, z rękami opartymi na biodrach.

- Ponieważ mamy ściśle zalecenia - wyjaśnił. - Do tego mieszkania wolno mi tylko raz dzwonić w sprawie każdego gościa. Żadnych wyjątków. - Przerwał. - Nigdy.

- Ależ z pewnością mogą zaistnieć szczególne okoliczności...

- Nic takiego nie istnieje, proszę pani. - Uśmiechnął się z napięciem.

- Nie w przypadku mieszkania pięć C.

Pięć C. Kenzie zapisała sobie w pamięci ten numer. Nigdy nie wiadomo, pomyślała, może się kiedyś przydać.

- No to co ja mam teraz zrobić? - zapytała go ponuro.

- Pojęcia nie mam - odpowiedział grzecznie, ale chłodno.

- Cholera! - zaklęła półgłosem.

- Przykro mi, proszę pani. To nie ja układam przepisy.

- A niech to wszystko szlag! - wymamrotała Kenzie. - I czegoż to ja nie robię dla Burghleya!

Czysty Kafka, pomyślała sobie. Czegoś takiego spodziewałabym się w Motor Vehicles, a nie w najszacowniejszej kamienicy w mieście.

Odwróciła się na pięcie, popchnęła ciężkie drzwi, sama je sobie otworzyła i wyszła tak szybko, że odźwierny nie miał szansy jej pomóc. Znalazła się na zewnątrz, zanim się połapał.

Oddalała się wielkimi krokami od budynku, usiłując opanować irytację, kiedy...

... znowu to uczucie!

Znów ten potężny dreszcz!

To niesamowite wrażenie, że ktoś jej się przygląda, od czego aż ciarki przeszły jej po plecach!

Zwolniła kroku, niemal wbrew woli odwróciła głowę i uniosła oczy do góry na piąte piętro, automatycznie szukając tego samego okna, które zwróciło jej uwagę poprzednim razem.

Stała zaskoczona. Tam! Niewidzialna, jeżeli nie wiedziało się, gdzie patrzeć, pamiętna blada twarz...

...Jej!

- Klosters, niech mnie...! - wykrzyknęła cicho Kenzie.

Lila Pons. To musiała być ona. Ukryta za zasłoną, w turbanie na głowie, stała, podpierając dłonią łokieć drugiej ręki i paląc papierosa.

Na ułamek sekundy dzieląca je odległość skurczyła się i oczy obu kobiet się spotkały.

Potem, zanim Kenzie zdążyła zareagować, eteryczna sylwetka cofnęła się w cień.

Zasłona opadła - okno było puste.

Przedstawienie się skończyło, pomyślała Kenzie sardonicznie, i ruszyła dalej. Już i tak straciła za dużo czasu.

- Ostateczne zaciemnienie kadru z panią Turner - wymamrotała ponuro. - Cięcie i... do druku!

49.

- Co mogło zaszkodzić pocziwym, staroświeckim kawiarniom? - westchnął smutno Charley.

Było wczesny piątkowy wieczór i w Seattle Bean na Second Avenue - w jednej z jakichś ośmiu tuzinów kafejek, które przez jedną chyba noc wyrosły wszędzie na Manhattanie - pełno było młodych, poubieranych na sportowo ludzi.

- Kawa im zaszkodziła - odpowiedziała Kenzie.

- Tak, ale to? Zemsta Seattle, ot co.

Kenzie, siedząc na stołku naprzeciw niego, powoli przekopywała się przez kawałek ciężkiego czekoladowego ciasta i popijała cappuccino.

- Temu miastu przydałby się zakaz proliferacji. Dla takich kafejek.

- A mnie się zawsze zdawało, że wy, Włosi, lubicie dobrą kawę.

- Dobra kawa - odparł - nie musi kosztować po trzy zielone za filiżankę.

Kenzie ukroiła sobie widelczykiem odrobinę ciasta, nabiła je, podniosła do ust i w zwolnionym tempie zaczęła przeżuwać.

- Niebo w gębie - westchnęła, przymykając w ekstazie oczy.

- Tyle kosztuje, że powinno być.

- Charley, usiłuję cieszyć się tymi kaloriami. Zostaw więc w spokoju swoją obsesję na punkcie oszczędności i zmieńmy temat.

- Okay. - Złożył ręce na malutkim stoliku. - Po coś mnie tu przywlokła? Powiedziałaś, że chcesz o czymś porozmawiać.

Kenzie odłożyła widelczyk, otarła sobie delikatnie usta serwetką i wypila łyżeczek cappuccino.

- Chciałam - potwierdziła.

- Powiedziałaś też, że nie chcesz o tym mówić przez telefon. Ani przy kolacji. Ani w domu.

Skinęła głową.

- Tu również masz rację.
- No to rozmawiaj. Zaczepnęła powietrza.
- Są takie kobiety - zaczęła powoli - które niewątpliwie poczułyby się dowartościowane przykładem cromagnońskiego zachowania mężczyzn. Ja, jak wiesz, do nich się nie zaliczam.

Charley popatrzył na nią zdziwiony.

- Mówisz do mnie w suahili, czy jak?

Kenzie pochyliła się do przodu.

- Mówię o walce na pięści - odrzekła cicho. - O biciu się na szkolnych podwórkach. „Wyjdiesz ze mną na zewnątrz, koleś?” O tego typu sprawach.

- Kenzie, o czym ty, do cholery, mówisz? - zapytał ze znużeniem Charley i potarł czoło.

- Mówię o twoim temperamencie. Mówię o twojej szaleńczej zazdrości. Mówię o tym, że użyłeś brutalnej siły fizycznej.

- Powtórz no to wszystko?

- Słyszałeś mnie.

- Tak, słyszałem. Ale może bym coś zrozumiał, jakbyś przestała mówić zagadkami!

- W porządku. - Kenzie przez chwilę zbierała myśli. - Chodzi mi - oświadczyła sztywno - o Hannesa.

- Och, tak. Wedle mojego rozumienia, palisz świeczkę z obu końców.

- Charley, to z kim ja się widuję czy też nie widuję, to moja prywatna sprawa. Nie daje ci to żadnego prawa do pobicia tego kogoś.

- Przepraszam cię? - Miał szczerze ogłupiałą minę.

- I nie nabierzesz mnie na tę swoją minę niewiniątka - powiedział surowo. - Oboje wiemy, że to zrobiłeś.

- Niech mnie diabli, jak wiem! - warknął Charley.

- Nie podnoś głosu! - syknęła. - Wystarczy już, że przyłożyłeś Hannesowi...

- Co zrobiłem? - Wytrzeszczył na nią oczy. - Chryste, Kenz! A tobie skąd coś takiego przyszło do głowy?

- Powiedzmy, że mam tę informację z dobrego źródła - odpowiedziała sztywno.

- Bóg mi świadkiem, Kenz, przysięgam, że palcem tego sukinsyna nie tknąłem!

Kenzie ciężko westchnęła.

- A ja - zapytała spokojnie - mam ci uwierzyć?
- Do diabła, tak! - Wpatrywał się w nią gorącym wzrokiem. - Wierzysz mi, nie?

Kenzie nie odpowiedziała.

- Niech to szlag! - Przegarnął sobie włosy palcami i zamyślił się. - Pewno powinienem za to podziękować Blondasowi.

- Charley, naprawdę nie ma potrzeby wymieniać nazwisk.

- Cholera jasna! Facet, z którym chodzę na patrole, udaje, że jesteśmy tacy kolesie od serca. Tymczasem przyprawia mi rogi, a do tego wszystkiego leci do ciebie i opowiada jakieś bajeczki. Zaczynam żałować, że go nie stłukłem na dobre!

- On mówi, że stłukłeś - powiedziała spokojnie.

Charley nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- A ty się na to dałaś nabrać?

- Ujmijmy to w ten sposób: nie mogę powiedzieć, że mu nie wierzę.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Coś takiego! Znasz mnie od lat, a tu nagle pojawia się Blondas i trzask! wierzysz jemu, a nie mnie!

Doprowadzona niemal do rozpacz Kenzie znowu westchnęła.

- No to dlaczego - zapytała - masz całe kostki u rąk posiniaczone i podrapane?

- O to chodzi? - zapytał Charley, podnosząc dłonie do góry. - To mi się zrobiło, jak się wywalilem.

- Wywalileś się?

- Cholera, wyobraź sobie, że właśnie, się wywalilem! Jak się dowiedziałam, że ten facet cię bzyka.

- Niech ci będzie - odpowiedziała ugodowo. - Ale to Hannes ma podbite oko.

- No, na twoim miejscu przestałabym się z tym skurwielem widywać.

- Charley popatrzył na nią chytrze. - Czy nie przyszło ci kiedyś na myśl, że on może być niebezpieczny?

- Daj spokój, Charley - Kenzie poczuła się rozbawiona. - Biorąc pod uwagę fakty, wydaje mi się, że raczej tobą powinnam się martwić.

- Chryste, nigdy nie przestaniesz?

Kenzie milczała.

- To po coś mnie tu przywlokła? Żeby wypić filizankę cap-pu-cci-no i wciskać mi kit?

- Charley - powiedziała dobitnie - nie wciskam ci kitu. Chcę, żebyśmy porozmawiali jak ludzie cywilizowani.

- O!
- A także pomyślałam sobie, że czas już, żebym ustanowiła pewne zasady.
- Zasady? - zapytał podejrzliwie. - Jakie zasady?
- Zasady Kenzie.
- No, teraz już się całkiem pogubiłem.
- Prawda jest taka, Charley, że cię lubię. - Patrzyła wprost na niego, jej bursztynowe oczy zaglądały głęboko do jego wnętrza. - Faktem jest - dodała cicho - że cholernie cię lubię.
- Dzięki - odrzekł sarkastycznie. - To wszystko zmienia.
- Ale Hannesa też lubię.
- Bez wątpienia również cholernie - zauważył z ironią.
- Wyraz twarzy Kenzie nie uległ zmianie.
- Owszem - przytaknęła.
- No cóż - westchnął - nie będę udawał, że prawda nie boli.
- Tak czy owak - ciągnęła dalej - żeby tę sprawę rozwiązać, pomyślałam że najlepiej będzie, jak się nie będziecie spotykać.
- Charley po prostu gapił się na nią.
- Pomyślałam sobie również, że sprawiedliwie będzie przydzielić każdemu z was tę samą ilość czasu.
- Czy aby? - zapytał z goryczą. - Jak stronom przeciwnym w telewizji?
- Dopóki każde z nas nie będzie wiedziało, na czym stoi pod względem emocjonalnym - oświadczyła z naciskiem Kenzie. - Tak więc postanowiłam, że Hannes może się ze mną widywać w poniedziałki, środy i piątki.
- Taaa?
- A to znaczy, że wtorki, czwartki i soboty są twoje.
- O rany. A niedziele? Co z niedzielami?
- W niedziele - odpowiedziała zwięźle - odpoczywam.
- Brzmi to tak, jakby odpoczynek miał ci być potrzebny.
- Wzruszyła lekko ramionami.
- Wygląda również na to, jakbyś chciała zjeść ciastko i je mieć.
- To - odparła Kenzie - nawet nie zasługuje na odpowiedź.
- Jesteś pewna, że nie chcesz jednego z nas wygrywać przeciw drugiemu?
- Słuchaj, próbuję ułożyć to tak, żebyście sobie nie skakali do gardła.
- Siedziała wyprostowana, ze złożonymi rękami. - No więc, czy przystajesz na taki układ?

Charley przyglądał jej się bacznie.

- Czy już to proponowałaś Blondasowi?

- Tak, omawiałam to z Hannesem.

- I?

- Nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń.

- Założę się, że nie! - Charley milczał przez chwilę. - A jeżeli ja zgłoszę?

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - odpowiedziała łagodnie Kenzie.

- To tak, jak ja mam nadzieję, że Blondas padnie trupem?

- Posłuchaj, Charley - persadowała. - Usiłuję tak wszystko załatwić, żeby to było jak najmniej bolesne dla nas trojga. - Głęboko zaczerpnęła powietrza. - Albo się podporządkujesz, albo koniec.

Wpatrywał się w nią ponuro; Kenzie wytrzymała jego wzrok.

- Wspaniale! - Potarł twarz rękami. - Mam do wyboru: iść do diabła albo na głębokie, błękitne morze!

- Przykro mi, jeżeli tak na to patrzysz.

- Szlag by to! - Potrząsnęła głową. - Naprawdę umiesz facetowi dać kopniaka tam, gdzie go porządnie zaboli, nie?

- Jestem jak najdalsza od tego, żeby ci robić przykrości. Próbuję tylko być sprawiedliwa.

- Taaa. - Parsknął przecząco. - Właśnie.

Czekała z ustami zaciśniętymi w wąską, cienką linię.

- No cóż, nie najlepiej mi się myśli na pusty żołądek - powiedział Charley. - A jak ostatnio słyszałem, ca-pu-cci-no nie kwalifikuje się jako pełny posiłek. Czy słusznie zakładam, że nie pójdziemy gdzieś razem, aby zjeść coś naprawdę?

- Twoje założenie jest słuszne.

- No to czegoś się tak zrobiła na laleczkę? Jakby mnie ktoś pytał o zdanie, to małej czarnej z cienkimi ramiączkami nie nosi się do barków kawowych.

- Nie - zgodziła się Kenzie. - Raczej się nie nosi.

- No to co jest?

- Mamy piątkowy wieczór.

- Piąt... - Uderzył się w czoło. - Och, tak, ależ to głupio z mojej strony. Przecież to noc Blondasa!

Kenzie wzdrygnęła się, jakby ją uderzył.

- A więc ty i on idziecie na kolację - powiedział Charley. - I w ogóle.

- Tak. - Kenzie podniosła brodę do góry.

- No to możesz mnie w dupę pocałować! - wykrzyknął ze złością. - Oboje możecie!

Zerwał się, przewrócił swój stół i wypadł za drzwi.

* * *

- Przekazałam Charleyowi, co postanowiłam - powiedziała Kenzie Hannesowi podczas kolacji w Privé przy Osiemdziesiątej Ulicy.

- Jak to przyjął?

- Obawiam się, że nie najlepiej. - Westchnęła i wypila łyżeczek spritzera.

- Przykro mi to słyszeć, Kenzie.

- Mnie też - kiwnęła głową, a potem się uśmiechnęła. - Wiesz, on jest przekonany, że ty możesz być niebezpieczny.

- Ja! - Hannes parsknął śmiechem. - Cóż za piramidalna bzdura! Popatrz na mnie, Kenzie. Wciąż jeszcze chodzę z posiniaczoną twarzą.

- Wiem. - Kenzie zjadła kęs przypieczonych na grillu jarzyn i kawałek tarty z kozim serem. - Masz przez to taki pełen fantazji, heroiczny wyraz twarzy - powiedziała.

Jej towarzysz znów się roześmiał, a potem nagle zamilkł.

- Kenzie, czy nie przyszło ci na myśl - zapytał powoli - że może być coś w tym, co powiedział Charley?

- Co masz na myśli? - Wpatrywała się w niego z napięciem.

- Może są powody, że czuje się jak paranoik. Na przykład to, co mi zrobił.

- Tak?

- Może on naprawdę nie zdaje sobie sprawy, że to zrobił.

- Hannes...

- Proszę, Kenzie, wysłuchaj mnie. Charley dosyć dużo pije.

- Prawda.

- Może mu się film urywa. To mogłoby wyjaśnić, dlaczego nie pamięta tego, co się stało.

- O Boże. Teraz mnie przeraziłeś!

- On by ci nigdy nie zrobił krzywdy, Kenzie. A przynajmniej nie z rozmysłem.

Kenzie usiłowała pocieszyć się uwagą Hannesa, ale przeszedł ją zimny dreszcz.

Charley może nie chce mi zrobić krzywdy, pomyślała. Ale kto zdoła przewidzieć, co będzie, jak mu się film urwie?

Hockert przyglądał się jej uważnie

- Tak mi przykro, Kenzie. Nie chciałem, żebyś się bała.

- Nie boję się - skłamała z przylepionym do ust uśmiechem. Charley zawsze obchodził się ze mną tak łagodnie, myślała. Nigdy nie miał najmniejszych skłonności do przemocy. To śmieszne, żeby się go bać...

...a może nie?

W tym momencie nie potrafiła powiedzieć.

50.

- Moi kochani! - zaświergotała Dina. - Z szeroko rozłożonymi rękami rozdawała pocałunki na prawo i lewo. - Jak wam minął miesiąc miodowy? Zandro, po prostu muszę się wszystkiego dowiedzieć. Dobry Boże, Heinzie! Opaleni jesteście oboje na czekoladę. Siadajcie, proszę.

Przepraszam was za to skromne pomieszczenie. To prowizorka, ale czuję się tak, jakby ten remont trwał już od zawsze...

Na czas, kiedy zmieniano wystrój mieszkania, Goldsmithowie razem ze swym majordomusem, osobistą pokojówką Diny i niewielką kolekcją obrazów o wartości muzealnej, rozbili swój wielkopański obóz w hotelu Carlyle. Owo „skromne pomieszczenie” - był to narożny apartament z czterema sypialniami, który wynajmowali za dwadzieścia cztery tysiące dolarów miesięcznie. Pokoje znajdowały się na wysokim piętrze i rozciągał się stąd wspaniały widok na północ i na zachód. W holu posadzki były z marmuru, w olbrzymim salonie stał fortepian, a obok każdej sypialni mieściła się łazienka. Oddzielny pokój na niższym piętrze zaadaptowano na gabinet dla Gaby.

Julio dyskretnie krążył w pobliżu swej chlebobawczyni.

- Szampan - zdecydowała pani Goldsmith, kiedy usadowili się na miękkich sofach krytych kwiecistym perkalem. - Cristal. I poślij na dół po kanapki do herbaty.

Rozpromieniona patrzyła na Zandrę i Karla-Heinza.

Oboje aż tryskali radością i wyglądali dokładnie tak, jak powinna wyglądać powracająca po miesiącu miodowym para. Najwyraźniej małżeństwo im służyło. Nic w tym dziwnego. Mieli wszystko, czego ktokolwiek mógłby kiedykolwiek sobie życzyć. Otaczało ich bogactwo, władza, blask rozgłosu - wszystko, czego tylko pragnęli.

No, niemal wszystko, pomyślała Dina. Ale musiała poczekać na odpowiedni moment, zanim poruszy ten szczególny temat.

Tymczasem trzeba było wymienić tyle ploteczek i wiadomości. Od wesela minęły dwa tygodnie i uświadomiła sobie, że nie wie nawet, gdzie szczęśliwa para je spędziła.

- Och, moi kochani, to fantastyczne! - mruzczała jak kotka. - Nie mogłam się doczekać, kiedy wrócicie. Bez was w tym mieście było nudno, nudno, nudno!

- Nie masz przypadkiem skłonności do przesady? - roześmiał się Karl-Heinz.

- Ja? - zaświergotała ubawiona Dina. - Oczywiście, że nie. Ale tak czy owak, opowiadajcie! Gdzieście się tak wspaniale opalili?

- Opalili? Przecież na Mustique, kochana. A gdzieżby?

- Mustique! - Pani Goldsmith miała skonsternowaną minę. - Ale... tam jest tak spokojnie!

- Można by powiedzieć, że to głusza - stwierdziła radośnie Zandra.

- O to właśnie mi chodzi. I nie powariowaliście? Przez całe dwa tygodnie? Skarby, co wyście tam robili?

- Och, Dino, naprawdę! - Zandra wymieniła ukradkowe, rozbawione spojrzenie z Karlem-Heinzem. - Kochana, a jak myślisz, czym zajmują się nowożeńcy podczas miesiąca miodowego?

- Rozumiem. No, nie musimy w to wnikać. Ach! Uratował mnie Julio i szampan.

Kiedy majordomus otwierał butelkę i napełniał kieliszki, Dina bacznie przyglądała się im obojgu. Zandra i Karl-Heinz jakby się zmienili... nie potrafiła jednak tego sprecyzować. A potem nagle zaświtało jej, co to. Oni naprawdę stanowili parę! I jeszcze jedna rzecz: byli szczęśliwi. Wystarczyło popatrzeć im w oczy, żeby to stwierdzić. Obojętne czy wiedzą o tym, czy nie, są w sobie zakochani, pomyślała. Autentycznie zakochani!

Julio zniknął, a Dina uniosła kieliszek.

- Toast - oznajmiła. - Za was oboje i żeby maleństwo przybyło na czas!

- Za maleństwo! - powtórzyła cicho Zandra, a potem wszyscy troje trącili się kieliszkami i wypili po łyku.

- Wspaniały - powiedział Karl-Heinz.

- Owszem - przytaknęła Dina i odstawiła kieliszek na stolik do kawy. - A teraz mam dla was ważne wiadomości. Chyba nie będziecie mi mieli za złe, że się wtrącam; w ciągu ostatnich dwóch tygodni zajęłam się gromadzeniem pewnych informacji.

- Informacji? - powtórzyła nie rozumiejąc Zandra. - Kochana, w jakiej sprawie?

- W sprawie waszego maleństwa oczywiście, a czegoż by innego? - Pani Goldsmith uśmiechnęła się jak dobra wróżka z bajki. - I mam dobre i jeszcze lepsze wiadomości! Sama nie mogłam uwierzyć, jak przez ostatnie kilka lat rozwinęło się położnictwo. Wam pewnie też trudno będzie uwierzyć.

Zandra musiała się uśmiechnąć. Poczciwa, stara Dina, pomyślała. To do niej takie podobne, żeby już zacząć węszyć po zaułkach medycyny!

- No i? Zamieniamy się w słuch - powiedziała. - Czyż nie, Heinzie, kochanie?

Pani domu wzięła kieliszek, wypila maleńki łyżeczek szampana i odsta-wiła go.

- Uważano kiedyś, że płęć dziecka to loteria. Tak jak rzut monetą.

- I chyba wciąż tak jest, a przynajmniej tak mi się zdaje - zauważyła Zandra.

- Otóż nie. - Na ustach Diny pokazał się błady uśmiech. - Zdziwisz się, skarbie. Doktor Lawrence Rosenbaum dowiódł, że jest inaczej.

Karl-Heinz ściągnął brwi.

- Rosenbaum... Rosenbaum.. - zastanawiał się na głos, krzyżując no-gi i podciągając idealnie zaprasowany kant spodni. Potem potrząsnął głową. - Nigdy o tym człowieku nie słyszałem.

- Nic dziwnego - odparła Dina - ponieważ ja również o nim dotych-czas nie słyszałam.

- Kochana, wiesz, że absolutnie nie znoszę żadnych tajemnic - ode-zwała się Zandra. - No więc kto to jest?

- To najślawniejszy ginekolog i położnik w tym mieście. Tak, skarbie. A właściwie to mówi się o nim jako o najlepszym specjalście w tej dzie-dzinie na świecie. - Dina złożyła ręce na kolanach. - Doktor Lawrence Rosenbaum i ja - powiedziała - odbyliśmy długą, sympatyczną pogawędkę. I wiecie co?

Zandra i Karl-Heinz patrzyli na nią wyczekująco.

- Podobno kilka lat temu wynaleziono jakąś nową metodę, która po-zwala wpływać na płęć dziecka! Naprawdę! - Pani Goldsmith pochyliła się do przodu. Ogarnęło ją niemal niedające się opanować podniecenie, a jej wielkie oczy zabłyśły jak wielofasetowe akwamaryny. - Heinzie! Zandro! Skarby! Czy słyszeliście mnie? On może wam pomóc wyprodu-kować dziedzica... płci męskiej!

- Ciekawe, jak to jest możliwe? - zadumała się Zandra. - Zgodnie z

tym co ostatnio słyszałam, płęć dziecka zależy od natury.

- Wygląda na to, że naturze można pomóc. Zapomniałam, jak dokładnie nazywa się ta metoda. - Pani Goldsmith beztrząsco machnęła smukłą dłonią. - Wiesz, że absolutnie nie mam głowy do terminologii medycznej, złotko, ale rozumiem, że robi się to poprzez sztuczne zapłodnienie.

Karl-Heinz potrząsnął głową.

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się pomysł, żeby Zandra miała poddawać się...

- Kochanie, to nie metoda zapłodnienia jest ważna, naprawdę! - przerwała mu miękko żona.

- Ale...

- Potrzebujemy dziecka płci męskiej, kochanie, i skłonna jestem poddać się wszystkiemu w granicach rozsądku, jeśli będzie jakaś szansa, żeby to pomogło. Wytrzymam to... jeżeli ty się zgodzisz.

Książę westchnął i potarł sobie czoło. Dina parła do przodu.

- Ten proces naprawdę jest bardzo prosty. Oni robią coś takiego... chwileczkę... najpierw pobierają trochę spermy, w tym przypadku twojej spermy, Heinzie, i albo ją odwirowują, albo wytrząsają w laboratorium, a to powoduje, że żeńska sperma opada, a męska wypływa na wierzch...

- Jak powiedziałaś... wytrząsają? - Zandra zachichotała. - Jak martini?

- Odwirowanie spermy? - odezwał się jej mąż z krańcowym niedowierzaniem. - I to ma zagwarantować męskiego potomka?

- Nie - przyznała Dina. - To niczego nie gwarantuje. Ale są dowody, że może pomóc. Jeżeli będziecie zainteresowani, to doktor Rosenbaum wyjaśni wam to dużo lepiej, niż ja.

Książę wymienił spojrzenie z Zandra, która niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

Dina wypila jeszcze łyk szampana. Karl-Heinz westchnął.

- Tylko że to brzmi tak... - Podniósł w górę ręce. - ...tak podejrzanie.

- Skarbie, to wcale nie jest podejrzane - sprzeciwiła się Dina. - Lawrence Rosenbaum jest bardzo szanowanym naukowcem, a do tego przecież, ma rozległą praktykę. - Przerwała i skierowała na niego wzrok. - Poza tym, czy macie jakiś lepszy pomysł?

Potrząsnął głową.

- Popatrz na to od innej strony - głos Diny złagodniał - co masz do stracenia?

Książę nie odpowiedział, ale Zandra pomyślała: Tylko około dwunastu miliardów dolarów. Siedziała, prosta i wysoka, z uniesioną brodą - księżna w każdym calu!

- Kochanie - zwróciła się do przyjaciółki - zadzwoń do doktora Rosenbauma i zapytaj, jak szybko mógłby nas przyjąć.

- Zandro! - zaprotestował Karl-Heinz. - Takich drakońskich metod nie było...

Nie należały do naszej umowy, nie musiał tego mówić.

- Kochany jesteś, ale podjęłam decyzję, Heinzie. - Uśmiechnęła się do niego.

- Ale dlaczego nie pozwolić, żeby to przebiegało zgodnie z naturą? Po prostu zobaczyć, co się stanie?

- Ponieważ, kochanie, naturalne metody mogą zająć kilka miesięcy... a nawet lat!... zanim zajdę w ciążę. Wiem, że chwilowo stan twojego ojca jest stabilny, ale przecież on jest w śpiączce. Słyszałeś, co mówią lekarze. To tylko kwestia czasu.

- Tak, ale...

- A poza tym - przerwała mu Zandra - jak mogę dopuścić do tego, żeby twoje dziedzictwo przejął ten przygłupi syn Sofii? Nie pozwolę, żeby zatriumfowała nad nami kobieta, która ubrała się w żałobę na mój ślub! - Popatrzyła na Dinę. - Zadzwoń, kochana - powiedziała stanowczo, biorąc Karla-Heinza za rękę. - Od razu!

51.

- Na pewno nie jesteś głodny, Ferraro? - spytał zastępca komendanta. - W tej okolicy mają najlepsze żarcie na świecie.

Przepychali się przez gęste tłumy w Chinatown; nos Ditchka, który ogryzał żeberka w słodko-kwaśnym sosie, był w pełnym pogotowiu. Charley uśmiechnął się niewyraźnie.

- Dzięki, szefie, może później.

Zostało to skwitowane pogardliwym spojrzeniem i wzruszeniem ramion.

Zastępca komendanta, Tyler Ditchek, był bezpośrednim przełożonym Charleya. Ten potężny, przypominający antał piwa mężczyzna, ani muskularny, ani sflaczały, miał twarde, podejrzliwe oczy, grzmiący głos i byczą, dziobatą twarz, a takie żołądek chyba z żelaza, sądząc po tym, co już do niego wrzucił - pojemnik smażonego *dim sum*, dwa tłustawe kaczki udka, plus porcja tłustych żeberek, nad którymi właśnie pracował.

Ogryzłszy ostatnie z nich, Ditchek wepchnął kości do papierowej torebki, oblizal sobie palce i wyrzucił torebkę do pojemnika na śmieci. Wytarł ręce w papierowe serwetki i potężnie beknął.

- W porządku, Ferraro. Mam napięty plan dnia. - Zerknął spod oka. - Po coś się chciał ze mną zobaczyć?

- Ten program pilotażowy, w którym ugrzęzłem - odpowiedział Charley.

- Co z nim? - Po kamiennej twarzy zastępcy komendanta można było się zorientować, jaką ma opinię na ten temat; nie była najlepsza.

- Interpol i policja nie pasują do siebie. Mam dość tej pracy.

- Pieprzysz - parsknął Ditchek. - Podłapałeś najbardziej komfortową robotę w całej policji. - Przyjrzał się rzędowi chrupiących, pieczonych w całości prosiaków, zawieszonych na hakach. Wydawało się, że ma kłopoty

z podjęciem decyzji. - Lepsze są tam trochę dalej - powiedział i ruszył przed siebie.

Charley obejrzał się na prosięta.

- Przynajmniej tu człowiek wie, co je, szefie.
- Śmieceesne - odparł Ditchek. - Masz zamiar zaserwować mi to główniane powiedzonko, że jak coś się rusza, to oni to zjedzą?
- Właściwie nie, ale skoro już pan o tym wspomniał...
- Najlepsze żarcie na całej ziemi - ogłosił szef, nie dając mu dokończyć. - Świeższego nie znajdziesz.
- To tak, jakby robić zakupy spożywcze w sklepie ze zwierzaczkami.
- To właśnie mam na myśli, jak mówię „świeże”.
- Taaa - powiedział Ferraro. - W tej okolicy, jak mówią „świeże”, to mają na myśli, że jeszcze skacze. Pływa. Pełza. Mógłbym tu przychodzić kupować kurczaczki i zajączki na Wielkanoc.

Zastępca komendanta wybuchnął śmiechem.

- Nie musisz czekać na Wielkanoc! - zauważył. Potem spowaźniał, a czoło mu się zmarszczyło. - Co to za główniana historia, że chcesz z tym skończyć? Dlaczego?

Na twarzy Charleya widać było napięcie.

- Mam dość i tyle.
- Dobra, ale dlaczego masz dość?
- Bo to główniane sprzężenie nowojorskiej policji z Interpolem nie da się lubić.
- Taa? - zachichotał Ditchek. - Powiedz mi coś nowego!

Detektyw głęboko zaczerpnął powietrza.

- Jeżeli sprawy będą się rozwijały tak, jak dotychczas, to ja i ten Fin pozabijamy się nawzajem.

Przełożony spojrział na niego ostro.

- A mnie się wydawało że wasze małżeństwo zostało zadekretowane w niebie.

Charley popatrzył spode łba.

- Czas przeszedł jest tu istotny. Pora, żebyśmy się rozwiedli, do tego im prędzej, tym lepiej!

- To wszystko stało się z dnia na dzień?
- Nie. Trochę to potrwało. Zajęło mi trochę czasu, zanim się połapałem.
- W czym?
- Że ten facet sypia z moją dziewczyną.
- Dobrze słyszę? - Ditchek popatrzył na niego zezem. - Obydwaj

ciupciacie tę samą babę?

- Tak - powiedział Charley i wepchnął ręce do kieszeni płaszcza. - I mam wierzyć, że on będzie mi chronił plecy? Mowy nie ma!

Zastępca komendanta potrząsnął głową.

- Cholerny świat!

- Chryste, ależ miałbym ochotę wziąć tego skurczysyna i powiesić, żeby wysechł!

- Dobra musi być ta baba - zauważył z podziwem Ditchek - co?

- Słuchaj, szefie... - warknął młody człowiek.

- Dobrze już dobrze. - Tamten uniósł w górę swoje potężne łapy. - Nie bądź taki diabelnie drażliwy! Przecież ja się do nikogo nie podwalami

Ditchek zatrzymał się i wbił wzrok w okrągłe kawałki tajemniczego mięsa, które zdejmowano właśnie z wielkiej patelni. Skinął na azjatyckiego sprzedawcę i powiedział:

- Daj no mi torbę tego.

Pieniądze przeszły z rąk do rąk, żarłok wziął torbę i ruszył dalej, rzucając chrupiące kaski w powietrze i chwytając je w usta.

- Wracając do tej poważnej sprawy. Chcę, żebyś teraz ty mnie posłuchał, Ferraro - Przymrużył oczy. - Wysłuchaj mnie, dobra?

- Taa. Pewno - odrzekł Charley z rezygnacją.

- Wiesz, co my mamy w tym tu mieście? - zapytał retorycznie jego szef. - No, powiem ci. Mamy ciężki przypadek „mania”.

- Mania?

- Właśnie. Mamy wszystko, rozumiesz? Mamy epidemię koki. Mamy sto tysięcy uzależnionych od heroiny. Mamy milion ludzi na zasiłkach. Mamy wymachujących bronią ośmiolatków, którzy zabijają się w szkołach. Mamy dziewięciolatków, którzy wyrzucają sześciolatków z okien na dwudziestym piętrze. Mamy całe hordy bezdomnych, a gdyby tego było jeszcze za mało, mamy bachory, które polewają ich benzyną i podpalają.

Charley czekał.

- A ty - zapytał go jadowicie Ditchek - ty wolałbyś się znaleźć na tych ohydnych ulicach? Czy to chcesz mi powiedzieć?

- Jeżeli będzie trzeba - to tak, będę wołał.

- Dureń - oświadczył bez złości jego przełożony. - W porządku. Pozwól mi wymienić powody, dla których chcąc się z tego wydostać, prosisz o zbyt wiele.

- Ależ szefie...

- Nie! - spiorunował go wzrokiem Ditchek. - Teraz ja mówię!

- Chryste, szefie, spodziewa się pan, że ja będę siedział i...

- A zamknijże się, do cholery, Ferraro. Pozwól mi się wypowiedzieć. - Zmiażdżył kawałek mięsa trzonowymi zębami. - Dobry jesteś w tym, co robisz. Nikt w całej policji nie potrafi odróżnić Picassa od śladów po kurych pazurach. To, mój przyjacielu, jest *powód Numero uno*. - Ditchek cisnął następny kęs w powietrze, chwycił go w usta i zaczął przeżuwać. - *Numero dos*. Potrafisz pracować po obu stronach sceny z dziełami sztuki. Umiesz na otwarciu wystawy dopasować się do ludzi, nie wydając wrzasków: „Popatrzcie na mnie, jestem gliniarz!” i możesz jako tajniak skutecznie udawać jednego z czarnych charakterów. Niewielu ludzi coś takiego potrafi.

- Szeffie... - błagał Charley.

Tamten rzucił i złapał następny kawałek mięsa.

- *Numero tres*. Ta historia NYPD-Interpol to program pilotażowy. Wiesz - skierował na swego podwładnego grubo palec wskazujący - że jest to ukochany projekt burmistrza i komendanta.

- Jakby mnie to coś obchodziło - wymamrotał Ferraro.

- Może i nie - warknął Ditchek - ale mnie od cholery obchodzi! Chcesz wiedzieć, czemu?

Zaczyna się, pomyślał Charley, wiedząc, co go czeka. Prędzej czy później każdy podwładny Ditchka musiał usłyszeć tę samą, niezmienną wypowiedź.

- Ponieważ w przyszłym roku idę na emeryturę, ot co. Ponieważ nie chcę trafić na czarną listę komendanta na cały ten czas. Ponieważ nie chcę żebyś ty, czy ktokolwiek inny, swoim kutasem spieprzył mi emeryturę! - Głośno wypuścił powietrze. - Zrozumiałeś?

- Tak, szefie - westchnął Charley.

- Ile ci brakuje? Sześć miesięcy do rocznego programu testowego?

- Coś koło tego. Kiwnął głową. - Tak.

- No to, do cholery, detektywie! Przestań mi tu kręcić nosem, weź się w garść i słuchaj! Sześć miesięcy to tyle co nic!

- Ale ten skurczysyn...

- Prrr, stój i to już. - Zastępca komendanta podniósł rękę jak gliniarz zatrzymujący ruch. - Osobiście i tylko do twojej wiadomości - powiedział cicho - nie mam ci za złe. Na twoim miejscu czułbym się tak samo. Rozumiesz?

- Dzięki, szefie.

Głos przełożonego zrobił się twardszy.

- Ale oficjalnie i do powszechnej wiadomości, daj mi spokój z tą łzawą opowieścią. Radzę ci oczyścić atmosferę i zakopać topór. Jak już ci

powiedziałem: mam to gdzieś. A dla ciebie będzie lepiej, jeżeli bardziej nie rozdmuchasz tej sprawy, niż już to zrobiłeś. A jeśli tylko spróbujesz, to zapłacisz mi za to!

* * *

Pokój ekipy zajmującej się kradzionymi dziełami sztuki umeblowany był standardowo: szare, metalowe biurka, szare, metalowe, obrotowe fotele, poobijane czarne szafki na dokumenty. Odsunięty pod ścianę komputer na stoliku wyglądałby tu nie na miejscu, gdyby nie to, że pokrył go swojski, lepki kurz, który zmienił jego pierwotny kolor na szary. Podobnie było z faksem. Raczej mało pogodny wystrój.

Ale też Hannes nie zajmował się niczym wesołym. Pisał list z rezygnacją.

Kiedy skończył, przeczytał, podpisał się i przesłał go faksem do Paryża:

03/24/1995 12:36 NYPD WYDZ. KRADZIEŻY DZIEŁ SZTUKI, STR. 01
KOPIA WIADOMOŚCI
DO: Christophe Boutillier, Interpol, Paryż
OD: Hannesa Hockerta

Szanowny Panie:

Z powodu zaistniałych okoliczności, w które wołałbym nie wnikać, z przykrością zawiadamiam, że mam obecnie poważne trudności w związku z udziałem w programie pilotażowym Interpol/NYPD. Wiem, że bardzo byliśmy nim z początku przejęci, ale ostatnio mój entuzjazm przycisnął.

Co więcej, obawiam się, że mój dalszy udział w tym projekcie spowoduje więcej złego niż dobrego. Tak więc z szacunkiem proszę, żeby mnie przeniesiono i natychmiast przysłano zastępstwo.

Z wyrazami uszanowania
Hannes Hockert

Kiedy faks już poszedł, Hannes wziął płaszcz i wyszedł z budynku. Pojechał metrem na Times Square, a potem ruszył energicznie Eight Avenue i z szorstką obojętnością urodzonego nowojorczyka mijał oferty, kuszące przechodnia, by zajrzeć do jakiegoś *peep-show*. Zdumiewające, pomyślał, jak szybko człowiek się adaptuje.

Kierował się do *karate dojo*, sali przy West Side, mieszczącej się na drugim piętrze nad opuszczonym sklepem. Żaden szyld jej nie reklamował; adresu tego miejsca nie było nawet w książce telefonicznej.

Kiedy już dotarł na górę, jak zawsze poczuł, że za tym progiem znajduje się inny świat.

Strych był jasny, przewiewny, wysoki i funkcjonalny, miasto utrzymywały na dystans ekrany *shoji* zakrywające okna. Drewniana, polakierowana podłoga lśniła jak lustro. Połowę jej powierzchni zakrywały maty. Na trzech z nich pary zawodników ćwiczyły pchnięcia, zwody i parowanie ciosów, a ich krzyki i sapnięcia mieszały się z odgłosami zderzających się ciał.

W przeciwieństwie do większości *dojos* w tym mieście, tutaj goście nie byli mile widziani i to właśnie od samego początku wzbudziło aprobatę Hannesa. Jego zdaniem wschodnie sztuki walki nie należały do sportów widowiskowych, nie powinno się ich także traktować lekko. Owe uroczyste rytuały wymagały zaangażowania na całe życie; Hannes doprowadzał je do perfekcji z niemal religijnym zapałem. Konieczna była przy nich koncentracja wszystkich zdolności ćwiczącego - świetna forma fizyczna, głębokie zaangażowanie emocjonalne, wielka inteligencja, ostra jak brzytwa czujność, wycucie czasu i szybkość.

Nagrodą była pewność, nieustraszona, nieugięta postawa i rozwaga. Plus potężna świadomość, że ciało gotowe jest dać z siebie wszystko, w każdej chwili, wszędzie.

A chociaż stałe ćwiczenie pomagało osiągnąć perfekcję, było czymś dużo więcej niż tylko utrzymywaniem stanu gotowości bojowej. Trening fizyczny i psychiczny oczyszczał umysł i leczył duszę.

I tak działo się z każdym, kto tu przychodził. Żaden z tych ludzi nie był początkujący. Żaden nie popisывał się niepotrzebnie. W ten czy inny sposób *budō* droga walki, była ich drogą życia.

- A, pan Hockert! - powitał Hannesa uprzejmym ukłonem drobny, siwowłosy Japończyk, ubrany w tradycyjny, luźny, biały, bawełniany strój z czarnym pasem.

- Dzień dobry, *sensei* - odpowiedział Hannes, kłaniając się jeszcze niżej, by okazać swój szacunek.

Yoshihura Fujikawa, założyciel *dojo*, nie wyglądał groźnie, ale miał najwyższej klasy czarny pas w karate i był również mistrzem w kick-boxingu, *Jun Fan*, w *dzudo* i *dzudzitsu*.

- Jeżeli życzy pan sobie, to jestem wolny i mogę pana osobiście trenować.

- Wielce byłbym zaszczycony, *sensei* - odpowiedział pokornie Hannes, kłaniając się ponownie. - Ale dzisiaj przyszedłem tutaj, żeby pozbyć się agresji.

Sensei popatrzył mu uważnie w oczy i skinął głową.

- *Hai*. A więc najlepiej będzie, jeżeli potrnuje pan sam.

Hannes przeszedł do szatni i przebrał się w taki sam biały strój, jaki nosił *sensei*. On również miał czarny pas. Kiedy wszedł z powrotem do *dojo*, wybrał sobie pustą matę.

Najpierw rozgrzewka.

Skrecał głowę na boki, rozciągał szyję i ręce w przód, w tył i na boki. Podnosił i opuszczał ramiona. Pilnował się, żeby o niczym nie zapomnieć - nogi, kręgosłup, kostki, kolana. Nie istniały nieważne ścięgna, nie zaniedbał żadnej części ciała.

W końcu, w dwadzieścia minut później, rzucił się na wyimaginowanego przeciwnika; dzisiaj był nim Charley Ferraro. Walił w niego wysokimi kopniakami - od przodu, od tyłu, z boków. Przeszedł do błyskawicznych uderzeń, rozbijał powietrze na proch rozmigotanymi dłońmi i pięściami, wspierał ciosy całą mocą bioder, zbierając siły przed ewentualnym zderzeniem z nieprzyjacielem.

Nie minęło wiele czasu, a był już w szczytowej formie; jedna stopa mocno zakotwiczona, tors w idealnej równowadze. Skupiwszy się na mięśniach, przekazywał im przerażającą moc, jego umysł i ciało zmieniły się w jedną wspaniałą maszynę. W końcu wprowadził się w niszczycielską furję płynnych kopnięć i ciosów, okręcał się na jednej nodze, wyrzucał wysoko drugą. W myśli widział Charleya, który, oszołomiony, zatacza się w urywanym tańcu śmierci, aż wreszcie pada martwy.

Wreszcie Hannes zamarł w bezruchu, kilkakrotnie głęboko zaczerpnął powietrza, a potem odwrócił się i udał do szatni.

- Panie Hockert! - zawołał cicho Fujikawa.

Hannes podszedł do niego.

- Tak, *sensei*?

Twarz Japończyka była bez wyrazu.

- Obserwowałem pana. Nigdy jeszcze nie widziałem pana w tak znakomitej formie.

- Dziękuję, *sensei*. - Ukłonił się mistrzowi.

- Proszę mi powiedzieć - zapytał Fujikawa - czy tyle zabójczych ciosów było naprawdę konieczne?

Hannes spuścił oczy.

- Pozwoliłem, by mnie poniosło.

- Tak było. Musiał pan walczyć z prawdziwym wrogiem.

- Tak, *sensei*.

- Jedno słowo ostrzeżenia, panie Hockert. Proszę nie zapominać, co napisał Sun Tzu. „Najwyższy poziom umiejętności pokazuje się, ujarzmiając przeciwnika bez walki. Tak więc wszystko przewyższa atak na strategię wroga.”

- Nie zapomnę o tym, *sensei* - obiecał cicho Hannes.

Kiedy wrócił z *dojo* do pracy, zignorował rywala, który siedział z nogami niedbale opartymi na biurku, odgryzając wielkie kęsy z błyszczącego czerwonego jabłka.

- Przyszedł do ciebie faks - odezwał się Charley.

Hannes podszedł do swego biurka i rozwinął zrolowany papier. Wiadomość pochodziła od jego bezpośredniego przełożonego. Była krótka i rzeczowa:

24 marca '95 18:55 INTERPOL PARIS STR 01
FACSIMILE WIADOMOŚCI

DO: Hannesa Hockerta, w Nowym Jorku

OD: Christophe'a Boutilliera

Otrzymano pański list z prośbą o natychmiastowe przesunięcie do innej pracy. Prośba rozpatrzona negatywnie.

C. Boutillier

Po twarzy Hannesa niczego nie można było poznać. Zaniósł faks do szafki na dokumenty i schował go porządnie do właściwej teczki. Charley przyglądał mu się uważnie.

- Śmieszne, nie? - powiedział. - Wygląda na to, że obydwoj próbowaliśmy zrobić to samo tego samego dnia. I żadnemu się nie udało.

Hockert się nie odezwał.

- Wygląda na to, że jesteśmy na siebie skazani.

Hannes wzruszył ramionami.

- Tak, jak ja to widzę - Charley odgryzł następny kęs jabłka i chrupiąc je, mówił dalej ze swadą - możemy zrobić jedną z dwóch rzeczy: wyjść na zewnątrz i załatwić to jak uczniaki albo zachować się po dżentelmeńsku. To jak będzie?

Hockert popatrzył na niego.

- Ponieważ najwyraźniej nie mamy wyboru i musimy razem pracować, możemy równie dobrze zachowywać się jak dorośli.

- Dokładnie to samo sobie pomyślałem.

Jego rywal lekko się uśmiechnął.

- I niech wygra ten, który będzie lepszy.

- Dobra.

Charley spuścił nogi z biurka, rzucił ogryzione jabłko na drugą stronę pokoju, usłyszał z zadowoleniem, jak łomotnęło, kiedy wylądowało w koszu i wstał.

- No to znikamy. Jakaś księżna z Park Avenue podniosła dziki raban. Podobno ktoś włamał się do niej i ukradł van Gogha. Równie dobrze możemy skrócić jej cierpienia.

52.

Szofer otworzył drzwi bentleya, Karl-Heinz wysiadł i odwrócił się, żeby pomóc wyjść Zandrze. Przytrzymując się jego ręki, wysunęła się z samochodu i obejrzała fasadę budynku.

- Nie wygląda to na klinikę - zauważyła cicho.
- Nie - zgodził się z nią mąż - nie wygląda.

Poczuła, że bierze ją pod ramię. Przed sobą mieli rezydencję z *belle epoque*, zbudowaną z szarego piaskowca, w świetnym stanie. Budowla, o szerokości ponad piętnastu metrów, miała sześć pięter i tkwiła pomiędzy dwiema kamienicami na East Seventies, tuż przy Fifth Avenue. Co zdumiewające, była otoczona wysokim, ozdobnym płotem z kutego żelaza, a przed nią ciągnęło się niewielkie, brukowane podwórko obsadzone strzyżonymi krzewami.

Nie dostrzegali tam żadnej mosiężnej tabliczki, głoszącej, że jest to klinika specjalizująca się w sztucznym zapładnianiu. Tylko numer domu, złożona dziewiątka, lśnił na zwoju z kutego żelaza.

Karl-Heinz otworzył niewielką furtkę wmontowaną w wielką bramę, Zandra weszła do środka i zaczęła na niego. Razem przeszli po bruku i skierowali się na imponujące frontowe schody. Rzeźbione drzwi frontowe były wypolerowane, po obu ich stronach znajdowały się masywne latarnie od powozów.

- Gotowa? - zapytał ją cicho.

Zandra skinęła głową i głęboko odetchnęła.

- Gotowa - odpowiedziała.

Księżę nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyła wysoka, młoda kobieta z blond włosami ściągniętymi do tyłu w koczek. Miała na sobie zgrabny, łososiowy, wełniany kostiumik i po mistrzowsku zrobiony makijaż.

- Czy mogę w czymś pomóc?

Karl-Heinz wyjął z kieszeni wizytówkę i podał jej.

- Witam - powiedziała z szacunkiem i otworzyła szeroko drzwi. - Czekaliśmy na jaśnie państwa. - Uśmiechnęła się uprzejmie i gestem zaprosiła ich do wewnątrz. - Proszę, aby zechcieli państwo pójść za mną.

Wnętrze również w niczym nie przypominało kliniki. Marmurowy hol był pusty, paradne schody prowadziły na wyższe piętro. Na jednej ze ścian wisiał olbrzymi brukselski gobelin, a w ścianę przeciwległą wprawiono wielki marmurowy fragment rzymskiego fryzu, przedstawiający jakąś damę imperium, która za rękę trzymała małe dziecko.

- Tędy proszę.

Postukując obcasami, kobieta poprowadziła ich do zamaskowanych drzwi, po otwarciu których ukazała się niewielka, mahoniowa winda. Zaczekała, aż wsiądą i również weszła do środka.

Podjechali o piętro wyżej, przeszli przestronnym, wykładanym boazerią korytarzem. Kobieta otworzyła jedno z wielu drzwi.

- Niech państwo będę uprzejmi tu poczekać, pan doktor zaraz przyjdzie.

- Dziękujemy.

Zandra i Karl-Heinz weszli do środka, a drzwi bezgłośnie zamknęły się za nimi.

Wyciszony, wysoki pokój mógłby spokojnie znajdować się w jednym ze słynnych pałaców w Paryżu. Ściany pokrywała *boiserie*, na parkiecie leżał wspaniały kobierzec, z sufitu zwisał olbrzymi kryształowy żyrandol, na marmurowym kominku trzaskał ogień. Meble były autentykami w stylu Ludwika XV, a w rogu pokoju ukosem stało wielkie, osadzone na złożonym brązie *bureau plat*.

Zandra zajęła miejsce na jednej z dwóch grubo wyściełanych *bergères* przed biurkiem.

Z rękami w kieszeniach spodni Karl-Heinz chodził wokół pokoju, przyglądając się obrazom na ścianach. Mary Cassât sportretowała matkę z dzieckiem, podobnie jak Renoir, Manet, Daumier i Gainsborough.

- *Mein Gott!* - Zagwizdał cichutko. - To wszystko są autentyki.

- Jego wysokość ma wspaniałe oko - odezwał się jakiś głęboki, basowy głos i Karl-Heinz się odwrócił.

Doktor Lawrence Rosenbaum nie przypominał w niczym lekarza z popularnego serialu. Nie miał na sobie tradycyjnego, białego fartucha. Nie wyglądał jak przeciętny lekarz rodzinny. Ubrany był w uszyty na zamówienie garnitur firmy Huntsman and Sons, koszulę miał od

Turnbulla i Assera, krawat od Hermesa, spinki do mankietów od Cartiera, a na ręce zegarek firmy Piaget i można by go byio przez pomyłkę wziąć za bardzo wziętego prawnika, bankiera albo bogatego kolekcjonera dzieł sztuki.

Był wysoki; a jego szczupła, pociągła twarz przypominała oblicze świętego z obrazów El Greco. Przyprószone siwizną włosy nosił za-, czesane do tyłu z lekko łysiejącego czoła, miał czarne inteligentne oczy, spiczastą bródkę a la Vandyke. W wieku pięćdziesięciu kilku lat był wspaniale zadbany i roztaczał wokół siebie atmosferę nobliwą i europejską.

Kiedy już wymienili powitania, doktor przeszedł za swoje *bureau plat* i usiadł w fotelu, a Karl-Heinz zajął miejsce na *bergère* obok Zandry.

- Wydaje się pan zamożny - zauważył ksiązę, rozglądając się dookoła.

- Mam nadzieję, że nie oczekują państwo wyrazów skruchy - odparł swobodnie doktor.

- Oczywiście, że nie. Doskonałość zasługuje na nagrodę. Z tego, co mi mówiono, wnoszę, że jest pan najlepszy w swojej dziedzinie.

Doktor Rosenbaum pozwolił sobie teraz na skromny uśmieszek.

- Odniosłem pewne sukcesy, tak. Jak państwo wiedzą, dzieci są bezcenne. A co do tych malowideł... - pokazał gestem na ściany - to coś więcej niż tylko symbole macierzyństwa.

- Czy tak?

Doktor skinął głową.

- To są dary, wasza ksiązęca wysokość. Od wdzięcznych bezdzietnych par, którym udało mi się pomóc.

Karl-Heinz był pod wrażeniem.

- Dyskrecja nie pozwala mi wymieniać żadnych nazwisk, ale wieści się rozchodzą. Ktoś rozmawia z kimś innym, a ten znowu jeszcze z kimś. Ja się nie reklamuję, wasza wysokość. Wszyscy moi pacjenci pochodzą z prywatnego polecenia. To oni przychodzą do mnie.

- Podobnie jak zrobiliśmy to my - powiedział ksiązę.

- Tak. - Doktor patrzył mu prosto w oczy. - Zakładam, że znaleźli się państwo tutaj, ponieważ pragniecie mieć dziecko.

- To prawda - odezwała się cicho Zandra i pochyliła się do przodu. - Czy mogę mówić otwarcie, panie doktorze?

- Jak najbardziej. Proszę.

- Przypuszczam, że podczas swej pracy zetknął się pan już niemal ze wszystkim. Mam na myśli, że niekiedy musi pan słyszeć dziwaczne prośby. No cóż, właśnie taką mamy my. Mój mąż musi mieć dziedzica,

panie doktorze. Nie byle jakiego dziedzica, potomka płci męskiej.

- Hmm. Rozumiem. - Doktor Rosenbaum złożył palce dłoni. - Czy chodzi o jakąś zasadę pierworództwa? - domyślił się.

- Właśnie.

- A więc zobaczymy, co uda się zrobić - powiedział pocieszająco. Wsunął szufladę i wyjął dwie teczki i dwa złote pióra. - Najpierw będzie mi potrzebna szczegółowa informacja osobista i medyczna. - Podsunął każdemu z nich teczkę i pióro. - Formularze znajdują się w środku - wyjaśnił - i są całkowicie zrozumiałe. Proszę je wypełnić jak najbardziej szczegółowo i szczerze. Proszę również nigdzie nie podawać nazwisk, adresów ani numerów telefonu. Nie interesuje nas tu państwa tożsamość, tylko numery kodowe. Jak państwo może zauważyliście, zostały wydrukowane na teczkach, a także na każdym z formularzy w środku.

- Widzę, że nie przesadzał pan, doktorze. Rzeczywiście postępuje pan z maksymalną dyskrecją. - Karl-Heinz z aprobatą skinął głową.

- Niestety - westchnął doktor Rosenbaum - stało się to koniecznością. Pomimo stosowania najnowocześniejszych środków bezpieczeństwa, zdarzają się włamania do lekarzy. Mając takich klientów jak mam, nie mogę narażać na ryzyko ich prywatności.

- Ale musi mieć pan gdzieś jakiś główny spis - powiedział Karl-Heinz. - Inaczej jak zdołałby się pan orientować, kto jest kto tylko za pomocą numerów?

Doktor znowu się uśmiechnął.

- Wszystko mam tutaj. - Wskazał palcem na głowę. - Mam znakomitą pamięć, jeśli chodzi o liczby. Wypełnienie tych formularzy powinno państwu zająć w przybliżeniu pół godziny. Za pół godziny wrócę tu. - Odsunął krzesło i podniósł się. - Sylvie wpadnie, żeby dowiedzieć się, czy nie chcieliby państwo czegoś się napić. Gdyby czegokolwiek było państwu potrzeba albo gdyby państwo mieli jakieś pytania, wystarczy naciśnąć ten guzik, żeby ją wezwać. A teraz, jeżeli państwo pozwolą, czekają na mnie inni pacjenci.

Gdy tylko wyszedł, Zandra i Karl-Heinz zabrali się do roboty i właśnie kończyli, kiedy dokładnie w pół godziny później doktor Rosenbaum wrócił razem z Sylvie, ową blondynką, która otwierała im drzwi na dole.

- Sylvie, zaprowadź, proszę, Jego wysokość do biblioteki. Ja zajmę się najpierw księżną.

Karl-Heinz uściskał Zandrę, żeby jej dodać otuchy, podniósł się i wyszedł za asystentką z pokoju.

Doktor Rosenbaum zasiadł za *bureau plat*, otworzył teczkę Zandry, wyjął z etui parę okularów w złotych oprawkach i starannie założył je sobie za uszy.

- Zobaczmy, co tu mamy - powiedział półgłosem, przerzucając papiery i przeglądając informacje. - Widzę, że są państwo dopiero co po ślubie.

- Tak. - Zandra nerwowo okręcała na palcu swój pierścionek zaręczynowy z różowym diamentem.

Doktor podniósł oczy i spojrzał na nią znad okularów.

- Czy próbowała już pani zająć w ciąży?

- Kochaliśmy się z mężem, tak - odpowiedziała cicho.

- Rozumiem. - Wziął pióro i coś zanotował. - A czy była już pani kiedyś w ciąży? Z kimś innym?

- Nie. - Zandra potrząsnęła głową.

- Napisała pani, że nigdy nie usuwała pani ciąży.

- Tak.

Lekarz przechylił głowę na bok.

- Ale zażywała pani pigułkę.

- Tak. Około dwóch miesięcy temu przestałam, kiedy zaręczyliśmy się z mężem.

- Hmm. - Doktor Rosenbaum znowu spojrzał na nią znad okularów. - Napisała pani tutaj, że miesiączkuje pani bardzo regularnie. Co dwadzieścia osiem dni?

- Dokładnie. Tak regularnie, że można by kalendarz regulować według tego.

Doktor zmarszczył brwi, odłożył pióro i ułożył je równo wzdłuż teczki.

- Nie chciałbym wprawiać pani w nadmierny entuzjazm - powiedział - ale proszę poprawić mnie, gdybym się mylił. Zgodnie z tym co pani tu napisała, pani okres spóźnia się o dwanaście dni.

Zandra popatrzyła na niego, zmarszczyła brwi i zaczęła odliczać do tyłu. Nagle oczy jej się rozszerzyły.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła półgłosem. - Ma pan rację! Och, czy naprawdę myśli pan, że...

- Z doświadczenia wiem, że należy myśleć, ale nie zakładać niczego z góry. Jak pani prawdopodobnie wie, okres największej płodności u kobiety przypada na czternasty, piętnasty i szesnasty dzień po rozpoczęciu miesiączki - odpowiedział.

- Tak, tak. Wiem. - Zandra niecierpliwie kiwnęła głową.
- Oczywiście to tylko najbardziej prawdopodobne dni, przy tych obliczeniach nie uwzględnia się, że ciało kobiety jest pełne niespodzianek. Wiadomo, że ciążę zdarzały się w każdym okresie cyklu.

- Ale pan naprawdę myśli, że jest to możliwe...

- Jak powiedziałem, wasza wysokość - powtórzył życzliwie lekarz - nigdy niczego nie zakładam z góry. Proponuję natomiast, żeby zrobić pani badanie surowicy krwi. Kto wie? - uśmiechnął się. - Może moje usługi okażą się zupełnie niepotrzebne.

Nacisnęła brzęczyk na biurku. Po kilku chwilach weszła Sylvie.

- Tak, panie doktorze?

- Zaprowadź jej wysokość do laboratorium, dobrze? - Zanotował coś na karcie, potem zamknął teczkę Zandry i podał ją młodej kobiecie. - Niech Queen zrobi test surowiczy.

- Tak, panie doktorze.

Zandra podniosła się i popatrzyła pytająco na doktora Rosenbauma.

- Mamy tutaj na miejscu swoje własne laboratorium - wyjaśnił. - To nie potrwa długo. A potem badanie ginekologiczne może, ale nie musi być potrzebne. - Uśmiechnął się pocieszająco. - Proszę się teraz odprężyć. To jeszcze nie koniec świata.

Och, ale może być, pomyślała Zandra. Dla Heinzie'ego z całą pewnością może być.

Podświadomie dotknęła ręką brzucha.

Dziewczynka! O Boże, jeżeli noszę w sobie dziewczynkę, co my zrobimy?

Próbowała o tym nie myśleć.

* * *

Doktor Rosenbaum dał znak czarnoskórej pielęgniarce z włosami pozaplatanymi w skomplikowaną, ozdobioną koralikami fryzurę à la Kleopatra, żeby pomogła pacjentce zejść z fotela ginekologicznego.

- Panie doktorze? - spytała Zandra, przyciskając do siebie jasnoniebieską koszulkę, którą założyła do badania.

- Później - odpowiedział doktor Rosenbaum z roztargnieniem. - Queen pomoże się pani ubrać, a Sylvie zaprowadzi panią na górę.

Zdjął energicznym ruchem rękawiczki, wrzucił je do czerwonego pojemnika na śmieci - i już go nie było.

Zandra poczuła się zakłopotana.

- Czy powiedziałam coś złego? - zapytała Queen, która właśnie zdejmowała jej ubrania z drewnianego wieszaka.

- O Boże, kochanie, skądże znowu - odrzekła ciepło pielęgniarka. - Doktor się zastanawia, to wszystko. No, może pomogę ci się ubrać, żebyś się znowu mogła pokazać ludziom na oczy.

W piętnaście minut później zaprowadzono Zandrę na górę do przypominającego salon pokoju. Sylvie wycofała się i starannie zamknęła za sobą drzwi. Doktor Rosenbaum w okularach na samym czubeczku nosa siedział za *bureau plat* i pisał coś w teczce Zandry.

- Gdzie jest mój mąż? - zapytała.

- W tej chwili robimy mu badanie krwi. A tymczasem chciałbym pani zadać kilka osobistych pytań.

Badanie krwi! Osobiste pytania!

- Dlaczego? - zapytała z rosnącym przerażeniem. - Czy coś jest nie w porządku?

- Ależ nie, wasza wysokość. Proszę! - Zrobił gest ręką. - Proszę usiąść.

Przysiadła nerwowo na skraju *bergère*, wykręcając sobie dłonie z niepokojem.

Lekarz zdjął okulary, schował je do etui, a potem zamknął teczkę i złożył na niej ręce.

- Jest pani w ciąży - powiedział po prostu.

- W ciąży? - Głos Zandry był ochryply.

Doktor przytaknął poważnie.

Poczuła, jak ścierają się w niej sprzeczne uczucia, jakby radość i rozpacz walczyły ze sobą o pierwszeństwo.

- Czy jest pan pewien? - Głos jej drżał.

- O tak - Rosenbaum skinął głową. - Całkiem pewien. Wynik testu jest dodatni, a potwierdza go badanie ginekologiczne. W tak wczesnym stadium wiele nie dało się zobaczyć, jednakowoż drobne, charakterystyczne zmiany w obrębie szyjki macicy są jednoznaczne.

Zandra usiłowała zaczerpnąć tchu.

- Wszystkie znaki wskazują, że musiała pani zajść w ciążę podczas kilku pierwszych dni swego małżeństwa.

Przez chwilę milczała.

- Czy mogę panu zadać pytanie, panie doktorze?

- Po to tu jestem. Słucham - odrzekł z uśmiechem. Zawahała się lekko.

- Kiedy będzie można zrobić punkcję, żeby ustalić płeć dziecka?

- Niestety dopiero wtedy, kiedy ciąża potrwa już czternaście do siedemnastu tygodni.

- Tak długo!

Skinął głową.

- Wcześniejsze badanie mogłoby się skończyć poronieniem.

- Cholera!

- Istnieje jednak inna metoda określania płci dziecka. Polega na pobraniu próbki kosmka kosmówki, w skrócie nosi nazwę CVS. Można to badanie wykonać pomiędzy ósmym a jedenastym tygodniem ciąży. Innymi słowy, w przybliżeniu za sześć tygodni od tej chwili. Powiedzmy...

czternastego maja, żeby zostawić margines bezpieczeństwa. A wtedy, jeżeli się pani na to zdecyduje, będzie pani miała jeszcze wystarczającą ilość czasu, żeby pomyśleć o przerwaniu ciąży.

Zandra siedziała głęboko pogrążona w myślach.

- Mojemu mężowi potrzebny jest koniecznie męski potomek - powiedziała powoli - a przecież...

- A przecież w pani ciele rośnie już maleńka iskierka życia. - Pokiwał ze współczuciem głową. - Rozumiem, jak trudne jest to dla pani.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością.

- Dziękuję, panie doktorze, że mnie pan pierwszej powiedział.

Doktor skłonił lekko głowę, twarz miał bez wyrazu.

- Czy mógłby pan teraz poprosić mojego męża? To dziecko jest w równym stopniu jego, co moje. Jako jego ojciec ma pełne prawo wiedzieć.

Pierwsze dwa miesiące roku były wspaniałe. Burghley konsekwentnie wyprzedzał Sotheby's i Christie's, akcje GoldMart, Inc, szły stale w górę, Bambi wywiązywała się z erotycznych obowiązków i nie sprawiała problemów, a GoldGlobe International, konglomerat, który usiłował skonsolidować Robert, zdawał się leżeć w zasięgu ręki.

Czarny piątek przyszedł 31 marca. Przynajmniej dla Roberta A. Goldsmitha.

Był to dzień, kiedy gówno trafiło w wiatrak - i to pod wieloma względami.

Rano, podczas zebrania z instytucjonalnymi inwestorami i kierownikami spółek lokacyjnych, coś się popsło. Ci ludzie przedstawiali sobą sześć miliardów dolarów w wyemitowanych akcjach GoldMartu i Burghleya; zagrozili Robertowi masową ich wyprzedają, jeżeli będzie realizował fuzję GoldGlobe International.

A to znaczyło, że może się pożegnać z owym wymarzonym projektem.

W południe, dowiedziawszy się, że przepadła fuzja tamtych czterech kompanii, Standard i Poor przesunęli jedną z korporacji, a mianowicie sieć restauracji szybkiej obsługi „Home-on-the-Range”, z „kupować” na „sprzedawać” i akcje spadły o pełne cztery i pół punktu.

A to znaczyło, że pan Goldsmith mógł pożegnać się z czymś jeszcze - z ponad piętnastoma milionami dolarów.

A po południu... po południu pojawiły się problemy całkiem innej natury, a wszystko dlatego, że Robert zapomniał o swych własnych trzech głównych zasadach:

Po pierwsze: że zonglerkę można uprawiać tylko do czasu, bo w końcu wszystko się zawali.

Po drugie: że Manhattan, a szczególnie Upper East Side, to najmniejsze miasteczko na świecie.

I po trzecie: że nigdy, przenigdy, nic należy srać tam, gdzie się je.

W ten piątek, 31 marca, na zgubę Roberta złożyło się połączenie jego ze zrozumiałych względów fatalnego humoru, zdrowego wzrodu, chorego fryzjera, odwołanego lunchu, oraz wystawy Niesłuchanie Ważnej Biżuterii.

* * *

Jeszcze przed pierwszą pan Goldsmith miał dość. Uznał, że im dłużej będzie tkwił w swoim biurze, tym więcej prawdopodobnie otrzyma złych wiadomości. Trzeba się pogodzić z faktem, pomyślał, że to po prostu nie jest twój dzień. Powinien był nie wstawać z łóżka.

Łóżko.

Oto najlepsze rozwiązanie! Od samej myśli jego erekcja przybrała rozmiary zaiste królewskie. Czy można znaleźć lepszy sposób, żeby zapomnieć o wszystkich kłopotach, wszystkich troskach?

Rzeczywiście, chyba nie.

Chwycił słuchawkę i wystukał telefon Bambi do pracy. Mam taki gówniany dzień, że pewnie jej nie będzie...

- Bambi Parker - zaczął młodziutki głosik.
- Dobrze - zachrypiał Robert, cud się stał! - Zastałem cię.
- Robert. Oczywiście, że mnie zastałeś - powiedziała szeptem, udając urażoną. - Na czym stoimy? - spytała i zachichotała.
- Mnie stoi - zawarczał. - Tak mi stoi, że niedługo wywali mi dziurę w gaciach, więc może byśmy coś z tym zrobili?
- Ależ ty jesteś ordynarny. Rozumiem, że to obsceniczny telefon?
- Możesz się założyć o swoją słodką buźkę, że tak.
- To przynajmniej wyjaśnia, dlaczego zawracasz głowę ciężko pracującej dziewczynie.

Pracująca dziewczyna! Niemal ryknął śmiechem. Z kogo ona chce zrobić balona? Z tego, co do mnie doszło, jedyna rzecz, nad którą pracuje, jest miganie się od roboty.

- Chcę się z tobą zobaczyć - wysapał.
- I? - Droczyła się z nim Bambi.
- Chcę, żebyś na mnie weszła.
- I?
- I chcę, żebyś miała na sobie jeden z tych koronkowych, jak im tam, który ci kupiłem.

- Który?
- Może jeden z tych trzyczęściowych zestawów z gorsetem i podwiązkami?
- Sama nie wiem, Robercie - Bambi westchnęła niechętnie. - Te gorsety mają talię jak dla osy, trzeba się naprawdę mocno zesnurować, a to boli.
- Taak?
- Yhm. Robią mi się od tego wszędzie takie śmieszne odciski. - W jej głosie pojawiło się niezadowolenie. - To właśnie lubisz, prawda?
- Co?
- Żeby mnie bolało.
- Cholera, co ty? Zaczęłaś sobie dorabiać w jednym z tych pieprzonych telefonów zaufania?
- Ro-bert!
- Tak przynajmniej zaczynasz mówić.
- Za co ty mnie uważasz? - Pociągnęła nosem. - Za jakąś tanią dziwkę?
- No, ciebie chyba nikt by tanią nie nazwał! - zebrало mu się na żarty
- Co takiego?
- Nic. Chcę się z tobą zobaczyć.
- Co, teraz?
- Jak tylko tam dojadę, tak.
- Hmmm - odpowiedziała żartobliwie - pozwól mi najpierw sprawdzić terminarz...
- Lepiej żebyś była wolna! - warknął. - Już jadę. Masz na mnie czekać.

Zjechał windą, a potem, siedząc w swej limuzynie, posuwał się metr po metrze przez korek na Wall Street. Kierował się do centrum. Prosto na miejsce katastrofy.

* * *

To trzeba by zapisać w księdze rekordów. Ubrana do wyjścia i nie ma gdzie pójść!

Wieki już upłynęły od chwili, kiedy Dina Goldsmith ostatni raz miała wolny czas. A teraz, kiedy to się zdarzyło, czuła się zagubiona i było jej jakoś niezręcznie. Nie wiem, co ze sobą zrobić! - uświadomiła sobie zaskoczona.

Najpierw zadzwonił jej fryzjer, żeby powiedzieć że jest chory i musi odwołać wizytę, i czy ma przysłać kogoś w zastępstwie i manikiurzystkę?

Dina zerknęła w lustro, obejrzała uważnie paznokcie i powiedziała, że nie, może zaczekać do poniedziałku.

Potem właśnie wychodziła, wyguerlainowana, ucarterowana, vychanelowana i ublahnikowana, kiedy zatrzymał ją Julio.

- Telefon do pani, *madame*.

- Później - powiedziała beztrąsko. - Nie ma mnie. Umówiona była z Suzy, siostrą Becky, na lunch w Le Cirque.

- Ale przy telefonie jest *vicomtesse de Saint-Mallet, madame*.

Suzy?

Dina zdecydowała, że lepiej będzie podejść do telefonu.

I dobrze, że to zrobiła. Umówiona z nią Suzy znajdowała się w klinice w Lennox Hill, jako że potknęła się i złamała sobie wielki palec u nogi.

Dinie zagroziły teraz dwie puste godziny. Stał przed nią problem: co robić. Była na tyle rozsądna, że nie zamierzała iść na lunch do Le Cirque sama.

Próbowała połączyć się z Zandrą - która polecała do Paryża.

Z Becky - ta umówiona była na lunch z kimś innym.

Szlag by to! Dina miała ochotę dać sama sobie kopniaka. Dlaczego nie posłuchała rady Becky? Niecałe dwa tygodnie temu diuszesa namawiała ją, żeby znalazła sobie kawalera.

- Rozumiesz, *chérie*. Kogoś *quel attractif*. Albo wyśmienicie dowcipnego, kto zawsze będzie gotów towarzyszyć damie.

Krótko mówiąc, kawalera do towarzystwa - przez to określenie wielki świat rozumiał homoseksualistę, gdyż ten nigdy nie będzie miał żadnych erotycznych wymagań ani nie będzie stanowił zagrożenia dla Roberta.

No cóż, za późno już teraz, żeby wyciągnąć takiego partnera z kapelusza. Będę musiała koniecznie znaleźć sobie kogoś takiego i to natychmiast, postanowiła Dina, niemniej chwilowo była nadal w kropce. Co ma zrobić, zanim go znajdzie?

Rozważała, jakie są możliwości.

Może powinna sprawdzić, jak posuwają się prace w jej mieszkaniu?

Nie. Cała się ubrudzi gipsowym pyłem i po kolana będzie brodzić w śmieciach.

A może po prostu ułożyć się wygodnie i zrelaksować?

Nie. Musi wyjść z domu.

I nagle wpadł jej w oko katalog Burghleya reklamujący wystawę Nieślychanie Ważnej Biżuterii; przypomniała sobie, że aukcja ma się odbyć

dziś! I że właśnie dziś wystawa czynna jest ostatni dzień! Miała zamiar pójść tam i zobaczyć, co sprzedają, ale jakoś wcześniej nie znalazła na to czasu.

No cóż, ma mnóstwo czasu w tej chwili, a Burghley, co bardzo wygodne, odległy jest tylko o jedną przecnicę.

Wszystko idealnie się składa.

* * *

Kenzie była zakłopotana. Nie potrafiła rozgryźć Annalisy Barabino. Minęło już kilka tygodni, a najnowsza pracownica Działu Dawnych Mistrzów nadal pozostawała zagadką.

Nie było na co się skarżyć, wręcz przeciwnie, Kenzie nigdy jeszcze nie widziała kogoś, kto pracowałby tak ciężko i tak dużo umiał. Rano Annalisa przychodziła niezawodnie do pracy jako pierwsza i jako ostatnia wychodziła wieczorem.

Jej zaangażowanie była naprawdę zdumiewające.

A jednak...

Kenzie przekonała się, że martwi ją brak własnej osobowości u tej dziewczyny. To wyglądało tak, jakby praca była jedyną sprawą, która trzymała jej nową koleżankę przy życiu. Brakowało jakiegoś żywotnego jądra, płonącej iskry życia.

A kiedy trzeba było kontaktować się z ludźmi w jakichkolwiek sprawach poza zawodowymi, tamta nieodwołalnie zamykała się w sobie.

- Dzień dobry, Annaliso. Czy miło spędziłaś weekend?

- Tak, dziękuję ci, Kenzie.

- A co robiłaś?

- Och, właściwie to nic. A teraz przepraszam cię bardzo, ale lepiej wróć do...

Albo:

- Cześć ci, o Annaliso! Może przyłączysz się do nas na śliczny, smaczkowity lunch?

- Przykro mi, Arnoldzie, nie mogę. Muszę to skończyć. Mam nadzieję, że dobrze będziecie się bawili.

- Milej by nam było, gdybyś się do nas przyłączyła.

- Ja? Och, nie. Tego byście na pewno nie chcieli. Tylko bym was znudziła.

A przecież kiedy Annalisa studiowała jakiś obraz czy szkic, cała jej twarz rozpromieniała się z radości; dziewczyna rzucała się w wir dyskusji na temat treści obrazu i malarza, poruszała najbardziej skomplikowane i

mało znane fakty, rozpalala się w swej namiętności do sztuki, a kiedy skończyła, milkła i znikala w swojej skorupie.

Kenzie nie potrafiła tego zrozumieć. Jest jak kruchy, zraniony ptak, myślała. Ktoś musiał jej zrobić straszną krzywdę. Ciekawe, czy kiedykolwiek dojdzie do siebie.

I tak zaczęła się jej obsesja na punkcie Annalisy, która była bardziej nieśmiała, i bardziej powściągliwa i poważna, niż jakakolwiek inna znana jej dotychczas kobieta; Annalisy, która rumieniła się, kiedy ktoś się do niej odezwał, która chodziła z pochyloną głową i ze spuszczoneym wzrokiem.

- Czy słyszałeś chociaż raz, żeby się śmiała? - zapytała Kenzie Arnolda.

- Nie. I nigdy też nie widziałem jej uśmiechu.

- Może to dlatego - powiedziała z namysłem Kenzie - że nie ma powodu, żeby się uśmiechać.

- Może.

Postanowiła, iż wyciągnie Annalisę ze skorupy. Oznajmiła Arnoldowi, że bierze ją pod swoje skrzydła.

- Powiedziałbym, że roboty ci nie zabraknie - westchnął. - Bóg mi świadkiem, że ja próbowałem. A jeżeli mnie nie udało się wyjść za pierwszy etap...

- Może to dlatego, że jesteś mężczyzną - zastanawiała się Kenzie. - Może nie ma zaufania do mężczyzn. Kto wie? Może któryś zrobił jej krzywdę.

- A może to po prostu dziwaczka.

Kenzie potrząsnęła głową.

- Chyba nie. Ona cierpiała, Arnoldzie. Gdzieś kiedyś ktoś ją skrzywdził.

- Święta Kenzie, patronka brzydkich kaczątek - zauważył Chińczyk życzliwie.

Kenzie postanowiła, że zaprosi Annalisę na lunch, ale łatwiej było zdecydować, niż wykonać. Kiedy już tamta odmówiła jej cztery dni pod rząd, oświadczyła w końcu:

- Dzisiaj nie przyjmuję do wiadomości, że nie możesz. Będziemy mówić o interesach, więc musisz pójść. To polecenie służbowe.

- Tak, Kenzie - zgodziła się potulnie Annalisa. - W porządku.

- Dobrze. Czy lubisz chińszczyznę?

Annalisa zmarszczyła czoło.

- Podoba mi się porcelana - powiedziała powoli - ale obrazy są zbyt wystylizowane jak na mój gust.

- Jedzenie, Annaliso, chodzi mi o chińskie jedzenie.
- Och! - Dziewczyna zaczęła się niespokojnie wiercić. - Ja... naprawdę nie wiem... - wymamrotała.

Kenzie zabrała ją do First Wok, gdzie usiadły przy dwuosobowym stole i zajęły się przeglądaniem menu. Annalisa niemal natychmiast odłożyła swoje.

- Już zdecydowałaś? - zapytała Kenzie zaskoczona.

Jej towarzyszka potrząsnęła głową.

- Nie jestem przyzwyczajona do jedzenia w restauracjach. Nie mam pojęcia, co zamówić.

- No to ja zamówię za ciebie - zaproponowała Kenzie.

Dla siebie wybrała kluseczki z jarzynami, a potem talerz jarzyn w sosie chili, a dla Annalisy pierożki na parze i krewetki na chrupko.

- I do tego brązowy ryż - powiedziała kelnerowi.

Czekały, popijając herbatę z niewielkich czarek bez uszek. Kenzie rzuciło się w oczy, że Annalisa ma paznokcie obgryzione do żywego mięsa. Najwyraźniej przestała używać sztucznych.

Kiedy przyjrzała jej się bliżej, zauważyła coś jeszcze. Koleżanka nie prezentowała się już tak elegancko; bluzkę miała pomiętą, a żakiet obsypany na ramionach łupieżem.

Jeszcze trochę, a znowu będzie wyglądała jak czupirałdo. Jak poruszyć sprawę jej wyglądu, żeby jej nie zrobić przykrości? No, na pewno teraz nie czas na to.

Próbując rozkręcić rozmowę, uśmiechnęła się promiennie i powiedziała:

- Tak niewiele o tobie wiem. Miałam nadzieję, że przy tej okazji lepiej się poznamy.

Annalisa kiwnęła głową.

- Uczyłam się u profesora Fiornetino w Ambrosiana...

- ... i pracowałaś w Uffizi - odpowiedziała Kenzie, przypominając sobie jej życiorys. - Tak, tak, to wszystko wiem. Ale na myśli miałam coś... bardziej osobistego.

- Osobistego? - Tamta patrzyła na nią bez zrozumienia.

- Tak, no, wiesz, skąd pochodzisz, czym się interesujesz, czy masz braci i siostry...

Twarz Annalisy pobladła, a ciało sprężyło się, jakby czekała, aż ją ktoś uderzy. Potem usta jej się rozchyliły, a oczy napełniły się łzami. Szybko odwróciła wzrok.

Kenzie przerażona była taką reakcją.

- Przepraszam cię, Annaliso - powiedziała ze skruczą, natychmiast

się wycofując. - Nie musisz o tym mówić, jeżeli nie chcesz. W zasadzie o niczym nie musimy rozmawiać.

Dziewczyna kiwnęła głową i otarła sobie oczy dłońmi. Robiła wrażenie maleńkiej, kruchej i opuszczonej; siedziała wpatrując się w filiżankę po herbacie, jakby z fusów usiłowała wyczytać przyszłość.

- Wszystko w porządku, Kenzie. Są... są takie sprawy, o których ja po prostu nie potrafię...

- Rozumiem. - Kenzie zobaczyła, że zbliża się kelner. - Przygotuj się, nadciąga nasze żarcie!

Annalisa wpatrywała się ze zdumieniem w obfitość talerzy, miseczek i pojemniczków, które ni stąd ni zowąd zaczęły pojawiać się na stole.

- Tak dużo! - wykrzyknęła. - Nigdy tego wszystkiego nie zjem!

Kenzie rozdarła opakowanie z pałeczkami i wykonała nimi zapraszający gest.

- No? Na co czekasz? Zabieraj się do jedzenia.

Annalisa wzięła widelec i zaatakowała stojące przed nią dania. Jadła w milczeniu, chyba nawet nie gryząc, jakby od tygodni nie miała w ustach porządnego posiłku. Kenzie wciąż jeszcze nie skończyła przystawek, kiedy Annalisa odłożyła widelec i oparła się o krzesło.

Jej talerze i miseczki były puste; nie zostało ani jedno ziarenko ryżu.

- Czy zamówić ci jeszcze jedno danie? - zażartowała Kenzie, wciąż usiłując stworzyć swobodną atmosferę.

- Och, nie! - odrzekła poważnie Annalisa. - Ale dziękuję, że zapytałaś.

Kenzie z trudem mogła uwierzyć, że taką dostała odpowiedź. Mój Boże, pomyślała, do jakiego stopnia można być wypraną z poczucia humoru?

Annalisa zaczęła się delikatnie wiercić.

- Ja... naprawdę ja już powinnam wracać do roboty, Kenzie - wyjąkała nieśmiało.

Ta wytrzeszczyła na nią oczy.

- Ale to jest nasza godzinna przerwa na lunch!

- Tak, ale jest tak wiele do zrobienia.

Kenzie uznała, że nie warto się sprzeczać.

- To biegnij - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

Annalisa otworzyła swoją czarną, skórzaną torbę, którą wybrał dla niej Arnold.

- Ile... ile ci jestem winna?

- Nic. Wpiszę to na rachunek firmy. Płaci Burghley. - Kenzie beztroško pomachała ręką w powietrzu.

- Naprawdę?
- Tak. - Uznała, że najłatwiej będzie skłamać.
- No to dziękuję ci, że mnie zaprosiłaś. - Annalisa pospiesznie odsunęła krzesło i wstała. - Życzę ci smacznego.

A potem kuląc się, jakby się chciała przed czymś bronić i odwracając oczy, żeby nie napotkać czyjegoś spojrzenia, pędem uciekła.

Kenzie siedziała, patrząc w ślad za nią w zamyśleniu. Arnold ma rację, stwierdziła z westchnieniem. Patronce brzydkich kaczątek niewątpliwie roboty nie zabraknie.

* * *

Robert zaczął ostatnio coraz bardziej ryzykować; daleko mu było do czasów, kiedy na samym początku okazywał nadmierną ostrożność.

Początkowo, gdy przychodził z wizytą do Bambi, kazał wprowadzać swoją długą limuzynę wprost w paszczę podziemnego parkingu Burghleya. Wysiadał, przechodził obok stanowiska ochroniarza, podawał swe nazwisko i jechał windą prosto na dwudzieste siódme piętro.

Bez żadnych zgrzytów.

Po jakimś czasie nie wpadał już w taką panikę, kazał podjeżdżać przed okryte markizą frontowe wejście do Auction Towers i pozwalał się odźwiernemu obsłużyć, rozglądając się przy tym bacznie dookoła, na wypadek gdyby gdzieś na chodniku znalazła się jego żona.

I wciąż nie było żadnych zgrzytów.

W końcu Robert w ogóle przestał rozglądać się po chodnikach. Czy takie wybiegi były naprawdę potrzebne? Jak słusznie zwróciła mu uwagę Bambi, miał pełne prawo bywać w tym budynku.

I do cholery jasnej, tak było! Wszak to diabelnie wspaniałe kawałek nieruchomości, a on miał w nim lwi udział. To jego teren. To on był tutaj wielką figurą. I pomyśleć, że przekradał się do tego budynku jak jakiś eunuch-pantoflarz - można pęknąć ze śmiechu!

Teraz, kiedy jego limuzyna zatrzymała się przed Auction Towers, nawet nie zadał sobie trudu, żeby popatrzeć na prawo czy lewo, tylko skierował wzrok wprost przed siebie, którego to przeoczenia miał wkrótce serdecznie żałować.

* * *

Dina, czekając na rogu Madison i Siedemdziesiątej Czwartej, aż zmieni się światło, spojrzała raz jeszcze. Nie musiała nawet sprawdzać

tablic rejestracyjnych, byстрыm wzrokiem rozpoznała z miejsca czarnego cadillaca z barwionymi szybami; jej antenki uniosły się w pełnym pogotowiu.

I rzeczywiście. Oto Robert, jej Robert, wypada z samochodu i pędzi do drzwi Auction Towers, jakby się paliło!

Pod wpływem impulsu zmieniła plany i postanowiła zrobić mężowi niespodziankę. Może nawet uda jej się tak go omotać, że zabierze ją na lunch; zapomniała zadzwonić do Le Cirque, by odwołać rezerwację i Sirio będzie trzymać dla niej stolik.

Poza tym zostanie jej potem mnóstwo czasu, żeby popatrzeć na biżuterię.

Lunch z własnym mężem, czemu by nie? Od wieków już się nie umawiali razem. Może to się okazać miłą rozrywką.

Dina skręciła i ruszyła prościuteńko do Towers.

- Szlag! - Robert piorunował spojrzeniem światelka przy windzie.

* * *

Czuł się napięty, pełen sił, gotów do startu.

Niestety, windy okazały się całkiem nieuprzejme. Trzy z sześciu kabin w Auction Towers były w konserwacji; jedna właśnie jechała w górę, dwie w dół.

- Pospiesz się, pospiesz! - mamrotał wsuwając dłoń do spodni, żeby się pomacać.

No, z tym przynajmniej nie ma żadnych problemów, na szczęście! Niewątpliwie jego wszystkie systemy były w stanie pełnej gotowości. Gdyby tylko ta cholerna winda wreszcie przyjechała! Chryste, jak on nie lubił czekać....

Bing! Bezgłośnie otwarły się właśnie eleganckie, brązowe drzwi.

- Najwyższy czas! - sapnął wzburzony pan Goldsmith, wpadł do środka i uderzył w kwadracik z dwudziestką siódemką.

* * *

Szofer Roberta za bardzo był pochłonięty działem osobistym w *Screw*, które to pismo trzymał pod przednim siedzeniem, żeby zauważyć, iż zbliża się Dina. Podobnie zresztą jak Robert, który jak z procy poleciał do windy.

Tylko ubrany w liberię odzwierny, który nie miał pojęcia, kim jest ta elegancka dama, zwrócił na nią uwagę i otworzył wierzeje z brązu i szkła

o heroicznych wymiarach.

- Czy mogę w czymś pani pomóc? - zapytał uprzejmie, kiedy już weszła do środka.

- Tak. Właśnie wszedł tutaj pan Goldsmith. Gdzie mogę go znaleźć? Twarz odźwiernego zmieniła się nagle w maskę bez wyrazu.

- Przepraszam panią?

- Pan Goldsmith - powiedziała niecierpliwie Dina. - Widziałam, jak przed chwilą tu wchodził, a jego limuzyna stoi zaparkowana przed wejściem. Muszę się z nim zobaczyć!

- Przykro mi, proszę pani, nie potrafię powiedzieć.

- Och, myślę, że potrafi pan. I to z całą pewnością!

Odźwierny otworzył drzwi, żeby ją wypuścić.

- Proszę, *madame*?

Ale dama nie ruszyła się z miejsca.

- Czy wie pan, kim jestem? - zapytała władczy tonem.

Odźwierny popatrzył na nią pustym wzrokiem. Widział świetnie wyglądającą kobietę, która zbliża się do trzydziestki i stawia temu opór na każdym kroku. Nie widział natomiast kobiety, którą powinien znać, jak Becky V albo Ivana Trump czy Madonna.

- Nie, proszę pani, nie wiem - odpowiedział. - Gdyby była pani tak uprzejma, żeby opuścić...

- Nie będę! - Z oburzeniem otworzyła torebkę z krokodylej skóry i wyciągnęła portfel. Wymachiwała swoim prawem jazdy jak bronią. - Jak pan widzi - oznajmiła - nazywam się Dina Goldsmith. - Przerwała. - Pani... Robertowa... A.... Goldsmith - podkreśliła.

Odźwierny potwornie się zawstydził.

- Tttak mi przykro, pani Goldsmith, ale nie poznałem...

- Nic się nie stało, przyjmuję przeprosiny. A teraz, gdzie mogę znaleźć mojego męża?

Odźwierny wyczuwał wielkie kłopoty. Wiedział dokładnie, gdzie można znaleźć Roberta A. Goldsmitha - ktoś z pracowników Auction Towers by tego nie wiedział? W budynku aż huczało od domysłów, jakiej to rozrywki dostarcza głównemu udziałowcowi apartament 2714 - pani Parker - i zgodnie twierdzono, że nie jest to bynajmniej herbata z ciasteczkami. Krążyły na ten temat różne dowcipy.

Ale w tej chwili odźwiernemu nie było do śmiechu. Czego jak czego, ale tego z pewnością nie było mu trzeba - nie chciał trafić w sam środek kłótni małżeńskiej.

- No? - Dina niecierpliwie tupnęła nogą. - Czekam!

Mężczyzna zaczerpnął powietrza, przestępując z nogi na nogę, przełknął ślinę i uparcie unikał spojrzenia żony swego chlebobdawcy. Dinie, która potrafiła zinterpretować język jego ciała, nie trzeba było tłumacza.

Więc to tak, pomyślała ponuro, Robert najwyraźniej nie przyjechał tu w interesach. Przyjechał z kimś się zobaczyć... czyli z kimś się pieprzyć.

- Gdzie? - zapytała z napięciem przez zaciśnięte zęby.
- Mieszkanie numer 2714 - szepnął odźwierny żałośnie.
- Dziękuję.

Ruszała już w kierunku holu, kiedy wpadło jej coś do głowy, odwróciła się więc i przeszła mężczyznę ostrym jak lodowatoniebieski laser spojrzeniem.

- I jeszcze jedno - powiedziała. - Gorąco radzę panu nie dzwonić na górę i nikogo nie ostrzegać. Czy wyraziłam się jasno?

- Tak, proszę pani - westchnął portier mając przed sobą w perspektywie wizję bezrobocia.

Dina, postukując obcasami, przeszła przez marmurowy hol do wind. Brązowe drzwi rozsunęły się przed nią jak najuprzejmiej, kiedy się zbliżała.

Jedno naciśnięcie guzika i jechała na górę.

* * *

Robert oparł się na dzwonku.

Czego, u diabła, ta suka tak się grzebie? - zrzędził w duchu, pragnąc gorąco, żeby Bambi się pospieszyła.

Nie lubił, kiedy kazała mu czekać tu, na zewnątrz, w holu. Czuł, że się naraża i że nic go nie chroni - zwłaszcza, że mieszkanie sąsiadowało z windami.

Znowu oparł się na dzwonku.

- Idę, już idę! - usłyszał po drugiej stronie drzwi, a potem ich skrzydło uchyliło się na długość łańcucha.

- Czego się tak grzebałaś? - wychrypiał Robert.
- Byłam w łazience - wyduła wargi Bambi.
- No? Wpuścisz mnie czy nie?
- Och! - zachichotała. - Oczywiście. - Zamknęła drzwi, zdjęła łańcuch, otworzyła je szeroko i stanęła z jedną ręką na biodrze, a drugą na framudze. - Hej, skarbie! - Zatrzepotała rękami. - Chcesz się zabawić?

Czy chciał! Chryste! Na sam jej widok niemalże się spienił. Pożerał ją oczami.

Miała na sobie przejrzysty stanik ze strategicznie umieszczonymi rozcięciami, przez które kusząco wystawały jak spiczaste czereśnie jej sutki, ciasno zasnurowany gorset z osiǳ taliǳ oraz białe majteczki bez kroku, pozwalające oglǳać blond gęstwinę. Do tego białe pończochy, podwiǳki i czarne pantofle.

- No? - Bambi oblizala wargi z niespiesznym rozmyslem. - Podobam ci się?

- Taaa. - Autentycznie się zaczął ślinić. - Bardzo mi się podobasz.

Bambi zrezygnowala ze swojej pozy, zarzucila Robertowi ręce na szyję i przycisnela się mocno do niego w otwartych drzwiach.

- Powiedz mi, że jesteś szczęśliwy, że mnie widzisz. - Patrzyła na niego płonącymi oczami.

- Do cholery, jestem. A teraz wejdźmy do środka, zanim...

Bing! Drzwi najbliższej windy się rozsunęły, a oni gwałtownie odskoczyli od siebie.

Niestety, niewystarczająco szybko.

Z windy wyszła Dina, niczym uosobienie gniewu bożego.

- Cholera! - zaklął pod nosem Robert; jego erekcja gwałtownie się skończyła.

Za późno, żeby skoczyć do środka i zatrzaskać za sobą drzwi. Czysta beznadzieja. Nie ma sensu wyjaśniać, że owa sytuacja znaczy cokolwiek innego oprócz tego, co ewidentnie znaczyła.

Zobaczyć znaczy uwierzyć, a Dina zobaczyła całe mnóstwo.

- Co tu się do jasnej cholery dzieje? - zapytała.

Bambi gapila się na Roberta; Robert gapił się na Dinę.

Dina gapila się na nich oboje, a potem przeszyla męża piorunującym spojrzeniem.

- Naprawdę, skarbie - powiedziała, wolno podchodząc bliżej - bardzo się na tobie zawiodłam.

Pan Goldsmith wsunął ręce w kieszenie, przebierając ze skruczą nogami w miejscu, i wpatrywał się pilnie to w sufit, to w dywan. Następnie Dina skupila uwagę na Bambi.

- A co do ciebie, ty dziwko...

- Bardzo panią przepraszam, ale nie jestem dziwką - odparła panna Barbara Parker z rękami na biodrach.

Dina zmierzyla ją spojrzeniem od stóp do głów i uśmiechnęła się jak rekin.

- A więc po co się tak ubrałaś? Wybierasz się do pracy?

- Może gdyby pani potrafiła zadowolić swojego męża, nie musiałby mnie odwiedzać!

Więcej nie było trzeba.

Doprowadzona do szału Dina poczuła, jak przenika ją rozpalony do czerwoności gniew. Zaciśnęła pięść, zamachnęła się i trafiła Bambi prosto w brodę. Po tym prawym haku ból rozszedł się aż do jej ramienia.

Bambi raz określiła się wokół własnej osi z oszołomioną miną, a potem jej powieki zatrzepotały, kolana ugięły się pod nią i padła na podłogę.

Można ją było wyliczyć.

Dina trąciła rywalkę pięknie obutą stopą.

- Fatalna sprawa, że już ją znokautowałam, z radością zrobiłabym to jeszcze raz. - Wbiła spojrzenie w Roberta. - A co do ciebie, skarbie - powiedziała spokojnie, wskazując groźnie palcem w jego kierunku - czeka cię udzielenie mi szeregu ważnych wyjaśnień. - Z tymi słowy odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do wind. Po chwili zawołała: - Robercie?

Jej małżonek wpatrywał się w Bambi, która usiłowała unieść się na łokciu i potrząsała głową, jakby chciała zrzucić z niej pajęczynę.

- Możesz się przestać martwić o tę panienkę, skarbie - poradziła mu lodowatym głosem Dina. - Jeżeli wiesz, co dla ciebie dobre, to ona należy już do przeszłości.

Pan Goldsmith skulił się w środku. Nie był gotowy, żeby wypić piwo, którego nawarzył. Nie teraz. Potem też nie. Nigdy.

Ale trzeba będzie temu stawić czoło. Znając swą żonę wiedział, że Dina nie spocznie, dopóki sprawy nie wyjaśni.

Z westchnieniem rezygnacji skierował się do windy.

Dina walczyła z całych sił, żeby nie dać się ponieść furii. Czuła się oszukana, zraniona, rozgoryczona, upokorzona i aż kipiała ze złości. Jak Robert mógł jej coś takiego zrobić? I kim, u diabła, była ta dziwka?

Oczywiście Dina bardzo dobrze wiedziała, że Robert jest babiarzem - który zdrowy mężczyzna nim nie był? Ale pożądlive spojrzenia to jedno; a hodowanie takiej dupencji w ukrytym gniazdku miłosnym, to coś zupełnie innego.

Za skarby świata z czymś takim się nie pogodzi!

- Proszę stąd wyjść i zabrać Darlene - powiedziała do majordomusa nie pozostawiającym wątpliwości tonem, kiedy wróciła z Robertem do Carlyle'a. - Proszę zostać w swoich pokojach, dopóki po was nie zadzwonię. - Podniosła władczo brwi do góry. - Czy wyraziłam się jasno?

- Tak, madame.

- Nie życzę sobie, żeby nam przeszkadzano.

- Tak, madame.

W kilka sekund później Julio i Darlene zniknęli już za drzwiami, wykazując wiele zdrowego rozsądku.

Kiedy żona odprawiała służbę, Robert, przewidując, że ta rozmowa nie obejdzie się bez drinka, ruszył prościuteńko do barku i nalał sobie szczerą ręką do szklaneczki pięćdziesięcioletniej whisky.

Słyszając pobrzękiwanie kryształów, Dina sztywno wkroczyła do salonu, stanęła na środku i popatrzyła na męża lodowato spod przymrużonych rzęs.

- Nie zaszkodziłoby, jakbyś sobie od razu przyniósł całą karafkę - powiedziała złowróżbnym tonem. - Będiesz tego potrzebował.

Szlag by to! - pomyślał Robert ze złością. To do niej podobne, żeby mu bez końca wypominać zdradę. Czy sprawy nie ułożyły się już

wystarczająco fatalnie? Żałował, że kiedykolwiek wpadł na ów genialny pomysł odwiedzania Bambi w domu. A właściwie to żałował, że w ogóle zaczął z nią kręcić. Żałował...

Za późno, żeby czegokolwiek żałować, powiedział sobie pośepnie. Czas stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

Dina ruszyła po królewsku w kierunku fotela z prostym oparciem, usiadła i z wyszukanyim chłodem złożyła dłonie na kolanach. Czekala, uzbrojona w ciężkie bransolety od Cartiera, z wyprostowanymi plecami, z brodą uniesioną wysoko - istna bezlitosna królowa, przygotowująca się do wydania wyroku.

- Poinformuj mnie, jak będziesz gotów - odezwała się cicho.

Robert skulił się w sobie. Szybkim haustem wychylił pół szklaneczki i czekał, aż piekący strumień zaleje mu wnętrzości. Wypuścił palące powietrze. A potem odstawił szklaneczkę, przygarbił się nad barkiem, oparł na rękach i przymknął oczy.

Czas stanąć przed plutonem egzekucyjnym...

Westchnął ciężko, zebrał się w sobie, chwycił mocno kryształową szklaneczkę, podreptał niechętnie w stronę Diny i opadł na krzesło naprzeciw niej.

Patrzyła mu prosto w oczy.

- Nie będę udawała - oświadczyła z godnością - że się na tobie nie zawiodłam, Robercie.

Coś wspaniałego. Właśnie tego mu było trzeba. Kazania.

Zacisnął wargi, poprawił się niespokojnie na krześle i odwrócił wzrok. Najbardziej wytrącało go z równowagi to, że właściwie oczekiwał wybuchu wściekłości. Przygotowany był na wrzaski i zidentyfikowane obiekty latające.

Im cichszy rodzaj broni, pomyślał sobie, tym bardziej zabójczy. Muszę uważać na każde słowo.

- Czy masz coś do powiedzenia na swoją obronę? - zapytała.

Kusiło go, żeby się tłumaczyć: to nie jest tak jak ci się wydaje. Kusiło go, żeby poprosić: zapomnijmy o tym, jakby nic się nigdy nie stało. Kusiło go, żeby powiedzieć: jakbyś się bardziej starała, to może nie musiałbym robić skoków w bok.

Nie, pomyślał. To byłby wielki błąd.

Poza tym wiedział, że to nieprawda. Prawda była taka, iż lubił skoki w bok. Lubiał mieć francuza na zawołanie. Czy to jego wina, że rządził nim penis? Może to jakaś choroba! Nie można odpowiadać za swoje czyny, jak człowiek jest chory, no nie?

Lepiej już nic nie mówić, postanowił, niż kłamać.

- Czy mógłbyś przynajmniej powiedzieć mi, jak długo to już trwa? - zapytała Dina z niezachwianym lodowatym spokojem.

O, Chryste!

Wypił do dna to, co jeszcze zostało; nie miał zamiaru patrzeć jej w oczy. Jak powinien zareagować? Czyżby się spodziewała, że on flaki z siebie wywlecze? A może nawet padnie na kolana i będzie błagał o przebaczenie?

Akurat.

Robert A. Goldsmith może i miał pieskie szczęście, ale niech go cholera weźmie, jeżeli zacznie zachowywać się jak jakiś pieprzony tresowany pudel!

- Po twoim milczeniu sądząc, trwa to już od dłuższego czasu?

Szlag! Następne podchwytliwe pytanie. Lepiej na to też nie odpowiadać. Jakby się dowiedziała, dopiero by się wściekła!

Jak długo to już trwa? zastanawiał się pospiesznie. Siedem miesięcy? Osiem? Coś koło tego. Prawdę powiedziałwszy, nie liczył.

- Posłuchaj, Dino - szepnął przygnębiony - przykro mi, dobra?

- Tobie jest przykro? - Jego małżonka otworzyła szeroko swe stalowe oczy. - Utrzymałaś kochankę, a teraz mi mówisz, że jest ci przykro?

- Tak. - Robert kiwnął głową. Pocił się obficie; pogrzebał w kieszeni spodni w poszukiwaniu chustki i zaczął ocierać połyskujące od wilgoci czoło.

- No dobrze - powiedziała Dina. - A kto to jest?

- Taka jedna. - Wzruszył ramionami.

- Czy powinnam ją znać?

Znów wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się jakoś znajoma. Przysięgłabym, że już ją widziałam.

- Ona.... pracuje.

Dina lodowato się uśmiechnęła, minę miała na temat: „założę się, że pracuje”.

- U Burghleya - westchnął.

Zmarszczyła brwi, a potem nagle przypomniała sobie.

- Masz rację - odrzekła - widziałam ją tam. I... jeszcze gdzieś też, ale gdzie... gdzie...? - Lekko ściągnęła brwi i postukiwała palcem o wargi. - A! - wykrzyknęła. - Oczywiście. Na przyjęciu urodzinowym Heinzie'ego. To ta dziewczucha wprost lepiła się cała do ciebie.

Robert znowu westchnął; wcale nie zachwycała go owa zdolność Diny do przypominania sobie różnych spraw. Miała pamięć jak słoń, a on czasami o tym zapominał i - jeżeli jeszcze nie jest za późno - wypadałoby jednak na przyszłość pamiętać.

- Zaraz, zaraz - uśmiechnęła się cierpko. - To było w październiku, a teraz mamy marzec. Wielkie nieba! Musi to trwać od co najmniej sześciu miesięcy! Powiedziałabym, że wynika z tego, iż to ktoś więcej niż tylko „taka jedna”, Robercie.

Pan Goldsmith uznał, że roztropniej będzie się nie odzywać.

- Wydaje mi się - powiedziała półgłosem Dina - że i mnie przydałoby się coś mocniejszego.

Podniosła się, podeszła do baru, spokojnie naląła sobie trochę koniaku do kieliszka i wróciła na fotel. Wypiła małą łyżeczkę i odstawiła kieliszek na stół; światło odbiło się w rżniętym kryształ, który zaśnił błękitnym ogniem. Potem znowu złożyła ręce na kolanach.

- Mam dwa pytania, które ci muszę zadać, Robercie. Tylko dwa. Proszę, zastanów się dobrze i odpowiedz na nie uczciwie.

- Jakie? - zapytał ostrożnie ochryplym głosem.

- Czy kochasz ją? - W głosie Diny pobrzmiwało niespokojne drżenie.

Potrząsnął głową.

- Chciałabym, żebyś to powiedział głośno, Robercie. Sam, z własnej woli.

Popatrzył na nią, jakby przyciągało go napięcie w jej spojrzeniu.

- Nie! - sapnęła, a jego głos przypominał zduszone warknięcie. - Nie kocham jej!

Żona patrzyła mu prosto w oczy.

- A czy kochasz... mnie?

- Szlag by to trafił, Dino! Co to za głupie pytanie?

- W najmniejszym stopniu nie jest głupie - odpowiedziała cicho. - Jest to może jedno z najważniejszych pytań, jakie kiedykolwiek zadałam.

Robert podniósł wojowniczo brodę do góry i nie odwrócił wzroku.

- Ta, Dino - powiedział z sapnięciem. - Ta, kocham cię. Jak mi Bóg miły, tak jest. To, co zrobiłem... - Podniósł dłonie w błagalnym geście i pozwolił, by opadły. - No, to co zrobiłem, nie zmienia tego, co do ciebie czuję. Rozumiesz? - Rzucił na nią błagalne spojrzenie, które odbiło się od jej teflonowej zbroi. - Słuchaj, popełniłem błąd - błagał. - Przyznaję to, już dobrze?

Wydeła wargi i spuściła oczy, przyglądając się bacznie złożonym dłoniom.

- Nie będę udawał, że jej nie przeleciałem, bo tak było. Ale nie zaangażowałem się emocjonalnie.

- Wielka różnica - mruknęła sucho.

- No, ale zawsze. Prawda?

- Robercie, powiedz mi coś. - Dina westchnęła. - Czy nazwiska: Michael Kennedy, Raoul Felder i Marvin Mitchelson z czymś ci się kojarzą?

Czy mu się kojarzą! Boże Wszechmogący, na sam ich dźwięk rozdzwoniły się wszystkie alarmy, syreny zaczęły wyć, a światła błyskać. Który żonaty mężczyzna nie znał WROGA NUMER JEDEN MĘŻÓW? Robert poczuł dreszcz zgrozy, jak sztych nożem, aż do samego szpiku kości.

Niech to piorun trzaśnie! - pomyślał z niedowierzaniem. Ona mówi o adwokatach od spraw rozwodowych! I to absolutnie najlepszych w Nowym Jorku - lepszych specjalistów od obdzierania ze skóry kobieta załatwić sobie nie może.

- Oj, dajże spokój, Dino! - spróbował ją ułagodzić. - Chyba się ze mną przez takie coś nie rozwiedziesz?

Powoli uniosła brwi w górę.

- Nie jest to wykluczone. To wszystko zależy.

- Od czego?

- Robercie, Robercie - westchnęła z rozpaczą. - Czy nie przestaniesz udawać głupiego? Bardzo dobrze wiesz, że to zależy od ciebie.

- I od ciebie - zwrócił jej uwagę.

- I ode mnie - zgodziła się przytakując. - Owszem.

Rozważał, jakby ją tu ugłaskać, ale doszedł do wniosku, że znalazł się w sytuacji, w której żadna ilość słodkich słówek nie pomoże. Pod tą powierzchownością lodowej królowej jego żona była wściekła jak wszyscy diabli.

Nie można jej nawet mieć tego za złe, pomyślał z poczuciem winy.

- Czy jest możliwość, aby ci to w jakikolwiek sposób wynagrodzić? - zapytał.

- Nie, Robercie, obawiam się, że nie. Jest jednak kilka... spraw, które możesz załatwić, a to wpłynie na moją ostateczną decyzję. Rozpaczliwie włączył najwyższy bieg.

- Powiedz tylko. Klejnoty, jacht, obrazy... nowy odrzutowiec? Mnie jest wszystko jedno.

- Naprawdę, Robercie, czy uważasz mnie za aż tak wyrachowaną? Wzruszył ramionami.

- Powiedz mi tylko, czego chcesz.

- Po pierwsze chcę, żeby ta młoda dama... czy ona ma jakieś nazwisko?

- Bambi Parker.

- Bambi? Ależ to urocze. Rozkoszne. - Twarz Diny zrobiła się twarda.
- Spodziewam się, że Bambi wyleci z Burghleya i to natychmiast.
- Dopilnuję, żeby dostała wymówienie - obiecał pan Goldsmith. - Nie będzie jej już w poniedziałek rano. Co jeszcze?
- Chcę też, żeby ją natychmiast wyrzucili z Auction Towers.
- Okay.
- I spodziewam się, że nigdy, przenigdy więcej słowa od ciebie na jej temat nie usłyszę.

- A jeżeli to wszystko zrobisz? - zapytał z nadzieją. - Czy to znaczy, że nie będziesz myślała o rozwodzie?

- To niczego takiego nie znaczy. Niczego nie obiecuję.

Szlag by to! Pech go prześladowuje; czy musiało się to stać akurat w taki dzień, kiedy Dina nie próbuje nic od niego wyciągnąć?

- Nie jest to taka sprawa - ciągnęła dalej - żeby decyzję można było podejmować pochopnie. Muszę się najpierw przespać z tym problemem przez kilka dni. Jak tylko coś postanowię, dam ci znać.

Robert westchnął, ale kiwnął głową.

- W tym okresie wolałabym być sama. Byłoby uprzejmie z twojej strony, gdybyś zadzwonił na dół i zamówił dla siebie inny apartament.

Panu Goldsmithowi opadła szczeka.

- Wyrzucasz mnie? - wykrzyknął.

- W tych okolicznościach krótka separacja wydaje się wskazana.

- Żartujesz chyba!

- Wręcz przeciwnie, Robercie - powiedziała Dina zimno. - Mówię całkiem poważnie.

Szczeka opadła mu jeszcze bardziej. Cholerny świat! - zaklął w myślach, zastanawiając się co stało się z twierdzeniem, że dom człowieka to jego zamek. Jakby jeszcze tego mi było trzeba!

- No dobra, dobra - westchnął, aż zaświstało mu w płucach. - Chcesz żebym się wyniósł, to się wyniosę!

Z trudem podźwignął się na nogi i ciężko stąpając, podszedł do telefonu. Wystarczyła jedna rozmowa i już miał apartament. Zadzwonił jeszcze raz i wezwał służącego.

W piętnaście minut później najpotrzebniejsze rzeczy Roberta wywieziono na chromowanym wózku i za pechowym kochankiem drzwi się zamknęły.

Dina miała cały apartament dla siebie.

W poniedziałek rano, jak zwykle spóźniona Bambi miała właśnie wejść do Burghleya, ale tym razem odźwierny nie otworzył przed nią ciężkich drzwi. Przez moment stała, wpatrując się w niego wściekłym wzrokiem.

- Przykro mi, pani Parker - powiedział - ale nie wolno mi wpuścić pani do środka.

- Przepraszam pana bardzo? - Wyprostowała się zaskoczona i nie całkiem pewna, czy dobrze usłyszała.

Odźwierny odwrócił wzrok, zakaszłał dyskretnie w zwiniętą w pięść dłoń w białej rękawiczce i nerwowo odchrząknął.

- Widzi pani, takie otrzymałem polecenie. Nie wolno pani tu wejść.

- O? - Bambi zmierzyła go piorunującym spojrzeniem. - A dlaczegóż to, do wszystkich diabłów?

- Skąd mogę wiedzieć, proszę pani, ale polecono mi oddać to pani. - Wyciągnął zapieczętowaną kopertę.

Wyrwała mu ją z ręki, rozdarła i błyskawicznie przeczytała notatkę. Była ona krótka, gorzka i treściwa:

2 kwietnia 1995

DO: Barbary (Bambi) Parker

OD: Sheldona D. Faireya

Po ostatnio przeprowadzonej w Dziale Obrazów i Rysunków Dawnych Mistrzów kontroli okazało się, że w poważnym stopniu brak Pani zdolności kierowniczych, wiedzy specjalistycznej oraz punktualności w wykonywaniu obowiązków.

W następstwie tego z przykrością zmuszony jestem Panią zawiadomić, że zostaje Pani w trybie natychmiastowym zwolniona z zajmowanego stanowiska.

Naturalnie ma Pani prawo do zwyczajowego pakietu należnego pracownikom przy zerwaniu umowy i do zasiłku dla bezrobotnych. Proszę skontaktować się z panią Heidi Ross w kadrach w sprawie szczegółów.

Oczywiście powyższe w żaden sposób nie przekreśla możliwości, by w przyszłości została pani klientką Burghleya; jako taka zawsze będzie Pani mile widziana.

Sheldon D. Fairey

do wiad. Heidi Ross, kadry

W pierwszej chwili Bambi czuła tylko gniew. Jeżeli komuś wydaje się, że to dobry kawał, pomyślała ze złością, to ja mam na ten temat inne zdanie.

Kiedy jednak przeczytała pismo drugi raz i przyjrzała się podpisowi, zrozumiała, że to nie żarty. To było całkiem na serio.

Nagle poczuła, że wszystko skurczyło jej się w środku. Wywalili mnie, naprawdę mnie wywalili!

- Sheldon Fairey z przykrością mnie zawiadamia! - mówiła do siebie wzburzona. - Będzie mu przykro, nie ma dwóch zdań!

Wymachując piśmem i trzęsąc się z wściekłości, przepchnęła się obok odźwiernego i sama szarpnęła ciężkie drzwi, jednak drogę zagroziło jej dwóch pracowników ochrony.

- Przepraszam panią - powiedział jeden z nich. - Mamy polecenie, żeby pani nie wpuszczać.

Bambi wytrzeszczyła na nich oczy.

Mnie! Nie wpuszczać? To dzieło tej suki, jego żony!

- Muszę natychmiast porozmawiać z panem Faireyem - zażądała.

- Przykro nam, nie zastała go pani.

- No to gdzie się, do cholery, podziewa?

- Nie informował nas.

- Chcę zadzwonić.

- Przykro nam, ale musi pani skorzystać z telefonu na zewnątrz tego budynku.

Zupełnie jakby tkwiła w jakimś koszmarnym śnie.

- A co z moimi rzeczami osobistymi? - chciała się dowiedzieć.

- Zostaną przesłane do pani domu.

Bambi spojrzała ze złością na obydwóch ochroniarzy i sztywno odeszła.

Pospiesznie ruszyła w kierunku wejścia do Auction Towers, czując, że twarz pali ją z upokorzenia. Wyobrażała już sobie, jak dziewczyny w

Klubie rozkładają ją na czynniki pierwsze. Jak gadają, plotkują i rozdzierają ją na strzępy, nie przestając się malować.

„Słyszałyście o Bambs? Ciekawe, co się za tym kryje.”

Dzięki Bogu, że nie wpadła na żadną z nich! Wolałaby umrzeć!

* * *

Gdy tylko Bambi odeszła, ochroniarz zadzwonił do Sheldona D. Faireya.

- Odźwierny przekazał pani Parker pismo.
- Dziękuję. Czy były jakieś problemy?
- Nie, proszę pana.
- Dobrze. Gdyby wróciła, to wiecie, co robić.
- Tak, proszę pana.
- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.
- Miejmy nadzieję, że nie, proszę pana.
- Proszę pozostać ze mną w kontakcie.

* * *

Sheldon D. Fairey nacisnął guzik intercomu.

- Panno Botkin, proszę wezwać panią Turner. Proszę jej powiedzieć, że chcę się z nią natychmiast zobaczyć.

* * *

Dla Kenzie ten dzień zaczął się jak każdy inny poniedziałkowy poranek. Ze snu wyrwał ją budzik. Wzięła prysznic, zrobiła makijaż, ubrała się, a potem popędziła do pracy, wsunawszy na nogi wygodne buty Mephisto (żegnajcie, reeboki), po drodze zaś kupiła kubek kawy na wynos.

U Burghleya wymieniła z Arnoldem uwagi na temat swych weekendów, próbując wciągnąć do rozmowy Annalisę - beznadzieja! - i wkrótce pogrążyli się w pracy.

A potem zadzwoniła panna Botkin.

Kenzie szła teraz do pokoju Sheldona D. Faireya, a w żołądku łaskotało ją z niepokoju.

Coś musiało być nie w porządku, bo inaczej dlaczego by ją wzywano? Panna Botkin jak zwykle się nie uśmiechała.

- Proszę usiąść, panno Turner. - Pociągnęła nosem wskazując na krzesło. - Pan Fairey niedługo panią przyjmie.

Kenzie podziękowała i usiadła. W pięć minut później zabrzączał intercom i panna Botkin wprowadziła ją do wewnętrznego sanktuarium.

Sheldon D. Fairey stał przy oknie za swym masywnym, prawie pustym biurkiem i odwrócony plecami, wyglądał na zewnątrz.

- Wspaniały dzień, czyż nie, pani Turner? - powiedział swym dźwięcznym, afektowanym głosem.

Kenzie, podchodząc do biurka, również zerknęła w okno. Niebo było szare i zachmurzone, zanosiło się na kwietniowy deszcz.

- Będzie chyba padało, proszę pana - zauważyła.

Odwrócił się z nieobecny, nieco chłodny uśmiechem na ustach.

- Wspaniały dzień - wyjaśnił - niekoniecznie musi oznaczać słoneczną pogodę, czyż nie?

Kenzie zmarszczyła brwi, zastanawiając się, o co, u licha, może mu chodzić.

- Ma pan rację - odpowiedziała - zwłaszcza, jeżeli lubi się kwiaty w maju.

Gestem dłoni o długich palcach wskazał jej krzesło.

- Proszę, pani Turner, niech pani usiądzie.

- Dziękuję panu.

Odsunęła jeden z rzeźbionych, hebanowych, anglo-indyjskich foteli, a pan Fairey usiadł na swym fotelu obrotowym za inkrustowanym kością słoniową biurkiem z tui i hebanu. Splótł palce, odchylił fotel do tyłu i popatrzył na sufit, a na jego wargach wciąż igrał ten blady uśmiech.

- Proszę mi powiedzieć - zapytał - czy wierzy pani w cuda?

- Przypuszczam, że moja odpowiedź będzie zależała od definicji owego zjawiska.

Skinął głową, gwałtownie pochylił się do przodu i popatrzył na Kenzie bacznie.

- A jak zareagowałyby pani - zapytał z powagą - na stwierdzenie, że tu, u Burghleya, zdarzył się nam cud?

- Musiałabym zapytać, co się stało i sama to osądzić.

- Zawsze ostrożna, jak widzę. - Wydawał się łagodnie zadowolony; przekreślił przełącznik intercomu. - Panno Botkin?

- Tak, proszę pana? - Dobiegła go sucha, bezpłciowa odpowiedź.

- W sprawie tych pism. Można je już rozesłać.

- Tak, proszę pana.

Sheldon D. Fairey oparł się znowu, a jego łokcie spoczęły na poręczach fotela.

- Gdyby było w mojej mocy spełnić jedno pani życzenie, pani Turner, o co by pani poprosiła?

- Obawiam się, że kompletnie mnie pan zaskoczył. Naprawdę musiałabym się zastanowić.

- No, no, nie musi pani być taka taktowna! Czego chce każdy człowiek- Władzy. Stanowiska. Awansu... co oczywiście oznacza ogromną podwyżkę.

Kenzie się uśmiechnęła.

- Przypuszczam, że to sprowadza nas z powrotem w dziedzinę cudów, prawda?

- Cuda - powiedział cicho pan Fairey - niekiedy się zdarzają.

Kenzie milczała.

Patrzył na nią przez dłuższy czas z namysłem, a potem przesunął po blacie biurka w jej stronę jakiś papier.

- Podczas naszej rozmowy kopie rozprowadzane są po wszystkich działach - powiedział.

Kenzie wzięła do ręki list z oficjalnym nagłówkiem i imponująco tłoczoną, przypominającą intaglio pieczęcią, i przeczytała:

BURGHLEY

ROK ZAŁOŻENIA 1719

DO: wszystkich pracowników wewnętrznych

OD: Sheldona D. Faireya

Chociaż z przykrością przyjęliśmy nagłą rezygnację pani Barbary (Bambi) Parker z pracy w Dziale Dawnych Mistrzów, z radością informujemy o awansie pani MacKenzie Turner na stanowisko kierownika Działu Obrazów i Rysunków Dawnych Mistrzów.

Ta decyzja wchodzi w życie natychmiast.

W imieniu naszych pracowników chcę jako pierwszy pogratulować pani Turner i jestem przekonany, że wszyscy z przyjemnością będą ściśle z nią współpracowali.

Sheldon D. Fairey

Kenzie siedziała oszołomiona.

- Na litość boską! - westchnęła i zerknęła na pana Faireya. - Czy Bambi złożyła wymówienie?

- Można odzyskać wiarę w rodzaj ludzki, czyż nie? - odpowiedział i zachichotał, co mu się rzadko zdarzało.

- Tak, chyba tak, proszę pana.

- No cóż, jestem pewien, że będzie pani miała mnóstwo roboty z przeprowadzeniem się do pokoju po panu Spottsie i w ogóle ze wszystkim. - Podniósł się, dając jej tym do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca, i wyszedł zza biurka.

- Proszę przyjąć moje gratulacje - powiedział, ściskając dłoń Kenzie i odprowadzając ją do drzwi. - Jak pani widzi, cuda się czasami zdarzają.

- Tak. - Patrzyła mu w oczy. - Wygląda na to, że tak.

Nie umknęło jej uwadze, że zrobił zręczny unik, kiedy spytała o wymówienie Bambi.

* * *

Gdy tylko Bambi znalazła się w swym mieszkaniu, rzuciła się prosto do telefonu i wystukała prywatny numer Roberta.

Nagranie poinformowało ją, że numer, który wybrała, został zmieniony. Czekala, ale nie podano jej nowego. Pomyłka, pomyślała i wystukała numer jeszcze raz. To samo nagranie!

Niespokojnie marszcząc brwi, zadzwoniła do informacji.

- Przykro mi - odpowiedziała telefonistka - ale to numer zastrzeżony.

- Mam tu sytuację awaryj... - zaczęła Bambi, ale pracownica informacji odłożyła słuchawkę.

Zdenerwowana do szaleństwa Bambi zadzwoniła do centrali w biurze Roberta. Dotarła aż do jego sekretarki.

- Przykro mi, proszę pani, ale pan Goldsmith jest zajęty. Czy zechciałaby pani zostawić jakąś wiadomość?

Nie mogła w to uwierzyć. Rzucił mnie, myślała, i nawet nie powiedział do widzenia!

- Sukinsyn jeden! - Oczy paliły ją od łez. - Mógłby mieć chociaż tyle przyzwoitości, żeby mi to samemu powiedzieć!

I cisnęła telefonem na drugą stronę pokoju.

* * *

Dina zaczęła od czarno-białego kostiumu Chanel. Za bardzo oficjalny! Przebrała się w falbaniastą, różową sukienkę mini od Valentino. Zbyt frywolna.

Biała, jedwabna suknia z szantungu, z eleganckim żakiecikiem w kolorze pompejańskiej czerwieni od Saint Laurenta. Nie wybieram się na lunch.

Trapezoidalna, jedwabna, plisowana, wielokolorowa sukienka od Issey Miyake. Świetna na wyjazd za południową granicę.

Luźna, brązowa, welwetowa bluza, a do tego szerokie spodnie z baticu od Lacroix. Za swobodne.

Nic jej nie odpowiadało.

W końcu, zajrzawszy w poszukiwaniu natchnienia do Boldiniego, zdecydowała się na żółtą, jedwabną, przedpołudniową suknię. Była z przejrzystego muslinu, dwuwarstwowa, wykończona licznymi żółtymi, jedwabnymi kokardami i stanowiła elegancką fantazję na temat domowej sukni z okresu *fin de siècle*. Coś fantastycznego.

Umalowała się bardzo dyskretnie. Jeszcze lepiej.

Weszła dumnie do salonu i ułożyła się na szezlongu. Wyglądała na wspaniale, leniwie rozluźnioną, a „kropkę nad i” stanowił tomik wierszy, który spoczywał na jej kolanach.

Julio odchrząknął.

- Przyszedł pan Goldsmith, proszę pani.

- Dziękuję, Julio. Proszę go poprosić. - Podniosła książkę i udawała, że czyta.

Minęły dwa dni i trzy noce, od kiedy Dina zarządziła tymczasową separację i miała mnóstwo czasu, żeby zastanowić się nad plusami i minusami pozostania w małżeńskim stanie.

Po stronie plusów był majątek, władza, pozycja i nieograniczony kredyt. Po stronie minusów wszystko sprowadzało się właściwie do jednego - do życia z nieatrakcyjnym, nieokrzesanym dziwkarzem o osobliwych zachciankach erotycznych.

W zasadzie żadna rewelacja.

Lecz chociaż Dina wyszła za Roberta wyłącznie dla jego pieniędzy, musiała przyznać, że nawet go dosyć polubiła.

Poza tym faktem było, iż pracowała ciężko - cholernie ciężko - aby osiągnąć obecną pozycję towarzyską. Włożyła w to lata... niemal dziesięć lat trwało, zanim dotarła tu, gdzie się teraz znajdowała.

Czy warto to wszystko przekreślić? I to przez jakąś Bambi Parker?

Nie, postanowiła. Prędzej sobie żyły podetnę!

A poza tym nie zawarli z Robertem żadnej intercyzy, tak więc teraz siedziała na fotelu kierowcy, a mąż zdany był na jej łaskę.

I dobrze o tym wiedział.

- Zjeżdżaj, Dzwoneczku! Sam potrafię znaleźć drogę! - Doszło do Diny z holu, i do pokoju wpadł Robert, sapiąc jak na prawdziwego magnata biznesu przystało.

- Widzę, że nadal jesteś uroczy jak zwykle - zauważyła z cieniem uśmiechu.

- Cholernik jeden! - Pan Goldsmith spojrział złowrogo w kierunku drzwi. - Co on sobie myśli, że co on jest, żeby mnie kazać czekać w holu? W publicznym holu! A ja płacę za cały ten apartament!

- Ale to ja - przypomniała mu słodko Dina - tu mieszkam. Może byś się uspokoił i zrobił sobie coś do picia?

- Dlaczego? - zapytał poirytowany, chociaż już był przy barze. - Będę potrzebował czegoś mocniejszego, czy jak?

- To zależy - odpowiedziała wymijająco.

Nalał sobie drinka, wypił jednym haustem i zaczął spacerować po pokoju ze szklaneczką w dłoni.

- No? - Spojrzął na nią spode łba. - Chciałaś, żebym przyszedł, to jestem.

Jakby to nie było oczywiste.

- No to jak jest?

- Czy możesz, usiąść, Robercie? Naprawdę, skarbie, w głowie zaczyna mi się kręcić.

Miał taką minę, jakby go uraziła.

- Czy to tak witasz mnie w domu?

- W zasadzie to nie jest powrót do domu, złotko - wyjaśniła. - Wezwałam cię, żebyśmy mogli omówić pewne sprawy.

- No? Omawiamy je! - Opadł na kanapę naprzeciw niej. - Co mamy zdecydować?

- Zawsze taki rzeczowy - westchnęła Dina.

- To dlatego, że jestem zajęty.

- Skarbie, będziesz dużo bardziej zajęty i dużo biedniejszy, jeżeli zdecyduję się na rozwód.

To go uciszyło, wiedziała zresztą że tak będzie; przyglądała mu się przez chwilę uważnie. Pozornie był to ten sam Robert - zręczliwy i wymagający. Ale pod tą fasadą słonia w sklepie z porcelaną czuło się jeszcze coś. Ale co?

I nagle już wiedziała. Podskórny nurt znużenia i niepokoju, którego nie dostrzegła wcześniej.

- Dużo się zastanawiałam nad nami. Nie tylko w odniesieniu do tej sprawy, ale do całego naszego związku.

- Taa, taa. - Kiwnął niecierpliwie głową i zaczął obracać cygaro w ustach. - I?

- I, jak to mówią, lampart nie odmieni swoich cętek.

Robert popatrzył na nią wilkiem.

- Ale lamparty to nie ludzie.

- Bardzo dobrze wiesz, co mam na myśli.

- Dajże spokój, Dina. - Nagle przestał być opryskliwy i złagodniał. - Dobrze nam się układało, no nie?

- Tak mi się wydawało. Przynajmniej dopóki naszego związku nie zrujnował pewien romans z pewną młodą damą.

- Tak, ale ona należy już do przeszłości.

- Być może ona tak. A co z innymi młodymi damami, które spotkasz?

- O, Chryste! - wyrwało mu się. - Przestańże się czepiać! - Dźwignął się na nogi i zaczął tupać tam i z powrotem po pokoju, przez co robił na niej wrażenie kogoś, kto gwałtownie musi pójść do łazienki. - Słuchaj no, zrobiłem wszystko, czego chciałaś - warknął. - Wywaliłem ją z roboty. Powinno jej już nie być w Auction Towers. I próbuję jakoś wyjść na prostą. - Wydmuchnął olbrzymią, gęstą chmurę niebieskiego dymu. - Czego chcesz więcej?

- Przyjemnie by było, gdybyś mi dodał trochę otuchy.

- No dobra. Dobra. - Podrapał się po głowie i dalej miotał się po pokoju. - Słuchaj, nie jestem, dokładnie rzecz biorąc, dumny z tego, co zrobiłem - powiedział przygnębiony. - I nie próbuję się z tego wyłgać. Możesz mi wierzyć albo nie, ale czuję się diabelnie winny! - Znowu rzucił na nią błagalne spojrzenie. - Zadowolona? - zapytał.

- No, z pewnością jest to krok w dobrym kierunku.

- Krok! Słuchaj, ja usiłuję ci powiedzieć, że za tobą tęskniłem! - Przestał spacerować, wyjął cygaro z ust i machnął nim w jej kierunku. - Taa, za tobą! Tęskniłem za tobą! - Nagle głos mu złagodniał. - I przepraszam cię, Dino. Naprawdę. Ostatnią rzeczą, jaką bym chciał zrobić, to wyrządzić ci krzywdę, ponieważ... - Tu westchnął głęboko, przestąpił z nogi na nogę, i wbił wzrok w stopy z wyraźnym zażenowaniem. - ...ponieważ cię kocham - wyznał tak cicho, że z trudem go dosłyszała.

Dina popatrzyła na męża ze zdumieniem. „Kocham cię!” Naprawdę powiedział „kocham cię”? A teraz zaczerwienił się i popatrywał na nią nieśmiało jak uczeń!

Ale niespodzianka, pomyślała. Wielkie nieba!

Jeżeli nie zawiodła jej pamięć, a dotychczas jeszcze nigdy się tak nie stało, pierwszy raz zdarzyło mu się wypowiedzieć te dwa czarodziejskie

słówka. A chociaż wykrztuszone zostały niezręcznie i bez wprawy, nic na to nie mogła poradzić, że poczuła się wzruszona.

Cały jej gniew i zawziętość gdzieś się rozpląnęły i powoli uśmiechnęła się do Roberta.

- No, może to jest istotnie duży krok - przyznała.

- Taa? - ożywił się Robert - To znaczy, że dasz mi jeszcze jedną szansę?

- Dam nam jeszcze jedną szansę - uściśliła Dina.

- A niech to! - Twarz rozświetliła mu się jak choinka na Boże Narodzenie. - Nie będziesz żałowała - zapewnił ją.

- No, mam nadzieję, że nie.

- Czy to znaczy, że mogę się tu z powrotem wprowadzić?

- Jeżeli tylko będziesz pamiętał, że dostałeś wyrok w zawieszeniu. Ale nie zapominaj, skarbie, jeżeli złapię cię, że chociażby zerkasz w niewłaściwym kierunku... - Tu głos jej przycichł.

- Nie będę zerkał!

- Lepiej dla ciebie, żebyś tego nie robił - powiedziała ponuro.

Robert zerknął na zegarek.

- Diabli, spóźniłem się na zebranie.

- Jaki ty jesteś romantyczny! - Dina westchnęła.

Robert nadał się z dumą.

- Mojej kochanej nie może braknąć floty.

- No właśnie. - Dina radośnie się uśmiechnęła. - A jak już o tym mówimy, to pan Mongiardino potrzebuje dwóch milionów dolarów, żeby kontynuować pracę przy naszym mieszkaniu. Dopilnujesz, aby mu je przekazano bezzwłocznie, skarbie?

Jeszcze dwa miliony! - Robertowi niemalże wypadło cygaro z ust.

- Co ten facet robi z forszą? - zapytał. - Zjada ją?

Zresztą, do diabła, pomyślał. Co to jest parę milionów? Kieszonkowe i tyle.

Rozwód mógł go spokojnie kosztować ćwierć miliarda. W tym kontekście można powiedzieć, że tanio się wywinął i wiedział o tym.

* * *

Bambi usłyszała dzwonek do drzwi i serce jej skoczyło. Robert...!

Była przekonana, że przyszedł teraz powiedzieć jej, że to tylko pomyłka. Popędziła do drzwi i szeroko je otworzyła.

Co...?

To nie Robert stał przed nią, tylko administrator budynku.

- Czego pan chce? - warknęła.

- Przykro mi, pani Parker, ale mieliśmy skargi. Poza tym mieszkanie zostało podnajęte nielegalnie i będzie pani musiała je opuścić.

Nie mogła uwierzyć! Koszmar jeszcze się nie skończył! Czy to nigdy nie minie? zastanawiała się Bambi.

- O jakich to skargach pan mówi? - Pociągnęła nosem.

Administrator odchrząknął.

- Jak pani wie, tu w Towers szcycimy się jak najdalej posuniętą dyskrecją...

- Och, udław się pan tą swoją dyskrecją! - fuknęła i zatrzasnęła drzwi.

Potem ciężko się o nie oparła i zamknęła oczy.

O Boże, pomyślała. To nie może dziać się naprawdę! Gdzie ja się podzieje? Co ja zrobię? Poczula się zbita z tropu.

Ale tylko na chwilę. Bambi przede wszystkim umiała utrzymać się na powierzchni.

Następnego dnia rano wprowadziła się do Lexa Bugga.

56.

- Mam tu przed sobą pana sprawozdanie - powiedział Karl-Heinz do telefonu. - Poza tym, że trzeba wygładzić kilka szczegółów, nie przewiduję żadnych problemów.

Rzucił okiem w kierunku otwartych drzwi. W sąsiednim pokoju Zandra chodziła tam i z powrotem przed wysokimi oknami i co chwilę wyglądała na zalany deszczem plac Vendôme.

Była czymś bardzo poruszona, widział to. Ten stan trwał już od kilku tygodni - to również widział. Obojętne, czym się w danej chwili zajmowała jego żona, czy jadła, czy się ubierała, robiła zakupy lub też rozmawiała, wkrótce zaczynała chodzić tam i z powrotem, zaciskając i otwierając dłonie.

Nie mogła się opanować i wyraźnie czymś się gryzła.

Karl-Heinz nie wiedział, o co chodzi, za nic nie dawało się z niej tego wyciągnąć - i nie da się, dopóki sama nie uzna za stosowne mu powiedzieć. To również wiedział, ponieważ niezliczoną ilość razy usiłował dopytać się, co się dzieje.

- Proszę zapewnić pana Yazahari, że w zasadzie obydwaj zgadzamy się na te same warunki - powiedział do telefonu. - Szczegółowe kwestie możemy omówić później, podczas spotkania na Hawajach.

Rozmawiając nie spuszczał z oczu sąsiedniego pokoju. Zandra przestała chodzić tam i z powrotem i zatrzymała się, żeby wyjrzeć przez okno.

Kwiecień w Paryżu, pomyślał Karl-Heinz. Drzewa powinny kwitnąć, niebo powinno być błękitne i słoneczne, ażeby zakochani mogli spacerować wzdłuż Sekwany, po Lasku Bulońskim i w Ogrodzie Luksemburskim. Tymczasem, odkąd tu przyjechali, lało bez przerwy.

Czyżby to była zapowiedź?

W sąsiednim pokoju Zandra znowu zaczęła chodzić tam i z powrotem.

Jestem jej potrzebny, pomyślał Karl-Heinz. Jestem jej potrzebny właśnie teraz.

- Proszę przekazać ode mnie ukłony panu Yazahari i powiedzieć mu, że z niecierpliwością czekam na nasze spotkanie - pożegnał się uprzejmie i odłożył słuchawkę, a potem jednym ruchem odepchnął krzesło, wstał i przeszedł do sąsiedniego pokoju. - Zandro - powiedział miękko.

Zatrzymała się i zwróciła na niego wzrok.

Karl-Heinz podszedł bliżej i przytrzymał ją łagodnie za rękę.

- *Liebchen?* - Popatrzył jej w oczy. - Co się dzieje?

- To... - zaczęła, a potem wzruszyła ramionami. - Och, Heinzie, wszystko. I nic. To też. Czy myślisz że każda kobieta w ciąży przechodzi przez taki etap?

Jej mąż potrzęsła głową.

- Chodzi o coś więcej, *Liebchen*, i myślę, że oboje o tym wiemy.

Zandra odwróciła gwałtownie oczy, popatrzyła gdzieś za niego, a twarz jej się ściągnęła ze zmartwienia.

- Czy możemy o tym porozmawiać? - zapytał spokojnie.

Odetchnęła głęboko i przygryzła drżącą wargę.

Boże, co to był dla niego za ból, gdy widział ją w takim stanie! Jak odmienna była obecna Zandra od promiennej panny młodej w augsburskiej katedrze, czy beztrioskiej młodej żony, która upierała się, żeby się kochali o najprzeróżniejszych porach, albo od owej młodej kobiety, która z zapamiętaniem robiła zakupy i dla której sklepy z ubraniami były jak cukiernie, które tylko czekały, żeby je ogołocić ze słodyczy.

Gdzie się podziały tamte wszystkie Zandry? zastanawiał się Karl-Heinz.

Już najwyższy czas, żeby poważnie porozmawiali.

Objął ją ramieniem poprowadził na drugą stronę pokoju i usadził na kanapie. Sam podszedł do okrągłego stolika *bouillotte*, zastawionego szkłem i butelkami i wrócił z dwoma pełnymi kieliszkami.

- Proszę - powiedział podając jej jeden.

Zandra rzuciła okiem na przejrzysty płyn, a potem podniosła wzrok na męża.

- Co to jest?

- Odrobina wódki. Żeby uspokoić twoje nerwy.

- Nie. Nie podczas ciąży. - Potrzęsła głową.

Karl-Heinz postawił obydwie kieliszki na stoliku do kawy, a potem przysiadł na poręczy kanapy, gładząc żonę po włosach. Zandra oparła się o niego z ulgą.

- Boże - zamruczała - musisz myśleć, że jestem cholerną egocentryczką.

- Wcale tak nie myślę. - Ucałował ją w czubek głowy, a potem znowu gładził po włosach.

- Wcale bym ci nie miała za złe, gdybyś tak uważał - odrzekła zamyślona. - Przecież zrobiłam się okropna i wcale nie jest ze mną wesoło.

- Zandro - namawiał ją cicho - podziel się ze mną swoim zmartwieniem. Proszę! Zawsze na każde zło można coś poradzić.

Uśmiechnęła się ironicznie. Kochany Heinzie, pomyślała. Tak dobrze chce. Ale jak mógłby nawet próbować to rozumieć? Mężczyźni nie zachodzą w ciążę. Mężczyźni nie noszą w sobie iskierki życia od poczęcia do narodzin. Jak mógłby to pojąć jakikolwiek mężczyzna?

- Chodzi o dziecko, prawda? - zapytał miękko. Zandra odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Tak - szepnęła - chodzi o nasze dziecko.

- Czy ty go nie chcesz?

Zandra wzdrygnęła się, jak gdyby uderzona niewidzialną pięścią. Och, Heinzie, Heinzie! Jak można coś aż tak opacznie zrozumieć?

- Wcale nie o to chodzi - powiedziała spokojnie. - Chcę tego dziecka, Heinzie. O Boże! Gdybyś wiedział, jak bardzo go chcę!

Książę zsunął się z poręczy kanapy, opadł na kolana i przytulił twarz do brzucha żony i rozwijające się tam życie.

Oczy Zandry nagle wypełniły się łzami. Obydwoma rękami przycisnęła jego głowę jeszcze mocniej do siebie, zaczerpnęła głęboko powietrza i z niechęcią mówiła dalej:

- Och, Heinzie, wiem, że jestem okropna i nie mogę znieść tego, że mogłabym cię zawieść. Ale nasz stosunek do tego dziecka wydaje mi się obrzydliwy. To nie fair w stosunku do niego!

Karl-Heinz uniósł głowę i popatrzył jej głęboko w oczy.

- Co jest nie fair? - zapytał łagodnie.

- Wyrachowanie, z jakim do tego podchodzimy. Czy nie rozumiesz? To nie powinien być totalizator z nagrodą, którą można wygrać. Wiem, że koniecznie potrzebujesz męskiego potomka, żebyś mógł dziedziczyć, wiem to wszystko. Ale... kochanie, noszę w sobie nasze dziecko! Nasze dziecko! Naszą krew z krwi i kość z kości.

- Tak-uśmiechnął się do niej czule i delikatnie dotknął ręką jej twarzy - Wiem - szepnął.

- Ja już czuję się z nim związana. Zdaję sobie sprawę, że to jeszcze wcześniej, ale ja jestem jego matką.

Karl-Heinz wciąż się uśmiechał.

- Wiem, że zawarliśmy umowę - powiedziała - ale nagle przestało mnie obchodzić, czy to jest chłopiec czy dziewczynka. A jeżeli to będzie dziewczynka, to co się z nią stanie? Ja naprawdę chcę, żebyśmy mieli syna, naprawdę, najbardziej ze wszystkiego. Ale teraz, kiedy już je noszę w sobie, nagle stało się to nieważne. Kochany, ja już je kocham, obojętne jakiej jest płci. - Łzy które wezbrały w jej oczach, zaczęły spływać po twarzy. - Po prostu chcę, żebyśmy mieli normalne, zdrowe dziecko! - zawołała z płaczem. - Czy proszę o zbyt wiele? - Urwała i pociągnęła nosem. - Kochany! Powiedz coś.

- *Liebchen*, czy nie rozumiesz? Ja to dziecko też kocham!

- Naprawdę? - Głos Zandry zadrzał.

- Oczywiście, że tak. I pragnę tego, co będzie najlepsze dla nas trojga.

- Tak, ale, Heinzie, ja nie mogę... - Przerwała i wciągnęła powietrze w płuca. - ...ja nie mogę zgodzić się, żeby je dźgali i kłuli - szeptała z pasją. - Wiem, że to dopiero kilka tygodni, ale jeżeli ono już coś czuje? A ryzyko? Doktor Rosenbaum twierdził, że ryzyko związane z badaniem kosmówki mieści się gdzieś między jeden a dwa procent, ale powiedział również, że niektórzy lekarze szacują je na osiem. A nawet punkcja owodni niesie za sobą pewne ryzyko. Istnieje szansa, chociaż niewielka, że może wywołać samoistne poronienie, może uszkodzić płód, a nawet go zainfekować! - Teraz już łkała w głos. - A nawet gdyby to było w stu procentach bezpieczne, a przecież nie jest, i dowiemy się że to jest dziewczynka, to ja... ja bym się nie mogła zmusić, żeby ją usunąć!

- I nikt cię o coś takiego nie poprosi - powiedział łagodnie.

- Ja naprawdę zrobiłabym wszystko... absolutnie wszystko... żeby to tylko nie narażało dziecka na niebezpieczeństwo.

- *Liebchen*? Czy w ogóle nie doszło do ciebie ani słowo z tego, co mówiłem?

Zandra patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Więc ty... nie będziesz miał mi tego za złe? Przyjmiesz je, nawet gdyby to była dziewczynka?

- Jakże mógłbym inaczej? Przecież to będzie nasze dziecko.

- Ale twoje dziedzictwo...

- Do diabła z moim dziedzictwem! Jestem wystarczająco bogaty. Mój własny majątek wynosi ponad dwieście milionów.

- Aż tyle!
- Robiłem pieniądze dla rodziny, ale chyba nie myślisz, że siebie zaniedbałem? - Karl-Heinz się zaśmiał. - Więc przestań się martwić.
- Spróbuję. - Odpowiedziała mu uśmiechem.
- I obiecaj mi coś, *Liebchen*.
- Co?
- Od dzisiaj, jeżeli czymś się będziesz gryzła, nie duś wszystkiego w sobie. Na miłość boską, powiedz mi, co cię martwi, przecież to jest również moje dziecko.
- Och, Heinzie, Heinzie! - Zandra miała ochotę zadusić go w uścisku. Zarzuciła mu ręce na szyję. - Taka jestem szczęśliwa! - westchnęła. - Sam nie wiesz, jak bardzo mnie uszczęśliwiłeś!

On objął ją również ramionami, łzy ciekły im obojgu po policzkach i wydawało się, że będą już zawsze tak stali przytuleni do siebie, jakby od tego zależało ich życie.

Kiedy zadzwonił telefon, Karl-Heinz nie zwrócił na to uwagi; po chwili Josef dyskretnie odchrząknął w drzwiach.

- To telefon prywatny od pana Yazahari, wasza wysokość - powiedział po niemiecku.

Księżę nawet się nie odwrócił.

- Później, Josefie - powiedział. - I zamknij drzwi, dobrze?

- Ale czy nie powinieneś go odebrać? - zapytała Zandra. - Może to coś ważnego?

- W moim życiu są tylko dwie ważne sprawy - odpowiedział jej miękko Karl-Heinz. - Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Ty i dziecko... to wszystko.

I z jakiegoś zwariowanego powodu obojgu znowu pociekły po policzkach łzy radości.

- W ciąż...! - wrzasnęła ze zgrozą księżniczka Sofia.

Przycisnęła obie dłonie do ust, żeby zdusić to zabójcze słowo w pół sylaby. Oczy jej wyszły na wierzch ze złości. Opadła na surową biedermeierską sofę, w obawie, że jeśli jeszcze przez chwilę będzie stała, nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Za łukowatymi, neogotyckimi oknami salonu w Schloss Schweigenau parowiec, który regularnie kursował po jeziorze, przepływał właśnie koło zamku. Dwie niewielkie żaglówki halsując na wietrze podskakiwały w kilwaterze statku. Zbierało się na burzę, a ośnieżone szczyty Alp na południu wydawały się cisnąć bliżej ludzi.

- Pobrali się... ile to będzie? - szeptała Sofia rozdygotana. - Sześć tygodni temu? Siedem? A pan mi mówi, że ona już jest w ciąży!

- Z-zandra? - pisnął Erwein; Sofia zażądała, żeby mąż stawił się przed nią, kiedy odwiedził ich *Herr* August Meindl, starszy z dwóch prawników von und zu Engelwiesenów, razem z czterema synami.

Erwein odstawił filiżankę na talerzyk, który trzymał w ręce, dłonie drżały mu tak, że porcelana zagrzechotała.

- Czy mówisz o Z-z-zandrze? - wyjąkał.

- Nie, o księżnej Yorku - warknęła z sarkazmem jego żona. - Czyja jeszcze ciąża mogłaby nas dotyczyć, ty niedorozwinięty kretynie? Ty tępy, osłopopodobny łańcuchu, który muszę dźwigać na szyi!

Hrabia skulił się, filiżanka i talerzyk zadzwoniły o siebie jeszcze głośniej.

- I odstawże tę herbatę! - syknęła z rozdrażnieniem Sofia. - Ten piekielny hałas doprowadza mnie do szału!

Erwein bezzwłocznie odstawił obraźliwe naczynia na stolik z drewna wiśniowego.

Sofia ze znużeniem potarła sobie twarz rękami. Dopiero potem odwróciła się do posłańca, który przyniósł tak niemiłą wiadomość.

W młodości, w bardzo zamierzchłej młodości, to jest gdzieś w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową, *Herr* August Meindl miał takie hobby, że studiował klasykę, tak więc doskonale wiedział, jaki los tradycyjnie spotykał tych, którzy przynosili złe wiadomości. Spodziewał się, że księżniczka zareaguje gwałtownie, zada cios, ale nie obawiał się jej gniewu. *Herr* August Meindl był za stary, zbyt przebiegły i miał do czynienia z Sofią zbyt długo, żeby go to wytrącało z równowagi. A ona o tym wiedziała.

Czterej synowie, będący pełnoprawnymi partnerami w rodzinnej firmie *Rechtsanwalt*, sprawiali wrażenie, jakby byli młodszymi kopiami swego ojca, chociaż młodzi wiekiem z pewnością już nie byli: najmłodszy z nich, Franz, miał dobrze po pięćdziesiątce, a najstarszy, Anton, skończył już siedemdziesiąt lat.

Ich z kolei synowie a także synowie ich synów - wszyscy pracowali w rodzinnej firmie Meindlów i od dziecka przygotowywani byli do tego, by reprezentować tylko jednego, wysoko postawionego klienta: rodzinę von und zu Engelwiesenów.

- Od jak dawna księżna Zandra jest w ciąży? - zapytała Sofia.

August Meindl wrzucił wąskimi, kościstymi ramionami.

- Jego wysokość książę nie powiedział - poinformował ją cienkim, świergotliwym głosem.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, usiłując się uspokoić. August Meindl siedział, a jego stareńkie, patykowate ciało drgało i trzęsło się przez cały czas.

- Naprawdę jest mi przykro, wasza wysokość. Zdaję sobie sprawę, że musi to być dla pani straszliwy cios.

- Cios? Ależ czemu miałby to być cios? Przyznam, panowie, że w pierwszej chwili poczułam się zaskoczona, ale jestem do głębi zachwycona. Dzięki wieściom, które panowie przynieśliście, zostanie zagwarantowana, jeżeli Bóg pozwoli, nieprzerwana ciągłość dziedziczenia w linii męskiej.

Meindlowie patrzyli na nią, nie wierząc własnym uszom. Erwein również nie mógł w to uwierzyć. Spodziewał się apokalipsy na wielką skalę. Nie do wiary, ale Sofia zdawała się na ich oczach odzyskiwać siły i pogodę ducha.

- Rodzina i jej majątek - ciągnęła dalej - musi zawsze mieć pierwszeństwo przed naszymi osobistymi pragnieniami, troskami i życzeniami - i odnosi się to również do mnie.

Pięciu prawników wpatrywało się w Sofię ze zdumieniem.

- To bardzo radosna okazja - powiedziała. - Jak dobrze wiecie, nasz ród istnieje już niemal od sześćuset lat i życzę sobie, żeby przetrwał następne sześćset. Spodziewam się, że wszyscy okażecie mojemu bratu swe niezawodne wsparcie i pomoc. - Przerwała i powiodła po nich oczami. - Czy wyraziłam się jasno?

- Bardzo jasno, wasza wysokość - potwierdził Franz Meindl.

- Idealnie, wasza wysokość - powtórzył jak echo Klaus Meindl.

- Niewątpliwie - dodał Gerhard Meindl.

- Przejrzyście - podsumował Anton Meindl.

Milczał tylko stary August. Miał przebiegły, legalistyczny umysł, z tych, co to nigdy pochopnie o niczym nie decydują.

Sofia popatrzyła na niego z uniesionymi do góry brwiami.

- *Herr* Meindl?

August Meindl odchrząknął, a jego liczne fałdy obwisłej skóry zafalowały.

- Czy poprawny będzie mój domysł, że wasza wysokość nie uznaje tej wiadomości za złą? - Zapytał ostrożnie.

- Domyśla się pan całkiem słusznie. - Księżniczka zmusiła się do bladego uśmiechu.

Wszystkich pięciu Meindłów czekało, co dalej.

- A chociaż tak podziwiam, kocham i szanuję mojego brata - ciągnęła swą przemowę - to w przeszłości rodzina ucierpiała niejednym razem od zdrady i oszustwa w swoim własnym gronie. Pokusa, by ująć w dłoń ster jednego z najpotężniejszych majątków na świecie, potrafi opanować i najuczciwszego spośród nas. Musimy postępować z ogromną ostrożnością.

- Niewątpliwie. - August pokiwał mądrze głową. - Niczego nie wolno przyjmować za pewnik.

- A także - kontynuowała Sofia - nie możemy odrzucić możliwości najmniej nawet prawdopodobnego spisku. W 1598 Freda von und zu Engelwiesen urodziła dziewczynkę, ale usiłowała zagwarantować sobie sukcesję dzięki chłopcu pochodzącym nie z jej łona.

- Nie z jej łona! - wykrzyknął Franz Meindl, najmłodszy z pięciu.

- Posłała sługę, by kupić nowo narodzonego chłopca, którego chciała podać za swoje dziecko. I to dlatego w prawach naszego rodu zapisano, że świadkami narodzin musi być trzech prawników.

Gerhard Meindl skubał swoją obwisłą wargę.

- Mądry warunek - przyznał.

- Niewątpliwie - potwierdziła Sofia. - A więc. Czy mój brat nie wspomniał przypadkiem o testach mających określić płeć dziecka?

Spojrzała ostro, ale cała piątka potrząsnęła głowami.

- Czy sprawdzili panowie jej lekarza?

- Jeszcze nie - powiedział stary August.

- Proszę to zrobić.

Skinął głową. Sofia wykorzystała ich milczenie, żeby ich jeszcze poinstruować.

- Dziewczynka, chociaż mogłaby być ukochaną córką, dla mojego brata i jego żony byłaby taką samą tragedią, jak brak potomka. Panowie - wyprostowała się, jakby własne myśli i słowa wzmacniały ją niczym nieprzenikliwa zbroja - jak wszyscy wiemy, ciężce są nieprzewidywalne. Nawet jeżeli księżna Zandra nosi w łonie chłopca, może poronić. Albo dziecko może urodzić się martwe. Kto wie, co się stanie?

Nagle wydało się, że powietrze przeniknął ozon, w pokoju pociemniało, potem zamigotało w nim światło błyskawicy, a w ślad za tym rozległ się huk gromu.

Erwein z przerażenia niemal się zerwał na nogi.

Sofia czekała, aż hałas przycichnie.

- Cokolwiek się stanie - powiedziała cicho - nie wolno nam pochopnie wyciągać wniosków. Mój brat będzie dziedziczył, jeżeli jego żona urodzi potomka płci męskiej i tylko wtedy, jeżeli stanie się to przed śmiercią mojego ojca.

- Całkowicie się zgadzam, wasza wysokość - potwierdził *Herr Meindl* drżącym głosem.

- Dobrze. Dziedzictwo musi zostać przekazane sprawiedliwie i trzeba się przy tym ściśle trzymać praw pierworództwa... - Sofia przerwała. - Co do litery - dodała z naciskiem.

- Ma pani moje słowo - oświadczył stary prawnik. Sofia z aprobatą skinęła głową.

- Czy mam także słowo pana synów?

August Meindl popatrzył na prawo i lewo. Franz, Klaus, Gerhard i Anton Meindlowie zgodnie kiwali głowami.

- Wszyscy się zgadzają, wasza wysokość. Może być pani spokojna, że wszystko, co dotyczy porodu, odbędzie się uczciwie i stanie się wiążące pod względem prawnym. Trzech prawników będzie obecnych na sali porodowej, by być świadkami narodzin dziecka.

- Nie, panie Meindl. - Księżniczka potrząsnęła głową. - Nie będzie to jakichś trzech prawników. Tylko trzech z was.

- Jeżeli tak sobie wasza wysokość życzy - powiedział starzec, skłoniwszy głowę.

- Tak sobie życzę!

Sofia spojrzała na niego z zadowolonym wyrazem twarzy, jakby patrzyła na sprzedawcę, który otworzył gablotkę, by pokazać jakiś klejnot, który wyjątkowo przypadł jej do gustu.

- A teraz - powiedziała. - Ponieważ to już ustalone, chciałabym skorzystać z okazji, żeby poruszyć jeszcze inną sprawę.

- Tak? - zapytał starzec ostrożnie.

- Zdaję sobie w pełni sprawę, *Herr Meindl*, że pana firma reprezentuje interesy tej rodziny jako całości. Zdaję sobie również sprawę, że od choroby mojego ojca zakładał pan, że u steru stoi mój brat.

Stary *Herr Meindl* chciał coś powiedzieć, ale jego klientka uniosła dłoń do góry.

- Dopóki księżna Zandra nie urodzi odpowiedniego dziedzica przed śmiercią mojego ojca, co, niestety, w tej chwili może nastąpić każdego dnia, to władzę dziedziczą ją, w imieniu mojego najstarszego syna.

August Meindl wyduł wargi.

- Hmm - zamruczał niezobowiązująco.

- Wyszukałam tę informację w księdze rodzinnej o pierworództwie - powiedziała mu Sofia. - Paragraf szesnasty odnosi się w szczególności do pozbawionej zdolności prawnej głowy rodziny oraz do bezdzietnych dziedziców. Określa to bardzo ściśle. Erwein!

Hrabia zerwał się i pospiesznie przyniósł gruby, iluminowany, bardzo stary, ręcznie pisany foliał. Z bezcennej skórzanej okładki unosiły się kłęby kurzu, kiedy kładł go przed Augustem Meindlem. Burza za oknami szalała, niczym jakaś zwielokrotniona wróżba.

Herr Meindl wyjął okulary do czytania i udało mu się, pomimo drżenie rąk, wsunąć szkła na spiczasty nos. Potem ostrożnie, z szacunkiem przewracał grube kartki do miejsca, gdzie jedwabną wstążką zaznaczono paragraf szesnasty. Czytał wielkie gotyckie litery powoli, przesuwając wolno kościstym palcem wzdłuż każdego wiersza i powtarzając sobie szeptem słowa.

Księżniczka wierciła się niecierpliwie, pragnąc, by się pospieszył.

Wydawało jej się, że minęła chyba cała wieczność, zanim prawnik zamknął ceną księgę, schował okulary i odchrząknął.

- Ma pani całkowitą rację, wasza wysokość. Paragraf szesnasty rzeczywiście mówi to wyraźnie. I bez niedomówień.

- Właśnie! - wykrzyknęła zadowolona z siebie Sofia. - A więc, skoro mój ojciec jest w stanie śpiączki, to w tym imperium chwilowo następcą

tronu jest mój najstarszy syn. W związku z tym spodziewam się, że panowie okażecie pełne posłuszeństwo wobec niego i wobec mnie. - Rozejrzała się wokół stołu. - Naturalnie, gdyby cudem stan zdrowia mego ojca uległ poprawie, albo gdyby żona mego brata dała mu męskiego potomka, lojalność panów natychmiast przejdzie z powrotem na któregoś z nich. - Wpatrywała się twardo i uporczywie w *Herr Meindla*. - No i cóż, panowie?

Dwaj młodszy prawnicy popatrzyli na najstarszego, czekając na jego decyzję.

- Musimy postąpić zgodnie z tym, co zostało zapisane, wasza wysokość - powiedział oficjalnym tonem nestor rodu. - Jest pani chwilowo regentką rodziny.

- Dobrze. I jako taka wydaję moje pierwsze polecenie. W lecie księżna Zandra będzie w piątym miesiącu ciąży. Od tego momentu chcę, żeby trzej najbardziej godni zaufania pana synowie mieli ją pod stałą obserwacją.

Najstarszy *Herr Meindl* odkaszlnął dyskretnie.

- Ma pani na myśli.... inwigilację?

- To tylko kwestia semantyki, ale tak, o to mi chodzi. Inwigilację. Mogą wynająć detektywów, ale mają za nią jeździć wszędzie, dokąd tylko się wybierze. Koszta nie grają roli, a raporty będą składali bezpośrednio mnie. Chcę wiedzieć o wszystkim, co jej dotyczy... obojętne, czy uznają to za istotne, czy nie.

- Jesteśmy jak zawsze do usług, wasza wysokość.

- To wszystko na teraz, *Herr Meindl*. Dziękuję panom i *auf Wiedersehen*. - Księżniczka niemalże mrucała jak kotka.

Po takiej odprawie starzec i jego synowie wstali, ukłonili się oficjalnie i wyszli.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Sofia siedziała dalej tak zatopiona w myślach, że nie usłyszała nawet, jak Erwein na paluszkach wysunął się z pokoju.

CEL:

OPERACJA BURGHELEY

Końcowe odliczanie

Somerset, New Jersey, 11 maja

Psów nie było.

Gdyby były, mogłoby być nieco trudniej. Nadal jednak dałoby się to zrobić, oczywiście. Wszystko jest do zrobienia. Donough Kildare najpierw po prostu uporałby się z psami w taki sam sposób, jak radził sobie ze wszystkim - cicho, bezlitośnie, zabójczo.

Noc była chłodna, szybko płynące chmury stały się jego współnikami. Ubrany w obcisłą, ciasno przylegającą czerń, buty na gumowej podszewie, dopasowane rękawiczki i noktowizyjne okulary wtapiał się w ciemność. Nie potrzebował niczego więcej, oprócz czterech wywatowanych mieszków przyczepionych do pasa.

Posuwał się w kierunku samotnego kompleksu budynków i swego celu, rezydencji w stylu greckiego odrodzenia.

Taki piękny dom, pomyślał. Co za szkoda, że trzeba go zniszczyć.

Dziś wieczorem miał odwiedzić rezydencję po raz szósty i ostatni. Pięć poprzednich wizyt złożył niezauważony i poznał już na tyle dobrze urządzenia zabezpieczające, że we śnie zdołałby przez nie przejść. Chyba, żeby zmienili alarmy, ale to łatwizna.

Przez chwilę zastanawiał się, czy w jego planie nie ma jakichś niedopatrzeń. Nie było. W niczym nie zdawał się na przypadek. Od dwóch już miesięcy wynajmował domek na pobliskiej farmie i nie zmarnował ani jednego dnia: codziennie prowadził rozpoznanie obiektu na odległość. Wiedział wszystko, co powinien był wiedzieć. Na terenie samej posiadłości nie założono żadnych alarmów, ponieważ mogłyby je uruchamiać konie i zwierzęta. Cóż za głupota! Ganek chroniony był promieniami podczerwonymi, ale drzwi i okna wyposażono w staroświeckie systemy alarmowe, które łatwo mógł ominąć. A jeśli chodzi o agentów służb

specjalnych, bezczynność napełniła ich fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. Dziś wieczór zapłacą za to własnym życiem!

Pełzł dalej, aż dotarł do domu. Tam zamarł w bezruchu, patrząc i nasłuchując.

Na pastwiskach panowała kompletna cisza. W domu również panowała cisza. Jedyne dźwięki, jakie było słyhać, to sporadyczne rzenie koni w stajniach i jego własny, spokojny oddech.

Czas się ruszyć, powiedział sobie Donough Kildare. Czas stworzyć moją własną „klęskę żywiołową”, dopóki obiekt jest na miejscu.

Ze swego punktu obserwacyjnego w lesie przyglądał się wczoraj, jak przyjechała, a dzięki lornetce dziesięć na pięćdziesiąt miał wrażenie, że ma cel tuż przed sobą. Nie można się było co do niej pomylić. A niech mnie! pomyślał. Wygląda dokładnie tak, jak na tych wszystkich pieprzonych fotografiach!

Niemniej nie robiło mu to żadnej różnicy, kim była ofiara. Robota to robota, a zapłata miała być świetna.

Zmienił teraz noktowizory na okulary do podczerwieni i wszystko z mętnie zielonego stało się czerwonawe. Na ganku krzyżowały się niewidoczne dla nieuzbrojonego oka snopy światła. Nie zatrzymało go to. Zaniedbano kompletnie rynny, po których wspinał się przy poprzednich wizytach. Fatalny wyłom w systemie bezpieczeństwa. Niemal obraźliwy. Za bardzo mi ułatwiacie zadanie!

Popatrzył na zegarek i upewnił się, że ma dwadzieścia trzy minuty, zanim agenci znowu ruszą w obchód.

A teraz ominie przewody alarmowe.

Wsunął gogle do kieszeni, pobiegł na tyły domu i podczołgał się pod rozłożysty cis. Włączył latarkę-paluszek i omiótł światłem druty.

Wyglądały dokładnie tak, jak je zostawił - były prowizorycznie połączone.

Trzymając latarkę w zębach, zabrał się do roboty. Wyciągnął kawałek drutu z krokodylkami na obu końcach, odwinął taśmę izolacyjną, którą zabezpieczył przewody, kiedy obdarł je z izolacji i zacisnął szczęki krokodylka na każdym z nich. Przeciął przewód alarmowy małymi nożycami do metalu. Wyczołgał się spod krzewu, powoli wyprostował się i kilka razy niespiesznie, głęboko odetchnął. Potem chwycił za najbliższą rynnę i bezgłośnie podsunął się w górę.

Kiedy dotarł do dachu, podciągnął się, przerzucił nogę na dachówki, za nią całe ciało i wstał. Z przyzwyczajenia poświęcił chwilę na szybkie rozejrzenie się wokoło.

Cisza, spokój. Dobrze.

Potem sprawdził okno mansardowe, które podczas ostatniej wizyty zostawił otwarte, ale zaklinowane. Usunął klin, a nie zamknięte na klamkę okno otworzyło się jakby zapraszająco.

Wszedł do środka, starannie rozkładając swój ciężar na starych deskach podłogi. Potem, pomagając sobie latarką, precyzyjnie się pomiędzy masą porzuconych mebli, pudeł i kufrów. Powietrze gorzkie było od kurzu; twarz oblepiły mu pajęczyny. W minutę później dotarł do drzwi. Uchylił je i wyjrzał.

Nikogo.

Wyłączył latarkę, założył gogle i sprawdził, czy nie zainstalowano jakichś nowych alarmów na podczerwień.

Nie.

Zgięty wpół, omijając te stopnie, które, jak już wiedział, skrzypiały, przemknął na podest drugiego piętra. Tam rozpląszczył się na ścianie, przemknął wzdłuż niej i wyjrzał zza rogu. Znajdował się przy paradnych schodach, które zakręcały w dół do owalnego holu na dole. Cicho jak duch poszedł w ich kierunku, rzucając spojrzenia w górę, w dół i w bok za poręcz. Patrzył wszędzie, uważnie nastawiając uszu.

Jak w wigilię jakiegoś cholernego Bożego Narodzenia, pomyślał. Nie drgnie żadne stworzenie, nawet myszka...

Szybko i cicho zszedł po schodach, posłuchał pod drzwiami korytarza dla służby, a potem otworzył je i wślizgnął się do środka. Drugie drzwi na lewo prowadziły do piwnicy. Bardzo już trzeba je było naoliwić. Żaden problem. Dwa pryśnięcia smarem i otworzyły się bezszmerowo. Przeszedł przez nie i zamknął je za sobą.

Znalazł się teraz u szczytu schodów prowadzących do piwnicy. Włączył latarkę, poświecił na betonowe stopnie i zaczął schodzić na dół. W piwnicy pachniało wilgotnymi kamieniami i butwiejącym drewnem. Stare pajęczyny jak brudne włosy anielskie zwisały z nagich belek nad jego głową; tkwiły w nich wyschnięte truchła dawno zdechłych much. Usłyszał, jak włączyła się pompa, jak zapalił się piec, jak woda kapiała z nieszczelnej rury.

Skierował się prosto w stronę pieca, wyłączył go, zgasił świeczkę, a potem włączył na pełny regulator. Uśmiechnął się do siebie, słysząc jadowity syk wydostającego się gazu.

A teraz oba bojłery. Wyłączył obydwa, zdmuchnął świece i ponownie włączył.

Czas na wydarzenie największej wagi: rurę doprowadzającą gaz do domu.

Kiedy znalazł się przy niej, przypiął sobie latarkę do kurtki, wyjął z mieszka maskę gazową i założył ją na twarz. Potem z ciasnego, wyścielnego pianką gniazdka w drugim mieszkku wyjął małą, szczelnie zamkniętą buteleczkę z grubego szkła.

Wewnątrz był kwas: żrący, niepalny i szybko działający.

Ostrożnie otworzył buteleczkę. Lepiej, żebym się tym nie połał, pomyślał. Z wielką ostrożnością zaczął polewać kwasem rurę gazową, które natychmiast pokryła się pęcherzami i zaczęła się rozpuszczać. Nie minęła minuta, a już kwas ją przeżarł.

Do piwnicy zaczął uchodzić gaz, cichy i zabójczy.

Donough starannie zatkał pustą buteleczkę, włożył ją do mieszka, odpiął latarkę i wrócił po schodach na górę. Zostawiał za sobą wszystkie drzwi otwarte, żeby dom mógł wypełnić się gazem. Pobiegnął na górę po głównych schodach, skręcił na korytarz na drugim piętrze do wschodniego skrzydła, gdzie znajdowała się sypialnia państwa domu.

Do każdej bomby potrzebny jest zapalnik....

Wyłączył światła na korytarzu. Wsunął sobie latarkę do ust i odkręcił wyłącznik. Starannie odarł przewody z izolacji i połączył je, zwracając uwagę, żeby metal dotykał metalu.

Jedna iskierka wystarczy.

Przykręcił z powrotem wyłącznik i szeroko się do siebie uśmiechnął. Dobrze że będą daleko, kiedy ktoś tu zapali światło, pomyślał sardonicznie.

Już był na dachu i wciskał klin pod mansardowe okno, kiedy wyszedł ochroniarza, który właśnie wychodził z domku gościnnego z latarką w ręce. Dużo mu pomoże, jak sprawdzi teren, pomyślał. Teraz! Donough Kildare zjechał po rynnie. Przeczłogał się pod cis, żeby włączyć znowu system alarmowy. Potem zniknął na łące jak gibki, niemal niewidoczny cień. Zatrzymał się o sto metrów od domu i padł na ziemię, zajmując stanowisko za ogrodzeniem paddoku. Wyjął najstarszą ze wszystkich broń: procę i kamień.

Po Wielkim Bum policijni eksperci mogą przesiewać rumowisko, ile dusza zapragnie. Nigdzie nie znajdują pozostałości po zapalkach, mechanizmach zegarowych, zapalnikach, materiałach wybuchowych czy kulach, które mogłyby go wydać. Wystarczy, że strzeli jednym jedynym kamieniem w okno.

A pani domu dokończy dzieła!

Usadowił się i postanowił dać swojej robocie dwie i pół godziny. Po tym czasie dom stanie się gotową do eksplozji bombą.

Pomysłowe.

* * *

Becky V obudziła się na ogłuszającą wrzawę sygnałów alarmowych. Co, u diabła...

Usiadła na łóżku i rozglądała się dookoła nieprzytomnie.

Zewnętrzne reflektory włączyły się automatycznie, zalewając teren wokół domu światłem; widziała je, jaskrawo białe, poprzez szczelinę w zasuniętych zasłonach.

Przechyliła głowę w bok, nasłuchując czy nie pokrzykują już jej ochroniarze, ale niczego nie dało się wychwycić. Wszystkie dźwięki utonęły w rozdzierającym uszy hałasie.

Dlaczego nie wyłączą tego diabelstwa? zastanawiała się diuszesa.

Zaraz jednak się uspokoiła. To prawdopodobnie jakiś fałszywy alarm. Bez wątpienia nie pierwszy już raz.

Postanowiła, że wstanie i sama go wyłączy. Włączyła lampkę nocną, wstała, narzuciła niebieski jedwabny szlafrok i zawiązała pasek przechodząc przez pokój. Otworzyła ostrożnie drzwi i wyjrzała.

Na korytarzu było ciemno; przyćmione światła zostały wyłączone. To dziwne, pomyślała Becky. Zawsze przez całą noc się świecą. Nagle zrobiło jej się niemal słabo. Co to za smród? Pachnie jak gaz!

Spieszyła się teraz. Starając się nie oddychać i potykając się, poszła korytarzem do najbliższego kontaktu. Zapach gazu był obezwładniający. Dobry Boże! To rzeczywiście gaz! Lepiej włączę światła, żebym widziała, gdzie idę. Sięgnęła do wyłącznika i nacisnęła go.

Nastąpił oślepiający błysk, a potem grzmiący ryk i cała rezydencja zmieniła się w jedną ognistą kulę.

* * *

O siódmej trzydzieści tego wieczoru Donough Kildare znajdował się w Toms River, w New Jersey, na przystani. Jeszcze jedno dobrze wykonane zlecenie, pomyślał. To niewątpliwie ukoronowanie moich osiągnięć. Może to dobry moment, żeby przejść na emeryturę...

Tak jak było umówione, odszukał piętnastometrowy dwukabinowy jacht motorowy, wspiął się na pokład i wszedł do niewielkiego salonu.

- Proszę zamknąć drzwi - powiedział cicho mężczyzna siedzący w klubowym fotelu.

Kildare zasunął drzwi i zamarł, usłyszawszy dobrze znajomy szczełk iglicy. Powoli odwrócił się twarzą do nieznanego.

Patrzył prosto w tłumik na rewolwerze Magnum kaliber 44.

- Co, do cholery jasnej? Przyszedłem tu tylko odebrać hono...

- Czy słyszał pan kiedyś moje powiedzonko zapożyczone od Arnolda Schwarzeneggera? - zapytał człowiek z rewolwerem.

- Co...? - Kildare wytrzeszczył na niego oczy.

- *Hasta la vista*, kochany - powiedział mężczyzna i nacisnął spust.

Głowa Donougha Kildare'a rozleciała się jak dojrzały arbuz.

Zabójca zdmuchnął dym z lufy i uśmiechnął się z satysfakcją. Teraz wystarczy poczekać, pomyślał. Kiedy rzeczy po Becky zostaną wystawione na aukcji, zbiorą się pod jednym dachem najbogatsi kolekcjonerzy i osobistości na świecie.

Frajerzy i tyle. Tylko ich oskubać!

Nie mógł się doczekać.

CZEŚĆ PIĄTA

AUKCJA

WSZECH

CZASÓW

ŚMIERĆ BECKY V UZNANA ZA TRAGICZNY WYPADEK. LEGENDARNA KOLEKCJA IDZIE POD MŁOTEK!

SOMERSET, N.J., 26 CZERWCA (AP). - WYCIEK GAZU W POŁĄCZENIU Z USZKODZONĄ INSTALACJĄ ELEKTRYCZNĄ STAŁ SIĘ PRAWDOPOBNIIE PRZYCYNĄ WYBUCHU, W KTÓRYM ZGINĘŁO SZEŚCIORO LUDZI, W TYM EKS-PIERWSZA DAMA, LADY REBECCA CORNILLE WAKEFIELD LANTZOUNI DE LA VILA, POWIADOMILI DZISIAJ FEDERALNI INSPEKTORZY ŚLEDWCZY I PRZEDSTAWICIELE MIEJSCOWEJ STRAŻY POŻARNEJ.

WEDŁUG DWIGHTA KRAMERA, URZĘDNIKA FEDERALNEGO, INSPEKTORZY PRZYZNAJĄ JEDNAK, ŻE ZASKOCZENI BYLI TYM, JAK NIESZCZELNOŚĆ W PRZEWODACH GAZOWYCH MOGŁA DOPROWADZIĆ DO WYBUCHU O TAKIEJ MOCY.

KIEDY STRAŻ POŻARNA POJAWIŁA SIĘ NA MIEJSCU, PO REZYDENCJI ZOSTAŁ TYLKO GIGANTYCZNY, TLĄCY SIĘ KRATER.

- WYGLĄDAŁO TO TAK, JAKBY WYBUCHŁA TAM BOMBA - POWIEDZIAŁ KOMENDANT FRED CZUBIK Z MIEJSCOWEJ STRAŻY POŻARNEJ.

OFIARAMI, OPRÓCZ DIUSZESY DE LA VILA, PADŁO TROJE JEJ SŁUŻĄCYCH I DWÓCH AGENTÓW SŁUŻB SPECJALNYCH; WSZYSCY ONI ZGINĘLI OKOŁO 4:15 NAD RANEM W SOBOTĘ 11 MAJA. OFIARY ZIDENTYFIKOWANO PO SZCZĄTKACH UZĘBIENIA.

LORD ROSENKRANTZ, KTÓRY ZATRZYMAŁ SIĘ W SĄSIADUJĄCYM Z REZYDENCJĄ DOMKU GOŚCINNYM, ODNIÓSŁ TYLKO POWIERZCHOWNE OBRAŻENIA, ZOSTAŁ OPATRZONY I WYPISANY Z LOKALNEGO SZPI-TALA.

EKIPA ŚLEDZCZYCH PRACOWAŁA NA OKRĄGŁO PRZEZ SZEŚĆ TYGODNI, ZANIM WYDANO WERDYKT. WEDŁUG PANA KRAMERA JUŻ NA SAMYM POCZĄTKU EKSPERCI WYKLUCZYLI MOŻLIWOŚĆ PODŁOŻENIA OGNIA, PONIEWAŻ NIE ZNALEZIONO ŻADNEGO URZĄDZENIA ZAPALAJĄCEGO.

- DOPUST BOŻY - POWIEDZIAŁ KOMENDANT CZUBIK. - NIGDY CZEGOŚ TAKIEGO NIE WIDZIELIŚMY I MAMY NADZIEJĘ, ŻE NIGDY WIĘCEJ NIE ZOBACZYMY.

NIE UDAŁO SIĘ NAM UZYSKAĆ KOMENTARZA OD MIEJSCOWYCH WŁADZ KOMPANII GAZOWNICZEJ.

PLANOWANA NA LISTOPAD AUKCJA

POCZYNAJĄC OD 11 LISTOPADA BURGHLEY ROZPOCZNIE W NOWYM JORKU CAŁĄ SERIĘ WYPRZEDAŻY DZIEŁ SZTUKI, STARYCH MEBLI, BIBELOTÓW I SŁYNNYCH KLEJNOTÓW, KTÓRE BYŁY WŁASNOŚCIĄ - JAK TO UJMUJE DOM AUKCYJNY - „JEDNEJ Z NAJBARDZIEJ ZNANYCH I FASCYNUJĄCYCH KOBIET TEGO STULECIA”.

KOBIETA TA, Z DOMU REBECCA CORNILLE, ZNANA JAKO BECKY V, BYŁA MAŁŻONKĄ PREZYDENTA WILLIAMA WINTERTONA WAKEFIELDA III, A POTEM LEONIDASA DANUSA LANTZOUNIEGO, MAGNATA OKRĘTOWEGO ORAZ *GRAN DUQUE'A* JOAQUINA DE LA VILA; OWDOWIAŁA; POSIADAŁA REZYDENCJE NA CAŁYM ŚWIECIE.

WEDŁUG BURGHLEYA KATALOGOWANIEM JEJ ROZMAITYCH ZBIORÓW ZAJMIE SIĘ TRZYDZIESTU DWÓCH EKSPERTÓW. SPRZEDANYCH ZOSTANIE PONAD OSIEMSET OBRAZÓW STARYCH MISTRZÓW, W TYM PRACE VELASQUEZA, EL GRECO, RUBENSA, TYCJANA, VERONESE'A I GOI, JAK RÓWNIEŻ MEBLE BĘDĄCE DZIEŁAMI ROENTGENA, JACOBA I BOULLE'A.

- ŻAŁ, ŻE TAKĄ KOLEKCJĘ TRZEBA PODZIELIĆ - POWIEDZIAŁA SIOSTRA *GRAN DUQUESY*, *VICOMTESSE* SUZY DE SAINT-MALLET - ALE JAKBY TO POWIEDZIAŁA BECKY „JESTEŚMY TYLKO TYMCZASOWYMI KUSTOSZAMI”.

CAŁY DOCHÓD ZE SPRZEDAŻY ZOSTANIE PRZEZNACZONY NA CELE DOBROCZYNNE.

58.

Burmistrz wpadł do swojego biura spóźniony o dwadzieścia minut; jego osobowość i charyzma były jak huraganowa eksplozja energii; na pięty następował mu zasapany doradca.

- Przepraszam was, panowie, za spóźnienie - powiedział i błysnął białymi zębami. - Nie dało się tego uniknąć.

Zebrani podnieśli się ze swych foteli. Burmistrz każdemu z nich przekazał energiczny, wyćwiczony w kampaniach wyborczych uścisk dłoni i szczere spojrzenie prosto w oczy, do każdego zwrócił się po nazwisku: „Panie Goldsmith. Panie Fairey. Detektywie Ferraro. Panie Hockert”.

Najwyraźniej Hizzoner został wcześniej poinstruowany. Nie miało to jednak większego znaczenia. Lubił takie indywidualne podejście i z doświadczenia wiedział, że ludzie dawali się na to nabrać.

Nie podał ręki komisarzowi policji, tylko pozdrowił go z przyjazną poufalością:

- Ed - zapytał - Thelma i dzieciaki w porządku?

- Wspaniale, panie burmistrzu - rozpromienił się czarny mężczyzna w mundurze.

- Świetnie. Nie zapomnij ich ode mnie pozdrowić. Proszę, panowie, siadajcie.

Skończyły się powitania i burmistrz zmienił się w uosobienie rzeczywistości. Dużymi krokami przeszedł za swoje biurko, usiadł na wyściełanym czerwoną skórą fotelu obrotowym i pochylił się do przodu. Za jego plecami znajdowały się dwie flagi: Gwiazdy i Paski oraz flaga stanowa.

- Przyszliście tu omówić aukcję, która odbędzie się...? - strzelił palcami.

- Jedenastego listopada, panie burmistrzu - odpowiedział kręcący się przy nim doradca.

- Właśnie. U Burghleya. - Wbił spojrzenie w komisarza. - Czy zostałeś o tym powiadomiony, Ed?

- Tak, panie burmistrzu.

- I?

- Moim zdaniem obecność policji jest absolutnie konieczna. Pan Fairey dał mi niekompletną listę osób, które prawdopodobnie wezmą udział w aukcji. Na biurku ma pan kopię.

Burmistrz podniósł z biurka kartkę papieru i przyjrzał się jej szybko i dokładnie. Spojrzał ostro po obecnych, a w jego głosie brzmiało niedowierzanie.

- To jest część osób, których się spodziewacie państwo na wyprzedazy?

- Tak, panie burmistrzu - odrzekł Sheldon D. Fairey. - Ich i wielu innych notabli.

- Dobry Boże! Bardziej przypomina to szczyt międzynarodowy niż wyprzedaż dzieł sztuki!

- Dlatego zdajemy sobie sprawę, że bezpieczeństwo jest takie ważne - powiedział Fairey.

- Zakładam, że macie własnych ochroniarzy?

- Naturalnie i planujemy wzmocnić ich szeregi. Ale skoro mają przyjechać dwie głowy państwa, kilku byłych rządzących, znaczące osobistości, gwiazdy filmowe i setki najbogatszych ludzi na świecie... - Fairey zrobił wymowny gest dłonią. - Ich bezpieczeństwo musi stanowić nasz absolutny priorytet.

Marszcząc z namysłem brwi, burmistrz odwrócił się w fotelu i spojrzął za okno, gdzie padał drobny deszcz. Po chwili okręcił się z powrotem i popatrzył na komisarza.

- Twoja kolej, Ed.

- Radziłbym udostępnić wszelkie rezerwy, panie burmistrzu i potraktować to tak, jakby do miasta przyjechał miał prezydent.

- Kosztowne masz zachcianki! - Hizzonerowi zamajaczył przed oczami deficyt budżetowy miasta.

- Nic się na to nie poradzi. Będziemy musieli ustawić wzmocnione siły bezpieczeństwa naokoło Burghleya i wszędzie tam, gdzie zatrzymają się VIP-y. Powinniśmy nawet zastanowić się nad eskortą policyjną dla wybranej ich grupy. I zdecydowanie należy zamknąć część Madison przed aukcją i podczas jej trwania.

Burmistrz uszczypnął się w garbek na nosie.

- Wiesz, co to znaczy, Ed, prawda?
- Tak, panie burmistrzu. Bardzo wiele nadgodzin.
- Na które miasto nie może sobie pozwolić.
- Tak, ale jest coś, na co miasto jeszcze mniej może sobie pozwolić.
- A mianowicie?
- Na tej liście znajduje się kilka osób, które przeżyły próby nieudanych zamachów. Jak by to wyglądało, gdyby taki zamach powiódł się tutaj?

Nie musiał wyliczać konsekwencji owego scenariusza; burmistrz sam bardzo dobrze je znał.

Prasa miałaby używanie, pomyślał ponuro. Miasto ucierpiałoby od negatywnego rozgłosu, liczba turystów gwałtownie by spadła. A ja mógłbym pożegnać się z reelekcją.

- I pomyśleć, że wszyscy oni się tu zjeżdżają z powodu aukcji rzeczy po Becky V! - zdziwił się cicho, potrząsając głową. - Nie do wiary.

- Wcale nie, jeżeli pan pamięta, kim była Becky V, panie burmistrzu - odrzekł ze spokojem Fairey. - Nie tylko naszą narodową świętością, ale jedną z najbardziej znanych kobiet na świecie.

- Prawda. - Burmistrz skinął głową. - To tragiczne, co się z nią stało.

Wokoło rozległy się pomruki zgody. Robert zdecydował, że pora wtrącić własne trzy grosze.

- Trzeba pamiętać o czymś jeszcze - powiedział, zmieniając temat. - O skarbach sztuki Becky V

- Tak? - zainteresował się burmistrz.

- No cóż, poza muzeami, nigdy nie zgromadzono tylu bezcennych dzieł sztuki w jednym miejscu i jednym czasie. Nasze towarzystwo ubezpieczeniowe flaki sobie wypruwa, żeby skłonić inne przedsiębiorstwa, by pomogły i przejęły część zobowiązań na siebie. Cztery do sześciu miliardów to sporo zielonych.

Hizzoner pochylił się do przodu i wytrzeszczył oczy.

- Czy powiedział pan... miliardów?

- Tak jest. - Właściciel Burghleya wytrzymał jego spojrzenie.

- Rany boskie! - Burmistrz odchylił się do tyłu na fotelu i cicho zagwizdał. - Widzę, że będzie to trochę więcej niż tylko dzień czy dwa dodatkowej obecności policji.

- Powiedziałbym, że są ku temu powody - stwierdził Robert.

- Tak, ale mówimy tu o potężnych wydatkach, a miasto już ma napięty budżet. - Burmistrz odtoczył się z fotelem do tyłu, wstał i podszedł do okna. Wyjrzał przez nie z namysłem; jego sylwetka rysowała się na tle pokreślonej przez deszcz szyby. - Poza tym - dodał, pocierając ręką twarz

- podatnicy podniosą wrzask pod samo niebo. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego wykorzystuje się ich pieniądze, żeby chronić bardzo małą grupę bardzo bogatych ludzi, którzy zebrali się z okazji bardzo ekskluzywnego, prywatnego wydarzenia.

- Mógłby pan im przypomnieć - odparł pan Goldsmith pogodnie, jako że przyszedł na to spotkanie uzbrojony w liczby - że Burghley w zeszłym roku zapłacił ponad dziesięć milionów podatku. A to nie obejmuje ośmiu koma siedem milionów, które wnieśliśmy w podatku od wartości dodanej. Jeżeli pan chce, mogę przytoczyć również kwoty federalne i stanowe.

Burmistrz odwrócił się, podszedł do biurka i opadł na fotel.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne.

- Jeżeli miałby pan mnie zapytać - warknął Robert - to należy nam się jakaś ochrona.

Tu odezwał się komisarz:

- Czy mogę coś zaproponować, panie burmistrzu?

- Proszę cię uprzejmie, Ed. - Hizzoner uśmiechnął się ponuro. - Tam do diabła, jestem otwarty na propozycje.

- Zna pan to stare przysłowie o uncji profilaktyki.

- No, co z nim?

- Na początek, detektyw Ferraro i pan Hockert mogą zbadać system alarmowy Burghleya i zobaczyć, jakie mankamenty da się wyeliminować. To samo z systemem transportowym, który zostanie wykorzystany przy przewożeniu dzieł sztuki. Będziemy w ten sposób mieli z głowy podstawowe zabezpieczenia, jeżeli pan Fairey zechce wdrożyć to, co obaj panowie zaproponują.

- Niewątpliwie tak - odezwał się Sheldon.

- No to jestem za. - Burmistrz popatrzył na Hannesa i Charleya. - Nie musicie się spieszyć, panowie.

- Dziękujemy, panie burmistrzu - odpowiedział Fairey.

- Niemniej jednak - zwrócił obecnym uwagę Hizzoner - wciąż nie rozwiązuje to jeszcze naszego dylematu, w jaki sposób mamy pokryć koszt dodatkowej ochrony policyjnej.

Zapadła na chwilę cisza, potem odezwał się Robert:

- Coś mi się zdaje, że miasto powinno bardziej się starać, żeby utrzymać na swoim terenie bazę podatkową.

- Nie jestem pewien, czy pana rozumiem, panie Goldsmith. - Burmistrz zamrugał powiekami.

- Och, myślę, że mnie pan dobrze rozumie. Ale wyjaśnię to panu. Mógłbym na przykład - oświadczył Robert, stawiając burmistrza pod

murem - przenieść swoje magazyny i hurtownie z Long Island City do Jersey i korzystać z firm przewozowych w Jersey. Od cholery by to było taniej niż tutaj.

Hizzoner zmarszczył brwi.

- A jak już o tym mowa, to mógłbym przenieść również kwaterę główną GoldMartu i moje biuro inwestycyjne na drugą stronę rzeki. Wszystko mam skomputeryzowane, więc nie ma to znaczenia, gdzie jesteśmy. A miasto straciłoby rocznie sześćdziesiąt do siedemdziesięciu milionów, minimum. Albo więcej, jeżeli zabierzemy ze sobą część pracowników.

- Rozumiem - powiedział burmistrz powoli.

- Domyślam się, że tak. Przyszła taka pora, że miasto musi się zebrać w sobie i wykonać to, co do niego należy.

Pan Hizzoner nie miał zbyt szczęśliwej miny.

- Wydaje się, że jesteśmy w sytuacji przymusowej - westchnął. - Dopilnuję żeby dostał pan dodatkową ochronę policyjną.

- Dobrze. Wiedziałem, że dojdziemy do porozumienia. - Robert podniósł się z krzesła zadowolony.

59.

- Pizza, taka ogromna, z podwójną porcją sera, smażonym bakłażanem i cebulą! - westchnęła jak w ekstazie Kenzie i upuściła na podłogę dwie nylonowe siatki i trzy torby z zakupami, podczas gdy Charley targał jej walizkę do sypialni.

Czuła się w równym stopniu podniecona i wyczerpana - stan wybaczalny, jeżeli weźmie się pod uwagę, że właśnie wróciła z dwumiesięcznego pobytu w Europie, podczas którego codziennie, od rana do nocy katalogowała obrazy w rozmaitych *palazzi*, *palacios*, willach, eleganckich mieszkaniach i miejskich rezydencjach Becky V Prawdę mówiąc, przestudiowała tak wielką ilość mistrzowskich dzieł, że nadal kłębiły się one bez ładu i składu w jej zuchwałej głowce, niczym ubrania w bębnie jakiejś kosmicznej suszarki.

- Tylko proszę cię, Charley, powiedz im, żeby nie dawali oliwek - zawołała błagalnie. - Na trasie Madryt, Sewilla, Ateny zaoliwkowali mnie już niemal na śmierć.

- A Monte Carlo? - zapytał Charley, wchodząc z powrotem do salonu.

- To takie słoneczne miejsce dla unikających światła ludzi. Czułam się tam zdecydowanie jak nieletnia! Naprawdę, Charley, w życiu nie widziałam tylu zakonserwowanych, starych ramoli. Od ściany do ściany skóra jak u słonia; nie ma takiej ilości diamentów, która mogłaby pomóc tym gruboskórcom! Przysięgam sobie, że w życiu już nie położę się na słońcu! Och! - wykrzyknęła radośnie, padając na swoją krytą aksamitem sofę w stylu Napoleona III - ależ mi dobrze, że znowu jestem w domu! Chociaż to mieszkanie chyba jakoś się skurczyło podczas mojej nieobecności.

- To wrażenie niewątpliwie jest spowodowane wnętrzami onych wszystkich pałaców, w których mieszkałaś.

- Możesz sobie żartować, ile chcesz. Ale tak między nami, to w życiu nie widziałam czegoś takiego. Wiesz, każdy z nich był jak muzeum.

Bez trudu mogłabym się przyzwycząić do takiego życia, Charley - powiedziała przeciągając się rozkosznie. - Bez najmniejszego trudu.

- Ziemia wzywa Turner, Ziemia wzywa Turner. Zgłoś się, Turner...

Kenzie cisnęła w niego poduszką, którą odbił z łatwością.

- No? - zapytała. - Zamówisz wreszcie tę pizzę? Czy wolisz, żebym umarła z głodu?

- Co jest? Linie lotnicze przestały ostatnio podawać jedzenie?

- Jedzenie? - Jej bursztynowe oczy patrzyły na niego z politowaniem.

- Od kiedy to - zapytała - podawane na pokładzie samolotu posiłki nazywają się jedzeniem? Jedzenie, też coś! Pościłam w oczekiwaniu na pizzę z bakłażanem, uprzejmie ci dziękuję.

Podszedł do niej na ugiętych nogach, w parodii kowboja.

- To znaczy - zapytał przeciągając samogłoski - że jesteś naprawdę głodna?

Kenzie, przymrużywszy oczy, wpatrzyła się w niego z uwagą.

- A nie mówiłam, że jestem?

- Taa, ale chciałem mieć pewność. Czy naprawdę masz taki apetyt na pizzę?

- Dlaczego? Czyżbyś wolał, żebym miała ochotę na coś innego?

Charley wysunął do przodu biodra i uśmiechnął się szeroko.

- Tak sobie pomyślałem, że może miałabyś ochotę na kęs czegoś z życia.

- Cały Charley! - westchnęła Kenzie udając znudzenie. - Ten sam niezmiennie erotomanski, jednotorowy umysł. - Udała rozdierające ziewnicie i postukała się dłonią po ustach.

- Wolałabyś, żeby mi nie brakowało twojego ciała? - Charley zrobił urażoną minę.

- Dlaczego? Czyżbyś za nim tęsknił? - Usta Kenzie drgnęły w uśmiechu.

- Czy niedźwiedzie....

- Proszę cię....

- No to jako człowiek czynów, a nie słów, muszę pozwolić, by moje czyny mówiły za mnie.

- Taaak?

- Taaak - odpowiedział.

I o trzy guziki w rozporoku dalej czyny przemówiły. Czy cuda się nigdy nie skończą? Jak mogła tak całkowicie zapomnieć o aksamitnej

miękkości jego ust, o sile ramion z mięśniami jak powrozy, które zaciskały się wokół niej, o tym dobrym, świeżym, męskim zapachu jego skóry?

Wszedł w nią, aż zabrakło jej powietrza i uniosła ją chmura błogości. Cudownie było tak roztopiać się w pożądaniu i czuć na sobie jego rozkoszny ciężar, kiedy ich ciała zlewały się w jedno!

- Charley, och, Charley... - jęczała.

Kiedy zaczął się w nią zagłębiać raz za razem, rozluźniła mu pasek, zsunęła spodnie niżej i przytrzymała jego małe, jędrne pośladki, żeby go przycisnąć do siebie jeszcze mocniej.

- To już tak długo! - wykrztusiła. - O Boże! Jak dobrze! Jak cholernie dobrze...

W miarę, jak narastało w niej pożądanie, zaczęła jak szalona obsypywać pocałunkami jego wargi, policzki, brodę, szyję, ramiona, pierś.

- Do końca, Charley! - błagała. - Do samego końca!

Wbijał się w nią coraz to mocniej i mocniej, coraz szybciej i szybciej, a ona drgała pod nim, wyginała się i zaciskała wokół niego, dopasowując się do jego tempa.

A potem fala namiętności spadła na nią, pochwyciła w wir, weisnęła, w dół i zaczęła unosić coraz wyżej. Ciało Kenzie szarpało się w dzikich spazmach rozkoszy. Krzyknęła, a z gardła Charleya wyrwał się głęboki jęk; nie mógł już dłużej się powstrzymać i pozwolili, by ich oboje porwała burza orgazmu.

Powoli szalejące płomienie i huragany przycichły. Charley leżąc na niej, rozkosznie przygniatał jej ciało, gdy z trudem starali się odzyskać oddech.

- Witaj w domu, kochana! - powiedział, kiedy ustały już rozkoszne dreszcze.

- Czy naprawdę? - zapytała Kenzie. - Czy ty naprawdę?

- Czy ja naprawdę co?

- Czy naprawdę aż tak za mną tęskniłeś?

Pocałował ją w czubek nosa.

- Aż tyle, kochanie - odrzekł - i jeszcze dużo więcej. W jej oczach pokazała się figlarna iskierka.

- Coś mi się zdaje, że można dostać jeszcze repetę tego samego?

- Jedną repetę - zapewnił ją z uśmiechem. - Drugą. Trzecią.

- O rany!

- Ale ta pizza...

- Charley?

- No?

- Niech szlag trafi pizzę - powiedziała Kenzie ochryłym głosem.

* * *

I już było jutro. W cudowne, ożywcze, październikowe popołudnie Kenzie i Zandra siedziały w łódce, pływając po jezioru w Central Park.

- W siódmym miesiącu? - wykrzykiwała Kenzie ze zdumieniem. - Już zaczyna się siódmy miesiąc! Nie możliwe! To po prostu niemożliwe!

Niebo nad ich głowami było srebrzystoniebieskie, liście na drzewach zaczynały dopiero zmieniać kolor i wszyscy chcieli wykorzystać piękną pogodę - turyści w zaprzężonych w konie powozikach, dzieci z balonami podskakującymi wesoło w powietrzu, potencjalni maratończycy, biegnący na serio alejkami, psy łapiące frisbee. Znad wierzchołków drzew jak istoty wyższego rzędu ukazywały swoje pełne godności fasady ekskluzywne budynki mieszkalne przy Fifth Avenue.

Zandra przełknęła ostatni kęs olbrzymiego precla i popiła go łykiem czekoladowego mleka z wielkiego papierowego kubka.

- Na miłość boską, Kenzie - powiedziała. - Oczywiście, że to możliwe. Policz na palcach, kochanie. Przekonasz się. Wysłałam za mąż w marcu tego roku, tak?

- Tak - zgodziła się Kenzie, powoli zanurzając wiosła w wodzie.

- A teraz mamy początek października, prawda, kochanie?

- Wiem, że jest październik. Chciałabym tylko wiedzieć, gdzie się podział ten czas!

- Kochanie, sama nie wiem. W kwietniu już byłam w ciąży. A biedna, nieszczęsna, droga Becky zginęła w maju. To tylko pięć miesięcy temu! Czy można się dziwić, że lord Rosenkrantz jest niepokojony? Dobrze, że ma Dinę. Zginęłyby bez niej!

- To prawda, że go sobie przysposobiła?

- Nie przysposobiła, kochanie. To jej partner. - Zandra przyjrzała się leżącym na ławeczce resztkom po lunchu Kenzie. - Czy masz zamiar zjeść tego korniszona?

- Nie. Poczęstuj się, proszę.

- Och, dobrze. - Przyjaciółka pochyliła się do przodu, chwyciła ogórek i odgryzła chrupiący koniec. Przeżuwała go z niemal ekstatyczną radością. - Cudowny! - Oparła się o wyściełane siedzenie i spuściła leniwie drugą dłoń w wodę.

Kenzie skrzywiła się, przeszedł ją dreszcz.

- Chili, precel, kakao i korniszony? Aj waj! Nie licząc tego bajgla z wędzonym łososiem, którego zjadłaś po drodze, oraz sernika.

- Przecież ja jem za dwoje!

Kenzie zablokowała wiosła i ugryzła kęs swojego własnego lunchu. BSP - prawdziwa, potrójna kanapka z bekonem, sałatą i pomidorem, minus B, ale za to z plasterkami jajek na twardo i sosem.

- Mniam, pyszne - powiedziała z pełnymi ustami. - Czyż to nie cudowne? Czy zdajesz sobie sprawę, że spędziwszy tyle lat w Nowym Jorku jeszcze ani raz tego nie robiłam?

- Chcesz powiedzieć, że nie pływałaś tu łódką? - Zandra miała przeżoną minę. - Kochanie, chyba nie mówisz serio! A po cóż innego są parki?

- Zwykle niedogodności życia w mieście? - zasugerowała Kenzie. - Bandyci? Gwałciciele? Rabusie? Narkomani?

- Boże mój, ależ ty jesteś zblazowana. Popatrz tylko, jak tu jest cudownie!

- Tak, ale tylko dlatego, że ty tu jesteś - Kenzie wzięła wiosła i znowu zaczęła nimi poruszać.

- Skoro już masz tych swoich dwóch chłopaków, to chyba któryś mógłby cię zabrać na przejażdżkę łódką? - Zandra wyciągnęła dłoń z jeziorka, strząsając wodę z palców. - Wciąż jeszcze masz ich dwóch, prawda? Charleya i Hannesa?

Kenzie westchnęła.

- Dałam sobie czas, aż się skończy ta aukcja. - Zanurzyła wiosła w wodzie, pociągnęła nimi, podniosła je i zanurzyła znowu. - A potem muszę się na któregoś z nich zdecydować.

- Czy któryś z nich o tym wie?

- Wczoraj wieczorem powiedziałam Charleyowi.

- O? - Zandra wsunęła sobie resztkę korniszona do ust. - I jak to przyjął?

- Zdumiewająco dobrze, zważywszy wszystko.

- A Hannes?

- Powiadomię go dziś wieczorem.

Przyjaciółka z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Naprawdę jesteś wcieleniem Jenny Kurta Weilla. Wiesz, tej biednej Jenny, tej, która się nie mogła zdecydować.

- Zmieńmy temat, dobrze? - powiedziała błagalnym tonem Kenzie. - Proszę!

- Jak chcesz. Ale tak czy owak, miałam cię o coś zapytać. Jak zapatrywałabyś się na to, żeby zostać chrzestną matką? Tylko szczerze.

Kenzie wytrzeszczyła na nią oczy i otworzyła usta ze zdumienia.

- Może byś mi to powiedziała jeszcze raz?

- Proszę cię, żebyś została chrzestną matką mojego własnego, jasnie oświeconego maleństwa.

- Ja... byłabym zachwycona! I zaszczyciona!

- Tak się cieszę. No to mamy już tę kwestię z głowy. A teraz, czy będziesz kończyć tę swoją kanapkę...?

- Możesz ją zjeść.

- Na pewno?

- Oczywiście, że na pewno. - Kenzie się roześmiała. - W końcu jestem tym osobiście zainteresowana. Muszę dopilnować, żeby mój chrześniak wyrósł na mocne i zdrowe dziecko!

- Kochana jesteś! Naprawdę będę cię kochać zawsze, zawsze. - Zandra rzuciła się na resztki kanapki. - Podobnie jak mały Ernst-Albrecht - dodała.

- Ernst... Albrecht?

- Yhm - Zandra poklepała się po brzuchu. - Ernst-Albrecht Rudger Gregorious Baldur Engelbert Burchard Georg Lorenzo Rainer-Maria von und zu Engelwiesen. To znaczy - dodała wyjaśniająco - jeżeli to będzie chłopak.

- A chrzestna matka ma wszystko zapamiętać? I to po kolei?

- No chyba!

- Rany boskie! Lepiej mi gdzieś zapisz tę całą litanie, żebyś mogła zacząć się uczyć na pamięć. Ale nie będę musiała zwracać się do niego tym łamańcem językowym przez cały czas, prawda? Chyba wystarczy po prostu Ernie albo Al? Czy nie?

- Al nie. - Zandra pogroziła jej palcem. - W żadnym wypadku! Ale Albie.... niewykluczone.

* * *

- Po aukcji? Oczywiście, że się zgadzam - powiedział Hannes. - Ale dlaczego akurat wtedy, Kenzie?

Do syta smakowali kojące uczucie błogostanu i zaspokojenia po miłej ekstazie.

- Och, sama nie wiem.

Kenzie wyplątała się z kłębowiska pościeli, pociągnęła łyk Veuve Cliquot, odstawiła kieliszek na szafkę nocną i zwinęła się w kłębuszek, opierając głowę o tors mężczyzny.

- Przypuszczam - odezwała się z namysłem, popatrując na mroczny sufit - że ta aukcja wyznacza pewien punkt w czasie. Wiesz, coś w rodzaju kamienia milowego. Jak Nowy Rok albo podobny termin. Nie pytaj

mnie, dlaczego, ale w jakiś dziwny sposób wydaje mi się to sensowne.

Pocałował ją w czubek głowy i objął ramionami.

- Hannes...

- Tak, Kenzie?

- Gdybym się zdecydowała na Charleya, to ty... ty nie zrobisz mu krzywdy, prawda?

- Ależ, Kenzie! - zachichotał. - Z jakiego to powodu wydaje ci się, że mógłbym coś takiego zrobić?

- Z żadnego. Niemądra jestem. Zapomnijmy o tym.

Odwróciła się w jego objęciach i zmieniła pozycję, układając się na boku, żeby widzieć jego profil.

- Przecież nie jestem nikim w rodzaju *femme fatale*. - Westchnęła cicho na samą myśl o tym.

Hannes przesunął się lekko, żeby na nią popatrzeć.

- A więc jakiego rodzaju kobietą jesteś, kochana?

Kenzie wzruszyła ramionami.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. - Nie mogła oderwać od niego spojrzenia. - Myślę, że jest ze mnie taka zwyczajna, ogólnoamerykańska dziewczyna z sąsiedztwa, gatunek ogrodowy.

- Nie, Kenzie. - Potrząsnął głową i się uśmiechnął. - Wcale nie uważam, żebyś była taka zwyczajna.

- No to za kogo mnie uważasz?

- Za kobietę odpowiednią dla mnie - odrzekł cicho Hannes.

BURGHLEY ROK ZAŁOŻENIA 1719
prosi o łaskawe przybycie
11 listopada
o godzinie 18:00
do Madison Avenue Galleries
na aukcję
rzadkich i ważnych obrazów Starych Mistrzów
z majątku Diuszesy
Rebeki Cornille Wakefield Lantzouni de la Vila.
R.S.V.P. Tylko za zaproszeniami. Stroje wieczorowe

Rozesłano piętnastego października tysiąc takich zaproszeń, wytłaczanych na czerpanym papierze i zapieczętowanych ciemnoczerwoną, jedwabną wstążką.

Zostały zaadresowane ręcznie, a wyboru adresów dokonał komputer; na liście znalazła się cała plejada najbogatszych, najpotężniejszych i najbardziej liczących się w hierarchii towarzyskiej obywateli (500), cieszące się najwyższym uznaniem osobistości (50), klienci, którzy najczęściej u Burghleya wydawali (390), główne światowe autorytety w dziedzinie twórczości Starych Mistrzów (15) oraz dyrektorzy największych muzeów na świecie (45).

Naturalnie nie mogło się obejść bez kilku makabrycznych pomyłek - i nie obeszło się. Na przykład wysłano zaproszenie do Becky V, ponieważ nie usunięto jej jeszcze z list komputerowych. Otrzymał również zaproszenie ojciec Karla-Heinza, stary książę - chociaż pogrążony był w nieodwracalnej śpiączce.

No trudno. Na całym świecie doręczano zaproszenia tym, którzy mieli władzę i byli uprzywilejowani oraz jeszcze kilku wybranym oprócz nich.

* * *

Sułtanowi bogatego w ropę naftową emiratu przyniesiono jego zaproszenie na złotej tacy razem z coca-colą, którą specjalnie dla niego rozlewano w srebrne butelki.

- Och, mój skarbie, mój pupilku - powiedział sułtan do młodzieńczego chłopca, który akurat w tej chwili był jego ulubieńcem. - Pokażę ci Nowy Jork...

* * *

W Beverly Hills najszynniejsza na świecie aktorka filmowa aż zapiszczała z zachwytu, kiedy, pluskając się w basenie kąpielowym, otworzyła zaproszenie.

Uśmiechnęła się do wszystkich swoich słodkich piesków - szóstego męża, który rozłożył się na szezlongu i sześciu Lhasa Apos, które poszczekując biegały jak szalone dookoła basenu.

- Dowiedz się, od kogo możemy pożyczyć odrzutowiec - zwróciła się do sekretarza. - Zaraz, zaraz i załatw apartamenty w Waldorf Towers dla tyłu osób towarzyszących co zwykle...

* * *

W Bota Raton A. Dietrich Spotts przesunął dłonią po upragnionym zaproszeniu i uśmiechnął się z triumfem.

Ciekaw byłem, kiedy przyjdzie, powiedział do siebie i jeszcze pomyślał, że nie wolno mu zapomnieć zadzwonić do linii lotniczych w sprawie rezerwacji i do Burghleya w sprawie R.S.V.P. To jedno z tych wydarzeń, z którego nie zrezygnowałbym za skarby świata.

* * *

Dina Goldsmith nic na to nie mogła poradzić. Trzymanie się na ubożcu nigdy nie było jej mocną stroną, i chyba nigdy nie miało być. Ku rozpaczy wszystkich u Burghleya - a zwłaszcza Sheldona D. Faireya - rzuciła się w wir działalności. I to z całą gorliwością!

Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, co się dzieje, już objęła kierownictwo nad organizacją wszystkich etapów aukcji po Becky V.

U Burghleya już panowało napięcie, jeszcze zanim zaangażowała się w całą tę sprawę Dina, a teraz atmosfera zrobiła się wręcz zabójcza, jak we wnętrzu szybkowara. Tysiące spraw trzeba było załatwić, a czas, w którym należało to wszystko wykonać, był ograniczony.

A pani Goldsmith prędzej dałaby się posiekać, niż pozwoliła na jakiegokolwiek niedopatrzanie.

Zachęcała i przypocholebiała się, groziła i stawiała ultimata.

To ona podejmowała ostateczne decyzje, przeredagowywała informacje do prasy, przeprowadzała setki rozmów telefonicznych dziennie, brała udział w naradach handlowych, wysuwała propozycje, zatwierdzała reklamy. Ona też zażądała wprowadzenia wielu zmian podczas korekty katalogów. To Dina, kiedy pojawiły się problemy z transportem obrazów Becky z Francji, dopilnowała, żeby błyskawicznie dosłano potrzebną dokumentację. Kiedy należało prześledzić, co stało się ze skrzynią z Palm Beach, albo kiedy trzeba było szybko odrestaurować uszkodzone malowidła, doprowadzała do tego, że natychmiast uzyskiwano zamierzone rezultaty.

Nie wiadomo jak to robiła, ale była wszędzie na raz, a pracownicy nauczyli oglądać się przez ramię, zanim we własnym gronie zaczęli narzekać.

Nic dziwnego, że udało jej się przy tym nastąpić paru osobom na odciski. Kiedy skargi doszły do Roberta, postanowił się z nią rozmówić.

- Nie wiem, po co tak się angażujesz w to gówno - zrzędził. - Jeszcze masz za mało zajęć?

- Oczywiście, że nie, skarbie - zagrychała Dina, zarzucając mu ramiona na szyję. - Ale muszę dopilnować, żeby ta aukcja była po prostu doskonała. Komu innemu twój interes tak leżałby na sercu?

Rzeczywiście, komu?

Z dnia na dzień pani Goldsmith stała się przerażającą siłą, z którą należało się liczyć. Naturalnie to ona miała ostatnie słowo w sprawie upragnionych, rozsyłanych w ostatniej chwili zaproszeń.

Gdy tylko rozeszła się o tym wiadomość, „przyjaciele”, z którymi nigdy w życiu się nie zetknęła, zaczęli pukać do jej drzwi. Ludzie zapraszali ją na kolacje i rauty, proponowali prywatne odrzutowce i jachty do dyspozycji, obsypywali kosztownymi podarunkami.

Kilku wielkich projektantów mody posunęło się nawet do tego, że w zamian za zaproszenia obiecali Dynie nieodpłatnie nieograniczoną ilość strojów z nowych kolekcji.

Należy jej oddać sprawiedliwość: zwracała każdy prezent i w subtelny sposób odrzucała każdą propozycję. To było łatwe. Ponieważ przynajmniej tym razem nie o prezenty jej chodziło, nie potrzebowała łapówek. Jedyna rzecz, która miała dla niej znaczenie, to fakt, że wreszcie zabiegano o jej względy; że składano jej propozycje, które mogła odrzucić.

Dina dowiodła w krótkim czasie, że ma wielkie talenty organizatorskie. Co prawda, wciąż jeszcze spadało na nią wiele uwag krytycznych, ale ona sama była jak źródło mocy, dzięki któremu różne sprawy dawało się załatwić. Pracownicy szybko nauczyli się, że najpewniejszym sposobem na pokonanie biurokracji jest skontaktowanie się z małżonką głównego akcjonariusza.

I powoli, ale zdecydowanie pani Goldsmith zaczęła zdobywać sobie szacunek wśród najrozmaitszych zespołów ludzi.

Do Roberta wciąż jeszcze dochodziły skargi, lecz teraz już tylko cienką strużką. Jedna rzecz rzuciła mu się jednak w oczy - brak rachunków. Chociaż wydawało się to niewiarygodne, jego żona niespodziewanie zrobiła się tak zajęta, że nie miała czasu chodzić po zakupy, czym był zachwycony.

Gdyby to tylko tak mogło trwać, pomyślał sobie tęsknie. A potem nagle wpadł na pomysł. To się da zrobić!

Nie był głupi i wiedział, że nie powinien zwracać się ze swą propozycją do Diny. Natychmiast wywęszyłaby, że coś w tym śmierdzi. Bardzo rozsądnie zaszczeplił bakcyła Gaby.

- Wiesz, czym powinnaś się zająć? - zaproponowała sekretarka swej pracodawczyni następnego dnia.

- Czym, skarbie?

- Zaangażować całą tę twoją energię w akcje dobroczynne.

- A jak myślisz, czym ja się teraz zajmuję? - odparła Dina. - Wcale nie figuruję na liście płac, a cały dochód z tej aukcji pójdzie na cele dobroczynne!

- Mam na myśli, jak to się już skończy.

- Hmm... - powiedziała z wahaniem pani Goldsmith.

Może i Gaby ma dobry pomysł, pomyślała. Mogłoby to się okazać zabawne. Przynajmniej bym się nie nudziła.

- Może i tak? - odrzekła. - Będę to sobie musiała dokładnie przemyśleć.

Tymczasem data aukcji zbliżała się nieubłaganie, a pozostała jeszcze do zrobienia taka przerażająca ilość rzeczy.

Dina jednak dopilnowała, żeby wszystko było gotowe na czas i zgodnie z jej wysokimi wymaganiami.

Kiedy mówiła pani Goldsmith, ludzie słuchali - i brali się do dzieła.

Bo jak nie, to...!

61.

Gerhard Meindl czekał po drugiej stronie bariery celnej na międzynarodowym terminalu przylotów na lotnisku Kennedy'ego. Kiedy zobaczył, że już idą, poprawił swój ciemnopopielaty krawat, a następnie głęboko odetchnął i poszedł w ich kierunku.

- Witam w Ameryce, wasze wysokości - powiedział po niemiecku. - Mam nadzieję, że mieli państwo przyjemny lot?

- Okropny - pociągnęła nosem księżniczka Sofia. - W dzisiejszych czasach na pokład samolotu wpuszczają dosłownie każdego! Nawet w pierwszej klasie siedzi się koło takich okropnych współpasażerów! Po drugiej stronie przejścia znalazła się koło nas jakaś obrzydliwa para młodych ludzi. Oboje mieli kolczyki w wargach i w nosie, i w brwiach. To ohydne! - Wyrzuciła w górę ręce. - Naprawdę zaczyna człowiek tęsknić do dawnych, dobrych czasów. Prawda, Erweinie?

- *Ja*, Sofio - powiedział hrabia z pełną znużenia rezygnacją.

Stał tuż za żoną, trzymając w rękach jej nesesery z biżuterią i kosmetykami. Za nimi trzech bagażowych wiozło na wózkach istną górę klasycznie niemieckich eleganckich waliz.

- Następnym razem - dodała Sofia - polecimy rodzinnym odrzutowcem.

Gerhard Meindl pokiwał współczująco głową; wiedział, dlaczego nie zrobili tak tym razem. Sofia nie życzyła sobie, żeby brat został uprzedzony o jej przyjeździe.

- Samochód czeka tutaj - powiedział i wskazując dłonią kierunek, poprowadził całe towarzystwo do automatycznych szklanych drzwi, a potem dalej na zewnątrz. - O, tam!

Sofia z niesmakiem popatrzyła na srebrzystoszarą limuzynę. Co za ohyda! - pomyślała, porównując ją ze swym majestatycznym, starym

daimlerem. Auto, którym miała teraz jechać było takie, jak wszystko w Ameryce. Odwiedzała ten kraj kilka razy i za każdym razem czuła się przybita rażąco prymitywnością we wszystkim, co widziała. Teraz znowu poczuła się tym przybita, a przecież jeszcze nie zdążyła wyjść z lotniska!

Spiorunowała wzrokiem bagażowych, którzy nie dość delikatnie ładowali walizy do bagażnika.

- Daj im napiwek, Erweinie - warknęła. - Ale nie wpadaj w przesadę!
- Uniosła brwi.

- *Nein*, Sofio.

Pochyliła się, wsiadła do samochodu i czekała, aż bagaż znajdzie się na miejscu. Wydobyła z torebki złotą puderniczkę i przypudrowała twarz.

- Czy zarezerwował nam pan pokoje? - zapytała, kiedy już ruszyli.

Gerhard Meindl skinął głową.

- Tak, wasza wysokość - zapewnił swą pracodawczynię. - Apartament z dwiema sypialniami w Carlyle'u, tak jak pani sobie życzyła. Osobiście go sprawdziłem. Sądzę, że uzna go pani za całkiem zadowolający.

- Jeżeli nie, to i pan, i dyrekcja hotelu o tym usłyszycie.

Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, pomyślał prawnik.

Sofia popatrzyła z rosnącą irytacją na męża, który usiadł obok. Trzymał obydwu nesesery na kolanach, jak gdyby bronił ich przed niewidzialnymi złodziejami.

- Och, postawże je na podłodze! - warknęła.

Hrabia posłuchał natychmiast.

- Czy podjęli już państwo decyzję, jak długo mają zamiar zatrzymać się w Nowym Jorku? - zapytał troskliwie Gerhard.

- Przyjechaliśmy na aukcję - odpowiedziała Sofia - ale zostaniemy tu, dopóki nie urodzi się dziecko. W ten sposób zyskam pewność, że nic, co się wiąże z tym porodem, nie będzie nieuczciwe ani sprzeczne z prawem rodzinnym.

Meindlowie musieli odebrać to jako obrazę, rozmyślnie wymierzony policzek, ale Gerhard starannie ukrywał swe odczucia.

- A czy wolno mi zapytać o starego księcia? Jak się czuje jego wysokość?

- Może pan, ale nie czuje się dobrze - odrzekła księżniczka z wyraźną satysfakcją. - W zeszłym tygodniu miał jeszcze jeden wylew.

- Z przykrością to słyszę.

- Tak - odpowiedziała powoli - jestem pewna, że to dla pana przykra wiadomość.

* * *

Dina wmaszerowała do Burghleya z Gaby idącą o pół kroku za nią. Ich przybyciu powinien był towarzyszyć dźwięk bębnow i trąb.

- Dzień dobry, pani Goldsmith - powitał ją czolobitnie odzwierny.

- Dzień dobry, Raoulu.

- Śliczny dzień dziś mamy, prawda?

- Śliczny... - Dina zatrzymała się w drzwiach, odwróciła i popatrzyła ze zdumieniem na niebo. - Rzeczywiście Raoulu, chyba śliczny!

I pomaszerowała dalej, a za nią ruszyła sekretarka.

- Wazeliniarz! - mruknęła Gaby, przesywając go spojrzeniem.

Raoul szeroko się uśmiechnął.

- Ja pani też życzę miłego dnia, pani Morton.

- Dołóż do tego pięćdziesiąt centów i kup sobie kawę! - Kobieta popatrzyła nań spođe łba.

- Dzień dobry, pani Goldsmith - powitał Dinę ochroniarz.

- Dzień dobry, Carmine. Widzę, że jesteś na posterunku.

Mijając Carmine, Gaby wskazała na jego buty. Kiedy pochylił głowę, uszczypnęła go w policzek.

I pomaszerowały dalej, z towarzyszeniem słyszanych w duchu przez Gaby bębnow i trąb.

Pierwszy punkt na liście Diny: galerie pokazowe, gdzie ze ścian zdejmowano właśnie ostatnią wystawę dzieł Becky V, impresjonistów i malarzy współczesnych, rysunki, akwarele i rzeźby.

Następny przystanek: sala, gdzie miała się odbyć sama aukcja, z zakręcającymi w elegancki łuk, jak w amfiteatrze, teatralnymi fotelami, krytymi czerwonym aksamitem, przy których tak się upierała w październiku zeszłego roku. (Rok? Czy naprawdę było to tak dawno temu?)

To ogromna poprawa w stosunku do owych tanich, metalowych, składanych krzesel, pomyślała pani Goldsmith, chociaż może nie powinienam się chwalić.

Nagle zatrzymała się, jakby wrosła w ziemię.

- Co u diabła?

Potem rzuciła się do przodu przez centralne przejście i pokazała oskarżycielsko palcem na lewo i prawo. Tam i tam., i tam.... tam, tam, tam... Tapicerka na piętnastu opuszczanych siedzeniach foteli została porozcinana tak, że widać było białą wyściółkę i sprężyny!

- Wandale! - wykrzyknęła Dina. - Mój Boże! Wandale u Burghleya! Do czego ten świat zmierza!

Wyszła z sali wściekła, z ponurą miną, i poszukała najbliższego pracownika ochrony.

- Tak, proszę pani?
- Kto dopuścił do tego, żeby zniszczono fotele w sali aukcyjnej? - warknęła.
- Przepraszam panią?
- Proszę wezwać komendanta ochrony. Proszę mu powiedzieć, żeby zameldował się w biurze Sheldona D. Faireya. I to już!
- Tak proszę pani.
- Gaby?
- Tu jestem.
- Dopilnuj, żeby te uszkodzone fotele zdemontowano i pokryto nową tapicerką. Natychmiast!
- Dobrze.
- I dopilnuj, żeby materiał był ten sam! - Tak jest!
- I zadzwoń do tych dwóch detektywów. Wiesz, których. Chcę, żeby im natychmiast o wszystkim doniesiono.

* * *

Przyglądał się, jak ładowano pocięte fotele na wóz meblowy. Po bokach furgonu widniał napis: SALON TAPICERSKI CHANTILLY & CIE, a pod tym adres w Long Island City i numer telefonu na 718. Zapamiętał i jedno, i drugie.

To było aż śmiesznie proste. Właściwie to dziecinnie proste. Jedna z wielu luk w systemie ochrony i wcale nie jakaś wyjątkowo oryginalna.

Ludziom wyszłoby na dobre, gdyby znali klasykę, pomyślał. Była to dokładna powtórka historii z koniem trojańskim, tyle że z drobną zmianą. Kiedy siedzenia foteli wrócą na miejsce, znajdzie się w nich mnóstwo interesujących rzeczy - środków wybuchowych, broni półautomatycznej i krótkiej, amunicji.

Takie proste. Takie starożytne. Takie piękne. Takie zabójcze.

Nie mógł się już doczekać.

CEL:

OPERACJA BURGHELEY

Końcowe odliczanie

*W pobliżu Wilmington, Delaware
7 listopada*

- Dziewięćdziesiąt godzin i osiemnaście minut do godziny zero, proszę państwa!

Elektronicznie zniekształcony głos zakapturzonej postaci odbijał się niesamowitym echem w przepastnym pomieszczeniu.

Stara fabryka, w której kiedyś paczkowano pestycydy, stała nad brzegami martwego, zanieczyszczonego kanału i podobnie jak otaczające ją budynki stanowiła relikwium przeszłości, a tym samym idealnie nadawała się do ich celów. Była to czwarta hala przemysłowa, jaką zajmowali od czasów Long Island City.

Nieprzewidywalność mogła decydować o przetrwaniu, przenoszenie się z miejsca na miejsce - o bezpieczeństwie.

Jak zwykle przed jego przyjściem zgaszono wszystkie światła poza jedną nagą żarówką, która zwisała z długiego przewodu pod sufitem, rzucając potworne cienie na ospowate ściany z żużlobetonu. Przypatrywał się dobranej przez siebie ekipie przez szparę w wypukłych soczewkach. Gdy pozbył się Kildare'a, zostało mu ośmiu mężczyzn i jedna kobieta.

- Czy wszystko przygotowane?
- Wszystko - odrzekł izraelski eks-komandos.
- Broń? Środki wybuchowe?
- Są już na miejscu - zapewnił były żołnierz piechoty morskiej z jednostek MORS. - Łatwizna.
- Droga ucieczki?
- Przygotowana - odezwał się francuski śmiałek.
- Odpowiednie ubrania?
- Smokingi dla mężczyzn. - Tym zajmowała się kobieta. - Żadnych metek pozwalających wyśledzić miejsce zakupu.

- Zaproszenia?
- Mamy - powiedział krótko Japończyk. - Włamanie się do ich komputera było dziecinnie łatwe. Wystarczyło wprowadzić nasze fałszywe nazwiska na listę. Zaproszenia czekały na nas w skrytkach pocztowych.

- Czy wszyscy znają rozkład pomieszczeń?
- Wystarczająco, żeby móc się poruszać po ciemku - zapewnił go Libijczyk.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.
Odgłos oddechu zakapturzonej postaci był wzmocniony, jak na ścieżce dźwiękowej z jakiegoś horroru.

- Czy ktoś ogarnęły może jakieś skrupuły?
Bracia z Kolumbii wybuchnęli śmiechem.
- Pamiętajcie! Żadnego zabijania bez konieczności! Zgasić tylko tych, których koniecznie trzeba. Zrozumiano?

- Pewno, *amigo* - odrzekł niższy z dwóch Kolumbijczyków. - *My comprende.*

Jego brat zachichotał.

- Lepiej dla was, żebyście *comprende!*
Obydwóm śmiech zamarł na ustach.
- Planowanie tego zajęło mi ponad rok. Jeżeli którykolwiek z was coś spieprzy, nie żyje! Czy wy to *comprende?*

Zapadło milczenie. Dziewięć głów przytaknęło ponuro.

- Ostatnia okazja, żeby zadać pytanie. Słucham.
Nie było pytań.
- Proszę się nie martwić - odezwał się Niemiec. - Nigdy się nie dowiedzą, co na nich spadło.

- Lepiej, żeby się nie dowiedzieli!

I z tymi słowami zakapturzona, pozornie nieważka postać cofnęła się baletowym ruchem - cień wtapiający się w cienie. W chwilę później usłyszeli, jak zatraskują się drzwi. Podrasowany silnik zaryczał.

Niemiec nacisnął pilota. Nad rampą załadunkową włączyła się ukryta kamera wideo, wyposażona w soczewki na podczerwień. Zaczekali, aż samochód odjedzie, a potem Niemiec poszedł wyjąć taśmę. Kiedy wrócił, włożył ją do odtwarzacza wideo, włączył monitor i nacisnął guzik play. Na ekranie nowojorska tablica rejestracyjna była ledwie widoczna - ale mimo wszystko dawała się odczytać. Nacisnął guzik stop.

- Masz ją?

- Mam.

Japończyk uruchomił swój komputer; nie minęło pół godziny, a już włamał się do Nowojorskiego Wydziału Rejestracji Pojazdów.

- Teraz dowiemy się, kim jest nasz szef.

Cała ósemka stłoczyła się i wbiła oczy w monitor, kiedy spec od informatyki wystukiwał na klawiaturze numer rejestracyjny. Po kilku sekundach na ekranie pojawił się napis:

FERRARO, CHARLES, G.
7 JONES STREET
NEW YORK NY 10014

Nowy Jork, 8-11 listopada

Wielomiesięczne szaleństwo dobiegało końca.

Na trzy dni przed aukcją u Burghleya wszystko lśniło jak lustro. Rozesłane na objazdową wystawę najbardziej atrakcyjne dzieła z kolekcji Becky V wróciły już, nie ucierpiawszy ani trochę; w Tokio, Hongkongu, Londynie, Genewie i Dubaju przyciągnęły całe tłumy widzów.

A teraz przysłała kolej na Nowy Jork - i Burghley był gotów.

Liczbę uzbrojonych pracowników ochrony potrojono. Tuż za frontowym wejściem zainstalowany został wykrywacz metali, taki jak na lotniskach, a dostępne dla publiczności sale i korytarze nieustannie znajdowały się pod obserwacją pięćdziesięciu kamer wideo.

Każdemu pracownikowi, od Sheldona D. Faireya do najskromniejszej sprzątaczkii, wydano przypominające karty kredytowe identyfikatory, na których nie brakowało nawet hologramów i zdjęć.

Przy każdym drzwiach, od rampy załadowniczej do wyjść awaryjnych, stała przez całą dobę straż i nikomu nie wolno było korzystać z żadnego wejścia poza głównym.

Nocą świeżo zainstalowane reflektory zalewały ściany budynku od zewnątrz jaskrawym, ostrym światłem.

Teren na zewnątrz patrolowała ochrona, a i tak rzucającą się w oczy obecność policji podkreślały jeszcze powoli krążące po okolicy niebiesko-białe wozy.

Z powodów bezpieczeństwa przy obrazach nie podano żadnych szacunkowych cen, nie było ich też ani w katalogach, ani na kartach o wymiarach trzy na pięć, umieszczonych na ścianach obok eksponatów. Cztery słowa mówiły wszystko: szacunkowa cena na żądanie.

I nic w tym dziwnego.

Nigdy jeszcze w jednym domu aukcyjnym nie zgromadzono takiej ilości skarbów; w klimatyzowanych salach wystawowych setki oświetlonych malowideł wisiały w milczącej chwale:

Veronese, Bellini, Tycjan, Rubens, della Francesca. Skarby dla najbogatszych z bogatych, dla tych dwóch czy trzech tysięcy ludzi, których będzie na nie stać.

Raphael, Leonardo, di Cosimo, Caravaggio, Poussin. Okazja dla garstki muzeów o przepastnych kieszeniach i dla takich, które będą się musiały zdecydować na zmniejszenie stanu posiadania, na sprzedaż mniej wartościowych obiektów, żeby móc nabyć słynne dzieło wielkiego mistrza.

Rembrandt, Durer, Tintoretto, Pontormo, Boucher. Doskonale lokaty dla grup inwestycyjnych i funduszy emerytalnych, dla łupieżczych korporacji i królów przestępczości.

Van Dyck, Gainsborough, Reynolds, Ingres, Turner. Ozdoby na ściany pałaców Monako i Brunei, Riadu i Belgravii, Sutton Place i Beverly Hills.

Wystawę otwarto czwartego listopada o dziesiątej rano. Pomimo chłodnej mżawki w kolejce ustawiły się tłumy ludzi - rzecz niesłychana w przypadku wystawy przedaukcyjnej - którzy czekali godzinami, a długi szereg chętnych ciągnął się przed Burghleyem aż do przecznicy.

Dla bezpieczeństwa do środka wpuszczano tylko po sto osób naraz; kiedy któraś z nich wyszła, wpuszczano następną.

Kolejka wydłużała się i wydłużała.

W południe trzeba już było poustawiać drewniane policyjne barierki i zamknąć cały jeden pas ruchu na Madison Avenue. Po południu trzeba było przywieźć przenośne toalety. O piątej wystawa została zamknięta dla publiczności i przez następne cztery godziny można było wejść tylko za zaproszeniem albo za specjalnym pozwoleniem. Tylko tego jednego dnia przez sale wystawowe przewinęło się tysiące pełnych podziwu, milczących z zachwytu widzów.

Następnego dnia tłum czekający, żeby zobaczyć wystawę, podwoił się, katalogi zostały wyprzedane i trzeba było dodrukować i dosłać ich jeszcze kilka tysięcy.

Jak podano w wiadomościach, frekwencja w Metropolitan Museum spadła do istniej kapaniny. Wszyscy chcieli zobaczyć skarby Becky V.

- Cholera! - Ktoś podsłuchał, jak mamrotał do siebie pan Goldsmith.
- Powinniśmy byli wpuszczać za biletami!

* * *

- Dina! - ryknął Robert z sypialni. - Zawiązałaś mi tę cholerną muszkę?

To było do przewidzenia: magnat Wall Street się ubierał.

- Już idę, skarbie - zawołała jego żona i po raz ostatni przyjrzała się sobie w lustrze.

Odpowiedziała jej spojrzeniem modelka z wybiegu i dokładnie o taki właśnie efekt chodziło. Wargi różowawo-czerwone, kości policzkowe podkreślone pięcioma odcieniami różu, oczy zaakcentowane ametystowym cieniem i tuszem.

Miała na sobie model Ungaro - obcisłą górę bez ramiączek z różowej koronki ze szwami aż nadto podkreślonymi czerwonymi i czarnymi dżetami, długą do ziemi spódnicę z aksamitu w kolorze czerwonego wina. Oraz dopasowany do tego żakiet z długim rękawem i jedwabną, różową podszewką.

Całość uzupełniały kanarkowe brylanty o rozmiarach drobnych monet i czarne, siatkowe rękawiczki w małe czarne kropeczki.

Rozkoszne.

Kiedy wkroczyła do pokoju Roberta, mąż siedział na łóżku ściskając mocno w zębach cygaro.

- Nienawidzę muszek! - narzekał. - Powinienem być je skreślić, gdy nadarzyła się była okazja po temu.

- No, no, złotko - uspokajała go Dina, biorąc sprawę w swe umiejętnie dłonie i po mistrzowsku przewlekając dwa końce w idealną kokardkę. - Wiesz przecież, jak ci do twarzy w muszce.

- Taaa? - Popatrzył na nią lubieżnie poprzez chmurę dymu.

- Tak. - Poklepała go po policzku. - A teraz rusz się już, skarbie. Wiesz, że przed aukcją czeka nas szampan. Do czego by to było podobne, gdybyś się nie pokazał, żeby powitać tych wszystkich wielkich ludzi?

- No idę, już idę! - zrzędził Robert dźwigając się na nogi. Dina poprawiła mu nieco przekrzywiony pas.

- Och, skarbie! - zagruchała - taka jestem podniecona!

- Tylko niech cię nie poniesie! Jeszcze tego mi trzeba, żebyś sama zaczęła licytować jak szalona!

- Ależ, złotko! - Popatrzyła na męża z wyrzutem. - Lepiej, by nikt u Burghleya nie słyszał, jak mówisz coś takiego. - Pomogła mu włożyć marynarkę. - No, jesteś gotowy. Zapnij się i idziemy!

* * *

- Wasza wysokość!

Karl-Heinz i Zandra mieli właśnie wejść do windy, kiedy zatrzymał ich Josef z telefonem w ręce.

- Tak, Josefie? O co chodzi? - zapytał księżę.

- Dzwoni doktor Rantzau.

Dyrektor wiadomej kliniki pod Augsburgiem! Karl-Heinz poczuł skurcz w żołądku. Boże, modlił się, spraw, żeby to nie były złe wiadomości. Jakoś udało mu się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Dziękuję, Josefie. - Zwolnił windę i wziął słuchawkę. Służący wycofał się dyskretnie.

- Doktor Rantzau? - Karl-Heinz przeszedł na niemiecki. - Co się stało?

Lekarz odpowiedział mu w tym samym języku.

- Chodzi o pana ojca, wasza wysokość. - W jego głosie brzmiał niepokój.

- Tak?

- Serce starego księcia zatrzymało się dwadzieścia minut temu.

Przez moment Karl-Heinz miał wrażenie, że jego serce też się zatrzymało. Potem ruszyło znowu i zaczęło tak łomotać, jakby chciało się mu wyrwać z piersi.

Zandra przyglądała się mężowi ze zmarszczonymi brwiami.

- Heinzie? - zapytała bezgłośnie. - Coś złego?

Zakrył słuchawkę ręką.

- Mój ojciec! - odpowiedział pośpiesznie.

- Na szczęście - kontynuował doktor Rantzau - udało nam się przywrócić pacjenta do życia. Jego stan jest jednak tak niepewny, że wszelkie dalsze tego typu wysiłki więcej zaszkodzą, niż pomogą.

Karl-Heinz głęboko zaczerpnął powietrza.

- Rozumiem, panie doktorze - powiedział znużonym tonem. - Od tej chwili zdamy się na naturę.

- Och, Heinzie! - jęknęła Zandra, ściskając go za rękę.

- Czy wasza wysokość jest pewien swej decyzji? - zapytał lekarz.

- Absolutnie pewien. To nie fair, żeby mój ojciec musiał przechodzić przez coś takiego. Jestem pewien, że wolałby umrzeć z godnością. Wiem, że wolałby.

- Cóż, wasza wysokość, całkowicie się z tym zgadzam.

- Może powinienem przy nim być? - zapytał Karl-Heinz cicho.

- Zawsze jest księżę mile widziany - zapewnił go doktor Rantzau. - Ale może zaczeka pan dwadzieścia cztery godziny? To będzie wóz albo przewóz.

Tak naprawdę, to on ma na myśli, że albo przyjadę za późno, albo jego stan się nie zmieni, pomyślał Karl-Heinz.

- Będzie pan ze mną w kontakcie, panie doktorze?

- Oczywiście, wasza wysokość.

- Może się pan ze mną porozumieć, będę pod telefonem komórkowym. - Karl-Heinz podał lekarzowi numer i rozłączył się.

Zandra wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, zielonymi oczami.

- Tak mi przykro, Heinzie - odezwała się łagodnie.

- Wiem - odpowiedział półgłosem. - Nie powinniśmy czuć się zaskoczeni. Niemniej jednak...

- Wyobrażam sobie. Chodźmy, kochanie. - Wzięła go pod rękę i poprowadziła do drzwi apartamentu.

- Nie. - Potrząsnął głową. - To nie ma znaczenia, gdzie będę. Polecę Concorde jutro rano. - Podniósł głos. - Josefie?

Służący pospiesznie wyszedł z mieszkania.

- Tak, wasza wysokość?

- Zabierz to - polecił księżę, podając mu słuchawkę. - I przynieś mi komórkę.

- To znaczy... czy to znaczy, że jednak idziemy na aukcję? - spytała zaskoczona Zandra.

- Czemu nie? - uśmiechnął się smutno Karl-Heinz. - Może nas to przynajmniej na chwilę rozerwie.

* * *

W swoim apartamencie w Carlyle'u księżniczka Sofia rozmawiała przez telefon ze starym Augustem Meindlem.

- Chcę, żeby natychmiast udał się pan wraz ze swym synem Klausem do kliniki - mówiła. - Nie mam zaufania do personelu. Gdyby mój ojciec miał umrzeć dziś w nocy, macie panowie być świadkami jego śmierci,

- Tak, wasza wysokość.

- I macie mnie natychmiast powiadomić. Będę miała telefon ze sobą.

- Tak, wasza wysokość.

- I jeszcze jedno, *Herr* Meindl. - W głosie Sofii pobrzmiwała groźba.

- Wasza wysokość?
- Niech mnie pan nie zawiedzie.
- Nie, wasza wysokość.

Księżniczka rozłączyła się i wepchnęła telefon komórkowy do obszytej koralikami torebki. Jeśli tylko będą mieli szczęście, pomyślała, wystarczy odrobina szczęścia...

- Erwein!
- *Ja*, Sofia? - Jej mąż siedział tuż za nią na sofie. Odwróciła się do niego w chmurze szarzielonego szyfonu i strusich piór.
- Czy jesteś gotów? Wychodzimy do Burghleya.
- Jestem gotowy - odpowiedział, podnosząc się na baczność.
- Czy wzięłaś zaproszenia?
- *Ja*. Mam je tutaj. - Poklepał się po kieszeni na piersi. Żona wzięła go pod rękę i uśmiechnęła się z triumfem.
- Kto wie? Może nawet kupię jakiś obraz? Mam ochotę uczyć się dziś dzień!

* * *

- Nie do wiary, co za frekwencja! - szepnęła Kenzie do Arnolda stojącego na uboczu. Przemierzała wzrokiem salę wystawową tam i z powrotem, jakby była czujną panią domu.

- Powinnaś zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz - powiedział. - Więcej gapiów niż na premierze w Hollywood. Brakuje jedynie reflektorów. Oho, kiwa na mnie Annalisa. Zaraz wracam! - Wślizgnął się w tłum popijających szampana magnatów, osobistości, gwiazd filmowych, ich małżonków oraz osób im towarzyszących.

- Kenzie? - zaćwierkał cienki, znajomy głos.

Kenzie obejrzała się i zobaczyła go: wysoki, wychudły i pochylony, spoglądał na nią topazowymi oczami sponad okularów.

- Pan Spotts! - zawołała. - Och, jak się cieszę, że pana widzę! - Objęła go gorąco na powitanie.

- No, no - zbeształ ją. - Jeżeli jeszcze raz zwrócisz się do mnie per pan, to zacznę na ciebie mówić „pani Turner”.

- To tylko przejęzyczenie, Dietrichu - powiedziała Kenzie radośnie - nic więcej, tylko pocziwe, stare przejęzyczenie. O Boże, Arnold padnie chyba, jak cię zobaczy. Tak się cieszę, że udało ci się przyjechać!

- A jak mógłbym nie przyjechać? - Zatoczył krąg drżącą ręką i uśmiechnął się lekko. - Przecież taka aukcja trafia się raz w życiu!

* * *

Na zewnątrz przy Madison Avenue, lord Rosenkrantz pomagał Suzy de Saint-Mallet wysiąść z rolls-royce'a o klasycznej linii. Przy jego pic-kwickowskiej sylwetce siostra Becky wyglądała szczególnie krucho i upiornie. Miała na sobie czarną długą suknię od Valentino; jedno wychudłe ramię i ręka były odsłonięte, a drugie całkiem zakryte.

- Wolalbym, żebyś się do tego nie mieszała, moja droga - mówił lord półgłosem, przyglądając się z niesmakiem tłumowi fotografów i łowców słynnych osobistości. - Wiesz, że nie musiałaś tu przychodzić.

Suzy podniosła brodę do góry.

- Nonsens, *chéri!* Przecież wiesz, że musiałam. Przy tej okazji przyda się trochę starej magii Cornille-Saint Mallet-de la Vile'ów. Ludzie się mnie tutaj spodziewają. I myślę, że dobrze mi zrobi uczestnictwo w aukcji. Może dzięki temu cały ów koszmar zostanie w pewien sposób zamknięty.

Lord Rosenkrantz potrząsnął głową.

- Na twoim miejscu ktoś inny trzymałby się z daleka od tego cyrku.

- Być może. A ty?

- Co ja? - Popatrzył na nią.

- Dla ciebie to również może nie być łatwe - zauważyła stłumionym głosem. - Wiem, ile Becky dla ciebie znaczyła.

Uśmiechnął się smutno.

- Może ja również mam nadzieję na jakieś zamknięcie?

Suzy poklepała go po ręce.

- Jesteś dobrym człowiekiem - powiedziała. - Dałeś Becky dużo szczęścia.

- I z wzajemnością. - Wzruszył ramionami. - Przy niej ja również byłem bardzo szczęśliwy.

- Suzy! Kochana! - wykrzyknął za nimi jakiś kobiecy głos.

Na ułamek sekundy twarz kobiety zmartwiała; potem wicehrabina przywołała swój olśniewający, oficjalny uśmiech, który dawno temu doprowadziła do perfekcji.

* * *

- Charley?

Wydawało się, że miniaturowa słuchawka, którą miał w uchu, wychwyciła to słowo z pustego powietrza. Transmitowane w tle odgłosy,

paplanina i falujący śmiech przypominały brzęczenie ula. Detektyw Ferrara ogarnął czujnym spojrzeniem główną salę aukcyjną, w której kilka czerwonych, aksamitnych foteli było już zajętych. Wsunął palec za ciasno przylegający kołnierzyk koszuli; zdecydowanie nie czuł się dobrze w wypożyczonym fraku.

- Charley? - powtórzył głos.

Odwrócił się do ściany, żeby ukryć to, co robi i podniósł do ust prawą rękę.

- Słyszę cię, Hannes - powiedział do mikrofonu na nadgarstku.

- Tu, w holu, nie mamy żadnych problemów, Charley. Poza facetami, przy których włączają się wykrywacze metali. Dwunastu było pod broń, ale mieli zezwolenia. Komisarz policji przekonał ich, żeby oddali spluwy na przechowanie.

- Dobrze. Tu też wszystko w porządku. Idę sprawdzić jeszcze raz tymczasowy magazyn obrazów. *Over.*

Odwrócił się i zobaczył, że kilka następnych foteli zostało zajętych. Sami mężczyźni. I wszyscy na wyborowych...

...strategicznych?

... pozycjach przy przejściu.

Dlaczego? - włączył się jego instynkt gliniarza.

Może po prostu nie lubią ciasnoty, odpowiedział sam sobie, tłumiąc nagle poczucie niepokoju. Nie mogą mieć im tego za złe. Ja też lubię mieć co zrobić z nogami.

Takie niewinne wyjaśnienie. I jakie to podobne do niego, żeby dmuchać na zimne. No, ale jeżeli nawet puszczał wodze wyobraźni, związane to było z zawodowym poczuciem ryzyka, którego nie są w stanie przezwyciężyć żadne, żeby nie wiem jak zaostrzone środki bezpieczeństwa.

A były takie, że każdy mógłby popaść w paranoję.

Lepiej idź sprawdzić te obrazy, powiedział sobie Charley.

* * *

Ośmiu mężczyzn, którzy zajęli fotele przy przejściu, siedziało cierpliwie, starannie nie zwracając uwagi jeden na drugiego. Jeżeli w dwóch miejscach nacisną swe fotele, odskoczy zamontowane na sprężynach dno siedzenia, a umieszczoną pod spodem broń można będzie w sekundę wziąć w rękę.

Broń była naładowana.

Gotowa do strzału.

* * *

Patrząc, jak fotele wypełniają się najbogatszymi i najpotężniejszymi ludźmi na świecie, poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny. Szli jak owce na rzeź - zadowoleni z siebie i wyizolowani z tłumu, niby jakieś istoty wyższego rzędu, którym się wydaje, że mają tę planetę na własność. Ale już wkrótce owo uczucie ich opuści, wiedział to. Już niedługo będą przeżeni i zastraszeni, a niejeden z nich narobi pod siebie.

I już niedługo przynajmniej kilku z nich zginie.

63.

Aukcja trwała.

Na twarzach bogatych i możnych tego świata, siedzących w rzędach pluszowych foteli, wyraz pewności siebie i zadowolenia ustąpił miejsca skoncentrowanemu napięciu i podnieceniu.

Pod młotek szła właśnie *Infantka Małgorzata* pędzla Velázquez, obiekt nr 17. Kiedyś wisiała nad gzymsem kominkowym u Becky V w salonie przy Fifth Avenue; teraz wystawiono ją na sztalugach na obrotowej platformie, jak również wyświetlono slajd na ścianie; licytacja była zawzięta.

Zza swego pulpitu Sheldon D. Fairey kierował publicznością jak doświadczony dyrygent orkiestry symfonicznej, nakłaniając uczestników, by oferowali więcej, więcej i jeszcze więcej.

- Dwadzieścia milionów sto tysięcy dolarów! - oznajmił.

Kenzie, Arnold i Annalisa szepnęli coś pospiesznie do swych telefonów, posłuchali licytujących na odległość klientów i unieśli ołówki w górę jak różdżki.

Fairey skinieniem głowy dał im znać, że ich zauważył, ale patrzył gdzie indziej.

- Dwadzieścia dwa miliony dwieście tysięcy... dwadzieścia dwa miliony trzysta...

Klient Kenzie odpadł. Wyłączyła telefon i rozejrzała się dookoła.

Po drugiej stronie sali wzdłuż przejścia spacerował Hannes, a po jej stronie tam i z powrotem chodził Charley. Przed każdymi z trzech par podwójnych drzwi stało po dwóch umundurowanych, uzbrojonych ochroniarzy, z rękami założonymi na plecy.

Wzrok Kenzie pomknął ku Zandrze i Karlowi-Heinzowi, Dinie i Robertowi Goldsmithom. Gdzieś z tyłu dojrzała swoją dawną kierowniczkę, Bambi Parker.

- Trzydzieści milionów dolarów!

Kenzie uświadomiła sobie, że w tym krótkim czasie, kiedy skierowała uwagę na publiczność, oferty wzrosły niebotycznie, a moment ów był tak pełen napięcia, że nikt nawet nie ośmielił się głośniej odetchnąć.

- Trzydzieści milionów sto tysięcy... trzydzieści milionów dwieście tysięcy...

Mała garstka paetek unosiła się w górę i opadała w dół, w górę i w dół; przekazywano sobie dyskretne sygnały; środkowoschodni sułtan pocierał brodę, a bankier z Hongkongu postukiwał się po nosie.

A pan Fairey wciąż jeszcze przyjmował oferty, grał na publiczności jak na instrumencie, przypochlebiał się zebrany, podniecał ich; astronomiczne kwoty działały hipnotyzująco, unosiły się spiralą jak dżin z arabskich baśni... To była najwspanialsza z aukcji: w równych częściach składały się na nią transakcje, gry hazardowe i dramatyzm następujących po sobie faktów.

- Czterdzieści milionów dolarów!

Czterdzieści...?

Kenzie gwałtownie odwróciła głowę w kierunku pulpitu, zza którego Sheldon D. Fairey przyglądał się przejętej sali.

Musiła zająć jakąś pomyłka! pomyślała. Ja chyba... chyba źle usłyszałam!

Milczenie pękło, kiedy Arnold ze słuchawką przy uchu dał sygnał.

- Czterdzieści dwa miliony.

Kenzie aż oniemiała z wrażenia, a ciężkie oddechy przetoczyły się wzdłuż rzędów foteli jak fala.

Czterdzieści dwa miliony dolarów? Z przerażeniem, fascynacją i kielkującym poczuciem triumfu zerknęła w kierunku sztalug, na których wystawiono licytowany obraz.

Oprawny w złote ramy portret infantki patrzył z płótna z dziecinną, siedemnastowieczną wyższością, a wyżej, jak na tablicy przylotów i odlotów na ruchliwym lotnisku, falowały jaskrawe, elektroniczne liczby - błyskawiczne przeliczenia najnowszej oferty z dolarów na sześć innych walut:

BURGHLEY
ROK ZAŁOŻENIA 1719

OKAZ NR 17

US \$	42 000 000
BR FUNT	24 990 000
FR FRANK	268 443 000
D MARKA	79 422 000
LIRY '000'	58 096 500
SW FRANKI	70 896 000
JENY '000'	5 628 000

wszystkie przeliczenia podano w przybliżeniu

Pełne oczekiwania milczenie robiło się coraz bardziej nerwowe, napięcie przypominało już coś żywego, niemal można było zobaczyć, że rozciąga się w powietrzu jak guma. Kenzie musiała świadomie zmuszać się do oddychania.

Panie Boże w niebiesiech, zastanawiała się, do jakiej wysokości mogą dojść oferty?

Ale nawet ona, weteranka nieprzeliczonych aukcji, nie miała pojęcia. Abstrahując od jakości, rzadkości i wartości rynkowej dzieł, w grę wchodziła jedna dzika karta, która powodowała, że wszelkie domysły stawały się zawodne. Kolekcja należała kiedyś do Becky V

A ile to jest warte, zgadywać mógł każdy. Trzeba po prostu poczekać i przekonać się na własne oczy.

* * *

Charley odwrócił się do ściany i powiedział cicho do mikrofonu na nadgarstku:

- Hannes? Słyszysz mnie?

W słuchawkach trzeszczało, ale usłyszał przyciszony głos partnera.

- Tak, Charley.

- Wychodzę sprawdzić punkt dowodzenia ochroną. Uważaj na wszystko, dobrze?

- Nie ma problemu.

- Wyłączam się!

Detektyw Ferraro odwrócił się, poprawił sobie mankiet i spojrzął ponad morzem głów na drugą stronę sali. Kiwnęli sobie z Hanessem głowami, a potem Charley popatrzył na podwyższenie.

W tym przynajmniej momencie mógł równie dobrze być niewidzialny. Uwagę Kenzie, podobnie jak całej reszty, przykuły podskakujące w zawrotnym tempie oferty. Poczul drgnienie urazy, potrząsnął głową z irytacją.

- Czterdzieści cztery miliony - mówił Sheldon D. Fairey. - Czy ktoś zgłasza czterdzieści cztery miliony sto tysięcy?

Ta niesłychana kwota uwodziła ludzi, niemal rzucając na nich hipnotyczny czar.

Panie Jezu! pomyślał Charley. A można by sądzić, że ci bogacze są uodpornieni na takie pieniądze. Tymczasem byli pochłonięci toczącą się tu grą jak kibice obserwujący mecz.

Nagle poczul niesmak, szybkim krokiem ruszył do najbliższego wyjścia i spiorunował wzrokiem dwóch ochroniarzy, którzy przyglądali się licytacji równie gorliwie jak cała reszta.

- Obudźcie się! - warknął i odepchnął ich na bok, żeby otworzyć sobie ciężkie, stalowe, wahadłowe drzwi.

Szedł szybko korytarzem, potrząsając z irytacją głową. Nieuwaga tamtych dwóch nie dawała mu spokoju. Głupie, tepe próżniaki! Czy nie zdawali sobie sprawy, że stoją tam po to, by chronić ludzi?

Skłonny był ściągnąć kilku doświadczonych gliniarzy z ulicy, żeby wzmocnić ochronę... ale oni mieli robotę na zewnątrz, patrolowali okolicę Burghleya. To tam ich obecność była naprawdę potrzebna. Gdyby doszło do najgorszego, niebezpieczeństwo przyjdzie z zewnątrz, nie ze środka.

Mimo to kiedy już znajdzie się w punkcie dowodzenia, nie zaszkodzi nimi trochę wstrząsnąć. Niech lepiej uważają.

* * *

- Pięćdziesiąt milionów dolarów! - zawołał śpiewnie Sheldon D. Fairey. - Mam ofertę na pięćdziesiąt milionów dolarów!

Na sali aukcyjnej podniósł się na chwilę pomruk jakby fali przypląwu, a elektronika błyskawicznie przeliczyła tę sumę na inne waluty.

- Czy zgłasza ktoś ofertę na pięćdziesiąt milionów sto tysięcy?

Po lewej stronie sali uniosła się paletka włoskiego magnata.

Klient Arnolda odpadł; Annalisa, wciąż jeszcze z telefonem przy uchu, podniosła do góry ołówek.

- Mam dwie oferty na pięćdziesiąt milionów sto tysięcy. Czy będzie oferta na pięćdziesiąt milionów dwieście tysięcy?

I znowu do góry uniosła się paletka magnata, i znowu Annalisa dała znak olówkiem.

Rozległ się zbiorowy jęk, niemal grozy. Nawet Kenzie poczuła, że usta otwierają jej się ze zdumienia. Ponad pięćdziesiąt milionów? PONAD PIĘĆDZIESIĄT MILIONÓW? To było nie do wiary. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się w przeszłości, żeby za kogoś ze starych mistrzów złożono taką ofertę. Ta kwota w głowie się wprost nie mieściła. Najwyższa cena, jaką kiedykolwiek zapłacono, to było wtedy, kiedy Getty Museum wyłożyło trzydzieści pięć milionów za portret Cosimo de Medici Jacopo da Pontormo.

Ale pięćdziesiąt milionów dwieście tysięcy...?

Kenzie siedziała w szoku. Cała sala zamarła; wydawało się, że tylko infantka świetnie się bawi tą ciszą.

- Pięćdziesiąt jeden milionów! - zawołał spokojnie, po królewsku, łysiejący dzentelmen w smokingu z Saville Road, podnosząc stawkę o osiemset tysięcy dolarów.

Wszyscy drgnęli, jakby przez ich pluszowe fotele przeszedł prąd; głowy zaczęły odwracać się w kierunku uczestnika aukcji, który zgłosił ostatnią ofertę. Annalisa powiedziała coś spieszenie do telefonu, a potem się rozłączyła.

- Czy usłyszę pięćdziesiąt jeden milionów sto tysięcy?

Kompletna cisza. Podniecenie wzrastało crescendo. Nosy drgały, węsząc, skąd mogłaby nadejść owa kosmiczna oferta.

- Pięćdziesiąt jeden milionów dolarów po raz pierwszy - oznajmił pan Fairey. - Pięćdziesiąt jeden milionów dolarów po raz drugi...

Uniósł młotek, ale zanim go zdążył opuścić, wszystko nagle zmieniło się w kalejdoskop chaosu i śmierci.

Ośmiu mężczyzn z ośmiu narożnych miejsc pochyliło się i zwolniło sprężynowe spody swych foteli. Kiedy się podnieśli, każdy z nich trzymał półautomatyczny pistolet bojowy uzi 45 w każdej ręce.

Co u diabła...? pomyślała Kenzie. A to skąd się wzięło? I nagle się domyśliła. Te fotele! Te zniszczone siedzenia foteli, które trzeba było pokryć na nowo!

Ale wszystko działo się teraz w takim tempie, że nie mogła się połapać. Dochodziły do niej przerażające, trwające ułamki sekund obrazy, jak gdyby te koszmarnie sceny zostały na moment zamrożone w stroboskopowym blasku światła.

Jeden z ochroniarzy uświadomił sobie, co się dzieje, wrzasnął: „Nie ruszać się!” i mężnie sięgnął po swój rewolwer.

Za późno; spóźnili się wszyscy. Były żołnierz z MORs i kolumbijscy bracia okręcili się wokół; każdy z nich strzelał równocześnie z dwóch pistoletów. Rozległo się staccato półautomatycznego ognia: rat-tat-tat-tat-tat!, dwaj ochroniarze drgnęli jak marionetki, a ich piersi, ręce i nogi wybuchły chmurą krwi. Kule rykoszetowały od stalowych drzwi i gwizdały we wszystkich kierunkach.

Powietrze rozdarł pełen grozy chór wrzasków, doskonale ubrany tłum dał nura pod fotele, wciskając się w podłogę.

Kiedy strzelanina wreszcie się skończyła, na sali zapanowała niesamowita cisza.

Nikt się nie śmiał poruszyć.

Nikt nie śmiał się odezwać.

W powietrzu unosił się zapach kordytu oraz woń strachu i śmierci.

Na podwyższeniu Kenzie, Arnold i Annalisa zamarli na swych miejscach, zbyt wstrząśnięci, by poruszyć się czy szukać kryjówki. Sheldon D. Fairey trzymał się ze wszystkich sił pulpitu rękami, twarz miał spopielała, dłonie aż białe.

Na dole Japończyk, Niemiec i Libijczyk włączyli się do akcji. Każdy popędził do jednego z wyjść, kopniakiem usunął sobie z drogi trupa ochroniarza i po każdej stronie wahadłowych drzwi przyczepił po dwa połączone przewodem wybuchowe urządzenia magnetyczne.

Jakiś ruch w bocznym przejściu zwrócił uwagę Kenzie. Ekskomandos izraelski trzymał Hockerta na muszce. Ten widok był jak fizyczny ból. Zdusiła okrzyk i siłą woli próbowała nakazać Hannesowi spokój. Boże, daj, błagała, żeby nie zrobił nic głupiego.

Nie zrobił. Powoli, ostrożnie unióś do góry ręce w geście poddania, a Kenzie poczuła falę aż mdlącej ulgi. Został obszukany, zabrano mu rewolwer, nadajnik i słuchawkę. Dwa ostatnie rzucono MORsowi, który je założył. Potem brutalnie popchnięto Hannesa w kierunku foteli.

Potknął się i upadł, ale żył, dzięki Bogu! Nie zabili go!

Kenzie zmówiła krótką modlitwę dziękczynną...

... i uświadomiła sobie, że w tym nagłym zamieszaniu straciła kompletnie z oczu Charleya.

Charley! Gdzie on jest? zastanawiała się jak szalona. Kim są te mordujące niewinnych ludzi sukinsyny i czego chcą?

Miała niemiłe przeczucie, że niedługo się dowie.

* * *

- Co się tam, do cholery, dzieje? - wrzasnął Charley, wpadając do pokoju kontrolnego. - Moja słuchawka właśnie oszalała...

Dziesięciu operatorów, którzy monitorowali wmontowane w ścianę, czarno-białe ekrany wideo, uzupełniane przez dziesiątki innych, wmontowanych równymi szeregami na półkach pod pozostałymi dwoma ścianami, podskoczyło ze strachu. Nie zwracając na nich uwagi, ruszył prosto na monitory, które pokazywały salę aukcyjną z lotu ptaka.

Milczał, opierając się o blat, dłonie mu zbieleły, twarz przybrała nagle lodowaty wyraz.

- Cholera! - powiedział cicho.

- Ma pan co do tego rację. - Jeden z operatorów, czarny czterdziestoparoletni mężczyzna odsunął krzesło i podniósł wzrok. - Można by powiedzieć, że... ekskrementy trafiły w wiatrak!

Charley nie spuszczał oczu z monitorów.

- Zawiadomiliście komisarza?

- Właśnie skończyłem z nim mówić. Wściekły jak wszyscy diabli!

- Nie tylko on - stwierdził posepnie Charley. Postukał w jeden z ekranów. - Ochroniarze. Ranni czy nie żyją?

- Nie żyją. Nie mogą, sądząc po tym, z czego dostali.

- Broń półautomatyczna?

- Tak jest. Wszystko celne strzały, rany wielokrotne. Widziałem to na własne oczy.

- Szlag!

Charley odetchnął kilkakrotnie głęboko i powoli, żeby przywołać do porządku kurczący się żołądek i łomoczące serce. Zawaliliśmy sprawę, pomyślał ponuro, próbując opanować gniewną frustrację. Ale w którym miejscu popełniliśmy błąd? Jak...?

- Czy ktoś jeszcze zginął? - zwrócił się z napięciem do czarnego mężczyzny.

- Jeszcze się nie da powiedzieć.

Charley skinął głową. Odsunął mankiet, uniósł nadgarstek do ust i powiedział:

- Hannes, zgłoś się, Hannes. Czy mnie słyszysz? Zapanowała cisza, słychać było tylko zakłócenia.

- Hannes, słyszysz?

- Hej! - odezwał się jakiś obcy głos prosto w jego ucho. - A ty kto jesteś? - Głos był napięty i poirytowany, słychać w nim było leciutkie przeciąganie samogłosek.

- Mógłbym o to samo zapytać.
- Tyle że w twoim położeniu nie bardzo możesz pytać.
- Gdzie jest Hannes?
- Ten facet, co miał przy sobie to cudeńko?
- Tak.
- Zneutralizowany, ale nic mu nie jest. Chyba że mu się zachce zgrywać bohatera.
- Może zechciałby mi pan powiedzieć, co się tam dzieje.
- Przyglądacie się nam? Na wideo?
- Tak jest.
- No to pozwolę sobie dołożyć wam do głosu jeszcze twarz.

Charley zobaczył, jak rewolwerowiec w wieczorowym stroju spacerowym krokiem idzie do kamery i unosi twarz do góry. W chwilę później uniósł rewolwer i strzelił.

Obraz na monitorze zmienił się w śnieg.

- Szlag! - wymamrotał Charley, przechodząc do następnego monitora.

Kiedy zobaczył na podium Kenzie, poczuł potężną ulgę. Znowu uniósł nadgarstek do ust.

- Jeżeli trzymacie tych ludzi jako zakładników, to w oczywisty sposób czegoś chcecie. Czego?

Ale na to pytanie nie otrzymał odpowiedzi.

- Jedno słówko ostrzeżenia - rozległ się głos w jego uchu. - Przy wszystkich wejściach podłączony jest semtec. Tak na wszelki wypadek, gdyby komuś wpadł do głowy genialny pomysł, żeby wziąć tę salę szturmem. Jak któryś z was dotknie drzwi i przerwie połączenie... bum! I to będzie pożegnanie z wami i połową ludzi z tej sali. Czy ty *capiche*?

Charley zgrzytnął zębami.

- Tak - odpowiedział spokojnie, usiłując nie pokazać po sobie, jaki jest wściekły. - Ja *capiche*.

Nie pamiętał już, kiedy czuł się taki bezradny.

Powinienem być tam na dole, myślał wpatrując się w monitor. Gdybym tam był, to może bym coś zrobił! Nagle jednak przyszło mu do głowy, że może lepiej, iż tam nie został. Duża szansa, że już bym nie żył. A wtedy do niczego nikomu bym się nie przydał. A w ten sposób przynajmniej coś mogę zrobić. Gdybym tylko wiedział co.

Zadzwoił telefon i czarny mężczyzna chwycił za słuchawkę.

- Tu punkt kontrolny ochrony. Tak, jest tutaj. Powiem mu. Tak. Natychmiast. - Odłożył słuchawkę.

Charley popatrzył na niego pytająco.

- Kto to?
 - Komisarz. Jest w holu, zbierają grupę do ataku. Chce zakończyć sprawę, zanim zabrnjemy jeszcze dalej.
 - Oddzwoń do niego. - Charley był już w pół drogi do drzwi. - Powiedz mu, że nie może.
 - Będzie chciał wiedzieć, dlaczego.
 - Podłączyli środki wybuchowe na wszystkich wejściach - wyjaśnił mu Charley ponuro - oto dlaczego. Jeżeli wyśle swoją kawalerię, to wszyscy przeniosą się do grona aniołków. Idę na dół do holu, to się z nim zobaczę.
 - Czy ma pan dla mnie jakieś polecenia?
 - Patrz na telewizję. Chcę wiedzieć, czy dzieje się tam coś nowego.
 - Oho - powiedział operator. - Już po naszych oczach!
- Patrzyli obaj bezradnie jak jeden po drugim gasną monitory podłączone do sali aukcyjnej.

64.

Na sali aukcyjnej były żołnierz z MORSA wskoczył na podium, odepchnął Faireya na bok i stanął za pulpitem, ogarniając wzrokiem zgromadzonych. Uczestnicy aukcji wciąż jeszcze kulili się pomiędzy rzędami foteli, a jego siedmiu towarzyszy patrolowało trzy przejścia z gotową do strzału bronią.

- Panie i panowie - zawołał - proszę o uwagę! Będziecie całkowicie bezpieczni, dopóki będziecie się stosować do poleceń. Po pierwsze, chciałbym, żebyście znowu zajęli swoje miejsca.

Nikt się nie poruszył; pistolet MORSA zaterkotał krótko i uderzył ostrzegawczym strzałem w sufit.

- Wolałbym nie musieć powtarzać niczego dwa razy.

Zaszeleściło, gdy całe grono miliarderów i kustoszy muzeów, handlarzy dziełami sztuki i osób z towarzystwa powoli unosiło do góry głowy i rozejrzało się dookoła. Potem ostrożnie zaczęli podnosić się i siadać na fotelach. Zniknęły pewne siebie twarze i poczucie wyższości. Dla wielu był to pierwszy raz w życiu, kiedy czuli się całkowicie bezsilni i wyraźnie było widać ich bezradność i lęk.

- Prawdopodobnie zastanawiacie się, co, u diabła się dzieje, więc może wam to wyjaśnię. - Twarde spojrzenie mówcy nie pasowało do jego uśmiechu, mówił bez cienia modulacji głosu. - Urządzimy sobie tutaj niewielką aukcję. Powiniennem poinformować was również, tak na wszelki wypadek, gdyby komuś z was wpadło do głowy, żeby rzucić się do ucieczki, że do drzwi podłączone są ładunki wybuchowe o wystarczającej mocy, by połowa tej sali wyleciała w powietrze. Cóż, jakby na to nie patrzył, stali się państwo zniewoloną widownią.

Ludzie poruszali się niespokojnie na fotelach, popatrywali na siebie nerwowo i pocieszali się wzajemnie, trzymając się za ręce.

- Proszę więc pozwolić, że się państwu przedstawię. W praktyce wystarczy, że będę nazywał się Jones i do końca tej aukcji to ja będę licytátorem. Wprawdzie nie posiadam licencji z Wydziału Obsługi Klienta, ale nie sádzę, żeby akurat to miało teraz stanowić istotny problem, prawda?

Nikt się nie odezwał.

- Powiniennem również napomknąć, że zmieniły się obiekty i ich numery. Jeden z moich wspólników... powiedzmy, że nazywa się Smith... wręczy każdemu z was numer. To sá przydzielone państwu numery artykułów.

Zapadła głuha cisza.

- Widzicie, przeprowadzimy tu licytację ostateczną, w czasie której sprzedawane będą dużo cenniejsze przedmioty niż jakieś tam obrazy. Te dzieła to wy sami.

Widownia zareagowała szokiem, co było wyraźnie widać. Wszyscy wpatrywali się w „Jonesa” z niedowierzaniem.

- Tak jest - ciągnął dalej - dobrze słyszeliście. Każdy z was to jeden obiekt. Ceny wywoławcze zostały już ustalone. Płacić będziecie obligacjami na okaziciela, które należy dostarczyć na miejsce przed jutrzejszym południem. Jak tylko zostanie wniesiona opłata, będziecie zwolnieni. Można składać oferty na siebie, małżonków i przyjaciół. - Jego zimne, przypominające obsydian oczy wędrowały po sali. - Jeżeli kogoś nie będzie stać na cenę wywoławczą albo opłata nie zostanie wniesiona na czas, no cóż... - Wzruszył ramionami - trudno. Taki ktoś zostanie zastrzelony. Zapewniam was jednak, że śmierć będzie na szczęście szybka. Nie jesteście sadystami.

Skinął na Sheldona D. Faireya, żeby zszedł z podium. Aukcjoner kurczowo trzymał się pulpitu.

- To... to jest oburzające! - Kipiał, prostując się na całą swą wysokość. - Taka aukcja, też coś! To... ta parodia sprowadza się do wymuszania okupu!

Głos pana „Jonesa” był jak smagnięcie batem.

- Albo pan zejdzie na dół, albo poniesie konsekwencje.

Fairey popatrzył mu w oczy. Nie zobaczył w nich litości; jego pewność siebie i asertywność wyparowała i rozsądnie zastosował się do polecenia.

- Dziękuję panu. No więc. Chciałbym, żeby dwoje telefonistów również zeszło na dół - Tu pokazał gestem na Kenzie i Arnolda. - Ta druga młoda dama zostanie na podium.

Kenzie i Arnold uścisnęli oboje Annalisę za ręce i szybko poszli w ślady Faireya. Stanęli z boku pod ścianą, obok czterech młodych ludzi w zielonych fartuchach z tymczasowego magazynu obrazów.

Pan „Jones” zerknął na zegarek.

- Licytacja - powiedział - zacznie się za dokładnie dziesięć minut.

* * *

Hol w budynku Burghleya przypominał centrum dowodzenia w komendzie policji. Usunięto z drogi wykrywacze metalu, wszędzie kręcili się umundurowani policjanci i detektywi. Madison Avenue na zewnątrz zaczęła wyglądać jak jeden wielki parking.

- Szeffie, pogotowie wysłało dziesięć karet - meldował ktoś.

- W drodze są trzy grupy antyterrorystyczne, szefie! - wołał ktoś inny.

Charley usilnie starał się nie podnosić głosu.

- Szeffie, musi mnie pan posłuchać. Jak pan pošle te drużyny antyterrorystyczne, to może pan skreślić karetki. Będzie panu potrzebna kolumna samochodów z rzeźni. Powtarzam panu, że to robota dla jednego człowieka.

Komisarz przewrócił oczami.

- Sierżancie Ferraro, jest pan z oddziału zajmującego się kradzieżą dzieł sztuki. Skąd taki pomysł, że ni z tego ni z owego może pan odegrać rolę Rambo?

- Szeffie, tam jest mój partner. I moja dziewczyna. Jeżeli uda mi się wślizgnąć do środka, to mi pomogą. Będzie nas troje!

- Sam mi pan powiedział, że przy wszystkich wejściach są ładunki.

- Tak. Ale mogę przeczołgać się przez kanały wentylacyjne. Zanim przestrzelone zostały kamery wideo, zauważyłem u góry wylot przewodu ogrzewania.

- Taa?

- I na nim ładunku nie było - powiedział Charley myśląc: Niech mnie Bóg ma w swojej opiece, jeżeli jednak był. Gównu widziałem, ale spróbuję. Muszę zaryzykować. Tam jest Kenzie.

Po raz pierwszy komisarz okazał jakieś zainteresowanie. Stał, patrząc z namysłem na młodego detektywa.

- Proszę mi wskazać chociaż jeden powód, dla którego miałbym nadstawiać karku i pana tam posyłać.

- Ponieważ ja mam wszystko do stracenia, szefie.

- Szlag by to! - Komisarz głęboko odetchnął. - Ciemno mi się w oczach robi, jak słyszę o osobistych motywach. A skąd mam wiedzieć, że nie narazi pan wszystkich na ryzyko, żeby ocalić dwoje ludzi?

- Z całym należnym szacunkiem, panie komisarzu, obawiam się, że pana metoda narazi ich wszystkich na ryzyko. Oddział antyterrorystyczny SWATów może osiągnąć sukces, prawda. Ale ile osób zginie podczas takiej akcji?

- Szefie! - zawołał ktoś. - Właśnie podjechała furgonetka Eyewitness News!

- Niech to szlag najjaśniejszy trafi! - zaklął komisarz. - A specjalnie posługiwaliśmy się telefonami, a nie pasmem policyjnym. Jakiś kretyn z pogotowia musiał dać im cynk. Jak się dowiem kto, to mu nogi z dupy powyrywam!

- Szefie? - nalegał Charley.

- W porządku - powiedział komisarz - słuchaj uważnie, Ferraro. Nie chcę, żebyś zrobił coś, co by naraziło życie tych ludzi. Obydwaj wiemy, że istnieje standardowa procedura postępowania w sytuacjach kryzysowych, kiedy mamy do czynienia z zakładnikami. Nadstawiam karku, pozwalając ci tam iść. Zrozumiałeś?

- Jasno i wyraźnie, szefie. I naprawdę doceniam to. Ale muszę prosić, żeby pan zrobił kilka rzeczy.

- A mianowicie?

- Proszę nie wyłączać ogrzewania, ale przykręcić je. Nie chciałbym się upiec.

- Jak zawalisz sprawę, to dopiero wtedy będzie ci gorąco. Osobiście tego dopilnuję! Co jeszcze?

- Zabrali Hannesowi mikrofon i słuchawki, więc nie próbujcie się ze mną komunikować. Myśli pan, że uda się tu skądś wygrzebać jakieś walkie-talkie?

- Dobra.

- I gdyby pan mógł mnie osłaniać, nadając od czasu do czasu jakiś fałszywy komunikat przez mikroprzeźkaźniki...

- Zrobione. - Komisarz przeszył ryzykanta snajperskim spojrzeniem. - Mam tylko nadzieję, że tego nie pożałuję, Ferraro.

- Ja również mam taką nadzieję. - Charley błysnęła w jego kierunku swym najbardziej uwodzicielskim uśmiechem, z gatunku tych, którym trudno jest się oprzeć. - Ale niech pan na to popatrzy w ten sposób. Co pan ma do stracenia?

- Tylko poparcie burmistrza, gubernatora, dwóch eksprezydentów i praktycznie wszystkich czterystu z listy *Forbesa*. To tylko na początek.

- No tak. - Charley zmarszczył brwi. - Czy mamy pod ręką jakieś pół-automaty?

- Tylko wilkinsona linde. Wzięliśmy go na przechowanie od goryla jakiegoś magnata.

- Dobrze. Pożyczę go sobie.

Komisarz nie wyglądał na zachwyconego. Podał Charleyowi walkie-talkie.

- Nie zawieź no mnie, Ferraro.

- Nie zawiodę, panie komisarzu. Naprawdę doce...

- Dosyć. I zjeżdżaj, zanim pokażą się federalni i skasują ten twój plan na aby-aby.

- Tak jest!

Komisarz poszedł z Charleyem, żeby wyrazić zgodę na wypożyczenie przez niego pistoletu.

- Straciłem już rachubę, Ferraro, ile razy złamaliśmy prawo, więc przestaję liczyć. Jesteś teraz na swoim. Postaram się zyskać dla ciebie tyle czasu, ile mi się uda. Ale to wszystko, co mogę zrobić. A może nawet to mi się nie uda.

- Rozumiem, panie komisarzu. I dziękuję!

Charley wetknął sobie pistolet za pasek, a walkie-talkie do kieszeni spodni. Potem, machnąwszy ręką na pożegnanie, popędził na górę po schodach. W dwie minuty później zdjął z siebie marynarkę, krawat i koszulę, stanął na krześle i wziął się do odkręcania kratki wentylacyjnej, którą miał nad głową.

Gadanie niewiele kosztuje, pomyślał rzucając kratkę na podłogę. Teraz muszę się wywiązać.

Wyciągnął ręce do góry, położył płasko dłonie na blasze i zrećnie się podciągnął.

Blacha ugięła się z trzaskiem pod jego ciężarem. Kiedy już wcisnął się do środka i równiej rozłożył ciężar, odskoczyła z odgłosem, który wydał mu się donośny jak uderzenie pioruna. Skulił się i postanowił na przyszłość mniej hałasować. Dźwięk daleko się rozchodzi, przypomniał sobie. Zwłaszcza w metalowych rurach.

Leżał na płask, ciężar rozłożył równo. Uniósł lekko głowę i popatrzył przed siebie w mrok. Co mniej więcej pięć metrów przez otwory wentylacyjne sączyło się kraciaste światło. Poza tym w przewodach było ciemno, ciasno i duszno.

Teraz będę wiedział, jak człowiek czuje się w trumnie, pomyślał. Jeżeli się stąd wydostanę cały i zdrowy, to napiszę nowy testament: mają mnie skremować. Niemal natychmiast zmienił zdanie. Sądząc po

panującym tu upale, tego też bym nie chciał. Do diabła, jeszcze nie muszę teraz rozmyślać o śmierci. Tam są żywi ludzie i potrzebują mojej pomocy. I wykorzystując dłonie, łokcie, kolana i stopy, zaczął pełznąć do przodu.

* * *

Na sali aukcyjnej dziesięć minut niemal już upłynęło.

Stojąca pod ścianą Kenzie wyczuwała, jak atmosfera grozy narasta. W pierwszym rzędzie Robert trzymał Dinę za rękę, próbując ze wszystkich sił dodać jej otuchy. Obok nich Karl-Heinz obejmował Zandrę za ramiona i coś jej szeptał.

Takie sceny powtarzały się wszędzie dookoła.

Na podium infantka Velázquezza zdawała się patrzeć z pogardliwą wyższością na rozgrywający się przed nią dramat śmiertelników, a Kenzie zastanawiała się, ilu tragedii i horrorów była już świadkiem przez wieki.

Ale czegoś takiego z pewnością nie widziałaś, pomyślała. To musi być coś nowego.

* * *

Dziesięć minut minęło. Pan „Jones” wrócił na podium, odbywszy ze swymi współnikami naradę.

Kiedy się pojawił, wydawało się, że zrobiło się o kilka stopni chłodniej - a przynajmniej takie odnosili wrażenie uwięzieni w czerwonych pluszowych fotelach ludzie. Ich lęk był niemal namacalny, jak gigantyczna, burzliwa chmura rozpościerająca się nad głowami zebranych.

Pan „Jones” odezwał się w te słowa:

- Panie i panowie, mam tutaj - rozwinął plik papierów, który wyjął z kieszeni na piersi i położył na pulpicie - indywidualne oszacowanie wartości pieniężnej każdego z was. Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. - Popatrzył beznamiętnie na szeregi ludzi, jak farmer przyglądający się stadu tłustych kur. - W przeszłości za wasze bogactwa mogliście sobie kupić wiele luksusów, ale dziś wieczorem będziecie sobie mogli kupić rzecz najcenniejszą wśród niezbędnych: życie. Kiedy wywołam numer, wystąpicie do przodu i staniecie tutaj, obok tego obrazu. - Przerwał i skierował oczy na pulpit. Potem podniósł swoją twarzą, chudą twarz do góry. - Obiekt numer jeden - zawołał. - Prosimy tutaj!

Licytacja się zaczęła.

* * *

Charley posuwał się do przodu powoli. Ciasny przewód nie pozwolił na szybkie wykorzystanie zmodyfikowanej metody pełzania i ograniczał jego ruchy.

Gdyby tylko mógł się pospieszyć!

Ale okazało się to niemożliwe. Było tu za nisko, żeby stanąć na czworakach, a pełzać mógł tylko odpychając się łokciami i nogami. Z trudem posuwał się do przodu po kilka centymetrów. Co gorsza, panujący w środku upał gwałtownie go osłabiał, wysysając energię. Charley był zlany potem, ręce i nogi mu drętwiały i zaczynały się skurcze.

Żeby tak po prostu położyć się i odpocząć chwilę.

Nie mogę, powiedział sobie z westchnieniem, a ten oddech był jak podmuch znad paleniska w dusznej, metalowej ciasnej klatce. Nie wolno się zatrzymywać. Zakładnicy liczą na mnie. Kenzie na mnie liczy..

...Kenzie!

Musi posuwać się do przodu. Odpoczynek był luksusem, na jaki nie mógł sobie pozwolić, a jeszcze mniej na jego odpoczynek mogli sobie pozwolić zakładnicy.

Pot ściekał mu strumykami z czoła, palił go w oczach.

Czołgał się naprzód, naprzód...

* * *

- Obiekt numer jeden. To twoja ostatnia szansa!

- Och, nie tak prędko! - zawołał jakiś cierpki, starczy głos.

Ludzie okręcali się na fotelach i wyciągali szyje, ciekawi, kto się odezwał.

Gdzieś w środku po lewej stronie, osiemdziesięcioletnia dama o władczej postawie, z puszystymi, siwymi jak wata cukrowa włosami, podnosiła się właśnie na nogi. Miała na sobie staroświecką suknię nazywaną dżetami i takie brylanty, że zabić by za nie można. Opierając się na lasce, przeproszała siedzących; ludzie, przed którymi się przeciskała, odwracali się bokiem lub na wpół wstawali, żeby było jej łatwiej przejść.

Kiedy już znalazła się w przejściu ruszyła do przodu statecznym krokiem, wyprostowana, bez śladu lęku na twarzy. Jeden z Kolumbijczyków podszedł, żeby pomóc jej wejść na podium.

- Ani nie chcę, ani nie potrzebuję pańskiej pomocy! - oświadczyła ostro, wymachując groźnie laską. - Zwłaszcza pomocy kogoś takiego jak pan!

Kolumbijczyk odsunął się obrażony na bezpieczną odległość, a stara dama weszła powoli po trzech stopniach i stanęła obok Velázqueza; jej szaroniebieskie oczy rzucały błyskawice.

Pan „Jones” zapytał:

- Mildred Davies?

- Dla pana to *pani* Davies - oświeciła go jadowicie.

Przez jego rysy przeszedł skurcz, uniósł w górę jedną, potem drugą kartkę papieru; przesunął palcem wskazującym po trzeciej.

- Tak. Davies, pani Edgarowa. Wiek: osiemdziesiąt dwa lata. Owdo-wiała. Mieszkanka Waszyngtonu, Connecticut. Majątek rodziny pochodzi z Yankee Corrugated Cardboard. Wartość netto osiemset pięćdziesiąt milionów dolarów.

- A więc czytuje pan *Forbesa*. - Pociągnęła nosem. - Czy powinnam być pod wrażeniem?

Oczy wszystkich ludzi na sali wpatrzone były w mówiącą.

- Pani cena wywoławcza została ustalona na pięćdziesiąt milionów dolarów. Do kogo chciałaby pani zadzwonić, żeby zorganizować przekazanie pieniędzy?

- Do nikogo - odrzekła lakonicznie pani Davies.

Na sali rozległo się zbiorowe sapnięcie.

- Przepraszam panią?

- Młody człowieku, jeżeli nie dosłyszysz, to lepiej pójdz do laryngologa. Powiedziałam, że ode mnie niczego nie wyciągniesz.

- Czy zdaje pani sobie sprawę, jaka jest alternatywa?

- Śmierć? - Pani Davies roześmiała się drwiąco. - Ty młody głupcze! Ja się nie boję śmierci. Lekarze tak czy owak dają mi tylko osiem miesięcy. No więc proszę cię bardzo, strzelaj! Zrobisz mi przysługę.

Pan „Jones” skinął na jednego z Kolumbijczyków, który zbliżył się natychmiast.

- Czy jest pani pewna? To pani ostatnia szansa.

- Jestem pewna, i niech twoja dusza zostanie potępiona na wieki!

Kolumbijczyk leniwie uniósł w górę uzi i wśród przerażonych krzyków protestu nacisnął spust.

Półautomatyczny pistolet zatrajkotał ostro, stara dama zdawała się przez moment tańczyć jak oszalała po amfetaminie marionetka, a potem padła na podłogę, jak gdyby ktoś przeciął jej sznurki.

Krzyki wokół nagle ucichły, jakby wyłączono prąd. Ludzie siedzieli zamarli w szoku.

Pan „Jones” stuknął młotkiem.

- Obiekt wycofany z licytacji! - zawołał i rozejrzał się po sali. - Lepiej zacznijcie traktować sprawę poważnie - powiedział im ponuro. - Chyba że chcecie oczywiście dołączyć do pani Davies?

Nikt się nie odezwał.

- No więc dobrze - ciągnął dalej - obiekt numer dwa...

W tym momencie powietrze rozdarł okrzyk bólu.

65.

Twarz Zandry zrobiła się biała jak kreda. Oczy jej niemal wyszły na wierzch, jedną ręką trzymała się kurczowo Karla-Heinza, wbijając mu boleśnie palce w udo; drugą chwyciła mocno Dinę, jakby jej chciała zmiążyć dłoń. Potem zgięła się nagle wół i z trudem udało się ją przytrzymać, kiedy nastąpił kolejny atak bólu.

- Dziecko! - wykrztusiła. - A niech to! Coś się dzieje z dzieckiem! Och, Heinzie..!

Uniosła zalaną potem twarz i popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Cicho - szepnął i zaczął się podnosić.

Zandra chwyciła go za rękę.

- Nie! - W jej głosie pojawiła się rozpaczliwie błagalna nuta. - Proszę cię, nie zostawiaj mnie!

- Nie zostawię - powiedział łagodnie. - Obiecuję ci. - Podniósł się z miejsca.

- Proszę siadać! - Głos pana „Jonesa” przeciął powietrze jak nóż, ale Karl-Heinz nie ustąpił.

- Moja żona zaczęła rodzić przed czasem - oznajmił spokojnie. - Wymaga natychmiastowego umieszczenia w szpitalu.

Pan „Jones” potrząsnął głową.

- Nikt stąd nie wyjdzie.

- Na litość...

- Proszę siadać! - zagrmiał pan „Jones”. - Czy może chce pan dołączyć do pani Davies?

Twarz Karla-Heinza ściągnęła się; nie dał się zastraszyć i nadal stał. Wszystko razem doprowadzało go do wściekłości: uzbrojeni kryminaliści, którzy przechadzali się dumnie dookoła, martwa kobieta leżąca na podium, męka Zandry.

- Nie mam czasu na dyskusje z podwładnym! - uciął zimno. Uniósł rękę do góry i pokazał oskarżycielsko na pulpit. - To nie pan tutaj rządzi. Nie ma pan na to dość rozumu. Proponowałbym, żeby porozumiał się pan z kimś, kto naprawdę kieruje tą akcją. A może nie wpadło panu jeszcze do głowy, że martwi nic nie jesteśmy warci?

Twarz „Jonesa” zrobiła się czerwona z wściekłości, ale ostry krzyk Zandry nie pozwolił mu odpowiedzieć. Książę pochylił się, żeby ją uspokoić.

- Wszystko w porządku - mówił łagodnie. - Wszystko będzie dobrze. Popatrzyła na niego i potrząsnęła głową.

- Nie, Heinzie. - Oczy jej napęłniły się łzami. - Nie jest dobrze...

Przeszedł ją nagły dreszcz, a przez suknię zaczęła przesączać się krew. Najwyraźniej coś było bardzo, bardzo nie w porządku. Miała silny krwotok. Karl-Heinz rozejrzał się dookoła, z jego twarzy biło przerażenie.

Nawet Dina, która nigdy sama nie rodziła, zorientowała się, że za chwilę rozpocznie się poród. Szybko wstała z fotela.

- Co, u diabła...? - ryknął „Jones”, przesywając ją piorunującym wzrokiem.

Ty durny sukinsynu, pomyślała pani Goldsmith i powiedziała:

- Jeżeli nie pozwoli nam pan czegoś zrobić, to ona wykrwawi się na śmierć. Czy o to panu chodzi?

„Jones” patrzył na nią spode łba w milczeniu. Dina przesywała go spojrzeniem. Czemu robić coś połowicznie? pomyślała. Jak już człowiek się naraża, to lepiej na cały gaz.

- Jeżeli księżna przez was umrze - ciągnęła dalej - to możecie się pożegnać z okupem za nią i sądzę, że również z okupem za księcia Karla-Heinza. A to samo dotyczy Goldsmithów, mojego męża i mnie.

Jej słowa zelektryzowały ludzi: w całej sali podniosły się gniewne pomruki.

- Wydaje mi się - zauważyła Dina z palącą pogardą - że z każdą minutą kurczy się wasz wymarzony worek z forszą.

Przez moment „Jones” wydawał się zakłopotany. Ta chmura słownych pocisków była ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał. Niełatwo zastraszyć tych ludzi, pomyślał. A co do kwestii, czy ta kobieta blefuje, czy nie, to decyzja nie należy do mnie.

Dina zobaczyła, że terrorysta rozgląda się dookoła, omiatając salę wzrokiem, jakby szukał rady... Nie, nie rady! - uświadomiła sobie. Pozwolenia! Wiodła oczami za jego wzrokiem, ale nic nie zwróciło jej uwagi.

- Czy myślisz to samo co ja? - szepnęła do Karla-Heinza.

Skinął głową.

- Tak. Oprócz tych ośmiu jest jeszcze gdzieś dziewiąty. Ich przywódca siedzi tu między nami.

Pager „Jonesa” wydał z siebie trzy krótkie piski.

- W porządku - warknął mężczyzna. - Przenieście ją do przejścia. Ale nie wolno jej wyjść. Nikomu nie wolno wyjść!

* * *

Do przejścia? pomyślała z oburzeniem Kenzie. Mają zamiar położyć Zandrę w jednym z przejść? Była wstrząśnięta. Nie tak powinno się rodzić - zwłaszcza jeżeli nastąpiły jakieś poważne komplikacje. Nie, Zandra nie będzie tak rodzić, postanowiła. Nie, jeżeli ja mam cokolwiek do powiedzenia na ten temat! Wystąpiła krok do przodu. W gardle ją ścisnęło, a serce jej waliło. Przez moment zastanawiała się, czy przypadkiem nie robi straszliwego błędu. Ale nie miała czasu zastanawiać się nad konsekwencjami. Chodziło o życie Zandry!

- A może zanieśliśmy ją do magazynu obrazów? - zawołała. - W ten sposób nie będzie przeszkadzała w... - Jej głos zamarł. W czymkolwiek, co by to miało być, pomyślała ponuro.

- Dobrze - zdecydował „Jones” i szeroko się uśmiechnął. - A ponieważ pani wpadła na ten pomysł, może ją pani pomóc przenieść.

Z przyjemnością, pomyślała Kenzie i pospiesznie przeszła do przodu.

- Książę i ja również pomożemy - zdecydowała władczo Dina. - Mój mąż ma nasze numery.

Nie czekając na odpowiedź rzuciła torebkę Robertowi na kolana i ściągnęła siatkowe rękawiczki. Potem wraz z Karlem-Heinzem pochylili się, podłożyli Zandrze ręce pod pachy i unieśli ją do góry. Jak najłagodniej trzymając ją w pionie, powoli, bokiem, przesuwali się do przejścia.

Kenzie czekała, potem zaś chwyciła Zandrę za nogi i uniosła je lekko.

Cała trójka razem przeniosła ją jak kruchy, bezcenny skarb po schodkach, na podium naokoło sztalug, a potem przez podwójnej szerokości drzwi z tyłu.

Kiedy już się znaleźli w magazynie, położyli ją delikatnie na podłodze pomiędzy rzędami obrazów. Przez brzuch Zandry znowu przechodziły skurcze, Karl-Heinz wyjął z kieszeni telefon komórkowy i portfel i rzucił

je na podłogę, zdjął marynarkę, zwinął ją i podłożył żonie pod głowę.

- Wszystko będzie dobrze - powtarzał jej cicho. - Nie bój się!

Zandra patrzyła mu w twarz, oczy miała pociemniałe. Potrząsnęła głową.

- Stracę to dziecko!

- Cicho. Nie mów takich rzeczy. - Przykrył jej dłoń swoją.

Zandra chwyciła go mocno za palce.

Dina i Kenzie, klęczące po obu stronach Zandry, podsunęły jej zakrwawioną suknię do góry. Kenzie głęboko zaczerpnęła powietrza. O, cholera, pomyślała. Krwotok wcale nie ustał. A nawet chyba się nasilił. Dina ze spokojem popatrzyła jej w oczy.

- Potrzebny nam szybko lekarz, złotko - oświadczyła stanowczo i wstała.

- Gdzie pani idzie? - zapytała Kenzie.

- No jak to, skarbie, po doktora - odrzekła pani Goldsmith zaskoczona, że można o to pytać. - A gdzie bym miała iść?

Kenzie wpatrywała się w nią ze zdumieniem.

* * *

Sofia wysunęła telefon komórkowy z torebki i wystukała automatyczne połączenie z kliniką pod Augsburgiem. Podniosła telefon do ucha i powiedziała półgłosem:

- Z doktorem Rantzau, proszę. Proszę powiedzieć mu, że dzwoni księżniczka von und zu Engelwiesen.

Potem czekała, nie zwracając uwagi na Libijczyka, który wymyślał jej z przejścia, dając gwałtowne znaki, że ma schować telefon. Doktor Rantzau zgłosił się wkrótce.

- Wasza wysokość? Właśnie miałem dzwonić. Z przykrością muszę zawiadomić panią, że ojciec pani szybko słabnie. Właśnie był u niego ksiądz z ostatnim namaszczeniem.

Ksiądz! pomyślała Sofia. A co mnie obchodzi ksiądz?

- Czy Herr Meindl i jego syn są na miejscu? Tylko to się naprawdę liczyło!

- Tak, wasza wysokość.

- Mają tam zostać i być świadkami tego, co się stanie.

- Tak, wasza wyso...

Księżniczka wyłączyła telefon i wsunęła go do torebki.

Jeżeli nawet Zandra urodzi teraz, to wątpliwe, czy dziecko przeżyje, pomyślała. Ale to i tak jest bez znaczenia. Nie ma ani jednego, nie mówiąc już o trzech prawnikach, którzy mogliby zaświadczyć o jego urodzeniu.

Na twarzy Sofii pojawił się uśmiech satysfakcji.
Doprawdy już lepiej sprawy nie mogły się ułożyć.

* * *

Na zewnątrz fasada Burghleya pulsowała od niebieskich, czerwonych i pomarańczowych świateł zamontowanych na przeróżnych pojazdach ratunkowych. Ilość wozów patrolowych w obrębie policyjnej barykady potroiła się, dołączyły teraz do nich sedany FBI oraz dwadzieścia karetek ratunkowych, sześć wozów strażackich i dwie furgonetki brygad do rozbrajania bomb.

Ponad głowami ludzi helikoptery ekip telewizyjnych krążyły nad Auction Towers niczym drapieżne ptaki, nadając na bieżąco wiadomości do swych stacji.

Liczba gapiów wzrosła ogromnie, niewątpliwie dzięki krzyczącym nagłówkom.

W całym kraju widzowie siedzieli wprost przyklejeni do telewizorów. Nie tylko rozwijał się przed nimi na żywo dramat zakładników, ale do tego ofiary należały do najbogatszych, najpotężniejszych i najlepiej chronionych ludzi na ziemi, do tej garstki uprzywilejowanych, która płynęła przez życie w bardziej eleganckim i jaśniejszym, pozornie równoległym świecie.

A teraz dopadła ich ohydna groza rzeczywistości.
Miliony przyglądały się temu widowisku zafascynowane.

* * *

- Co się tam, do cholery dzieje? - wymamrotał do siebie Charley bezgłośnie.

Znajdował się nad salą aukcyjną i wyglądał ostrożnie przez kratkę wentylatora. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że wszystko wróciło do normy, że normalna licytacja jest w toku.

Potem jakiś mężczyzna z półautomatycznym uzi w ręce przeszedł tuż pod nim.

Zdecydowanie nie jest to normalne, uznał detektyw. Już bardziej nie-normalne być nie może!

Teraz, kiedy wiedział, czego szukać, naliczył ośmiu terrorystów, jeżeli dodać również tego za pulpitem. Obok niego stał dobrze znany ze zdjęć w gazetach starszy mężczyzna w wieku około siedemdziesięciu lat. Charley odwrócił głowę bokiem i przyłożył ucho do kratki.

- Obiekt numer dwa. Veroni, Maurizio Paolo. Wiek: siedemdziesiąt trzy lata. Żonaty. Mieszkaniec Bareggio, Como, Rzymu, Pantelleria, Nowego Jorku, Paryża i Londynu. Przemysłowiec. Majątek zrobił na samochodach Fido. Wartość netto sześć miliardów dolarów. Pana cena wywoławcza została ustalona na pięćset milionów...

Rany boskie! Charley uniósł głowę do góry. Oni licytują ludzi!

Szybko podczołgał się dalej, usiłując przyspieszyć. Miał nadzieję, że magazyn obrazów nie jest pilnowany, że będzie mógł tam wyjść na zewnątrz i zeskoczyć.

Muszę wezwać pomoc, pomyślał. Jest ich za dużo. Gdybym próbował w pojedynkę z nimi walczyć, byłoby to czyste samobójstwo. A ja jeszcze nie jestem gotowy na śmierć.

* * *

Komisarzowi policji oberwało się od federalnych.

- Zrobił pan swoje, teraz niech się pan nie wtrąca - warknął szef lokalnego biura FBI, podkreślając każde „pan” dźwiękiem palucha w jego stronę. - Od tej chwili to nasza działka. Przyswajasz pan?

Jak zwykle „cywilni” wpadli jak burza, stratowali wszystkich na swej drodze, a za nimi ciągnął szlak zdeptanej ludzkiej godności.

Tyle że tu nie chodzi o zdeptaną godność, myślał komisarz. Chodzi o sprawę życia i śmierci.

- Chwila moment, koleś - odpowiedział twardo i nieustępliwie. - Po pierwsze, ja tam posłałem człowieka. Nikt nie będzie go narażał ani nic robił, dopóki on sam się z nami nie skontaktuje.

- A to ile będzie trwało?

- Aż wam powiem, że już. Po drugie, dopóki wasz dyrektor nie powiadomi mnie osobiście, że jest inaczej, to będzie tak, jak ja powiem. Błędę pojęcia nie macie, co się tam dzieje w środku. Po trzecie, chcielibyście może usłyszeć, ilu z zakładników jest osobistymi przyjaciółmi prezydenta? Z przyjemnością pokażę wam listę. Jak macie ochotę pobawić się w rewolwerowców, to pomijając was, zadzwonię do Białego Domu i będziecie mieli szczęście, jeżeli nie wyślą was do pracy terenowej na Alasce albo w Północnej Dakocie!

- Piętnaście minut! - warknął szef federalnych. - A potem my przejmujemy ten cyrk. Dajemy ci piętnaście minut i basta. - I znowu dźgnął palcem wskazującym przy „ci”.

Ale teraz z szybkością błyskawicy komisarz chwycił ten palec i przytrzymał go mocno.

- Hej...!

- A po czwarte - zasyczał cicho szef policji - jak następnym razem wystawisz w moim kierunku tego palucha, to ci go złamię, koleś! Przyśwajasz?

Powiedziawszy to, komisarz puścił palec swego przeciwnika i ruszył w kierunku oddziałów antyterrorystycznych, żeby przekazać im informację o przewodach ogrzewania. Zwariowałem chyba, pomyślał. Więcej pokładam wiary w Ferraro, niż w tych wszystkich „cywilach”.

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie pora dać sobie zbadać głowę.

* * *

- Pani robi się coraz bardziej namolna, droga damo. Niech mi pani poda jeden dobry powód, dla którego nie miałbym pani z miejsca zastrzelić.

Pani Goldsmith, niezrażona tym, odpowiedziała spokojnie:

- Ponieważ i moi przyjaciele, i ja jesteśmy zbyt cenni, żeby nas zabić. A może chciałby pan skorzystać ze swojego pagera i poprosić przełożonego o pozwolenie?

„Jonesowi” krew uderzyła do twarzy, która zrobiła się szkarłatna.

- To ja tu rządę - warknął. - Może jak cię zabiję, to tego dowiodę! - Uniósł jeden ze swych rewolwerów i wycelował w Dinę.

Zamarła. Przez jedną przerażającą, przeciągającą się w nieskończoność sekundę wydawało jej się, że może rzeczywiście przesadziła.

Wtedy z pagera wydobył się jeden przenikliwy dźwięk. „Jones” celował w nią jeszcze przez chwilę, a potem powoli opuścił broń.

A więc słusznie przypuszczaliśmy oboje! pomyślała Dina. Mózg tego zbrodniczego przedsięwzięcia znajduje się gdzieś tu na sali. Będę musiała znaleźć jakąś metodę, żeby go wypłoszyć.

Ale to mogło jeszcze poczekać.

Zwróciła się do zebranych donośnym, czystym głosem:

- Wydaje mi się, że kiedy tu wchodziłam, rozpoznałam doktora Irvinga Landau, kardiochirurga. Panie doktorze? Jeżeli jest pan tutaj, to rozpaczliwie potrzebna nam pomoc.

Przystojny, siwowłosy chirurg podniósł się w jedenastym rzędzie na prawo.

- Nie wiem, jak panu dziękować, panie doktorze. Pokryjemy pana cenę wywoławczą. - Starannie omijała wzrokiem Roberta, który niewątpliwie podliczał wszystko w myśli i gotów był już wystartować na orbitę. Dina przebiegła oczami zgromadzonych. - Potrzeba nam jeszcze trzech praktykujących prawników jako świadków narodzin...

- Nie! - wrzasnęła Sofia, zrywając się na równe nogi. - Nie możecie jej pozwolić...

- Cisza! - zagrmiał Libijczyk stojący najbliżej przejścia i podniósł w górę uzi. - Siadać!

- Erwein! - jęknęła księżniczka. - Zrób coś!

Hrabia chwycił żonę za nadgarstek i pociągnął na fotel, jednak strząsnęła jego rękę i rzuciła się z pretensjami.

- Powiedziałaś mi, żebyś coś zrobił! - syknęła.

- Zrobiłem. Uratowałem ci życie.

- Phi! - Pociągnęła nosem i odwróciła się od niego. Erwein mnie uratował, też coś! pomyślała. Wolne żarty!

- W związku z zasadami dziedziczenia - ciągnęła dalej Dina - świadkami narodzin tego dziecka musi być trzech prawników. Proszę więc, jeżeli jest was trzech, z radością zapłacimy cenę wywoławczą i za was.

Wyraźnie słyszała już, jak jej mąż się dusi.

- Dowolnych trzech z was - dodała nagłaco, widząc, jak z foteli podnosi się pięciu mężczyzn. - Ale błagam, szybko!

Doktor Landau doszedł już do podium; pani Goldsmith wzięła go pod rękę i poprowadziła naokoło Velázquezę do magazynu. Lekarz rzucił jedno spojrzenie na Zandrę i zdjął marynarkę.

- Przykryjcie ją tym. - Podał okrycie Karlowi-Heinzowi. - Żeby tylko nie dostała szoku!

Kenzie nieproszona rozpięła swój zakiet i podsunęła go księciu, a Dina zdjęła swój aksamitny koloru wina i zrobiła to samo.

- Musi być przykryta - powiedziała Dina prawnikom, kiedy weszli do pomieszczenia. - Proszę, panowie, czy użyczylibyście nam swych marynarek?

Kenzie przypatrywała się adwokatom w kamizelkach. Każdy z nich był znany, każdy był gwiazdą w swej dziedzinie.

Pierwszy cieszył się sławą najlepszego specjalisty od rozwodów w kraju.

Drugi był sławnym *consigliere* zbrodniczego syndykatu mafii.

Trzeci zaś okazał się znanym prawnikiem działającym w branży rozrywkowej.

Tylko Dina Goldsmith mogła dokonać takiego właśnie wyboru, pomyślała z podziwem Kenzie.

- Wody - zażądał doktor Landau, wyjmując złote spinki z mankietów białej koszuli i podwijając rękawy. Ukląkł między rozsuniętymi nogami Zandry.

- Obawiam się, że tu nie ma wody - odezwała się z zalem Kenzie.

Lekarz potrząsnął z dezaprobatą głową i westchnął.

- No dobrze, będziemy musieli jakoś sobie poradzić. Perfumy?

- Zandra ścisnęła w rękach torebkę, jak ją tu wnosiliśmy - przypomniała sobie. - Poszukam.

Rozejrzała się, odnalazła torebkę i otworzyła ją.

- Czy Panthère de Cartier w spraju wystarczy?

- W sytuacji podbramkowej musi. - Doktor Landau uniósł dłonie do góry. - I proszę się pospieszyć.

Kenzie obficie spryskała jego dłonie po obu stronach i przedramiona do połowy.

- Słuchajcie, skarby, oto, co musicie zrobić - mówiła Dina adwokatom. - Jeżeli urodzi się chłopiec, to będzie nam potrzebne oświadczenie pod przysięgą potwierdzające jego płeć i dokładny czas przyjścia na świat oraz fakt, że każdy z was był tych narodzin świadkiem i że chłopiec pochodzi z łona księżnej Zandry. To wszystko. Proszę. Mój zegarek doskonale chodzi!

Odpięła swój wysadzany diamentami czasomierz i podała go *consigliere*.

Trzech adwokatów porównało wskazania zegarka Diny ze swoimi i zmarszczyło brwi.

Tymczasem doktor Landau usiłował rozszerzyć szyjkę macicy Zandry; ostrożnie dotykał jej wnętrza palcami. Zandra zacisnęła zęby z bólu.

- Nie wyczuwam główki dziecka - odezwał się z obawą. - Łożysko blokuje. Nie będzie to estetyczne, ale...

Pospiesznie zaczął wyciągać na zewnątrz pokryte krwią kawałki błony. Kiedy przeszkoda została usunięta, przerwał pęcherz płodowy; spłynęły wody. Potem łagodnym, ale stanowczym ruchem przesunął maleńkie ciało, przez kanał rodny i wy dostał je z ciała Zandry.

- Ósma siedemnaście! - oznajmił adwokat od rozrywki, patrząc na zegarek Diny. Dwaj pozostali popatrzyli i przytaknęli.

- Patrzcie! - zawołała Kenzie. - Krwotok ustaje!

- Dzięki Bogu - szepnął cicho Karl-Heinz.

Doktor Landau położył dziecko na brzuchu Zandry.

- Ono... - powiedziała niespokojnie Kenzie - ... ono chyba nie oddycha.

- Dajcie mu trochę czasu. - Lekarz łagodnie pocierał plecki dziecka, aby zaczęło oddychać.

Nic.

Szybko odwrócił je na plecki, przytknął usta do jego maleńkich ust i noska i wciągnął powietrze, odblokowując układ oddechowy. I stało się. Usłyszeli słabiutki, ale przecież krzyk. Dziecko żyło! I oddychało!

- Patrzcie! - Dina aż w ręce klasnęła z zachwytu. - To jest chłopak! Och, Zandro! Skarbie, masz syna! Masz syna!

- Naprawdę? - szepnęła Zandra, podnosząc oczy na męża.

Uśmiechnął się szeroko.

- Sama za chwilę zobaczysz.

- Nożyczki! - powiedział doktor Landau.

- Przy moim niezbędniku są takie malutkie. - Karl-Heinz wygrzebał je z kieszeni spodni.

- Jeżeli ktoś z państwa ma zapalniczkę, proszę je wysterylizować.

Adwokat od rozwodów zapalił swoją złotą zapalniczkę i Karl-Heinz wsunął maleńkie, składane nożyczki w płomień. Potem lekarz wziął je od niego, przeciął pępowinę i zawiązał ją.

- Czyste chusteczki!

Podano mu kilka i doktor Landau wytarł malutkiego, chudziutkiego człowieczka. Dziecko miauknęło piskliwie, ale z oburzeniem, i zaczęło zaciskać i rozprostowywać piąstki.

- To bardzo ważne, żeby teraz nie zmarł - ostrzegął lekarz. - Nie wiem, czy mi się tylko wydaje, ale chyba zrobiło się tutaj zdecydowanie chłodniej.

- Proszę. - Ostrożnie ułożył noworodka w ramionach Zandry.

- O Boże! Ale on jest taki maleńki! - wykrzyknęła. - Strasznie mi się wydaje lekki! - popatrzyła na doktora. - Przecież nie waży chyba więcej niż trzy albo cztery funty!

- Wiem. Proszę go dobrze przykryć, ale nie zasłaniać buzi. Ma jeszcze nie w pełni wykształcone płuca.

Zandra kiwnęła głową.

- Jeżeli ma przeżyć, będzie musiał znaleźć się w inkubatorze. I to szybko!

Dokładnie w tym momencie nad ich głowami odskoczyła kratka wentylacyjna na tyłach magazynu i zza niej wysunęła się głowa Charleya. Trzymał palec przy ustach i szeroko się uśmiechał.

Kenzie przenosiła wzrok z niego na dziecko i z powrotem. Ciężko było w tym wszystkim się połapać. Za dużo działa się naraz.

Poczuła taki przyływ radości jak jeszcze nigdy w życiu.

- Niedługo będzie w inkubatorze - oświadczyła Zandrze z niezachwianą pewnością. - Widzisz? Mój Charley wzywa już pomoc. A teraz bądźmy cicho i nie zdradzajmy, co tu się dzieje. Ale najpierw może któryś z panów pomógłby Charleyowi zejść stamtąd? To spory kawałek na dół, a nie chciałabym, żeby mojemu bohaterowi stała się jakaś krzywda.

66.

W holu szef policji przysłuchiwał się skrzeczeniu dochodzącemu z walkie-talkie, a jego twarz rozbłysła jak choinka. Wyszczrzył zęby w kierunku federalnych.

- Twój człowiek?

- Tak jest - powiedział komisarz. - Oddział antyterrorystyczny!

Czekający na rozkaz członkowie grupy specjalnej stanęli na baczność.

- Słuchajcie, tylko dobrze! Przekazał im informacje od Charleya.

- Jakieś pytania? Nie było pytań.

- Jazda!

Oddział pomaszerował z łomotem po schodach, kierując się do otwartej kratki wentylacyjnej o piętro wyżej. Kawaleria ruszyła do ataku!

* * *

W magazynie obrazów czas mijał rozpaczliwie powoli. Wszystkim to oczekiwanie na SWATów wydawało się najdłuższe i najtrudniejsze w życiu.

Na sali kontynuowano obsceniczną parodię licytacji. Atmosfera buntu zmieniła się w atmosferę rezygnacji, „artykuły” od numeru dwa do jedenaście skapitulowały. Wielcy tego świata w lęku i bezsilności zajęli się telefonami i ustalali sposoby dostarczenia obligacji na okaziciela.

Nikt nie chciał podzielić losu Mildred Davies.

W magazynie wszystkim wydawało się, że czas się zatrzymał.

* * *

Za jedną z półek na kółkach, na której bokiem poustawiano obrazy, Kenzie dotrzymywała towarzystwa Charleyowi; siedzieli oboje na podłodze.

- Ryzykowałeś życie, żeby dostać się tu jako pierwszy! - odezwała się z podziwem. - Co cię do tego skłoniło, mój ty kochany głuptasie?

- Nie podnoś głosu! - szepnął; uniósł rewolwer, wyrzwał na moment za półkę i szybko się cofnął, żeby go nikt nie zobaczył. - Jeszcze tylko tego brakuje, żeby któryś z tych zbirów przyszedł tu na przeszpiegi.

- Czy to jest właściwa odpowiedź na moje pytanie?

- Jeżeli musisz wiedzieć, byłem osobiście zainteresowany.

- O? - Kenzie z rozbawieniem uniosła brwi do góry, aż zniknęły pod grzywką. - W jakim to sposób?

- A jak myślisz, ty niemoralna, doprowadzająca człowieka do szału, zdradziecka, okrutna kobieto?

- Ależ Charleyu Gabrieli Ferraro! - odpowiedziała miękko Kenzie, patrząc na niego z zadowoleniem i podziwem. - Coś mi się wydaje, iż jest to twój sposób, aby mi powiedzieć, że mnie kochasz!

- Może - odrzekł, trzymając rewolwer w pogotowiu w obu rękach i mierząc w sufit.

- I pomyśleć tylko - zamruczała - ile ja ci kazałam wycierpieć! Wszystko dlatego, że nie mogłam się zdecydować.

Zerknął na nią spod oka.

- Czy to znaczy, że w końcu się zdecydowałaś?

- Och, chyba tak.

- No i?

Popatrzyła mu w oczy.

- Najpierw spróbujmy wydostać się stąd żywi.

- Czy to jest twój sposób na powiedzenie mi, że tak?

- Może.

- Wciąż jeszcze się boisz do czegoś zobowiązać - wytknął jej doprowadzony do rozpacz. - Czy tak?

Kenzie potrząsnęła głową.

- Ty jesteś dla mnie bohaterem numer jeden.

- A to co ma znaczyć?

- Och, słowo daję, Charley! Czy ty nigdy nie oglądasz filmów? Bohater zawsze w końcu zdobywa swoją dziewczynę.

- Trzeba niezłego twardziela - zażartował - żeby zdobyć tak delikatną kobietę!

* * *

Intuicja podpowiedziała Dinie, że nie powinna ryzykować, przerywając „aukcję” kolejny raz.

- Mamy coś do pisania, skarby - poinformowała adwokatów - tylko brak nam papieru. Ale żeby wszystko było legalnie, to oświadczenie nie musi być napisane na papierze, prawda?

Adwokat od rozwodów potrząsnął głową.

- Jeśli będzie odpowiednio sformułowane, właściwie podpisane i poświadczane, można je zapisać na dowolnej powierzchni!

- Cudownie!

Dina rozejrzała się, wypatrzyła na najbliższej półce niewielki obraz w złożonej ramie i przywłaszczyła go sobie, nawet okiem nań nie rzuciwszy. Położyła dzieło na półce spodem do góry, tak że na wierzchu znalazło się naciągnięte brązowe płótno.

- Proszę bardzo, skarby - zamruczała jak kotka. - Możecie na tym zapisać wszystkie odpowiednie legalności.

Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami.

- Czemu nie? - zapytał *consigliere* i obrzucił Dinę poważnym spojrzeniem. - Tyle że księżę musi kupić ten obraz. Jeżeli wylicytuje go ktoś inny, będzie miał pecha.

- Och, kupi go, złotko - zapewniła Dina prawnika. - Niech pan się o to nie martwi!

Trzej adwokaci pochylili się nad płótnem i pograżyli w cichej rozmowie na temat dokładnego sformułowania dokumentu.

* * *

Zandra, tuląc swego nowo narodzonego synka w ramionach pod marynarkami, którymi sama była przykryta, leżała z głową na kolanach Karla-Heinza.

- Widzisz? - szeptał mąż, uśmiechając się do niej. - Czy nie mówiłem ci, że wszystko będzie w porządku?

Podniosła na niego oczy.

- Tak - powiedziała cicho. - Mówiłeś. - Potem jednak w jej głosie pojawił się niespokojny ton. - Ale, kochany, co będzie z tym inkubatorem?

Jemu potrzebny jest inkubator, jeżeli ma przeżyć.

- Słyszałaś, co mówiła Kenzie - uspokajał ją Karl-Heinz. - Pomoc jest w drodze. Jeszcze kilka minut...

Przerwał mu brzęczyk telefonu komórkowego. Księżę sięgnął po słuchawkę i odezwał się:

- Tak?

- Wasza wysokość? Mówi doktor Rantzau.

Karl-Heinz instynktownie spał się w oczekiwaniu na złe wiadomości.

- Słucham, panie doktorze?

- Niech mi będzie wolno złożyć waszej wysokości szczerze wyrazy współczucia - powiedział dyrektor kliniki poważnie. - Jaśnie oświecony księżę Leopold zmarł kilka minut temu.

Karl-Heinz opuścił rękę z telefonem i na chwilę mocno zacisnął oczy. Ta wiadomość nie powinna była nim wstrząsnąć, a przecież czuł się oszołomiony.

Ciekaw jestem, czy kiedykolwiek będziemy przygotowani na śmierć kogoś, kogo kochamy, pomyślała.

- Heinzie? - zapytała Zandra. - Kochany, co się stało?

- Mój ojciec - odpowiedział zdławionym głosem. - Nie żyje.

- Och, nie! - Zandra wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy męża. - Kochanie, tak mi przykro.

Księżę głęboko zaczerpnął powietrza i powoli je wypuścił. Bóg dał, pomyślał, Bóg wziął. Nigdy nikt nie napisał bardziej prawdziwych słów...

- Czy to nie ironia - odezwał się cicho - że nasz syn urodził się w kilka minut po śmierci mego ojca? Jak taka radość i smutek mogą następować tak blisko po sobie?

Dina łagodnie wyjęła mu telefon z ręki i odeszła o kilka kroków.

- Halo? Kto mówi? Rozumiem. Księżę musi mieć chwilę dla siebie, panie doktorze. Proszę mi powiedzieć, czy może pan podać dokładną godzinę śmierci jego ojca?

- Stało się to dokładnie trzynaście minut po drugiej czasu środkowo-europejskiego.

Dinie zrobiło się ciężko na sercu. A dziecko urodziło się siedemnaście minut po ósmej czasu lokalnego!

- Czy jest pan pewien? - zapytała.

- Absolutnie. Dwóch prawników było przy jego łożu, żeby zaświadczyć o momencie zgonu.

- Rozumiem - odrzekła tępo Dina. - Nie, to już wszystko, panie doktorze. Jego wysokość skontaktuje się z panem.

Wyłączyła telefon i miała ochotę cisnąć nim o ścianę.

- Cztery minuty! - syknęła przez zęby. - Dziecko urodziło się o cztery minuty za późno!

Consigliere, który gryzmolił na płótnie obrazu swoim wiecznym piórem, nagle przestał pisać. Odwrócił się i spojrzał na nią zdziwiony.

- Co pani przez to rozumie?

Dina poinformowała go o śmierci starego księcia i czasie narodzin męskiego potomka.

- Rozumiecie, skarby? - zapytała z goryczą. - On umarł przed przyjściem na świat dziecka. O cztery minuty wcześniej. I Heinzie nie ma teraz szans na dziedziczenie.

Consigliere zmarszczył brwi z namysłem.

- Może jednak ma - powiedział z namysłem. - Proszę zadzwonić pod 976-6000 i dowiedzieć się, która jest dokładnie godzina.

- Ale nie rozumiem, co...

- Proszę po prostu to zrobić.

Pani Goldsmith wzruszyła ramionami, wystukała siedem cyfr i słuchała.

- Jest ósma dwadzieścia trzy - oznajmiła.

- Czy pozwoli pani?

Adwokat od show-biznesu wziął od niej słuchawkę i podniósł do ucha, żeby się upewnić. Pozostali dwaj prawnicy przysunęli głowy bliżej, żeby też posłuchać. Potem wszyscy trzej popatrzyli na zegarki i uśmiechnęli się, kiwając głowami.

Adwokat od rozrywki oddał Dinie telefon.

- Jest tak, jak przypuszczałem - powiedział *consigliere*.

- Ależ panowie, o co chodzi? - Pani Goldsmith nic nie rozumiała.

Odpowiedzi udzielił jej specjalista od rozwodów.

- Proszę spojrzeć na swój zegarek i poinformować nas, która jest godzina.

Podniosła rękę i popatrzyła na wysadzany brylantami czasomierz.

- Ósma trzydzieści trzy - powiedziała. - No więc?

A potem, kiedy nagle zrozumiwała.

- Trzydzieści trzy! O mój Boże! - szepnęła, uderzając się w głowę. - Jak mogłam zapomnieć? Zawsze nastawiam zegarek tak, żeby spieszył się o dziesięć minut!

Consigliere uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Muszę przyznać, że trochę nam pani zamąciła w głowie. Wskazania naszych zegarków różniły się najwyżej o minutę, ale ponieważ zapewniła nas pani, że to pani zegarek chodzi idealnie...

- ... pomyśleli panowie, że wasze muszą się późnić - dokończyła za niego Dina, nagle uśmiechnęta. - No, skarby? Na co czekacie? Piszcie dalej ten dokument! I na wszystko was błagam, podajcie prawidłowy czas!

Adwokaci jeszcze dwa razy konsultowali się z panią Goldsmith, za każdym razem w sprawie pełnego zestawu imion ojca i matki dziecka:

- Jaśnie oświecony książę Karl-Heinz Fernando de Carlos Jean Joachim Alejandor Ignacio Hieronymous Eustace von und zu Engelwiesen...

- ... oraz jaśnie oświecona księżna Anna Zandra Elisabeth Theresia Charlotte von und zu Engelwiesen.

W pięć minut później prawnicy zakończyli pracę. Przynieśli obraz, a Dina półgłosem odczytała ułożone przez nich oświadczenie:

- Jedenastego dnia miesiąca listopada Roku Pańskiego... et cetera... my, niżej podpisani praktykujący prawnicy... et cetera... jako że byliśmy naocznymi świadkami o godzinie ósmej minut siedem tego wieczoru...

Była pod wrażeniem. Nie może być zastrzeżeń co do wiarygodności tego dokumentu!

Uroczyście zaniosiła *fait accompli* do Zandry i Karla-Heinza.

- *Voilà*, skarby! - oznajmiła z entuzjazmem. - Poświadczenie narodzin waszego syna.

- Na Boga, Dino - powiedziała Zandra - ależ kochanie, to zostało napisane na płótnie, z tyłu jakiegoś obrazu. Czy takiego oświadczenia nie zakwestionują prawnicy?

- Oczywiście, że nie. Wystarczy, że kupicie obraz. Dopilnuję, żeby wycofano go z aukcji i zorganizuję dla was prywatną licytację.

- No? - zapytał Karl-Heinz. - Czy popatrzymy, co jest po drugiej stronie?

- Przecież to obojętne - odrzekła, odwracając obraz.

Zandra patrzyła na malowidło szeroko otwartymi oczami.

- Dino, kochanie! Czy nie mogłaś wybrać nam czegoś, no, chociaż troszkę tańszego?

- Specjalnie wybrałam ten, bo jest niewielkich rozmiarów - pociągnęła nosem pani Goldsmith.

- Zgoda, rozmiary ma może i małe, ale, do cholery, przecież to jest Rembrandt!

- Naprawdę? No to wygląda na to, że właśnie kupiliście sobie Rembrandta, prawda?

I wtedy Karl-Heinz wraz z Zandrą zaczęli się śmiać. Dina miała ochotę przyłączyć się do nich, ale kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

Odwróciła się i patrzyła z bijącym sercem, jak pierwszy członek ekipy SWA'ów opada bezgłośnie z otworu wentylacyjnego, łąduje zgrabnie na dole, koziołkuje i zrywa się na nogi, przy tym wszystkim ani razu nie dotykając bronią o podłogę.

W krótkim czasie w ten sam sposób zjawilo się jeszcze czterech innych mężczyzn. Żaden z nich nie miał na sobie typowego stroju ochronnego, w którym nie zmieściliby się w wąskich przewodach.

Dowódca tej czwórki pokazał na otwarte podwójne drzwi. Dwóch jego ludzi skinęło głowami i wsunęło się za półki z obrazami, przechodząc tamtędy na drugą stronę pomieszczenia, gdzie wtopili się w ścianę z bronią w pogotowiu.

Pozostała dwójka zajęła podobne pozycje po tej stronie magazynu.

Dina przyglądała się komandosom, podziwiając ich kocią zręczność. Niewątpliwie byli to zawodowcy. Z jakiegoś dziwnego powodu nie bała się - była pewna że i ona, i inni wyjdą cało. Ale nie dawała jej spokoju myśl, że powinna im o czymś powiedzieć, chociaż za nic nie mogła sobie przypomnieć o czym, a potem już i tak zrobiło się za późno.

Równocześnie, bez ostrzeżenia, wyskoczyli na podium zasypując bandytów gradem kul.

„Jones”, trafiony wielokrotnie, okręcił się wokół własnej osi i padł. Jeden z Kolumbijczyków i Libijczyk unieśli broń do góry ale za późno: pociski trafiły ich prosto w pierś, a uderzenie odrzuciło o kilka kroków w tył. Zanim przerażeni, rozkrzyczani uczestnicy aukcji zdążyli znów zanurkować pod fotele, żeby się ukryć, z sufitu posypały się w dół rykoszetując kule.

Nie minęło dwadzieścia sekund, a strzelanina się skończyła i zapadła pełna grozy cisza. Pozostała piątka terrorystów albo nie żyła, albo została unieszkodliwiona.

Sala była zdobyta.

- Panie i panowie - oznajmił dowódca oddziału SWATów przez miniaturowy mikrofon. - Wszystko jest pod kontrolą. Proszę pozostać na swoich miejscach, dopóki nie usuniemy środków wybuchowych z drzwi. Powtarzam, dopóki nie usuniemy wszystkich środków wybuchowych!

Atmosfera na sali uległa zmianie i przypominała teraz nastrój w samolocie, któremu udało się dokonać lądowania awaryjnego; pasażerowie

siedzieli na fotelach zagubieni, oszołomieni, ogłuszeni. Nie byli w stanie zrozumieć, że już się skończyło. Że udało im się ująć z życiem.

Dwóch mężczyzn popędziło do każdych drzwi; zaczęli precyzyjnie usuwać namagnetyzowany semtec, uważając, by nie naruszyć przewodów.

Kenzie i Dina wyszły na podium, omijając ciała Mildred Davies i „Jonesa”. Stały obok siebie, rozglądając się ze zdumieniem wokoło.

- Czy jesteś w stanie w to uwierzyć, skarbie? - odezwała się Dina. - Jedyne ofiary poza biedną panią Davies to terroryści!

Ale Kenzie nie słuchała. Na podium wskoczył Hannes i chwycił ją w objęcia, wołając:

- Kenzie, kochana moja! Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało!

Patrzyła mu w oczy, słuchała jego głosu, miękkiego i pełnego przejęcia i kochała go. Ale nie była w nim zakochana, teraz już to wiedziała. To Charleyowi oddałaby duszę, to z Charleyem chciała spędzić resztę życia. Wiedziała, że Hannes jakoś wszystko wyczytał z jej wzroku.

- Drżysz cała - powiedział, zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona.

Kiwnęła głową.

- Chyba przykręcili ogrzewanie, żeby SWATy się nie upiekły. Chciałabym, aby je podkręcili znowu.

- Muszę porozmawiać z dowódcą oddziału. - Położył obie dłonie na ramionach Kenzie i wpatrzył się w jej oczy. - Jesteś pewna, że wszystko w porządku, kochana?

Skinęła głową i uśmiechnęła się do niego.

- Tak, wszystko w porządku.

- Porozmawiamy później? - Ucałował ją cnotliwie w czoło.

- Tak - odpowiedziała miękko - porozmawiamy później.

Przyglądała się, jak Hannes spiesznie odchodzi. Tak naprawdę to nie ma o czym mówić, pomyślała. Miałam swoją przygodę, pożądałam go, ale to wszystko. A Charleya kocham.

Wsunęła ręce do rękawów marynarki Hannesa, rozejrzała się i zobaczyła Arnolda, który siedział z oszołomionym wyrazem twarzy; Annalisa odsuwała właśnie krzesło, by wstać. Obydwoje wyszli z tej makabry bez szkody.

A potem zobaczyła, jak ze swojego miejsca idzie w ich kierunku pan Spotts.

Serce Kenzie zatrzepotało z radości. Bogu niech będą dzięki, że nic mu się nie stało! pomyślała serdecznie. Na pewno jednak nie pomogło mu to na serce. Gdy znalazł się na podium, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, Dietrich, tak się bałam, żeby ci się nic nie stało! - zawołała. Pan Spotts uśmiechnął się lekko.

- Czy nie wiedziałaś, że podobnie jak kot mam dziewięć żywotów? I przycisnął jej do czoła lufę rewolweru...

A Annalisa wepchnęła pistolet Dinie pod brodę.

- Widzisz, moja droga? - ciągnął pan Spotts. - Nic się nie kończy, dopóki nie skończy się na dobre.

67.

W magazynie obrazów pierwszy ze snajperów wyskoczył z kratki wentylacyjnej na końcu przewodu ciepłego.

- W pierwszym rzędzie niech tu się zjawią medycy - warknął Charley do walkie-talkie. - Mamy tu noworodka wcześniaka i jego matkę. Obok sali aukcyjnej, magazyn na tyłach podium. Dzieciak ma pierwszeństwo przed wszystkimi innymi. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Wyłączam się!

Zandra, która nadal leżała z głową na kolanach Karla-Heinza, popatrzyła na wybawcę zamglonymi z radości oczyma.

- Och, Charley, jak to miło z twojej strony!

- Mówimy tu o chrześniaku Kenzie - odpowiedział detektyw. - Niech no tylko ktoś spróbuje stanąć temu maluchowi na drodze, a będzie miał ze mną do czynienia! - Nagle przechylił głowę na bok i zmarszczył brwi. - Co, do cholery...? - szepnął, sięgając po broń.

- Co się stało? - zapytał Karl-Heinz.

- Nie słyszysz?

Księżę nadśluchiwał przez moment i potrząsnął głową.

- Nic nie słyszę.

- O to mi właśnie chodzi. Nagle zrobiło się tam diabelnie cicho.

Charley gestem kazał się cofnąć snajperowi, a potem ruszył niemal jak płynny cień do drzwi. Przycisnął się płasko do ściany i ostrożnie wysunął głowę zza framugi...

... a potem błyskawicznym ruchem cofnął się do środka.

Osunął się na ścianę, czując, jak w gardle wzbierają mu mdłości i suchy, bolesny krzyk.

Niech to najjaśniejszy szlag! - zaklął w myślach. Ten zwariowany stary paralytyk, dla którego kiedyś pracowała Kenzie, przystawił jej lufę do głowy! A ta suka, którą zaangażowała na miejsce Zandry, wepchnęła Dinie Goldsmith rewolwer pod brodę!

I co teraz?

- Teraz - powiedział Charley bezgłośnie sam do siebie - zrobisz to, co musisz zrobić.

Dał znać snajperowi, żeby ocenił sytuację od swojej strony drzwi, a potem przyglądał się, jak tamten rozpląszcza się przy framudze, ostrożnie wysuwa zza niej głowę i cofa się równie szybko, jak wcześniej on sam.

Porozumieli się wzrokiem.

Charley uniósł do góry swojego wilkinsona linde i lewą ręką wykonał gest masturbacji. Potem pokazał na siebie.

Facet. Mój.

Snajper skinął głową.

Potem Charley na migi pokazał obfity, wyimaginowany biust.

Baba. Twoja.

Snajper ponownie skinął głową.

Zajęli pozycje przy drzwiach jak dwa lustrzane odbicia, każdy gotów natychmiast wyskoczyć, wycelować i strzelić.

Ale musieli zaczekać na odpowiedni moment, bo każdy z nich mógł strzelić tylko jeden, jedyny raz.

Żadnemu z nas nie wolno chybić, pomyślał posepnie Charley. Życie Diny jest w jego rękach. Życie Kenzie w moich.

* * *

Na podium Dina stała jak wryta, nie ośmielała się poruszyć czymkolwiek oprócz oczu. Lufa rewolweru wbijała jej się boleśnie w miękkie miejsce pod brodą, tak że musiała trzymać głowę pod nienaturalnym kątem.

Nagle coś przemknęło jej przez głowę i przypomniała sobie, o czym to zapomniała, przed czym miała przestrzec oddział SWATów. Ów dziesiąty człowiek z grupy terrorystów - ten, który siedział na widowni i miał przy sobie aparat sprzężony z pagerem pana „Jonesa”.

Tylko że się myliłam, pomyślała Dina. Potwornie się pomyliłam. Na sali była nie tylko dziesiąta osoba.

Była też dziesiąta. Ta kobieta.

* * *

Stojąca obok Diny Kenzie też ani drgnęła, tylko rzucała wokół rozpaczliwe, błagalne spojrzenia, żeby ktoś... ktokolwiek!... im pomógł. Już próbowała uprosić oczami i słowami pana Spotts, ale był niewzruszony. Kenzie nie obchodziła go w najmniejszym nawet stopniu. Zerkał ciągle na *Infantkę* Velázqueza, a oczy płonęły mu szaleńczą chciwością.

- Czy potrafisz sobie wyobrazić, moja droga - mówił - że poświęciłem całe moje życie na dostarczanie bogatym kolekcjonerom obrazów, które kochałem, których pragnąłem i które tak bardzo chciałem posiadać? Nie, oczywiście, że nie potrafisz. Jesteś o wiele za młoda i wciąż jeszcze jesteś idealistką. Ale zaczekaj parę dziesiątków lat, a może wtedy zrozumiesz. O, tak! Ogarnie cię obrzydzenie dla tych nowobogackich sępów kultury, które nie potrafią odróżnić Rembrandta od Rubensa!

Kenzie wyłączyła się, żeby nie słuchać tej obłędnej diatryby. Cały czas myślała: To nie może być prawda. Jeżeli się uszczypnę, obudzę się i przekonam, że to tylko koszmarny sen.

Bo to nie był już dawny, życzliwy A. Dietrich Spotts, z którym kiedyś pracowała, ów rycerski, uprzejmy dżentelmen ze starej szkoły.

Obecny A. Dietrich Spotts wyraźnie zachowywał się w sposób niezrównoważony i to on musiał być mózgiem, który zaaranżował ten pełen grozy wieczór.

- Dobrze odegrałaś swoją rolę, Kenzie - pochwalił ją. - Gdyby nie to, że zaangażowałaś Annalisę, nigdy by nam się nie udało przeszmygłować do środka broni.

- Nie! Tego nie uda ci się zwalić na mnie - odpowiedziała ostro Kenzie, a komendant SWATów zawołał:

- Rzućcie broń i puśćcie te kobiety wolno. Gra skończona. Jesteście otoczeni!

- O, nie. Jeszcze nie skończona. Jeszcze daleko do końca! - W odpowiedzi zarechotał Spotts.

Charley i snajper wyrzeli znowu, a potem pospiesznie zniknęli z pola widzenia.

- Do wszystkich diabłów! - warczał półgłosem detektyw. Czemu oni się nie ruszą! Musimy wyraźnie widzieć cel.

Pan Spotts podniósł swój drżący, piskliwy głos.

- Chcemy mieć do wyboru dziesięć obrazów. Poza tym dwadzieścia milionów dolarów w gotówce, transport na lotnisko i czekający na nas

odrzutowiec. Macie jedną godzinę, żeby to załatwić, bo inaczej... - Jego głos ucichł.

Kenzie wpatrywała się w niego z odrazą.

- Zwariowałaś! Nigdy wam to nie ujdzie na sucho!

- Ależ już uchodzi, moja droga, już uchodzi! - piał z zachwytem, przysuwając twarz blisko do jej twarzy i opryskując ją śliną.

Kenzie zareagowała automatycznie - skrzywiła się i szarpnęła głową w bok.

Charley i snajper zerknęli pospiesznie na siebie, bezgłośnie szepnęli: teraz! i uniósłszy broń, równocześnie pociągnęli za spust.

Kule trafiły pana Spotts'a i Annalisę prosto w czoła, zabijając oboje na miejscu. Upuścili broń, potem sami upadli, a ich głowy uderzyły o podium z głuchym loskotem.

- Charley! - wrzasnęła Kenzie. - Charley!

Pędził już do niej, już chwycił ją w ramiona i okręcał dookoła w powietrzu.

- Już po wszystkim, mała - wymamrotał cicho, kiedy ją znowu postawił na ziemi. - Boże, ależ ja cię kocham! - Ujął jej twarz w dłoń. - Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie zagroziło mi, że cię stracę! - Ucałował ją namiętnie, potem zaś znowu mocno objął i przytulił do siebie.

Troje prowadzących do sali drzwi otwarło się nagle i do środka wpadł biegiem zespół karetki pogotowia ze składanymi noszami. Ci z przodu kierowali się wprost do magazynu z obrazami.

- Panie i panowie - oznajmił komendant SWATów - możecie już opuścić salę. Zechciejcie się nie tłoczyć...

Mógł sobie nie strzepić języka. Bogacze jak dzicy rzucili się do drzwi.

Tylko Charley, Kenzie i Dina pozostali na miejscach.

Pani Goldsmith, pod którą ugięły się kolana, usiadła powoli na skraju podium. Robert ciężkim krokiem podszedł do niej.

- Nic ci nie jest? - zapytał, okazując nietypowe dla siebie zatroskanie.

- Chyba... chyba nie, skarbie. Ale przydałaby mi się tabletki xanaxu. Mam go w torebce.

Pan Goldsmith poczłapał w kierunku foteli, żeby ją przynieść.

- No? - pytał Charley Kenzie. - Czy bohater wciąż jeszcze dostanie dziewczynę?

- Charley, ile razy mam ci powtarzać? Bohater zawsze w końcu dostaje dziewczynę. Czy dzisiejszy wieczór niczego cię nie nauczył? - spytała z westchnieniem, doprowadzona do rozpacz.

- Na przykład, czego?

- Na przykład, że liczy się tylko to, że odtąd żyli długo i szczęśliwie.

Zdjęła marynarkę Hannesa; z kieszeni wypadł jakiś cienki, kwadratowy, plastikowy przedmiot z guzikami do naciskania. Gdy tylko uderzył o podium, pager w kieszeni „Jonesa” zabrzączał.

Dina zerwała się na równe nogi.

- Co do...? - Rozejrzała się z przerażeniem.

Kenzie schyliła się powoli, żeby podnieść ów przyrząd. Nacisnęła jeden z guzików i pager „Jonesa” odezwał się znowu.

- Mój Boże! - wykrzyknęła cicho. - To marynarka Hannesa, pożyczył mi ją. Charley?

- Muszę go poszukać. - Odwrócił się i już miał odejść, ale Kenzie przytrzymała go za ramię. - Chyba nie musisz się spieszyć.

- Dlaczego?

- Coś mi mówi, że nigdy go nie złapiesz. Założę się, że wsunął ten gadżet do kieszeni umyślnie.

- Ale dlaczego miałyby...

- Żebyśmy wiedzieli. Nie, żeby nam zagrać na nosie, tylko żebyśmy wiedzieli. Tak jak się zostawia wizytówkę.

- To nie znaczy, że nie muszę wysłać za nim listu gończego!

- Jeżeli musisz, zrób to. - Objęła go. - Ale najpierw musisz mnie porządnie pocałować.

Za bardzo byli sobą zajęci, żeby zauważyć, jak przejeżdża przy nich wózek z Zandrą i dzieckiem. Karl-Heinz szedł spieszenie przy wózku, a Sofia i Erwein starali się dotrzymać mu kroku.

- Ale... ale to niemożliwe! - Ty kłamiesz! - wrzeszczała Sofia, szarpiąc brata za połą marynarki. - To jakaś zmowa! Wszyscy spiskujecie przeciw mnie!

Robert, który właśnie przyniósł torebkę, wbił zdumiony wzrok w szalejącą kobietę.

- Co u diabła...?

- Och, to - odpowiedziała jego żona lekceważącym tonem. - To dowód, skarbie. I tyle.

- Dowód? - Pan Goldsmith zmarszczył krzaczaste brwi. - Dowód na co?

A Dina, która właśnie zdecydowała, że środki uspokajające nie są jej potrzebne, zamiast proszków wyjęła z torebki puderniczkę i powiedziała:

- Że wszystko dobre, co się kończy jeszcze lepiej!

EPILOG

Następny poranek był rześki i chłodny. Na błękitnym niebie widać było maźnięcia pierzastych chmur, chłodna bryza znad oceanu nadała powietrzu krystaliczną czystość.

Kenzie, która spieszyła przez Madison Avenue do Burghleya, popatrzyła w górę na niebo. Ze wszystkich chmur jestem w stanie dostrzec tylko jedną, myślała z uniesieniem. Tę, na której uleciałam w siódme niebo!

Absolutnie nie zapomniała o wczorajszym koszmarze; wiedziała że będzie ją prześladował jeszcze przez wiele dni, tygodni i miesięcy. A może nawet lat. Takiego doświadczenia nie da się łatwo zostawić za sobą. Ale dobre wieści przekreślały te złe.

Zanim wyszła z mieszkania, zadzwoniła do Lennox Hill. Zandra i niemowlę... Jej chrześniak!... mieli się wspaniale.

Co więcej, te kilka namiętnych godzin, które spędziła z Charleyem ostatniej nocy w łóżku, na potwierdzenie życia po tym, jak musieli patrzeć w twarz śmierci, było pierwszym krokiem w kierunku leczenia. Drugim było spotkanie, jakie zaplanowali w ratuszu na to popołudnie. Nie wybierali się co prawda do kościoła, ale mieli wziąć ślub.

- Spotkamy się w ratuszu o pierwszej - powiedział jej Charley. - Możesz na to liczyć, mała.

Och, możesz, pomyślała radośnie Kenzie, zachwycona tym, jak to ujął:

- Zrobię z ciebie uczciwą kobietę, Kenz.

Takie banalne i takie staroświeckie i takie... takie podobne do Charleya.

Myślała o wszystkim, co jej obiecywał. Ogródek różany. A jakby ci się podobał domek na przedmieściu? Białe sztachety płotu? Wywiadówki?

Wciąż jeszcze dźwięczał jej w uszach własny śmiech.

- No, nie wydaje mi się, żebym była gotowa na domek na przedmieściu i biały płot, ale różnie na tarasie... och, to byłoby nie najgorzej.

O pierwszej w ratuszu!

Na razie wypróbowała różne wersje nowego nazwiska, przepowiadając je sobie cichutko po drodze: pani McKenzie Ferraro... pani Charleyowa Ferraro... Charles i Kenzie... Charley i Kenz...

Płynnym krokiem weszła do Burghleya, skierowała się prosto do swego gabinetu i zamknęła za sobą drzwi, żeby jej nikt nie przeszkadzał.

Przez chwilę stała tylko i patrzyła. Na samym środku biurka znajdował się największy kosz kwiatów, jaki kiedykolwiek w życiu widziała. Zastanawiała się, kto mógł jej go przysłać.

Odpięła małą kopertę, wysunęła z niej kartonik i przeczytała:

JESTEM JUŻ DALEKO, GDZIE NIE DOSIĘGNIE MNIE DŁUGIE RAMIĘ PRAWA, JEDNAK SĄDZĘ, ŻE TEGO JUŻ SIĘ DOMYŚLIŁAŚ.

NIE SPOTKAMY SIĘ WIĘCEJ, KENZIE, ALE ŁĄCZYŁO NAS COŚ WYJĄTKOWEGO.

PRZY TOBIE WSZYSTKO BYŁO BARDZIEJ ŻYWE.

ŻYCZĘ WAM OBOJGU WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO. NIE POZWÓL NIKOMU SIĘ ZBAŁAMUCIĆ, LEPSZEGO CZŁOWIEKA NIE ZNAJDZIESZ. ZDECYDUJ SIĘ NA TAK, ŻEBY NIE WIEM CO!

JESZCZE JEDNO, GDYBY CHARLEY ZASTANAWIAŁ SIĘ, DLACZEGO JEGO SAMOCHÓD MA NA LICZNIKU DODATKOWYCH 240 MIL, TO JA POŻYCZYŁEM GO SOBIE WIECZOREM PRZED PAROMA DNIAМИ.

HANNES

Kenzie uśmiechnęła się, wsunęła kartonik do koperty i zaczęła robić porządek w biurku. Zerknęła na zegarek i okazało się, że już dochodzi południe.

Będzie się musiała pospieszyć, jeżeli ma stawić się na spotkanie z Charleyem na czas. Ale teraz musi jeszcze napisać, że składa rezygnację.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołała.

Kenzie nie obchodziło, kto to mógł być. Nic nie zawróci jej z już raz obranej ścieżki. Do pozostania w pracy nie skłonią jej żadne podwyżki ani dodatkowe korzyści. Musiała teraz pomyśleć o własnych sprawach.

Nie zamierzam skończyć jak biedny pan Spotts, który dostał takiej obsesji na punkcie obrazów, że nie istniało dla niego nic innego. Spakuję się i zacznę żyć!

Zerknęła w górę, kiedy ktoś z wahaniem zaczął otwierać drzwi.

W drzwiach stała jakaś stara, chuda kobieta w trenczu, kapeluszu z opadającym nisko rondem i ciemnych okularach.

- Czy mogę w czymś pani pomóc? - zapytała uprzejmie Kenzie.

- Panna Tarna?

Ten głos! Kenzie na moment straciła zdolność mówienia, potrafiła tylko w milczeniu przytaknąć.

- No? Czy chce pani przyjść ocenić moje zbiory czy nie? - zapytała Lilla Pons.

WŁAŚCICIEL GOLDMARTU ZAMIERZA POZBYĆ SIĘ BURGHLEYA

W TRZY MIESIĄCE PO DRAMACIE
ZAKŁADNIKÓW GOLDSMITH ZWIJA ŻAGLE

SPECJALNY KORESPONDENT NEW YORK TIMES DONOSI:

NOWY JORK, 8 LUTEGO. ROBERT A. GOLDSMITH OGŁOSIŁ, ŻE MA ZAMIAR SPRZEDAĆ SWÓJ WIĘKSZOŚCIOWY UDZIAŁ W DOMU AUKCYJNYM BURGHLEYA. PROSTY W MOWIE, TWARDY W DZIAŁANIU POTENTAT FINANSOWY, ZNANY NAJLEPIEJ Z GOLDMART, INC., GIGANTYCZNEJ SIECI SKLEPÓW Z TOWARAMI PO OBNIŻONYCH CENACH, JEST WŁAŚCIELEM WARTYCH 32,5 MILIONA AKCJI BURGHLEYA.

- W HANDLU DETALICZNYM JEST ZASADA, ŻE CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI WILKIEM, ALE TEN INTERES AUKCYJNY TO DOPIERO MOŻE CZŁOWIEKA WYKOŃCZYĆ - POWIEDZIAŁ NA KONFERENCJI PRASOWEJ, ROBIĄC IRONICZNĄ ALUZJĘ DO ZESZŁOROCZNEGO DRAMATU ZAKŁADNIKÓW PODCZAS LICYTACJI DZIEŁ PO REBECCE DE LA VILA.

PRZYTOCZYŁ RÓŻNE POWODY, KTÓRE SKŁONIŁY GO DO PODJĘCIA TEJ DECYZJI; JEDNYM Z NICH JEST NOWA SIEĆ SKLEPÓW Z UBRANIAMI DLA PAŃ, DINA'S CORNER, NAZWANYCH TAK NA CZEŚĆ JEGO ŻONY; DRUGIM - PRZYPUSZCZENIE ATAKU NA SKLEPY TELEWIZYJNE.

- TO BARDZO PODNIECAJĄCE - POWIEDZIAŁ. - UWIELBIAM BUDOWAĆ COŚ OD PODSTAW. TO TAK, JAKBY CZŁOWIEK URODZIŁ, A POTEM PATRZYŁ, JAK TEN DZIECIAK ROŚNIE.

A JEŚLI CHODZI O BURGHLEYA?

- W GŁĘBI SERCA TO JA LUBIĘ RABATY - POWIEDZIAŁ PAN GOLDSMITH PROSTO Z MOSTU. - BURGHLEY JAK NA MÓJ GUST JEST ZBYT KOSZTOWNY. PO PROSTU ZBYT KOSZTOWNY I JUŻ!